

**GENERAŁ SIR RICHARD SHIRREFF**

**2017**

**WOJNA**

**Z ROSJĄ**

**PRZERAŻAJĄCY SCENARIUSZ WYDARZEŃ  
W EUROPIE — GENERAŁ NATO OSTRZEGA!**



**GENERAŁ SIR RICHARD SHIRREFF**

były zastępca naczelnego dowódcy  
Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO w Europie

# 2017

## WOJNA Z ROSJĄ

Przełożył  
Radosław Kot



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Dla moich przyjaciół z Łotwy, Estonii i Litwy.  
Ludzi, którzy rozumieją cenę wolności.*

## PRZEDMOWA

Latem 2015 roku podczas posiedzenia zatwierdzającego członkowie senackiej Komisji Sił Zbrojnych zapytali generała Marka Milleya, nowego szefa sztabu wojsk lądowych USA, co jest jego zdaniem największym zagrożeniem dla amerykańskiego i zachodniego stylu życia. Milley odpowiedział: „Za zagrożenie numer jeden uznałbym teraz Rosję. (...) Rosja jest jedynym krajem na Ziemi, który dysponuje arsenałem nuklearnym wystarczającym do zniszczenia Stanów Zjednoczonych. To zagraża naszemu istnieniu”. Generał Joe Dunford, nowy przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, wyraził podczas tamtego posiedzenia identyczne przekonanie.

W pełni się z tym zgadzam. Tę opinię podziela wielu wyższych dowódców sił zbrojnych, ludzi z doświadczeniem pozwalającym na szczególnie trafną ocenę sytuacji. Wyróżniłbym wśród nich mojego byłego towarzysza broni i zastępcę naczelnego dowódcy Sojusznicznych Sił Zbrojnych NATO w Europie, sir Richarda Shirreffa, który w tej śmiałej, ważnej i bardzo aktualnej książce postarał się wyeksponować niebezpieczeństwa wiszące obecnie nad Ameryką i Zachodem.

Jako dowódca sił NATO na poziomie strategicznym widziałem, jak wygląda rosyjska agresja. Jestem pewien, że spośród wszystkich zagrożeń drugiego dziesięciolecia dwudziestego pierwszego wieku największym jest właśnie Rosja, kierowana przez Władimira Putina. Owszem, islamscy dżihadysty mogą zagrozić naszemu bezpieczeństwu, ale dopóki nie mają środków, żeby pokonać nas w polu bitwy, nie są w stanie zniszczyć naszego kraju. Z Rosjanami rzecz wygląda inaczej, gdyż – co jest naprawdę przerażające – są oni najwyraźniej gotowi do użycia broni atomowej, jak to wynika z ostatnich publicznych wypowiedzi Putina.

Pod władzą Władimira Putina Rosja obrała bardzo niebezpieczny kurs i jeśli pozwolimy, żeby tak było dalej, może się skończyć konfliktem z Organizacją Paktu Północnoatlantyckiego. A takie starcie z łatwością może się przerodzić w wojnę nuklearną. Jak powiedział kiedyś pruski generał Carl von Clausewitz, „wojna nie ma określonej logiki, ale ma własną gramatykę”. Dodałbym, że ma też własną dynamikę. Jeśli żołnierze USA i innych państw NATO rozpoczną walkę z rosyjskimi oddziałami, dojdzie do eskalacji konfliktu, być może aż do poziomu, na którym trzeba będzie sięgnąć po ostateczny środek, broń atomową. Ta książka opisuje dobitnie, jak taki właśnie scenariusz może wyglądać. Opisuje coś, czego wielu polityków, cywilów, nie potrafi albo nie chce zrozumieć, chociaż historia nie raz pokazała, jak błędne to

podejście.

Na razie jednak prowadzący do wojny proces może zostać zatrzymany, o ile pozostające pod przewodnictwem Ameryki NATO okaże wskazane w takiej sytuacji zdecydowanie. Tej wojnie będzie można zapobiec tylko wówczas, gdy Rosjanie nabiorą przekonania, że jesteśmy naprawdę gotowi do obrony naszej wolności oraz wolności naszych sojuszników.

Książka *2017: Wojna z Rosją* przedstawia wojnę, która może wybuchnąć wskutek naszego niezdecydowania i braku gotowości do przeciwstawienia się rosyjskiej agresji. Pokazuje, jak seria błędnych działań i równie błędnych ocen sytuacji prowadzi Zachód do katastrofalnego starcia z Rosją. Uważam, że to naprawdę może się zdarzyć i nawet w wersji literackiej jest przerażające. Z drugiej strony autor pokazuje także, jak dobrzy ludzie mogą powstrzymać tragiczny bieg zdarzeń, przede wszystkim zaś stara się nam uświadomić, że nie jest jeszcze za późno, żeby zapobiec katastrofie.

Od wielu innych powieści z gatunku political fiction, przedstawiających bliską przyszłość, książka ta różni się zasadniczo tym, że została napisana przez odważnego i zaprawionego w walce żołnierza, byłego wysokiego dowódcę NATO, który świetnie służył Sojuszowi jako mój zastępca i któremu nauczyłem się ufać. Jako admirał korzystałem bez wahania z jego opinii dotyczących prowadzenia walki lądowej. Co więcej, to człowiek, który dobrze rozumie realia geopolityczne, umie oceniać ryzyko i nie waha się mówić tego, co myśli. Jako jeden z niewielu tak doświadczonych generałów jest gotów zaryzykować własną reputację. W 2014 roku trafnie rozpoznał konsekwencje najazdu Rosji na Krym i zagarnięcia części terytorium Ukrainy. Obawiam się więc, że i w tej książce może mieć rację, przedstawiając następne ruchy Rosjan.

Ten i ów powie pewnie, że takie ostrzeżenia ze strony wysokich rangą oficerów to nic nowego. Że wiele razy podnosili już oni alarm i zwykle nic z tego nie wynikało. Takim niedowiarkom przypomnę jedno: dokładnie sto lat przed rokiem 2017 Stany Zjednoczone wysłały na wojnę w Europie cztery miliony młodych ludzi, z których 110 tysięcy straciło życie. Dwadzieścia pięć lat później historia się powtórzyła, a cena zapłacona przez Amerykę podczas drugiej wojny światowej była znacznie wyższa. A gdyby nie NATO i determinacja kolejnych pokoleń Amerykanów, późniejsza zimna wojna mogłaby zakończyć się w całkiem inny sposób.

Na niedawnym spotkaniu najważniejszych europejskich polityków i dowódców jeden z uczestników spytał, czy obecna sytuacja, z awanturniczą polityką prężącej muskuły Rosji, bardziej przypomina rok 1914 czy może ten czas, gdy brak zdecydowanego sprzeciwu wobec zamiarów Hitlera doprowadził do wybuchu drugiej wojny. Odpowiedź była jednoznaczna: „Nie, to jest rok 2015. I istnieje teraz broń atomowa”.

Książka *2017: Wojna z Rosją* przedstawia całkiem prawdopodobny scenariusz

takiego współczesnego konfliktu i zasługuje tym samym na uważną lekturę.

*admirał James Stavridis*

emerytowany oficer

Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych,

były naczelny dowódca

Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO w Europie

## SŁOWO WSTĘPNE

Ta wojna z Rosją zaczęła się w marcu 2014 roku na Ukrainie.

Byłem wówczas brytyjskim czterogwiazdkowym generałem i zastępcą naczelnego dowódcy Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO w Europie (DSACEUR), zarazem zastępcą amerykańskiego dowódcy strategicznego NATO. Pełniłem służbę w Naczelnym Dowództwie Sojuszniczych Sił Zbrojnych w Europie (w natowskim słowniku SHAPE), znajdującym się na północ od Mons w Belgii. Miałem już wówczas spore doświadczenie w NATO, gdyż wcześniej dowodziłem Korpusem Sojuszniczych Sił Szybkiego Reagowania.

Stanowisko DSACEUR zajmowałem przez trzy lata i muszę przyznać, że podobnie jak wielu innych znanych mi oficerów, uważałem, iż pomimo rosyjskiego najazdu na Gruzję w 2008 roku NATO powinno dążyć do partnerskich stosunków z Rosją. Kilka razy odwiedziłem Moskwę, żeby osobiście poznać wyższych dowódców rosyjskich sił zbrojnych, i chętnie gościłem u siebie w domu generała Walerija Gierasimowa, obecnie szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

Niemniej zajęcie Krymu, wsparcie udzielone przez Rosję separatystom we wschodniej Ukrainie, najazd na ten kraj, a także deklaracja prezydenta Putina, iż zamierza on zjednoczyć całą rosyjskojęzyczną ludność pod sztandarem Matki Rosji, diametralnie odmieniły moje poglądy. Rosja jest naszym strategicznym przeciwnikiem, który wszedł na kurs kolizyjny i dąży do konfliktu z Zachodem. Rozbudowuje i wzmacnia potencjał militarny, odrzuciwszy przy tym zasady, na których oparto po zimnej wojnie bezpieczeństwo w Europie. Prezydent Putin rozpoczął proces, który może zostać przerwany tylko wówczas, gdy Zachód się ocknie, dostrzeże groźbę wojny i zacznie wreszcie działać.

Ta książka ma przebudzić ludzi. Teraz, gdy nie jest jeszcze za późno.

Wtedy, w marcu 2014 roku, wśród zachodnich dowódców wojskowych wyczuwało się czyste niedowierzanie, gdy wraz z kolejnymi meldunkami okazało się, że „aneksja” Krymu nie była niczym innym, jak regularną inwazją przeprowadzoną przez rosyjskie siły zbrojne. Mówiąc wprost, była to pierwsza próba siłowego przesunięcia granic w Europie od czasu hitlerowskiej napaści na Związek Radziecki w 1941 roku.

Nie tylko byliśmy świadkami powrotu do Europy polityki „krwi i żelaza”, ale także poznaliśmy nową postać wojny między państwami. Zamiast klasycznie najeżdżać sąsiada, Rosja najpierw naruszyła od środka integralność Krymu, oszczędzając sobie konieczności frontalnego ataku. W moim gabinecie w SHAPE pilnie śledziłem

doniesienia CNN i BBC News 24, które ukazywały żołnierzy w zielonych mundurach, pozbawionych insygniów, z twarzami skrytymi w cieniu hełmów. Poruszali się równie nieoznakowanymi pojazdami, ale wszyscy wiedzieliśmy, do kogo one należały i kto je tam wysłał. Tyle że dowiedzenie tego to całkiem inna historia, chociaż cała operacja została przeprowadzona bardzo sprawnie, niewątpliwie przez zawodowców. Niestety, Ukraina nie była i nie jest członkiem NATO, więc nic nie mogliśmy na to poradzić.

W następnych dniach otrzymywaliśmy regularne biuletyny informacyjne przygotowane przez natowskie Centrum Konsolidacji Danych Wywiadowczych, które wyliczały rosyjskie armie pancerne i dywizje powietrznodesantowe przygotowujące się do najazdu na resztę Ukrainy. W tym samym czasie nastąpiła bezprecedensowa koncentracja sił rosyjskich przy granicy z Estonią, Łotwą i Litwą. To drugie obchodziło nas bezpośrednio, ponieważ te państwa, zwane powszechnie „bałtyckimi”, zostały w 2004 roku członkami NATO.

A potem, 18 maja, prezydent Putin na konferencji na Kremlu oficjalnie ogłosił przyłączenie Krymu do Federacji Rosyjskiej.

Nazajutrz rano spotkałem się w Centrum Kompleksowego Zarządzania Kryzysami i Operacjami (CCOMC) z moim bezpośrednim przełożonym, generałem Philem Breedlove'em, naczelnym dowódcą sił NATO w Europie, żeby jak co dzień przyjrzeć się aktualnej sytuacji. CCOMC mieści się w samym sercu SHAPE, nowoczesnego ośrodka dowodzenia, który zastąpił bunkier z czasów zimnej wojny. Umieszczony w samym środku układu nerwowego NATO, został zaprojektowany do stawienia czoła wyzwaniom konfliktów dwudziestego pierwszego wieku. Obsadzony przez żołnierzy i cywilów z dwudziestu ośmiu krajów członkowskich, jest w stanie koordynować poczynania ze wszystkimi międzynarodowymi instytucjami i agencjami, które w taki czy inny sposób współpracują ze strukturą NATO. Dzięki zasobom danych komputerowych, łączom z agencjami informacyjnymi oraz mediami społecznościowymi, napływającym w realnym czasie obrazom i danym z satelitów oraz dronów rozpoznawczych pozwala Grupie Dowodzenia SHAPE myśleć, planować i działać na naprawdę strategicznym poziomie.

Szklane ściany i rozległa przestrzeń zalanej światłem sali konferencyjnej mogłyby się kojarzyć raczej z jakimś bankowym wysokościewcem z City of London, nie tradycyjnym dowództwem wojskowym, niemniej kolejni mówcy precyzyjnie nakreślali sytuację, starając się jak najlepiej informować kadrę dowódczą oraz personel pomocniczy.

Pomimo zaskoczenia wywołanego rosyjskim najazdem byli rzeczowi i powściągliwi w opiniach. Zdawali sobie sprawę z tego, że w takiej chwili NATO powinno okazać swoje zdecydowanie. Ostatecznie sześćdziesiąt pięć lat wcześniej powstało właśnie w tym celu, żeby reagować skutecznie w podobnych sytuacjach. Rozumieli też, że jeśli tego zdecydowania zabraknie, szybko dojdzie do głosu



największa słabość NATO – konieczność wypracowania zgodnego stanowiska wszystkich dwudziestu ośmiu członków. To dostrzegali dokładnie wszyscy.

Jaka wersja miała się ziścić?

Pamiętam dobrze poczucie nierealności towarzyszące szczegółowemu omawianiu wystąpienia gospodarza Kremla. Analizę przygotował szef działu operacyjnego, amerykański dwugwiazdkowy generał sił powietrznodesantowych. Jako weteran kilku konfliktów z ostatniego dziesięciolecia nie bawił się w gładkie słówka. Przytoczył osobliwe i natchnione nacjonalizmem słowa prezydenta Putina: „Mamy wszelkie powody sądzić, że polityka ograniczenia rozwoju Rosji, prowadzona w osiemnastym, dziewiętnastym i dwudziestym wieku, wcale nie dobiegła końca”. Zaraz potem w niedwuznaczny sposób ostrzegł on Zachód: „Jeśli ściska się sprężynę, to dobrze jest pamiętać, że w pewnej chwili cała jej energia się uwolni”. Na koniec zaś oświadczył, że Rosja i Ukraina to „jeden naród”, a „Kijów jest matką miast rosyjskich”.

W miarę jak tego słuchałem, sprawa stawała się dla mnie jasna. I aneksja Krymu, i obietnica ponownego zjednoczenia całej ludności „rosyjskojęzycznej” z byłych republik Związku Radzieckiego pod sztandarem Matki Rosji zdradzały łudzące podobieństwo do działań Hitlera w 1938 roku. Czy przyszli historycy także uznają, że oto stanęliśmy przed powtórką czasów, gdy Trzecia Rzesza wprowadziła wojska do Nadrenii i zagarnęła Kraj Sudetów? Gdyby oprzeć się na tej analogii, to czy należało oczekiwać, że za parę lat Rosja napadnie na kraje bałtyckie, gdzie też mieszka spora mniejszość rosyjskojęzyczna, tak jak Hitler napadł niegdyś na Polskę? Intuicja podpowiadała mi, że tak właśnie się stanie, o ile NATO nie przeszkodzi Putinowi w podbojach.

W ciągu kilka następnych dni obserwowaliśmy, jak Rosja koncentruje siły przy granicach z Ukrainą i państwami bałtyckimi. Działo się coś, co według założeń NATO czy Zachodu – czyli, ogólnie rzecz biorąc, Europy, USA, Kanady, Australii i Nowej Zelandii – nie miało się już prawa zdarzyć.

Zdaniem wielu myślicieli era wojen dobiegła końca. Przynajmniej otwartych wojen między państwami uprzemysłowionymi. Niemniej jeśli moje amatorskie zgłębianie historii czegoś mnie nauczyło, to tego, że nie należy być „pewnym” przyszłości. Zwłaszcza że kiepsko przyswajamy zwykle lekcje przeszłości. Znowu poczułem się jak wtedy, gdy jeszcze w latach zimnej wojny, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, studiowałem na uczelni wojskowej. Minęło tyle czasu, a my ponownie dyskutowaliśmy o rosyjskich armiach pancernych i dywizjach powietrznodesantowych oraz ocenialiśmy, kiedy i gdzie uderzą na Ukrainę.

Oczywiście zastanawiałem się nad tym, jak odbiorą rosyjską agresję państwa bałtyckie. Pamiętałem wywiad, którego udzieliłem w 2013 roku telewizji łotewskiej, kiedy to osaczony pytaniami dziennikarza stwierdziłem z wielką pewnością siebie, że obecny rząd Rosji nie stwarza żadnego zagrożenia dla państw bałtyckich. Jakże się

myliłem! Było mi wręcz nieswojo, ponieważ wszyscy głównodowodzący sił zbrojnych tych kochających wolność i sympatyzujących z Zachodem krajów byli moimi przyjaciółmi. Wszyscy mieli też w rodzinie kogoś, kto w okresie czystek w Związku Radzieckim został zesłany na Syberię. Poprzedni głównodowodzący wojsk estońskich trafił wraz z całą rodziną do gułagu, chociaż był wtedy dzieckiem i miał zaledwie dziewięć lat. Wszyscy mieli za sobą upokarzającą i przymusową służbę w Armii Czerwonej, a gdy Związek Radziecki upadł w 1991 roku, nie wahali się ryzykować życie, żeby tylko oderwać swoje państwa od imperium radzieckiego. Świetnie wiedzieli, jak przerażająca byłaby perspektywa rosyjskiej agresji. Wiedzieli o tym nieporównanie więcej niż ja czy moi amerykańscy koledzy. My nigdy nie odebraliśmy lekcji tak dobitnie pokazującej, jaka może być cena wolności.

Po kolei zadzwoniłem do wszystkich trzech. Riho Terras, Raimonds Graube i Arvydas Pocius byli spokojni i trzeźwo oceniali sytuację. Przekazali informacje o bezprecedensowej aktywności sił rosyjskich w ich przestrzeni powietrznej, na ich wodach terytorialnych i wzdłuż granic lądowych. Były to, jak uważali, próby zastraszenia podejmowane w dawnym radzieckim stylu. Dobrze rozumieli, co się dzieje.

Okazało się przy tym, że Amerykanie mnie uprzedzili. Generał Marty Dempsey, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, urządził już wcześniej tego dnia wideokonferencję. Poruszony postawą rozmówców rozkazał natychmiast wysłać do krajów bałtyckich dywizjon myśliwców bombardujących F-16. Ten jeden gest dowiódł, że Ameryka nie wyjdzie z roli gwaranta europejskiej wolności. Gdyby Rosja zaatakowała, musiałaby zaatakować jednocześnie samoloty USA, czyli w pewien sposób zaatakować i samą Amerykę. Niemniej moi przyjaciele nie kryli rozczarowania faktem, że żadna z europejskich podópór NATO, Wielka Brytania, Francja czy Niemcy, nie okazała solidarności z państwami bałtyckimi. Każdy z nich mógłby rzucić mi gorzkie: „A nie mówiłem?”. Ale nie zrobili tego. Nie musieli.

Można powiedzieć, że cały SHAPE żył już kryzysem na Ukrainie. Wszyscy zastanawiali się, jak NATO powinno zareagować. Pod koniec jednego ze spotkań SACEUR wywodzący się z głębokiego Południa pilot myśliwski US Air Force i zarazem wielki miłośnik motocykli Harley-Davidson spytał o zdanie mnie jako oficera wojsk lądowych.

– Wiesz, Phil, to się nikomu nie spodoba, ale powinniśmy teraz przerzucić nasze siły do państw bałtyckich – odpowiedziałem. – Najlepiej brygadę. Musimy pokazać Rosjanom, że naprawdę zamierzamy bronić tych krajów.

Niestety, z powodów, które w trakcie lektury tej książki okażą się jasne, Rada Północnoatlantycka uznała taki krok za zbyt śmiały, chociaż moim zdaniem byłby on jak najbardziej na miejscu. Tak z militarne go, jak i politycznego punktu widzenia. W pełni uzbrojona brygada, czyli 5 tysięcy ludzi z czołgami, transporterami piechoty,

śmigłowcami szturmowymi i artylerią, byłaby jasnym sygnałem dla prezydenta Putina, że dalej już nie może się posunąć. Dodatkowo zmobilizowałaby wszystkich członków NATO do obrony państw bałtyckich.

Szybko przeprowadziłem jeszcze dwie rozmowy telefoniczne. Z marszałkiem lotnictwa Stu Peachem, który był w londyńskim Ministerstwie Obrony zastępcą szefa sztabu, oraz z Mariot Leslie, ambasador Wielkiej Brytanii przy siedzibie NATO w Brukseli. Zasugerowałem im, że pora okazać solidarność z państwami bałtyckimi, a zwłaszcza z Estonią, której mężczyźni żołnierze walczyli i ginęli wraz z Brytyjczykami w odległej prowincji Helmand w Afganistanie. Trybiki rządowej maszyny zaczęły się obracać i trzeba przyznać, że coś z tego wynikło. Krótco później brytyjski premier wyraził zgodę na skierowanie przez RAF do Estonii czterech myśliwców typu Typhoon. Pozostawało jednak pytanie: co dalej?

A potem, pod koniec marca, moja trwająca trzydzieści siedem lat kariera wojskowa dobiegła końca i opuściłem SHAPE, żeby zacząć nowy, cywilny rozdział mojego życia. Warto jednak wspomnieć, że w maju 2015 roku, ponad rok po tym, jak po raz pierwszy to zaproponowałem, dowódca Sił Obronnych Estonii wezwał NATO do skierowania pełnej brygady do krajów bałtyckich dla okazania solidarności z tymi małymi i siłą rzeczy słabymi państwami, których granicom wciąż zagrażał agresywnie zachowujący się sąsiad. Niestety, jego prośba pozostała niewysłuchana.

Jak do tego wszystkiego doszło? Jak to się stało, że Rosja, którą NATO jeszcze pod koniec 2014 roku traktowało jak strategicznego partnera, naruszyła tak drastycznie porządek nastający w Europie po zakończeniu zimnej wojny? I dlaczego aż tak nas to zaskoczyło?

W dużej części sami się do tego przyczyniliśmy. To właśnie NATO przygotowało grunt pod wszystko, co zdarzyło się na Ukrainie. Jeszcze w 2008 roku obiecaliśmy naiwnie temu krajowi, że w niedalekiej przyszłości stanie się członkiem Sojuszu i że skłonni będziemy wspólnie bronić jego granic. Była to pusta obietnica, ponieważ nie zrobiliśmy nic, żeby przygotować się do takich działań. Rzecz w tym, że od samego początku było jasne, że tego nie da się zrobić. Nawet wychowani w okresie pokoju politycy, którzy nic nie wiedzą o wojnie, powinni dostrzec, że zgromadzenie na Ukrainie sił zdolnych zapewnić jej obronę byłoby logistycznym koszmarem, rzeczą w praktyce niewykonalną. Po prostu Ukraina leży zbyt daleko, żebyśmy mogli w pełni ją ochronić w razie ataku ze strony Rosji.

Co gorsza, takie postawienie sprawy podsyciło tylko paranoję Rosjan, którzy wierzą, że zwalczanie czy „powstrzymywanie” ich kraju jest strategicznym celem NATO. Ostatecznie przez całą zimną wojnę państwa bloku wschodniego pełniły rolę bufora pomiędzy Matką Rosją a demokratyczną Europą. Trzeba też mieć świadomość faktu, że Rosjanie wiedzą wszystko o atakach z Zachodu. Obietnica dana Ukrainie oznaczała, że Rosja będzie graniczyć z jeszcze jednym krajem NATO. Jeśli połączyć to

z ustawicznym strachem przed okrażeniem przez „wrogi” Sojusz, poczuciem klęski pozostałym po upadku Związku Radzieckiego i chaosem, który nastąpił przez to w dumnej Rosji w latach dziewięćdziesiątych, otrzymujemy toksyczną wręcz mieszankę.

Możemy mieć problemy na Zachodzie ze zrozumieniem, jakim sposobem młodzi i patriotyczni chłopcy z radzieckiej armii czy z KGB, jak kiedyś sam prezydent Putin, mogli uznać upadek ZSRR za osobistą klęskę, ale nie ulega wątpliwości, że wielu z nich poczuło się poniżonych i, cokolwiek o tym sądzimy, należy brać to pod uwagę.

Sam Putin dał się już poznać jako bezlitosny gracz i skrajny oportunistą, gdy w 2008 roku podjął decyzję o najeździe na Gruzję. Wybrał moment, gdy cały świat skupiał uwagę na igrzyskach olimpijskich w Pekinie. Zachód i tak trochę protestował, ale sprawa szybko poszła w zapomnienie. Ostatecznie Gruzja leżała daleko poza sferą wpływów NATO i tak blisko Rosji, że niewiele dałoby się zrobić. Taka reakcja upewniła Putina, że ma wolną rękę. Już wtedy, w 2008 roku, skojarzyło mi się to mocno z przeprowadzoną w 1936 roku przez Hitlera remilitaryzacją Nadrenii.

Jakby tego było mało, popełniono jeszcze inne polityczne i militarne błędy, które czujni Rosjanie mogli uznać za dowody postępującego osłabienia Zachodu.

Jednym z nich było tak powszechnie chwalone zwrócenie się prezydenta Baracka Obamy ku sprawom Azji i obszaru Pacyfiku, co sugerowało, że Europa straciła sporo na znaczeniu jako strategiczny partner USA. W ślad za tym poszły poważne redukcje sił amerykańskich stacjonujących w Niemczech. Ironią losu miesiąc po tym, jak Putin zagarnął Krym, z Niemiec wyjechały ostatnie amerykańskie czołgi. Stacjonowały tam przez 69 lat. W swoim czasie NATO utrzymywało na niemieckiej ziemi ponad 6 tysięcy czołgów, w większości amerykańskich, co dobitnie świadczyło o gotowości Ameryki do obrony Europy. Wszyscy obeznani z wojskiem świetnie wiedzą, że chociaż likwidacja jakiegoś elementu gotowości bojowej jest bardzo łatwa, jej odtworzenie wymaga nadludzkiego wysiłku. Pozostawienie zakonserwowanego sprzętu, jak zrobili to Amerykanie w 2015 roku, niewiele zmienia. Trzeba jeszcze poszukać ludzi, wdrożyć ich w obowiązki, zająć się cyklem szkolenia, rozwinąć logistykę... I to wszystko wymaga czasu, przez co nie od razu otrzymamy zdolną do działania jednostkę.

Wrażenie, że Ameryka przestaje interesować się Europą, zostało wzmocnione jeszcze rezygnacją Obamy z podejmowania dyplomatycznych prób ukrócenia rosyjskich poczynań na Ukrainie w 2014 roku. Trzeba pamiętać, że USA, Rosja i Wielka Brytania były sygnatariuszami tak zwanego memorandum budapeszteńskiego z 1994 roku. Zgodnie z nim Ukraina rezygnowała z posiadania broni atomowej w zamian za udzielone przez USA i Federację Rosyjską gwarancje dotyczące jej terytorialnej integralności. Rosja podarła dokument, traktując go jak byle świstek, Obama zaś udał, że nie pamięta o amerykańskim zobowiązaniu. Nie był to dobry sygnał dla świata. Rosja odebrała go oczywiście po swojemu.

W samej Europie też nie działo się najlepiej. W Wielkiej Brytanii, która była tradycyjnie najsilniejszym europejskim członkiem NATO, koalicja pod przewodnictwem premiera Davida Camerona doszła do wniosku, że czas wojen mogących zagrozić państwu minął bezpowrotnie. Polityka obronna przyjęta przez rząd, który w niewielkim stopniu interesował się sceną międzynarodową, była oparta na ryzykownym założeniu, że nic istotnego na tej scenie już się nie rozegra. Oficjalnie uznano, że Wielka Brytania jest i będzie bezpieczna. Dzisiaj, kiedy piszę te słowa, postawa ta jawi się jako naiwna i świadczy o daleko idącej nieodpowiedzialności.

Konsekwencją takiego właśnie spojrzenia na najbliższą przyszłość było znaczne okrojenie brytyjskiego potencjału militarnego, co przyniosło dalekosiężne i trudne do odwrócenia zmiany: zwolniono 20 tysięcy doświadczonych żołnierzy zawodowych, Royal Navy pozbyła się szeregu fregat i niszczycieli, czyli najważniejszych „koni roboczych” każdej marynarki wojennej. Niektóre z tych okrętów po wycofaniu spod wybrzeża Libii, gdzie pilnowały przestrzegania ustanowionej w 2011 roku blokady morskiej, skierowano wprost do stoczni złomowych. Dziwnie się czułem, słysząc o ich fizycznej likwidacji w chwili, gdy mogły okazać się szczególnie potrzebne. Destabilizacja Libii oraz narastające niepokoje związane z arabską wiosną powinny być dla każdego polityka wyraźnymi sygnałami, że świat nie jest wcale tak bezpiecznym i przewidywalnym miejscem, jak zapewniano nas w parlamentarnych przemówieniach. RAF także ucierpiał, tracąc sporo ze swoich odrzutowców, a na dodatek zredukowano liczbę oceanicznych samolotów patrolowych, co było już przedziwnym krokiem, jak na kraj o tak wielkich tradycjach morskich. Była to krótkowzroczna decyzja, która musiała zdumieć naszych sojuszników i niebotycznie ucieszyć wszystkich wrogów.

Gdy zaraz po ustąpieniu ze stanowiska, w marcu 2014 roku, wyraziłem w „The Sunday Times” opinię, że jest to „cholernie ryzykowna zagrywka”, tak wzburzyłem sekretarza obrony, że generał sir Peter Wall, szef Sztabu Generalnego i naczelny dowódca sił lądowych, wezwał mnie do siebie i powiedział, że sekretarz obrony zażądał podjęcia „oficjalnych działań” wobec mojej osoby. W praktyce musiałyby to oznaczać sąd wojskowy, co przyniosłoby polityczne szkody także generałowi. Chociaż więc i on nie był zadowolony, że wykazałem większą lojalność wobec NATO niż wobec niego, rozsądek przeważał i na tym się skończyło. Całkiem inaczej niż w przypadku szkód wyrządzonych naszym siłom zbrojnym przez rząd, który winien przede wszystkim dbać raczej o podniesienie naszego potencjału obronnego.

Pokaz niezdolności do radzenia sobie z trudnymi realiami zyskał kontynuację pod postacią brytyjskiej reakcji na kolejny kryzys na Bliskim Wschodzie, wywołany pojawieniem się na scenie tak zwanego „Państwa Islamskiego” latem 2014 roku. Zarówno premier, jak i świeżo mianowany na stanowisko ministra spraw zagranicznych Philip Hammond (który wcześniej groził mi jako minister obrony

narodowej, potem zaś nadzorował jeszcze przez jakiś czas redukcję naszych sił zbrojnych) mieli wprawdzie dużo do powiedzenia na ten temat, ale w rzeczywistości nie zrobili właściwie nic, żeby przeciwstawić się zagrożeniu. Pyszałkowata deklaracja Hammonda, że „Wielka Brytania znaczy o wiele więcej, niżby się mogło zdawać”, była zwykłym pustosłowiem.

Zatem gdy sam premier napisał w artykule, że „Wielka Brytania powinna unikać wysyłania oddziałów do walki” – sugerując przy tym, że głównym zadaniem wojska powinna być pomoc humanitarna – nie miałem wątpliwości, jak odbiorą to nasi sojusznicy oraz potencjalni wrogowie. Takie zdanie sugerowało niedwuznacznie, że aktualny rząd Wielkiej Brytanii chce być wprawdzie postrzegany jako śmiały i rozsądny, ale tak naprawdę boi się jakiegokolwiek działania. Kraj słynący niegdyś z tego, że „przemawia łagodnie, ale zawsze ma przy sobie grubą pałkę”, czyli nigdy nie rzuca gróźb, których nie może zrealizować, zaczął teraz pokrzykiwać głośno na różne tematy, ale dzięki cięciom budżetowym w sektorze obronnym mógł sobie pozwolić co najwyżej na zestaw wykałaczek. Dla porządku odnotuję też, że nikt ze środowiska wojskowych nie dał się oszukać, gdy w 2015 roku ogłoszono kolejny „Strategiczny przegląd obrony i bezpieczeństwa”. Przy utrzymaniu wydatków na obronę na poziomie dwóch procent produktu krajowego brutto musiał być on pełny czczych obietnic i zapowiedzi odkładania co kosztowniejszych modernizacji na „święte nigdy”.

Gospodarz Kremla też to zrozumiał i mógł spokojnie nabrać przekonania, że Wielka Brytania, która była kiedyś najsilniejszym pod względem militarnym państwem w Europie, weszła na drogę samorozbrojenia. Tak dosłownego, jak i na płaszczyźnie moralnej. Gdy Putin był jeszcze młodym oficerem KGB i służył podczas zimnej wojny w Niemczech Wschodnich, Rosja szanowała Wielką Brytanię za jej zdecydowanie pod rządami Żelaznej Damy i śmiałą akcję odzyskania Falklandów w 1982 roku. W tamtym czasie nasz rząd najpierw zapowiedział zrobienie czegoś, co było prawie niemożliwie, a potem po prostu to zrobił. Ten pokaz możliwości militarnych oraz chłodnej determinacji przysporzył Wielkiej Brytanii sporo kapitału politycznego. Niemniej z tego, co budziło kiedyś podziw w świecie, dziś nic praktycznie już nie zostało. Wielka Brytania zaczęła przypominać przeciętną, pacyfistycznie nastawioną europejską socjaldemokrację, zainteresowaną raczej utrzymaniem poziomu życia i wzrostem dochodów niż adekwatnych do potrzeb zdolności obronnych.

Przy czym jeśli nasi wrogowie mieli podstawy, żeby uznać, że Wielka Brytania szybko zaczęła tracić wolę obrony swoich tradycyjnych wartości, to trzeba nadmienić, że większość Europy nigdy takiej woli nie przejawiała. Co więcej, spoglądające raczej na Wschód Stany Zjednoczone też nie wydawały się specjalnie zainteresowane ochroną Starego Świata.

Jest to więc opowieść o tym, jak Zachód zlekceważył płynące z Rosji sygnały ostrzegawcze i swoimi niemądrymi decyzjami ośmielił gospodarza Kremla na tyle, że

Europa znalazła się u progu wojny.

„I co z tego?” – możecie spytać. Tak, to smutna historia, zwłaszcza dla mieszkańców państw bałtyckich i Polski, „dalekich krajów, o których mało wiemy”, że sparafrazuję słowa wygłoszone w 1938 roku przez premiera Neville’a Chamberlaina. Co nas to obchodzi, że NATO okaże się bezsilne i nie zdołamy obronić krajów bałtyckich i Polski? Jak niby Wielka Brytania i Europa Zachodnia miałyby przez to ucierpieć?

Odpowiedź jest jednoznaczna. Ucierpią, i to bardzo.

Pierwszy i najstraszniejszy scenariusz wiąże się z prostą zasadą, że wobec braku klasycznych środków odstraszania, takich jak czołgi, samoloty bojowe, artyleria, okręty i zwykła piechota, NATO będzie musiało oprzeć się w pierwszym rzędzie na broni atomowej.

Groźba jej użycia pozostanie w razie dramatycznej potrzeby jedynym sposobem uratowania NATO od klęski. Niemniej odpalenie w kierunku Rosji międzykontynentalnego pocisku balistycznego w rodzaju tridenta przyniosłoby apokaliptyczne wręcz skutki. Jest to scenariusz na tyle potworny, że rosyjski prezydent może śmiało założyć, iż Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja, czyli jedyne atomowe mocarstwa NATO, nigdy nie zaryzykują całkowitego zniszczenia Europy dla uratowania trzech małych krajów nad Morzem Bałtyckim.

I będzie miał najpewniej rację. Dlatego broń atomowa nie na wiele nam się w tym przypadku przyda.

To właśnie jest powód, dla którego powinniśmy utrzymywać silne klasyczne siły zbrojne. Tylko one mogą zatrzymać Rosjan, jeśli ci zdecydują się zaatakować, przede wszystkim zaś z racji samego swojego istnienia pozwolą zapobiec atakowi. Z nimi możemy mieć nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli sięgać po najgroźniejszy środek z naszych arsenałów, czyli broń atomową. Inaczej mówiąc, osłabianie konwencjonalnych sił obronnych wydatnie zwiększa prawdopodobieństwo sięgnięcia w przyływie desperacji po broń masowej zagłady.

Niemniej nawet wówczas, gdy wojna pozostanie klasycznym starciem, musicie przygotować się na olbrzymie straty. Nieporównanie większe niż podczas kampanii prowadzonych w Afganistanie czy Iraku. To będzie liczba ofiar porównywalna z tym, co działo się podczas drugiej wojny światowej. I nie ma się co łudzić: wojna rządzi się własnymi zasadami. Gdy działa zaczną strzelać, nie da się przewidzieć, jaki będzie ich następny cel. Jeśli my będziemy razić Rosjan, dlaczego oni nie mieliby spróbować zamienić Londynu, Edynburga, Berlina, Paryża czy Warszawy w morze gruzów?

Poza tym nie trzeba wcale rosyjskich żołnierzy maszerujących przez Berlin czy Paryż, żeby znany nam świat przestał istnieć. Jeśli Rosja zwycięży w tej wojnie, będzie mogła dyktować NATO i pokonanej Europie, co tylko zechce. I to już wystarczy, żeby Zachód upadł.

„Łupy należą do zwycięzcy”. Zawsze tak jest.

Jako zastępca naczelnego dowódcy sił w Europie brałem udział w naradach z udziałem ministrów obrony krajów członkowskich oraz decyzyjnych funkcjonariuszy NATO. Dyskutowałem z nimi i współdecydowałem o rozmieszczeniu naszych sił, krążyłem po „korytarzach władzy” brukselskiej kwatery NATO, Białego Domu, domu numer 10 przy Downing Street czy Pentagonie. Zaprowadzę was tam w tej książce i pokażę, jak politycy roztrząsają każdą decyzję o skierowaniu gdzieś sił specjalnych, nakazaniu uderzenia powietrznego, wysłaniu okrętów albo sił lądowych.

Opierając się na moim osobistym doświadczeniu z kampanii NATO w Afganistanie i Libii, zademonstruję wam też pozerstwo, próżność, polityczny cynizm i moralne tchórzostwo wielu osób, które podejmują te decyzje. Z drugiej strony nie zapomnę o nielicznych prawdziwych mężach stanu i sytuacjach, kiedy sprawne przywództwo i moralna odwaga jednego człowieka mogą zmienić bieg historii. Jako osoba znająca realia walki opiszę, jak decyzje podejmowane na najwyższym szczeblu wpływają na los tych, którzy wykonują ich rozkazy i którzy wraz z cywilami płacą w każdej wojnie najwyższą cenę.

Podczas służby na stanowisku zastępcy naczelnego dowódcy sił NATO w Europie prowadziłem ćwiczenia, podczas których rozgrywaliśmy różne ewentualne scenariusze, oparte na naszych własnych możliwościach oraz tym, co wiedzieliśmy o przeciwniku. To, co przedstawiłem w mojej książce, jest taką grą wojenną, bez wątplenia straszną, ale całkiem prawdopodobną. Rzecz w tym, że jakkolwiek potworny jawiłby się zachodnim politykom taki czy inny scenariusz, nie oznacza to, że Rosjanie na pewno nie uznają go za podstawę do tworzenia swoich planów.

W tym sensie moja książka nie tylko jest fikcją literacką, ale i opartą na twardych przesłankach symulacją tego, co może się zdarzyć. Jako starszy oficer z praktyką dowódczą mogłem zgromadzić informacje potrzebne do sporządzenia takiej prognozy. Cały czas też będę starał się pokazać, jak podjęte już i podejmowane obecnie decyzje polityczne popychają nas w kierunku wojny z Rosją. Wojny, której możemy jeszcze uniknąć, o ile szybko zaczniemy działać.

I dlatego trzeba tę historię opowiedzieć właśnie teraz, póki jeszcze nie jest za późno. Ponieważ, jak stwierdził Trocki: „Możesz nie interesować się wojną, ale wojna interesuje się tobą”.

Jednej rzeczy jestem całkowicie pewien: obecny gospodarz Kremla też wie to wszystko i nawet teraz, gdy czytacie te słowa, jego admirałowie i generałowie również prowadzą swoje gry wojenne, ćwicząc dokładnie te same scenariusze. I naprawdę mają zamiar wygrać tę wojnę.

*generał sir Richard Shirreff*

Laverstoke, Hampshire

maj 2016



## PROLOG

Jest maj 2017 roku.

Ledwo nowa prezydent USA rozpoczęła w styczniu swoją kadencję, natychmiast zerwała z podejściem Obamy, żeby trzymać się z dala od Rosji. Jej pierwszą decyzją na polu polityki zagranicznej był nakaz wyposażenia Ukrainy w radary rozpoznania artyleryjskiego, nowoczesny sprzęt do prowadzenia walki radioelektronicznej, drony, opancerzone humvee i sprzęt medyczny, tak bardzo potrzebne dla obrony przed rosyjskimi separatystami, wspieranymi przez regularne siły Federacji Rosyjskiej. Sam sprzęt jednak to nie wszystko i za radą swoich generałów prezydent wysłała na Ukrainę także amerykański personel wojskowy, który miał wyszkolić ukraińskich żołnierzy w obsłudze najnowocześniejszych urządzeń.

W ten sposób prezydent może ogłosić światu, że Amerykanie przybyli na Ukrainę wyłącznie jako instruktorzy, a nie w celu prowadzenia walki. Wydaje się przy tym wierzyć, że ta maskarada powstrzyma Rosjan i ich sprzymierzeńców przed dalszym podgrzewaniem atmosfery.

Niemniej bez wsparcia jednostek liniowych wszyscy ci „doradcy” mogą łatwo paść ofiarą ataku przeciwnika. Jakimś kompromisem byłoby zapewnienie im osłony powietrznej, ale znający się na sprawie generałowie twierdzą, że nawet najbardziej nowoczesny myśliwiec niewiele może zrobić dla grupy ludzi na ziemi. Jego żywiołem jest przestrzeń powietrzna, zwykle powyżej 20 tysięcy stóp. Prezydent wie jednak aż za dobrze, że nijak nie zdoła przekonać Amerykanów w ogóle, a Izby Reprezentantów i Senatu w szczególności, do wysłania na Ukrainę kontyngentu jednostek liniowych, więc odpowiada generałom, żeby przestali narzekać i wzięli się do roboty. Tak czy owak, obowiązuje zawarte w 2014 porozumienie mińskie i nawet stronnictwo jastrzębi w wojsku amerykańskim nie uważa, żeby Rosja zamierzała wznowić atak.

Sprzęt i instruktorzy zostają więc wysłani z konkretnym poleceniem, żeby załatwić swoje i jak najszybciej wynieść się z Ukrainy.

Brytyjski premier wciąż skupia uwagę przede wszystkim na wyniku przeprowadzonego w czerwcu 2016 roku referendum na temat wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Do tego wszystkiego Nicola Sturgeon, przywódczyni Szkockiej Partii Narodowej, coraz poważniej mówi o uzyskaniu przez Szkocję niepodległości. Żeby trochę podbudować swoje „szczególne stosunki” ze Stanami Zjednoczonymi, Wielka Brytania w 2015 roku wysłała na Ukrainę niewielką grupę medyczną, która miała się zająć szkoleniem Ukraińców, i teraz nie zamierza zrobić

niczego więcej. Tak jakby całkowicie zdawała się na łaskę losu. Rosjanie wykorzystują oczywiście sytuację, przedstawiając natowskie oddziały jako rodzaj „legii cudzoziemskiej”, które to hasło zostaje podjęte przede wszystkim przez rosyjskich nacjonalistów.

Na Ukrainie jest raczej spokojnie. Porozumienie mińskie, choć politycznie kontrowersyjne, położyło kres otwartemu konfliktowi i wojna przeszła do fazy „zamrożonego” konfliktu z oddziałami obu stron tkwiącymi beczynnymi na swoich pozycjach. Po stronie ukraińskiej oznaczało to powrót do czegoś bliskiego normalności, co pozwoliło amerykańskim i brytyjskim instruktorom realizować program szkolenia w niemal pokojowych warunkach.

Z niewiadomego powodu bardzo agresywna dwa lata wcześniej propaganda Kremla, przedstawiająca obecność żołnierzy NATO na Ukrainie jako bezpośrednie zagrożenie dla Rosji, ustała, co bez wątpienia wynikało w dużej części ze współpracy Rosji, Ameryki, Francji i Wielkiej Brytanii podczas uderzeń powietrznych w Syrii. Dla prezydent USA jest to dodatkowa zachęta, żeby wysłać kolejne partie sprzętu i ludzi, chociaż nadal bez właściwego wsparcia.

Równocześnie notowania rosyjskiego prezydenta zaczęły spadać na skutek pogłębiających się problemów ekonomicznych, dalszej dewaluacji rubla, nadal obowiązujących sankcji gospodarczych i wciąż niskiej ceny ropy, której sprzedaż była przez lata głównym źródłem dochodu tego kraju. Produkt krajowy obniżał się od 2014 roku średnio o cztery procent, ale mimo to wydatki na obronę były zgodnie z planem podnoszone i przez ostatnie trzy lata wzrosły aż o czterdzieści procent. Popularność prezydenta Rosji nie wróciła wciąż jeszcze do wcześniejszego poziomu po poniżającym ciosie, którym było wysadzenie w 2015 roku przez dżihadystów rosyjskiego samolotu pasażerskiego, który spadł na Synaju, oraz zestrzelenie przez tureckie siły powietrzne rosyjskiego bombowca, czego na dodatek w żaden sposób nie pomszczono. Prezydent wie, że musi albo poprawić bilans ekonomiczny kraju, albo zrobić coś spektakularnego, co pozwoli mu odzyskać to olbrzymie wsparcie narodu, którym cieszył się zaraz po udanym najeździe na Krym.

Postanawia więc raz na zawsze rozwiązać problem ukraiński i wypełnić złożoną w 2014 roku obietnicę, że Rosja i Ukraina na powrót staną się jednym krajem, z Kijowem jako „matką rosyjskich miast”. Musi tylko zadbać o jakiś pretekst, który mu to umożliwi.

To czyni nieciekawą już wcześniej sytuację jeszcze groźniejszą, zwłaszcza wobec bierności Zachodu przez trzy lata, które minęły od aneksji Krymu i zajęcia części Ukrainy. Ośmielony brakiem jedności wśród przeciwników oraz różnymi ich słabościami, gospodarz Kremla nie widzi powodów dla przestrzegania międzynarodowego prawa. O wiele więcej przemawia za realizacją kolejnych awanturniczych pomysłów, tym bardziej że analitycy z FSB, czyli Federalnej Służby

Bezpieczeństwa, spadkobierczyni KGB, zapewniają go z przekonaniem, że decyzje o „wzmocnieniu wspólnych struktur obronnych” NATO, zapowiedziane w 2014 roku i ratyfikowane podczas warszawskiego szczytu w 2016 roku, nie zostały wprowadzone w życie. Twierdzą, że wszystko to było jedynie swoistą „maskirowką”, a wspólna struktura obronna tyle jest warta, co byle wioska potiomkinowska <sup>1</sup>.

Krótko mówiąc, NATO nie zdołało wysłać dość silnej i czytelnej wiadomości, że jest gotowe wspólnie i zgodnie stawić czoło dowolnemu kryzysowi i że będzie honorować artykuł piąty, głoszący, że atak na dowolne państwo członkowskie jest równocześnie atakiem na cały Sojusz. A to właśnie było od zawsze najważniejszym spoiwem NATO.

Główny doradca prezydenta do spraw wojskowych, szef rosyjskiego Sztabu Generalnego, zapewnił go dodatkowo, że NATO nie ma dość sprzętu, ludzi ani działających struktur, które mogłyby skutecznie przeciwstawić się rozbudowywanej nieustannie armii rosyjskiej. Amerykanie rozwiązali dwie stacjonujące niegdyś w Niemczech dywizje pancerne, a resztę swoich europejskich sił zredukowali do ledwie garstki żołnierzy. Musieliby się bardzo postarać, żeby zdążyć z przysłaniem na Stary Kontynent sił wystarczających do odparcia potencjalnego ataku Rosji na tereny NATO.

Zaznaczył też, że chociaż Amerykanie mają w Europie Wschodniej i państwach bałtyckich sporo czołgów i innego, całkiem sprawnego sprzętu, w żaden sposób nie zdołają wyszkolić załóg i obsługi na tyle szybko, żeby zapobiec zajęciu przez Rosję Litwy, Łotwy i Estonii. Desant na Rygę da się przeprowadzić z udziałem samolotów startujących z lotniska wojskowego w Pskowie, znajdującego się ledwie pięćdziesiąt minut lotu od stolicy Łotwy. Opanują miasto, zanim jeszcze Amerykanie zdołają się ruszyć ze swojej bazy w Fort Hood w Teksasie. A gdy je opanują, to gra dobiegnie końca, ponieważ czym innym jest bronić jakiegoś terenu, a czym innym próbować go odebrać. Zwłaszcza jeśli wcześniej trzeba pokonać ponad 5 tysięcy mil.

Co więcej, w odróżnieniu od NATO, które wciąż używa czołgów, śmigłowców bojowych i baterii artyleryjskich głównie z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, wojsko rosyjskie otrzymało już naprawdę nowoczesny sprzęt, jak na przykład nowy czołg T-14 Armata, po raz pierwszy zaprezentowany na placu Czerwonym podczas defilady w maju 2015 roku.

Poza tym szef sztabu zapewnił prezydenta, że siły zbrojne będą miały za zadanie przede wszystkim zastraszyć obrońców. Równie ważne będzie to, co zastosowano z powodzeniem trzy lata temu na Krymie, czyli rozbicie integralności państwa od środka. Oczywiście będzie to akcja podjęta skrycie, poniżej progu reakcji NATO, i zgodna z najlepszymi tradycjami rosyjskiej taktyki wykorzystania „piątej kolumny”.

Pomimo ostrzeżeń płynących od coraz bardziej zaniepokojonych państw bałtyckich NATO nie przyjęło do wiadomości, że owa akcja już się zaczęła, i to na terenie państw

członkowskich, które są najbardziej oczywistymi celami takich działań. Niemniej dla większości amerykańskich i europejskich polityków były to tylko średnio dokuczliwe incydenty gdzieś na pograniczu Europy. Zdarzenia, które rzadko trafiały do serwisów informacyjnych. O wiele bardziej zajmowało polityków dogadzanie wyborcom i utrzymywanie się u władzy.

Gospodarz Kremla i jego doradcy pilnie śledzili reakcje świadczące o postępującym schorowaniu Zachodu. Sytuacja dojrzała to tego, żeby zadbać o rosyjską ludność w byłych republikach Związku Radzieckiego i umożliwić jej powrót pod sztandar Matki Rosji.

1. „Wioski potiomkinowskie” zostały wymyślone przez księcia Grigorija Potiomkina, męża stanu i faworyta Katarzyny Wielkiej, który nakazał budowę nad brzegami Dniepru szeregu fałszywych wsi, żeby zasugerować carycy wizytującej w 1787 roku odebrany Turkom osmańskim Krym, że region jest gęsto zamieszkany i rozkwita. [\[wróć\]](#)



**CZĘŚĆ PIERWSZA  
DZIEŃ ZAPŁATY**

Wtorek 9 maja 2017 roku, godzina 17.30

Charków, Ukraina

Po mrokach i mrozach ukraińskiej zimy wiosna zawsze napawała mieszkańców Charkowa optymizmem. Tego popołudnia, dokładnie w Dzień Zwycięstwa, było podobnie. Ciepłe promienie słońca podkreślały biel ścian monasteru Opieki Matki Bożej i odbijały się refleksami od jego złotych kopuł. W parku Gorkiego grupa studentów z różnych uczelni miasta grała w piłkę nożną, inni wylegiwali się na trawie, rozmawiając o czym wola i ochota. Gdzie indziej całe rodziny zbierały się przy rozstawionych specjalnie na tę okazję grillach.

W całym mieście bary i kawiarnie pełne były ludzi korzystających z weekendu i dobrej pogody. Wydawało się, że minęło już sporo czasu od zawieszenia broni, które położyło w 2015 roku kres walkom. Wtedy to prowincje Doniecka i Ługańska stały się de facto rosyjskimi protektoratami, przez swoich „wyzwolicieli” nazywanymi Noworosją. I tylko czasem dochodziło jeszcze do wymiany ognia przez dawną linię frontu, obsadzoną z jednej strony przez regularną armię ukraińską, z drugiej przez prorosyjskich separatystów.

Samotny mężczyzna wędrował wśród rozbawionych ludzi, uważnie lustrując wszystkich, których mijał. Wyglądał całkiem zwyczajnie, średniego wzrostu, w wieku trzydziestu kilku lat. Miał krótko przycięte ciemne włosy, zapinaną na zamek błyskawiczny wełnianą kurtkę ze świeżo wypraną białą koszulką pod spodem. Poruszał się pewnie, ale niespiesznie, jakby przywykł wykorzystywać na co dzień tylko część swojej siły. Tyle że nie cieszył się słońcem. Anatolij Nikołajewicz Wronski nie lubił dwuznacznych sytuacji, a tego dnia był przekonany, że miła, świąteczna atmosfera nie utrzyma się już długo.

Najpierw jego kontakt w bazie zadzwonił i ostrzegł, że interesująca go grupa wyszła wcześniej, niż oczekiwano. Potem zaś, ledwie przed dziesięcioma minutami, idiota wyznaczony do śledzenia ich zameldował, że złapał gumę na obrzeżach miasta i zgubił cel. Wronski skłonny był przypuszczać, że kierowali się właśnie tutaj, do turystycznej części miasta, i dlatego wędrował przez otoczony ciężkimi postradzieckimi budynkami plac Wolności, metodycznie sprawdzając kolejne kwadraty kawiarnianych stolików. Nie mógł się przy tym spieszyć. Zawsze uczono go, że pośpiech to zły doradca, i to samo powtarzał podwładnym.

Byli. Stolik przy chodniku, jedna kobieta i czterech mężczyzn. W sumie łatwo było ich dostrzec między Ukraińcami. Mieli na sobie dzinsy i koszulki polo, które nie gorzej

niż mundury zdradzały ich przynależność do armii amerykańskiej. No i byli krótko ostrzyżeni, oczywiście wszyscy na ten sam sposób.

Wronski zwinął kroku i przygarbił się lekko, idąc do wolnego stolika obok obserwowanej grupy. Usiadł, pomachał na kelnera, wyciągnął komórkę i przeprowadził kilka rozmów. Chwilę później dołączyły do niego jeszcze dwie osoby: mężczyzna oraz młoda, atrakcyjna kobieta. Uścisnęli sobie ręce, po czym pocałował dziewczynę w oba policzki. Gdy usiedli, zaraz zamówili kawę. Wyglądali teraz jak zwykli młodzi Ukraińcy z prosperującej firmy, którzy relaksowali się w dniu święta. Chwilę później pogрузyli się w rozmowie na temat rywalizacji Dynama Kijów i Metalista Charków o wygranie ligi. No i czekali.

Właściwa chwila nadeszła, gdy siedzący obok Amerykanie wyciągnęli mapę turystyczną i rozejrzeli się wkoło, żeby się zorientować w terenie.

– Wychodzi na to, że jesteśmy na placu Wolności – powiedział jeden z nich z wyraźnym teksaskim akcentem.

Wronski zaraz wykorzystał okazję.

– Dokąd chcecie iść? – spytał po angielsku z amerykańskim akcentem.

Zaskoczeni Amerykanie obrócili głowy w jego kierunku.

– Świetnie mówisz po naszymu – odezwał się jeden z nich. – Byłeś kiedyś w Stanach?

– Jasne – odparł z uśmiechem Wronski. – Przez kilka lat studiowałem na Uniwersytecie Teksasu w San Antonio.

– Nie mów... Jestem właśnie stamtąd! – wykrzyknął radośnie Amerykanin.

– Serio? I w River Walk ciągle dają tak samo dobre piwo?

– Jasne. Najlepsze!

– Musimy to uczcić. Nie postawię ci alamo, ale nasze piwa też są dobre. Piłeś kiedyś białe? Idealne na taki słoneczny dzień.

– No... pewnie nie zaszkodzi – powiedział z wahaniem Amerykanin. – Tak w ogóle to nazywam się Scott Trapnell.

– Anatolij Nikołajewicz Wronski – przedstawił się. – Uczę angielskiego na uniwerku w Charkowie. A wy co tu robicie?

– Miło cię poznać, Anatolij – odparł przyjazny Amerykanin. – Służymy w wojsku amerykańskim. Pierwszy batalion piętnastego pułku artylerii polowej. Szkolimy waszą armię w użyciu stacji radiolokacyjnych AN/TPQ-36, podarowanych przez nasz rząd. To mobilny system pozwalający wykryć z wyprzedzeniem ostrzał artyleryjski i ogień rakietowy. Ja jestem starszym sierżantem sztabowym, a to moja drużyna.

– Co ty powiesz, Scott. Niezwykła sprawa. Jesteśmy wam sporo za to winni. Bez was mielibyśmy już tutaj... – Wronski nie dokończył, ale wszyscy wiedzieli, że to właśnie obecność amerykańskich doradców powstrzymała Rosjan przed wkroczeniem do prozachodnio nastawionej części Ukrainy.

– Gdzie stacjonujecie? – spytał Wronski, odpracowawszy część patriotyczną.

– Od kilku miesięcy w Czuhujiwie, na wschód od Charkowa. Mamy tam bazę szkoleniową. A dzisiaj przyjechaliśmy do miasta, żeby trochę się rozerwać.

– Zasłużyliście – stwierdził Wronski. – Życie w takiej bazie musi być strasznie nudne.

– Sam wiesz, jak to bywa – odparł Trapnell, nie chcąc skarżyć się przed miejscowym, ale Wronski miał rację. We własnym gronie wciąż narzekali na warunki bytowe i liczyli dni do powrotu do Stanów.

– Wiem. Byłem w wojsku i znam te zawilgocone sowieckie koszary.

W tej chwili kelner przyniósł piwo i Wronski ze swoim towarzystwem przesiadł się do stolika Amerykanów. Zaraz też została złamana zasada numer jeden, zakazująca żołnierzom USA picia alkoholu podczas służby oraz na obcym terytorium, i goście zza oceanu po raz pierwszy od miesiąca poczuli się wreszcie swobodniej. Zaczęli zachowywać się jak zwykli turyści raczący się egzotycznym dla nich piwem, śmieiej zerkając na przechodzące obok długonogie i jasnowłose ukraińskie dziewczyny.

Nie trwało długo, a zebrało się wkoło więcej osób, z których każda gotowa była stawiać Amerykanom piwo. Oczywiście dziękowali im przy tym za obecność na ukraińskiej ziemi i ćwiczili przy okazji swój angielski.

Wronski przestawił swoje krzesło i usiadł między Trapnellem a jedyną kobietą w grupie Amerykanów.

– Jestem Anatolij – powiedział do niej. – Dziękuję za to, co dla nas robicie.

– Miło mi. Jestem Laura Blair. Ale mów mi Laura – odparła z typową dla amerykańskich dziewcząt otwartością. – Chyba nie mieliście tu łatwo przez tę wojnę i wszystko.

– Nie mylisz się – stwierdził Wronski. – Każda wojna jest straszna, ale wojna domowa to coś jeszcze gorszego. Brat występuje przeciwko bratu, ojcowie przeciwko synom.

– A Rosjanie?

– No, są w to zamieszani, ale trudno, żeby było inaczej – odpowiedział Wronski. – Ukraina i Rosja są nierozdzielne. Jak zrosnięte od urodzenia bliźniaki. To tragedia, że upadek Związku Radzieckiego wzniósł między nami granicę.

– Ale Rosjanie najechali wasz kraj – nie ustępowała Blair. – Naruszyli zawieszenie broni, zabijali waszych żołnierzy.

– To byli poborowi, których posłano do walki wbrew ich woli – powiedział Wronski. – Taka to napaść. Kreml mówi oczywiście, że to byli ochotnicy, ale ja nie wierzę w taką propagandę. Tak naprawdę na wojnie wszyscy tracą, wszyscy są ofiarami. Nie ma zwycięzców. Wojna każdemu może zrujnować życie, zwłaszcza niewinnym. A najbardziej cierpią zawsze kobiety i dzieci. Ale dość o tym, za piękny dzień dzisiaj. Skąd jesteś, Lauro?



Dziewczyna spojrzała na słońce, potem rozejrzała się z uśmiechem.

– Z Amherst w Massachusetts – odparła. – A ty?

Wronski zignorował pytanie.

– Amherst? Miasto Emily Dickinson?

– Dokładnie. Jestem pełna podziwu, że ją kojarzysz. Mój ojciec był wykładowcą w Akademii Amherst, do której uczęszczała kiedyś Dickinson. Pewnie słyszałeś o niej przez to, że wykładasz angielski?

– Jasne – odparł z przejęciem Wronski. – To jedna z moich ulubionych poetek. Przez te studia w Stanach pokochałem amerykańską literaturę, a Emily Dickinson w szczególności. Jej wiersze pomagały mi przetrwać mroczny czas wojny.

Pochylił się do ucha dziewczyny i wyszeptał:

*Nadzieja jest tym upierzonym*

*Stworzeniem na gałązce*

*Duszy – co śpiewa melodie*

*Bez słów i nie milnące*<sup>1</sup>

Blair przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, w jej oczach pojawiły się łzy. Przypomniała sobie nagle, jak daleko od domu się znalazła, a poza tym nikt nigdy nie rozmawiał z nią tak jak Wronski. Uśmiechnęła się i przymknęła oczy, żeby nie okazać młodemu Ukraińcowi, jak bardzo poruszyły ją te słowa.

Wronski wykorzystał chwilę, żeby zerknąć na prawo. Anna Brezniewa, atrakcyjna dziewczyna z jego grupy, przykuła już uwagę drugiego młodego Amerykanina, sierżanta Jima Rooneya.

– Studiuję angielski na uniwersytecie – mówiła. – Mam koleżanki, które chętnie poznają twoich przyjaciół. – Położyła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła lekko. – Nie wiem, czy ja umiem to wyrazić, Jim... Ale poprawisz mnie, gdy mówię źle?

Rooney uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się ten pomysł. A ty mówisz całkiem dobrze... Wronski wiedział już, że to była właściwa chwila.

– Słuchajcie – powiedział głośno i uśmiechnął się do wszystkich. – Mamy tyle powodów, żeby się wam odwdzięczyć, może więc pójdziemy razem na obiad? Mój kuzyn ma restaurację niedaleko stąd. Zadba o rodzinę. To nie jest lokal dla turystów, przychodzą tam tylko miejscowi. Nie możecie wyjechać z Charkowa, nie spróbowałeś naszej kuchni. Jedliście już gołąbki? Nigdzie nie znajdziecie lepszych.

Młodszy Amerykanin spojrzeli na Trapnella, czekając na jego decyzję. Zawahał się. To była kusząca propozycja, ale i tak miał wątpliwości.

– I oczywiście będziecie naszymi honorowymi gośćmi – dodał Wronski. – Taki prezent od Ukrainy.

Trapnell zerknął na swoich podwładnych, którzy wyraźnie byli bardzo chętni. Żołnierze rzadko są gotowi odmówić dobrego i darmowego poczęstunku.

– Dlaczego nie? – odparł w końcu. – Nie możemy jednak zostać długo.

– Spokojnie, to żaden problem. Restauracja jest po wschodniej stronie miasta, będziecie mieli stamtąd nawet bliżej do jednostki. Zjemy, pożartujemy i bez trudu zdążycie wrócić do siebie.

Anna Breźniewa uniosła telefon i Wronski wzruszył ramionami, jakby chodziło o coś oczywistego.

– Anna chce wiedzieć, czy ma zaprosić swoje koleżanki, żeby było nas po równo – wyjaśnił gościom.

Amerykanie pokazali uniesione kciuki, Laura westchnęła tylko pobłaźliwie.

– Zadzwoń – powiedział do Anny, a ta zaraz zaczęła mówić coś do telefonu.

Wronski wezwał kelnera i poprosił o rachunek. Gdy podawał zapłatę w wysokości pięćuset hrywien, nadjechały dwie taksówki, mercedesy.

Breźniewa skoczyła do krawężnika i zamachała na nie. Jeśli nawet Amerykanie zauważyli, że były to jedyne dwie taksówki na całym placu, w żaden sposób ich to chyba nie zaniepokoiło.

Wronski z uśmiechem na twarzy słuchał dyskusji żołnierzy o tym, czy koleżanki Anny mogą w ogóle być piękniejsze od niej. Co ci cudzoziemcy sobie myśleli? Jakby zapomnieli, że kilka osób może ich tutaj zrozumieć. Spojrzał na Laurę, która skrzywiła się, jakby chciała powiedzieć, że przykro jej z powodu kolegów.

Też się uśmiechnął i pokiwał głową. Blair była inteligentną, wrażliwą osobą i w innych okolicznościach, w innym życiu, pewnie by ją polubił.

– Ruszamy? – spytał, wstając z miejsca. Potem pomógł Laurze włożyć kurtkę i wskazał czekające taksówki.

Wcisnęli się do środka. Musieli się oczywiście rozdzielić, przy czym rostry towarzysz Wronskiego zajął miejsce z przodu w drugiej taksówce.

– Spokojnie – oznajmił Wronski. – On zadba o wasze bezpieczeństwo. Są w tym mieście ludzie, na których trzeba uważać.

Oszołomieni trochę wypitym piwem i eksplozją gościnności Rooney i Blair zajęli miejsca z tyłu w pierwszej taksówce. Wronski usiadł obok kierowcy.

Zaraz kazał mu ruszać. Być może zrobił to w zbyt szorstki sposób, bo dojrzał w lusterku, że twarz Laury trochę stężała. Wykładowca uniwersytecki raczej nie powinien tak się zachowywać.

– Jak wspominałem, ta restauracja nie jest nawiedzana przez turystów – wyjaśnił. – Musiałem dwa razy tłumaczyć kierowcy, że naprawdę chcemy tam jechać.

Uspokojeni Amerykanie wdali się w rozmowę, podczas której oglądali okolicę. Taksówki włączyły się w przedwieczorny ruch i pojechały ulicą Iwanowa, a potem skręciły w Puszkina i ruszyły na wschód. Niebawem opuścili centrum, przejechali na

drugą stronę rzeki Charkiw i zagłębili się w mało przyjaźnie wyglądające przedmieścia. Wronski wyczuł rosnące napięcie pasażerów i oznajmił, że zaraz zadzwoni do kuzyna i uprzedzi go, że są już blisko. Dodał, że okolica może nie być najciekawsza, ale jedzenie mają wspaniałe i trudno u nich o wolny stolik. Trapnell uśmiechnął się i to załatwiło sprawę. Wronski sięgnął po telefon.

Kwadrans później taksówki zatrzymały się pod blokiem mieszkalnym z wielkiej płyty, których wiele wzniesiono w latach pięćdziesiątych w całym Związku Radzieckim. Chruszczowki zostały zaprojektowane w taki sposób, żeby zmieścić jak najwięcej ludzi na możliwie najmniejszej powierzchni. Wsiadanie do taksówek było najbardziej ryzykownym punktem operacji, bo na placu Wolności wystarczyłoby wydać jeden okrzyk, żeby wkoło pojawiło się zaraz wielu Ukraińców gotowych bezpardonowo bronić gości, ale ta faza również była bardzo niebezpieczna. Wronski nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył to, co miało się zaraz stać. Wprawdzie ulica była pusta, ale zawsze istniało ryzyko, że ktoś będzie akurat gapił się zza firanki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił z uśmiechem i wysiadł z samochodu.

Trapnell spojrział na niego i pokręcił korbką, żeby opuścić szybę.

– Gdzie restauracja? Gdzie nas zaniósł?

Wronski przestał się uśmiechać. Koniec z rolą uprzejmego wykładowcy akademickiego. Teraz już nie mógł się z nimi patyczkować. Musieli zrobić dokładnie to, czego chciał.

– Wysiadać – rzucił lodowatym tonem. – Po cichu. Wszyscy.

Amerykanie musieli chyba pojąć, że coś jest bardzo nie tak, bo zbledli nagle. Wpatrzeni we Wronskiego nie zauważyli nawet czterech ludzi, którzy wyszli z najbliższej klatki.

Wronski skinął na ekipę, a ta zaraz doskoczyła do samochodów. Po chwili Amerykanie zostali wywleczeni ze środka i pociągnięci w kierunku bloku. Parę sekund później mieli ręce skrepowane z tyłu, usta zaklejone taśmą, a głowy otulone kawałkami koca.

Tylko jeden zdołał się wywinąć.

Starszy sierżant sztabowy Scott Trapnell nie był pasjonatem siłowni, bez której większość Amerykanów nie mogła się obejść. Niski, muskularny i na pozór mało groźny, upodobał sobie aikido. Wytrwały trening doprowadził go do zdobycia czarnego pasa. Gdy napastnik zaczął wyciągać go z samochodu, spokojnie mu na to pozwolił, po czym złapał przeciwnika za ramię i klasycznym rzutem cisnął go na jezdnię. Mężczyzna upadł, a jego głowa zetknęła się nawierzchnią z ostrym trzaskiem. I więcej się już nie poruszył.

Kolejny mężczyzna zwrócił się zaraz do Trapnella z uniesionymi rękami, gotowy na odparcie podobnego ataku. Jak można było sądzić po postawie, ćwiczył sztuki walki.

Trapnell jednak nie bawił się tym razem w subtelności i z całej siły kopnął

mężczyznę w krocze. Miał na nogach skórzane kowbojki z ostrym czubkiem, więc cios musiał być chyba bardzo bolesny.

– Pierdol się! – krzyknął Amerykanin, gdy ciężko łapiący powietrze przeciwnik opadł na kolana.

Zaraz potem Trapnell rozejrzał się wkoło i dojrzał towarzyszy wleczonych do wnętrza budynku. On jednak był wolny i nie było przy nim nikogo, kto mógłby go zatrzymać. Rzucił się więc do ucieczki. Nie bał się biegania. Wprawdzie specjalizował się w półmaratonie, ale sprint też wychodził mu nie najgorzej.

– Łapcie go! – krzyknął stojący po drugiej stronie samochodu Wronski.

Tyle że nikt nie mógł wykonać tego polecenia. Co gorsza, w tej dzielnicy nie mieli sojuszników. Jeszcze chwila, a Amerykanin zacznie wołać o pomoc, a wtedy ludzie wyskoczą na ulicę i pomogą raczej jemu. Kto wie, niektórzy z nich mogą nawet okazać się uzbrojeni. Amerykanin ucieknie i cały plan się wyda.

Nie namyślając się dłużej, major Anatolij Nikołajewicz Wronski z 45. gwardyjskiego pułku specnazu sięgnął pod marynarkę i wypraktykowanym ruchem wyciągnął wyposażony w tłumik pistolet PSS. Broń, którą wydawano tylko żołnierzom sił specjalnych oraz funkcjonariuszom KGB, FSB i MWD. Spokojnie wycelował w środek pleców Trapnella i dwa razy pociągnął za spust.

Trafiony z odległości jakichś dwudziestu pięciu metrów Amerykanin zwinął się w biegu niczym porażony śrutem królik i upadł. Drgnął jeszcze kilka razy, nim całkiem znieruchomiał.

Wronski odwrócił się od niego. Jego twarz nie wyrażała w tej chwili absolutnie żadnych emocji. Wiedział, że na poczucie winy będzie mógł sobie pozwolić dopiero po przekroczeniu granicy.

– Wy dwaj, brać ciało. – Wskazał kciukiem za siebie. – I usunąć ślady krwi, jeśli są jakieś. Praporszczyk Wołoczka – odezwał się do kobiety, która wcześniej przedstawiała się jako Anna Breżniewa. – Wynosimy się stąd. Natychmiast sprowadź furgonetki.

1. W przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Środa 10 maja 2017 roku, godzina 8.00

Cotygodniowa narada w sprawach obrony i polityki zagranicznej

Kreml, Moskwa

Fiodor Fiodorowicz Komarow, sekretarz prezydenta i jego stały partner podczas treningów judo, był trochę poniżej średniego wzrostu, mocno zbudowany, z błękitnymi oczami i jasnymi włosami, typowymi dla Rosjanina z północy kraju. Z reguły zachowywał olimpijski spokój, chociaż tego ranka wyglądał na poruszonego. Przeszedł twardą szkołę KGB, więc był systematyczny, zwracał uwagę na szczegóły i nigdy nie przyjmował niczego na wiarę. Kierowała nim jednoznaczna motywacja, co znajdowało odbicie zarówno w jego służbie dla prezydenta, jak i działalności w grupie „siłowników”, pochodzących przede wszystkim z Sankt Petersburga byłych oficerów KGB, którzy skutecznie przejęli władzę w Rosji po reformatorskim okresie rządów Borysa Jelcyna. Ci ludzie bardzo ubolewali nad tym, co stało się z ich krajem, a Komarow uchodził wśród nich za jedną z najważniejszych, kluczowych wręcz postaci.

Znał i poważał tylko jedną formę rządów, opartą na surowej kontroli. Tak jak było w Związku Radzieckim. Wiedział również, jak wysoka bywała cena porażki, i zastanawiał się, jak najlepiej będzie przedstawić prezydentowi sprawę wczorajszego porwania Amerykanów w Charkowie i niespodziewanej śmierci starszego sierżanta sztabowego Trapnella.

Przycisnąwszy przygotowane na spotkanie papiery oraz notebook do piersi, zastukał dwa razy w zdobione złotem podwójne drzwi prezydenckiego gabinetu.

Uchyliły się zaraz bezszelestnie za sprawą dwóch czuwających za nimi żołnierzy w paradnych mundurach gwardii kremlowskiej. Należeli do 154. wydzielonego pułku preobrażeńkiego i byli dobierani pod kątem wzrostu, postawy oraz słowiańskiego wyglądu. Ich zadaniem była ochrona prezydenta.

Komarow wszedł, zatrzymał się na chwilę potrzebną dla skłonienia głowy i zaraz ruszył dalej. Gabinet był spartańsko urządzone i jedynym odstępstwem od minimalizmu były zielone zasłony ze złotymi obszyciami, objęte równie złotymi sznurami. Za fotelem prezydenta znajdowała się tylko jedna ozdoba, złoty dwugłowy orzeł na czerwonym polu, herb Rosji. Na blacie wielkiego biurka leżał tylko jeden dokument, raport w sprawie Charkowa. Ustawiony pod kątem prostym do biurka długi stół konferencyjny ciągnął się w kierunku drzwi.

Prezydent twarz miał bladą, wręcz bezkrwistą, z wysokimi kośćmi policzkowymi

i zimnymi błękitnymi oczami. Była to twarz czujnego lisa, tyle że z krótkimi, jasnymi włosami. Muskularną sylwetkę skrył pod zwykle noszonym ciemnym garniturem z granatowym krawatem i białą koszulą. Kondycję zawdzięczał regularnym ćwiczeniom, salę do judo odwiedzał dwa razy w tygodniu. Jak powiedział kiedyś jego rzecznik prasowy: „Mógłby łamać ludziom ręce przy powitaniu... gdyby tylko chciał”.

I tylko jego głos zaskoczyłby Raskolnikowa. Był zbyt piskliwy i zbyt nosowy jak na samca alfa.

– Dlaczego zabili tego Amerykanina, Fiodorze Fiodorowiczu? – spytał prezydent, zachowując oficjalną formę. – Mieli porwać całą grupę, żebym mógł pokazać w telewizji, jak Amerykanie atakują naszych na terytorium Ukrainy. Torby ze zwłokami nie powiedzą wiele o jankeskim terroryzmie.

– Zgadzam się, Władimirze Władimirowiczu – odparł Komarow, kładąc papiery na blacie przed swoim krzesłem. – To typowe dla tych z sił specjalnych. Takie z nich primadonny, że gotowi są wszystko obiecać, ale gdy już coś spieprzą, to z rozmachem. Rozmawiałem rano z pułkownikiem Denisenką z Dowództwa Operacyjnego Sił Specjalnych i dałem mu do zrozumienia, że nie będziecie zadowoleni.

Prezydent nie odpowiedział, co oznaczało, że nie zdecydował jeszcze, jak zareagować.

– Denisenko powiedział mi, że dowódca grupy nie miał wyboru. Amerykanin mógł uciec.

Prezydent zmarszczył brwi.

– Przede wszystkim nie powinni dawać mu okazji do ucieczki. Kto był za to odpowiedzialny?

Komarow spojrzał na prezydenta. Znali się na tyle długo, że mógł powiedzieć mu znacznie więcej niż komukolwiek innemu, ale nadal musiał uważać.

– Nie docenili tego Amerykanina. Był drobnej budowy, ale walczył jak szatan. Dopiero teraz dotarliśmy do informacji, że był mistrzem aikido.

– Tak, wiem. – Prezydent wskazał na leżący przed nim raport. Komarow wiedział, że jego szef jest skrupulatny. Zapewne przeczytał dokładnie raport przed spotkaniem. –

I wiem też, że jednego z naszych zapewne pozbawił męskości – dodał kpiąco prezydent.

– To akurat możemy obrócić na naszą korzyść, Władimirze Władimirowiczu – odparł Komarow. – Możemy wspomnieć o tym w notatce prasowej i powiedzieć, że nasz człowiek działał w samoobronie.

Prezydent kiwnął głową.

– Kto dowodził zespołem? Raport pomija ten istotny szczegół.

– Jeden z naszych najlepszych, ekscelencjo, major Anatolij Nikołajewicz Wronski z czterdziestego piątego gwardyjskiego pułku specnazu. Dwanaście lat temu dostał tytuł Bohatera Federacji Rosyjskiej za to, czego dokonał w Kaukazie Północnym. Syn

oficera wojsk pancernych, który musiał zostać taksówkarzem, żeby wyżywić rodzinę po upadku Związku Radzieckiego. Po zasadniczej służbie wojskowej trafił w ramach wymiany studenckiej do Stanów Zjednoczonych. Gdy wrócił, został zawodowym oficerem i krótko potem przeszedł pozytywnie selekcję do sił specjalnych.

Prezydent zamilkł na chwilę. Złość wyraźnie już mu przeszła.

– Przyznaję, że to była sprawna operacja i major Wronski zdołał we wzorowy sposób wybrnąć z kłopotów. Dobrze sobie poradził. – Spojrzał na Komarowa. – Proszę przekazać pułkownikowi Denisenko, że kolejny taki błąd będzie go kosztował utratę stanowiska. Czy to jasne?

– Całkowicie, ekscelencjo. – Komarow zamierzał oczywiście przekazać ostrzeżenie, ale widział, że w skrytości ducha prezydent ucieszył się z takiego przebiegu zdarzeń. Egzekucja Trapnella powinna być czytelnym sygnałem świadczącym o determinacji Rosjan. – Czy wobec tego możemy rozpocząć spotkanie?

Prezydent kiwnął głową i gwardziści otworzyli drzwi, wpuszczając do gabinetu zastępcę prezydenta, ministra spraw zagranicznych, ministra finansów, ministra spraw wewnętrznych, ministra obrony oraz szefa Sztabu Generalnego.

– Siadajcie – rozkazał prezydent, nie wstając na ich powitanie.

Komarow zajął zwykłe miejsce protokolanta u szczytu stołu, skąd świetnie widział prezydenta. Inni też podeszli do tych samych krzeseł co zazwyczaj.

W napięciu czekali, aż prezydent odezwie się pierwszy, i zastanawiali się, kogo najpierw weźmie na cel. Władimir Władimirowicz stosował zasadę „dziel i rządź” zarówno wobec swoich wrogów, jak i podwładnych.

Nie musieli czekać długo. Prezydent spojrzął stanowczo na ministra obrony, który chociaż był kiedyś tylko pomniejszym funkcjonariuszem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i nigdy nie wachał prochu, pysznił się mundurem generała armii, ze wstążką Bohatera Federacji Rosyjskiej pośród wielu innych baretek.

– Aleksandrze Borysowiczu, przeczytałem dokładnie raport o porwaniu Amerykanów. Nie podoba mi się, że jeden z nich został zabity. Obrócimy to na naszą korzyść, ale takie błędy nie mogą się zdarzać.

Minister obrony poruszył się niespokojnie na krześle.

– Rozumiem, Władimirze Władimirowiczu. To się nie powtórzy.

– Otrzymałem także raport na temat sytuacji we wschodniej Ukrainie i cieszy mnie, że panuje tam względny spokój – dodał prezydent, spoglądając na Komarowa w taki sposób, jakby oczekiwał potwierdzenia.

Komarow skinął głową i prezydent zwrócił przenikliwe spojrzenie na ministra finansów.

– Wy następni.

Komarow dojrzał ze swego miejsca, że na czole ministra finansów pojawiły się krople potu.

– Władimirze Władimirowiczu – zaczął minister. – Z przykrością muszę donieść, że nasza sytuacja ekonomiczna staje się coraz trudniejsza. Sankcje nałożone przez Amerykę i Unię Europejską wywierają negatywny wpływ...

– To stare wymówki, Borysie Michajłowiczu – przerwał mu prezydent. – Sankcje Unii Europejskiej nic nie znaczą, od kiedy Włosi, Grecy, Węgrzy i Cypryjczycy zagłosowali przeciwko nim podczas szczytu Unii w czerwcu zeszłego roku – powiedział z uśmiechem na twarzy. – Moja strategia atakowania cywilnych celów w Syrii dla nasilenia strumienia uchodźców napływających do Turcji zadziałała lepiej, niż się spodziewałem.

– Oczywiście, Władimirze Władimirowiczu – powiedział minister finansów. – Niemniej nadal mamy problem z cenami ropy. Wszyscy pamiętamy, że mój budżet został przygotowany przy założeniu, że baryłka będzie kosztować sto dolarów. Tymczasem cena wciąż jest o wiele niższa, a na dodatek od czasu rozluźnienia sankcji wobec Iranu po negocjacjach nuklearnych w Lozannie dwa lata temu rynek cierpi na nadpodaż ropy. To także wpływa na zniżkę cen. Rocznie tracimy około czterdziestu miliardów dolarów z powodu sankcji oraz dziewięćdziesiąt do stu miliardów z powodu niskich cen ropy. A do tego dochodzi jeszcze zwiększanie nakładów na obronę, które dodatkowo obciąża nasz budżet.

Minister zdjął okulary, przetarł je białą chustką i zebrał się na odwagę.

– Władimirze Władimirowiczu, naszą sytuację ekonomiczną musimy uznać za bardzo trudną.

– Jakie mamy zatem możliwości? – spytał prezydent.

– Od strony ekonomicznej sprawa jest prosta. O ile ceny ropy ponownie nie wzrosną, a żaden ekonomista nie sądzi, żeby doszło do tego w bliskiej przyszłości, będziemy musieli albo obciąć wydatki, albo podnieść podatki, żeby utrzymać deficyt budżetowy na planowanym poziomie 0,6 procent produktu krajowego brutto. Jeśli zaś tego nie zrobimy, pozostanie nam tylko pożyczyć brakujące pieniądze przy rosnącym oprocentowaniu kredytu, co ostatecznie tylko pogorszy sytuację. Rubel traci na wartości, a nasz Centralny Bank prognozuje zerowy wzrost gospodarczy, więc produkt krajowy w najlepszym razie utrzyma się na stałym poziomie.

Prezydent uniósł brwi i spojrzał na Komarowa. Była to sytuacja, którą wcześniej poniekąd już przećwiczyli.

– Proponuję wypytać ministra spraw wewnętrznych, Władimirze Władimirowiczu – odezwał się Komarow. – Sytuacja ekonomiczna jest bardzo ważna, ale przede wszystkim liczy się to, jak jej obraz wpłynie na waszą popularność.

Prezydent zwrócił się w stronę ministra spraw wewnętrznych, człowieka urodzonego w zapadłej wiosce nad Wołgą, który mimo prowincjonalnego pochodzenia zrobił karierę jako milicjant. Przez lata awansował regularnie w wydziale kryminalnym, aż dzięki ambicji i chłopskiemu sprytowi został szefem moskiewskiej



milicji, od 2011 roku przemianowanej na policję. Stamtąd został wyniesiony na stanowisko ministra spraw wewnętrznych. W trakcie pełnienia obowiązków trafił na wiele mrocznych sekretów różnych wysoko postawionych osób, łącznie z samym prezydentem. Tulił je ciągle troskliwie do piersi, bo mimo szerokiej twarzy wieśniaka i niewymyślnie przyciętych na krótko siwych włosów lubił wywierać wpływ na ludzi trzymających władzę.

– Borysie Wadimowiczu, jak zareaguje opinia publiczna?

– Władimirze Władimirowiczu, sami najlepiej wiecie, jak twarde są Rosjanie. Jesteśmy oswojeni z cierpieniem i potrafimy znosić z dumą najgorsze nawet czasy. Niemniej rosnące ceny, braki zaopatrzenia i...

– Proszę mi tego oszczędzić! – przerwał mu z sarkazmem prezydent. – Przejściowe braki zaopatrzenia to żadne „ciężkie czasy”! To, o czym mówicie, może zrobić wrażenie na moskwiczanych z tak zwanej klasy średniej, ale dla ludzi z serca Rosji nie będzie się liczyć. A to oni nas wspierają.

– Władimirze Władimirowiczu, oczywiście macie rację – odparł minister spraw wewnętrznych. – Ale ludzie nie są już tak twardzi jak w czasach Związku Radzieckiego. Dobrobyt ich zepsuł. Ta klasa średnia jeździ za granicę i widzi na wakacjach to wszystko, czego u nas nie ma. Ale do diabła z nimi! Najbardziej mnie martwi rosnące bezrobocie i nasilające się ubóstwo.

Prezydent machnął lekceważąco ręką.

– Takie są realia życia w Rosji. To właśnie różni nas od Zachodu i nie pozwala skapcanieć. A co z tak zwaną opozycją? Chyba nie są zbyt zorganizowani, skoro przez dwa lata, które minęły od śmierci Borysa Niemcowa, nie zdołali wyłonić nowego lidera.

Komarow dostrzegł, że minister skrzywił się lekko, i uznał, że pora udzielić mu wsparcia.

– Bardzo żałuję, Władimirze Władimirowiczu, że doszło do tego zabójstwa. Wykreowało męczennika i skupiło uwagę na tych, którzy ośmielają się wam sprzeciwić.

– Było konieczne – odparł krótko prezydent. – Niemcow stał się zbyt niebezpieczny. Był czynnikiem destabilizującym.

– Oczywiście – przytaknął Komarow. – Niemniej minister ma rację, to stworzyło nowe zagrożenie. Policja codziennie usuwa kwiaty z miejsca, gdzie zginął, i ciągle pojawiają się nowe.

– Zatem dość tego! – rzucił z irytacją prezydent. – Dojście do mostu ma być pod stałym nadzorem. Każdy, kto będzie próbował czcić pamięć Niemcowa, ma zostać aresztowany!

– Tak będzie, Władimirze Władimirowiczu – odparł minister spraw wewnętrznych i spojrział z ukosa na zastępcę prezydenta. – Byłem przeciwko jego likwidacji, chociaż

wielu miało odmienne zdanie. Gdybyśmy zostawili go w spokoju, sam by się wypalił. Alkohol, kobiety...

– Dość! – rozkazał prezydent. – Ludzie chcą być dumni z potęgi Rosji i musimy im w tym pomóc. Tak jak wtedy, gdy trzy lata temu wzięliśmy Krym. To odbuduje morale i uciszy opozycję.

– Dokładnie, Władimirze Władimirowiczu! – wykrzyknął zastępca prezydenta.

– Dziękuję, Wiktorze Anatoljewiczu. Uznam to za głos wsparcia – rzucił oschłym tonem prezydent.

Komarow lubił zastępcę prezydenta mniej więcej tak samo jak wszystkich obecnych przy tym stole. Wcześniej był ambasadorem Rosji przy NATO i dobrze znał Zachód. Na pozór czarujący i otwarty na inne kultury, płynnie mówił po angielsku i miał piękną żonę, była gwiazdą popu. W Brukseli uchodzili za dusze towarzystwa, zdolne rozruszać nawet najbardziej drętwe przyjęcie dyplomatyczne swoim tańcem. W rzeczywistości zastępca prezydenta był twardogłowym nacjonalistą, oddanym sprawie „siłowników” i szczerze żałującym upadku Związku Radzieckiego. Wstąpienie państw bałtyckich do NATO uznał za osobistą wręcz zniewagę i gotów był zrobić wszystko, żeby odtworzyć potęgę i wpływy Rosji w tak zwanej „bliskiej zagranicy”.

– Już wy sami, Władimirze Władimirowiczu, dajecie Rosjanom dość powodów do dumy po tragicznym upadku Związku Radzieckiego spowodowanym przez Gorbaczowa – powiedział zastępca prezydenta. – Dzięki waszemu przywództwu Rosja znowu stała się potęgą po latach chaosu, wywołanego przez tego zdrajcę. Nasza sytuacja ekonomiczna może być w tej chwili niełatwa, ale oto nadarza się sposobność, żeby to zmienić. Pora okazać śmiałość! – wykrzyknął i uderzył pięścią w blat stołu.

Prezydent dał znak swojemu zastępcy, żeby ten mówił dalej.

– Zachód może dysponować wielkim potencjałem ekonomicznym, ale oni myślą tylko o dostatku. Zapomnieli już, jak to jest stawać w swojej sprawie. Poznałem dobrze NATO, kiedy byłem ambasadorem, i wiem, że oni uwielbiają gadać, ale nijak nie palą się do działania. Niemniej i tak stanowią zagrożenie dla Rosji. Próbuje nas okrążyć, podchodząc z różnych stron pod nasze granice. Łatwo pojąć, że realizują w ten sposób dalekosiężny plan skierowany przeciwko naszej ojczyźnie.

Notując te słowa, Komarow zauważył, że prezydent zacisnął mocniej szczęki i zwarł prawą dłoń w pięść, jakby chciał już teraz zmiażdżyć nią wszystkich wrogów. Z drugiej strony nie próbował szukać poparcia. To byłoby oznaką słabości. Bez słowa skinął głową swojemu zastępcy i spojrzał na ministra spraw zagranicznych.

– Jewgieniju Siergiejewiczu, czy zdołaliśmy poróżnić naszych wrogów za granicą? A jeśli tak, jak możemy wykorzystać te podziały?

Minister spraw zagranicznych był wysokim, siwowłosym mężczyzną o wyglądzie wytrawnego dyplomaty.

– Nie mamy co się obawiać Unii Europejskiej, Władimirze Władimirowiczu. Tak,

ich sankcje są dla nas bolesne, ale oni też za nie płacą. Poza tym trwający wciąż kryzys z imigrantami tylko przyspiesza jej upadek. Tak więc wasze działania, które miały ich osłabić i podzielić, a szczególnie śmiała decyzja o włączeniu się naszego lotnictwa w operacje powietrzne w Syrii, przyniosły dokładnie taki efekt, jaki przewidywaliśmy.

– Jewgienij Siergiejewicz ma rację – odezwał się Komarow. – Grecja, Węgry i Cypr to jedno, ale możemy przyjąć, że i Francja zatańczy, jak jej każemy. Nasze banki od kilku lat udzielają hojnie kredytów partii Marine Le Pen. Teraz albo nas poprą, albo zażądają natychmiastowej spłaty długu.

– Tak, a w Niemczech możemy liczyć na tych naiwnych głupców, którzy naczytali się o Rosji w „Spieglu” – podjął wątek minister spraw zagranicznych. – Cała masa Niemców sympatyzuje z nami, uważając NATO za niebezpiecznego agresora. – Dobrze, zatem wszyscy się zgadzamy, że NATO stanowi realne zagrożenie – powiedział prezydent. – Ale jakie ma obecnie możliwości działania?

– W tym tkwi swoisty paradoks, Władimirze Władimirowiczu. Wprawdzie NATO wyciąga macki na wschód, ale samo przypomina pańską skórkę. W środku jest bardzo miękkie. Godzinami potrafią gadać o wspólnej polityce obronnej, ale podczas gdy my podnosimy nakłady na obronę, oni tylko obiecują, że spróbują je podnieść w ciągu dziesięciu lat. W obecnej chwili nie wierzę, żeby Wielka Brytania, Francja albo Niemcy gotowe były ryzykować życie swoich żołnierzy w obronie wschodnich krajów sojuszu. Elektoraty ich polityków na to nie pozwolą. Tak, NATO jest w niewielkim stopniu obecne w Pribałtyce, ale wyraźnie nie chce narażać nam się na tyle, żeby ustanawiać tam jakiegokolwiek stałe bazy. Niemniej najważniejsze jest to, że chociaż NATO jest słabe, nadal stwarza realne zagrożenie dla Rosji. Co więcej, z czasem Pribałtyka może stać się dla nich dogodnym przyczółkiem do zaatakowania naszego kraju. Tyle że w obecnej chwili nie dysponują wystarczającym potencjałem militarnym, żeby skutecznie się nam przeciwstawić. Niemal tak samo ważny jest fakt, że brak im woli politycznej i moralnej podbudowy, żeby to zrobić. Musimy jednak pamiętać, że to, co jest prawdą dzisiaj, może się zmienić, kiedy dojdą do władzy nowi przywódcy.

Prezydent nie odezwał się od razu. Przez chwilę trwał nieruchomo, ze spojrzeniem wbitym w przeciwległą ścianę.

– Zgadzam się. Wielka Brytania, Francja i Niemcy nic nie zrobią. Wielka Brytania w ogóle przestaje się liczyć w świecie. Więc wiemy, kto pozostanie bierny. A co z Ameryką?

– To ciągle największa potęga militarna na świecie. Niemniej od czasu prezydentury Obamy stracili ochotę do angażowania się w sprawy Europy. Trzymają trochę czołgów rozrzuconych po Europie Wschodniej, od Estonii po Bułgarię, ale nie mamy się co ich obawiać. To jest tylko na pokaz. Bez załóg, amunicji, części zamiennych i obsługi technicznej to tylko kosztowny złom...

Prezydent uniósł dłoń. Od razu zapadła cisza.

– Na pewno nie popełniamy błędu, oceniając ich tak nisko? Ostatecznie przeprowadzili w zeszłym roku, tuż przed szczytem w Polsce, całkiem pokaźne ćwiczenia. Jak lepiej okazać agresywne zamiary, niż przerzucając dwadzieścia tysięcy żołnierzy tuż pod naszą granicę? – Przesunął się z irytacją w fotelu. – Możecie mieć rację co do słabości NATO, ale niewykluczone, że Ameryka pewnego dnia stanie się śmiertelnym zagrożeniem dla Rosji. Czyli również dla nas wszystkich. – Spojrzał wymownie na zgromadzonych. – Moim podstawowym obowiązkiem jest obrona Rosji przed okrażeniem przez NATO. Żeby to osiągnąć, musimy przejąć wschodnią Ukrainę i Pribałtykę.

Minister spraw zagranicznych zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Zgadzam się, że te manewry były pokazem siły i agresywnych zamiarów wobec Rosji. Ale mamy dopiero początek kadencji nowego prezydenta. Sądzę, że obecnie nie mają ani ochoty ani mandatu społecznego, żeby działać za oceanem.

Komarow spojrzał na prezydenta.

– Ostatni raport FSB też wyraża tę opinię.

– Widziałem go... ale powtarzam, strzeżmy się przed niedocenieniem Amerykanów.

Prezydent odwrócił się do szefa Sztabu Generalnego, swojego najważniejszego doradcy wojskowego. O wiele ważniejszego niż siedzący obok i obsypany medalami minister obrony.

– Czy siły zbrojne Rosji są gotowe, Michaile Nikołajewiczu?

– Niewątpliwie, Władimirze Władimirowiczu – odparł oficer.

Komarow zawsze odnosił wrażenie, że szef Sztabu Generalnego nie pasuje do tego grona. Pochodził z Kazania i był Tatarem, co widać było po jego oczach i wysokich kościach policzkowych. Mało jego rodaków dochodziło do wysokich stanowisk w armii, a co dopiero do dowództwa Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Co więcej, wahał proch w Czeczenii, otrzymał Order „Za Zasługi dla Ojczyzny” I klasy. Wcale nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Nasze siły są gotowe załatwić sprawę z Ukrainą. Jeśli otrzymamy od was taki rozkaz, wkroczymy do Pribałtyki. Ostatnie ćwiczenia potwierdziły, że Flota Bałtycka i Flota Północna są gotowe do wojny, podobnie jak siły lotnicze i lądowe. Nasze wojska atomowe pozostają w stanie podwyższonego pogotowia, a wszystkie pięć strategicznych okrętów podwodnych Floty Północnej ma pełen stan rakiet na pokładzie. Wzmacniamy jeszcze Kaliningrad, przerzucając tam pociski Iskander z głowicami atomowymi. Gdy tylko skończymy tę operację i dogramy logistykę, będziemy całkiem gotowi do wojny.

Prezydent pokiwał głową i zastanowił się jeszcze chwilę, po czym zwrócił się do wszystkich zebranych.

– Rozumiem, że niepokoją was nasze pogłębiające się trudności ekonomiczne, ale mamy w tej chwili okazję przejąć inicjatywę, w pełni opanować wschodnią część

Ukrainy i włączyć ostatecznie Noworosję do Federacji Rosyjskiej. Myślę, że obecność brytyjskich i amerykańskich doradców na Ukrainie w pełni uzasadnia taki krok, który ma na celu zapobieżenie agresywnym zamiarom NATO wobec Rosji.

Minister finansów uniósł dłoń.

– Jeśli można, Władimirze Władimirowiczu... – Zawahał się.

Prezydent nie lubił, gdy mu przerywano.

– O co chodzi? – spytał z lekką irytacją.

– Proszę o wybaczenie, ale muszę dla porządku wyrazić moje zaniepokojenie takim rozwojem wydarzeń. Konflikt z NATO pogrzyży rubla i nasza sytuacja ekonomiczna stanie się jeszcze trudniejsza niż teraz...

– Starczy, Borysie Michaiłowiczu – uciął prezydent. – Wyraziliście już swoje zdanie. Podjąłem decyzję. Uderzymy teraz, póki jest sposobność. Gdy opanujemy Donbas, zyskamy obszar przemysłowy o dużym znaczeniu gospodarczym. Państwa NATO nie zdołają się dogadać, co właściwie należałoby zrobić, zwłaszcza jeśli wzmożemy dodatkowo presję i wywołamy dalsze niesnaski między nimi. Gdy pojmiemy kolejnych doradców wojskowych Wielkiej Brytanii i USA i przetrzymamy ich w roli zakładników, te podziały jeszcze się nasilą. Z Ukrainy zostanie kikut państwa, całkowicie pod naszą kontrolą. A poza tym... – Prezydent spojrzął wymownie na ministra finansów. – Gdy zaczniesz się zawierucha, złoto poszybuję w górę, a ceny ropy powinny przebić sufit. A to chyba posłuży naszej gospodarce, prawda?

Minister finansów przytaknął w milczeniu.

Prezydent zwrócił się z kolei do ministra obrony.

– Aleksandrze Borysowiczu, jutro rano chcę zostać wprowadzony w plan przerwania rozejmu.

– Na rozkaz, Władimirze Władimirowiczu – odparł minister, skłaniając lekko głowę.

Komarow zebrał papiery.

– Wprowadzę to spotkanie do jutrzejszego grafiku – powiedział. – Sugeruję też, żeby wszyscy byli przygotowani na kolejną naradę, gdy zaczniemy wprowadzać plan w życie. O jej terminie poinformuję telefonicznie.

– Zgoda – odparł prezydent. – Wieczorem spotkamy się w sali treningowej. A teraz uprzedźcie obsługę mojego śmigłowca, że zaraz będę na lądowisku.

Środa 10 maja 2017 roku, godzina 11.00

Centrum Kompleksowego Zarządzania Kryzysami i Operacjami (CCOMC),  
Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Zbrojnych w Europie (SHAPE), Belgia

– Siadajcie, proszę – powiedział generał sir David McKinlay, wchodząc wyraźnie nierównym krokiem do sali konferencyjnej, w której trwała już odprawa.

Zastępca naczelnego dowódcy Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO w Europie był siwym Szkotem, który z dumą nosił szarozielone spodnie, w typowym dla Royal Marines odcieniu, do koszuli z krótkim rękawem. Mógł być czterogwiazdkowym generałem, ale pełne trudnych do ogarnięcia niuansów reguły brytyjskich sił zbrojnych pozwalały mu nosić mundur Królewskiej Piechoty Morskiej, czym nierzadko zbijał z tropu sojuszników. Najbardziej rozbawił go pewien portugalski generał, który ujrzawszy go w dniu objęcia stanowiska po odzianym w karmazyny kawalerzyście, spytał wprost, czy w Anglii wolno generałom wymyślać sobie własne mundury.

Przeszedł długą drogę w strukturach armii, awansowawszy ze stopnia podoficerskiego. Jako dawny prawy filar młyna w drużynie rugby Royal Navy był nadal masywny. Pewnie miał lekką nadwagę, ale ogólnie trzymał formę, jak na byłego komandosa przystało. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat niezmiennie nosił wąsy i wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. Nadal mówił też z akcentem typowym dla rodzinnego Falkirk. Zwykł postrzegać rzeczy takimi, jakie były naprawdę, i uważał, że wyjąwszy niezmiennie rzadkie okoliczności nadzwyczajne, na dłuższą metę tak właśnie należy podchodzić do życia.

Po dwóch latach spędzonych w Naczelnym Dowództwie Sojuszniczych Sił Zbrojnych w Europie dobrze wyczuwał specyfikę tego miejsca oraz polityczne i dyplomatyczne zawłości związane z pełnieniem tak wysokiego stanowiska dowódczego. Poza tym podobnie jak większość starszych oficerów Royal Marines miał bogate doświadczenie jako dowódca liniowy, aż do brygady włącznie. Dwie baretki DSO świadczyły dobitnie o tym doświadczeniu. Jeden Distinguished Service Order otrzymał za Afganistan, drugi za Irak. Jeszcze wymowniejsza była proteza, którą miał zamiast lewej nogi. Dziesięć lat temu nadepnął w prowincji Helmand na amatorską bombę i skończyło się na amputacji nogi tuż nad kolanem.

Tego ranka występował w roli szefa, ponieważ admirał Max Howard z US Navy, stanowczy i obyty politycznie naczelny dowódca sił NATO w Europie, znajdował się właśnie w służbowym samolocie daleko nad Atlantykiem, w drodze na przesłuchanie przed komisją Kongresu. Inny czterogwiazdkowy generał SHAPE, Kurt Wittman, szef

sztabu generała i dobrze ustosunkowany, choć niemający doświadczenia bojowego logistyk z Luftwaffe, został akurat wezwany do Berlina. W ten sposób McKinlay został najstarszym generałem na pokładzie i przyszło mu pełnić honory domu.

– Panie i panowie, proszę kontynuować – powiedział, zajmując miejsce u szczytu stołu.

Ale chwilowo miało wyjść inaczej.

– Przepraszam, sir – powiedział pułkownik lotnictwa Jamie Swinton, szef sztabu zespołu, pojawiając się tuż obok. – Mamy połączenie z samolotem naczelnego dowódcy. Wciąż jest w powietrzu, ale chce zaraz z panem rozmawiać. Daliśmy już połączenie na tandberga w pańskim gabinecie. Za pięć minut.

– Dziękuję, Jamie, już idę. Panie i panowie, przepraszam. Wiem, ile wysiłku włożyliście w przygotowanie tego spotkania. Skip, kontynuuj beze mnie, później wprowadzisz mnie w całość – zwrócił się do generała majora Skipa Williamsa, operacyjnego zastępcy szefa sztabu. Był to obcięty na jeża, wysportowany Amerykanin z sokolim obliczem i orlą plakietką 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Niezależnie od niej nosił też na rękawie plakietkę świadczącą o udziale w boju.

– Oczywiście, sir – odpowiedział Williams.

McKinlay wstał i wyszedł wraz z pułkownikiem.

Pięć minut później był już w swoim gabinecie i siedział za biurkiem zamówionym przez pierwszego oficera na tym stanowisku, marszałka polnego Bernarda Montgomery'ego. Jego służąca w RAF-ie asystentka, sierżant Lorna Bevan, najpierw przyniosła mu kubek herbaty, jego ulubionej Scottish breakfast, a potem upewniła się, że dostarczony przez Amerykanów zestaw produkcji Tandberga do bezpiecznych wideokonferencji jest włączony i że SACEUR już czeka.

– Słyszysz mnie, Dave? – Admirał Max Howard przypominał z twarzy raczej wykładowcę historii, i to takiego z kręgów Ivy League, niż zawodowego wojskowego. – Sprawy na Ukrainie nabrały tempa, a że możemy w każdej chwili stracić połączenie, będę się streszczał.

– Słucham – rzucił McKinlay.

– Właśnie otrzymałem z europejskiego dowództwa informację, że w Charkowie zaginęła grupa Amerykanów. Chodzi o naszych ludzi wysłanych dla szkolenia miejscowych. Wszystko wskazuje na to, że zostali porwani przez rosyjskie siły specjalne. Oczekujemy, że Rosjanie lada chwila pokażą ich w telewizji i powiedzą, że to członkowie naszych sił specjalnych, pochyceni po przekradnięciu się na teren Rosji. Co gorsza, jeden z nich chyba próbował uciekać i został zabity.

– Cholernie złe wiadomości – mruknął McKinlay.

– Dokładnie. Próbowałem złapać sekretarza generalnego <sup>1</sup>, ale nie mogę się do niego dobić. Przewodniczący Komitetu Wojskowego <sup>2</sup> też jest akurat poza zasięgiem. Chwilowo to wyłącznie sprawa Stanów Zjednoczonych, ale możemy oczekiwać, że

Rosjanie zrobią z tego dowód agresji NATO na ich kraj.

– Skontaktuję się z przewodniczącym i wprowadzę w sprawę sekretarza generalnego, ale... wolałbym poznać wcześniej oficjalne stanowisko USA.

– Rozmawiałem z Białym Domem – odparł Howard. – Prezydent przychyliła się do mojej rady, żebyśmy nie chowali ogona pod siebie. Podobno Brytyjczycy wspominają o wycofaniu swoich ludzi z Ukrainy, ale Ameryka nie ugnie się przed takimi prowokacjami. Przekonałem prezydent, żeby nie przesadzać z reakcją, ale zapewnimy naszym ludziom obecnym w ukraińskich jednostkach najlepszą możliwą ochronę. Zgodziliśmy się też co do wprowadzenia obronnych zasad użycia siły. Co więcej, Biały Dom poleci swojemu stałemu przedstawicielowi w Radzie Północnoatlantyckiej zadbać o to, żeby wszyscy członkowie Sojuszu okazali solidarność wobec rosyjskiego ataku na amerykańskich żołnierzy. Bądź gotów, żeby wprowadzić ich w plany, które ostatnio omawialiśmy.

– Przyjąłem. Porozmawiam z przewodniczącym Komitetu Wojskowego, a przed spotkaniem Rady skontaktuję się z przedstawicielem USA.

– Dzięki, Dave. Wróć, jak tylko skończą się te moje...

Ekran nagle pociemniał. Połączenie się urwało. Chwilę później do gabinetu wszedł pułkownik Swinton, który monitorował rozmowę na stanowisku kontrolnym.

– Sir, wydaje się, że wiadomość dotarła już do Brukseli. Sekretarz generalny zwołał nadzwyczajne spotkanie Rady dziś o czternastej. Oczekują, że przedstawi pan nowe założenia misji szkoleniowej. Zespół planowania czeka już, żeby wprowadzić pana w szczegóły. Sekretarz generalny i przewodniczący Komitetu Wojskowego będą chcieli jeszcze przed spotkaniem porozmawiać z panem na osobności. Punktualnie o trzynastej trzydzieści. Sierżant Jones będzie gotowy z samochodem i eskortą na dwunastą trzydzieści. Zadbamy, żeby w wozie czekała na pana jakaś przekąska.

– Dzięki, Jamie. Z nowym planem dla grup szkolenia uporamy się raczej szybko, ćwiczyliśmy już taki scenariusz w ramach gier wojennych. Ale uzyskać wspólne stanowisko NATO w tej kwestii? To już będzie trudniejsze.

Półtorej godziny później był już po spotkaniu z planistami i ubrany w galowy mundur z orderami, strój wymagany podczas spotkań Rady, siedział na tylnej kanapie przydzielonego do jego stanowiska bmw 7 F01. Sierżant Taff Jones z Walijskiego Królewskiego Korpusu Logistycznego czujnie zmieniał biegi, żeby nie oddalić się za bardzo od motocyklowej eskorty belgijskiej żandarmerii wojskowej, która syrenami i światłami torowała mu drogę na zatłoczonej brukselskiej obwodnicy.

– Co za jazda – mruknął pod nosem McKinlay, trzymając kurczowo notatki wymykające się mu z rąk przy każdym skręcie ciężko opancerzonego pojazdu.

Gdy podjechał pod główne wejście budynku NATO przy bulwarze Leopolda III w północno-wschodniej części Brukseli, pod dwudziestoma ośmioma flagami krajów członkowskich czekał już na niego jeden z funkcjonariuszy oddelegowanych do



utrzymywania kontaktu ze sztabem głównodowodzącego. Był to nieprawdopodobnie wysoki były zawodowy gracz ligi koszykówki, który po atakach z 11 września zgłosił się do służby wojskowej, żeby lepiej służyć krajowi.

– Witam, sir, jestem Dan Rodowicz. Przeprowadzę pana przez bramki.

Dwie minuty później byli już na pierwszym piętrze budynku, w sali konferencyjnej sekretarza generalnego. W środku czekał generał Knud Vahr, przewodniczący Komitetu Wojskowego, smukły i muskularny Duńczyk ze skrzydełkami wojsk powietrznodesantowych na mundurze. Błękitne oczy zdawały się zdradzać odległe pokrewieństwo z wikingami.

– Witaj, David, dzięki, że zjawiłeś się tak szybko – powiedział.

Nie tracąc czasu, McKinlay przeszedł do rzeczy.

– Jak według ciebie powinniśmy rozegrać to z sekretarzem generalnym i Radą?

– Jak najprościej. Sekretarz otworzy spotkanie i wyrazi współczucie wobec Amerykanów, po czym poprosi mnie o przedstawienie oficjalnego stanowiska najwyższych wojskowych struktur NATO. Gdy tylko powiem najważniejsze, zwrócę się do ciebie, żebyś zaprezentował nasz plan działania. Potem sekretarz poprosi przedstawicieli o ich opinie i komentarze, co najpewniej doprowadzi do dłuższej dyskusji. Jak sam dobrze wiesz, oni uwielbiają brzmienie własnych głosów i wszyscy będą chcieli się wykazać. Pamiętaj tylko, że ty jesteś od spraw wojskowych, na których oni w ogóle się nie znają. Jeśli przeczekasz tę część w milczeniu, to wszystko będzie dobrze. Sekretarz sam sobie z nimi poradzi. Dla niego są jak gabinet rządowy, który trzeba nagiąć do swojej woli.

W tej chwili w sali zjawił się sekretarz generalny Radek Kostilek. Były premier polskiego rządu był siwowłosym mężczyzną z bystrym spojrzeniem, w którym wyczuwało się spore pokłady poczucia humoru i żywą emocjonalność. Bywał przez nią skłonny do nazbyt gwałtownych reakcji, zwłaszcza wtedy, gdy sprawy dotyczyły Rosji.

– Amerykanie wpakowali się tym razem w niezłe bagno – powiedział, gdy tylko usiadł. – Rosjanie zrobią z tego pretekst do nagonki na NATO. W tej sytuacji propozycja USA, żeby stworzyć mieszane zespoły szkoleniowe, już nie wypali. Niemcy zaraz uznają to za reakcję na kryzys z porwaniem i odruchowo będą przeciw. Zawsze mają dużo do powiedzenia w sprawie solidarności członków Sojuszu, ale gdy przychodzi co do czego, wkładają kij w szprychy. No i są jeszcze ci, którzy zwykle wszystko utrudniają...

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie. Bez słowa rozumieli, jakie pokłady frustracji kryły się za tą wypowiedzią.

– A co myślisz SACEUR, generale?

McKinlay streścił mu niedawną rozmowę z głównodowodzącym i przedstawił w skrócie nowe założenia planu szkoleniowego. Ekipa miała stać się wielonarodowa, z bazą w Kijowie i skupieniem się na podnoszeniu kwalifikacji wyższych oficerów

wojsk Ukrainy. Podkreślił, że chodziłoby o doprowadzenie ich do całkiem podstawowych standardów NATO i że wszyscy szefowie obrony zaakceptowali propozycję już rano.

– Rozumiem polityczne obiekcje, ale możemy chyba uspokoić obawy przedstawicieli, podkreślając, że nie chodzi o podniesienie gotowości bojowej Ukrainy – dodał. – To nadal nie będzie oznaczało wysyłania jednostek liniowych.

Asystent sekretarza generalnego postukał palcem w tarczę swojego zegarka. Pora była przejść do sali Rady. Równocześnie na ekranie znajdującego się w rogu sali telewizora, nastawionego na program CNN, pojawiły się cztery pobladłe twarze w zielonych strojach. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Napis w rogu informował, że to materiał pokazany dopiero co przez Russia Today.

– Panie sekretarzu, pewnie powinien pan na to spojrzeć – powiedział asystent i sięgnął po pilota, żeby podgłośnić.

Zaraz usłyszeli buńczuczny głos Dmitrija Kisielewa, oświadczającego po rosyjsku, z angielskimi napisami, że na terenie Rosji pojmano trzech żołnierzy amerykańskich sił specjalnych, którzy przeniknęli do kraju przez ukraińską granicę. Towarzyszyła im kobieta odpowiedzialna za utrzymanie łączności. Zaraz potem obraz aresztowanych zniknął i gładkolicy Kisielew zaczął osobiście wyjaśniać widzom, jak bardzo perfidną politykę prowadzi NATO.

– Dość widzieliśmy – powiedział sekretarz generalny. – Pora na spotkanie. Zobaczymy, czy uda się nakłonić nasze szanowne grono, żeby przemówiło jednym głosem.

Gdy tylko wyszli z sali, czekający na zewnątrz asystenci dołączyli do nich niczym opiekuńcze kwoki i cała gromadka ruszyła na spotkanie Rady Północnoatlantyckiej.

1. Sekretarz generalny NATO: ciesząca się z zasady międzynarodowym uznaniem osoba odpowiedzialna za przewodniczenie Radzie Północnoatlantyckiej, która jest głównym organem decyzyjnym NATO, koordynującym wysiłki krajów członkowskich i mającym ostateczny głos przy obsadzie poszczególnych stanowisk. Zarówno obecny, jak i poprzedni sekretarz byli wcześniej premierami w swoich krajach. [\[wróć\]](#)
2. Przewodniczący Komitetu Wojskowego (CMC) to najstarszy oficer NATO i zarazem główny doradca wojskowy sekretarza generalnego oraz Rady Północnoatlantyckiej. Na co dzień przewodzi Komitetowi Wojskowemu, złożonemu ze starszych oficerów wszystkich krajów członkowskich i odpowiedzialnemu za militarne działania NATO. [\[wróć\]](#)

Piątek 12 maja 2017 roku, godzina 7.00

Sala odpraw bazy Sił Powietrznych,

Boryspol, Ukraina

– Jeszcze jakieś pytania? – zapytał oficer wywiadu na koniec swojego wystąpienia.

– Nie, jak dla mnie wystarczy – odparł major Phil Bertinetti z US Air Force. – Wszystko jasne. Mamy wejść na piętnaście tysięcy stóp i patrolować teren w celu osłony naszych ludzi prowadzących szkolenie z obsługi stacji radiolokacyjnych Q-36 za linią frontu w pobliżu Debalcewa.

– Ostatnio jest tam całkiem spokojnie. Ustała nawet sporadyczna wymiana ognia. Po porwaniu ekipy z Charkowa Rosjanie jakoś się uspokoili. Ale gdyby coś jednak zaczęło się dziać, zaraz poderwiemy parę dyżurną, żeby wam pomogła – dodał oficer wywiadu.

Ciemnowłosa i niezbyt wysoki Bertinetti mógł kojarzyć się z typowym pilotem myśliwskim, ale był też doświadczonym himalaistą, który jeszcze przed ukończeniem Akademii Sił Powietrznych zaliczył Koronę Ziemi. Niemniej jego podstawowym wyzwaniem było latanie. Miał na koncie ponad 4 tysiące godzin spędzonych w powietrzu, był w Libii, Afganistanie i Iraku.

Tyle że, jak w pewnej chwili pomyślał, podczas tamtych konfliktów nie mieli z kim podejmować walki. Tutaj byli Rosjanie, także dobrzy w tym rzemiośle i być może gotowi, żeby zapolować na parę Amerykanów. Sytuacja, w której trening Red Flag naprawdę mógł się przydać. Zwane czasem potocznie „Top Gun” ćwiczenia opierały się na potyczkach z amerykańskimi instruktorami naśladującymi rosyjską taktykę walki.

– Pamiętasz, co mówili nam podczas Red Flag? – spytał swojego skrzydłowego, kapitana Leroya MacDonalda, przystojnego mieszkańca Tallahassee na Florydzie. – Jak przetrwasz pierwsze jedenaście lotów, dożyjesz do końca wojny.

– Ja zamierzam tylko trzymać się ciebie, skipper – odparł Leroy. – Ty już wachałeś proch, ja się dopiero uczę.

– Wszyscy ciągle się uczymy – odparł Bertinetti. – Kto się nie uczy, znika z powietrza. Dobra. Chodźmy do maszyn.

Pięćdziesiąt minut później dwa amerykańskie F-16 Fighting Falcon krążyły już na wysokości pięciu tysięcy metrów ponad ciemną równiną wschodniej Ukrainy.

– Zulu One, mówi Apollo. – Bertinetti wywołał bocznego. – Widzisz naszych przyjaciół?

– Potwierdzam, Apollo. Czujniki z zasobnika podczepianego już ich zlokalizowały.

– Przyjąłem, Zulu. Ustawiam moduł. Na razie jest cicho, ale nigdy nic nie wiadomo.

Para jednosilnikowych myśliwców bombardujących rysowała szerokie kręgi na błękitnym niebie. Gdyby separatyści spróbowali przeszkodzić jakoś amerykańskim instruktorom w ich pracy, mogli oczekiwać odpowiedzi ze strony jednej ze sprawniejszych maszyn bojowych US Air Force.

– Apollo, Apollo, tu Giant Killer, jak mnie odbierasz? – usłyszał nagle Bertinetti.

Dziwne, pomyślał. Kontrola naziemna zwykle nie odzywa się bez potrzeby.

– Pięć na pięć, Giant Killer.

– Apollo, nierozpoznany obiekt na pierwszej. Pojedynczy kontakt, schodzi na czternaście tysięcy.

– Przyjąłem, ale nie widzę go. Poczekajcie.

Bertinetti przechylił samolot mocno na prawo, lewym kciukiem przesuwając jednocześnie umieszczony na manetce ciągu przełącznik radaru i uzbrojenia. Teraz samolot był w trybie bojowym, gotowy do walki manewrowej. Przeszukując spojrzeniem przestrzeń za kropłową owiewką, Bertinetti w końcu go dostrzegł. To był iljuszyn Ił-76, czterosilnikowy transportowiec z czerwoną gwiazdą, wyraźnie widoczną na ogonie. Kierował się na zachód, w stronę środkowej Ukrainy.

– Giant Killer, mówi Apollo. Mam go. To rosyjski iljuszyn siedem sześć. Idzie na zachód. Czy mam go przechwycić?

– Apollo, tak. Przechwyć go.

Bertinetti obniżył lot i okrążył rosyjski samolot. Potem zrównał się z nim i zakołysał skrzydłami. Widział, jak pilot w kokpicie iljuszyna spojrział w jego stronę. Przechyliwszy lekko maszynę, Bertinetti pokazał tamtemu podwieszane pod skrzydłami uzbrojenie i nadał jednocześnie na międzynarodowej częstotliwości wezwanie do zawrócenia i opuszczenia ukraińskiej przestrzeni powietrznej.

W tym czasie skrzydłowy osłaniał go z tyłu i z góry, dokładnie tak, jak przewidywały to procedury.

Nagle Rosjanin zanurkował. Zaskoczony tym manewrem Bertinetti podążył za nim, ale chwilę później w jego słuchawkach rozległ się przejęty głos MacDonalda:

– Cholera, prowadzący, daliśmy się podejść. Czterech bandytów na szóstej.

Bertinetti dostrzegł kątem oka smugę pocisku idącego łukiem w ich kierunku. To musiał być chyba K-74M2, naprowadzany na podczerwień i wyposażony w dyszę z wektorowanym ciągiem, dzięki czemu mógł powtarzać manewry ofiary i trudno było przed nim uciec. Co gorsza, ten pocisk bliskiego zasięgu został pomyślany jako uzbrojenie Su-50, nowego rosyjskiego myśliwca z kompanii Suchoj. Su-50 zaś, znany także jako T-50, PAK FA, był samolotem niewidzialnym dla radaru.

Stealth! – pomyślał Bertinetti. – Dlatego mój radar nie złapał drania!

Była to bardzo nieprzyjemna niespodzianka. Zanim jednak Bertinetti zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, niedaleki błysk obwieścił koniec samolotu

MacDonalda. Trafiony F-16 zmienił się w kulę ognia i runął deszczem płonących szczątków na ziemię.

Ten iljuszyn był tylko przynętą. Amerykanie nie przejrzeni podstęp.

Bertinettiemu włączył się tryb przetrwania. Wszystko, czego nauczył się podczas wielu godzin lotów ćwiczebnych i wielokrotnego uskakiwania przed spadającymi kamieniami, kiedy bierne czekanie nie dawało szansy przeżycia.

Najpierw wykonał półbeczkę i wszedł w ostre nurkowanie, żeby zapewnić sobie trochę czasu. Przeciężenie przerwało niemal dopływ krwi do mózgu i dolna część skafandra wzmoęła nacisk na nogi. Alarm na namierzeniu milczał. Być może rzeczywiście zaskoczył Rosjan swoim manewrem.

Ale i tak będą pewni siebie. Został im już tylko jeden przeciwnik. Niewątpliwie zakładają, że łatwo go dopadną.

Wszedł z nurkowania i przeszedł na wznoszenie, włączając jednocześnie dopalacz. Nagły przyrost ciągu aż kopnął go w plecy. Równocześnie dostrzegł cztery lekko rozmazane punkty ciemniejące na linii horyzontu.

Jest was aż czterech, dranie, pomyślał. No to musicie być pewni swego. Ale jednego z was zabiorę ze sobą. Leroy był moim przyjacielem.

Skręcił w ich stronę i chwilę później mógł się przekonać, że jego domysły były trafne. To naprawdę były Su-50, zaprezentowane parę lat wcześniej na moskiewskim salonie lotniczym. Prasa okrzyknęła wówczas ten typ myśliwca „superbronią”. Tyle że teraz to nie była prezentacja, tylko prawdziwa walka powietrzna.

Bertinetti doszedł już do siebie i ogarnął spojrzeniem dane podsuwane przez wyświetlacz jego myśliwca. Czas jakby zwolnił i było tak samo jak podczas jazdy jego ulubioną hondą firebird. Im szybciej pędził, tym bardziej świat wkoło zamierał w bezruchu.

Gdy Su-50 znalazły się już w zasięgu jego pocisków, przyjrzał się celom i naprowadził skrzyżowanie nitek systemu celownika hełmu na pierwszą ze smukłych sylwetek. Gdy system obwieścił, że „wyczuł” cel, Bertinetti odczekał jeszcze, aż moc sygnału wystarczająco wzrośnie, i odpalił naprowadzany na podczerwień pocisk AIM-9X Sidewinder.

– Zobaczmy, jak wam się to spodoba – mruknął pod nosem.

Pocisk błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość i na niebie pojawiła się kolejna kula ognia.

Remis, pomyślał Bertinetti. To trochę wyrównuje szanse.

Jednak niemal w tej samej chwili sam usłyszał sygnał o namierzeniu. Odruchowo wyłączył dopalacz i sięgnął lewą dłonią do wyrzutni flar w nadziei, że zdołają one odciągnąć pocisk.

Za późno. Coś łupnęło potężnie, aż maszyna poleciała w prawo, i Bertinetti dostrzegł kątem oka, że jego falcon stracił sporą część lewego skrzydła.

Bez namysłu sięgnął do umieszczonego między nogami pilota uchwytu katapulty. Pociągnął go mocno i niemal natychmiast kręgi szyjne aż zatrzeszczały, gdy ładunek odpalił, wyrzucając go z kabiny myśliwca. Koziółkując w lodowatym powietrzu, w pierwszej chwili poczuł ulgę, że zdołał wydostać się z wraku, ale zaraz potem zaniepokoił się, czy system zadziała jak należy.

Gdy wciąż przypasany do fotela zaczął spadać ku ziemi, najchętniej zaczęłby krzykiem poganiać ciężar, żeby się od niego odczepił. Ten jednak zrobił to sam. Rozległ się trzask, pasy puściły i potężna siła poderwała pilota w górę. Gdy uniósł głowę, ujrzał nad sobą wypełnioną już czasę spadochronu. Wkoło zrobiło się nagle całkiem cicho.

Był sam. Rosjanie gdzieś zniknęli i tylko w dole widać było spadający bezwładnie samolot, który chwilę później rozbił się na polu kukurydzy. Bertinettiemu wydało się, że dojrzał sam moment uderzenia, ale może było to tylko dziełem jego wyobraźni. Na pewno zobaczył za to kulę ognia, która zajaśniała żółcią i czerwienią eksplodującego paliwa.

Opanowało go uniesienie wywołane ocaleniem, ale nie zdążył się nim nacieszyć, gdy ziemia wybiegła mu na spotkanie. Wylądował z impetem, który pozbawił go tchu i pewnie nawet przytomności, bo następne, co zapamiętał, to widok błękitnego nieba. Gdzieś niedaleko słyszał ludzi, który biegli chyba w jego stronę z pobliskiej wioski.

Przez chwilę leżał jeszcze, żeby pozbierać myśli, po czym rozpiął uprząż i wstał powoli. Nic go nie bolało, ale na wszelki wypadek poruszył jeszcze rękami. Chyba wszystko było w porządku, i bardzo dobrze, bo to oznaczało, że zdoła jeszcze zasiąść za sterami myśliwca.

Zdjął hełm, rozejrzał się wkoło i odetchnął głęboko. Oszukał śmierć, ale był wkurzony. Naprawdę ciężko wkurzony.

Piątek 12 maja 2017 roku, godzina 19.00

Kreml, Moskwa

– Nie, Władimirze Władimirowiczu, amerykański pilot wylądował na terenie Ukrainy. Został zestrzelony w ukraińskiej przestrzeni powietrznej. Podobnie jak ten Amerykanin, który zginął.

Komarow stał przed biurkiem prezydenta. Trenował akurat judo w prywatnej sali Władimira Władimirowicza, gdy został telefonicznie wezwany przed jego oblicze. Rosyjska telewizja przekazywała zgodnie z instrukcją, że doszło do zestrzelenia rosyjskiego samolotu, choć ten zdołał wcześniej zniszczyć dwie amerykańskie maszyny, które go zaatakowały.

Usłyszawszy wezwanie, Komarow przebrał się szybko i udał się do kremlowskiego centrum operacyjnego, gdzie starszy oficer lotnictwa wtajemniczył go we wszystkie szczegóły. Zaraz potem poszedł zreferować sprawę prezydentowi.

– Cholera – mruknął Władimir Władimirowicz. – Ale trudno. I tak mamy dość. Przekazujemy światu, że to Amerykanie pierwsi otworzyli ogień do naszych pilotów, a skoro suchoj na szczęście spadł na naszym terytorium, możemy spokojnie mówić, że został zestrzelony w naszej przestrzeni powietrznej. Nasi przyjaciele już teraz uważają, że to nie tylko jawny akt amerykańskiej agresji, ale i dowód, że NATO mierzy aktywnie w Rosję. W takiej sytuacji mamy prawo się bronić, a jedyną odpowiedzią może być rozpoczęcie wojny. Dajcie mi Mierkułowa do telefonu. Natychmiast.

– Już mamy go na linii, Władimirze Władimirowiczu – odparł Komarow, ponieważ przewidział to i kazał szefowi FSB, która zastąpiła dawną KGB, czekać w pogotowiu.

Mierkułow, który zjadł zęby w KGB i był do tego starym kolegą prezydenta, nie zamierzał oczywiście pozwolić, żeby tak ważny telefon go zaskoczył. Zawsze czujny, niczym drapieżnik wyglądający ze swego legowiska, był śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem. Wiedział, z czym prezydent się do niego zwróci, i był gotów wypełnić jego polecenie.

– Ławrientiju Pawłowiczu, pora ruszyć naszych w Pribałtyce. Musimy pomóc im z powrotem znaleźć się w granicach ojczyzny. Najpierw jednak musi dojść do zerwania rozejmu z Ukrainą. Oczywiście urządz to tak, żeby to Ukraińcy byli temu winni.

– Z przyjemnością, Władimirze Władimirowiczu – odparł zdecydowanie Mierkułow.

Sobota 13 maja 2017 roku, godzina 5.00

## Waszyngton

Pułkownik „Bear” Smythson był roslym mężczyzną o budowie zapaśnika, ale biegł równym tempem, właściwym dla wprawnego lekkoatlety. Chociaż do wschodu słońca została jeszcze blisko godzina, wiosenna pora sprzyjała treningowi. Blask przedświtę pozwalał dojrzeć pomnik zdobywców Iwo Jimy, unoszących flagę Stanów Zjednoczonych, oraz bielejące krzyże na zielonych stokach cmentarza Arlington, kiedy ruszył biegiem do swojej kwatery w Fort Myer.

Bear potrzebował czegoś takiego. Nie miał w ciągu dnia czasu na żadną inną aktywność fizyczną poza porannym biegiem wkoło cmentarza Arlington, podczas którego układał plany na najbliższą dobę i starał się wyciszyć przed czekającym go nawałem obowiązków. Jako zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego naprawdę miał co robić i niewiele znaczyło, że dzisiaj była sobota. Pracował w większość sobót, a w razie potrzeby także w niedziele.

Niektórzy z jego poprzedników nie byli w stanie znieść wymogów urzędu i szybko „wracali do jednostki”, on zaś rozkwitł na nowym stanowisku. Już jako dowódca czołgu dał się poznać nie tylko jako świetny praktyk, ale także utalentowany sztabowiec. W żadnej armii nie było nigdy wielu takich ludzi. Poprzednie dziesięć lat spędził głównie w Iraku i Afganistanie, przez co na lewym nadgarstku nosił srebrną bransoletę z wyrytymi nazwiskami wszystkich żołnierzy, którzy zginęli pod jego dowództwem. Miała mu nieustannie przypominać o ludzkim wymiarze wojny.

Jako Afroamerykanin Bear musiał stoczyć też swoją własną wojnę, żeby znaleźć się w Armii Stanów Zjednoczonych. Urodzony w Atlancie w stanie Georgia, epokę oficjalnej segregacji rasowej znał wprawdzie tylko z opowieści, ale i tak dobrze zapamiętał te chwile, gdy w wesołym miasteczku musiał czekać, aż biali chłopcy pojeżdżą sobie na karuzeli, żeby znalazło się miejsce i dla niego. Nawet i teraz, gdy był pełnym pułkownikiem ze Srebrną Gwiazdą na piersi, zdarzało mu się spotkać w rodzinnej Atlancie, gdzie odwiedzał przebywającą w domu spokojnej starości matkę, takich białych, którzy, jak można było sądzić po wyrazie twarzy, najchętniej zepchnęliby go na koniec każdej kolejki. Niby wiele zmieniło się w Stanach, które doczekały się nawet czarnoskórego prezydenta, ale niekiedy dawne lata siedemdziesiąte wracały. Swoją sukces zawdzięczał temu, że nigdy nie dawał po sobie poznać, jak bardzo go to bolało.

Nagle umieszczona w uchu słuchawka ożyła.



– Zarejestrowaliśmy właśnie doniesienie korespondenta BBC na Ukrainie o ataku na szkołę podstawową w Doniecku, stolicy republiki separatystów. Ponad osiemdziesięcioro dzieci zostało zabitych na skutek ostrzału raketowego. Kreml oskarża o to armię ukraińską i zapowiada ukaranie winnych. Zawieszenie broni na Ukrainie może się posypać...

Bear nie słuchał dalej. Zwolnił do truchtu, żeby uspokoić oddech i nie dyszeć podczas rozmowy z szefem. Źle by się z tym czuł. Potem wybrał połączenie z listy w telefonie.

Chwilę później usłyszał głos Abe'a MacWhite'a, doradcy prezydent do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Już wiem, Bear – padło zaraz na wstępie. – Wiem, co stało się na Ukrainie. Będę w gabinecie około szóstej. Będę chciał dostać od razu raporty CIA i NSA na temat tego, kto to zrobił.

– Rozumiem – odparł pułkownik.

Kierując się w stronę domu, zadzwonił do oficerów dyżurnych obu największych agencji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych, po czym wezwał samochód z vipowskiej puli Białego Domu. Gdy skończył, przyspieszył ponownie do biegu, wyciskając z siebie wszystko. Jeśli ten incydent na Ukrainie okaże się zapowiedzią zdarzeń, których wszyscy się obawiali, minie wiele dni, zanim znowu będzie miał okazję do porannego biegu.

Czterdzieści pięć minut później, po szybkim prysznicu i przebraniu się w wyprasowany wieczorem mundur, ucałował na do widzenia spoczywającą jeszcze w małżeńskim łóżu Tonię, spojrzął na śpiące wciąż dzieci i pojechał czekającym już samochodem do Białego Domu. Zająwszy miejsce przy swoim biurku w Skrzydle Zachodnim, sięgnął po pierwszą tego dnia kawę. Pijąc ją drobnymi łykami, czytał wstępne raporty CIA i NSA, poświęcone atakowi na szkołę w Doniecku. Wiedział, że wraz z przybyciem szefa skończy się czas na spokojną refleksję.

Mierzący ponad sześć stóp czterogwiazdkowy generał Abe MacWhite wkroczył do zewnętrznego biura krokiem kowboja z Wyomingu. W swoim czasie był szefem Dowództwa Operacji Specjalnych, a jeszcze wcześniej służył w Delta Force.

Bear stanął na baczność przed osobą, którą sekretarz obrony Robert Gates opisał jako „zapewne najlepszego wojownika i dowódcę”, jakiego miał okazję spotkać, i przywitał się bez słowa. Wiedział, że jego szef zdołał przebiec od rana z dziesięć mil i nie miał zamiaru jeść niczego aż do popołudnia, kiedy zwykł sięgać po wegetariański posiłek. Bear podziwiał jego determinację, ale sam nie tęsknił za identycznym trybem życia.

MacWhite wziął raporty agencyjne i szybko je przejrzał. Dopiero potem się odezwał.

– Dobry, Bear – powiedział cicho. – Jak poranna przebieżka? – spytał

z rozbawieniem.

– Była trochę ostrzejsza niż zwykle, sir. A jak pańska?

– Coś mi się tutaj nie zgadza – powiedział MacWhite, wracając do raportu CIA. Myślni był najwyraźniej w Doniecku. Przyjrzał się zdjęciu satelitarnemu szkoły zniszczonej przez salwy pocisków raketowych z wyrzutni BM-30 Smiercz, zdolnej odpalić w ciągu trzydziestu ośmiu sekund dwanaście rakiet kalibru 300 milimetrów. – Wiemy, że Ukraińcy używali wcześniej tego sprzętu w Donbasie, ale obecnie całe ich ciężkie uzbrojenie znajduje się z dala od strefy walk. Wycofali je po drugim porozumieniu mińskim. A na dodatek nasze satelity nie wykryły żadnego ostrzału prowadzonego z ich terenu. Chociaż zdjęcia sugerują wyraźnie, że rakiety nadleciały z kierunku Ukrainy – podsumował.

– Też to dostrzegłem, sir – odezwał się Bear. – Odczyty NSA, potwierdzone dodatkowo przez Brytyjczyków, jasno sugerują, że to robota Rosjan. Albo sami wystrzelili te pociski, albo kazali to zrobić kontrolowanym przez nich separatystom. A skoro zdecydowali się już na coś równie krwawego, można oczekiwać, że potrzebują pretekstu do przerwania rozejmu. Oczywiście obwiniają za to Ukraińców.

MacWhite chrząknął na znak zgody.

Telefon stojący na biurku Beara zadzwonił. Pułkownik odebrał, posłuchał chwilę i kiwnął głową.

– Już niebawem – powiedział i spojrzał na swojego szefa. – Prezydent jest prawie gotowa do porannej prasówki, sir. Za kwadrans w pokoju sytuacyjnym.

Krótko potem siedzieli w zalanym jasnym blaskiem pokoju sytuacyjnym Białego Domu z wielkim ekranem na ścianie i całym zastępem komputerów. Prezydent widziała już zdjęcia poszarpanych ciał dzieci, przenoszonych do ambulansów albo składanych pod plandekami na ziemi, i nie było jej do śmiechu. W chwili, gdy prelegent wyjaśniał, dlaczego wszystko wskazywało na Rosję jako sprawcę ataku, CNN pokazało nadzwyczajny serwis moskiewskiego Russia Today.

Na ekranie pojawiło się lodowate oblicze prezydenta Rosji, siedzącego za biurkiem w kremłowskim gabinecie. Za jego plecami pysznił się złotem dwugłowy orzeł. Prezydent musiał zacząć już chwilę temu, ale i bez wstępu było to przejmujące przemówienie. Angielskie napisy nie pozostawiały złudzeń co do jego treści.

– Nasza ojczyzna nie może pozostać bierna wobec śmierci tylu dzieci. Zwłaszcza że właśnie teraz amerykańskie myśliwce zaatakowały nasze samoloty i zabiły jednego z naszych pilotów. Zawieszenie ognia na Ukrainie okazało się nic niewarte. Ukraina musi zapłacić za swoją agresję.

Gdy na ekranie ukazał się ponownie prezenter CNN, w pokoju sytuacyjnym zapadła cisza.

Bear widział, jak prezydent przebiegła spojrzeniem po twarzach zgromadzonych ludzi. Na razie nikt nie miał ochoty wychylać się z własnym zdaniem. Lynn Turner

Dillon, czterdziesta piąta osoba na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych, objęła urząd ledwie pięć miesięcy temu i to był jej pierwszy poważny kryzys militarny. Bear dość czasu spędził już w Waszyngtonie, żeby znać podstawowe zasady. Politycy nie zwykli ryzykować popadnięcia w niełaskę i woleli odczekać, aż się dowiedzą, jak ich szefowa reaguje w podobnych sytuacjach.

A kto mógł odgadnąć, co prezydent powie o tej rzezi? Miała sześćdziesiąt lat, ale wyglądała na kobietę o dwadzieścia lat młodszą. Wcześniej była dyrektorem naczelnym wielkiej kanadyjskiej kompanii górniczej zajmującej się wydobywaniem złota. Twarda bizneswoman, która zdołała wywalczyć sobie drogę do najważniejszego urzędu świata. Jej wygrana podczas zeszłorocznych wyborów była sporym zaskoczeniem. Miała rozjaśnione włosy i lubiła podkreślać swoją kobiecość, nosząc raczej spódnice niż spodnie. Tego ranka miała się przekonać, że choć w biznesie też podejmowało się trudne decyzje, rzadko kiedy oznaczały one bezpośrednie rzucanie czyjegoś życia na szalę. Tymczasem dwóch ludzi, których kazała wysłać na Ukrainę, dosięgła już tam śmierć, a kilkoro innych zostało porwanych.

Stuknięcie w ramię wyrwało Beara z zamyślenia. Za nim stał jeden z ludzi z obsługi pokoju sytuacyjnego i podawał mu dokument z godłem CIA i napisem „Ścisłe tajne”. Bear szybko sprawdził nagłówek, wstał i położył raport przed swoim przełożonym.

MacWhite przeczytał pospiesznie dokument i pochylił się lekko nad blatem.

– Jeśli można, pani prezydent? – odezwał się, przerywając ciszę.

– Proszę, generale. Chętnie posłucham pańskiej rady.

– Pani prezydent, jesteśmy właśnie świadkami zastosowania klasycznej rosyjskiej taktyki polegającej na prowokacji i manipulowaniu faktami. CIA zgadza się, że to Rosja stoi za atakiem na szkołę w Doniecku. Natomiast, jak właśnie widzieliśmy, rosyjski prezydent podaje całkiem inną wersję zdarzeń, wykorzystując je jako pretekst do wznowienia walk na Ukrainie. – Skinął na ekran, który nadal przekazywał program CNN, ale teraz już bez dźwięku. – Ten raport jasno potwierdza to, co od pewnego czasu wydawało nam się coraz bardziej prawdopodobne. Rosjanie zamierzają zaatakować wschodnią Ukrainę. Ich pierwszym celem będzie stworzenie lądowego połączenia z Krymem.

Prezydent przymknęła powieki.

– Jak pani pamięta, teren pomiędzy Rosją a Krymem należy wciąż do Ukrainy – powiedział MacWhite, zauważając zmieszanie prezydent. Bear pomyślał, że pewnie nie była dość biegła w geografii tej części świata. – Od granicy do granicy jest jakieś dwieście trzydzieści mil. Rosjanie chcą otworzyć przejście do Krymu, który obecnie jest odizolowany od ich terytorium. Stąd najazd.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, najpotężniejsza osoba na Ziemi i zarazem dowódca największych sił zbrojnych planety, przez chwilę przetrawiała te informacje.

– Co by więc pan zalecał, generale? – spytała pewnym głosem, niezdradzającym żadnych emocji.

– Pani prezydent, tak naprawdę nie możemy w tej sprawie wiele zziałać, poza wycofaniem naszych doradców, żeby Rosjanie nie mogli zdobyć więcej zakładników. Ukraina nie należy do NATO, nie znajdziemy się więc w stanie wojny z Rosją. Co oznacza, że Rosja zrobi swoje. Ale miałbym dwie rekomendacje. – Uniósł palec wskazujący lewej dłoni i objął ją prawą, żeby podkreślić wagę swoich słów. –

Pierwsza to zadbanie o jedność Zachodu. To oznacza kontakt z naszymi najważniejszymi sojusznikami w NATO. Proponowałbym zacząć od Francji, która w ostatnich latach mocno działała na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Ze względu na stare układy dobrze byłoby też porozmawiać z brytyjskim premierem, chociaż oni nie udzielali się prawie nigdzie od Afganistanu, a i tam nasi marines musieli wyciągać ich z biedy.

– Nie, generale. Brytyjczycy okazują ostatnio coraz więcej dawnego ducha, chociaż tak późno włączyli się w naloty w Syrii. Ale owszem, nadal pozostają naszym najważniejszym strategicznym partnerem i należy odezwać się do ich premiera jako pierwszego. A druga rekomendacja?

– W drugim przypadku chodzi o to, że nie podoba mi się ogólny rozwój sytuacji. Wroga postawa rosyjskiego prezydenta i jego retoryka sugerują coś więcej. Jesteśmy przekonani, że potem będzie chciał zaognić sytuację w państwach bałtyckich. Być może wykorzysta napięcia istniejące na Łotwie i w Estonii między etnicznymi mieszkańcami tych krajów a żyjącymi tam Rosjanami, którzy wciąż nie mają żadnego obywatelstwa. Wiemy, że Rosja już od jakiegoś czasu usilnie stara się podsycić ten konflikt i stoi za serią niedawnych dysput i strajków. Nie można wykluczyć i takiej możliwości, że spróbuje opanować państwa bałtyckie w czasie, gdy nasza uwaga będzie skupiona na Ukrainie.

– To co pan zaleca, generale? – nie ustępowała prezydent.

– Zwołać spotkanie gabinetu i zaprosić także przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. To on musi wydać stosowne rozkazy, nie ja. Tymczasem powinniśmy poprosić Pentagon o przygotowanie planu podniesienia stanu gotowości naszych sił zbrojnych.

– Stanu gotowości sił zbrojnych? Na przykład?

– Na przykład obsadzenia tych pojazdów bojowych, które trzymamy rozrzucone w sile brygady po państwach bałtyckich i w Polsce – odparł MacWhite. – Zostały zakonserwowane i trochę potrwa, zanim uda się je uruchomić, obsadzić i przegrupować tam, gdzie mogą być potrzebne. Potem trzeba będzie zająć się gotowością Szóstej Floty, Osiemnastego Korpusu Powietrznodesantowego, Dowództwa Operacji Specjalnych i naszych sił lotniczych w Europie.

– Co pan przez to rozumie?

– Wszystkie te zgrupowania działają obecnie według zasad czasu pokoju. Z normalnym grafikiem urlopów i szkoleń, konserwacją i remontami sprzętu. Należy zacząć od skrócenia wymaganego czasu osiągnięcia gotowości bojowej. W przypadku kluczowych pododdziałów do czterdziestu ośmiu godzin, w przypadku reszty dochodząc stopniowo do siedmiu dni. To oznacza przygotowanie do ewentualnego przerzucenia całości we właściwej chwili do stosownego miejsca. No i będzie wyraźnym sygnałem dla Rosjan.

Prezydent pokiwała głową.

– To ma sens. Zgoda.

– A ponieważ to może być początek czegoś większego i Rosjanie mogą wtedy zagrać nuklearną kartą, musimy pomyśleć też o naszych okrętach podwodnych uzbrojonych w rakiety Trident – dodał generał. – Zwłaszcza tych na Morzu Barentsa. Chociaż z tym ostrożnie. Lepiej nie dawać Rosji pretekstu do oskarżeń, że ją prowokujemy.

– Czy to nie przesada, generale? Stan pogotowia dla okrętów podwodnych z pociskami balistycznymi? Rozkazy ostrzegawcze dla floty? A wszystko na podstawie jednego ataku raketowego we wschodniej Ukrainie?

– Pani prezydent, obserwujemy uważnie poczynania władz Rosji od ich ataku na Krym w 2014 roku i pierwszych działań we wschodniej Ukrainie. Oczekiwaliśmy, że sytuacja rozwinie się właśnie w ten sposób. W sumie zaskoczyło nas nawet, że zabrało im to aż tyle czasu. Nasze przewidywania...

Bear zauważył, że prezydent spojrzała karcąco na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa. Generał przerwał i zaczerpnął głęboko powietrza.

Pułkownik pamiętał wszystkie gry wojenne, które przeprowadził wraz ze swoim przełożonym. Obaj wiedzieli, co najpewniej teraz nastąpi, do czego właściwie Rosjanie dążyli i jakie mieli zamiary. Ale jeśli się pomylą, stracą zaufanie pani prezydent i niebawem zostaną bez pracy. Obaj staną się „spadającymi gwiazdami”.

Bez zastanowienia Bear skinął lekko głową, dając swojemu szefowi sygnał wsparcia. Jasne przedstawienie zagrożenia było w tym przypadku ważniejsze niż kariera.

– Moje przewidywania, pani prezydent, są takie, że od tej chwili sprawy zaczną toczyć się coraz szybciej – powiedział generał. – Albo wyprzedzimy bieg zdarzeń, albo wypadniemy z gry. Oczywiście będziemy działać ostrożnie, to mogę obiecać. Ale oni grają ostro. Zniszczenie szkoły pełnej dzieciaków, zabicie naszego żołnierza i porwanie trojga innych, zestrzelenie dwóch naszych samolotów... To chyba dalekie od subtelności i nie zdołamy ich powstrzymać bez wyraźnych sygnałów, że traktujemy sprawę poważnie. Każde nasze zaniechanie zostanie odczytane przez Kreml jako oznaka słabości i sygnał, że mają zielone światło do otwartego ataku na Ukrainę. I to tylko na początek. Po prostu oni tak myślą.

– Zgadza się. Zajmie się pan tym?

Bear był pod wrażeniem. Pierwszy raz widział panią prezydent działającą pod prawdziwą presją. Zaimponowała mu zdolnością szybkiego przyswajania informacji i umiejętnością podejmowania trudnych decyzji bez zbytecznej zwłoki.

– Tak, pani prezydent – odparł MacWhite. – I jest jeszcze NATO. Musimy zadbać o to, żeby NATO skierowało więcej jednostek bojowych do państw bałtyckich. To byłby jasny sygnał dla władz rosyjskich, żeby nic tam nie zaczynać. Konieczna będzie też mobilizacja rezerw NATO. Porozmawiam z naszym przedstawicielem w Brukseli, ale zalecałbym pani skontaktowanie się z sekretarzem generalnym. Departament Stanu też powinien się uaktywnić. To jest coś, czym powinna zająć się Rada Północnoatlantycka, czyli wchodzimy na poziom dyplomacji. Jej celem musi być okazanie zdecydowania i jedności. Jeśli nam się uda, ocalimy życie wielu ludzi, których w przeciwnym razie przyjdzie nam później opłakiwać.

Niedziela 14 maja 2017 roku, godzina 7.00

Rezydencja zastępcy naczelnego dowódcy Sojusznicznych Sił Zbrojnych NATO  
w Europie,

La Belle Alliance, Erbiseoul, Belgia

Leżący na kuchennym stole telefon zadzwonił chwilę po tym, gdy generał David McKinlay wrócił wraz ze swoim springer spanielem z obchodu rozległego ogrodu przy rezydencji. Wciąż jeszcze w piżamie, odstawił dwa kubki herbaty, które zamierzał zanieść do sypialni na piętrze, i podniósł aparat.

– Tak, Jamie – mruknął, widząc na wyświetlaczu, że dzwoni pułkownik Jamie Swinton.

– Dzień dobry, sir – odezwał się zaraz Swinton. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale otrzymujemy meldunki, że Rosjanie wznowili właśnie działania zbrojne na Ukrainie. Zaczęli chyba wcześniej rano od desantów w wybranych miejscach, a teraz maszerują prosto w stronę Krymu. Trudno na razie o jasny obraz. Aktualny raport ma być o ósmej trzydzieści, na czternastą zaplanowano spotkanie Rady. Poleciałem sierżantowi Jamesowi, żeby podjechał po pana o ósmej.

– Dziękuję. Rozumiem. Zobaczmy się w biurze – odparł McKinlay i włączył umieszczony w rogu kuchni telewizor. Potem odłożył telefon i sięgnął po herbatę. Kanał BBC World pokazywał już sceny z przejazdu rosyjskich czołgów przez płonącą ukraińską wioskę. Były to niskie i opływowe pojazdy typu T-14 Armata, wprowadzone do użytku w 2016 roku. Uzbrojone w gładkolufową armatę kalibru 125 mm, mknęły przed siebie, nie napotykając żadnego oporu. Tak, Jamie miał rację, to było już co innego. Zamiast wysyłać „separatystów” albo własnych żołnierzy, przebranych dla niepoznaki za Ukraińców, Rosja zaatakowała otwarcie. Elitarne jednostki pancerne Federacji Rosyjskiej przekroczyły granicę i parły w kierunku Krymu.

Upił łyk herbaty. Nie mógł oderwać oczu od ekranu. Z niezdrową fascynacją patrzył na kolejne obrazy rozpoczynającego się właśnie konfliktu, kolejnej wielkiej ludzkiej tragedii.

Niedziela 14 maja 2017 roku, godzina 14.00  
Sala konferencyjna Rady Północnoatlantyckiej,  
Kwatera Główna NATO, Bruksela

Poprzednie niedzielne spotkanie Rady Północnoatlantyckiej zwołano sześć lat temu, podczas kryzysu libijskiego. McKinlay wiedział, że wówczas zasiadali tu całkiem inni przedstawiciele krajów członkowskich NATO i nikt z obecnych nie brał w nim udziału. Jak można było sądzić po twarzach, wszyscy byli ciężko zaskoczeni, może nawet zszokowani faktem, że Rosja zdecydowała się na atak dla otwarcia lądowego połączenia z Krymem. Zadawali sobie na pewno pytanie, czy na tym się skończy.

McKinlay też był świadom powagi sytuacji i swojej roli, jaką wypadło mu odegrać w tej sali, gdzie wzdłuż ściany zwisały flagi wszystkich dwudziestu ośmiu państw członkowskich NATO. Umieszczono je w kolejności alfabetycznej. Pośrodku pomieszczenia stał okrągły stół, przy którym zasiadali przedstawiciele. Ich grono spotykało się już wiele razy, reagując od 1949 roku na niejednen kryzys dotyczący w taki czy inny sposób Europę Zachodnią i obszar Atlantyku Północnego. Jak dotąd NATO wychodziło z tych tarapatów w miarę obronną ręką i McKinlay zamierzał zadbać o to, żeby tym razem nie było inaczej.

Przedstawiciele zajęli miejsca przy wtórze zwykłego gwaru. Za nimi usadowili się asystenci i protokolanci. McKinlay dojrzał, że admirał Max Howard czekał już na swoim krześle, obok przewodniczącego Komitetu Wojskowego, duńskiego generała Knuda Vahra.

– Poprosiłem Davida, żeby przedstawił Radzie, jak wyglądamy z siłami i co możemy zrobić w tej kwestii – powiedział Howard, wskazując na McKinlaya.

– Dobry pomysł. Jak to wygląda twoim zdaniem? – spytał Vahr, spoglądając błękitnymi oczami na Davida.

– Obawiam się, że nie za dobrze – odparł McKinlay. – Z tych samym przyczyn co zawsze. – Usiadł obok i rozłożył papiery.

W tej chwili do sali wszedł sekretarz generalny Radek Kostilek. Ostrzygł się znowu na rekruta i wyglądał całkiem dobrze jak na swoje sześćdziesiąt dwa lata, zwłaszcza z opalenizną po niedawnym urlopie, który spędził na Malediwach. Zajął miejsce i zebrani ucichli, widząc, jak wodzi po nich spojrzeniem w oczekiwaniu, że wszyscy zwrócą na niego uwagę.

Darował sobie wstępy i przeszedł od razu do rzeczy.

– Panie i panowie, jak wszyscy już wiecie, wojska rosyjskie dokonały dziś rano



agresji na Ukrainę. Za pretekst po temu posłużył rzekomy „atak terrorystyczny” na szkołę w Doniecku. Niebawem w Nowym Jorku zbierze się Rada Bezpieczeństwa ONZ, ale my musimy wypracować własne stanowisko co do reakcji na ten akt agresji. Zanim jednak to zrobimy, poproszę naczelnego dowódcę o krótkie zarysowanie sytuacji militarnej.

Admirał Max Howard pochylił się lekko nad stołem. Ozdobiony złotem mundur z orderami sprawiał, że zgromadzeni odruchowo skupiali na nim uwagę.

– Sekretarzu generalny, panie i panowie, stanęliśmy jako NATO wobec niezwykle niebezpiecznej sytuacji. Widzieliśmy już, jak Rosja zaatakowała i zestrzeliła dwa nasze myśliwce, a potem utrzymywała, że ją sprowokowano. W tym przypadku jest podobnie. Uważamy, że za atakiem na szkołę w Doniecku stoją Rosjanie potrzebujący pretekstu do zerwania rozejmu. Dzisiaj we wczesnych godzinach porannych regularna armia Federacji Rosyjskiej zaatakowała Ukrainę, ważnego partnera NATO. Pierwszym etapem były desanty sił powietrznodesantowych z Dziewięćdziesiątej Ósmej Dywizji Gwardyjskiej, które zabezpieczyły najważniejsze węzły komunikacyjne na drodze planowanego natarcia w kierunku Krymu. Potem granicę przekroczyła Dwudziesta Gwardyjska Armia Pancerna, wsparta przez siły powietrzne oraz jednostki pływające z Morza Azowskiego. Z tego, co wiem, siłom rosyjskim udało się zdobyć na tym etapie wszystkie wyznaczone cele, w tym miasto Mariupol, co zapewnia im połączenie lądowe z Krymem. Nie da się na razie przewidzieć, czy pójdą dalej, w głąb Ukrainy, ale nie możemy tego wykluczyć, zwłaszcza że ukraińska armia praktycznie się poddała.

Howard rozejrzał się po sali, oczekując pytań.

– Co pan zaleca w tej sytuacji? – spytał Kostilek.

– Sekretarzu generalny, przy takim rozwoju sprawy NATO niewiele może zrobić, żeby powstrzymać rosyjską napaść na Ukrainę. Najważniejsze będzie okazanie zdecydowanej gotowości do obrony naszych granic. Przede wszystkim musimy zadbać, żeby kryzys się nie rozszerzył. Zalecam natychmiastowe zmobilizowanie rezerw Paktu w celu zniechęcenia Rosji do ewentualnego ataku na którekolwiek z państw członkowskich. W praktyce oznacza to zredukowanie czasu osiągnięcia gotowości przez Siły Natychmiastowego Reagowania, jak i nasze Siły Odpowiedzi. Dobrze byłoby też skierować dodatkowe oddziały do państw bałtyckich, żeby być gotowym na możliwy zaskakujący atak na któreś z nich. Niemniej nic z tego nie będzie możliwe, jeżeli państwa członkowskie nie dostarczą niezbędnych oddziałów wraz ze sprzętem.

Rozejrzał się wkoło i dostrzegł, że niektórzy delegaci pokiwali ze zrozumieniem głową. Byli to ambasadorzy Łotwy, Litwy, Estonii i Polski, co miało wiele sensu, ponieważ te właśnie kraje mogły stać się następnym celem Rosji. Inni, zwłaszcza Francuz i Niemiec, siedzieli z kamiennymi twarzami, co nie było dobrą wiadomością. Spojrzał na lady Florę Montrose, piękną, elegancką i wykształconą damę, która była przedstawicielką Wielkiej Brytanii. Jej postawa była bardzo ważna. Jeśli i ona okaże

bierność, jego własna sytuacja jako brytyjskiego oficera mocno się skomplikuje. Ku wielkiej uldze ujrzał, że skinęła ledwo zauważalnie głową, co oznaczało, że póki co nie będzie musiał ryzykować konfliktu z Whitehall.

Spojrzał na Kostilka.

– Sekretarzu generalny, sugeruję, żeby mój zastępca, odpowiedzialny za środki potrzebne NATO do realizacji naszych celów, przedstawił teraz stan wspomnianych sił.

– Dobrze. – Kostilek obrócił się do McKinlaya. – Ma pan głos.

Szkot ogarnął zebranych spojrzeniem. Moment mógł być dramatyczny, ale nie dla szkockiego marine, który zwykł patrzeć na sprawy trzeźwo i praktycznie.

– Sekretarzu generalny, panie i panowie, przekażę rzecz krótko. Po pierwsze, pragnę zaznaczyć, że NATO ma już niewielkie siły morskie na Bałtyku. Nasz Stały Zespół Okrętów Przeciwminowych przeprowadza tam właśnie ćwiczenia z udziałem jednostek z Niemiec, Polski, Norwegii, Wielkiej Brytanii i Belgii. Niemniej, jakkolwiek sama jego obecność jest istotna, nie jest wystarczającą siłą odstraszającą i ma ograniczone możliwości działania ofensywnego. Jeśli chodzi o nasze Siły Natychmiastowego Reagowania, czyli Szpicę, to mimo najlepszych intencji są one dalekie od osiągnięcia prawdziwej gotowości. Powstały jako stworzony ad hoc zlepek jednostek z czternastu krajów i nigdy nie miały okazji przeprowadzić wspólnych ćwiczeń. Dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień powiem wprost, że nie są gotowe do walki. Co więcej, chociaż rdzeń tych sił może zostać szybko przerzucony na miejsce, będzie naprawdę dobrze, jeśli ich całość znajdzie się w nowej lokalizacji w ciągu dwudziestu ośmiu dni.

Rozejrzał się. Nikt z przedstawicieli nie wyglądał na zaskoczonego.

– No i jest jeszcze kwestia różnego stopnia przygotowania. Spośród państw, które zaoferowały swoje oddziały do Szpicy, tylko Dania, Francja i Wielka Brytania mogą przygotować je do relokacji w ciągu trzech dni. Gdy rozmawiałem z ministrami obrony pozostałych państw, nikt nie był w stanie przedstawić terminu gotowości krótszego niż dwa tygodnie. Czy w ogóle jakiegokolwiek konkretnego terminu.

Część przedstawicieli poczuła się chyba niewyraźnie wobec takiej krytyki i Kostilek uznał, że pora interweniować.

– Dziękuję za przypomnienie o naszej grupie przeciwminowej. Ale wzmianka o problemach z Siłami Natychmiastowego Reagowania wydaje mi się niepokojąca. Jak wygląda sytuacja z Siłami Odpowiedzi NATO?

– Obawiam się, że wcale nie lepiej – odparł McKinlay. – Plan przewiduje przerzucenie oddziałów w sile czterdziestu tysięcy ludzi, ale na razie wszystko z nim związane istnieje jedynie na papierze. Lepiej jest z siłami powietrznymi i morskimi, ale w kwestii wojsk lądowych wskazana jest wstrzeźliwość ocen. Nawet jeśli Siły Natychmiastowego Reagowania będą gotowe na czas, to daje tylko pięć tysięcy ludzi. O wiele za mało, żeby mogli stać się czynnikiem odstraszającym w razie zagrożenia

rosyjską agresją. Jedno, co dobre... – Miał ochotę roześmiać się sardonicznie, ale się powstrzymał. – Jedno, co dobre, to sprawne struktury dowodzenia. Problem polega na tym, że nie mają czym dowodzić. Chociaż po prawdzie i na tym odcinku potrzeba trochę pracy, związanej z dostarczeniem ludzi oraz sprzętu, dzięki którym dowództwo osiągnie pełną sprawność operacyjną. I to zależy już od strony, która zgodnie z przyjętymi założeniami ma zapewnić większość tego, o czym wspomniałem.

– Tak? – spytał Kostilek. – Co sprawia, że chociaż tego nie możemy szybko przeprowadzić?

McKinlay dość długo już tu pracował, żeby nie palić się do otwartego krytykowania któregoś z państw członkowskich. To nie było mile widziane w Brukseli. Wolał więc nie odpowiadać.

Wyręczył go przedstawiciel Niemiec, rosy mężczyzna, który spojrzał na obecnych niczym szynkarz z Osnabrück, który wyrzuca pijanych brytyjskich żołnierzy przed zamknięciem baru, i uniósł rękę.

– Panie sekretarzu generalny, muszę zaprotestować przeciwko krytykowaniu mojego kraju. Owszem, obecnie to Niemcy są odpowiedzialne za wyposażenie i utrzymanie struktur dowodzenia, ale uważamy, że i w tym przypadku należy zachować odpowiednie procedury związane ze skracaniem czasu uzyskania gotowości przez Siły Natychmiastowego Reagowania. Tymczasem nie mamy jak dotąd wystarczających dowodów na to, że zagrożenie ze strony Rosji naprawdę wzrosło. Równie dobrze może się okazać, że nasze pospieszne działania tylko podgrzeją atmosferę. Co więcej, nie wydaje mi się, żeby istniała szansa na uzyskanie koniecznej jednomyślności w naszym własnym gronie. A wspomniane przyspieszenie naszych działań wymaga jednomyślnej decyzji całej Rady – dodał i spojrzał znacząco na siedzących po jego prawej przedstawicieli Grecji i Węgier.

McKinlay już wcześniej zauważył, że ta dwójka nie była zadowolona z kierunku, w którym rozwijała się dyskusja. Chodziło o działania odstrasające wobec Rosji. Oba kraje były obecnie mocno zależne od Kremla. Grecja za sprawą rosyjskich kredytów, Węgry za sprawą porozumienia o rozbudowie elektrowni atomowej, podpisanego kilka lat temu z prezydentem Federacji Rosyjskiej.

Kostilek też niewątpliwie zauważył, w czym rzecz, ale opanował irytację. Jako wprawny polityk zostawił na razie sprawę, dając przedstawicielom czas, żeby sami się wypowiedzieli. Najpierw spojrzał na ambasadora Stanów Zjednoczonych, które były faktycznym przywódcą Sojuszu. Z tego też powodu w ważniejszych sprawach Amerykanin wypowiadał się z reguły pierwszy.

– Udzielam głosu przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych.

– Sekretarzu generalny, Stany Zjednoczone traktują tę sytuację bardzo poważnie. Od końca zimnej wojny nie zdarzyło się w Europie nic podobnego. Może nawet od 1961 roku, kiedy powstał mur berliński. Rosja zaczęła bardzo ryzykowne działania, które

mogą doprowadzić ją do otwartego konfliktu z NATO. Jedynym sposobem, żeby do tego nie dopuścić i żeby zapewnić bezpieczeństwo Europie, jest okazanie siły. Tym razem jednak Europa powinna pokazać, że potrafi obronić się sama. Zbyt długo europejska obronność była współfinansowana przez amerykańskich podatników. Ponosiliśmy ciężar zapewnienia wam bezpieczeństwa i możecie nadal być pewni, że będziemy gwarantować trwałość NATO, niemniej oczekujemy od europejskich partnerów, że wezmą część tego ciężaru na siebie. Powinniśmy dostarczyć teraz te siły rezerwowe, których utworzenie uzgodniliście podczas walijskiego szczytu w 2014 roku i zatwierdziliście ostatecznie w Warszawie rok później. Niemniej, jak właśnie usłyszeliśmy, decyzje szczytu nie zostały wcielone w życie.

McKinlay wyczuł wzrastającą irytację europejskich przedstawicieli, którym wypomniano właśnie niewywiązanie się z przyjętych oficjalnie zobowiązań. Tylko jeden ambasador USA nadal patrzył na niego w przyjazny sposób.

– Stany Zjednoczone w pełni akceptują rekomendacje wojskowych przywódców NATO – powiedział Amerykanin. – Oczekują równocześnie, że pozostałe kraje członkowskie postąpią tak samo.

I tutaj zamilkł. Dość jasno wyraził stanowisko swojego rządu.

Potem nastąpiło dwadzieścia wystąpień, w których kolejni przedstawiciele wspierali stanowisko USA, ale nie deklarowali, że ich kraje cokolwiek zrobią w tej sprawie. Gdy McKinlay tego słuchał, przyszło mu do głowy, że język dyplomacji jest naprawdę bogaty, skoro pozwala powiedzieć dokładnie to samo na tyle różnych sposobów.

W końcu nadeszła kolej na ambasadora Grecji, który pojawił się w Brukseli całkiem niedawno i był człowiekiem z politycznego nadania, oddanym rządowi Syrizey. Miał ogoloną głowę i włożył skórzaną marynarkę i koszulkę z krótkim rękawem, co pasowało zapewne do jego poprzedniego zajęcia, kiedy był wykładowcą zajmującym się marksistowską socjologią.

– Grecja czuje się związana z Rosją poprzez braterstwo Kościoła prawosławnego – powiedział. – Wierzymy, że Federacja Rosyjska reaguje jedynie na prowokację. Skierowanie do państw bałtyckich kolejnych oddziałów albo skrócenie czasu uzyskania gotowości bojowej przez nasze siły rezerwowe mogą zostać odebrane przez Rosję jako kolejny poziom prowokacji, a także dowód na agresywną politykę NATO oraz realizację planu okrążenia i osłabienia Rosji. Grecja nie może zaakceptować rekomendacji dowództwa NATO.

Przy stole zapadła zrezygnowana cisza. Przedstawiciel USA przewrócił oczami, a Kostilek zacisnął ze złością szczękę.

Wtedy uniósł rękę przedstawiciel Węgier, krągły człowieczek z wiecznie przylepionym do twarzy uśmiechem. Gdy oddano mu głos, pochylił się nad podaną przez asystenta kartką.

– Węgry zajmują takie samo stanowisko jak Grecja – przeczytał łamanym i osobiwie akcentowanym angielskim.

– Widzę, że nie osiągnęliśmy porozumienia – odezwał się po chwili sekretarz generalny zdumiewająco spokojnym głosem, chociaż McKinlay, który poznał już trochę byłego polskiego premiera, dostrzegął u niego oznaki już nie irytacji, ale wręcz złości. Zdradzał to głównie ciemny kolor skóry na karku. – Żałuję, ale bez jednomyślnej decyzji wszystkich państw członkowskich Rada Północnoatlantycka może co najwyżej potępić sprawców ataku w Doniecku oraz rosyjską napaść na Ukrainę i skupić się na pilnym obserwowaniu sytuacji. Oczywiście utrzyma też na Bałtyku przebywającą tam już grupę jednostek przeciwminowych. Czy zgadzamy się chociaż w tych sprawach?

Spojrzał na przedstawicieli Grecji i Węgier, jakby chciał sprowokować ich do zabrania głosu. Odpowiedziała mu cisza.

– Zatem uzgodniliśmy stanowisko – rzucił krótko Kostilek, po czym pozbiierał papiery i wyszedł z sali.

Wtorek 15 maja 2017 roku, godzina 19.00

Brzeg Dźwiny, Ryga, Łotwa

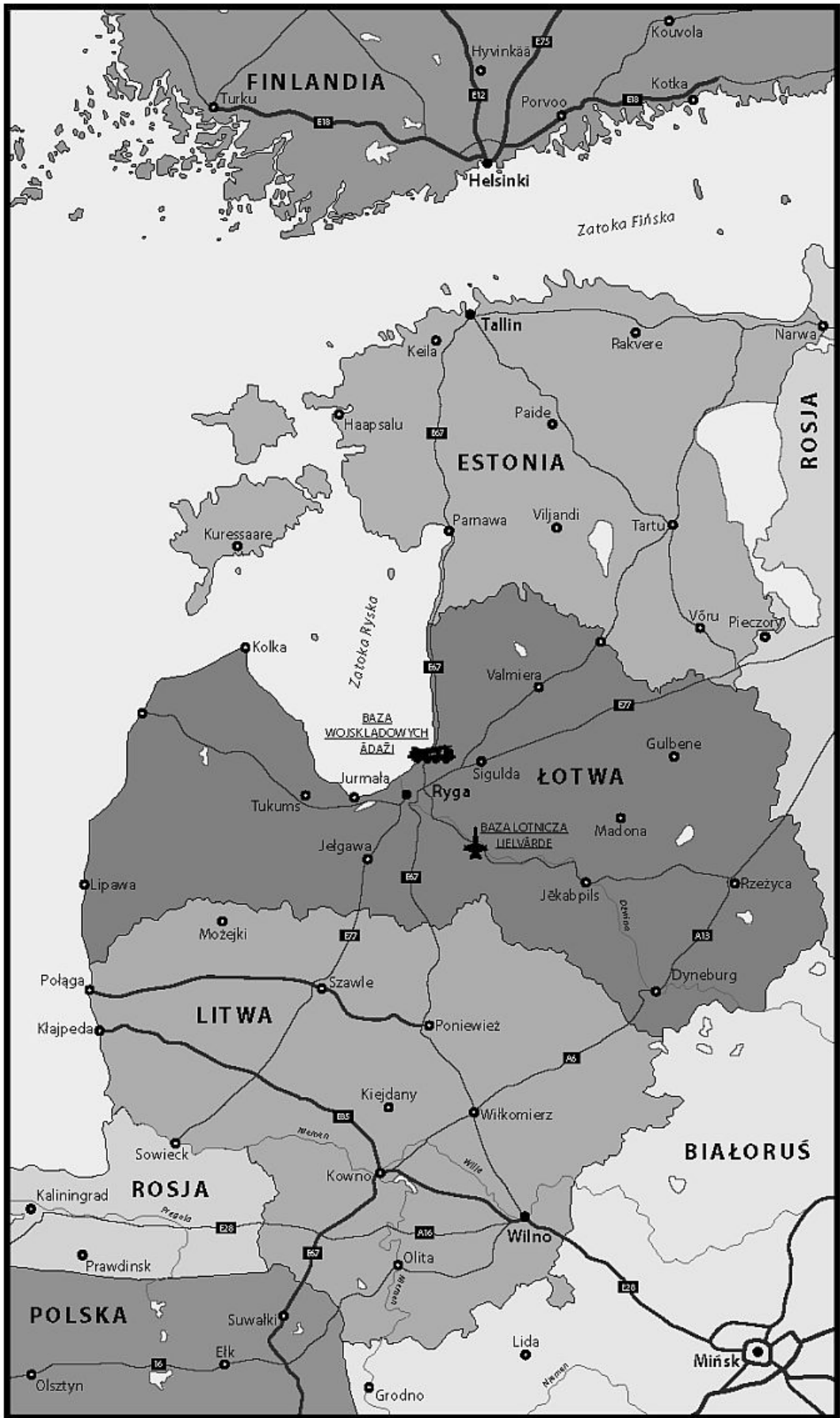
Anatolij Nikołajewicz Wronski zadrżał, gdy północny wiatr, gnający ciemne chmury znad morza, przetoczył przed nim pustą plastikową butelkę po coca-coli. Zdjął plecak, położył go u swoich stóp i zapiął do końca polarową kurtkę. Po prawej miał rzekę Dźwinę, szeroką w tym miejscu na jakieś pięćset metrów, z ciemnym i nieprzyjaznym nurtem, który miał za sobą tysiąckilometerową podróż od źródeł na Wałdaju w sercu Rosji. Wiatr niósł zimny pył wodny aż na brzeg.

– Pieprzyć taką wiosnę – mruknął Wronski i sprawdził czas.

Niemal natychmiast dostrzegł smukłą sylwetkę jasnowłosej dziewczyny. Anna Brezniewa, w rzeczywistości praporszczyk Wołoczka z FSB, oddelegowana czasowo do specnazu, nie zwykła się spóźniać. I dobrze, bo właśnie z nią lubił współpracować najbardziej.

Narzucił plecak z powrotem na ramiona i podszedł do Anny, żeby czule ją objąć. Dla kogoś z boku mogli być parą kochanków witających się po dłuższej rozłące.

– Jesteś punktualnie – wyszeptał jej całkiem nieromantycznym głosem do ucha. – Idziemy teraz do Moloneya. Będziemy mieli tam chwilę, żeby pogadać, zanim ich spotkamy.



Otoczył ją swobodnie ramieniem i przeszli obok wejścia do Ryskiego Uniwersytetu Technicznego, żeby przez Rātslaukums dostać się na Stare Miasto z jego eleganckimi budynkami w stylu art déco i okrytymi pozieleniałą miedzią wieżami kościołów. Tam skierowali się w stronę ulicy Richarda Wagnera i Moloney's Pub.

– Jakież wieści z Ukrainy? – spytał Wronski.

Był w Rydze już od tygodnia. Przyjechał tu zaraz po porwaniu Amerykanów w Charkowie.

– Całkowity sukces, Anatoliju Nikołajewiczu – odparła cicho Breżniewa, przytulając się mocniej do niego. – Uzyskaliśmy lądowe połączenie z Krymem. Ukraina została okrojona.

– Wspaniale – odparł Wronski. – To odciągnie uwagę Zachodu od tego, co mamy tu zrobić.

Potem wprowadził ją pospiesznie w szczegóły wielkiej demonstracji, która miała odbyć się za dwa dni, po tygodniach podsycania niechęci etnicznych Rosjan do łotewskiego rządu. Wielu z tych ludzi mieszkało tu od pokoleń, a mimo to odmawiano im łotewskiego obywatelstwa. Jako bezpaństwowcy nie byli też obywatelami Unii Europejskiej.

Wielki tłum takich ludzi, podburzonych przez szerzącą kremlowską propagandę rosyjskojęzyczne stacje telewizyjne, miał przemaszerować przez miasto pod pomnik Wolności, wzniesiony na cześć „wyzwolenia” Łotwy od faszystowskiego okupanta. Pomnik powstał jeszcze w radzieckich czasach i był hołdem dla Armii Czerwonej, niosącej Łotwie „bratnią pomoc”. Manifestanci mieli złożyć tam kwiaty i wysłuchać szeregu przemówień.

Taki był oficjalny plan, niemniej od chwili przybycia do Rygi Wronski pracował nad włączeniem do demonstracji członków nacjonalistycznego Rosyjskiego Związku Łotwy, którzy mieli zaburzyć pokojowy przebieg imprezy. Dodatkowo dysponował też przeszkolonymi przez specnaz agentami z milicji rosyjskich bezpaństwowców. Była to nieformalna organizacja o nazwie Siły Samoobrony Rosjan, która pełniła kluczową rolę w kontrolowaniu przebiegu demonstracji czy też raczej w zadbaniu o to, żeby doszło do zajść.

– Po czymś takim łotewscy nacjonaści zapałają wystarczającą nienawiścią do Rosjan, żeby wszystko było możliwe – powiedział Wronski. – Najpierw jednak musimy spotkać się z dwoma gośćmi, którzy organizują demonstrację. Czekają na nas w pubie.

– To bezpieczne miejsce na takie spotkanie? – spytała Breżniewa.

– Tradycyjnie odbywają się tam wieczory kawalerskie. Nikt nie zdoła nas



podśluhać.

– Wieczory kawalerskie?

– Impreza, podczas której przyszli żonkosie korzystają z ostatnich chwil swobody – wyjaśnił Wronski. – Chleją na umór i obłapiają wszystko, co na drzewo nie ucieka. Tutaj celują w tym Brytyjczycy. Dekadencja...

– Zachodni styl życia – przerwała mu z uśmiechem Breźniewa.

Wronski też mimowolnie się uśmiechnął.

Tak jak przewidział, Moloney's Pub był pełen rozwrzeszczanych i spoconych obywateli brytyjskich, cieszących podniebienia łotewskim piwem i próbujących podrywać miejscowe dziewczyny, zwykle bez większego powodzenia. Potem mieli przenieść się do nocnego klubu Blow Style albo centrum rozrywki Glamour, gdzie mogli być pewni, że dostaną za swoje euro dokładnie to, po co przyszli.

Wronski przepchnął się przez tłum do stolika w rogu, gdzie siedzieli Władimir Pietrow i Siergiej Żdanow, przywódcy planowanej demonstracji. Też mieli przed sobą pokale ze złocistym piwem Labietis. Nowo przybyli zamówili piwo i przekąski, po czym zajęli się omawianiem planów na następny dzień. Panująca wkoło dwujęzyczna kakofonia, wzbogacona jeszcze muzyką produkowaną przez ulokowany obok baru zespół, skutecznie uniemożliwiała podsłuchiwanie.

Agent nie zauważył, żeby ktokolwiek obserwował obu łotewskich Rosjan, ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości. W Rosji ktoś taki na pewno pozostawałby pod jakimś nadzorem, a trudno było zakładać, że Biuro Ochrony Konstytucji, czyli łotewskie służby bezpieczeństwa, nie zatrudnia zawodowców. Tyle że w tych warunkach mieliby twardy orzech do zgryzienia, skoro Wronski sam siebie ledwo słyszał.

Gdy obgadali już najważniejsze, sięgnął do plecaka i wydobyl wypchaną kopertę z gotówką, którą zaraz wręczył Pietrowowi. Ten odsunął się trochę, żeby zajrzeć do środka.

– Nie teraz! – warknął na niego Wronski. – Nigdy nie wiesz, kto może cię obserwować.

Zrugany Pietrow pokornie schował kopertę do torby.

– Dobra, pora na was – powiedział agent. – Jak dobrze się sprawicie, dostaniecie tego więcej. Jasne?

Obaj Rosjanie pokiwali głowami i wyszli.

Wronski tymczasem sięgnął po komórkę i wybrał numer. Gdy Pietrow i Żdanow oddalali się od baru, z bocznej uliczki wyłoniła się grupa czterech mężczyzn, którzy ruszyli za nimi.

Wtorek 16 maja 2017 roku, godzina 9.45

## Obóz szkoleniowy Ādaži, Łotwa

– Tym razem było o wiele lepiej. Szybko i agresywnie. Musicie popracować jeszcze nad kontrolą ognia, ale zmierzacie w dobrym kierunku.

Kapitan Tom Morland, dowódca pięcioosobowej grupy z 1. batalionu pułku mercyjskiego, oddelegowany do szkolenia Łotyszy, przeprowadzał odprawę ze spoconą drużyną jednostki specjalnego przeznaczenia Łotewskich Narodowych Sił Zbrojnych, która właśnie zakończyła realistyczne ćwiczenia poligonowe.

Morland przebywał w otoczonym rozległymi lasami sosnowymi obozie Ādaži już od trzech tygodni i jak dotąd był to dobrze spędzony czas. Ćwiczenia były prowadzone na serio i można było się zaangażować, Łotysze byli chętni do nauki i przykładali się do roboty, w weekendy zaś można się było wypuszczać do odległej o czterdzieści minut jazdy Rygi.

Kapitan miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, był szczupły, ciemnowłosy i cenił zawodową postawę i dyscyplinę, ale wiedział dobrze, że gdyby nie Oksford i armia, mógłby być teraz jednym z tych jego rodaków, którzy regularnie zalewali pałę w Moloney's Pub. Inna sprawa, że jego podwładni też szybko odkryli ten lokal i niebawem się okazało, że zrobili z niego swoją ryską kwaterę główną.

Jako syn rzeźnika z Bridgnorth w West Midlands Morland zwykł rozładowywać nadmiar energii i naturalnej agresji jako fanatyczny kibic Wolverhampton Wanderers. Po meczach jego drużyny na stadionie Molyneux wdawał się często w różne bójki i awantury. Wszystko się zmieniło, gdy Ted Hunter, były kapral wojsk powietrznodesantowych, który mieszkał przy tej samej ulicy, doszedł do wniosku, że Morland zasłużył na coś więcej niż ulica, a z czasem pewnie i więzienie. Jednej soboty, zaraz po rozpoczęciu sezonu ligowego, zauważył piętnastolatka wracającego do domu z podbitym okiem i wdał się z nim w rozmowę. Bez prawienia kazań czy innego moralizowania zdołał szybko zainteresować młodego człowieka opowieściami o tym, co dane było mu przeżyć w Irlandii Północnej i podczas wojny o Falklandy.

Na boku Hunter prowadził także miejscowy klub bokserki i pewnego dnia zabrał tam Morlanda. Chłopak znalazł nowy sposób na rozładowanie nadmiaru energii i wkrótce zaczął całkiem dobrze radzić sobie na ringu. Nadal chodził na mecze piłkarskie, ale trzymał się z dala od kłopotów. Boks nauczył go, że i bez tego można czuć się mężczyzną, więc ograniczał aktywność kibolską do samoobrony albo chronienia innych.

Drugą osobą, która miała na niego olbrzymi wpływ, był pan Midgeley, jego nauczyciel historii z ogólniaka Oldbury Wells. Rudowłosy mężczyzna z Lancashire, słynący z ciętego dowcipu i dumy z rodzinnych korzeni tkwiących w Rochdale, wyczuł intelektualny potencjał drzemający w młodym człowieku. Poświęciwszy mu dodatkowy czas, zdołał rozpalić w Morlandzie miłość do historii, która zaprowadziła go do Oksfordu. W ten sposób został pierwszym przedstawicielem rodziny, który wybrał się na studia.

Po Oksfordzie pracował jeszcze przez rok w rodzinnym interesie, ale życie małomiasteczkowego rzeźnika zbrzydło mu na tyle, że zaciągnął się do wojska. Hunter był tak zachwycony, że zaczął mówić do niego „sir” i witał go nieformalnym salutem. Po roku spędzonym w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst Morland otrzymał przydział do pułku mercyjskiego, miejscowej jednostki z wielką tradycją i kartą dokonań bojowych, z Afganistanem włącznie. Rodzice też wiedzieli, że to nie była zwykła piechota, i mieli powód do dumy z syna.

Dwa lata spędził jako dowódca plutonu, po czym przez osiemnaście miesięcy zajmował się szkoleniem, głównie młodych rekrutów. Wróciwszy do 1. batalionu, objął dowództwo plutonu zwiadu, co nie było zbyt zaszczytnym przydziałem dla młodego oficera. Nie poddawał się jednak zniechęceniu, chociaż rutyna szybko zaczęła mu się dawać we znaki.

Tyle dobrego, że trafił się ten wyjazd na Łotwę, chociaż proza życia dopadła go i tutaj z chwilą, gdy zaraz po ćwiczeniach zameldował się u niego sierżant Danny Wild, jego zastępca i weteran z Afganistanu i Iraku, z baretką Krzyża Wojskowego na piersi, i zameldował, że właśnie otrzymał z batalionu e-mail, że jego wniosek o rozwiązanie umowy został rozpatrzony pozytywnie.

– Odchodzisz? – spytał ciężko zaskoczony Morland. – Nie możesz. Przecież...

Przerwał, rozumiejąc, jak bezsensownie to zabrzmiało. Oczywiście, że Wild mógł to zrobić. Mógł opuścić szeregi armii tak samo, jak zrobiło to już wielu najlepszych oficerów i podoficerów z jego batalionu. Ostatnio zdarzało się to nawet coraz częściej.

Morland wiedział, że odchodzili z reguły ci naprawdę najlepsi, którzy mieli pewność, że zdołają dobrze wykorzystać swoje umiejętności i wyszkolenie w cywilu. Zostawali zaś głównie albo ludzie z wielkim zamiłowaniem do służby, albo zwykłe miernoty, bez większej inicjatywy czy zdolności do czegokolwiek. Sam nie wiedział, do której z tych kategorii właściwie się zaliczał.

– Dlaczego? – spytał ze smutkiem, chociaż w sumie powinien to wiedzieć. Chociażby po to, żeby spróbować wcześniej odwieść swojego sierżanta od tego zamiaru.

– Dlaczego? To chyba oczywiste. Tutaj jest świetnie, ale w jednostce... Tam już nie ma życia. I jeszcze ci cywile na samej górze, którzy mają wszystkich mundurowych w głębokim poszanowaniu. Ścinają nam wszystko, co czyniło ten sposób życia

możliwym do zniesienia. Postanowiłem się wynieść.

Trudno było się z tym nie zgodzić i Morland nie miał żadnych argumentów, które mógłby przeciwstawić słowom sierżanta. Z kłopotliwej sytuacji wybawił go dowódca, który pojawił się właśnie na ścieżce, zmierzając wyraźnie w ich stronę.

– Tom, jesteś potrzebny w Rydze. Dyrektor Biura Ochrony Konstytucji, Juris Bērziņš, chce się z tobą widzieć. Mój wóz cię zabierze.

Morland nie posiadał się ze zdumienia. Nie uważał się za kogoś na tyle ważnego, żeby szef łotewskich tajnych służb poprosił o rozmowę z nim.

– Oczywiście, sir – odpowiedział i skinął Wildowi, żeby ten zajął się swoimi sprawami.

Podpisując w zbrojowni zdanie broni, zastanawiał się, czy zaproszenie mogło mieć coś wspólnego z kryzysem na Ukrainie. Członkowie łotewskich sił specjalnych, z którymi pracowali, byli głęboko przekonani, że wcześniej czy później Rosja spróbuje uderzyć i tutaj. W kantine ogólnej rozmawiali prawie tylko o tym i jeszcze wczorajszego wieczoru wyrażali przy posiłku zdanie, że atak na Ukrainę to tylko działanie dla odwrócenia uwagi, prawdziwy atak zaś zostanie przypuszczony na kraje bałtyckie.

Spytany o opinię Morland starał się ważyć słowa, żeby nie urazić gospodarzy, niemniej był zdania, że to mocno przesadzone reakcje. Owszem, po trzech tygodniach spędzonych w tym kraju rozumiał, że każdy sąsiad wiecznie nieprzewidywalnej Rosji może się nabawić swoistej paranoi, niemniej z drugiej strony ten kraj był obecnie członkiem NATO i trudno było oczekiwać, że Federacja Rosyjska zdecyduje się otwarcie zaatakować Sojusz.

W armii brytyjskiej większość oficerów średniego szczebla, z którymi Morland miał ostatnio okazję rozmawiać, była zdania, że te obawy przed rosyjskim atakiem to nic innego jak wyraz nostalgii za czasem zimnej wojny, kiedy przeciwnik był jasno określony, a budżet wojska niezagrożony. Świat jednak zmienił się od tamtej pory i nawet Rosja musiała zrozumieć, że stał się jakby mniejszy i że jeśli ktoś chce w nim jakoś prosperować, musi zaakceptować odmienny porządek rzeczy.

Niemniej Morland pamiętał też cyniczne uwagi pana Midgeleya, który zawsze chciał skłonić ich do myślenia podczas lekcji historii.

– Bo wiecie, czego historia niezmiennie nas uczy? – pytał niekiedy ze swoim mocnym akcentem z Rochdale. – A tego, że kiedy ktoś jest całkiem pewien, co teraz nastąpi, może się założyć o swój dom, i jeszcze psa na dokładkę, że stanie się coś wręcz przeciwnego. Tak, właśnie, nigdy nie słuchajcie polityków. Za mało jest wśród nich historyków.

Godzinę później Morland siedział w całkiem zwyczajnie urządzonej gabinecie w jednym z budynków rządowych naprzeciwko Bērziņša, mężczyzny około sześćdziesięciu lat, z szoną siwych włosów i pokrytą zmarszczkami twarzą.

– Miło, chłopcze, że do nas wpadłeś – powiedział gospodarz. – Może herbaty? Twinings zaopatruje mnie regularnie w English breakfast.

Bērziņš był synem łotewskiego uchodźcy, urodzonym i wychowanym w Wielkiej Brytanii. Mówił perfekcyjnie po angielsku, z lekkim akcentem Sandhurst, co zostało mu po służbie oficerskiej w brytyjskiej armii. Na Łotwę przeprowadził się po upadku Związku Radzieckiego w 1991 roku i był obecnie dyrektorem Biura Ochrony Konstytucji, odpowiedzialnego za kontrwywiad i bezpieczeństwo wewnętrzne. Morland dostrzegł, że gospodarz cały czas go lustruje.

– Mamy tutaj trochę zagadkową sprawę i potrzebujemy pomocy ze strony Brytyjczyków. Wiem, że służysz jako doradca przy naszych siłach specjalnych i masz też kontakt z różnymi agencjami w Wielkiej Brytanii, nam zaś zależy akurat na czasie. Policja znalazła dziś rano dwa ciała przy pomniku Wolności. Były to zwłoki przywódców Rosyjskiego Związku Łotwy. Nazywali się Pietrow i Żdanow. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na rezultat jakiejś pijackiej bójki. Wkoło leżały potłuczone butelki po piwie, i wódce, a ci dwaj mieli poderżnięte gardła. Jednak przy bliższych oględzinach w kostnicy okazało się, że ktoś skrzył im karki. I to, powiedziałbym, bardzo fachowo. Co jednak najciekawsze, obaj mieli na piersi, nad sercami, wycięte insygnia Legionu Łotewskiego. To były dwie dywizje stworzone podczas wojny przez SS do walki z Rosją. Rekrutowano do nich właśnie Łotyszy.

– Tak – odparł Morland, nadal niepewny, czego odeń oczekiwano. W takiej sytuacji zawsze czuł się mocno nieswojo.

– W sumie jest oczywiste, że stoją za tym Rosjanie. Już od jakiegoś czasu śledzimy ich próby szerzenia dezinformacji i zdyskredytowania Łotwy na arenie międzynarodowej. Moi koledzy z Litwy i Estonii donoszą o tym samym. Normalna sprawa, czy też normalna dla nas. W zeszłym tygodniu jednak Rosyjski Związek Łotwy mocno się uaktywnił w związku z planowaną na jutro demonstracją. Wiemy, że ci dwaj rozmawiali niedawno z pewnym Rosjaninem, który dopiero co przyjechał do naszego kraju. Jest tu nowy i oczywiście go obserwujemy, niemniej twój zespół mógłby pomóc nam w monitorowaniu jutrzejszej demonstracji. Wszystko wskazuje na to, że jej przebieg wymknie się spod kontroli. Wyzaczyłem oficera łącznikowego, który będzie z wami pracował. Czeka na zewnątrz. Przedstawię was teraz i będziecie mogli od razu wziąć się do pracy.

Bērziņš włączył interkom.

– Poproście tutaj Marinę.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła niezwykle piękna kobieta.

Morland starał się nie pokazać, jakie naprawdę zrobiła na nim wrażenie. Miała jakieś pięć stóp i dziewięć cali, włosy blond, ale w popielatym odcieniu, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i wprost emanowała sprawnością fizyczną. Oficer gotów byłby się założyć, że uprawiała biegi na długie dystanse albo biegi narciarskie. Może

zresztą jedno i drugie. Bez najmniejszego trudu wytrzymała jego spojrzenie. Oczy miała szmaragdowe.

Bērziņš śledził całą scenę z niejakim rozbawieniem. Stary lis wiedział świetnie, jak prezentowała się jego podwładna. Morland jednak nie zamierzał dawać mu tej satysfakcji. Udało mu się ukryć zmieszanie.

– Marino, poznaj kapitana Toma Morlanda. Panna Marina Krauja będzie pracować z tobą i zapewni kontakt z łotewskimi służbami. Wszyscy już wiedzą, że mają udzielać wam każdej możliwej pomocy.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Miło mi pana poznać, kapitanie – odezwała się w nieskazitelnym angielskim.

– Tom Morland. Witam panią. – Uścisnął jej dłoń i spojrzał na gospodarza. – Wrócimy teraz do Ādaži, skąd wprowadzę w całą sprawę moje dowództwo. – Obrócił się z powrotem do Mariny. – Możemy iść?

– A może pojedziemy raczej moim samochodem? – spytała Krauja. – Tak będzie najwygodniej. Zyskamy na swobodzie ruchów i będziemy mogli porozmawiać po drodze.

– Dobry pomysł – zgodził się Morland, świadom tego, że jak na razie nie zostało zdecydowane, kto ma kim dowodzić, i tym samym służbowo oboje byli sobie równi. Jeśli Bērziņša i to bawiło, nie pokazał nic po sobie, tylko zajął się leżącymi na biurku papierami.

W drodze do obozu szkoleniowego Morland wypytał dziewczynę, o co tylko się dało. Jeśli mieli pracować razem, musiał coś o niej wiedzieć. Szybko odkrył, że biegłą znajomość angielskiego zawdzięczała ukończonym w Durham studiom literatury angielskiej. Tam też obroniła pracę dyplomową, po czym podjęła pracę u Goldmana Sachsa w Londynie. Gdy po kilku latach poczuła znudzenie City, wróciła do Rygi, żeby służyć swojemu krajowi.

Morland spytał ją też o zdanie na temat zagrożenia ze strony Rosji i usłyszał mniej więcej to samo, co zwykle w tym kraju.

– Zagrożenie jest niewątpliwe – odparła. – Prezydent Rosji coś szykuje. Trafiamy na coraz więcej śladów, które jednoznacznie na to wskazują.

Kapitan był zdumiony jej słowami, ale z drugiej strony pomyślał, że skoro także ludzie równie wykształceni i bywali w świecie jak Bērziņš i Krauja są przekonani o bliskim ataku Rosji, to coś jednak może w tym być.

– Historia nauczyła nas nie ufać Rosji – dodała Krauja. – Musisz odwiedzić kiedyś Muzeum Okupacji w Rydze. Tam zrozumiesz dlaczego. Nie ma na Łotwie rodziny, która nie ucierpiałaby w jakiś sposób na skutek rosyjskiej okupacji podczas drugiej wojny światowej. Albo później, gdy nasz kraj został włączony w skład Związku Radzieckiego. Moja matka urodziła się w syberyjskim obozie pracy. Dziadkowie zostali tam zesłani w latach pięćdziesiątych. Ostatecznie ich zwolniono, ale nigdy tak

naprawdę nie doszli do siebie. A dziesiątki tysięcy w ogóle stamtąd nie wróciły.

Morland milczał, rozumiejąc, że jako Brytyjczyk nie jest w stanie zrozumieć tego, co dotknęło Łotyszy w nie tak wcale odległej przeszłości.

– Owszem, nie znajdziesz lepszego przyjaciela niż Rosjanin – ciągnęła Krauja. – Sama mam kilku. Jak będzie trzeba, oddadzą ci ostatnią kopiejkę. Będą śmiać się z tobą, płakać razem z tobą i pić z tobą po kres życia. Ale jako naród... i jako sąsiad... są straszni.

Dojechali do Ādaži. Morland skierował się do skrzydła budynku, gdzie jego zespół miał swoje biuro. Gdy weszli, zastali w środku Wilda wprowadzającego na laptopie dane o ćwiczeniach z tego dnia.

– Cześć, szefie. Jak tam Ryga? Mamy coś ciekawego?

Reszta grupy też na nich spojrzała. Zwłaszcza na Krauję, która z kolei zmierzyła ich chłodno.

– Chłopaki, mamy nowe zadanie – powiedział Morland. – Poznajcie Marinę Krauję, naszą łotewską łączniczkę. – Jako zawodowiec nie przywiązywał większej wagi do formy rozmowy z podwładnymi. Wszyscy wiedzieli, że nie to było najważniejsze.

Wprowadził ich w sprawę, czekając na wyjęcie z walizki i ustawienie zestawu GCS-7520, służącego do satelitarnych wideokonferencji z możliwością szyfrowania połączenia. Zajmował się tym łącznościowiec zespołu, kapral Steve Bradley, bardzo wysoki Nowozelandczyk, po matce z domieszką maoryskiej krwi, który przejechał pół świata, żeby wstąpić do brytyjskiej armii. Gdy ustawił już częstotliwość i uzyskał połączenie ze Stałym Połączonym Sztabem w Northwood, Wild i dwaj pozostali członkowie zespołu, kaprale Paddy Archer i Jezza Watson, siedli z tyłu.

– Wszystko gotowe – powiedział Bradley.

Morland zajął miejsce przed ekranem o przekątnej 6,4 cala.

– Dobry wieczór, Jerry – przywitał się, zobaczywszy majora Jerry'ego Dingleya, oficera odpowiedzialnego za wspieranie zespołów szkoleniowych wysłanych do państw bałtyckich.

Potem przekazał, że ich praca postępuje zgodnie z planem i poczynili spore postępy w opanowywaniu programu odbijania zakładników. W przyszłym tygodniu mieli się zająć dalekim zwiadem i zadaniami patrolowymi, ale skoro Łotysze byli na swoim terenie, który znali lepiej niż ktokolwiek inny, zapewne nie da się nauczyć ich wiele w tej materii. Na końcu opowiedział o spotkaniu z Bērziņšem.

– Owszem, w pierwszej chwili można by sądzić, że morderstwa dokonali łotewscy nacjonaści, ale miejscowe służby są innego zdania. To zbyt czysta robota, a nacjonaści słyną z mało wyrefinowanych metod. Sposób zadania śmierci i wyrycie znaku Legionu Łotewskiego wskazuje raczej na Rosjan, FSB albo specnaz. Łotewskie służby mają kilka śladów, ale potrzebują pomocy, żeby rozpracować siatkę. Istnieje też poważne zagrożenie związane z planowaną na jutro prorosyjską demonstracją.

Uważamy, że Łotewscy nacjonaści będą próbowali ją zakłócić. Łotyszom trochę trudno jest zorganizować obserwację własnych rodaków. Obawiają się, że wywoła to kolejne napięcia. Dlatego poprosili nas o pomoc.

– Rozumiem – odparł Dingley. – J2 ostrzegało nas już przed czymś takim. Mam tu naszego łącznika z Centrali Łączności Rządowej. Powie ci, co mogą dla was zrobić.

Na małym ekranie pojawiła się twarz, którą Morland znał kiedyś lepiej niż swoją własną. Nie widział Nicoli Allenby od czasu opuszczenia Oksfordu. Ona była na informatyce i filozofii i radziła sobie świetnie, ukończyła studia z pierwszą lokatą na roku. Intrygująca, wesoła i wysportowana, jak można było oczekiwać po dziewczynie z Cheltenham Ladies' College, miała też talent do języków. Była córką dyplomaty i jeszcze w dzieciństwie opanowała biegle rosyjski, polski i niemiecki. Przyciągnięta możliwości treningowymi oferowanymi przez legię akademicką, zakochała się w nieoszlifowanym diamencie z West Midlands. W miarę pogłębiania się ich znajomości starała się nadawać mu coraz większy połysk, aż ostatecznie oboje wpadli po uszy i żyć bez siebie nie mogli.

Niemniej jakiś czas później, podczas balu majowego, urządzanego na zakończenie roku akademickiego, Morland zrobił coś, czego zaraz pożałował. Uderzył jednego z przyjaciół Allenby, wymoczkowatego agenta nieruchomości z Cirencester, który zaczął wygadywać coś o dresiarzach z Midlands. Spore znaczenie miało zapewne i to, że gość miał oko na Nicolę, ona jednak nie była zadowolona z reakcji Toma. Przez kilka następných dni unikała go, aż w końcu przysłała wiadomość tekstową, że chce spotkać się z nim na kawie w Brown's. Tam nie tknęła nawet cappuccino, które dla niej zamówił, tylko powiedziała, że nie widzi dla nich przyszłości, i wyszła z kafejki.

– Poznaj naszego nowego oficera łącznikowego z Centralą Łączności Rządowej, Tom – powiedział Dingley. – Nicky, przekazuję ci rozmowę.

– Już się spotkaliśmy... kiedyś w Oksfordzie. Miło cię znów zobaczyć, Tom. Chociaż ta maszynka daje raczej kiepski obraz. – Mówiła jak chłodna profesjonalistka, bez cienia emocji.

– Ja widzę cię nie najgorzej – odparł, dopasowując się do jej tonu. – Ważniejsze jednak, żebyśmy dobrze się słyszeli. Możecie nam pomóc?

– Przekaż mi, ile możesz, a zacznę się orientować, co będzie wykonalne.

Morland poprosił Krauję, żeby opowiedziała szczegółowo o infiltracji Rosyjskiego Związku Łotwy oraz wszystkim, co wiedziano o planowanej na następny dzień manifestacji rosyjskojęzycznych mieszkańców kraju. Wspomniała też o obawach związanych z możliwą kontrademonstracją łotewskich nacjonalistów.

– Sądzymy, że Rosjanie podburzają obie strony, żeby doprowadzić do zamieszek i stworzyć sobie pretekst dla podjęcia działań ochronnych wobec swoich ludzi. Tak jak stało się to wcześniej na Krymie i we wschodniej Ukrainie.

– Rozumiem – stwierdziła Allenby, wyraźnie nie chcąc wdawać się w dywagacje na



temat możliwego brytyjskiego podejścia do łotewskiego problemu. – Porozmawiam z moim zespołem i wprowadzę przełożonych w całość obrazu.

– Zwrócimy się też do Vauxhall Cross – dodał Dingley. Miał na myśli MI6, czyli Tajną Służbę Wywiadowczą z siedzibą w Vauxhall na południowym brzegu Tamizy. –

Zobaczymy, czy coś wyłowią. Z naszej strony wyraziliśmy zgodę na prośbę strony łotewskiej, żebyście podjęli obserwację manifestacji i meldowali o jej przebiegu.

– Zacznie się jutro około południa – powiedział Morland. – Dajcie mi znać wcześniej, czy coś macie. Dziś wieczorem pojedziemy do Rygi, żeby zapoznać się z planowaną trasą przemarszu i znaleźć dobre stanowiska do obserwacji.

Chwilę później zakończyli połączenie z Northwood i ekran pociemniał.

– Skoro mamy razem pracować, mogę ci mówić chyba po imieniu? – upewniła się Krauja.

– O ile będzie to wzajemne – odparł z uśmiechem Morland. Dobrze, że to ona postanowiła poruszyć sprawę.

– Oczywiście – stwierdziła. – Znasz tamtą dziewczynę?

– Kiedyś ją znałem... Ale wracajmy do roboty, Marina.

Morland wolał nie ciągnąć wątku, ale wyczuł, że Krauja już się czegoś domyśliła. Nie dość, że piękna, to i bardzo spostrzegawcza. Zwrócił się do swojego zespołu:

– Pora ruszać do Rygi i poszukać miejsc na jutro. Takich raczej dyskretnych.

– Pokażę je wam – zapewniła Krauja.

Środa 17 maja 2017 roku, godzina 8.00

Ryga, Łotwa

Dzień był pogodny, wczorajsze chmury zniknęły, ustał chłodny północny wiatr. Jednak mimo zapowiedzi dobrej pogody w Rydze wyczuwało się napięcie, zwykle tu nieobecne. Wstrząsająca wiadomość o zamordowaniu Pietrowa i Żdanowa obiegła już miasto, wywołując wzburzenie wielu miejscowych Rosjan.

Wronski wstał wcześniej, żeby zrobić właściwy użytek z tego, co stało się wieczorem. Kazał Breźniewie najpierw przekazać meldunek do Moskwy, a potem zając się mediami społecznościowymi, w pierwszym rzędzie Twitterem, żeby nakarmić rosyjskojęzycznych mieszkańców Łotwy odpowiednimi nowinami. Sam spotkał się z komitetem organizacyjnym demonstracji, dzięki czemu szybko wyłoniono nowego przywódcę, a potem usiadł z dowódcą Sił Samoobrony Rosjan i jego ludźmi, żeby ostatecznie ustalić przebieg całej demonstracji.

Zabójstwa przyniosły pożądany efekt. Gdy wieści obiegły Twittera i Facebook, do czego niewątpliwie przyczyniła się Breźniewa, etniczni Rosjanie zaczęli przejawiać coraz większą złość.

Już od rana wielu z nich kierowało się pieszo, na rowerach, autobusami czy przestarzałymi w większości tramwajami na miejsce zbiórki. Wronski obserwował ich z pobliskiej kawiarni, pijąc przy tym jedną kawę za drugą. Z czasem zaczęli pojawiać się ci z dalszych okolic, zwłaszcza z Dyneburga i innych miejscowości na wschodzie kraju, gdzie ludność rosyjskojęzyczna stanowiła większość. Niektórzy mieli obywatelstwo łotewskie, ale reszta pozostawała bezpaństwowcami, ponieważ nie chcieli przejść egzaminu z języka łotewskiego, a bez tego nie mieli szans na zmianę swojego statusu.

Jako mniejszość narodowa czuli się w ten sposób pokrzywdzeni, lecz od czasu wycofania w 1994 roku radzieckich oddziałów nie robili z tego wielkiego problemu. Raczej cieszyli się dostępnym dla nich nagle „zachodnim” stylem życia. Dopiero niedawno, od czasu rosyjskiego najazdu na Krym, zaczęli być podburzani przez rosyjską telewizję i inne środki przekazu, podkreślające, jak bardzo mniejszość rosyjska jest tu dyskryminowana, jak bardzo utrudnia się jej znalezienie pracy, a nawet próbuje się ograniczyć jej prawo do posługiwania się językiem rosyjskim. Codziennie powtarzano im, że Ojczyzna zadbałaby o nich znacznie lepiej.

Parę miesięcy temu pojawiła się dodatkowo prowokacyjna petycja łotewskich nacjonalistów, którzy domagali się zamknięcia wszystkich etnicznych Rosjan

w obozach koncentracyjnych, co dołało oczywiście oliwy do ognia i dało Kremlowi pretekst, żeby wezwać ludność rosyjskojęzyczną do obrony swoich praw obywatelskich. Uznawana przez nich za wiarygodną, rosyjska telewizja sugerowała nawet, że w razie potrzeby powinni stanąć do otwartej walki.

Tego przedpołudnia w Rydze liczba etnicznych Rosjan dwa, a może i trzy razy przewyższała liczbę mieszkańców miasta. W takiej ciżbie każda plotka zaczyna żyć własnym życiem. Zgodnie z instrukcją Wronskiego działająca pod różnymi nickami Breżniewa zaczęła zamieszczać w sieci apele do Matki Rosji o wzięcie wszystkich swoich dzieci w obronę.

Wykorzystała przy tym wypowiedziane ponad trzy lata wcześniej słowa prezydenta, oczywiście zaraz podchwyczone, że zdaniem 95 procent Rosjan ich kraj powinien chronić skutecznie wszystkich Rosjan, gdziekolwiek żyją.

Krótko potem jednak przekaz się zmienił. Nowe wpisy głosiły, że „Łotysze nigdy nas nie zaakceptują. To Rosja musi nas obronić. Musimy poprosić Rosję o pomoc”.

Morland i jego ludzie przebrali się na ten dzień w niewyróżniające się ubrania cywilne i podzielili się na pary. Marina Krauja zaprowadziła Morlanda na najwyższe piętro hotelu Europa Royale przy ulicy Krišjānisa Baronsa, dokładnie na planowanej trasie przemarszu demonstrantów. Z góry widać było ustawione wzdłuż jezdni szeregi policjantów, kolejne oddziały oczekiwały niedaleko w rezerwie. Sklepy i biura w centrum miasta się zamykały, wiele okien wystawowych zasłonięto dyktą albo deskami. Ludzie kierowali się czym prędzej do domów.

Marsz zaczął się wczesnym popołudniem. Wyróżnieni opaskami organizatorzy ustawili dziesiątki tysięcy ludzi w kolumnę i poprowadzili ich w kierunku starej części miasta. Towarzyszyło im miarowe skandowanie „Rossija, Rossija, Rossija”. Nad głowami tłumu widać było rozkołysane trójkolorowe flagi oraz portrety prezydenta Federacji Rosyjskiej, podpisane w różnych językach: „России слава”, „Glory to Russia”, „Chwała Rosji”. Po bokach szli młodzi ludzie z zasłoniętymi twarzami i plecakami pełnymi kamieni, próbując sprowokować policjantów, którzy stali nieruchomo w pełnym rynsztunku, z uniesionymi tarczami i pałkami w dłoniach. W pewnej chwili ktoś cisnął cegłą w nieosłonięte okno mijanego sklepu monopolowego. Część tłumu ryknęła dziko, podbiegła zwartą grupą i sięgnęła po łatwo dostępne na wystawie butelki. Niektórzy zaraz zaczęli je opróżniać.

Policja przeformowała szeregi i ruszyła, żeby odsunąć plądrujących od sklepu. Tłum nie wycofał się, więc użyto broni gładkolufowej i gumowych pocisków. Kilka osób padło, zostało odciągniętych i rzuconych na ziemię za szeregiem wozów policyjnych. Reszta jednak nie uspokoiła się, wręcz przeciwnie. Tłum wyczuł zapach krwi i chciał zemsty. Zaczęto włamywać się do kolejnych sklepów, nieco dalej obrócono do góry kołami kilka samochodów, które zaraz podpalono. Ekipy różnych stacji telewizyjnych, uprzedzone zawczasu przez Wronskiego, że coś będzie się działo,

zaczęły przekazywać obraz unoszącego się nad miastem dymu i szukać jak najlepszych ujęć tłumu szturmującego linie policyjne. Część zamaskowanych miała ze sobą koktajle Mołotowa, które ciskali w policjantów. Nie zawsze butelki odbijały się od tarcz, przez co niektórzy policjanci rzucili się na ziemię, żeby stłumić płomienie na mundurach.

Wronski znajdował się cały czas w samym środku kolumny, wydając rozkazy działaczom Sił Samoobrony, oni zaś przekazywali je dalej za pomocą telefonów komórkowych.

Gdy demonstracja zbliżyła się do parku Vērmanes, zwykle spokojnego ogrodu z tonącym w zieleni amfiteatrem, Krauja wskazała Morlandowi jednego z przywódców, idącego w tłumie.

– Ten mężczyzna, średni wzrost, koło trzydziestki, ciemne, krótko przycięte włosy. Ma rozpiętą czarną kurtkę i białą koszulkę pod spodem. Widzisz go? Idzie w otoczeniu ludzi z rosyjskich bojówek.

– Widzę – odparł Tom.

– Wydaje się tu dowodzić, chociaż jest nowy. To ten Rosjanin, którego przedwczoraj obserwowaliśmy. Jesteśmy pewni, że Pietrow i Żdanow spotkali się z nim na krótko przed śmiercią. Widzieliśmy, że szedł na Stare Miasto, ale potem nam się zgubił. Uważamy, że Moskwa przysłała go, żeby namieszał.

Morland uniósł swojego canona EOS 750D DSLR z obiektywem IS STM. Powiększona twarz pojawiła się w wizjerze.

– Mam cię, draniu – mruknął pod nosem.

W tej samej chwili od strony parku dobiegł ich ryk setek gardeł, gdy pochód zderzył się z kontrmanifestacją, zorganizowaną przez łotewskich nacjonalistów, czekających dotąd za gmachem uniwersytetu.

Schwytana pomiędzy dwoma wściekłymi tłumami policja nie miała szans. Nacjoniści też mieli koktajle Mołotowa i cegły, Rosjanie zaś sięgnęli jeszcze po odłamki szkła ze zniszczonych okien wystawowych i wyciągnięte zza pazuchy pałki. Podpalono kolejne samochody i walki rozniosły się na przyległe ulice. W tej chwili nikt już nie kontrolował tłumu.

Morland sięgnął teraz po lornetkę i odszukał spojrzeniem grupę przywódców. Zdążył zobaczyć, jak Rosjanin powiedział coś do telefonu komórkowego. Tylko parę słów, jakby wydawał rozkaz.

Chwilę później rozległy się trzy strzały, oddane najpewniej z dachu uniwersytetu. Taka seria wskazywała jednoznacznie na robotę snajpera. Co więcej, Morland pojął po chwili, że dźwięk był znajomy. Słyszał go ledwie tydzień temu na strzelnicy, gdy Łotysze urządzili dla jego ludzi pokaz rosyjskiego uzbrojenia piechoty. Pozwolono mu nawet oddać kilka strzałów. Ten wysoki dźwięk był typowy dla bardzo charakterystycznej broni, wytłumionego karabinka snajperskiego, stworzonego specjalnie dla specnazu. Był to WSS wintoriez, czyli „gwintownica”, strzelający

przeciwpancernym poddźwiękowym pociskiem kalibru 9 mm o rdzeniu z węgliku wolframu. Z odległości 100 metrów zdolny był przebić sześciomilimetrową płytę stalową.

Morland przypomniał sobie nawet żart, na który wtedy sobie pozwolił, że wolałby nigdy nie znaleźć się na niewłaściwym końcu tej broni. A teraz jakiś łajdak naprawdę użył jej wobec ludzi.

Chwilę później ktoś opróżnił połowę magazynka broni automatycznej.

– To już typowy AK-47M – mruknął Morland pod nosem.

Strzały zostały oddane chyba na oślep i raczej przez całkowitego amatora, nie kogoś przyuczonego do użycia tej broni.

Tłum zaczął uciekać. Morland nie widział, skąd padły strzały. Gdy skierował lornetkę w tę stronę, ujrzał drgające jeszcze ciała, leżące w kałużach krwi.

Ekipa z Russia Today, która dziwnym zbiegiem okoliczności znajdowała się najbliżej, podbiegła zaraz, żeby sfilmować ofiary. Były to trzy młode dziewczyny, Rosjanki z manifestacji. Zamordowane, rzecz jasna, przez szalonego łotewskiego nacjonalistę. Morland gotów był przysiąc, że zabił je snajper używający broni specnazu, ale wiedział też, że cały świat zobaczy zaraz tę scenę z całkiem innym komentarzem.

Jeszcze jakieś ofiary? Nie. Te pół serii miało chybić i służyło tylko zmyleniu świadków. Morland był pewien, że głównym sprawcą masakry był ten Rosjanin w czarnej kurtce, którego twarz udało mu się sfotografować. To on wydał rozkaz zabójstwa. To tak, jakby sam pociągnął za spust.

– Jeszcze cię dopadnę, draniu – obiecał kapitan.

Środa 18 maja 2017 roku, godzina 7.00

Narodowe Centrum Zarządzania Obroną, Moskwa

Fiodor Fiodorowicz Komarow już wcześniej rano przyjechał do Narodowego Centrum Zarządzania Obroną, gdzie miało się odbyć zebranie gabinetu wojennego. Wiadomości z Rygi dotarły do niego telefonicznie we wtorek wieczorem, gdy wrócił do swojego mieszkania na tyłach ulicy Twerskiej. Wcześniej ćwiczył na macie judo ze swoim szefem. Popijając herbatę w gabinecie dowódcy centrum, generała dywizji Michaiła Fiłatowa, sprawdził raz jeszcze, czy wszystko jest gotowe na przybycie prezydenta.

Umieszczony w narożniku gabinetu telewizor przekazywał całodobowy program Russia Today, gdzie co rusz powtarzano materiał o zamordowanych dziewczynach. Z ekranu spoglądały szczerze i uśmiechnięte twarze trzech obiecujących studentek Uniwersytetu w Rydze.

Komarow podniósł szklanekę herbaty w niemym toaście na cześć majora Wronskiego. Dobrze wybrał ofiary. Były piękne, żeby ich śmierć wzbudziła powszechne oburzenie. Komentatorka Olga Bataman, atrakcyjna i elokwentna prezenterka stacji, jeszcze dolewała oliwy do ognia, przypominając z pasją, jak to życie młodych, pracowitych, wykształconych rosyjskich dziewcząt zostało bezdusznie zgaszone przez uzbrojonego fanatyka. I to w chwili, gdy spokojnie korzystały z demokratycznego prawa do protestu przeciwko dyskryminującej polityce faszystowskiego państwa łotewskiego. Wspominano o rozpaczliwych prośbach Rosyjskiego Związku Łotwy o ochronę, pokazywano zapłakane twarze rosyjskich matek, które ze złością pytały, dlaczego ich dzieci musiały zginąć i jak to się stało, że łotewska policja pozwoliła uciec sprawcy. I kto będzie następny?

Tymczasem Fiłatow kręcił się nerwowo na swoim fotelu. Dowódca centrum prezentował się wręcz młodzieńczo ze starannie ułożonymi włosami i pełnymi ustami. Więcej w nim było z modnego fryzjera niż z rosyjskiego generała. Dobrze wiedział, że oto nadszedł jego wielki dzień. Ale dzień był też niebezpieczny. Gabinet wojenny rzadko się tu spotykał i oznaczało to, że Fiłatow i jego podwładni muszą dać z siebie wszystko.

Oddany do użytku w grudniu 2014 roku olbrzymi budynek centrum wzniesiono na brzegu rzeki Moskwy. Zaprojektowany w neostalinowskim stylu był jasnym sygnałem, że państwo rosyjskie odzyskiwało siły po latach chaosu i słabości, nastających na skutek upadku Związku Radzieckiego w 1990 roku. Prezydent, podobnie jak Romanowowie po wielkiej smucie w początku XVII wieku, widział siebie jako nowego Piotra

Wielkiego. Jego przeznaczeniem było przywrócić wielkość imperium rosyjskiego. Nowy, świetnie zabezpieczony i ufortyfikowany gmach, z szeregiem gabinetów operacyjnych, najnowocześniejszym superkomputerem z bankami danych, tajnymi drogami ewakuacyjnymi i lądowiskiem dla śmigłowca, był wyraźnym sygnałem jego intencji. I lepiej, żeby wszystko zadziało teraz jak powinno, bo w przeciwnym razie ta odrodzona Rosja pokaże Fiłatowowi, gdzie raki zimują.

– Towarzyszu generale – odezwał się adiutant Fiłatowa. – Wszyscy członkowie gabinetu wojennego są już są na miejscu, a śmigłowiec prezydenta ma wylądować za dziesięć minut.

Niedługo potem Komarow i Fiłatow, jako dowódca centrum, stali na skraju lądowiska, obserwując pękatą sylwetkę zbliżającej się maszyny. Była to ulubiona przez prezydenta zmodernizowana wersja Mi-8, sprawdzonego wielokrotnie „konia roboczego” rosyjskich sił zbrojnych.

Gdy przycichł trochę ryk silników i osłabł podmuch od wirnika, boczne drzwi odsunęły się i prezydent zeskoczył zwinnie na ziemię, całkiem ignorując podstawione przez czujną obsługę naziemną schodki. Mimo pochmurnego dnia nosił panoramiczne okulary przeciwsłoneczne.

Na służbisty salut Fiłatowa odpowiedział lekkim machnięciem dłoni i zaraz kazał się prowadzić do sali spotkań gabinetu wojennego.

Generał niepewnie pokazał drogę obok gwardzistów z kompanii honorowej, wysokich na co najmniej metr osiemdziesiąt, w wysokich i lśniących butach, z prezentowanymi dumnie starymi, jeszcze radzieckimi karabinkami automatycznymi SKS.

Drzwi do budynku otworzyły się jakby same. Potem była winda, którą zjeżdżało się do głębokich podziemi chroniących nawet przed atakiem rakiet balistycznych. Tam mieściła się główna sala centrum, z kuliście ustawionymi biurkami i rzędami komputerów. Na ścianach wisiały ekrany ukazujące położenie tak rosyjskich, jak i wrogich jednostek na Ukrainie. Były też zdjęcia satelitarne zniszczonego Mariupola w południowo-wschodniej części zaatakowanego kraju. Jeszcze inne ekrany telewizyjne pokazały nieustannie serwisy informacyjne takich stacji, jak Russia Today, Al-Dżazira, BBC News 24 i CNN.

Na pomoście ponad salą powitał prezydenta generał Michaił Gariejew, szef Sztabu Generalnego, muskularnie zbudowany Tatar. W przeciwieństwie do wymuskanego Fiłatowa prezentował się bardzo wojskowo, jak prawdziwy generał dwudziestego pierwszego wieku. Pokrótce zapoznał prezydenta z ostatnimi nowinami na temat błyskawicznego natarcia na Krymie.

– Władimirze Władimirowiczu, szacujemy, że w ciągu dwudziestu czterech godziny zdołamy zabezpieczyć zdobyty teren.

– Bardzo mnie to cieszy, Michaiile Nikołajewiczu – odparł krótko prezydent. – Teraz

do sali gabinetu wojennego.

W pomieszczeniu za drzwiami na drugim końcu pomostu znajdował się okrągły stół, wokół którego zgromadzili się pozostali członkowie gabinetu. Ekran na ścianach był mniejszy, ale pokazywały dokładnie to samo, co ich wielcy bracia w głównej sali. Okalały je takie same zielone zasłony jak te wiszące w prezydenckim gabinecie na Kremlu. Nawet obwiązujące je złote sznury były identyczne. Za fotelem prezydenta umieszczono jedną tylko dekorację: dwugłowego rosyjskiego orła na czerwonym polu.

Nikt nie nastawiał się na dłuższe dyskusje. Prezydent od razu zwrócił się do dyrektora FSB, Mierkułowa. Jako były szef FSB i agent KGB sam dobrze wiedział, że nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika.

– Ławrientiju Pawłowiczu, interesują mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, czy przygotowania na Łotwie dobiegły końca? Po drugie, czy NATO zareaguje?

Komarow odnotował z aprobatą, że Mierkułow bez wstępów przeszedł do rzeczy.

– Władimirze Władimirowiczu, odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak. Wczorajsze zamieszki w Rydze były zwieńczeniem naszych wysiłków. Łotewska gospodarka została poważnie osłabiona przez wybuchające w ciągu ostatnich dwóch lat strajki. Nasza propaganda zdecydowanie podsycała niezadowolenie wśród rosyjskojęzycznej mniejszości i doprowadziła do polaryzacji poglądów wśród samych Łotyszy. Rekrutująca się spośród miejscowych Rosjan milicja jest już przeszkolona, zorganizowana i gotowa. Wczorajsze zabójstwo trzech dziewcząt wywołało oczywiście nasilenie głosów żądających od Rosji stanięcia w obronie naszych rodaków na Łotwie. Integralność tego kraju została poważnie naruszona i sądzę, że czas już przejść do następnej fazy operacji.

– A jaka jest odpowiedź na moje drugie pytanie? Co z amerykańskimi oddziałami stacjonującymi rotacyjnie w sile brygady w różnych krajach Europy Wschodniej? Jak pamiętam z wcześniejszej odprawy, w tym roku zamierzano rozmieścić tam sprzęt dla jeszcze jednej brygady. Parę lat temu zaś premier Spencer z Wielkiej Brytanii zaskoczył nas, ogłaszając, że Wielka Brytania zamierza przeznaczyć na obronę dwa procent produktu krajowego brutto.

– Z całym szacunkiem, Władimirze Władimirowiczu, chociaż w obu tych kwestiach ma pan rację, zdaniem FSB były to tylko obietnice polityczne, chwilowo całkiem bez znaczenia. Ładnie brzmiące nagłówki prasowe i tyle. Owszem, Amerykanie mają całą brygadę rozrzuconą od Estonii po Bułgarię, ale trudno uznać te oddziały za liczącą się siłę. W tym celu trzeba by je skoncentrować i zgrać z miejscowymi jednostkami. To warunek ich skuteczności, a jak na razie nie został on spełniony i nie ma żadnych szans, żeby udało im się to w czasie krótszym niż tydzień. To wystarczy nam do osiągnięcia naszych celów. Co się zaś tyczy drugiej brygady, to w ogóle można się nią nie przejmować. To sam sprzęt. Pojazdy bez załóg nie znaczą wiele, że o koncentracji nie wspomnę. Tak więc NATO w obecnej chwili niewiele może zrobić, chociaż istnieje



niebezpieczeństwo, że w dłuższej perspektywie rozbudowa sił zbrojnych Zachodu może stać się dla nas zagrożeniem.

– A Brytyjczycy?

– To wciąż dobrzy żołnierze i najlepiej uzbrojona armia w Europie, nawet jeśli część ich generałów woli wysługiwać się politykom, niż dowodzić wojskiem. Mimo to jednak nadal mogą równać się spokojnie z dowolną armią świata.

Garajew pokiwał głową.

Komarow dostrzegł w oczach prezydenta błysk złości wywołanej pochwałą Brytyjczyków, szybko jednak uciszzonej krytyką ich generalicji.

– Dodatkowe wydatki? – ciągnął Mierkułow. – To wszystko na pokaz. Dla gazet. Brytyjski rząd robi sztuczki z budżetem obrony, włączając do niego budżety agencji wywiadowczych, a nawet służby cywilnej, żeby tylko nadmuchać go ponad dwa procent PKB. W rzeczywistości odrabianie skutków cięcia wydatków na cele wojskowe w minionym dziesięcioleciu zajęłoby im całe lata i kosztowało o wiele więcej, niż są skłonni na to przeznaczyć. Sami dobrze to znamy. Nadganieanie wszystkich zaniedbań, których dopuścili się ci zdrajcy, Gorbaczow i Jelcyn, zmusza nas corocznie do czterdziestoprocentowego wzrostu nakładów na wojsko.

– Jakie są ich słabe punkty, Ławrientiju Pawłowiczu? – spytał nieustępliwie prezydent.

– To długa lista. Za większość odpowiedzialny jest sekretarz obrony Everage. Dorobił się milionów na przemyśle mięsnym. I może wie, jak zwiększyć dochody przy handlu kiełbasą, ale na strategii wojennej się nie zna. Gdzie miałby się tego nauczyć? Do tego trzeba dobrze znać i rozumieć historię, trzeba wiedzieć, czym jest wojna – dodał z uśmiechem Mierkułow.

Prezydent skinął na niego, żeby mówił dalej. Chyba spodobało mu się to porównanie.

– Co więcej, takie radykalne cięcie kosztów skłóciło go z większością kadry dowódczej. Stan regularnej armii zmalał dzięki niemu o prawie dwadzieścia procent. Jego zdaniem można to zrównoważyć oddziałami rezerwistów. Gdy generałowie powiedzieli mu, że rezerwiści nigdy nie zdołają zastąpić wykwalifikowanych i odpowiednio wyszkolonych zawodowców, on ich zignorował. Ale generałowie mieli rację. Tylko ktoś gotów szukać oszczędności za niemal każdą cenę i bez zrozumienia strategicznych konsekwencji takich cięć może godzić się na równie wielkie ryzyko. –

Mierkułow przerwał, niepewny, jak daleko prezydent chce wchodzić w podobne szczegóły.

Komarow wiedział jednak, że prezydent uwielbia podobne dygresje.

– Słucham. I co dalej?

– Ich premier musi szukać oszczędności, żeby zmniejszyć deficyt, i dlatego mianował biznesmena do tej roboty. On zaś zrobił to, czego od niego oczekiwano,

i brytyjski premier uznaje to za sukces. Ale będą musieli spłacić dywidendy. Zapłacą jeszcze krwią za te wszystkie złe i nieprzemyślane decyzje.

– Pieniężmi też zapłacą – zauważył prezydent.

– I na tym polega geniusz pańskiego planu, Władimirze Władimirowiczu. NATO i Zachód będą myśleli, że chodzi o ochronę etnicznych Rosjan, chociaż celem jest zachwianie równowagą sił w Europie. Kiedy NATO nie zareaguje na zajęcie przez nas Pribałtyki, zostanie tym samym pokonane i prawdopodobnie się rozpadnie. W tym momencie przestanie stanowić zagrożenie dla Rosji. Bez NATO Europa będzie zmuszona błagać nas, żebyśmy nie szli dalej. I pewnie rzeczywiście nie pójdziemy dalej poza wschodnią Polskę, która w przeszłości była częścią Rosji. Paryż będziemy woleli odwiedzać jako turyści. Ale nasza wyrozumiałość będzie miała swoją cenę. Będziemy się domagać zniesienia tych karygodnych sankcji. Kiedy nasze zwycięskie armie będą stały u ich granic, a nasze rakiety atomowe zostaną wycelowane w ich domy, to czy zdołają nam odmówić? Sądzę, że nie. G7 znowu zmieni się w G8, z Rosją jako czołowym graczem. Czy w takiej sytuacji Międzynarodowy Fundusz Walutowy ośmieli się odmówić nam pożyczek na preferencyjnych warunkach? Wątpię. A jeden z moich ludzi zaczął nawet zastanawiać się nad tym, czy kiedy ponownie opanujemy kraje bałtyckie, należące przecież do Unii Europejskiej, to i nas nie zechcą przypadkiem do niej przyjąć. Zawsze to trzy głosy...

Odpowiedział mu wybuch śmiechu, ale Komarow był pewien, że mimo żartobliwego tonu Mierkułow powiedział to całkiem poważnie.

Począł chwilę, aż gwar przycichł, i podjął wątek:

– Ponieważ Rosja zawsze była częścią Europy, jako członek Unii będziemy mieć prawo do otrzymywania środków z pomocy strukturalnej i inwestycyjnej. Jeśli spróbują odmówić, wystawią się na nasze pociski. NATO już ich nie obroni.

Prezydent uśmiechnął się lekko.

– Tak, Borysie Michajłowiczu, to będzie bardzo dobra wiadomość dla naszego wiecznie zatroskanego ministra finansów. Ale jestem pewien, że znajdzie sobie wtedy nowy powód do zmartwień – dodał ze wzruszeniem ramion.

– Dlatego biznesmeni i księgowi powinni trzymać się z dala od wojennego rzemiosła – odpowiedział Mierkułow.

– Dokładnie – zgodził się prezydent. – A teraz chcę usłyszeć więcej o problemach Brytyjczyków.

Komarow wiedział, że prezydent uwielbia takie generalskie opowieści o głupocie i krótkowzroczności jego przeciwników. Nie tylko upewniało go to w mniemaniu, że jego własne plany były doskonałe, ale równocześnie uświadamiało samemu generałom, jak wielkie szczęście ich spotkało, że mieli takiego właśnie wodza. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Jeśli chodzi o ich niegdyś potężną marynarkę wojenną, nie zastąpili jeszcze

niczym zełomowanych pospiesznie jednostek eskortowych, a budowane przez nich lotniskowce są wciąż bez samolotów. Podobnie miną jeszcze dwa lata, nim podjęta w 2015 roku decyzja o zakupie nowych samolotów do zwalczania okrętów podwodnych i morskich samolotów patrolowych przyniesie pierwsze efekty. Nie do wiary, że wyspiarski naród okazał się tak lekkomyślny. Można by oczekiwać, że znają morze tak samo, ja my znamy stepowe równiny. Ale ten brytyjski rząd jakoś tego nie pojął. A jeśli chodzi o ich równie słynną niegdyś armię, sądzimy, że obecnie jest tak słaba, że już przerzucenie jednej brygady, o dywizji nawet nie wspominając, będzie dla nich dużym wyzwaniem. Wystarczy wspomnieć, że gdy w listopadzie ubiegłego roku skierowali do Polski grupę pancerną, która miała wziąć udział w ćwiczeniach NATO, nasi agenci w Wielkiej Brytanii słyszeli niepotwierdzone pogłoski, że myślano nawet o ściągnięciu tych czołgów z ich rezerwy floty szkoleniowej w Kanadzie. Podobno stan techniczny i dostępność części zamiennych do ich własnych pojazdów pozostawiały naprawdę wiele do życzenia.

– I co zrobili? – spytał prezydent.

– Skończyło się na kanibalizacji czołgów, które mieli u siebie i w Niemczech, dzięki czemu skompletowali pół batalionu sprawnych pojazdów. Chodziło o uratowanie twarzy.

– I udało im się?

– Nie. – Mierkułow pozwolił sobie na kolejny uśmiech. – Chociaż wszyscy ich partnerzy byli zbyt uprzejmi, żeby powiedzieć to głośno. Sami wojskowi byli mocno zakłopotani sytuacją, ale politycy woleli udąć, że nic się nie stało.

– Naprawdę mamy wielkie szczęście, że brytyjski minister obrony tak bardzo zaszkodził ich siłom zbrojnym. A co ze zdolnością NATO do wzmocnienia Łotwy? – spytał prezydent.

– Wszystko wskazuje na to, że ich wspólne Siły Natychmiastowego Reagowania to też jakby pic na wodę. Zaczynając od tego, że planowane są w sile brygady, co daje około pięciu tysięcy ludzi, którzy raczej nieprędko dostaną ciężki sprzęt. Brak im też stałych struktur dowodzenia, jeśli chodzi o jednostki rozrzucone na całym terenie NATO, od Norwegii po Albanie. A na dodatek ich przerzucenie w dowolne miejsce wymaga zgodnej decyzji wszystkich dwudziestu ośmiu członków Rady Północnoatlantyckiej. Nasi przyjaciele z kilku natowskich stolic zapewniają nas, że uzyskanie takiej zgody jest nadzwyczaj mało prawdopodobne. A nawet gdyby do tego doszło, nie zdążą zareagować na czas – podsumował Mierkułow.

– Zatem Pribałtyka stoi przed nami otworem? – spytał prezydent, rozglądając się wkoło.

Wszyscy obecni pokiwali głowami.

– Towarzysze, jako powiedział kiedyś wielki poeta i dramaturg William Szekspir: „Jest prąd we wszystkich ludzkich sprawach bystry, chwycony w porę wiedzie do

zwycięstwa”<sup>1</sup>. To jest nasz prąd i musimy go chwycić. Historia nie obejdzie się z nami łaskawie, jeśli nie wykorzystamy tej chwili, żeby zapobiec dalszemu ograniczaniu nas przez NATO, a ostatecznie także agresji z ich strony. Mamy sposobność, żeby zniszczyć ich, póki jeszcze są słabi, i nie wolno nam tej szansy przegapić.

Dla większego efektu przerwał na chwilę.

– Pora zacząć atak na kraje bałtyckie – dodał po chwili cichym, ale nabrzmiąłym groźbą głosem.

1. *Juliusz Cezar* w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Czwartek 18 maja 2017 roku, godzina 10.00

Obóz szkoleniowy A-daži, Łotwa

Tom Morland oraz jego łotewska łączniczka Marina Krauja spotkali się w tymczasowym biurze grupy, urządzonym w szkoleniowym skrzydle budynku obozu Ādaži. Obecny był też kapral Steve Bradley, którego zadaniem było zapewnienie łączności z brytyjskim dowództwem. Nowozelandzki olbrzym ze zdumiewającą biegłością obsługiwał delikatną aparaturę.

Tym razem sytuacja po drugiej stronie łączy nieco się rozwinęła. Można powiedzieć, że odzwierciedlała zmiany, jakie zaszły na świecie od poprzedniego seansu wideołączności. W sali konferencyjnej Stałego Połączonego Sztabu, pod orłem, kotwicą i mieczami, symbolem Połączonych Służb, oprócz majora Jerry'ego Dingleya pojawił się dowódca bałtyckich zespołów, podpułkownik Nicholas Graham, łysiejący artylerzysta w silnych okularach, którego Morland spotkał przelotnie na odprawie przed wyruszeniem na Łotwę. Ekran był raczej niewielki, ale można było dojrzeć w nim też siedzącą z boku Nicky Allenby.

Prowadzący sesję Graham z początku był bardzo miły.

– Dobry, Tom. Skończyło się lenistwo w pięknej Łotwie. Paskudnie tam namieszaliście! – Potem jednak przeszedł do tematu. – Dziękuję za wstępny raport na temat wczorajszych wydarzeń, bardzo się przydał. Puściliśmy go już w obieg u nas i w Whitehall. Wszyscy o tym mówią, a co gorsza, wychytujemy niepokojące ruchy po rosyjskiej stronie granicy. Ale najpierw dodaj trochę szczegółów na temat wczorajszego dnia, żebyśmy mogli lepiej poczuć łotewską atmosferę. Przede wszystkim chcę wiedzieć, na ile cała ta sprawa jest robotą prowokatorów. Rosyjskich czy jakichkolwiek innych.

Morland przekazał pokrótce to, co zaobserwował wczoraj wraz ze swoimi ludźmi, a następnie skupił się na pytaniu dowódcy.

– Sir, nie ma wątpliwości, że to, co wydarzyło się wczoraj, zostało starannie zorganizowane. Zamieszki nie wybuchły przypadkowo, ktoś je zaplanował. I ten ktoś był zawodowcem. Jestem całkowicie pewien, że organizatorzy demonstracji należą do jakiejś paramilitarnej organizacji etnicznych Rosjan. I dzięki Marinie oraz łotewskim służbom wiemy już, kto nimi kieruje.

– Tak? – spytał Graham.

– Mówię o człowieku wskazanym mi przez Marinę. Łotysze mieli go już wcześniej pod obserwacją. To facet ze zdjęcia, które przesłałem wam wieczorem. W czarnym

polarze, z ciemnymi włosami. Drań wygląda na twardziela i prawdopodobnie jest z rosyjskich sił specjalnych, chyba FSB. Z tego, co widziałem, to on najpewniej wydał przez komórkę rozkaz snajperom, żeby zabili te dziewczyny. Sądząc po odgłosie strzałów, jestem prawie pewien, że zostały oddane z karabinu snajperskiego WSS. Późniejsza seria z AK-47 była tylko na pokaz. Łotysze prezentowali nam miejscową broń i strzelałem akurat z WSS w zeszłym tygodniu.

– Rozumiem. Analitycy z J2 pracują już nad tym zdjęciem. Sprawdzają też zapis zdarzeń z telewizji. Może uda im się dodać coś do twojej relacji. Dobra robota.

– Przypuszczam, że Centrala Łączności Rządowej spróbuje ustalić numer jego telefonu komórkowego. Założę się, że będzie powiązany jakoś z numerami, które przekazaliśmy wam wcześniej. Zdjęcie zostało wykonane jakieś dziesięć minut przed oddaniem strzałów. To chyba może trochę pomóc? – Morland spojrzał pytająco na Allenby.

– Spokojnie, już się tym zajmujemy.

– Ale to też sprawdzimy. A poza tym my też mamy trochę nowych danych na temat sytuacji strategicznej. Chyba powinieneś je poznać. – Graham odwrócił się do Dingleya. – Przekazuję ci głos, Jerry.

– Rosjanie prawie już zamknęli ukraińskie oddziały w kotle w południowo-wschodniej części ich kraju i można powiedzieć, że tamta kampania dobiegła praktycznie końca. Mamy jednak doniesienia, że Rosjanie niebawem zaczną kolejne ćwiczenia z ostrym strzelaniem. Tym razem obejmą Zachodni Okręg Wojskowy oraz Flotę Bałtycką. Wydaje się też, że i Flota Północna, stacjonująca w Siewieromorsku, czyli na północ od Murmańska, nad Morzem Barentsa, otrzymała rozkaz wyjścia. Dotyczy on grupy bojowej lotniskowca oraz części atomowych okrętów podwodnych z raketami balistycznymi na pokładzie.

Zamilkł na chwilę, dając Morlandowi czas na przetrwanie nowin.

– Szósta Armia, stacjonująca w Sankt Petersburgu, opuściła koszary i skoncentrowała siły przy granicy z Łotwą i Estonią. Mamy też sygnały, że Pierwsza Gwardyjska Armia Pancerna z Moskwy ładuje się na eszelony, żeby wesprzeć Szóstą Armię, która będzie mogła dzięki temu wydłużyć czas prowadzenia operacji bojowych. Najbardziej niepokojące są jednak ruchy dwóch brygad specnazu z Pskowa, gdzie stacjonuje Siedemdziesiąta Szósta Gwardyjska Dywizja Powietrznodesantowa. W tej chwili Druga i Dwudziesta Szósta Brygada przeprowadzają ćwiczenia z relokacji. A nie trzeba wam chyba przypominać, że Psków jest odległy o pięćdziesiąt minut lotu od Rygi.

Morland był w pełni świadom tego faktu. Jego przyjaciele z łotewskich sił specjalnych powiedzieli mu, że przerzucenie spadochroniarzy do Rygi nie powinno zająć Rosjanom więcej niż cztery godziny. I pytali, co NATO może z tym zrobić. Tom nie znalazł odpowiedzi, przynajmniej takiej, która spodobałaby się miejscowym.

– Co z siłami powietrznymi? – spytał, odsuwając ponure myśli o bezradności Sojuszu wobec tak masowej mobilizacji rosyjskich oddziałów.

– Dochodzimy do tego, Tom. Ich Szesnasta Armia Powietrzna może dotrzeć do państw bałtyckich ze stałych baz i znajduje się chyba teraz w stanie pełnej gotowości bojowej. Została wzmocniona dwoma pułkami zmodernizowanych bombowców Su-34 Fullback. Otrzymała także nowe myśliwce MiG-29SMT Fulcrum dla zastąpienia zwykłych dwudziestekdziesiątek. Mają też zmodernizowane szturmowe Su-25 Frogfoot. To stara konstrukcja, ale dobrze sprawiła się w wielu operacjach, zwłaszcza w Czeczenii i Gruzji.

– Dzięki, Jerry – powiedział Morland. – Rozumiem.

– Tom, chcę, byś znał obraz strategiczny, bo mam dla ciebie nowe zadanie – odezwał się szef zespołów na państwa bałtyckie. – Robota szkoleniowa dobiegła końca. Od dzisiaj jesteś naszym oficerem łącznikowym na Łotwę. Zespół pozostaje pod twoim dowództwem, ale będziecie zdani na siebie. Jak wiesz, nasz tamtejszy attaché wojskowy został wycofany w ramach ostatnich cięć budżetu obrony. Teraz wy będziecie naszymi uszami i oczami.

– Rozumiem, sir. – Morland poczuł przyływ podniecenia połączonego jednak ze sporą obawą. Lada chwila mógł znaleźć się w samym środku prawdziwego konfliktu zbrojnego.

– To, co obecnie obserwujemy, nie da się jednoznacznie zakwalifikować, Tom. Wprawdzie przypomina mocno scenariusz z Krymu i wschodniej Ukrainy, ale cała akcja może mieć na celu osłabienie integralności Łotwy bez zamiaru jawnej agresji na ten kraj. Ale mogą to być przygotowania do czegoś znacznie poważniejszego. Na razie nie wiemy, jak jest naprawdę. Sytuacja może rozwinąć się w obu kierunkach. Wielu uważa, że to tylko burza w szklance wody, i tylko dlatego pozostawiono nam jeszcze dowództwo nad waszym oddziałem. Ja jednak nie zaliczam się do optymistów. Dlatego chcę, żebyś pilnie nadstawiał ucha i meldował nam, gdy trafisz na coś ważnego. Przeniesiesz się do naszej ambasady, gdzie są lepsze urządzenia łączności. Będziesz tam też bezpieczniejszy, z lepszymi warunkami lokalowymi. Oczekuję, że będziesz ściśle współpracował z łotewskim szefem obrony, generałem Raimondsem Balderisem. To dobry człowiek. Był u nas w zeszłym roku. Skontaktowaliśmy się już z jego biurem, oczekuje cię dzisiaj po południu. Nawiąż też kontakt z ich połączonym dowództwem Narodowych Sił Zbrojnych i przede wszystkim ściśle współpracuj z siłami specjalnymi.

– Zrozumiałem, sir.

– Chcesz mnie jeszcze o coś spytać?

– Na razie nie, sir.

– I dobrze. Gdyby coś, kieruj pytania do Jerry'ego. Zwykle kontakty i wsparcie będą szły przez niego. My odezwiemy się po zakończeniu analizy twojego zdjęcia

z demonstracji. Podobnie Nicky przekaże wyniki analizy połączeń telefonicznych z Rygi. Powodzenia.

Ekran ponownie pociemniał.

– Cóż, sir – skomentował lakonicznie Wild. – To tyle na temat naszej zwykłej roboty.



Czwartek 18 maja 2017 roku, godzina 14.00

Kwatera główna NATO, Bruksela

Jak przystało na marine, który spędził większość pierwszego okresu swojej kariery na morzu, gdzie co rusz przychodziło mu czekać beczynnie na pokładzie okrętu, aż zostanie wysłany do akcji, McKinlay miał niemal niezmiernie zasoby cierpliwości. Dzisiejsza próba należała jednak do tych najcięższych. Po raz trzeci od niedzieli znowu siedział przy wielkim okrągłym stole w sali posiedzeń Rady Północnoatlantyckiej. Jego bezpośredni przełożony, naczelny dowódca sił NATO na Europę, ponownie został wezwany za ocean, żeby zeznawać przed senacką Komisją Sił Zbrojnych, i trzeba go było zastąpić.

Drugie spotkanie w tym tygodniu nie różniło się wiele od niedzielnego i tak samo obfitowało w podszyte egoizmem wypowiedzi ambasadorów państw członkowskich, których kraje nie miały liczących się sił zbrojnych i których zaangażowanie we wspólną sprawę było co najwyżej symboliczne, w praktyce zaś zwykle żadne. Niemniej McKinlay wiedział też, że choć posiedzenia Rady bywały irytujące, to w przeszłości nierzadko kończyły się podjęciem naprawdę ważnych decyzji. A gdy decyzja już zapadała, kraje członkowskie poczuwały się do jakiegoś działania. Wstyd było postąpić inaczej, a politycy jak ognia unikali tego, co mogło okryć ich niesławą.

McKinlay nieustannie podziwiał też sekretarza generalnego Kostilka za sposób, w jaki prowadził obrady. Owszem, wielu ambasadorów narzekało na byłego polskiego premiera, że nie dawał im wystarczająco dużo czasu, aby w pełni mogli wyjaśnić stanowiska swoich państw, ale przynajmniej sprawy posuwały się naprzód.

Gdy ambasadorowie zaczęli powtarzać te same frazesy, przerywał im bezceremonialnie i prosił, żeby skupili się na tym, co było w tej chwili najważniejsze. No i był jeszcze przewodniczący Komitetu Wojskowego, duński generał Knud Vahr, o którym McKinlay miał zapewne jeszcze lepsze zdanie. Biedak musiał nie tylko znosić niekończące się spotkania Rady, ale miał też na głowie wszystkich starszych oficerów z Komitetu Wojskowego, który był ciałem o dużym bezwładzie. Rzadko ktokolwiek chciał tam naprawdę działać. O wiele ciekawsze było uczestnictwo w brukselskich rautach i przyjęciach dyplomatycznych, które dawały kończącym już znakomite kariery generałom szansę na zawarcie znajomości mogących kiedyś zaprocentować nader intratnymi umowami konsultanckimi.

Dzisiejsze spotkanie zostało zwołane w związku z wczorajszymi zamieszkami w Rydze. Organ decyzyjny NATO debatował nad zagadnieniem, które miało żywotne

znaczenie dla samego istnienia Sojuszu: czy ostatnie wydarzenia na Łotwie winny być rozpatrywane w kontekście artykułu piątego? Ów fundamentalny dla NATO artykuł głosił, że atak na jedno z państw członkowskich jest równoznaczny z atakiem na wszystkie. To zobowiązywało członków Sojuszu do udzielenia ofierze pomocy – tak jakby najechano ich kraje. Porządek obrad przewidywał rozstrzygnięcie kwestii, czy trzy państwa bałtyckie, Łotwę, Estonię i Litwę, można było uznać za na tyle zagrożone obcą agresją, żeby ogłosić podwyższony stan gotowości bojowej dla całego Sojuszu.

Pierwszy raz od czasu ataków z 11 września i dopiero drugi raz w historii w ogóle powołano się na artykuł piąty w podobnym kontekście. McKinlay był w pełni świadom powagi sytuacji.

Nie wszyscy jednak zdawali się to rozumieć. Niektórzy z zasiadających przy okrągłym stole byli wyraźnie poirytowani faktem, że przez napięty grafik zajęć sekretarza generalnego spotkanie zostało zwołane w porze lunchu. Niejednemu ambasadorowi przepadał z tego powodu zapłacony z cudzej kieszeni wystawny posiłek i McKinlay mimo wszystko nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok sprowadzonych dla zażegnania kryzysu kulinarnego belgijskich kelnerów. W białych koszulkach i czarnych kamizelkach, wszyscy pod muchą, krążyli po sali, rozdając małe tabliczki czarnej czekolady Cote d'Or, która miała nieco ukoić wielki głód ambasadorów.

Gdy zrobili już swoje i wyszli, sekretarz otworzył spotkanie. O rozpoczęcie dyskusji poprosił ambasadora Łotwy, jako przedstawiciela jednego z najbardziej zagrożonych obecnie członków Sojuszu.

– Panie sekretarzu generalny, szanowni posłowie i generałowie, drodzy koledzy i przyjaciele, tylko raz w swojej sześćdziesięcioośmioletniej historii NATO sięgnęło po artykuł piąty. Było to po bezprecedensowym ataku na USA w dniu jedenastego września 2001 roku. Aż za dobrze wszyscy pamiętamy tamten dzień hańby. Dzisiaj stajecie przed podobnym wyzwaniem na prośbę mojego kraju oraz naszych bliskich przyjaciół i sąsiadów z Estonii i Litwy. Ambasadorowie tych państw sami przedstawią swoje stanowiska, niemniej z naszej perspektywy kilka ostatnich miesięcy, a zwłaszcza wczorajsze zamieszki w Rydze, to czas agresji w nowym rosyjskim stylu. Agresji obliczonej na osłabienie integralności państwa łotewskiego bez przekroczenia naszych granic przez zbrojne formacje najeźdźcy. Zasady prowadzenia wojny uległy zmianie i obecnie jesteśmy na Łotwie świadkami agresji z wykorzystaniem środków pozamilitarnych, które mają jednak zapewnić osiągnięcie takich samych celów politycznych i strategicznych jak tradycyjna wojna. Z tego powodu nie możemy się cieszyć w pełni gwarancjami wynikającymi z członkostwa w NATO. Są one w dużym stopniu niwelowane przez zastosowanie metod wojny hybrydowej, po które Rosja sięgnęła już trzy lata temu na wschodniej Ukrainie i na Krymie. Parafrazując słowa generała Gariejewa, rosyjskiego szefa Sztabu Generalnego, mamy do czynienia

z wykorzystaniem sił specjalnych i wewnętrznej opozycji do utworzenia specyficznej strefy frontowej na całym obszarze kraju postrzeganego przez Rosję jako wrogi, co w tym przypadku oznacza moją spokojną, demokratyczną i miłą wolność Łotwę.

Przerwał i popił łyk wody, żeby opanować emocje.

– A jakby tego było mało, odnotowujemy bezprecedensową aktywność wojskową Rosji na granicy z Łotwą i wzdłuż granic naszych bałtyckich sąsiadów. Nasza historia każe nam nie ufać Rosji. To hrabia Szuwałow, rosyjski gubernator późniejszych bałtyckich prowincji cesarskiego imperium, powiedział sto pięćdziesiąt lat temu: „Historyczną misją prowincji bałtyckich jest służyć za pole bitew w najważniejszych sporach politycznych w Europie”. Muszę zaznaczyć, koledzy ambasadorzy, że nie pragniemy stać się ponownie polem bitwy, na którym Rosja będzie udowadniać swoje racje!

Znowu musiał przerwać na chwilę. Jego żywe wystąpienie przykuło powszechną uwagę.

– Mamy dobrą pamięć. W zeszłym wieku Łotwa istniała jako suwerenne państwo tylko przez dwadzieścia lat pomiędzy wojnami światowymi i ponownie odzyskała niepodległość dopiero w 1991 roku. Zbyt dobrze wiemy, co nas czeka, jeśli tym razem nie uda nam się powstrzymać Rosjan. Jesteśmy przekonani, że jeśli NATO nie zadeklaruje gotowości do działania zgodnie z artykułem piątym i nie zapewni Łotwie, Estonii i Litwie natychmiastowego wsparcia wojskowego, dyplomatycznego i politycznego, Rosja niechybnie spróbuje opanować kraje bałtyckie. Panie sekretarzu generalny, wzywam naszych sojuszników do uznania, że Łotwa została już zaatakowana i należy zgodzić się na wprowadzenie w życie tego, co dyktuje artykuł piąty.

Zamilkł, westchnął, zdjął okulary i usiadł na swoim miejscu. W sali zapanowała cisza, przzerwana dopiero przez Kostilka, który poprosił o zabranie głosu ambasadora Estonii. Zaraz po nim wystąpił ambasador Litwy. Obaj starali się być jak najbardziej przekonujący.

Kostilek spojrzął w końcu na przewodniczącego Komitetu Wojskowego.

– Generale Vahr, mogę prosić o opinię wojskowych władz NATO?

– Panie sekretarzu generalny, z żalem muszę przyznać, że Komitet Wojskowy nie zdołał wypracować wspólnego stanowiska w tej sprawie. Różnice poglądów pomiędzy delegatami okazały się zbyt wielkie. Proponuję zatem spytać o zdanie zastępcę naczelnego dowódcy sił NATO w Europie.

Kostilek skinął głową i zwrócił się do McKinlaya:

– Generale, oddaję panu głos.

McKinlay odchrząknął.

– Dziękuję, panie sekretarzu generalny. Zgodnie z zaleceniami rady wojskowej dowództwo NATO z uwagą przeanalizowało wskazany zakres stosowania artykułu piątego w dwudziestym pierwszym wieku. Zdajemy sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie

interpretowanie go w duchu zimnej wojny. Tak, proszę państwa, nie powinniśmy już czekać na coś w rodzaju zmasowanego ataku dywizji radzieckich czołgów przełamujących granicę między państwami niemieckimi czy Armii Czerwonej opanowującej część północnej Norwegii, czego się niegdyś obawialiśmy. Te czasy minęły i tym samym zgadzam się z panem ambasadorem Łotwy. Zgodnie z naszą oceną obserwujemy nową formę kampanii wojennej, w której Rosjanie będą wywierać coraz silniejszą presję na przeciwnika, w tym przypadku Łotwę, cały czas pozostając poniżej progu otwartego zagrożenia, które uzasadniałoby sięgnięcie po artykuł piąty i mogłoby wywołać odpowiedź NATO. Najlepszym sposobem, aby zażegnać ten kryzys, nim wymknie się spod kontroli, jest użycie siły już teraz.

Rozejrzał się wkoło. To z pewnością nie było coś, co większość ambasadorów pragnęła usłyszeć. On jednak ciągnął:

– Oczywiście rozmawiałem o tym z przebywającym w tej chwili w Waszyngtonie głównodowodzącym NATO i jego opinia jest jednoznaczna. Od lat nie musieliśmy mierzyć się z równie poważnym zagrożeniem i uważam, że nigdy jeszcze nie byliśmy bliżej wojny niż teraz. Ktoś może spytać: „A co z kryzysem kubańskim?”. Odpowiem, że w tamtym czasie decyzje politbiura były wciąż podejmowane w cieniu pamięci o dwudziestu sześciu milionach obywateli radzieckich poległych podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Teraz zasiada na Kremlu nowe pokolenie, które nie doświadczyło niczego podobnego. Mamy przed sobą przeciwnika, dla którego broń atomowa jest częścią doktryny wojskowej i który nie zawaha się przed użyciem tej broni. Jeśli źle ocenimy sytuację, zakończy się to otwartym konfliktem między siłami NATO i Rosją. Co więcej, ponieważ Rosja jest w stanie wystawić liczniejsze siły konwencjonalne niż NATO, istnieje poważne ryzyko, że gdy Rosja pokona nas w krajach bałtyckich, prezydent Federacji Rosyjskiej sięgnie po coś, co sam nazywa „atomową deeskalacją”.

McKinlay przerwał, świadom zmieszania malującego się na twarzach niektórych ambasadorów.

– Panie i panowie, tak, dobrze słyszycie. To jest paskudny wręcz paradoks. To, co dla Rosjan jest atomową deeskalacją, my nazywamy po prostu szantażem nuklearnym. W praktyce sprowadzi się to do ostrzeżenia: „Spróbujcie odbić kraje bałtyckie, a zaatakujemy was ładunkami atomowymi”. Nas oczywiście to powstrzyma i to właśnie będzie deeskalacja. Aby więc uniknąć podobnej sytuacji, musimy w pierwszym rzędzie zapobiec jakiegokolwiek agresji, a to oznacza demonstrację siły i gotowości do obrony państw bałtyckich. Jak pamiętacie, mamy już na Bałtyku grupę jednostek przeciwminowych, która zawnie wkrótce do Rygi na planowaną od dawna wizytę. To akurat szczęśliwy zbieg okoliczności. Niemniej dla okazania skali zaangażowania NATO musimy niezwłocznie rozmieścić we wszystkich trzech państwach Siły Natychmiastowego Reagowania, czyli Szpicę. Zaraz potem należy rozpocząć przerzucanie morskich, lądowych i powietrznych elementów naszych Sił Odpowiedzi.

W tym samym czasie SACEUR powinien ogłosić ACTORD. Tym spośród was, którzy nie znają dobrze akronimów NATO, wyjaśnię, że oznacza to Activation Order, czyli rozkaz rozpoczęcia operacji logistycznej rozmieszczenia naszych wojsk wraz ze strukturami dowódczymi w pożądanym lokalizacjach. Winnicie być przy tym świadomi, że oznaczać to będzie również konieczność uruchomienia wspólnego finansowania operacji. Zarówno SACEUR, jak i ja jesteśmy przekonani, że wysyłając taki jasny i silny sygnał już teraz, NATO może zmusić Rosjan do namysłu i powstrzymać ich przed podjęciem dalszych kroków przeciwko państwu bałtyckim. Co więcej, takie działanie NATO zdecydowanie nie będzie oznaczać ataku na Rosję. Rozmieszczając międzynarodowe siły NATO w państwach bałtyckich, stworzymy sytuację, w której atak Rosji na te kraje byłby jednocześnie atakiem na wszystkich członków NATO, i to Rosja będzie w stanie zauważyć. Wiem, że powinienem unikać komentarzy politycznych, ale pozwólcie mi zakończyć tym, co dobrze wie każdy znający swą profesję żołnierz: Wojny wywołane są słabością. Historia uczy nas nieustannie, że agresor decyduje się na atak wówczas, gdy ma nadzieję na uzyskanie przewagi nad przeciwnikiem. Rosja jest obecnie silniejsza militarnie niż kiedykolwiek od czasu upadku Związku Radzieckiego, NATO zaś zdecydowanie słabsze. Naszym zdaniem to jest właśnie taka chwila, gdy Rosja może nas zaatakować. Dlatego też radzimy podjąć dokładnie takie kroki, o jakich wspominałem.

Sekretarz generalny Kostilek oddał następnie głos kolejnym ambasadorom. Przedstawiciele USA, Wielkiej Brytanii, Polski, Norwegii i Danii poparli propozycję. Francja stanęła po stronie Polski, swojego starego sojusznika. Większość ambasadorów krajów z południa Europy milczała, nieskłonna poprzeć propozycję, ale i niemająca też najmniejszej ochoty narazić się USA.

Na razie idzie lepiej, niż sądziłem, pomyślał McKinlay. W ten sposób podjęcie pozytywnej decyzji nie potrwa może nawet zbyt długo.

Jako następny zabrał głos zwalisty ambasador Niemiec, wciąż głodny i nijak nieusatysfakcjonowany czekoladą. Odezwał się od razu głośno, pompatycznie i agresywnie:

– Niemcy pod żadnym pozorem nie mogą zaakceptować tej propozycji. Nie tylko dlatego, że władze wojskowe NATO proponują ogłosić ACTORD bez wcześniejszego ostrzeżenia, jak przewidują procedury, ale ponadto dlatego, że naszym zdaniem takie rozmieszczenie sił NATO zostanie odebrane przez Rosję jako prowokacja i doprowadzi dokładnie do takiej sytuacji, jakiej staramy się uniknąć. Nie. Nie może być mowy o wysłaniu Szpicy ani tym bardziej Sił Odpowiedzi. Jeszcze nie teraz. Niemcy nalegają na wcześniejsze wykorzystanie wszelkich dostępnych środków politycznych do zażegnania tego kryzysu. Jeśli tego nie zrobimy, wkroczymy na ścieżkę, która może doprowadzić do wybuchu nowej wojny w Europie.

McKinlay dostrzegł wyraz ulgi malujący się na niektórych twarzach. Niemieckie

stanowisko miało wielu zwolenników, i to nie wyłącznie w południowej Europie. Jako następny przemawiał ambasador Grecji. Nieogolony, w skórzanej kurtce, tym razem ze złotym kolczykiem w uchu, a także ze złotym medalionem widocznym nad koszulką.

– Po całej epickiej historii z euro, podczas której Niemcy wykazały się skrajnie apodyktyczną postawą i brakiem zrozumienia dla problemów, z którymi boryka się Grecja, jestem autentycznie zaskoczony, że muszę się zgodzić ze zdaniem niemieckiego ambasadora.

Skinął głową przed niemieckim kolegą, który odpowiedział mu takim spojrzeniem, jakby Grek był zdechłą myszą przyniesioną do sali konsumpcyjnej przez restauracyjnego kota.

– Grecja zawsze była lojalnym członkiem Sojuszu, ale tym razem uważamy, że nasze prawosławne więzy i wsparcie okazane nam przez Rosję podczas nie tak dawnych kłopotów muszą mieć pierwszeństwo. Grecja uważa, że zaognianie sytuacji przez rozmieszczanie jakichkolwiek jednostek NATO byłoby całkowicie nieuzasadnione. Grecja nie uważa, żeby ostatnie wydarzenia... a nadmienię, że mój rząd przesłał kondolencje rodzinom zamordowanych przez szaleńca studentek... były częścią ataku na Łotwę czy którekolwiek z państw bałtyckich. To, co się tutaj dzieje, to nic innego, jak całkowicie nieuzasadniona i histeryczna reakcja, typowa dla zafascynowanych wojną generałów. Wojskowe władze NATO się przeliczyły. Nie może być akceptacji dla sięgnięcia po artykuł piąty.

McKinlay dostrzegł, że Kostilek zaczął bębnić palcami po blacie.

Potem zabrał jeszcze głos Węgier. A właściwie odczytał z kartki gotowe oświadczenie:

– Węgry nie dostrzegają żadnego zagrożenia ze strony Rosji dla dowolnego kraju NATO. Węgry nie mogą wesprzeć żadnej deklaracji na temat artykułu piątego.

Kostilek uniósł rękę.

– Żałuję, że muszę wykorzystać moje uprawnienia sekretarza generalnego i przerwać tę dyskusję – powiedział ze staranną modulacją, choć dawało się wyczuć, że jest wściekły. – Podstawowym założeniem tego Sojuszu jest wspólna polityka obronna... To zaś, co przed chwilą usłyszeliśmy od ambasadorów Niemiec, Grecji i Węgier, uderza w samo sedno tego założenia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie jeden, a trzy kraje NATO zostały bezpośrednio zagrożone. My natomiast się dowiadujemy, że trzy inne kraje postanowiły rozbić jedność NATO, oczekując, że amerykańscy podatnicy zajmą się finansowaniem ich obrony. To, że same w ogóle nie są skłonne łożyć na ten cel, przydaje tylko sytuacji atmosfery skandalu. A co gorsza, wyczuwam w oficjalnych stanowiskach tych państw wyraźny wpływ kunktatorstwa charakterystycznego dla ich polityki wewnętrznej.

Nie pociągnął dalej tego wątku, ale niemiecki ambasador i tak warknął wściekle, wstał, zebrał papiery i wybiegł z sali. Grek poszedł w jego ślady, przewracając po

drodze krzesło. Tylko Węgier siedział z otwartymi ustami i jak ryba łapał z trudem powietrze. Słabo znał angielski i musiał poczekać, aż jeden ze współpracowników przetłumaczy mu słowa sekretarza generalnego.

Na sali zaległa cisza. To była bezprecedensowa sytuacja.

– Proponuję trzydziestominutową przerwę, po której wznowimy obrady wyłącznie w składzie ambasadorskim – powiedział w końcu Kostilek.

Zebrani zgodzili się z ulgą na takie rozwiązanie.

– Widzę, że nikt nie zgłasza zastrzeżeń. Wracamy zatem za trzydzieści minut.

Czwartek 18 maja 2017 roku, godzina 16.00

Wspólna kwatera główna Łotewskich Narodowych Sił Zbrojnych, Ryga, Łotwa

Generał porucznik Balderis, łotewski szef sztabu obrony, urzędował w małym i funkcjonalnym biurze prowadzonym przez jednego tylko asystenta i ulokowanym w budynku wspólnej kwatery głównej Łotewskich Narodowych Sił Zbrojnych. Właśnie zjawił się na miejscu i zaraz przywitał się z gościem.

– Miło mi pana poznać, kapitanie Morland – powiedział, ściskając dłoń oficera.

W swoim czasie służył w siłach specjalnych i nadal był silny i wyjątkowo sprawny fizycznie, zwłaszcza jak na kogoś dobiegającego sześćdziesiątki. Mówił dobrym angielskim, choć z silnym akcentem, gdyż spędził rok w US Army War College w Carlisle. Pojechał tam zaraz po upadku Związku Radzieckiego.

– Zawsze dobrze mi się układało z Brytyjczykami, cieszę się więc, że pan do nas dołączył. Czasy są niebezpieczne i każda pomoc nam się przyda. Premier zarządził dziś rano mobilizację naszych sił zbrojnych, w tym Gwardii Narodowej, dla zapobieżenia ewentualnym kłopotom po wczorajszych zajściach w Rydze i głosach Rosyjskiego Związku Łotwy wzywających Rosję do obrony tutejszej mniejszości. Za chwilę mam poprowadzić odprawę w Połączonym Centrum Dowodzenia. Chciałbym pana tam zobaczyć, zwłaszcza że panna Krauja też będzie. Zależy nam na utrzymywaniu ścisłych kontaktów ze służbami, które pan reprezentuje.

Morland rozpoznał w generale człowieka, który nie poddawał się łatwo presji. Łotwa na pewno potrzebowała teraz takich ludzi, zdolnych ująć ster pewną ręką.

Wkrótce potem siedział razem z Kraują w nowo ukończonej, multimedialnej sali odpraw. Jej daleko posunięta modernizacja była jednym ze skutków wejścia Łotwy do NATO. Generał Balderis zajął miejsce tuż przed nimi.

Pierwszy zabrał głos szef sztabu kwatery głównej, niezwykle bystry i młodo wyglądający pułkownik. Mówił jednak po angielsku, co wzbudziło ciekawość Morlanda. Zapytana o to Krauja wskazała mu oficerów łącznikowych z Estonii i Litwy, którzy zjawili się na odprawie ze swoim personelem, a także przedstawiciele Finlandii i Szwecji, którzy przybyli tutaj, chociaż ich kraje nie należały do NATO. Wyjaśniła, że w tym towarzystwie mogli się dogadać tylko po angielsku, który był na dodatek *lingua franca* Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Pułkownik przekazał informacje na temat koncentracji rosyjskich sił przy granicach Łotwy i Estonii oraz ćwiczeń poligonowych, które stwarzały pretekst do przemieszczania oddziałów. Główne siły 1. Gwardyjskiej Armii Pancерnej ściągały do



rejonu na zachód od Opoczki i Wielkich Łuków, blisko granicy łotewskiej. Potwierdził też znaną już Morlandowi informację o dwóch brygadach specnazu skierowanych do Pskowa, gdzie stacjonowała 76. Gwardyjska Dywizja Powietrznodesantowa.

Jej główny element, 23. pułk powietrznodesantowy, zakończył właśnie ćwiczenia w rejonie Newlu przy granicy z Białorusią, jakieś pięćdziesiąt minut lotu od Pskowa i sześćdziesiąt kilometrów na wschód od łotewskiej granicy. Reszta dywizji powróciła już do koszar, ale mimo to nie odwołano w niej wysokiego stanu gotowości, przekazy satelitarne zaś pozwalały stwierdzić, że jednostka między innymi uzupełniała stany amunicyjne.

Podczas początkowej fazy ćwiczeń przeprowadzono desant z wykorzystaniem nowych wozów bojowych piechoty BMD-4. Zostały one zaprojektowane dla wojsk powietrznodesantowych, z potężną armatą 2A70 kalibru 100 milimetrów, armatą automatyczną 2A72 kalibru 30 milimetrów, zdolną do strzelania pociskami rozpryskowymi, wyrzutnią sterowanych laserowo rakiet przeciwpancernych oraz karabinem maszynowym kalibru 7,62 mm.

– Niezłe wyposażenie – powiedział Balderis, odwracając się do Morlanda. – Jako poborowy spędziłem dwa lata w radzieckich wojskach powietrznodesantowych i wiem, jakie są dobre. Nie wolno zapominać, że to Rosjanie wynaleźli ten typ formacji. Na dodatek mają jedyne w świecie jednostki powietrznodesantowe wyposażone we własne transportery opancerzone. BMD-4 może zostać zrzucony z ciężkiego transportowca typu Il-76, i to od razu z załogą i piechociarzami w środku. W ten sposób natychmiast po wylądowaniu mogą włączyć się do walki. I to dosłownie: wóz uderza w ziemię już z włączonym silnikiem i zaraz rusza, prowadząc przy tym ogień. A jeśli to nie wystarczy, są jeszcze przydzielone ostatnio do dywizji czołgi T-14 Armata. Mocno zwiększają siłę ognia jednostki. Co więcej – dodał głośniejszym głosem, zwracając się już do wszystkich zgromadzonych – Siedemdziesiąta Szósta Gwardyjska Dywizja ma duże doświadczenie bojowe i dobrych dowódców. Jej obecny dowódca, generał major Aleksiej Naumets, był moim dowódcą plutonu i już wtedy uchodził za twardziela. Trzy lata temu brał udział w najeździe na Ukrainę, walczył w Donbasie. Stracił trochę ludzi, ale wszyscy zostali pochowani na Ukrainie, żeby nie robić zamieszania w kraju. Po Afganistanie i Czeczenii Rosjanie stali się wyczuleni na widok plastikowych worków ze zwłokami. Pod tym względem nie różnią się od Amerykanów. Ale jako żołnierze są naprawdę dobrzy. I twardzi jak diabli. Znają się na swojej robocie. – Odwrócił się do Morlanda. – Regularnie widzimy wyprawy piętnastu do dwudziestu iljuszynów Il-76, czterosilnikowych transportowców, w kodzie NATO określanych jako Candid. Taka grupa to już siła batalionu z pojazdami. Startują z Pskowa, podlatują do naszej granicy, a potem idą wzdłuż niej na północ, za każdym razem oczywiście alarmując nasze siły przeciwlotnicze. W końcu skręcają na Psków, ale potrafią powtórzyć taki manewr trzy do czterech razy, żeby trochę nami

wstrząsnąć. My się nie dajemy, ale widać w ten sposób, że w razie potrzeby są w stanie przerzucić całkiem znaczne siły. Przy okazji sprawdzają nasz czas reakcji i odnotowują rozmieszczenie naszych radarów.

– I myśliwce z grup natowskich ich nie przechwytyją? – spytał Morland. – Wiem, że poszczególne kraje NATO przysyłają je na rotacyjnej zasadzie, żeby broniły przestrzeni powietrznej państw bałtyckich.

– Gdyby to było takie łatwe... – Balderis chrząknął znacząco. – Wiele zależy od tego, kto akurat u nas jest. Brytyjczycy, Amerykanie, Duńczycy, Norwegowie i Francuzi są w porządku, ale wiele do powiedzenia ma jeszcze oficer dyżurny z bazy Ramstein w Niemczech. To on nimi dowodzi. Gdy ma jaja, wtedy wysyła myśliwce na przechwycenie. Ale aż nazbyt często nic nie robi i Rosjanie mogą sobie latać. Myślą więc, że NATO to taka ciepła klucha. Nam zaś nikt nie zagwarantuje, że pewnego dnia nie skręcą w prawo i nie wlecą w głąb naszego terytorium. Wtedy będzie już za późno na poderwanie myśliwców. Ale to czysto akademickie rozważania. I tak niewiele da się zrobić przeciwko takiej sile, kiedy się ma tylko cztery myśliwce do dyspozycji.

– Zgadza się, panie generale – powiedział pułkownik. – W zeszłym tygodniu odnotowaliśmy ogromny wzrost rosyjskich naruszeń naszej przestrzeni powietrznej, tak nad lądem, jak i nad Bałtykiem. W porównaniu do podobnego okresu w zeszłym miesiącu było ich o jakieś trzysta procent więcej. Na dodatek nasza marynarka wojenna napotykała co rusz rosyjskie okręty idące do Kaliningradu. Rutynowo zahaczają wtedy o nasze wody terytorialne.

Balderis zastanowił się chwilę.

– Znam sposób myślenia Rosjan. Są pewni, że zdołają zmiękczyć nas swoją propagandą, prowokacjami i zamieszkami w kraju. Uderzą, gdy uznają, że nie stawimy już żadnego oporu. Niczego się nie nauczyli i w ogóle nas nie znają. W 1939 roku poddaliśmy się bez walki, ale tym razem będzie inaczej. Teraz wiemy już, jak to jest żyć pod ich panowaniem. Będziemy walczyć z tymi draniami na śmierć i życie – oznajmił z przekonaniem, po czym opanował się i spojrzał ponownie na pułkownika. – Tyle dobrych wieści z Rosji. A co z zagrożeniami wewnętrznymi?

– Panie generale, obecna tutaj oficer łącznikowy Biura Ochrony Konstytucji potwierdziła aktywny udział Sił Samoobrony Rosjan we wczorajszej demonstracji. –

Szef sztabu obrócił się do Kraui, która skinęła głową. – Siły Samoobrony Rosjan nadal ślą apele do prezydenta Federacji Rosyjskiej, domagając się ochrony. Sądzymy, że organizacja jest obecna we wszystkich rosyjskich społecznościach na Łotwie i wystarczy jeden rozkaz Moskwy, żeby się ujawnili. Pilnujemy też, żeby nie przeniknęli do szeregów naszej Gwardii Narodowej.

– Tak, na to trzeba uważać. Ale im szybciej uda nam się przeprowadzić mobilizację, tym lepiej – stwierdził Balderis. – Choć i tak na pewno dopiero po kilku dniach będziemy całkiem gotowi.

– Zgadza się – odparł pułkownik. – Właśnie zamierzałem do tego przejść. Nasza brygada piechoty jest już w pełnej gotowości i przemieszcza się na wyznaczone pozycje bojowe. Nasze okręty patrolują wody przybrzeżne i Zatokę Ryską. Jeśli chodzi o wojska lotnicze, to jeden nasz dywizjon wystawił brygadę piechoty, a dywizjon zwiadu utrzymuje posterunki w najbardziej prawdopodobnych miejscach przekroczenia granicy.

– Obrona powietrzna? – spytał Balderis.

– Jednostki zostały rozmieszczone wkoło Rygi, na przewidywanych pozycjach lądowania desantu. Uruchomiliśmy w wojennym trybie zapasy nienaruszalne, jednostki szkoleniowe przyjęły role jednostek bojowych. Mobilizacja Gwardii Narodowej postępuje bez zakłóceń, odnotowujemy sprawny napływ rezerwistów. Szacujemy, że pierwszy osiągnie gotowość Trzeci Okręg w Rydze. Nastąpi to zapewne około południa dwudziestego maja.

– A Drugi Okręg w Rzeżycy? – spytał Balderis. – Jeśli Rosjanie przekroczą granicę, to oni pierwsi nawiążą z nimi kontakt. Na pewno będą dobrze walczyć, ale staną w obliczu znacznie liczniejszego przeciwnika. Nie zdołają go zatrzymać.

– Gwardia Narodowa w Rzeżycy powinna osiągnąć gotowość do północy dwudziestego maja.

– Zróbcie, co się da, żeby to przyspieszyć – powiedział Balderis do siedzącego obok dowódcy wojsk lądowych. – Nie możemy być pewni dnia ani godziny. – Spojrzał na pułkownika. – A nasze siły specjalne i Jednostka Specjalnego Przeznaczenia? Chcę mieć je w Ādaži jako moją rezerwę. Niech będą gotowe do natychmiastowego działania. Niezależnie od tego, czy dojdzie do desantu na Rygę, czy do przełamania granicy. Albo do jednego i drugiego. I niech mają do dyspozycji śmigłowce. –

Ponownie spojrzął na Morlanda. – Powinien być pan z nimi w bliskim kontakcie. Mogą potrzebować waszej pomocy.

Morland też tak uważał. Gdyby wkoło miało rozpętać się piekło, jego zespół nie powinien trzymać się z boku. Jako zawodowy żołnierz musiał zawsze myśleć z wyprzedzeniem, nawet jeśli czasem oznaczało to wybieganie daleko naprzód. Mieszkańcy tego kraju znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie i chociaż reszta świata zdawała się nie zwracać na to większej uwagi, jego drużyna nie mogła myśleć w ten sposób. Postanowił, że wszyscy spakują duże plecaki i będą trzymać broń pod ręką. Najwyżej spędzą w tutejszych lasach znacznie więcej czasu, niż oczekiwali. I dobrze, że mieli już za sobą trzy tygodnie w Ādaži. Zawsze to jakaś aklimatyzacja.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się asystent Balderisa, pojawiając się nagle obok generała. – Dzwoni admirał Howard, SACEUR. Jest w Waszyngtonie i ma się spotkać z prezydentem, ale wcześniej chciałby z panem porozmawiać.

– Przerwywamy odprawę – oznajmił Balderis. – Wrócę za dwadzieścia minut. To ważna sprawa.

Kiedy wychodził, skinął na Morlanda i Krauję, żeby do niego dołączyli.

– Przełącz rozmowę do mojego gabinetu – polecił asystentowi, gdy byli już w holu biura. – A tutaj daj to na głośnik. Niech kapitan Morland i panna Krauja też jej posłuchają.

Przeszedł do siebie, ale zaraz znowu pojawił się w drzwiach. Telefon nie działał.

Sprawdzili inne aparaty. Także nie działały. Widniejący na ekranie komputera asystenta otwarty dokument zaczął sam się kasować. Chwilę potem ekran pociemniał. To samo spotkało wszystkie inne komputery.

Sprawdzili podłączenia. Wyłączyli kompy, wypięli wszystko i ponownie włączyli. Nic to nie dało.

Pięć minut później zjawił się wzburzony pułkownik i nerwowo zasalutował generałowi.

– Panie generale, wszystkie komputery i telefony w sztabie padły. Podejrzewam, że to że cyberatak. Uruchamiamy program naprawczy i tryb przywracania systemu. Wysłaliśmy też ekipę, żeby przygotowała rezerwowe centrum dowodzenia w starym radzieckim bunkrze w Līgatne.

– Dobrze. I proszę przekazać, żeby przyspieszyli maksymalnie mobilizację. Ja wracam do Ministerstwa Obrony. – Balderis spojrział na Morlanda. – Ma pan jakieś środki łączności?

– Tak, generale. Inmarsat VTC i bezpieczny telefon. Łączy z dowolnym miejscem na świecie. Tyle że znajduje się w mojej ambasadzie.

– Proszę pojechać ze mną do ministerstwa. Zyska pan pełniejszy obraz tego, co się dzieje. Chcę, żeby przekazał go pan następnie do Wielkiej Brytanii i USA. W tej chwili to może być nasz najlepszy sposób na kontakt ze światem – dodał Balderis i skierował się do czekającego przed budynkiem samochodu.

Dwie godziny później znaleźli się w Ministerstwie Obrony przy ulicy Valdemāra w centrum Rygi, zaledwie kilka przecznic od splądrowanych sklepów i wypalonych samochodów, pozostałych po niedawnych zamieszkach. W całym mieście panował chaos. Żadna sygnalizacja świetlna nie działała i wszystkie skrzyżowania zablokowały stojące w korkach samochody. Musieli zostawić swoje wozy i przejść kilka kilometrów pieszo. Ludzie byli dezorientowani i próbowali wrócić jakoś do domów.

W ministerstwie panował względny spokój, chociaż i tutaj telefony milczały, a ekrany komputerów pozostawały ciemne. Balderis porozmawiał chwilę z ministrem obrony i przekazał mu najważniejsze wiadomości. Meldunki sływały najróżniejszymi drogami. Dostarczone na rowerze, przez gońców. Dzięki informacjom z innych placówek rządowych wkrótce stało się jasne, że doszło do cyberataku na niespotykaną skalę. Cały kraj był jak sparaliżowany. Padły sieci przesyłu energii elektrycznej i gazu. Ustały transakcje finansowe, chociaż część z nich udało się przekierować gdzie indziej. Telekomunikacja prawie nie działała. System kontroli powietrznej stracił radary

i trzeba było zamknąć lotniska. Na ulicach dominowało poczucie rezygnacji, zwłaszcza że ludzie byli wciąż w szoku po tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia.

Balderis przyjął to spokojnie.

– Kapitanie, wie pan już wszystko, co trzeba? – spytał Morlanda. – Jeśli tak, proszę wysłać swoim szczegółowy raport i poprosić, żeby przekazali go dalej. Do dowództwa NATO i do Stanów Zjednoczonych. Sprawa jest oczywista. Łotwa została zaatakowana i potrzebuje natychmiastowego wsparcia ze strony Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Czwartek 18 maja 2017 roku, godzina 19.45

Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Zbrojnych w Europie (SHAPE),  
Mons, Belgia

Sierżant Taff Jones z Królewskiego Korpusu Logistycznego wprowadził opancerzone bmw 7 serii F01 w wersji czterodrzwiowego sedana do specjalnego garażu, zwanego powszechnie „bat-jaskinią”, znajdującego się na tyłach wzniesionego w latach 60. wielkiego, szarego budynku strategicznych dowództw NATO. McKinlay zebrał rozłożone na tylnym siedzeniu papiery i wysiadł. Jak zwykle przy takich okazjach poczuł zaraz ostry ból nieistniejącej nogi.

– To może trochę potrwać, sierżancie Jones.

– Nie ma problemu, sir – odpowiedział Jones. – Poczekam, aż będzie chciał pan wrócić do domu.

Dzień i tak był już męczący. Po opuszczeniu sali przez ambasadorów Niemiec i Grecji doszło do kolejnej sesji, obliczonej na uspokojenie emocji. Rada Północnoatlantycka spotkała się na godzinę tylko w składzie ambasadorów i sekretarz generalny przeprosił przy tej okazji za swoją wcześniejszą wypowiedź.

Uporawszy się z dyplomatycznymi subtelnościami, Rada wznowiła obrady w pełnym składzie i znowu zajęła się artykułem piątym i sprawą wysłania oddziałów NATO na Łotwę. Niestety, trzech oporni ambasadorzy nie chcieli zmienić zdania i nadal twierdzili, że sytuacja w państwach bałtyckich nie wymaga sięgania do artykułu piątego. Dowodzili nawet, że każda militarna akcja NATO w tym regionie będzie tylko niepotrzebną prowokacją i że wcześniej należy skoncentrować się na rozwiązaniu kryzysu za pomocą środków politycznych i dyplomatycznych.

Bez pełnej zgody Kostilek mógł jedynie zlecić monitorowanie sytuacji i zapowiedzieć, że Rada spotka się ponownie następnego dnia.

Niemiecki ambasador uprzejmie spytał, czy nie lepiej byłoby zrezygnować nawet i z takich działań, ale mocno już wkurzony ambasador USA zdołał nakłonić go do wycofania pytania.

McKinlay nie miał wątpliwości, że Biały Dom będzie energicznie dobijał się tego wieczoru do Urzędu Kanclerskiego w Berlinie, Bundeskanzleramt, monumentalnej nowoczesnej budowli, dziesięć razy większej od Białego Domu i znanej wśród Berlińczyków jako Elefantenklo, czyli „kibel dla słonia”.

Póki co McKinlay musiał wprowadzić szefa, którego akurat zastępował, we wszystkie polityczne niuanse sytuacji, chociaż obaj byli tak naprawdę odpowiedzialni

wyłącznie za militarną realizację decyzji Rady.

Gdy narada się skończyła, jego przygnębienie jeszcze się nasiliło. Wewnętrzny głos zawodowego żołnierza podpowiadał mu stanowczo, że jeśli NATO nie podejmie natychmiast właściwych działań, potem będzie już za późno. Wszystkie znaki sugerowały, że Rosja zaatakuje niebawem Łotwę, a być może także Estonię i Litwę. Jeśli Rada Północnoatlantycka nie zastosuje czym prędzej artykułu piątego, zawiedzie na całej linii, uchylając się od zadania, dla którego cały Sojusz został powołany, czyli wspólnej obrony państw członkowskich przed atakiem. Jeśli Rosjanie opanują Łotwę, wyrzucenie ich stamtąd będzie prawie niemożliwe, zatem należało zapobiec ich atakowi. Co oznaczało artykuł piąty i konieczność koncentracji liczących się sił lądowych. Bez nich gra skończy się już na samym wstępie.

Przy obecności międzynarodowych wojsk NATO na Łotwie Rosjanie będą musieli przyjąć do wiadomości, że otwarcie ognia do obrońców kraju będzie oznaczać walkę z siłami całego Sojuszu. Być może, i tylko być może, skłoni ich to do zrewidowania planów. Należało brać pod uwagę i taki scenariusz, że nawet wcielenie w życie postanowień artykułu piątego nie odstraszy przeciwnika, jak powinno zdarzyć się to w lepszym świecie i z bardziej zrównoważonym przywódcą na kremlowskim urzędzie. Ale jednego McKinlay był pewien: jeśli Łotysze będą musieli sami bronić swojego kraju, Rosja nawet się nie zawaha. Krym i Ukraina jasno pokazały, jak to działa.

Gdy wcześniej słuchał opowiadających dyrdymały ambasadorów, najchętniej przerwałby im i wykrzyczał prosto w te zadowolone z siebie twarze, żeby przypomnieli sobie rosyjski najazd na Gruzję w 2008 roku, kiedy cały świat przejmował się igrzyskami olimpijskimi w Pekinie i wszyscy co rusz mówili o pokoju i braterstwie. Przecież nawet najwięksi niedowiarkowie powinni wtedy stracić wszelkie złudzenia co do prawdziwych intencji prezydenta Federacji Rosyjskiej. I dojrzeć, jakie będą jego następne kroki.

Po sesji spotkał się krótko jedynie z duńskim przewodniczącym Komitetu Wojskowego.

– Knud, NATO będzie czekać i przyglądać się katastrofie, zamiast działać – powiedział, gdy przystanęli na chwilę na korytarzu. – A trzeba działać już teraz, zaraz. Bez przyzwolenia Rady jednak nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Wrócę do siebie i skontaktuję się z moim szefem. Niech wie, w jakim bagnie tkwimy. Potem skontaktuję się z szefami sztabów obrony państw mających oddziały w Szpicy. Poproszę ich, żeby zaczęli przygotowania na własną rękę, na razie bez odwoływania się do postanowień NATO. Być może dzięki temu będziemy choć po części gotowi, jeśli... i kiedy Rada zgodzi się jednak na sensowne działanie, i będziemy mieli wówczas co przerzucać do państw bałtyckich.

– To chyba dobry pomysł, żeby porozmawiać z nimi na osobności, Davidzie – przyznał ostrożnie Vahr. – Z drugiej strony, może uderzyć w nas rykoszetem, jeśli ktoś

uzna to za oficjalną inicjatywę zastępcy głównodowodzącego NATO. Jeszcze gorzej wyjdzie, jeśli uznają to za twój osobisty pomysł. Nie mam wątpliwości, że Stany Zjednoczone będą mocno pracowały tej nocy nad stanowiskiem Niemiec. Ufam więc, że decyzja w końcu zapadnie, tyle że Rada jest mocno przewrażliwiona na punkcie wojskowych. Nie lubi, gdy wybiegamy przed szereg. Dlatego każda zmiana stanu gotowości musi wyglądać na zarządzoną oddolnie, na szczeblu lokalnym i całkiem bez naszego udziału. Ta rozrywka wymaga od nas długofalowego myślenia.

McKinlay otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Vahr uniósł dłoń.

– Nie trzeba, Davidzie. Sam wiem, że wtedy może być za późno. Ale to nic nowego.

McKinlay myślał o tym w SHAPE, idąc po schodach, które doprowadziły go przed drzwi gabinetu. W środku powitał go pułkownik Jamie Swinton wraz z całą podległą mu grupą, składającą się z trzech asystentów do spraw wojskowych (Niemca, Francuza i Brytyjczyka), porucznika pełniącego rolę osobistego adiutanta oraz asystentki do spraw biurowych. Wszyscy wstali na jego widok.

– Siadajcie – powiedział. – Ile razy mam powtarzać, że nie musicie wstawać, gdy tu wchodzi?

– Dobry wieczór, sir – powiedział Swinton, ignorując jego słowa i nadal stojąc. – Nie mamy wielu nowych doniesień na temat cyberataku na Łotwie. Tyle że Agencja NATO do spraw Komunikacji i Informacji oraz Centrum Doskonalenia Cyberobrony NATO w Tallinie już nad tym pracują. Próbuje pomóc Łotyszom naprawić system. Ja zaś czystym przypadkiem dodzwoniłem się do generała Balderisa w Rydze. Kiedyś trochę się poznaliśmy i pamiętałem, że miał amerykańską komórkę satelitarną, kupioną jeszcze podczas szkolenia w Stanach. Spróbowałem go złapać i udało się. Pewnie będzie chciał pan z nim porozmawiać przed skontaktowaniem się z szefem?

– Dobry pomysł. Połącz mnie z nim, Jamie. Świetnie to wykombinowałeś.

Przeszedł do swojego gabinetu i usiadł w fotelu. Zaraz potem zjawił się Swinton z iPhone'em i przysunął sobie krzesło, żeby też posłuchać.

– Co słyhać, Raimonds? Wiem, że było ciężko.

Głos generała brzmiał całkiem wyraźnie, chociaż był trochę przytłumiony.

– David, przyjacielu, tutaj robi się niebezpiecznie – odparł opanowany Balderis. –

Padła nam cała sieć dowodzenia, ale z wolna ją odzyskujemy. Jest całkiem jak podczas zeszłorocznych ćwiczeń Steadfast Pyramid, które prowadziłeś w Rydze. Ćwiczyliśmy wtedy atak na Estonię i przerzut sił NATO. Tyle że teraz to naprawdę się dzieje i nie chodzi o Estonię, ale o nas. Przynajmniej na razie tylko o nas.

Balderis zamilkł na moment, jakby chciał pozbierać myśli. McKinlay domyślał się, że jego przyjaciel nie był naprawdę tak spokojny, jak starał się to pokazać. Sam w podobnych okolicznościach też miałby z tym problem.

– Rosja zaatakowała Łotwę, na razie nie wprost, ale sądzimy że niebawem dojdzie i do tego. Potrzebujemy bezwarunkowego wsparcia ze strony naszych przyjaciół



i sojuszników z NATO. Jeśli artykuł piąty cokolwiek znaczy, to właśnie pora go wykorzystać. Jak to wygląda?

McKinlay poczuł się tak, jakby osobiście zawiódł przyjaciela. Balderis bardzo o niego się troszczył podczas tych kilku tygodni pobytu na Łotwie, gdy przeprowadzali gry wojenne. W tamtym scenariuszu NATO honorowało artykuł piąty. Całkiem inaczej niż teraz.

– Nie będę cię oszukiwał. Dzisiejsze posiedzenie Rady to była katastrofa. Niemcy naciskają na poszukiwanie najpierw politycznych rozwiązań. Mam zaraz rozmawiać z szefem, jest akurat w Stanach. Potem połączę się z Wielką Brytanią, Francją i Danią i spróbuję nakłonić ich do rozpoczęcia przygotowań na własną rękę.

– Ojcowie naszych ojców nigdy nie uwierzyliby, że Niemcy zmieniają się w największych pacyfistów w Europie – stwierdził ironicznie Balderis i zaśmiał się cicho. – Parafrazując Bismarcka, uważają chyba, że kraje bałtyckie nie są warte życia jednego pomorskiego grenadiera. Dzięki, Davidzie. Wiem, że robisz, co w twojej mocy.

Zaraz potem połączenie zostało przerwane.

– SACEUR jest już na bezpiecznym łączu, sir – zameldowała sierżant Lorna Bevin, stawiając na jego biurku kubek z symbolem Royal Marines, pełen mocnej herbaty. – I chyba nie jadł pan obiadu, więc proszę, oto jeszcze kilka herbatników.

– Dzięki, Lorna, jesteś niezwykła.

– Cześć, Dave – rozległ się głos z tandberga. – Słyszałem już, jak przebiegło posiedzenie Rady. Co za bałagan. Niebawem udaję się do Białego Domu. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego chce, żebym porozmawiał z prezydent. Co mam jej powiedzieć?

McKinlay nie bawił się w ładne słówka. NATO miało właśnie zawieść jedno z państw członkowskich, odmawiając jego obrony, a wielu innych członków Sojuszu przejmowało się w tej sytuacji jedynie wewnętrznymi reperkusjami politycznymi, w ogóle nie bacząc na fakt, że po raz pierwszy od 1945 roku Europa znalazła się na skraju poważnej wojny. Dwóch członków NATO, Grecja i Węgry, wydawało się przyjmować postawę niemal prorosyjską i nie miało dla nich znaczenia, że Łotwa została już zaatakowana, a bezpośredni najazd zapewne się rozpocznie już niebawem. McKinlay oznajmił na koniec, że jeśli cała historia nie ma się zakończyć katastrofą i nawet rozpadem NATO, trzeba jak najszybciej zastosować postanowienia artykułu piątego.

– Okej, Dave. To wszystko jest dla mnie jasne. Jako Amerykanin mogę cię zapewnić, że chociaż oficjalnie reprezentuję NATO, i tak spytam o możliwość natychmiastowej relokacji na Łotwę naszych sił lądowych, morskich i powietrznych. Niemniej to musi pozostać między nami. Jeśli nic nie wskóram, to sprawy nie było. Nic nie mówiłem, nie pytałem pani prezydent o nic. Chyba się rozumiemy?

– Całkowicie – odpowiedział McKinlay, w pełni zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo szef mu zaufał.

– Dobrze. To, co właśnie mi przekazałeś, powinno pomóc mi przekonać prezydent do wydania rozkazu operacyjnego. Jeśli zaś chodzi o NATO, musimy jakoś sprawić, żeby Szpica jednak się ruszyła. Szczerze mówiąc, jeśli będę musiał, wydam potrzebny rozkaz i bez zgody Rady, więc ruszaj z tymi rozmowami na szczeblu lokalnym. Gdy wrócę, przekazesz mi, ile dało się zrobić. Lot powrotny mam późnym wieczorem, krótko po rozmowie w Białym Domu. Do zobaczenia jutro.

Obraz Howarda trwał jeszcze nieruchomo na ekranie, po czym zniknął. Połączenie dobiegło końca.

McKinlay usiadł w fotelu i sięgnął po herbatę. Wydawało mu się, że od jego ostatniego spaceru z psem po lesie niedaleko rezydencji minęło już wiele czasu, chociaż przecież zdarzyło się to nie dawniej jak dzisiaj rano. Niemniej to był naprawdę długi dzień, a na dodatek sporo było jeszcze do zrobienia. Wiedział, że nieprędko wróci do domu. Miał nadzieję, że jego żona wyprowadziła Megan po południu. Jeśli nie, to gdy w końcu dotrze do siebie, przyjdzie mu ugłaskiwać bardzo niezadowolonego psa.

Po dwóch rozmowach telefonicznych zaczął w nim kiełkować niejaki optymizm. Francuzi gotowi byli samodzielnie pomóc Łotyszom, ale pod warunkiem, że jeśli NATO ruszy jednak z operacją, to ich generał będzie dowodził siłami Sojuszu. McKinlay, jako osoba odpowiedzialna za przydziały dowódcze, odparł natychmiast, że to oczywiście możliwe, ale pod warunkiem, że to właśnie Francja dostarczy większość kontyngentu. Ta zasadna propozycja nie znalazła jednak uznania, przez co rozmowa zakończyła się jasno wyrażonym zdaniem, że nie będzie żadnego porozumienia.

Duńczyk od razu przeszedł do rzeczy. Jego kraj miał umowę dwustronną z Łotwą i był już w trakcie wysyłania batalionu piechoty zmechanizowanej i kompanii czołgów. Miały dotrzeć na miejsce w ciągu pięciu dni.

– Gdyby wszyscy byli jak Duńczycy – rzekł McKinlay, patrząc na Swintona. – Spróbujmy teraz z naszymi. Co donoszą twoi szpiedzy, Jamie?

– Obawiam się, że nic dobrego. Ministerstwo Obrony jest jak najbardziej za, a armia, marynarka i lotnictwo aż rwą się do roboty w ramach Szpicy, ale Numer Dziesiąty staje mocno okoniem.

– Tak – mruknął McKinlay. – W tej sytuacji lepiej daj mi zastępcę szefa na bezpiecznej linii. W odróżnieniu od szefa sztabu on przynajmniej rozumie NATO. Zobaczmy, co powie.

Marszałka lotnictwa sir Tony'ego Wilsona, zastępcę szefa obrony, znał całkiem dobrze jeszcze z czasów, gdy pracowali razem lata temu. McKinlay był wtedy młodym, świeżo awansowanym podpułkownikiem, a zawsze poważnie podchodzący do życia Wilson służył jako nawigator RAF-u, między innymi w Niemczech, gdzie pozostawał

w strukturach NATO. Potem został planistą w Ministerstwie Obrony. Ostry w podejściu do innych, czasem nawet szorstki, wyczuwał świetnie realia Sojuszu. Na dodatek był też bezpośredni i można było oczekiwać, że powie wprost, jak to wszystko wygląda.

Uzyskawszy połączenie, McKinlay usłyszał najpierw znajome piski związane z szyfrowaniem łącza, a następnie głos Wilsona.

Nie bawiąc się we wstępy, McKinlay nakreślił w kilku zdaniach sytuację na Łotwie i streścił pokrótce, co działo się podczas popołudniowych sesji Rady Północnoatlantyckiej.

– Tak więc póki co trudno oczekiwać pozytywnej decyzji w sprawie artykułu piątego. Niemniej jeśli Amerykanie zdecydują się samodzielnie pomóc Łotwie, to czy jest szansa na to, że Wielka Brytania włączy się i wyśle chociaż te oddziały, które zgłosiła do udziału w Szpicie?

Wilson potwierdził to, co szeptali szpiedzy Swintona.

– Ministerstwo jest za. Problem wiąże się z premierem.

– To samo, co zwykle? – upewnił się McKinlay.

– Obawiam się, że tak – odparł Wilson. – Ma wkoło siebie całą masę akolitów, dla których użycie siły, a zwłaszcza każda wzmianka o wysłaniu wojska jest w najlepszym razie tematem zakazanym. W obliczu kryzysu związanego z artykułem piątym na Downing Street doszło dzisiaj do pomniejszej klęski żywiołowej i totalnego załamania pogody. Perspektywa powiedzenia poddanym, że brytyjscy żołnierze będą walczyć i umierać w obronie Łotwy, to za wiele dla niego. Podobno podczas porannego spotkania gabinetu premier miał stwierdzić, że Brytyjczycy i tak wydają zbyt wiele pieniędzy na Łotwie, przy czym miał na myśli wszelkie hulanki naszych rodaków, po czym dodał, że i tak nie są to raczej ludzie skłonni potem na niego głosować. Jego asystenci mówią, że wyszło to wręcz komicznie. Poza tym, jak widzieliśmy już przy okazji sprawy nalotów w Syrii, nasz premier żywi wstręt do broni palnej i worków na zwłoki i nie przejdzie mu to bez większościowej decyzji Izby Gmin.

– Ale on ma tę większość – zauważył McKinlay.

– Owszem, lecz minimalną, i to pomimo kłopotów nękających laburzystów od czasu wyboru Corbyna na przewodniczącego. Problem w tym, że wielu szeregowych torysów, zwłaszcza z młodszego pokolenia, nie jest gotowych do poparcia niczego związanego z artykułem piątym. Doszłoby do powtórki z Chamberlaina. Rok 1939 i klimaty w stylu: dlaczego nasi chłopcy mają walczyć, a być może i umierać, za odległy kraj, o którym mało co wiemy i który guzik nas obchodzi.

– I jak to się wtedy skończyło? – spytał retorycznie McKinlay. To już nie był ten sam kraj, któremu chciał kiedyś służyć w szeregach Royal Marines. – Czy rozmowa z Waszyngtonem mogłaby jakoś pomóc? – zapytał w końcu.

– Być może. Ale tylko w razie telefonu z Białego Domu.

– Zajmę się tym. Będę cię informował, Tony. Niebawem się odezwę. Trzymaj się. Zaraz skontaktowałem się z siedzącym w sąsiednim gabinecie Swintonem.

– Jamie, możesz dać mi szefa na łącza? Muszę jeszcze z nim pogadać, zanim dotrze do Białego Domu.

Czwartek 18 maja 2017 roku, 22.00 czasu środkowoeuropejskiego,

16.00 czasu Wschodniego Wybrzeża

Biały Dom, Waszyngton

– Tak, pani prezydent – stwierdził MacWhite. – Jesteśmy praktycznie pewni, że Rosjanie są gotowi do ataku na Łotwę. I jest bardzo prawdopodobne, że zaatakują także Estonię i Litwę.

Bear Smythson przestał robić notatki, co było jego rutynowym, niemniej ważnym zajęciem jako asystenta doradcy prezydent do spraw bezpieczeństwa narodowego, którym był Abe MacWhite, i rozejrzał się po ścianach pokoju dowodzenia, znanego w kręgach Rady do spraw Bezpieczeństwa Narodowego pod nazwą „drewutni”. Podczas niedawnego remontu usunięto oryginalne drewniane panele, ponieważ kiepska akustyka utrudniała rozmowy wideo czy telefoniczne. Pokrywające teraz ściany tkaniny zdecydowanie to zmieniły, ale w tej akurat chwili w pomieszczeniu zalegała dokuczliwa wręcz cisza. Prezydent najpotężniejszego państwa na Ziemi potrzebowała chwili, żeby przetrwać przedstawione jej właśnie informacje. Wszyscy czekali w bezruchu.

Prezydent Lynn Turner Dillon spojrzała w końcu na obecnych przy stole. W historycznym wnętrzu, w którym podjęto już tyle brzemiennej w skutki dla świata decyzji, zgromadzili się generałowie i admirałowie, którzy zarządzali amerykańską machiną wojenną. Byli wśród nich MacWhite, niegdyś generał sił specjalnych, admirał Howard, służący teraz jako SACEUR, oraz przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Wszyscy oni doświadczyli brutalności wojny i poznali świetnie jej konsekwencje. Bez wyjątku uznawali ją za coś odrażającego, ale wiedzieli też, że czasem trzeba stanąć do walki, żeby ochronić swój kraj, jego mieszkańców i reprezentowane przez nich wartości.

– Nie ma wątpliwości, że obecna rosyjska aktywność jest zapowiedzią ataku na Łotwę – powiedziała powoli, patrząc kolejno zebranych w oczy. – Łotwa jest członkiem NATO, sojusznikiem Ameryki i krajem popieranym przez Stany Zjednoczone nawet wtedy, gdy wszyscy inni pogodzili się z jego okupacją przez Związek Radziecki. Kampania propagandowa, zorganizowanie prowokacji podczas wczorajszego przemarszu oraz dzisiejsze sparaliżowanie sieci informatycznych Łotwy były częścią agresywnych przygotowań. Prezydent Federacji Rosyjskiej jest zdecydowany włączyć Łotwę z powrotem do swojego imperium. Musimy go powstrzymać. Proszę umówić mnie na rozmowę telefoniczną z nim. W najszybszym możliwym terminie. Tymczasem

jednak musimy przygotować się do użycia sił zbrojnych.

Spojrzała na MacWhite'a, którego ocenom zwykła ufać bez zastrzeżeń.

– Jak to widzisz, Abe?

– Sądzę, że ma pani rację – odparł MacWhite, obracając ołówek w dłoniach. – Trzeba porozmawiać z Moskwą. Upewnić się, że dobrze wszystko interpretujemy. Zaraz to zorganizujemy.

Bear dostrzegł kątem oka, że jeden z asystentów wymknął się z pokoju. Zapewne właśnie w tej sprawie.

– Ale musimy też pokazać mu, że jesteśmy gotowi bronić Łotwy – podjął MacWhite.

– Słyszeliśmy, że Niemcy i inne jeszcze kraje powstrzymały NATO przed zastosowaniem artykułu piątego. Rozmawiała pani z panią kanclerz, która jasno zapowiedziała, że nie zrobi nic bez zgody Bundestagu, Trybunału Konstytucyjnego oraz SDP, socjaldemokratów, z którymi jest w koalicji. – Spojrzał na admirała Howarda.

SACEUR kiwnął głową.

– Myślę, że musimy wysłać tam nasze oddziały lądowe, a ponadto wzmocnić grupę patrolującą przestrzeń powietrzną nad państwami bałtyckimi i skierować nasze okręty na wschodni Bałtyk. Jeżeli NATO nic nie robi, spadnie to na nas. Oczywiście we współpracy z innymi zainteresowanymi sojusznikami.

– A dokładnie z kim? I co możemy sami wysłać? – spytała prezydent, zwracając się do przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, generała Marty'ego McCanna, jasnowłosego bostończyka irlandzkiego pochodzenia. Były pancerniak, znany był również ze znakomitego głosu i skłonności do intonowania różnych pieśni. Ale to nie była dobra chwila na przypominanie irlandzkich ballad.

– Pani prezydent, zgodnie z pani poleceniem w sobotę skróciliśmy czas osiągnięcia gotowości do dyslokacji dla Szóstej Floty, Osiemnastego Korpusu Powietrznodesantowego, Dowództwa Operacji Specjalnych oraz sił powietrznych w Europie. Teraz wynosi on dwadzieścia cztery godziny, a w przypadku elementów wspierających trzy do siedmiu dni. Zatem gdy mowa o niezwłocznym wsparciu, możemy mieć sześć F-16 i blisko trzystu lotników z Trzydziestego Pierwszego Skrzydła Myśliwskiego, stacjonującego w Aviano w północnych Włoszech. Trafiliby do bazy lotniczej Lielvārde na południowy wschód od Rygi.

– Jak szybko?

– Pierwsze samoloty transportowe z Grupy Awaryjnej mogą być tam w ciągu dwudziestu czterech godzin, żeby przygotować wszystko na przybycie myśliwców. Te mogłyby dołączyć zapewne po kolejnych dwudziestu czterech godzinach. Zatem pierwsze nasze myśliwce wylądowałyby na Łotwie za czterdzieści osiem godzin od teraz.

– I co jeszcze?

– Co do marynarki, dwa niszczyciele z Szóstej Floty składają właśnie wizytę

w Hamburgu. Mogą dotrzeć do Zatoki Ryskiej w ciągu dwudziestu czterech godzin. Z siłami lądowymi będzie trudniej. Zebranie personelu dla pełnej brygady zabierze pięć dni. Wykorzystają nasze pojazdy i sprzęt, przechowywane w krajach Europy Wschodniej. Potem trzeba doliczyć jeszcze z dziesięć dni na skoncentrowanie pododdziałów w jednym miejscu, bo te magazyny są naprawdę mocno rozrzucone i na to nic nie możemy już poradzić. Zalecałbym też wykorzystanie Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej Sił Globalnego Reagowania. To grupa bojowa licząca około czterystu pięćdziesięciu żołnierzy, z własnym zapleczem i wsparciem logistycznym, dzięki któremu mogą działać całkiem samodzielnie nawet przez kilka dni. Możemy zacząć przerzucać ich w ciągu osiemnastu godzin.

– Dlaczego nie mogą działać samodzielnie dłużej? – spytała prezydent.

– Oddziały powietrznodesantowe muszą walczyć tym, z czym wylądują, przynajmniej aż zdołają nawiązać kontakt z innymi formacjami albo otrzymają uzupełnienia drogą powietrzną. To ogranicza je w kwestii ciężkiego uzbrojenia, mobilności, logistyki i zapasów. Gdy już tam będą, w ciągu kilku dni doślemy im brygadę wojsk lądowych, liczącą około pięciuset ludzi. Jednak do przybycia drugiej fali będą zdani tylko na siebie. Niemniej do czegoś takiego zostali wyszkoleni.

To wystarczyło Dillon, która spojrzała ponownie na MacWhite'a.

– Teraz sprawa naszych sojuszników.

MacWhite zerknął na swojego starego przyjaciela, towarzysza broni McCanna, który towarzyszył mu w niejednej kampanii.

– Jak myślisz, Marty, po której stronie staną Brytyjczycy? Dobrze ich znasz.

– Nasze kontakty z nimi poprawiają się powoli po tym, jak zawiedli w Iraku. Tak naprawdę Osiemdziesiąta Druga Dywizja Powietrznodesantowa była zadowolona ze współpracy z ich Szesnąstą Brygadą. Przeprowadzili w tym roku cholernie udane ćwiczenia. Dziewięciuset Brytyjczyków z trzeciego batalionu spadochronowego opanowało wraz z naszymi lotnisko.

– To sugeruje, że powinniśmy się domagać operacji koalicyjnej – wtrąciła zaciekawiona prezydent. – Sądzę, że pozyskanie do współpracy dwóch naszych najbliższych sojuszników to dość wiele, żeby zaryzykować nawet niewielkie opóźnienie operacji. Pytanie tylko, czy przywódcy polityczni Wielkiej Brytanii okażą się na tyle twardzi, żeby w to wejść. A Francuzi?

– Pani prezydent, nie ma najmniejszych wątpliwości, że francuskie dowództwo będzie skłonne się włączyć. Problem jednak w tym, że ostatnio ich armia zajmuje się głównie sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego. Przeznaczili dziesięć tysięcy żołnierzy do pilnowania szkół i supermarketów przed dżihadystami, więc mogą nie mieć wiele wolnych oddziałów w stanie gotowości. No i oczywiście nie możemy być pewni, co powiedzą ich politycy. Z Brytyjczykami jest w sumie tak samo, chociaż oni na szczęście nie wykorzystują tylu żołnierzy na własnym podwórku. Może być pani

pewna, że ich struktury wojskowe będą całym sercem za udziałem w tej misji, a ich żołnierze są wręcz świętmi. Prawdziwym wyzwaniem będzie rozmowa z przywódcami politycznymi.

– Brytyjskim premierem sama się zajmę – stwierdziła stanowczo Dillon.

– Pani prezydent, jeśli można – odezwał się SACEUR. – Dopiero co rozmawiałem z moim brytyjskim zastępcą, który poinformował mnie o przebiegu dzisiejszej sesji Rady Północnoatlantyckiej. Przekazał, że Downing Street dostaje drgawek na samą myśl o uznaniu ważności artykułu piątego i posłaniu brytyjskich żołnierzy do obrony Łotwy. Wojsko może być za, ale premier nie zrobi raczej ani kroku bez decyzji parlamentu, gdzie sprawa może nie przejść. Niewykluczone zresztą, że nawet pozytywna decyzja parlamentu, ale uzyskana małą większością głosów, nie zdoła go przekonać.

– Chyba naprawdę będę musiała z nim porozmawiać... Przypomnij mi, Marty, jak szybko możesz przerzucić Osiemdziesiątą Drugą na Łotwę?

– Jeśli dostanę zielone światło już teraz, Siły Globalnego Reagowania wylądują w Rydze za osiemnaście godzin. Gdyby lotnisko było nadal zamknięte na skutek cyberataku, po prostu ich zrzucimy. Wyruszą prosto z Fort Bragg i będą lecieć non stop przez Atlantyk, podobnie jak podczas zeszłorocznych ćwiczeń Anakonda w Polsce. Powietrznodesantowi tak działają.

– A jeśli Brytyjczycy zechcą dołączyć?

– Żaden problem, ale trochę nas to spowolni. Będziemy musieli uzgodnić wcześniej to i owo z ich dowództwem. Ale dogadujemy się dobrze z Brytyjczykami, zwłaszcza tymi z trzeciego batalionu. Jak wspomniałem, ćwiczyli już z naszymi, a to znaczy, że dobrze się nawzajem znają i mają opanowaną wspólną łączność i tym podobne sprawy. No i praktykę w tego rodzaju operacjach. Ale załatwienie wszystkiego i tak potrwa trochę, przez co nasi zjawią się w Rydze dopiero po upływie trzydziestu sześciu godzin.

– Masz zielone światło, Marty. Niech ruszają. A teraz muszę zadzwonić tu i ówdzie. Na Kreml, na Downing Street i do Francji. Tyle że to już z Gabinetu Ovalnego.

Trzydzieści minut później Bear siedział w Gabinetu Ovalnym. Prezydent Dillon zajęła miejsca przy biurku wykonanym z drewna pochodzącego z HMS *Resolute*. Bear wiedział, że ten niezwykły mebel był prezentem od królowej Wiktorii, przekazany w 1880 roku dla upamiętnienia „szlachetności i życzliwości” Amerykanów wobec Wielkiej Brytanii. Samo istnienie tego biurka oraz to, że zasiadało przy nim aż tylu znakomitych poprzedników obecnej pani prezydent, były świadectwem szczególnych relacji istniejących pomiędzy oboma krajami. Niemniej usadowiony na jednej z oliwkowozielonych sof, ustawionych na białym dywanie, MacWhite zastanowił się przez chwilę, co królowa Wiktorii powiedziałaaby o obecnym premierze Wielkiej Brytanii. Zapewne nic dobrego. Na szczęście Dillon okazała się na tyle silna, żeby nie



dać się zastraszyć brutalnej rzeczywistości geopolityki. W tym była akurat podobna do zmarłej wiele lat temu królowej.

Nagle zjawił się mocno sfrustrowany asystent pani prezydent. Dillon nie zamierzała korzystać z gorącej linii, która wbrew mitom nie była linią telefoniczną, ale linią przesyłu danych, łączącą Moskwę bezpośrednio z Pentagonem. Zależało jej na bezpośredniej rozmowie, chociaż oczywiście z wykorzystaniem tłumacza. Nawiązano już kontakt z Kremlem i otrzymano zapewnienie, że prezydent jest w swoim gabinecie i czeka na rozmowę.

– I co, możemy zaczynać? – spytała Dillon.

– Przykro mi, pani prezydent. Rozmawialiśmy z prezydenckim biurem w Moskwie i wszystko było już gotowe, gdy nagle usłyszeliśmy, że prezydent nie będzie jednak z panią rozmawiał. Wiem, że trudno w to uwierzyć, skoro najpierw się zgodzili, ale wydaje się, że prezydent opuścił biuro. Zgodnie z harmonogramem zajęć ma wykonać swobodny skok spadochronowy z zespołem pokazowym rosyjskich oddziałów powietrznodesantowych. Usłyszeliśmy, że z żalem musiał przez to zrezygnować z rozmowy, chociaż w Moskwie jest teraz północ. Zapewne więc uznał, że musi się wyspać, żeby pokazać się jutro narodowi z jak najlepszej strony, jako przywódca silny i odważny. Ma nadzieję, że pani to zrozumie.

Dillon wypuściła powoli powietrze z płuc. To nie była dobra chwila na okazywanie złości, nawet jeśli zostało się w oczywisty sposób zlekceważonym. MacWhite spojrział na Beara i obaj odwrócili oczy; komentowanie upokorzenia, którego doznała prezydent Stanów Zjednoczonych ze strony prezydenta Federacji Rosyjskiej, też nie byłoby najlepszym pomysłem. Niemniej wpatrzony w swój notes Bear jednego był już pewien: rosyjski prezydent nie był zainteresowany pokojowym rozwiązaniem tego kryzysu.

– Bear, możesz sprawdzić, czy brytyjski premier odbierze telefon od pani prezydent?

Bear wszedł z gabinetu i wziął podany mu przez asystenta aparat.

– Łączę z biurem premiera w Chequers. Całkiem bezpieczne.

– Chequers... Gdzie to, do cholery, jest? – spytał Bear, rozzłoszczony jeszcze sceną, którą widział w Gabinetce Ovalnym. Jemu ta nazwa kojarzyła się wyłącznie z warcabami.

– To wiejska rezydencja premiera Wielkiej Brytanii – wyjaśnił asystent. – Pan premier lubi zaczynać weekend trochę wcześniej, żeby nacieszyć się rodziną. Może być mocno wyluzowany.

Po drugiej stronie ktoś odebrał. Bear usłyszał angielski głos przemawiający, jak później się dowiedział, z akcentem typowym dla południowego Londynu.

– Witam, mówi Trev Walker, dyrektor do spraw komunikacji biura premiera.

Bear postanowił być uprzejmy.

– Przepraszam, ale chyba zaszła jakaś pomyłka. Dzwonię z Białego Domu

i chciałem skontaktować się z asystentem premiera. Chodzi o rozmowę z prezydentem Dillon. To nie ma związku z mediami.

– Spokojnie, chłopie – usłyszał. – Też mam dojście do premiera. Ograniczył tu zatrudnienie do minimum. Załatwię to. O czym ma być rozmowa?

– Rosja, NATO, Łotwa i tak dalej. – Bear nie posiadał się ze zdumienia, że przyszło mu rozmawiać z gościem od obsługi mediów, a nie doradcą wojskowym premiera, ale doszedł do wniosku, że widać tam panują inne porządki. Niemniej irytowały go fałszywie przyjazny ton Brytyjczyka i jego udawana ignorancja. Bo przecież w jakiej niby innej sprawie mogłaby dzwonić w tej chwili prezydent Stanów Zjednoczonych do premiera Wielkiej Brytanii? Wszyscy słyszeli o kryzysie na Łotwie. Niemniej zwykł przyjmować ludzi takimi, jacy byli, inaczej nie potrafił. – Czy mogę zatem prosić o połączenie z premierem? – spytał uprzejmym tonem.

– Nie, chłopie. Najpierw dasz prezydent na linię, potem ja dam premiera. – Walker był chyba bardzo szybki w wykorzystywaniu potencjalnej przewagi. W tym przypadku sprowokowała go zapewne uprzejmość Amerykanina.

Tyle że istniał szczegółowy protokół, przewidujący, jak powinna wyglądać taka rozmowa. Bear znał go na wyrywki i wiedział, że obowiązywała zasada starszeństwa. W tym przypadku nie było najmniejszych wątpliwości, kto był tu starszym z przywódców, co oznaczało, że Bear nie mógł zgodzić się na propozycję Brytyjczyka. Na szczęście wychował się po właściwej stronie torów w Atlantycie i nie ulegał podobnym osobnikom.

– Dziękuję, ale nie. Poczekam na premiera.

Walker musiał chyba zrozumieć, że tej partii nie wygra, bo na chwilę zapadła cisza, a moment później rozległ się nowy głos. Bear odnotował jednak, że jego pierwszy rozmówca chyba bardzo nie lubił przegrywać, skoro zdecydował się ponownie naruszyć protokół i złośliwie nie uprzedził, z kim będzie łączył.

– Mówi premier. – Głos był lekko piskliwy i nosowy, za to akcent i wymowa prawdziwie królewskie.

– Proszę poczekać, panie premierze. Połączę pana z panią prezydent. – Bear poczekał, aż Dillon odbierze rozmowę, po czym przełączył telefon na monitorowanie rozmowy.

– Droga Lynn – powiedział premier. – Miło, że dzwonisz. Jak się miewasz?

– Dziękuję, dobrze, Williamie.

Dillon miała na tyle silny charakter, że nie przejęła się samczymi popisami rosyjskiego prezydenta, ale zamierzała jeszcze potem rozmawiać z Francuzem i nigdy nie przepadała za banalnymi rozmowami towarzyskimi. W krótkich słowach poinformowała rozmówcę o swojej decyzji o wysłaniu amerykańskich sił na Łotwę dla zniechęcenia Rosji do najazdu na ten kraj.

– Tyle tylko, Williamie, że dla pełnej skuteczności będziemy potrzebowali

sojuszników. Znam nieźle kanclerz Niemiec i mam podstawy sądzić, że uda nam się skłonić Berlin do uznania zasadności sięgnięcia po artykuł piąty, ale to trochę potrwa. My zaś nie mamy wiele czasu. Nie oczekuję problemów z Francuzami, ale najbardziej zależy mi na włączeniu się Wielkiej Brytanii, i to możliwie jak najszybciej. Po tylu latach z nikim nie znamy się tak dobrze, no i ufamy wam. Nasze kraje sporo razem przeszły i słyszałam, że obecnie wasze jednostki powietrznodesantowe współpracują blisko z naszymi. I że ćwiczyły razem ten typ operacji. Czy możemy na was liczyć?

– Wiesz, Lynn... – mruknął po chwili wahania premier. – Oczywiście rozumiem wasze decyzje i zgadzam się, że Rosja prowadzi bardzo ryzykowną grę. Ale jeśli chodzi o wysłanie naszych oddziałów na Łotwę... Nie wiem. Zdecydowanie wolelibyśmy nie prowokować Rosjan do jeszcze gorszych rzeczy, a poza tym niewiele w sumie moglibyśmy zrobić. Ostatecznie to ich podwórko. Nie sądzisz?

– Szanowny premierze – powiedziała Dillon, przechodząc na bardziej oficjalny poziom i zmieniając nawet ton na znacznie chłodniejszy. – Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że Wielka Brytania nie jest gotowa stanąć w obronie wolności natowskiego sojusznika zagrożonego rosyjskim najazdem?

– Och, nie. Oczywiście, że nie, Lynn. – Premier wyraźnie zaczynał się wić. – Ale musisz zrozumieć, że mam związane ręce. Naprawdę nie mogę zarządzić żadnej akcji wojskowej bez uprzedniego zatwierdzenia jej przez parlament. Poza tym nie musimy obawiać się Rosji, bo nawet przy zredukowanych siłach konwencjonalnych nadal mamy nasze rakiety typu Trident, skutecznie odstrasżające Rosję od wszelkich agresywnych kroków.

– Panie premierze – wycedziła prezydent Dillon. – Muszę przyznać, że jestem oszołomiona twoją ignorancją. Wychodzi na to, że nie rozumiesz, jak działa mechanizm odstrasżania. Konieczna jest równowaga na każdym poziomie, tak konwencjonalnym, jak i nuklearnym. Pozwól, że wyjaśnię ci rzecz po literkach. Jeśli nie powstrzymamy teraz Rosjan, dojdzie do nowej wojny w Europie. Ta będzie eskalowała, aż przerodzi się w wojnę atomową. To pewne. Tak samo pewne jak to, że po nocy nastaje dzień. Twoi generałowie chyba ci to wyjaśniali?

– Bez przesady, Lynn – powiedział premier, próbując odzyskać grunt. W jego głosie słychać było narastającą irytację. – Jestem pewien, że nie jest aż tak źle. Na razie nikt nikogo nie zaatakował, no i... z tego, co słyszałem od moich ludzi, wynika jasno, że żadnym sposobem nie zdołamy wysłać naszych żołnierzy do państw bałtyckich. Jak wiesz, jesteśmy w fazie przejściowej i nasza armia nie ma tylu gotowych do działania, w pełni wyposażonych oddziałów co zwykle. Moi generałowie mówią mi, że to tylko tymczasowa trudność, ale...

Mógłby pewnie tak długo, ale prezydent mu przerwała:

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz przejść do historii jako pierwszy premier Wielkiej Brytanii, który nie stanie w potrzebie u boku natowskiego sojusznika? Jak to

się ma do waszej tysiącletniej historii? Do dni chwały Wielkiej Brytanii? Jeśli mogę... coś powiedzieć na ten temat, to jestem przekonana, że będzie to oznaczało koniec naszej wyjątkowej relacji.

Bear odniósł wrażenie, że premier przełknął ślinę.

– Zobaczę... Zobaczę, co da się zrobić, Lynn.

Zaraz potem rozległ się cichy trzask i po drugiej stronie zapadła cisza.

Sobota 20 maja 2017 roku, godzina 17.35

Baza lotnicza Lielvārde, Łotwa

Przy średniej prędkości przelotowej wynoszącej 435 węzłów, czyli trochę ponad 800 km/h, przelot z Aviano na północ od Wenecji do odległej o 900 kilometrów bazy na Łotwie zajął samolotowi myśliwskiemu F-16C tylko dwie godziny i dwadzieścia minut, ale major Philip Bertinetti z US Air Force i tak marzył o jak najszybszym lądowaniu i chwili, kiedy będzie mógł wreszcie rozprostować nogi. Kierowany przez amerykańskiego kontrolera lotów, który już wcześniej został przerzucony do Lielvārde, zaczął schodzić z wysokości przelotowej. Z tyłu i lekko z lewej towarzyszył mu nowy skrzydłowy Mike Ryan. Pochyliwszy maszynę w zakręcie w prawo, Bertinetti ujrzał biegnący łagodnym łukiem brzeg Zatoki Ryskiej z całymi milami żółtej piaszczystej plaży okolonej zielonym lasem. Potem dostrzegł uzdrowisko Jurmała z drewnianymi zabudowaniami w stylu art nouveau, niegdyś ulubione miejsce letniego wypoczynku rosyjskiej arystokracji, a potem wyższych urzędników partii komunistycznej.

Odnutowawszy w pamięci, żeby zajrzeć tam z żoną w spokojniejszych czasach, rozpoczął procedurę przygotowania do lądowania. Kilka chwil później ujrzał przed sobą pas startowy lotniska Lielvārde. Zmniejszył prędkość, wypuścił podwozie i otworzył hamulce aerodynamiczne. Marker ścieżki schodzenia na wyświetlaczu hełmu pomagał mu utrzymać stały kąt 2,5–3 stopni. Nad progiem pasa Bertinetti zmniejszył jeszcze ciąg. Mknąc nad betonem, uniósł nos maszyny i ograniczył obroty turbiny do minimum.

Przyziemił łagodnie, dokładnie w osi pasa. Jak powiadał niegdyś jego instruktor, pilot jest na tyle dobry, na ile udane było jego ostatnie lądowanie. To akurat było wręcz świetne. Zwłaszcza, można by powiedzieć, w obecnych okolicznościach. Tyle że dla Bertinettiego nie przeszłość była najważniejsza. Liczyło się to, na ile był dobry teraz. Uważał, że jeśli pozwoli sobie na coś, co będzie gorsze od doskonałości, szybko przyjdzie wrócić mu do domu, i to na miejscu pasażera, a nie pilota. A on nie lubił wsiadać do żadnego samolotu w jakiegokolwiek innej roli poza rolą pilota.

Niemniej to był rzeczywiście niezwykły tydzień. Ledwie siedem dni temu został zestrzelony nad Ukrainą, gdzie zapewniał osłonę grupom Amerykanów szkolących ukraińską armię. Bardzo szybko zabrał go śmigłowiec ze służb poszukiwania i ratownictwa, po czym został odesłany do Aviano, żeby przejść konieczne w takiej sytuacji badania medyczne i złożyć pełen raport z przebiegu zdarzeń. Grupa Medyczna uznała go za w pełni zdrowego, zatem nie tracąc czasu, zwrócił się do dowodzącego

31. Skrzydłem Myśliwskim generała brygady, żeby pozwolono mu czym prędzej wrócić do latania. Twierdził przy tym, że jego zdobyte nad Ukrainą doświadczenie bojowe może się okazać przydatne dla innych pilotów. Normalnie zostałyby po takim zdarzeniu uziemiony na dłużej, ale czas był daleki od normalności, więc generał spuścił ostatecznie z tonu. Bertinetti zdołał wyrwać się jeszcze na kilka dni do domu, żeby spędzić trochę czasu z wielce cierpliwą żoną Dianą i ich dwoma córkami. Niebawem jednak przyszedł rozkaz przebazowania sześciu F-16 na Łotwę.

Obsługa naziemna w amerykańskich mundurach nakierowała obie maszyny na stanowiska postojowe. Już poprzedniego dnia przyleciały do Lielvārde transportowce, C-17 i dwa C-130 z 435. Grupy Awaryjnego Reagowania, żeby przygotować wszystko na przybycie myśliwców. Bertinetti otworzył osłonę kabiny, odpiął maskę tlenową i zwolnił zapięcia pasów. Potem wyprostował się, zdjął hełm i głęboko wciągnął świeże powietrze. Wysiadł, ledwie przy burcie jego maszyny pojawiła się dostawiona przez personel naziemny drabinka. Chwilę później podczepiono jego maszynę do ciągnika, który miał przeprowadzić ją do schronu, gdzie czekała już obsługa techniczna.

– Witam w Lielvārde, majorze! Jestem pułkownik Teteris, dowódca bazy – odezwał się rosły łotewski oficer, który czekał już na płycie.

– Miło mi pana poznać, sir. Jestem Phil Bertinetti – powiedział ciemnowłosy pilot z Kolorado i zsalutował jako pierwszy, po czym uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Wszystko jest już gotowe na przybycie pozostałych F-16. Wasza Grupa Awaryjnego Reagowania wylądowała już wczoraj i zapewni konieczne wsparcie. My będziemy czuwać nad ochroną bazy i ogólnymi sprawami, chociaż napotykałyśmy ostatnio pewne trudności, w które jeszcze pana wprowadzę. Samo lotnisko oddaliśmy waszym ludziom. Będą odpowiadać za operacje powietrzne, kontrolę operacyjną, obronę przeciwlotniczą, utrzymanie i tak dalej. Wedle potrzeb.

– To do nich podobne – powiedział Bertinetti. – Nie marnują czasu, tylko zaraz urządzają wszystko po swojemu.

Z drugiej strony cieszyło go, że dobrze naoliwiona maszyna US Air Force zdołała zapuścić już tu korzonki. To był ważny sygnał dla Łotyszy, chociaż po ukraińskich doświadczeniach, i wbrew powszechnym oczekiwaniom, Bertinetti nie przypuszczał, żeby Rosjanie bardzo się tym przejęli.

– Majorze, muszę panu uświadomić, że sprawy mają się tutaj bardzo źle – powiedział z przejęciem Teteris. – Dwa dni temu padliśmy ofiarą rozległego cyberataku. Przywróciliśmy już częściowo łączność, ale infrastruktura naszego państwa mocno ucierpiała. Robimy, co w naszej mocy, żeby wszystko naprawić, ale na razie nie możemy zaoferować wam pełnego wsparcia.

Wkrótce potem, i po wypiciu bardzo potrzebnej filiżanki mocnej czarnej kawy, Bertinetti odebrał swoje rzeczy, przywiezione dzień wcześniej na pokładzie C-130,

i został zaprowadzony do pokoju, gdzie czekała na niego prycza. Potem Teteris zabrał go jeszcze na spotkanie z dowódcą grupy, który poinformował, że pozostałe cztery myśliwce mają przybyć w nocy. Porozmawiali jeszcze trochę o zasadach operacyjnych, które ich obowiązywały, podczas gdy Mike Ryan, jego skrzydłowy, sprawdził stan przygotowań na przylot reszty eskadry.

Bertinetti był świadom delikatności sytuacji, w której się znalazł. Obaj dowódcy byli pułkownikami, on zaś majorem. Wprawdzie mieli zapewnić tylko wsparcie jego ludziom, przysłanym tutaj, żeby latać, walczyć i być może ginąć, ale i tak musiał wykonywać ich rozkazy. Musiał znaleźć jakiś sposób przekazywania im, co powinni robić, i to w sposób nienachalny, skoro był młodszy stopniem.

– Sir, proponuję nawiązać kontakt z dowództwem waszych Sił Zbrojnych. Powinni być świadomi, ile dokładnie możemy wnieść do puli, i na pewno będą chcieli wiedzieć, kiedy osiągniemy gotowość operacyjną.

– Dobry pomysł, Phil – odparł dowódca grupy. – Może weźmiesz samochód i przejedziesz się do Rygi? Ja wolę zostać tutaj i dopilnować reszty przygotowań.

– Ja pana zawiozę – zaoferował się Teteris. – Na pewno ucieszą się na pana widok. Uprzedzę ich, że pan się zjawi. Tyle łączności udało nam się odzyskać.

Dwie godziny później wjechali na teren wspólnej kwatery głównej Łotewskich Narodowych Sił Zbrojnych. Bertinetti wciąż był w kombinezonie lotniczym, co nie było w sumie niczym dziwnym, zważywszy, że znalazł się w strefie potencjalnego konfliktu. Miał też torbę podręczną i służbową broń boczną, berettę kalibru 9 mm.

Teteris zaprowadził go do wnętrza budynku i ku niejakiemu zdumieniu pilota zaraz przeszli do gabinetu szefa obrony, gdzie powitał ich sam generał Raimonds Balderis, co wskazywało, że Łotysze bardzo cenili sobie udzieloną przez USA pomoc. Bertinetti przekazał mu informację o planowanym czasie przylotu pozostałych F-16.

– To bardzo dobra nowina, majorze – powiedział Balderis. – Teraz musicie tylko dopracować strukturę dowodzenia i kontroli lotów i znaleźć wspólny język z natowską misją Baltic Air Policy. To może być trochę złożone, ponieważ oni operują z Litwy. Zgadza się, pułkowniku Teteris?

– Dokładnie, panie generale – odparł Teteris. – Obecnie są w bazie pod Szawłami na Litwie. Będziemy musieli porozmawiać z Centrum Operacyjnym, jak to załatwić. –

Spojrzał na Bertinettiego. – Proszę ze mną, zaprowadzę tam pana. – Zasalutowali i wyszli z gabinetu Balderisa.

Po wejściu do Centrum Operacyjnego Bertinetti najpierw, całkiem odruchowo, zwrócił uwagę na wysokiego i ciemnowłosego mężczyznę w brytyjskim chyba mundurze. Siedział w pewnym oddaleniu od łotewskich oficerów i rozmawiał ze smukłą dziewczyną o jasnych włosach.

Gdy dostrzegł lotniczy kombinezon z flagą USA na ramieniu, zaraz wstał i podszedł do Bertinettiego.

– Jestem Tom Morland, brytyjski oficer łącznikowy na Łotwie. Ty chyba przyleciałeś z pierwszymi F-16?

– Nie inaczej, Tom. Miło cię poznać. – Bertinetti uściśnął dłoń Brytyjczyka, po czym zerknął z zaciekawieniem na blondynkę.

– Marina Krauja z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – przedstawiła się, patrząc mu prosto w oczy.

Na ścianie Centrum Operacyjnego wisiała cyfrowa mapa ukazująca Łotwę wraz z terenem przygranicznym. Po wewnętrznej stronie granicy z Rosją widać było niebieskie ikony symbolizujące stanowiska łotewskiej armii. Dalej na wschód, już na terenie Rosji, Bertinetti dostrzegł grupę czerwonych znaków skoncentrowanych wkoło Pskowa. Kolejne widniały trochę na południe, w pobliżu Opoczki i Ostrowa.

– Biorą udział w prowadzonych tam właśnie ćwiczeniach – wyjaśnił Teteris.

Przed mapą stały rzędy biurków, przy których zasiadali oficerowie sztabowi i dyżurni poszczególnych służb. Każdy miał swój komputer i zestaw słuchawek z mikrofonem. Mówili cicho, ale wyraźnie byli bardzo zajęci. Każda informacja o zmianie pozycji jakiegokolwiek jednostki była natychmiast nanoszona na mapę.

– Widzę, że uporaliście się już ze skutkami cyberataku – zauważył Bertinetti.

– Oczekiwaliśmy czegoś takiego. Atak cybernetyczny pełni dokładnie tę samą rolę, co nawała artyleryjska albo nalot lotnictwa frontowego przed głównym atakiem. Uczyliśmy się od Estończyków, którzy stworzyli coś w rodzaju informatycznej gwardii narodowej, złożonej z cywilnych ekspertów. Większość z nich to hakerzy, niekiedy nawet nastoletni. Dlatego udało nam się szybko odzyskać większość systemów, ale nadal pracujemy nad różnymi problemami. Niemniej owszem, przynajmniej nasze dowództwo może działać. A teraz zaprowadzę pana do sali, gdzie mieści się nasza komórka koordynująca działanie misji lotniczej NATO.

Zabrał Bertinettiego i Morlanda do sąsiedniego pokoju, gdzie pilot usiadł z planistami i zagłębił się w rozmowie dotyczącej koordynowania obu misji, podczas gdy brytyjski oficer tylko słuchał. Gdy skończyli, poszli jeszcze z Teterisem do Centrum Koordynacji Operacji Lotniczych, gdzie też był wielki ekran, pokazujący jednak radarowy obraz przestrzeni powietrznej rejonu Łotwy. Migoczące ikony symbolizowały wszystkie znajdujące się w niej samoloty. Pracujący przy komputerach dyżurni nanosili dane na temat kursów maszyn, monitorowali ich ścieżki przelotu, rejestrowali dane i meldowali, o czym było trzeba.

Teteris wyjaśnił, że dane radarowe oraz informacje o przynależności samolotów pochodziły z kilku różnych systemów, łącznie z radarami wojskowymi, cywilnym nadzorem kontroli lotów oraz natowskim centrum kontroli powietrznej, mieszczącym się w Kalkarze w Niemczech, skąd monitorowano sytuację powietrzną nad północną i wschodnią Europą.

Bertinetti skinął głową. Dla niego było to coś dobrze znanego, ale miło było



widzieć, że Łotysze potrafili tak dobrze się zorganizować.

– Widzę, że macie już nasze F-16 w systemie – zauważył.

– Monitorowaliśmy wasz przelot już od Aviano – odparł z uśmiechem Teteris. – I widzimy też wasze pozostałe maszyny. Są już w drodze. – Nagle uśmiech zniknął. – Podobnie jak Rosjanie. Wychwytyjemy tutaj pewną liczbę ich samolotów w naszej przestrzeni powietrznej. Przylatują do nas codziennie.

Wskazał na koncentrację symboli wkoło Pskowa, 175 mil na wschód od Rygi.

– Zwykle stamtąd startują. Dziesięć albo więcej iljuszynów siedem sześć. To ich transportowce wojskowe średniego zasięgu. Lecą na zachód, a potem na północ, dokładnie wzdłuż naszej granicy. Następnie zawracają i zaczynają wszystko od początku. Startują zwykle gdzieś o tej porze, żeby dotrzeć do granicy już po zmroku. Chcą nas zastraszyć.

– Oraz przyzwyczać do tego, że zawsze pojawiają się o tej samej porze – dodał Morland.

Bertinetti ponownie przyjrzał się Brytyjczykowi. Wyglądał na twardziela, ale oprócz tego był chyba jeszcze całkiem bystry.

Nagle Teteris z napięciem wbił wzrok w obraz radarowy, a po chwili powiedział coś po łotewsku do jednego z kontrolerów. Ten udzielił mu odpowiedzi i szybko rzucił kilka słów do mikrofonu.

– Ta formacja nad Pskowem – wyjaśnił Teteris i wskazał na ekran. – Jest o wiele większa niż zwykle. Musimy się jej przyjrzeć. Dyżurny przekazał właśnie ostrzeżenie do kontroli misji. Chyba lepiej będzie, jeśli zaraz wrócimy do Lielvārde, majorze.

– Ruszajmy – odparł Bertinetti, kiwając głową.

– A ja złapię ludzi z mojej ambasady – powiedział Morland. – Powodzenia i mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Bertinetti patrzył na Brytyjczyka, gdy ten wychodził razem z jasnowłosą dziewczyną.

Oczekiwał, że pozostałe F-16 powinny niebawem zacząć podchodzić do lądowania, ale w narastającej atmosferze niepokoju coś podpowiadało mu, że i tak mogą nie zdążyć.

W tej samej chwili obraz radarowy zamigotał i zniknął. Podobnie pociemniały ekrany komputerów. Dyżurny powiedział coś do mikrofonu, ale nie doczekał się odpowiedzi. Sięgnął po telefon. To samo. Hakerzy znowu uderzyli.

Zaraz potem światła w centrum także zamigotały spazmatycznie i zgasty. Gdzieś daleko dał się słyszeć jęk uruchamianego generatora.

– Wracamy! – zawołał Bertinetti. – Natychmiast!

Niedziela 21 maja 2017 roku, godzina 1.00

Baza lotnicza Lielvārde, Łotwa

Za sprawą najnowszego cyberataku podróż z Rygi była prawdziwą drogą przez mękę, zwłaszcza że Bertinetti i Teteris starali się jak najszybciej wrócić do bazy Lielvārde. Obraz radarowy, który widzieli na ekranie przed kolejnym wyłączeniem systemu, nie wróżył dobrze. Przedstawiał duże skupisko samolotów w rosyjskiej bazie pod Pskowem, 175 mil na wschód od Rygi. Bertinetti pocieszał się, że pozostałe F-16, które lada chwila powinny lądować, miały jeszcze spory zapas paliwa i były uzbrojone, co mogło okazać się bardzo istotne w przypadku zaskakującego rosyjskiego ataku. Do bazy dotarli tuż przed pierwszą w nocy, dokładnie w chwili, gdy nad okolicą rozległ się jęk syren alarmowych.

– To sygnał ataku! Muszę się dostać do mojego stanowiska dowodzenia! – rzucił Teteris, przyspieszając gwałtownie. Wartownik rozpoznał go i tylko machnął ręką. Najwyraźniej był przerażony i nie pojmował, co się właściwie dzieje. Kilka chwil później łotewski oficer zahamował gwałtownie i wyskoczył z samochodu. Nie zamknąwszy nawet drzwi, pobiegł od razu do budynku dowództwa jednostki.

Bertinetti podążył za nim. Po drodze rozmyślał gorączkowo o tym, że jeśli baza naprawdę ma zostać zaatakowana, powinien czym prędzej dostać się do swojej maszyny, wystartować i opuścić Łotwę. Nie podobało mu się, że trzeba uciekać w takiej właśnie chwili, ale przed misją wbijano mu długo do głowy, że jego eskadra ma być elementem odstrasającym. Gdyby amerykańskie maszyny starły się w powietrzu z rosyjskimi, mogłoby to doprowadzić do wybuchu nowej wojny światowej.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ekrany w sali operacyjnej, żeby w pełni pojąć powagę sytuacji. Niezależne systemy Grupy Awaryjnego Reagowania nie zostały sparaliżowane atakiem i ukazywały grupę czerwonych punktów przemieszczających się około pięćdziesięciu kilometrów na wschód od bazy. Sądząc po niewielkiej prędkości i liczności zgrupowania, były to zapewne śmigłowce. Ale była jeszcze druga, znacznie mniejsza grupa, która zbliżała się do lotniska ze sporą prędkością. To musiały być już odrzutowce, najpewniej samoloty szturmowe, których zadaniem było zneutralizowanie obrony przeciwlotniczej bazy i otworenie drogi dla oddziałów powietrznodesantowych.

Tuż obok pojawiła się nagle postać w kombinezonie bojowym ze srebrnym orłem pułkownika US Air Force. Był to dowódca 435. Grupy Awaryjnego Reagowania.

– Jeśli zastanawiasz się, gdzie są twoim kumple, to wyjaśniam, że zawrócono ich na pierwszy sygnał ataku – powiedział. Bertinetti spojrzał na niego z pobladłą twarzą. –

Rozkaz przyszedł prosto z Ramstein. Prezydent nie chce zaczynać trzeciej wojny światowej. Przylecieliśmy tutaj, żeby trzymać skurwysynów z dala od Łotwy... ale chyba jest już na to za późno.

– Ale sir... – zaprotestował Bertinetti. – Łotwa została zaatakowana, więc i nas zaatakowano. Myślałem, że po to właśnie jest NATO, żeby reagować w takich wypadkach. Co świat sobie pomyśli, kiedy zobaczy uciekających Amerykanów, i to dokładnie w chwili, gdy powinni bronić sojusznika?

– Wyluzuj, Bertinetti – odparł pułkownik, starając się zachować maksymalny spokój. – Wyluzuj, zanim palniesz coś, czego będziesz później żałował. Dostałem rozkaz i zrobiłem, co do mnie należało. I tyle. Ty też masz jak najszybciej wystartować. I to też jest rozkaz. Chciałem, żeby twój skrzydłowy ruszył już wcześniej, bez ciebie, ale odmówił. Rozumiem, miał prawo. Zawsze latacie w parach, bo takie są zasady walki, więc pozwoliłem mu zostać. Ale skoro już tu jesteś, to w drogę. Ramstein chce widzieć was jak najszybciej z powrotem w Aviano. Całych i zdrowych. Zrozumiano?

Bertinetti usłyszał ryk uruchamianego silnika odrzutowego, ale nic nie powiedział.

– To twój skrzydłowy szykuje się do startu – powiedział pułkownik. – Przed budynkiem czeka samochód, który zabierze cię do schronu, twoja maszyna jest już gotowa. Obraz na radarze starczy ci chyba za całą odprawę przed wylotem. Biegiem!

– A pan, sir? – spytał Bertinetti.

– Jakoś sobie poradzimy.

Bertinetti zaszalutował i szybko podszedł do stojącego przed ekranem Teterisa. Przyciszonym głosem podziękował mu za gościnność i życzył szczęścia. Pułkownik uśmiechnął się smutno, podziękował skinieniem głowy i wrócił do swoich obowiązków.

Pięć minut później Bertinetti był już obok swojego F-16.

– Wszystko gotowe – powiedział szef obsługi naziemnej. – GPU podłączone, kasetka transferu danych uzbrojenia uaktualniona i na miejscu. Przyrządy, podczepienia, ciśnienie w hydraulice i pneumatykach sprawdzone. Można lecieć. Kombinezon jest tutaj.

Bertinetti szybko wbił się w kombinezon antyprzeciążeniowy, wspiął się po drabinie i opuścił do znajomego kokpitu. Szef obsługi naziemnej sprawnie zapiął mu pasy, podłączył kombinezon do systemów pokładowych i dopiął uprzęż spadochronu, po czym zszedł na dół i zabrał drabinkę.

Mimo buzującej adrenaliny i walącego serca Bertinetti zmusił się do zachowania spokoju. Skoro został już sam w kokpicie, zabrał się do czynności przedstartowych. Po kolei, według rutynowej listy, jak przed każdym wylotem. Ustawił, co należało, i ogarnął spojrzeniem kokpit. Wszystko było w porządku, nałożył więc hełm, doczepił

przewód tlenowy, przymocował go do upręży i podłączył do kamizelki antyprzeciążeniowej. Odetchnął głęboko, czując ożywczy strumień tlenu. Osłona kabiny zaczęła się zamykać przy pomruku silniczków, szczęknęły zamki blokujące.

Był gotowy do wylotu. Wywołał wieżę i poprosił o zgodę na uruchomienie silnika.

– Czysto z przodu i z tyłu – usłyszał głos szefa personelu naziemnego. – Podstawki na miejscu. Ochrona przeciwpożarowa gotowa. Możesz zaczynać.

– Włączam JFS – powiedział, uruchamiając pomocniczą jednostkę zasilającą.

Usłyszał narastające zawodzenie i zobaczył, że umieszczony obok jego prawego kolana wskaźnik obrotów zaczął ożywać. Światła maszyny, tak pozycyjne, jak i ostrzegawcze stroboskopy, rozjaśniły wnętrze schronu.

– Dwadzieścia procent – oznajmił Bertinetti.

Przesunął manetkę ciągu na tyle, żeby zainicjować dopływ paliwa do silnika. Ogień buchnął z dyszy, samolot znowu był żywą istotą.

– Czterdzieści procent. Wyłączam JFS.

Wizg turbiny przeszedł w ogłuszający ryk.

– Siedemdziesiąt procent. Rozruch silnika zakończony. Awionika włączona, system nawigacji bezwładnościowej ustawiony, systemy pokładowe sprawdzone. Gotowy kołować na start.

Samolot ruszył z wolna w kierunku progu pasa.

– Apollo, zatrzymaj się. Bandyci na dolocie! – usłyszał nagle z wieży.

Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Jeśli zatrzyma się teraz, na drodze kołowania, stanie się łatwym celem.

– Cobra Two, kołuj dalej – odparł. – Mimo wszystko spróbuję.

Nie było czasu na normalną procedurę startową. Musiał jak najszybciej znaleźć się w powietrzu.

Pora była najwyższa. Nad ogrodzeniem bazy pojawiły się dwie sylwetki Su-25SM, czyli w kodzie NATO Frogfoot, ostrzeliwane rozpaczliwie przed czterdziestomilimetrowe działka lotewskiej obrony przeciwlotniczej. Samoloty przemknęły na małej wysokości, odpalając rakiety. Niebo rozjaśniła cała seria eksplozji i obrona przeciwlotnicza zamilkła.

„Skup się na starcie, nic innego się nie liczy, poradzisz sobie z nimi, gdy będziesz już w powietrzu”. Bertinetti znowu był w bazie lotniczej Nellis w południowej Nevadzie i słyszał głos instruktora prowadzącego ćwiczenia Red Flag.

Odruchowo przesunął przepustnicę i F-16 skoczył naprzód niczym rumak podczas rodeo. W dali widać było samolot Ryana z ognistym strumieniem ujętym w serię jaśniejszych i ciemniejszych pierścieni, które powstawały, gdy poruszający się z prędkością ponaddzwiękową strumień powietrza z turbiny silnika napotykał niemal nieruchomą masę powietrza za ogonem samolotu. Stukanie kół podwozia na złączach betonowych płyt pasa startowego przechodziło w coraz szybszy rytm, z boku

przemykały drzewa pobliskiego lasu. W pewnej chwili nad osłoną kabiny przemknęła seria pocisków smugowych z trzydziestomilimetrowego działka suchoja.

Żadne takie, brachu, pomyślał Bertinetti, doceniając, ile miał szczęścia. Za ostro poszedłeś.

Myśliwiec potrzebował dwudziestu sekund, żeby nabrać prędkości startowej, wynoszącej w jego przypadku 180 węzłów. Bertinetti poruszył delikatnie joystickiem i postukiwanie kół podwozia głównego umilkło. Był w powietrzu.

Drażek cały czas do siebie, powiadał w takich wypadkach instruktor z Nellis. Bertinetti czuł przeciążenie wywołane przez dopalacz, wynoszący jego maszynę w prawie pionowym wznoszeniu. Wyżej, coraz wyżej. Kombinezon się zacisnął, żeby zapobiec zbytniemu przepływowi krwi do dolnej części ciała pilota, co mogłoby zagrozić prawidłowemu funkcjonowaniu mózgu. Po kolejnych dwudziestu sekundach wysokościomierz pokazał 15 tysięcy stóp, czyli mniej więcej pięć tysięcy metrów. Samolot znalazł się nad chmurami. Na wschodzie widać było pierwsze oznaki świtu, ale na zachodzie, gdzie miał lądować, zalegała jeszcze głęboka ciemność. Skręcił w stronę światła.

Przez chwilę był sam i wkoło panował spokój, on zaś odczuwał znajome uniesienie związane z każdym lotem. Zaraz jednak zaczął się zastanawiać, gdzie są bandyci? Mieli nad nim przewagę, dopóki był w dole, ale już nie teraz.

Powinien wywołać skrzydłowego. Czy mogli jakoś wspomóc atakowaną bazę? Rozkazy zabraniały im angażowania się w walkę, ale w tej chwili było to już nieważne. Skoro zostali zaatakowani przez rosyjską maszynę, mieli prawo się bronić.

Podjął decyzję. Najpierw spróbuje wesprzeć bazę, potem zgodnie z rozkazem skieruje się do domu. Ostatecznie miał rachunki do wyrównania z Rosjanami.

– Apollo, tutaj Ghost One. Jesteś w powietrzu? – zaskrzypiało w słuchawkach. To był Mike Ryan.

– Potwierdzam, Ghost One. W powietrzu i gotowy do walki. Musimy zająć się tymi dwoma frogfootami. Nasi na dole obrywają.

– Potwierdzam, Apollo. Fajnie, że znowu jesteśmy razem. Czuję się tutaj trochę samotny, czekając na ciebie – odparł z wyczuwalną ulgą Ryan.

Chwilę potem w słuchawkach rozległ się jeszcze jeden, zdecydowanie zdenerwowany głos.

– Apollo, Apollo, tu Lielvārde. Atakują nas. – To była kontrola naziemna. – Dwóch bandytów, kurs jeden osiem zero. Zbliżają się na piętnastu tysiącach stóp.

– Przyjąłem. Mam ich na radarze. Ghost One, atakujemy. Osłaniasz mnie. Wprowadzam cele.

Bertinetti skręcił w kierunku wrogich samolotów, widocznych na jego wielofunkcyjnych wyświetlaczach, po jednym nad każdym kolanem, pod postacią czerwonych kropek. Przesunął przepustnicę i maszyna przyspieszyła gwałtownie. Tym

razem nie wpadnie w pułapkę. Sam ją zastawi.

Na ekranie pojawiły się znaczki kolejnych dwóch Su-25, przymierzających się do ataku na bazę.

– Apollo, Fox Three – powiedział Bertinetti, informując w ten sposób, że będzie atakował z użyciem rakiety AIM-120, czyli pocisku raketowego powietrze–powietrze średniego zasięgu z aktywnym naprowadzaniem, znanego także jako AMRAAM.

Maszyna drgnęła lekko, gdy dwie rakety wyczepiły się z prowadnic. Przez chwilę zdawały się wisieć nieruchomo w powietrzu, ale zaraz ich silniki buchnęły płomieniem i pociski ruszyły z wielkim przyspieszeniem w kierunku jednej z czerwonych kropek.

Pora było zająć się drugim suchojem. Gdy tylko wyświetlacz hełmowy pokazał, że cel został namierzony, Bertinetti ruchem kciuka odpalił kolejne rakety.

Cele zaczęły gwałtownie manewrować, wchodząc w strome nurkowanie, skręcając w lewo i w prawo. Pierwszy pocisk eksplodował, nie robiąc nikomu krzywdy, ale zaraz potem na tle ciemnej ziemi zajaśniała kula drugiej, o wiele silniejszej eksplozji. Jedna z maszyn buchnęła ogniem. Przez jakąś sekundę leciała jeszcze dawnym torem, po czym ostatecznie runęła w dół.

Kolejna jaskrawa eksplozja oznajmiła, że drugi samolot też został trafiony. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko, żeby piloci tamtych maszyn mieli szansę się katapultować. Całkiem jak skrzydłowy Bertinettiego nad Ukrainą.

– To dla ciebie, Leroy – mruknął pod nosem Bertinetti. – Ziemia, spuściłem dwóch – rzucił zaraz potem do mikrofonu. – Pora na nas, idziemy do Aviano. Ale jeszcze tu wrócimy.

Baza nie odpowiedziała.

Niedziela 21 maja 2017 roku, godzina 23.30

Camp David, góra Catoctin, Maryland

Blackhawk w wersji dla VIP-ów, pochodzący z 12. batalionu lotniczego, która to jednostka odpowiadała za transport najważniejszych osób w Waszyngtonie, zatoczył krąg nad ciemnym lasem, żeby podejść pod wiatr do przyziemienia na lądowisku w Camp David, wypoczynkowej rezydencji amerykańskich prezydentów.

Gdy silniki się zatrzymały i wirnik zwolnił obroty, siedzący na wygodnym fotelu lotniczym generał Abe MacWhite uznał, że pora się odezwać.

– Dzięki, sierżancie – powiedział do mikrofonu połączonego z zestawem słuchawek.  
– Świetny lot. I przepraszam, że fatygowałem w weekend.

– Żaden problem, sir – odpowiedział pilot. – Po to jesteśmy. Gdy załatwi pan już swoje, odwieziemy pana z powrotem do Waszyngtonu.

Typowe dla szefa, pomyślał pułkownik Bear Smython. Zawsze dziękuje żołnierzom. Pilot zaś najpewniej nawet się nie domyślał, jak ważne wieści przywozili pani prezydent.

Nawet podczas kryzysu kubańskiego w 1962 roku, gdy świat stanął na krawędzi atomowej zagłady, w ostatniej chwili Sowieci złagodzili stanowisko. Dzisiaj jednak Rosjanie zatracili gdzieś zdrowy rozsądek i porzucili wszelkie środki ostrożności, atakując bez ostrzeżenia trzy państwa NATO. Jeśli komuś zabraknie zimnej krwi, rakiety wystartują i całkowite wzajemne zniszczenie stanie się groźbą aż nadto realną.

Bear nie wątpił, że MacWhite był teraz właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Był może jedynym, który mógł zapobiec grożącym Ameryce i światu okropnościom. Ale co będzie, jeśli prezydent się nie zgodzi? Wszystko mogło zależeć od tego, jak przedstawią jej istotę kryzysu. Owszem, gdyby nie ufała MacWhite'owi, nigdy by z nim nie pracowała, ale to spotkanie będzie miało szczególne znaczenie.

Gdy odsunięto drzwi w burcie śmigłowca, MacWhite rozpiął pasy i zeskoczył na ziemię z werwą dwudziestopięcioletka, pozdrawiając przy tym salutującego mu szefa pokładu.

Bear podążył w jego ślady i obaj skierowali się do oczekującego na nich minivana. Za kierownicą siedziała kobieta w stopniu starszego szeregowego z Korpusu Piechoty Morskiej. Prezentowała się oczywiście wzorowo. Zawiozła ich pod drzwi Aspen Lodge, skąpanego w blasku księżyca drewnianego domu używanego przez wszystkich amerykańskich prezydentów od czasu Franklina D. Roosevelta, który zmienił ośrodek stworzony dla federalnych urzędników i ich rodzin w swojego rodzaju lotnisko,

pozwalające oderwać się szefowi państwa od zwykłych obowiązków.

Zostali wprowadzeni do salonu, gdzie prezydent Dillon rozmawiała akurat z Pete'em Chiarinim, jej starszym asystentem, który wszędzie z nią podróżował i pilnował, żeby jego szefowa zawsze miała kontakt z Białym Domem. Obaj dobrze go znali, więc zaraz podszedł, żeby się nimi przywitać.

Bear pierwszy raz gościł w tym mocno prywatnym prezydenckim schronieniu, w którym panowała ciepła i nieformalna atmosfera. Na drewnianych ścianach wisiały klasyczne pejzaże autorstwa amerykańskich malarzy, belki stropu były prawie na wyciągnięcie ręki, płonący w okratowanym kominku ogień odpędzał chłód podgórskiej nocy w wiosennej porze, wkoło rustykalnego stolika do kawy z niską lampą na blacie stały miękkie kanapy. Szerokie okna musiały dawać za dnia wspaniałe widoki na okoliczne góry, teraz jednak kryły się za dobrze dopasowanymi kolorystycznie zasłonami.

Dillon chodziła tu w dżinsach, flanelowej koszuli w kratę i zwykłych płaskich butach.

– Witam, panowie, miło mi was widzieć – powiedziała swoim dźwięcznym i ciepłym głosem, który zdaniem Beara przysporzył jej całkiem sporą popularność.

– Pani prezydent – zaczął MacWhite – dobry wieczór... czy też może dzień dobry. Wspaniale, że zgodziła się pani nas przyjąć. Przepraszam, że zakłócamy spokój o tak późnej porze, ale muszę coś przedstawić pani osobiście.

– Oczywiście, Abe. Doceniam to – odparła Dillon. – Ale rozumiem, że macie za sobą długą drogę i jest już późno. Siadajcie. Chcecie coś do jedzenia, do picia? – Wskazała kanapę naprzeciwko tej, którą sama zajmowała.

MacWhite, wysoki i smukły były żołnierz sił specjalnych, słynący z zamiłowania do herbaty z rokitnika i imbiru, poprzestał na zwykłej herbatce ziołowej i podziękował za jedzenie. Zrobił to ze sporym żalem, bo szykowała się długa noc i w innych okolicznościach nie pogardziłby ciastkiem z owocami, ale nie chciał jeść przy rozmowie o tak ważnych strategicznych sprawach. Zwłaszcza że tylko on miałby wówczas pełne usta – Bear zadowolili się mocną czarną kawą.

– Domyślam się, że rozmawialiście z naczelnym dowódcą NATO? – spytała Dillon. Uporawszy się z obowiązkami gospodyni, uznała, że pora wrócić do spraw zawodowych.

– Tak, pani prezydent – odparł MacWhite. – Mam też kilka zdjęć satelitarnych, które chcemy pani pokazać.

Skinął na Beara, który wyciągnął laptop z torby i ustawił go na stole w taki sposób, żeby Dillon widziała ekran. MacWhite zaczął tymczasem streszczać swoją rozmowę z admirałem Howardem. Wieści były niewesołe.

– Pani prezydent, admirał Howard rozmawiał z nami jako COM EUCOM... – Przerwał, pojmując że Dillon może nie znać wszystkich akronimów NATO. – To



znaczy jako dowódca sił europejskich. SACEUR jest zarówno dowódcą całego Sojuszu, jak i dowódcą naszych europejskich sił działających w jego ramach. Przekazał, że USAFE, czyli nasze siły lotnicze w Europie, zdołały wydostać z Rygi dwa F-16, które wylądowały tam krótko przed atakiem. To były pierwsze dwa samoloty z grupy, która zgodnie z pani czwartkową decyzją miała zostać przerzucona na Łotwę. Gdy wystartowały z bazy Lielvārde, zostały zaatakowane przez rosyjskie samoloty. Przyjmujemy, że był to wstęp do rosyjskiego desantu na to lotnisko.

– Co stało się z resztą F-16 skierowanych na Łotwę? – spytała z niepokojem Dillon, wyraźnie oczekując złych wiadomości.

– Zawróciliśmy je w powietrzu, ledwie otrzymaliśmy pierwsze informacje o zbliżającym się ataku. Nie było sensu ryzykować. Zostały wysłane jako element odstraszący. Skoro atak i tak nastąpił, ich rola się skończyła.

Dillon pokiwała głową.

– Dowódca eskadry, major Bertinetti, otrzymał rozkaz powrotu do bazy Aviano, żeby zapobiec przejściu naszych odrzutowców przez Rosjan, ale krótko po starcie zniszczył dwa rosyjskie samoloty, zapewne Su-25 Frogfoot. Został przez nie zaatakowany, gdy był jeszcze na pasie startowym, więc było to działanie w samoobronie. Niemniej naprawdę zła wiadomość jest taka, że w Lielvārde zostało około trzystu naszych ludzi z Czterysta Trzydziestej Piątej Grupy Awaryjnego Reagowania. Straciliśmy z nimi kontakt i obawiamy się, że albo nie żyją, albo trafili do niewoli.

Dillon spojrzała na niego zdumiona.

– Musieliśmy wysłać ich wcześniej, żeby stworzyć F-16 warunki do operowania z tej bazy – wyjaśnił MacWhite.

– Ale F-16 już tam nie ma – rzuciła z irytacją Dillon.

Bear pomyślał, że chyba nikt nie wyjaśnił jej wcześniej, jak złożona logistycznie była taka operacja. Chyba zakładała, że samolot myśliwski może po prostu wylądować sobie, gdzie zechce i kiedy zechce, i zaraz polecieć dalej.

– Dokładnie...

Bear wiedział, że MacWhite postanowił zostawić tę kwestię na boku. Rozmawiali o tym jeszcze w śmigłowcu. Prezydent była zwierzchnikiem sił zbrojnych i MacWhite miał doradzać jej i wprowadzać ją w szczegóły, ale i ona powinna poczuwać się do niejkiej odpowiedzialności i dążyć do poznania podstaw działań logistycznych. Kryzys nabierał już tempa i nie było czasu na to, żeby MacWhite objaśniał jej każdy szczegół planowanych operacji i ich możliwych konsekwencji. Z takim podejściem nic nie byłoby w stanie zdziałać.

– Nie zdołaliśmy wydostać ich w porę. Należy oczekiwać, że wzięli w jakiś sposób udział w obronie bazy u boku Łotyszy. Jest zatem mocno prawdopodobne, że walczyli albo właśnie walczą z Rosjanami. Oczywiście symbolicznie, bo mają ze sobą tylko

broń boczną. Zapewne zobaczymy niebawem część z nich w rosyjskiej telewizji.

MacWhite przerwał na moment, żeby podkreślić wagę swoich słów.

– Tak więc poza zestrzeleniem naszego samolotu nad wschodnią Ukrainą mamy teraz nasze samoloty prowadzące walkę z Rosjanami i nasz personel wojskowy uziemiony na Łotwie i zapewne także walczący z Rosjanami. – Dillon odzyskała już panowanie nad sobą. – Chyba siedzimy w tym po uszy, czy nam się to podoba, czy nie.

– Święta racja, pani prezydent. Ale proszę nie zapominać o jednym. W każdym z tych przypadków Rosjanie pierwsi otworzyli ogień. Z drugiej strony, nie chodzi tylko o Łotwę – ciągnął MacWhite, podczas gdy Bear otworzył nowe zdjęcie satelitarne na swoim laptopie. – Rosjanie zaatakowali też międzynarodowe lotniska w Tallinie i Wilnie, czyli w Estonii i na Litwie. Jak pani widzi, uzyskane przez nasz wywiad zdjęcia wyraźnie wskazują, że jesteśmy świadkami regularnego najazdu na państwa bałtyckie. Próba zajęcia kawałka terytorium któregośkolwiek z nich strategicznie nie miałyby sensu. Są na to zbyt małe, a prezydent Federacji Rosyjskiej zawsze powtarzał, że jego zdaniem państwa bałtyckie powinny stać się ponownie częścią Rosji, i obawiam się, że właśnie przeszedł od słów do czynów.

Przerwał, żeby Dillon mogła dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. Z przejęciem wpatrywała się w ziarnisty obraz przedstawiający rosyjskie oddziały i samoloty, ale nic nie mówiła.

– Bear, poproszę o kolejne zdjęcie.

Pułkownik poruszył myszką.

– Jesteśmy prawie pewni, że to jest zespół desantowy. Wyruszył z Sankt Petersburga. Najprawdopodobniejszy cel? Wybrzeże Estonii albo Zatoka Ryska, gdzie dołączą do sił inwazyjnych. Rosjanie lubią zapewniać sobie różne opcje działania, żeby położyć największy nacisk tam, gdzie odniosą największe sukcesy albo gdzie opór będzie najmniejszy. I nie ma co się łudzić, jak dotąd idzie im nieźle – zakończył MacWhite.

Bear widział te zdjęcia już wcześniej i rozmawiał o nich z MacWhite'em, ale mimo to wciąż niezbyt mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Czuł się jak w Leavenworth, w School of Advanced Military Studies, gdzie na koniec kursu rozgrywało się strategiczną grę wojenną.

Niemniej to była rzeczywistość, a te zrobione gdzieś daleko zdjęcia ukazywały prawdziwe dramaty rozgrywające się na morzu i na lądzie. Upiornie kontrastowały przy tym ze spokojem górskiego Camp David. Z drugiej strony, jak pomyślał Bear, te ściany słyszały i widziały już naprawdę wiele, począwszy od Pearl Harbor i najmroczniejszych dni drugiej wojny światowej, przez kryzys kubański i po różne wydarzenia, których był już świadkiem za własnego życia. Przytulne, rustykalne wnętrza, w którym poruszano już wcześniej najtrudniejsze tematy i snuto najbardziej desperackie plany.

Prezydent uniosła głowę znad ekranu. W jej oczach malowały się troska i chyba sporo przerażenia. Nie przeżyła dotąd niczego, co mogłoby przygotować ją na podobne wiadomości. Niemniej nie zostałaaby prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdyby nie umiała w razie potrzeby ukrywać swoich emocji. A to była właśnie taka chwila.

MacWhite znowu zaczął mówić. Bear przypuszczał, że generał chciał w ten sposób dać prezydent czas na dojście do siebie i pełne zrozumienie implikacji tego, co właśnie się działo.

– Kolejna sprawa, pani prezydent. Czy państwa NATO będą teraz skłonne zorganizować wspólną akcję, tak jak przewiduje to artykuł piąty? Jeśli zawiodą, zostaniemy z tym sami i nasi współobywatele mogą dojść do wniosku, że skoro Europejczycy nie chcą pomóc nam w tej robocie, to nie warto za nich umierać. Jeśli zaś się wycofamy, Rosja zdominuje Europę i, strategicznie rzecz biorąc, świat stanie się o wiele mniej bezpieczny.

Dillon odpowiedziała mu dopiero po chwili. Jasno i zdecydowanie.

– Nie pierwszy raz wolność Europy zależy od decyzji amerykańskiego prezydenta. Na mnie możesz liczyć, ale NATO też musi się włączyć. Musi, i już. Co mówi admirał Howard?

To był ten duch przywództwa, pomyślał Bear, którego Zachodowi tak bardzo brakuje.

– Niedawno spotkał się z Kostilkiem, sekretarzem generalnym NATO. Kostilek jest porządnym człowiekiem, ale czarno to widzi. Urabia ręce, żeby coś wskórać, ale wątpi, czy uda mu się uzyskać pełną zgodność Rady Północnoatlantyckiej w sprawie artykułu piątego.

Prezydent uniosła brwi, ale MacWhite uprzedził następne pytanie.

– Artykułu piątego nie da się zastosować bez jednorodnej decyzji wszystkich członków Rady Północnoatlantyckiej, najwyższego ciała decyzyjnego NATO. A wiemy, że parę krajów nie zgodzi się na przeciwstawienie się Rosji.

Prezydent pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Mów dalej.

– Rada spotka się ponownie za kilka godzin, dokładnie o ósmej rano czasu brukselskiego. Admirał Howard powiedział mi, że ogólny duch jest tyleż defetystyczny, co pragmatyczny. Jeśli Rosjanie opanują państwa bałtyckie, trzeba będzie to zaakceptować. Ale jeśli do tego dojdzie, NATO się rozpadnie. Sensem jego istnienia jest założenie, że członkowie będą bronić się nawzajem, i wystarczy jedno zaniechanie w tej materii, żeby nikt nie traktował go poważnie. Zmieni się w zwykłe kółko dyskusyjne, które nie ma nic wspólnego z sojuszem wojskowym, a takich gremiów jest w Europie cała masa.

Prezydent uśmiechnęła się smutno, słysząc tę trafną uwagę.

– Łatwo jest być mądrym po szkodzie, ale gdyby NATO zdecydowało się utrzymywać w państwach bałtyckich należycie wyposażone siły, Rosjanie zapewne nie ryzykowaliby podobnego ataku – dodał MacWhite.

– Święte słowa... ale teraz jest już za późno – stwierdziła Dillon. – Co z Brytyjczykami i Francuzami?

– Brytyjczycy jakby się obudzili. Ich siły specjalne zastanawiają się po cichu, jak by tu razem z naszymi przedostać się do państw bałtyckich i wesprzeć rodzący się ruch oporu. Ale i tak potrzebujemy ich w jakiejś otwartej akcji na dowód, że są z nami. Co do Francuzów, wojsko podchodzi do sprawy niezmiennie entuzjastycznie, ale politycy wciąż ciężko się krzywią. I to właśnie zostawię pani.

Bear widział niemal, jak Dillon trawi te słowa. W poprzednim stuleciu Ameryka dwa razy ratowała sojuszników w Europie. Bear znał historię, przez całe jego dzieciństwo to Stany Zjednoczone gwarantowały pokój w Europie i nie dopuszczały, żeby zimna wojna zmieniła się w gorącą. Teraz, prawie trzydzieści lat po zakończeniu zimnej wojny, Amerykanie znowu walczyli i ginęli w Europie. Tymczasem niektóre kraje europejskie, przeżywające wyraźny kryzys demokracji we własnych granicach, nie tylko nie zamierzały dokładać swojej cegiełki do wspólnego dzieła, ale jeszcze aktywnie nie pozwalały zrobić tego innym.

– Cholera – mruknęła prezydent. – Chyba będziemy musieli ich przekonać?

Bear zauważył, że prezydent zacisnęła mocniej szczęki, dojrzał w jej oczach charakterystyczny błysk. Wojowniczy, ale i przywódczy.

– Mija sto lat od chwili, gdy Ameryka po raz pierwszy obroniła europejską wolność, a ja nie mam ochoty na powtórkę z historii. Zaczniemy więc od telefonów. Na początek brytyjski premier. Pora pochwalić go za troskę o Siły Globalnego Reagowania. Słyszałam przed waszym przylotem, że wylądowały już na Wyspach.

– Gdzie pani to słyszała? – spytał zdumiony MacWhite.

– W CNN, generale. Wiem, że to pokręcony świat, w którym telewizja i Internet prędeż przekazują informacje i transmisję na żywo niż moi generałowie. Swoją drogą ruszenie Sił Globalnego Reagowania to był dobry pomysł. Dziękuję panu za to. –

Spojrzała na MacWhite'a z uśmiechem. – A panu premierowi zamierzam podziękować za to, że Wielka Brytania raz jeszcze stanęła ramię w ramię z Ameryką. Oczekuję, że ruszy wraz z nami do walki. Jeśli dobrze go wyczuwam, nie będzie w stanie się temu oprzeć.

– Pani prezydent – odezwał się szef personelu Białego Domu. – Czy bunkier ma zacząć ustawiać pani rozmowy telefoniczne?

Niedziela 21 maja 2017 roku, godzina 3.30

Ambasada brytyjska, ul. Jurisa Aluna-nsa 5, Ryga, Łotwa

Majowe słońce wschodzi wcześniej na Łotwie, ale przy zasnutym chmurami niebie o trzeciej trzydzieści nadal było ciemno.

– Obudź się, Tom... Zaczęło się – powiedziała Marina Krauja, budząc Morlanda. – Rosyjscy spadochroniarze są na lotnisku na wschód od miasta.

Morland od razu oprzytomniał, chociaż nie spał długo. Zanim dotarł z dowództwa Łotewskich Narodowych Sił Zbrojnych do brytyjskiej ambasady, było już około północy. Poinformował zespół o najnowszym cyberataku na sieci łączności i zakładając najgorsze, dodał, żeby byli gotowi w każdej chwili do drogi. Oznaczało to przygotowanie plecaków, wyposażenia radiowego i broni osobistej, standardowych dla brytyjskiej piechoty karabinów szturmowych SA80 A2 LA85. Przy uprzedzeniu powinny być co najmniej cztery pełne magazynki pocisków kalibru 5,56 mm i dość prowiantu, żeby starczyło na najbliższe 24 godziny. Potem padł na łóżko, ale niedługo tam pozostał.

– Być może będziemy musieli opuścić Rygę – powiedziała Krauja. – I to w pośpiechu. Musimy być szybcy i samowystarczalni.

– A nie powinnaś raczej pomyśleć o sobie? – spytał Tom. Wcale nie miał ochoty narażać jej na niebezpieczeństwo.

– Nie. Umiem wykonywać rozkazy. Mój szef powiedział, że mam się was trzymać. To ważne. Bez waszego systemu łączności możemy nie być zdolni przekazać światu, co tu się dzieje.

Była ubrana w spodnie do trekkingu, buty turystyczne i polarową bluzę. I miała też plecak, który położyła na podłodze obok bergena Morlanda. Włosy związała z tyłu, twarz miała zarumienioną od chłodnego, nocnego powietrza, w jej oczach zaś pojawił się jakiś całkiem nowy blask. Spokojnym głosem wprowadziła go w najświeższe wydarzenie.

– Chwilę temu dodzwoniłam się do Biura Ochrony Konstytucji. Dostają meldunki, że rosyjscy spadochroniarze wylądowali przy międzynarodowym porcie lotniczym i jeszcze w jakimś drugim miejscu na wschód od miasta. Było tam słyhać strzelaninę. Łotewski batalion i ludzie z Gwardii Narodowej bronią jeszcze terminala, ale Rosjanie sprowadzili już śmigłowce transportowe z posiłkami piechoty i pojazdami opancerzonymi. To chyba już nie potrwa długo.

Morland szybko rozważył możliwości i uznał, że owszem, należy jak najszybciej

przekazać meldunek do Northwood. Niech wiedzą. A potem spróbować zweryfikować doniesienia na własne oczy.

Krauja jakby czytała mu w myślach.

– Musimy szybko rozpowszechnić tę wiadomość.

Tak więc kapral Steve Bradley znowu rozstawił Inmarsat VTC. Zrobił to równie szybko i sprawnie jak zwykle i nikt by nie pomyślał, że mieli za chwilę przesłać informację o początku wojny.

Pierwszy pojawił się po drugiej stronie major Jerry Dingley od państw bałtyckich. Chwilę później dołączył do niego podpułkownik Nicholas Graham.

Morland nie bawił się we wstępy, tylko od razu powiedział wszystko, co jak dotąd udało im się ustalić.

W zamian Graham przekazał im, że okręty Floty Bałtyckiej wyszły z Sankt Petersburga i że pojawiły się doniesienia o aktywności rosyjskich jednostek podwodnych w pobliżu Rygi, Tallina, Helsinek i Sztokholmu.

– Musimy poznać dokładnie sytuację w Rydze – dodał pułkownik. – Operacyjny musi przekazać wszystko szefowi Sztabu Obrony, zanim ten za kilka godzin pójdzie na spotkanie COBRA, czyli Rządowego Biura Koordynacyjnego. Wszystko zdaje się zmieniać teraz bardzo szybko, a wy macie nadążać za wydarzeniami i meldować. Nie mamy tam nikogo innego. Najlepiej by było, gdybyście mogli przysłać nam zdjęcia potwierdzające lądowanie Rosjan. Gdy tylko uzyskacie potwierdzenie, że to regularna rosyjska armia, zaraz nam je przekażcie. Ale nie angażujcie się. Czy to jasne?

Morland pokiwał głową. Nie chciał odpowiadać na takie rozkazy przy Marlinie. Dziewczyna gotowa była wyrzucić dla nich całe swoje życie, im zaś kazano kryć się po kątach i robić fotki do dokumentacji.

– Żadnych heroicznych czynów – przestrzegł Graham. – Rząd nie pragnie usłyszeć o zabitych czy pojmanyh do niewoli brytyjskich żołnierzach na Łotwie. To ograniczyłoby ich politycznie... – Spojrzał ostro na Morlanda, najwyraźniej nieprzekonany, że jego słowa zostaną uznane za w pełni wiarygodne rozkazy. – Te zdjęcia to najlepsze, co możesz zrobić dla Łotwy. Sam nic więcej nie wskórasz. Chyba to rozumiesz? Potrzebny nam dowód. Tutaj. Po prostu.

– Tak, sir.

– Wczoraj przybył do Rygi niszczyciel min HMS *Padstow*. Jest częścią zespołu przeciwminowego NATO. Dostał już rozkaz, żeby się stamtąd zbierać, ale będzie gotowy do wyjścia w morze dopiero za parę godzin, więc możesz się nim zabrać. Najpierw skieruj się do portu lotniczego i sprawdź, co tam się dzieje. Potrzebujemy jednoznacznego dowodu, że Rosjanie wylądowali i że to naprawdę najazd. Bez tego nie będziemy mogli właściwie zareagować. Potem pędź na *Padstowa*.

– Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, sir. Zamelduję się ponownie, gdy już będziemy na pokładzie.

Morland sprawdził czas, była 3.55. Zastanowił się szybko. Ulice były puste o tej porze, więc jeśli Krauja gotowa będzie zawieźć go pod lotnisko, powinni dotrzeć tam za jakieś czterdzieści pięć minut. Na pewno znajdą jakieś dobre miejsce do obserwacji. Potem dwadzieścia pięć minut drogi do portu, gdzie cumował *Padstow*. Pół godziny na nieprzewidziane przeszkody. I zaokrąglić czas. Spojrzał na Krauję. Nie musiał zadawać pytania.

Kiwnęła głową.

– Oczywiście, że cię zawiozę.

Morland spojrział ponownie na ekran.

– Proszę przekazać kapitanowi *Padstowa*, że zjawimy się najpóźniej o szóstej trzydzieści. Jeśli do tej pory nas nie będzie, należy uznać, że coś poszło nie tak. Ale spokojnie, będziemy trzymać się z dala od kłopotów. Jesteśmy zwiadowcami. Potrafimy obserwować bez rzucania się w oczy.

– Przekażę. Powodzenia. – Oblicze dowódcy zespołu w państwach bałtyckich zszarzało na ekranie, a operator wziął się do pakowanie Inmarsata.

– Chodźcie ze mną, chłopaki – powiedziała Krauja, zgodnie ze swym charakterem przejmując dowodzenie. – Mam land cruisera pod biurem. Jest na tyle duży, że zmieścimy się wszyscy ze sprzętem. Znam boczne drogi dojazdu na lotnisko. Rzucimy na nie okiem i odwiozę was na okręt. Ja będę musiała wrócić do mojego biura. Niektórzy z nas będą w tej wojnie walczyć.

Morland nie odpowiedział, chociaż przytyk go zabolął. Miał wrócić niebawem do bezpiecznej Anglii, ale wbrew rozkazom czuł swoje. Zdecydowanie wolałby nie zostawiać Kraui.

Odsunął czym prędzej myśl, która przebiegła mu przez głowę, żeby spróbować namówić dziewczynę do zabrania się z nimi. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by zrozumieć, że uznałaby taką propozycję za obraźliwą. Niemniej Morland uświadomił sobie w tej chwili, że wbrew wyszkoleniu zaczął myśleć o niej jak o kobiecie, a nie tylko towarzyszu broni.

– Ambasador... – powiedział, żeby zmienić temat i ukryć zakłopotanie. – Lepiej... lepiej go zawiadomię.

Podczas gdy jego zespół znosił plecaki, grzechoczącą broń i resztę wyposażenia do samochodu Kraui, Morland pobiegł do gabinetu ambasadora, który wraz z personelem sprawdzał listę dokumentów do zniszczenia. Kapitan szybko wyjaśnił mu szczegóły otrzymanego właśnie rozkazu, pożegnał go i życzył powodzenia, po czym dołączył do swoich ludzi na zewnątrz budynku.

– Ruszajmy, Marina.

Krauja nie potrzebowała poganiania. Ignorując działającą już sygnalizację uliczną, popędziła pustymi ulicami. Most na Dźwinie przejechali przy pierwszym blasku dnia.

Dwadzieścia minut później zatrzymała toyotę na skraju osiedla wieżowców na

zachodnich przedmieściach Rygi. Morland opuścił szybę. Gdzieś przed nimi słyhać było odgłosy eksplozji, widać było sporadyczne błyski i przemykające po niebie serie pocisków smugowych. Kapitan zerknął na mapę. Lotnisko powinno być dokładnie na zachód od nich, odległe o ledwie kilka kilometrów. Wyraźnie doszło tam do poważniejszej wymiany ognia.

– Mogę podjechać bliżej – zapewniła bez lęku Krauja.

– Dopóki nie będziemy na widoku, to okej – odparł Morland. – Nie wyjeżdżaj tylko na otwartą przestrzeń.

Kwadrans później Krauja zatrzymała samochód na polnej drodze biegnącej przez las, wycofała go między drzewa i wyłączyła silnik. Potem wskazała palcem właściwy kierunek, co nie było nawet potrzebne. Odgłosy strzelaniny były tutaj bardzo głośne, a w świetle dnia można już było dostrzec ogrodzenie lotniska.

– Kilka kroków między drzewami i zobaczycie terminal.

– Wysiadać! – rozkazał Morland.

Zespół wyskoczył, ustawił się w kształt litery V i rozglądając się wkoło, pokonał krótką odległość do skraju lasu, skąd rzeczywiście było widać północną część lotniska. Krauja i kapral Paddy Archer zostali w samochodzie. W razie czego mieli być gotowi do szybkiej ucieczki.

Morland padł na ziemię i przeczołgał się poza osłonę drzew. Rozejrzał się wkoło. Okolica wyglądała na bezpieczną. Wyciągnął z kieszeni na piersi miniaturową lornetkę. Reszta zespołu zajęła pozycje, strzegąc go ze wszystkich stron. Uniósł lornetkę do oczu.

– O cholera... – mruknął mimowolnie.

Znajdował się na przedłużeniu pasa widocznego stąd na całej długości. Dalej, na płycie postojowej, paliły się maszyny AirBaltic z charakterystycznymi limonkowymi ogonami. Przed samym terminalem leżał na boku ogromny kadłub rosyjskiego śmigłowca Mi-26, który mógł zabrać do dziewięćdziesięciu ludzi z wyposażeniem. On też płonął. W trawie leżały porzucone spadochrony, nad betonem przemykały co chwile serie z broni maszynowej. Atak rozwijał się w najlepsze.

Niemniej pomimo rzezi, do której doszło na płycie, szanse obrońców były raczej niewielkie, ponieważ kolejne Mi-26 wyrzucały już ze swoich przepastnych brzuchów żołnierzy, którzy w biegu włączali się do walki. Morland mimowolnie był pod wrażeniem ich wyszkolenia i odwagi. Taki szturm pod ogniem przeciwnika to było coś, a przy podobnej przewadze liczebnej ostateczny wynik ataku był już przesądzony.

Nagle z drugiej strony pasa startowego odezwała się jakaś cięższa broń i pociski zaczęły wyrwać kawały betonu ze ścian terminala. Trudno było powiedzieć, jakich zniszczeń dokonywały w środku.

Morland skierował lornetkę na teren lotniska i dojrzał pojazdy, których obecność podejrzewał, chociaż wolałby ich tu nie zobaczyć. Były to transportery opancerzone BMD-4, które musiały zostać zrzucone wraz z pierwszą falą desantu. A skoro tak, to



mieli tu do czynienia z samą śmietanką rosyjskich wojsk powietrznodesantowych, wyposażoną w najnowszy sprzęt.

Dla Morlanda jedynym problemem była teraz odległość, która dzieliła go od walczących. Z tego miejsca nie miał szansy zrobić zdjęć w oczekiwanej przez generała jakości, pozwalającej na jednoznaczną identyfikację napastników. Teoretycznie mogli to być przecież członkowie jakiejś milicji narodowej czy inne zielone ludziki. Rosja uwielbiała podobne przebieranki i konsekwentnie próbowała opowiadać światu bajki na ten temat już od czasu pierwszego ataku na Ukrainę.

Nim cokolwiek wymyślił, od terminala dobiegło głucho dudnienie. Przesunął lornetkę w tamtą stronę akurat na czas, żeby ujrzeć wybuchy pocisków mózdzierzowych, spadających pośród nacierających Rosjan. Każdy z nich rozrzucał ludzkie sylwetki niczym figurki żołnierzyków, którymi Morland bawił się w dzieciństwie. Każdego zabitego pstrykał wówczas palcem, żeby go przewrócić.

– Wiedzą, jak używać mózdzierzy – mruknął pod nosem Morland.

– W ten sposób dadzą Roskim do myślenia – odezwał się przez radio sierżant Wild.

– I kolejka po paczki będzie mniejsza, gdy dotrą już do kafeterii.

Morland omal się nie zaśmiał na ten wisielczy żart. Cieszyło go, że Łotysze skutecznie się odgryzają, ale niestety chwilę potem nad lasem przemknęły cztery ciężkie śmigłowce szturmowe Mi-24 i zasypały budynek terminala rakietami kalibru 80 mm, wystrzeliwanymi z zasobników zamontowanych pod krótkimi skrzydełkami śmigłowców. Chwilę potem otworzyły również ogień ze sterzących z dziobów działek kalibru 23 mm. Jak okazało się niedługo później, śmigłowców było łącznie osiem. Druga grupa zmieniła pierwszą, gdy ta wystrzelała całą amunicję i wzięła kurs w stronę Rosji. Teraz maszyny utworzyły krąg, podlatując kolejno do celu i zasypując go ogniem z wysokości ledwie dwustu stóp. Wszystkie przelatywały przy tym co rusz nad głowami Morlanda i jego grupy.

Trudno było to obserwować, ale atak śmigłowców stworzył okazję, której Morland tak bardzo pożył. Uniósł swojego canona EOS 750D DSLR i zaczął strzelać fotki krążącym hindom, jak w kodzie NATO nazywano Mi-24. Gdy nie miał akurat żadnego nad sobą, fotografował poczynione przez nie zniszczenia. Latały tak wolno i nisko, że widział nawet ich numery burtowe. Chłopaki z wywiadu pewnie sprawdzą je potem dokładnie i być może będą w stanie podać nawet nazwiska pilotów. To było dokładnie to, czego domagał się pułkownik. Jednoznaczny dowód obecności rosyjskich sił zbrojnych. Żadnych zagadek, zielonych ludzików czy innych zjawisk nadprzyrodzonych.

Pora była stąd zniknąć, zanim Rosjanie ich zauważą. Morland był już pewien, że obrona terminala zbliża się do końca. Zaraz po pierwszym ataku śmigłowców mózdzierz przestał strzelać. Napastnicy niebawem się zbliżą i wykończą obrońców, a potem rozejrzą się za następnymi celami. Morland nie miał ochoty zostać jednym z nich.

Przekazał cicho ludziom, że się wycofują, po czym ruszył razem z Watsonem. Wild ich osłaniał. Szybko znaleźli się znowu między zapewniającymi osłonę drzewami.

Nagle dał się słyszeć miarowy hałas silników dwóch kolejnych hindów. Te jednak nie strzelały, nie odpalały rakiet. Morland patrzył na nie z chorą fascynacją, domyślając się z wolna, co teraz nastąpi. Wolałby tego nie oglądać, ale uniósł aparat. Przelatując nad terminalem, oba Mi-24 zrzuciły jakieś beczułkowate obiekty. To mogło być tylko jedno.

Na budynek spadły dwie bomby powietrzno-paliwowe. Każda o masie 250 kilogramów.

Ogień eksplodował z wściekłym rykiem i nawet tutaj, ponad kilometr dalej, Morland odczuł uderzenie fali gorąca i silny podmuch. Żaden Łotysz z tej placówki obronnej nie pójdzie do niewoli. Można było nawet oczekiwać, że wybuch zabił także sporo atakujących Rosjan.

W budynku zaległa cisza. W sumie cisza zapadła też wszędzie wkoło i utrzymywała się aż do czasu pojawienia się transporterów opancerzonych, za którymi postępowała piechota. Walka na lotnisku dobiegła końca i jeszcze trochę, a Rosjanie zaczęną sprawdzać cały teren.

– Wynosimy się. Szybko – rzucił Morland do mikrofonu.

Gdy dotarli do samochodu, dojrzał w oczach Kraui nieme pragnienie dowiedzenia się, co stało się z terminalem i jego obrońcami. Domyślał się, że mogła mieć przyjaciół w utworzonych w Rydze oddziałach Gwardii Narodowej, która także broniła lotniska.

Wiedział, że to nie była chwila na poddawanie się emocjom, ale mimo to opowiedział, czego był świadkiem. Fachowo, jakby zdawał raport. Po czymś tak strasznym trudno było inaczej. Jakiegokolwiek barwne opisy czy plastyczne porównania mogłyby załamać Krauję. W pewnej chwili jednak przyszło mu do głowy, że i to mogło być dla niej za wiele.

– To atak na pełną skalę. Oceniam ich siły na wzmocniony batalion, ze wsparciem śmigłowców Mi-24 i transporterów opancerzonych BMD-4 zrzuconych wraz z desantem. Gwardziści stawili twardy opór, ale zostali zneutralizowani. Lotnisko jest w rękach przeciwnika. Mam zdjęcia atakujących rosyjskich śmigłowców. Naszym zadaniem jest teraz jak najszybsze przekazanie tych fotek do Wielkiej Brytanii. Musimy czym prędzej dotrzeć na *Padstowa*.

Krauja zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

– Mój młodszy brat był rezerwistą, służył w lotniskowym batalionie. Był na pierwszym roku prawa na naszym uniwersytecie.

Morland nie wiedział, co powiedzieć, chociaż milczenie wydawało mu się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Kiwnął głową, że rozumie, i wskazał na samochód. Krauja bez słowa zajęła miejsce kierowcy i obróciła kluczyk. Gdy wszystkie drzwi zostały już zamknięte, ruszyła wąską drogą w kierunku Rygi.

Niebawem znaleźli się znowu na ulicach okolonych starymi drewnianymi domami niedaleko brzegu Dźwiny. Jechali z opuszczonymi szybami i lufami karabinów wystawionymi na zewnątrz, na wypadek gdyby spotkali jakichś rosyjskich żołnierzy. Sądząc po skali ataku na port lotniczy, spadochroniarze mogli wylądować też w innych miejscach.

Krauja przejechała przez starą portową dzielnicę miasta, której wąskie uliczki wyprowadziły ich na główny trakt i mierzący sześćset metrów długości Vanšu tilts, most Wiszący, który przebiegał nad Dźwiną.

– Tam jest wasz okręt – pokazała. – Ten po lewej.

Morland spojrział w tamtą stronę i dojrzał trzy niewielkie szare sylwetki, przesłonięte częściowo przez barierki mostu. Jedyne zespół floty, jaki NATO było w stanie przysłać na Łotwę w tej trudnej godzinie. Jak wskazywała panująca na pokładach aktywność, wszystkie jednostki przygotowywały się do wyjścia w morze.

HMS *Padstow* nie imponował ani wielkością, ani uzbrojeniem, Morland jednak pomyślał odruchowo, że dzięki Bogu, „Royal Navy is here”. Na rufie sąsiedniej jednostki zwieszała się bandera w kolorach czerni, czerwieni i złota. Bandera Niemiec.

Teraz, gdy szansa ucieczki była już na wyciągnięcie ręki, uświadomił sobie, że całkiem nie wie, jak pożegnać się z Kraują. Coś mu podpowiadało, że jeśli teraz odpłynie, co przecież musi zrobić, nigdy więcej się już nie zobaczą. Krauja miała rachunki do wyrównania z Rosjanami i zapewne nie zdoła przeżyć. Niemniej gdy byli już na środku mostu i Morland miał zacząć się żegnać, zdarzyło się coś niespodziewanego.

Wysoko nad nimi, zbyt wysoko, żeby było je wyraźnie słychać, pojawiły się sylwetki dwóch Su-25, zapewne w najnowszej wersji KM, znanej pod nazwą Skorpion. Po chwili oba szturmowce zeszły pod chmury i szerokim łukiem skrzyły w stronę portu. Morland wychylił się przez okno, żeby lepiej widzieć, dzięki czemu nie przegapił chwili, gdy maszyny uwolniły dwie bomby. Poznał je od razu, chociaż dotąd widział takie sceny tylko na materiałach filmowych nadesłanych z Ukrainy. To były laserowo naprowadzane bomby przeznaczone do precyzyjnego niszczenia celów.

Z początku wydawało mu się, że szybowały dokładnie na most i ich land cruisera, i nawet pochylił się odruchowo, ale gdy przeleciały nad mostem, zrozumiał, że takie przypuszczenie było bezsensowne. Nikt nie używałby podobnego uzbrojenia do zniszczenia jednego samochodu i aparatu fotograficznego z kompromitującymi zdjęciami.

Chwilę potem bomby trafiły w okręt z lewej.

Morland nie spojrział w tamtą stronę, tylko wychylił się jeszcze bardziej i zobaczył, że samoloty wykonały spokojnie krąg i przez nikogo nie niepokojone zwolniły kolejne bomby.

Gdy obrócił wreszcie głowę w stronę portu, zobaczył dwie jednostki ledwo widoczne spod erupcji ognia. Do basenu portowego spadały strzępy półpłynnego metalu z nadbudówek, sycząc głośno przy zetknięciu z powierzchnią wody. Fala gorąca zaatakowała ich przez otwarte okna i samochód zakołysał się niebezpiecznie, uderzony nagłym podmuchem. Gdy zjechali powoli z mostu, kule ognia już przygasały, zostawiając zwykłe piekło płomieni. Niebawem na obu jednostkach doszło do eksplozji amunicji, co przypieczerowało ich los. HMS *Padstow* i FGS *Eckernförde* nabrały przechyłu, a kilka chwil później obróciły się do góry dnem. W tej pozycji zaczęły tonąć.

Krauja wjechała w boczną uliczkę, gdzie zatrzymała wóz.

– Co teraz, Tom? Już nie macie jak wrócić. – Była blada i zła przez to, czego właśnie była świadkiem w ukochanej Rydze, ale starała się panować nad emocjami.

Morland obejrzał się na swoich. Wszyscy byli w szoku. Jeszcze niedawno nie wiedział, co powiedzieć Kraui po tym, jak jej krajanie zostali zabici podczas obrony terminala, a teraz był świadkiem śmierci swoich rodaków.

Miał wrażenie, jakby oglądał film puszczony w zwolnionym tempie. Myśli miał jasne i wiedział, co chce powiedzieć, ale nigdy jeszcze nie znalazł się w podobnej sytuacji, nigdy nie widział czegoś takiego.

– Jebane dranie zatopiły właśnie brytyjski okręt. I niemiecki też. To znaczy chyba, że jesteśmy w stanie wojny z Rosją.

Krauja spojrzała na niego wyczekująco, wyraźnie zastanawiając się, co jeszcze powie.

Spojrzał ponownie na swój zespół. Też patrzyli na niego, a wyraz ich twarzy zdawał się mówić: I co teraz, szefie? Dojrzał w nich jednak także upór i determinację brytyjskich piechociarzy, wkurzonych teraz do granic i gotowych walczyć, nawet jeśli nie mieli wielkich szans i nie wiedzieli, czym się to skończy.

– Dobra, nasze zadanie mamy już z głowy. Nikomu nie są potrzebne nasze zdjęcia. Dowód rosyjskiego zaangażowania tonie właśnie w basenie portowym. Będziemy walczyć u boku Łotyszy.

– Nie trzeba być arcybiskupem, żeby na to wpaść, sir – mruknął Wild. – O ile nikt z nas nie ma latającego dywanu, to właśnie nas uziemili. Na mój rozum powinniśmy wrócić do Ādaži i dołączyć do naszych kolegów z sił specjalnych. Koniec końców i tak planowaliśmy trening w obszarach leśnych.

– Dobry pomysł, sierżancie – powiedział Morland i spojrzał na Krauję. Był wdzięczny Wildowi za próbę żartu, nawet jeśli nie był on specjalnie śmieszny. – Możesz podrzucić nas do Ādaži? Potem pewnie wrócisz do Rygi?

– Zabiorę was do Ādaži i zostanę z wami. Teraz potrzebujecie mnie bardziej niż wcześniej. A wasz nadajnik będzie dla nas wręcz bezcenny. To w Ādaži zacznie się opór wobec Rosjan, nie w Rydze. Po tym, co stało się dzisiaj rano, to już niemożliwe.

Potem spojrzała na Morlanda, któremu się wydało, że świat się na chwilę zatrzymał. Poczuł, że za wszelką cenę musi chronić tę dziewczynę. I że poszedłby za nią wszędzie. Od tej chwili walka na rzecz Łotwy stała się dla niego równoznaczna z inną jeszcze walką. Wszystko gotów był zrobić dla Mariny Kraui. Tyle że ona nie miała prawa się o tym dowiedzieć.

– To na co czekasz? – spytał. – Ruszajmy.

Niedziela 21 maja 2017 roku, godzina 12.30

Pub Russell Arms, Butler's Cross, Buckinghamshire

Trev Walker siedział w posepnym nastroju w wydzielonym barze pubu Russell Arms, popijał coca-colę light i sprawdzał e-maile na swoim iPhone. Lokal znajdował się niecałą milę na północ od oficjalnej rezydencji premiera w Chequers, Chiltern Hills w zielonym Buckinghamshire. Normalnie Walker byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł spędzać niedzielne popołudnie w pubie. Mimo to jednak otoczenie pieszych turystów w ciężkich butach i niedzielnych golfistów w kraciastych portkach, co to odwiedzili niedawno klub w Ellesborough, i to klub nie byle jaki, bo z pełnowymiarowym polem na osiemnaście dołków, działało mu na nerwy i sprawiało, że czuł się mocno nie na swoim miejscu. Fakt, że był w wymiętym sklepowym garniturze i zdartych czarnych trzewikach, tylko pogłębiał to wrażenie. Już z daleka można było uznać Walkera za osobę z całkiem innej bajki.

Najlepiej czuł się w pubie Red Lion w połowie Whitehall, niemal naprzeciwko wylotu Downing Street. Tam miał się z kim spotykać, miał jak budować relacje i rozszerzać swoje wpływy. Wiejska knajpa z masą obcych ludzi cieszących się leniwą niedzielą to nie był jego świat.

Spojrzał na stół w rogu, gdzie siedział przy lunchu premier z rodziną. On spędzał tu dzień z wyraźną przyjemnością, zachowując się jak przeciętny szczęśliwy czterdziestokilkuletni ojciec z piękną żoną i udanymi dzieciakami. Walker uważał, że premier sumiennie wywiązuje się ze swoich obowiązków, i to zwykle jeszcze przed śniadaniem, ale czasem przesadza z relaksem. Zdjęcia premiera siedzącego z rodziną w lokalu mogły wprawdzie zwiększyć liczbę głosów pracujących kobiet z klasy średniej, ale czasem prowadziło to do sytuacji, w których mógł tylko reagować na bieg zdarzeń, zamiast sam ten bieg wytyczać. Tak jak w przypadku niedawnego telefonu od prezydent Stanów Zjednoczonych.

Walker nigdy nie przepadał za środowiskiem wojskowych. Tak naprawdę to wręcz nimi pogardzał i lubił doprowadzać ich do szewskiej pasji upodobaniem do byle jak noszonych garniturów i z rzadka polerowanych butów. Niemniej nawet on musiał przyznać, że rządowa polityka w odniesieniu do sektora obronnego była ostatnio wręcz niepoważna i Dillon całkiem słusznie ją skrytykowała.

Wiedział dobrze, że Downing Street 10 zatraciła niemal zdolność myślenia strategicznego. Co więcej, poranny telefon od prezydent Dillon świadczył, że ona także o tym wiedziała, ale okazała się na tyle rozsądna, żeby kupić premiera pochlebstwami,

prosząc o poparcie USA. Oczywiście i to przekładało się na opinię w określonych grupach fokusowych, których zdanie brano pod uwagę przy podejmowaniu decyzji państwowych. Postrzeganie premiera jako wielkiego przyjaciela pierwszej prezydent Stanów Zjednoczonych oznaczało większą popularność wśród żeńskich wyborców oraz przychylniejsze traktowanie przez media. I tym samym większy prestiż, bardzo przydatny wobec tych wszystkich problemów z Unią Europejską.

Nagle poczuł klepięcie w ramię i obróciwszy się, zobaczył jednego z ochroniarzy premiera.

– Ktoś czeka na ciebie na zewnątrz – powiedział mężczyzna, dając znak Walkerowi, żeby poszedł za nim.

Wyszedłszy przed pub, Walker musiał przyznać, że ciepłe wiosenne słońce przebijające się przez młodą zieleń drzew nawet jemu poprawiło humor. Jednak tylko do chwili, gdy funkcjonariusz wskazał mu srebrnego mercedesa klasy E, obok którego stała Kate Bowler, prywatna sekretarka premiera. Wysoka i szczupła, ze związanymi z tyłu brązowymi włosami, zwykle wyglądała na osobliwie odprężoną. Tego dnia jednak była wyjątkowo spięta, chociaż bardzo starała się to ukryć.

Gdy tylko go zobaczyła, zaraz podeszła bliżej.

– Muszę rozmawiać z premierem, Trev. A on musi wracać na Downing Street. Zaraz, natychmiast.

Normalnie spytałby najpierw, o co chodzi, ale nie dzisiaj. Nigdy jeszcze nie widział Kate Bowler w takim stanie i uznał, że lepiej będzie nie próbować. Odwrócił się i wszedł do pubu. – Przepraszam, że przeszkadzam, szefie – powiedział półgłosem, stając za krzesłem premiera. – Przyjechała Kate, jest na zewnątrz. Zdarzyło się coś ważnego.

– Czy to nie może poczekać? – spytał z irytacją premier. – Jeszcze nie przyniesiono nam lunchu.

– Nie, szefie. Musi pan z nią jak najszybciej porozmawiać – stwierdził Walker, nie wdając się w dyskusję.

Premier przeprosił żonę, pocałował ją na pożegnanie i zmierzwił włosy swoich dzieci, po czym niechętnie podążył za Walkerem na parking Russell Arms.

– Czy to naprawdę nie mogło poczekać, Kate? Miałem akurat chwilę dla rodziny – zaczął z wyrzutem.

– Musimy jechać, panie premierze – odparła stanowczo Bowler. – Wprowadzę pana we wszystko po drodze na Downing Street.

Ochroniarz otworzył lewe tylne drzwi samochodu i premier usiadł posłusznie obok Bowler. Walker szybko zajął miejsce z przodu, uprzedzając ewentualnych chętnych. Dwa samochody obstawy ustawiły się z przodu i z tyłu, po czym wszyscy ruszyli przy wtórze wycia syren na południe, w kierunku M40 i Londynu.

– Zła wiadomość, panie premierze. Proszę przygotować się na najgorsze –

powiedziała Bowler, patrząc na premiera, który tylko skinął głową. – Chodzi o HMS *Padstow*, niszczyciel min działający wraz z natowską grupą przeciwminową. Został zatopiony z całą załogą. Rosjanie zbombardowali go dziś rano w Rydze. Zatopili też niemiecki okręt. Najechali na Łotwę. To jest wojna.

Poblady premier przygarbił się na tylnym siedzeniu. Walker wiedział, że lepiej nie odzywać się w takiej chwili i poczekać, aż szef się uspokoi. Warto było za to się zastanowić, jakie będą konsekwencje zdarzenia i jak najlepiej je wykorzystać. Niemniej choć próbował, nie mógł dostrzec w sytuacji niczego korzystnego. To była prawdziwa katastrofa i należało oczekiwać, że prasa pożre ich żywcem.

Wolał nie myśleć o jutrzejszych nagłówkach, niemniej zamierzał czym prędzej skontaktować się z wydawcami gazet, żeby zminimalizować szkody. Nie miał zielonego pojęcia, co ten okręt robił w strefie walk, ale zamierzał się dowiedzieć. Podejrzewał, że generałowie i admirałowie coś zawalili. Nie było jednak co wyzywać się na nich, nawet jeśli na to zasłużyli. Przynajmniej nie teraz.

Godzinę i piętnaście minut później premier nadal był blady, ponieważ dotarło do niego, że jego kariera i reputacja zawisły właśnie na włosku. W takim też stanie wszedł do domu na Downing Street 10 i pokonał długi korytarz do sali gabinetowej, by przez podwójne drzwi dotrzeć do małego gabinetu znanego jako „Den”, co oznaczało zarówno pokój, jak i norę.

– Szef sztabu obrony zjawi się lada chwila – przekazał Walker. – To on odpowiada za tę misję. Trzeba będzie pokazać mu, kto tu rządzi.

Niebawem rozległo się pukanie do drzwi. Walker otworzył je, wpuszczając generała sir Jima Mainwaringa, siwowłosego, niskiego i raczej korpulentnego szefa sztabu obrony, którego Walker miał z początku za prostaczka w mundurze, poczciwego i uwielbianego dzięki temu przez prasę. Szybko jednak się przekonał, że stary bywalec Whitehall mógłby pod wieloma względami zawstydzić samego Machiavellego.

Walker długo szukał jego słabych punktów, więc wiedział, że Mainwaring wkroczył na śliską drogę kariery jako oficer sztabowy i nigdy nie wahał prochu, a mimo to miał pierś pełną medali. Niemniej sposób, w jaki piął się w górę, był całkiem bliski Walkerowi: po prostu mówił politykom to, co chcieli usłyszeć. Jedyne różnica polegała na tym, że Walker starał się zawsze, żeby politycy wkoło niego, a zwłaszcza premier, chcieli słuchać tego, co sam Walker uważał za słuszne.

Oznaczało to, że w razie problemów był autentycznie gotów poprzeć ich decyzje. Całkiem inaczej niż ten generał, który musiał czekać pod drzwiami. Normalnie wmaszerowałyby tu jak do siebie. Ale nie dzisiaj. Walker od dawna podejrzewał, że Mainwaring nie wierzył nawet w połowę tego, co w ciągu dwóch ostatnich lat przekazywał premierowi. Uległa postawa oficera zdawała się potwierdzać, że Walker ma rację.

Niemniej Mainwaring i tak dumnie wypiął pierś, zanim się odezwał.



– Przyszedłem wprowadzić pana w szczegóły sprawy, panie premierze, zanim zacznie się posiedzenie COBRA – zapowiedział z silnym bristolskim akcentem.

To wystarczyło, żeby premier odzyskał rezon. Walker sugerował wcześniej, że pora ustawić generała do pionu, i nie rozczarował się.

– I co, panie generale? – spytał z sarkazmem premier. – Wysłanie natowskiej grupy niszczycieli min miało powstrzymać Rosję przed atakiem? Czy nie tak mi pan to przedstawiał?

Mainwaring wiedział, że lepiej się nie odzywać. Stał tylko w milczeniu.

– Dzięki pańskiej radzie tkwimy teraz po uszy w kłopotach. Trev powiedział mi, że to nasza najgorsza morska tragedia od czasu wojny falklandzkiej. I co pan, u diabła, może zaproponować, żeby nas z tego wydostać?

Przy ostatnim zdaniu premier na moment stracił panowanie nad sobą, ale zamiast wybuchnąć złością, jak wielu premierów przed nim, tylko się zakrztusił. Łzy pociekły mu z oczu, twarz poczerwieniała. Niebawem jednak doszedł do siebie.

– Postawmy sprawę jasno. Uwierzyłem w pańskie zapewnienie, że obecność naszego okrętu w grupie NATO będzie silnym sygnałem dla Rosjan. A teraz... a teraz okazuje się, że okręt zatonął, a większość załogi nie żyje albo została zaliczona do zaginionych. Proszę o wyjaśnienie – dodał premier złowroźnie cichym głosem.

Teraz z kolei Mainwaring był w szoku. Wiedział, że zawdzięczał swoje stanowisko szefa sił zbrojnych znajomości maszyny politycznej Whitehall i kontaktom z jej beneficjentami. I to właśnie doprowadziło go teraz do klęski. Jeszcze niedawno wypatrywał bliskiej już emerytury i własnego miejsca w Izbie Lordów. Teraz jego plany zostały zagrożone. Po raz pierwszy w trakcie misternie planowanej kariery postawił na złego konia. Na dodatek wolał nie myśleć, co powie jego żona, gdy usłyszy o tym kataklizmie.

– Panie ministrze – zaczął, odsuwając na bok rozterki i starając się mówić spokojnie, ale z dużą pewnością siebie. – Sztab już się spotkał i rozważyliśmy możliwości. Uważamy, że Wielka Brytania powinna w takiej sytuacji okazać siłę i stanowczość. To jest tragedia, ale jako naród stawialiśmy już czoło nie takim sytuacjom i zawsze wychodziliśmy z tego obronną ręką.

Premier spojrzał na niego z uwagą.

– Co pan proponuje?

– Panie premierze, uznaliśmy, że zatopienie HMS *Padstow* jest aktem wojny, a najazd na Łotwę oznacza, że zgodnie z artykułem piątym traktatu waszyngtońskiego powinniśmy jej pomóc. Jest już zbyt późno na wysłanie tam sił lądowych, chociaż wydaliśmy im rozkaz osiągnięcia natychmiastowej gotowości do relokacji. Obawiamy się, że wysłanie naszych sił powietrznych, które zaangażowałyby się w walkę, mogłoby doprowadzić do przedwczesnego silnego uwikłania w konflikt. Rekomendacja naszego Komitetu Szefów Sztabów, którą jestem upoważniony przekazać jako główny doradca

wojskowy pańskiego rządu...

Walker widział, jak irytacja premiera zaczęła rosnać z chwilą, gdy napuszony stary wiarus zaczął używać liczby mnogiej, sugerując, że to nie on ponosi winę, tylko niezależne od niego ciało zbiorowe. Niemniej premier też nierzadko stosował tę sztuczkę, i to z lepszym rezultatem niż ten pokonany już generał.

– Proszę do rzeczy – przerwał mu szorstko.

– Jak wspominałem, panie premierze, rekomendacja szefów sztabów zasadza się na propozycji, żeby skierować na Bałtyk silny zespół naszej floty. Będzie to demonstracja naszej solidarności z Łotwą i innymi państwami bałtyckimi oraz dowód na to, że jesteśmy dobrym sojusznikiem NATO, chociaż działając wyłącznie na morzu, nie będziemy musieli w nic się angażować.

– I jaki to miałby być zespół?

– Proponujemy utworzenie grupy bojowej skupionej wkoło HMS *Queen Elizabeth*, panie premierze.

Walker wiedział, że *Queen Elizabeth*, najnowszy lotniskowiec i zarazem największy okręt zamówiony kiedykolwiek przez Royal Navy, został niedawno wprowadzony do służby. Pamiętał jednak także cytowane przez gazety opinie różnych emerytowanych admirałów, generałów, a nawet marszałków lotnictwa, że przeznaczone dla okrętu samoloty wielozadaniowe F-35 nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Rzadko w historii Whitehall wszystkie trzy służby w czymś się zgadzały, ale skoro już do tego doszło, można było sądzić, że problem jest poważny i całkiem realny.

– Szefie, a czy wiemy coś o samolotach dla tego lotniskowca? – wtrącił niezwłocznie.

Premier uniósł brwi w niemym pytaniu.

– No... – zaczął niepewnie Mainwaring. – Po prawdzie dopiero za kilka lat kupione od Amerykanów F-35 będą w stanie operować z pokładu. Niemniej proponujemy, żeby osiągnąć efekt odstraszenia poprzez umieszczenie na okręcie jednostki komandosów Royal Marines, liczącej około siedmuset ludzi. Wraz ze śmigłowcami Merlin i Chinook, które służą im do transportu. W grupie będzie znajdowała się też jednostka desantowa, która pozwoli nam w razie potrzeby szybko wprowadzić wojsko do walki na lądzie.

– A co owi komandosi mieliby robić? – spytał zaskoczony premier.

– Cóż, właśnie w tym rzecz, panie premierze – odparł Mainwaring, opanowując z wolna zachodni akcent, co sugerowało, że odzyskuje rezon. – Uzyskamy dzięki nim dużą swobodę ruchu. Skoro będziemy w stanie ich desantować, to już sama obecność jednostki na morzu zdezorientuje Rosjan.

– I jak zareagują?

– Uważamy, że przede wszystkim nie odważą się zaatakować *Queen Elizabeth*, my zaś, wysyłając taki zespół, damy jasny sygnał: „Do tego miejsca, ale nie dalej”.

Premier spojrzał na Walkera.

– To będzie dobrze wyglądało w nagłówkach, szefie. Pokaże, że nie dajemy się sprowokować, jak Maggie T. Jeśli chce pan porady, to jestem za.

– Zatem niech pan działa, generale – powiedział premier i wyprostował się, jakby chciał choć na chwilę upodobnić się do Churchilla.

Może jednak zostanie zapamiętany jako ten, który wygrał wojnę, pomyślał.

Poniedziałek 22 maja 2017 roku, godzina 15.00

## HMS *Queen Elizabeth*

Nabrzeże Middle Slip, baza Królewskiej Marynarki Wojennej, Portsmouth

Komandor porucznik James Bush raz jeszcze ogarnął spojrzeniem pokład lotniczy i skierował się do przedniej wysepki lotniskowca, żeby zameldować się u dowódcy w jego kabinie poniżej mostka. Jako pierwszy oficer HMS *Queen Elizabeth* był drugi w hierarchii dowodzenia, odpowiadał za codzienne utrzymanie jednostki oraz stan załogi i tego dnia bez wątplenia miał się czym martwić. Spał sobie spokojnie w swojej małżeńskiej kwaterze na stoku Portstown Hill, z widokiem na baseny marynarki wojennej w Portsmouth, gdy o 2.35 zadzwonił do niego wachtowy i oznajmił, że *Queen Elizabeth* ma wyjść za trzy dni w morze jako główna jednostka grupy bojowej Royal Navy.

Przez dwadzieścia lat służby Bush spędził już sporo czasu na morzu i przywykł do błyskawicznego przytomnienia po nocnej pobudce, podobnie jak i do przyjmowania i sprawnego wykonywania rozkazów, które mógł wówczas otrzymać. Niemniej tym razem nie ogarniał tego, co się szykowało, i poprosił wręcz wachtowego, żeby wszystko powtórzył.

– W odpowiedzi na najazd Rosji na Łotwę i zatopienie niszczyciela min HMS *Padstow*. Tak nam to przekazano, sir.

Bush zaklął, zanim ugryzł się w język. Oczywiście nie powinien komentować w żaden sposób rozkazów ani okazywać żadnych emocji wobec młodego oficera, który do niego zadzwonił, ale tym razem sytuacja go przerosła. Krótko mówiąc, był przerażony. Wysyłanie *Queen Elizabeth* na wojnę bez samolotów na pokładzie to było jak posyłanie do boju czołgu bez amunicji. Okręt mógłby robić groźne wrażenie, ale bez możliwości prowadzenia ognia byłby niczym czekoladowy zajaczek na polu walki. Lotniskowce to ni mniej, ni więcej, tylko pływające lotniska. Bez zdolnych bronić je samolotów stawały się łatwym, a jednocześnie kuszącym celem. Wielkie, nie aż tak szybkie i o małej manewrowości, za to stanowiące o prestiżu każdej floty. A Bush był właśnie zastępcą dowódcy takiej jednostki.

Tyle dobrego, że okręt został ukończony w terminie i zdołali już przeprowadzić lwią część szkolenia, pomyślał, siadając na łóżku i zapalając lampkę nocną, żeby obudzić żonę i powiedzieć jej, że musi wbić się w mundur. Dlatego pewnie jakiś idiota doszedł do wniosku, że lotniskowiec jest gotów do boju.

Na drugim końcu linii rozległo się zakłopotane kaszlnięcie i Bush dopiero teraz

zauważył, że wachtowy wciąż czeka na rozkazy. Wstrząsająca nowina sprawiła, że całkiem o nim zapomniał.

Zaraz się pozbierał i wszedł z powrotem w tryb dowodzenia.

– Dziękuję za telefon. Proszę przekazać informację załodze i zacząć ściągać wszystkich w trybie awaryjnym na pokład. Proszę przekazać rozkaz uprzedzający grupie O, czyli szefom działów. Chcę widzieć ich wszystkich o ósmej rano w Centrali Bojowej z meldunkami o stanie przygotowań do wyjścia i pełnym spisem napotkanych problemów. Zanotowane?

– Aye, aye, sir – odparł oficer wachtowy.

Bush odłożył telefon na stolik przy łóżku i sięgnął po swój strój roboczy, składający się z ognioodpornych spodni i koszuli z trzema złotymi pierścieniami komandora porucznika. Ucałował jeszcze zasnąłą żonę i obiecał jej, że poukłada swoje rzeczy po powrocie, po czym zgasił światło. Zdążył jednak zobaczyć, że żona odwróciła się na drugi bok, najwyraźniej gotowa spać dalej. Podobnie jak on, też przywykła już dawno do nocnych alarmów i jego częstych nieobecności w domu.

Dzięki Ci, Boże, za Jacky, pomyślał z uczuciem. Chociaż jego ukochana żona nie zgłosiła się na ochotnika do marynarki, to czym byłaby marynarka bez cierpliwości i oddania niezliczonych kobiet, takich jak ona? Nie budząc chłopców, wyszedł frontowymi drzwiami z ich przydziałowego, trzypokojowego mieszkania i wszedł do wiekowego volkswagena polo, który zdołali wreszcie zakupić jako drugi samochód. Czekало go dwadzieścia minut jazdy do Portsmouth.

Teraz, spojrzawszy na pokład *Queen Elizabeth*, „dłuższej niż budynek parlamentu”, jak podkreślano w oficjalnym komunikacie, i dumy Royal Navy, Bush był zadowolony z tego, że przygotowania przebiegały najlepiej, jak mogły.

– Dobrze, że w przyszłym tygodniu i tak mieliśmy się ruszyć – mruknął pod nosem, obserwując żurawie portowe ładujące na pokładowe platformy palety z zaopatrzeniem, amunicją i innymi materiałami wojennymi. Ciągniki umieszczały je następnie na windach lotniczych, którymi zwożono je do hangaru pełniącego obecnie rolę magazynu.

Gdzie dokładnie miało potem trafić to wszystko i jak powinno zostać ułożone, żeby było łatwo dostępne w potrzebie, to była już druga sprawa, wymagająca kreatywności, doświadczenia i dużej dozy zdrowego rozsądku. Szczęśliwie niemal wszyscy starsi oficerowie okrętu mieli doświadczenie bojowe, zdobyte podczas różnych brytyjskich eskapad na Bliskim Wschodzie, co oznaczało, że będą umieli sensownie podejść do rzeczy.

Zerknął na nabrzeże, gdzie czekali w kolejce do trapu komandosi z Królewskiego Pułku Artylerii, twardzi i wytrzymali mężczyźni w słynnych zielonych beretach, z masywnymi plecakami i pełnym zestawem broni osobistej. Kolejno znikali w trzewiach okrętu. Hałasujący niemiłosiernie chinook przynosił właśnie na pokład lotniczy jedno z ich lekkich dział kalibru 105 milimetrów.

Uparty i realistycznie podchodzący do życia Bush wstąpił do marynarki wojennej jako młodszy marynarz, a w wieku trzydziestu ośmiu lat naprawdę zwrócił na siebie uwagę. Sporo skorzystał na panującej w Royal Navy merytokracji. Najpierw jako wzięty piłkarz w drużynie Navy First XI, gdzie okazał tę samą determinację, która cechowała go w robocie, dzięki czemu został wywołany spod pokładu i mógł za sprawą ciężkiej pracy zacząć piąć się wyżej. Jego ojciec, który był podoficerem ze starej szkoły i który w 1982 roku przetrwał zatopienie przez Argentyńczyków HMS *Coventry* na Falklandach, wpoił mu nabożny szacunek do profesjonalizmu. Powiadał, że tylko dzięki niemu aż tylu zdołało się uratować z jego okrętu, gdy ten poszedł na dno na Oceanie Południowym.

Bush stosował tę zasadę także i teraz, przygotowując *Queen Elizabeth* do wyjścia w morze. Nie był ani trochę sentymentalny, ale i tak poczuł przypływ dumy, widząc zorganizowaną krzątanicę ogarniającą rozległy pokład startowy. Owszem, to mogła być świeżo skompletowana załoga, ale już teraz dawało się zauważyć, że jest zgrana. No i bycie drugim po Bogu na największym okręcie zbudowanym kiedykolwiek dla Royal Navy to też było coś. Nie po raz pierwszy Bush pożałował, że jego ojciec, który zmarł pięć lat temu, nie może go teraz zobaczyć.

Zaraz jednak wróciły i troski, w tym ta najgorsza. Lotniskowiec bez samolotów. To przecież był absurd. Dowódca wprowadził go rano w sprawę, nim jeszcze spotkał się z szefami działów. *Queen Elizabeth* została wyznaczona na okręt flagowy Desantowej Grupy Manewrowej z Royal Marines i ekлекtycznym zestawem śmigłowców na pokładzie: chinooki RAF-u, merliny i nowy wildcat lynx Royal Navy oraz apache'e sił lądowych. Wszystkie pozbierane, skąd się dało, bez najmniejszego nawet treningu we wspólnych działaniach czy sprawdzenia, na ile przy posiadanych systemach łączności i stosowanych procedurach będą w stanie komunikować się między sobą, o łączności z okrętem nie wspominając. Niemniej i to był drobiazg w porównaniu z kolejnym problemem. Bush świetnie wiedział, że grupa bojowa lotniskowca powinna posiadać odpowiednio silną eskortę. Lotniskowce nigdy nie działały w pojedynkę, musiały być chronione przez pierścień innych jednostek, jak fregaty do zwalczania okrętów podwodnych, niszczyciele przeciwlotnicze czy myśliwskie okręty podwodne. Niemniej dzięki rządowym cięciom z 2010 roku i wcześniejszych lat marynarka wojenna nie miała po prostu tyle lżejszych jednostek, żeby podołać temu zadaniu.

To będzie największy na świecie bal nudystów, pomyślał Bush.

Owszem, w 1982 roku sprawa wyglądała inaczej, ale Bush pamiętał słowa ojca: „Udało nam się tylko dlatego, że w czasach Maggie mieliśmy porządną marynarkę wojenną, którą cholerni torysi porąbali potem na kawałki. Maggie Thatcher w grobie się chyba przewraca od tego burdelu, w którym wylądowaliśmy”.

Idąc zejściówką do kabiny dowódcy, Bush nie mógł nie przyznać ojcu racji. Jak zwykle zresztą. *Queen Elizabeth* była świetnym okrętem i trudno byłoby marzyć

o czymkolwiek więcej, ale redukcja jednostek eskorty w trosce o znalezienie środków na budowę dwóch lśniących lotniskowców, zwłaszcza gdy nie było wcale wiadomo, czy drugi z nich uda się należycie obsadzić, to było czyste szaleństwo. Bardziej chodziło w całej sprawie o to, żeby ocalić posady stoczniovców, i o polityczne pozerstwo niż rzeczywiste wzmocnienie Royal Navy. Coś, co nawet jego ojciec, który przez całe życie był twardym zwolennikiem Partii Pracy, musiał w swoim czasie rozważyć. Redukcje z 2010 roku poczyniły wiele złego, ale wypominał czasem ojcu, że to laburzyści zainicjowali program budowy nowych lotniskowców i zaczęli posyłać jednostki eskortowe na złom.

Odsuwając od siebie myśli o ojcu, wyprostował ramiona i zastukał w drzwi kabiny kapitańskiej, z małym sekretariatem z przodu.

– Witam, sir. Komodor właśnie skończył rozmawiać z dowództwem Floty. Może pan od razu wchodzić – powiedział sekretarz, uważny oficer w okularach, noszący pagony komandora podporucznika, który wstał na widok Busha.

– Wejść! – rozległo się zza lekko uchylonych drzwi.

Bush posłuchał, zamknął drzwi za sobą i zasalutował.

Komodor Tony Narborough wskazał na stojące przed jego biurkiem krzesło z twardym oparciem. Był wysokim oficerem w wieku czterdziestu kilku lat. Z lekko cofniętym podbródkiem i zaczesanymi do tyłu włosami wyglądał trochę jak gwiazdor filmowy z lat pięćdziesiątych. Nosił jaskrawożółty jedwabny krawat do granatowej koszuli roboczej, co mogło wydać się trochę dziwne. Był wnukiem admirała, a jego ojciec był kimś ważnym w Lloyd's przed bankructwem tej firmy we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Skazany pierwotnie na Eton, poszedł ostatecznie do zwykłej szkoły, gdzie zahartował się dzięki wyzwiskom i pięściom innych chłopców.

Zdegustowany tym, co City zrobiło jego ojcu, wstąpił do marynarki wojennej z ambitnym zamiarem przywrócenia rodzinie dobrego imienia i dojścia aż do stopnia admirała. Jak dotąd radził sobie całkiem dobrze. Jako kapitan został adiutantem wysoko notowanego admirała, reprezentował marynarkę wojenną w rozgrywkach krykieta, wcześniej niż jego rówieśnicy otrzymał dowództwo, najpierw wyróżniającej się fregaty, potem śmigłowcowca, następnie kierował w Ministerstwie Obrony komórka zajmującą się planowaniem przyszłego kształtu Royal Navy. Wiedząc, że będzie to miało znaczenie dla jego kariery i że politycznym samobójstwem byłoby okazanie niezadowolenia z przeprowadzanych cięć budżetowych i redukcji armii, Narborough dostarczał swoim panom dokładnie to, czego oczekiwali.

Pomógł zatwierdzić zmniejszenie stanu eskortowych fregat i niszczycieli, żeby znaleźć środki na budowę nadmiernie kosztownych i mocno spóźnionych wobec planu lotniskowców. Poprzedni rząd uznał złomowanie mniejszych jednostek za lepszy wybór niż publiczne uznanie lotniskowców za „białe słonie”, które nikomu nie będą potrzebne i których budowa powinna zostać przerwana. Bush współczuł Narborough udziału

w tej ponurej imprezie, bo wiedział świetnie, że każdy oficer marynarki wojennej, który podpisałby się pod decyzją o skasowaniu lotniskowców, byłby z miejsca mocno nieświeżym trupem.

Nic dziwnego zatem, że został ostatecznie nagrodzony stanowiskiem dowódcy *Queen Elizabeth*, najbardziej prestiżowym dowództwem, jakie Royal Navy mogła zaoferować.

– Dobry, pierwszy – powiedział Narborough. – Jak tam sprawy?

Bush usiadł na wskazanym krześle i wyciągnął notatnik.

– Szczegóły przedstawię na wieczornym spotkaniu grupy O, sir, gdy szefowie działów też będą podsumowywać dzień. Obecnie uzbrojenie, zaopatrzenie i dział inżynieryjny działają zgodnie z planem. Będzie jeszcze lepiej, gdy technika uzbrojenia upora się z kłopotami z systemem Phalanx, ale największy problem to samoloty.

– Słucham – powiedział Narborough.

– Sir, nie spodoba się panu to, co powiem, ale i tak muszę to powiedzieć – zaczął Bush, zaczerpnąwszy głęboko powietrza. Nie pierwszy raz rozmawiał w ten sposób ze starszym od siebie oficerem i dlatego właśnie pomimo udanego okresu dowodzenia fregatą miał małe szanse na to, że otrzyma kiedyś jeszcze inny własny okręt. – Rzecz w tym, że kierowanie lotniskowca do walki z Rosjanami bez samolotów, które stanowią o sile bojowej okrętu, to proszenie się o kłopoty.

Bush był z krwi i kości marynarzem, ale śledził postępy przy pracach nad wielozadaniowym samolotem F-35 Lightning II. Wiedział sporo o jego rosnących kosztach i opóźnieniach, a także technicznych problemach z konstrukcją i oprogramowaniem pokładowym, które odwlekały wprowadzenie maszyny do służby.

– Zatem posłuchaj, pierwszy. – Narborough przesunął dłonią po swoich włosach. –

Jak powiedziałem rano, wychodzimy jako jednostka flagowa Desantowej Grupy Manewrowej. Mamy wpłynąć na Bałtyk, trzymać się z dala od brzegu i pozostawać w gotowości do działań desantowych, żeby zademonstrować determinację brytyjskiego rządu i NATO w walce z Rosjanami i żeby przede wszystkim powstrzymać ich przed dalszymi wrogimi działaniami. Nasi władcy pogodzili się z utratą państw bałtyckich i uznali, że niewiele można z tym zrobić, ale jesteśmy w stanie nie dopuścić, żeby Rosja posunęła się dalej. Możemy nie mieć ani jednego lightninga II, ale mamy imponujący zestaw śmigłowców i w razie potrzeby możemy posłać marines na ląd. Nikt jednak nie wzmiankował ani słowem, żebyśmy mieli naprawdę walczyć z Rosjanami.

Bush wiedział, że dalsze zgłębianie sprawy będzie zahaczało o niesubordynację. Wyraził zaniepokojenie sytuacją i teraz miał dwie możliwości do wyboru. Dać sobie spokój i pogodzić się z losem albo w ramach protestu zrezygnować ze stanowiska. To drugie mogłoby oczywiście w wojennej sytuacji zostać uznane za przejaw tchórzostwa.

Postanowił jednak spróbować czegoś jeszcze innego. Po serii cięć Royal Navy



dysponowała już tylko dziewiętnastoma fregatami i niszczycielami i byłoby wielkim szczęściem, gdyby Grupa dostała coś więcej ponad skromną eskortę zapewniającą lotniskowcowi podstawową osłonę przeciwpodwodną i przeciwlotniczą. Część z tych jednostek przechodziła zaplanowane modernizacje, inne remonty, przeglądy albo naprawy. Jeszcze inne przebywały w różnych odległych zakątkach świata i gdyby się nawet pospieszyły, nie miały szansy dotrzeć do Europy przed wyjściem Grupy w morze. W czasach, gdy Royal Navy była o wiele większa, zawsze można było coś zrobić w wypadku niespodziewanego kryzysu. Teraz, gdy stała się „zgrabna”, jak eufemistycznie określali to politycy, próbując ukazać porażkę jako sukces, nie było dokładnie żadnych rezerw.

– Sir, czy jest pan zadowolony ze składu Grupy? – spytał.

Dowódca spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

– Co cię dręczy, pierwszy? – spytał wysokim, nosowym głosem. – Dostaniemy okręt desantowy *Bulwark* z Royal Marine Commando na pokładzie. Miałem nadzieję jeszcze na drugi, *Albion*, ale cóż... wiesz, jak to bywa. Po ostatnich cięciach nie mamy dość ludzi, żeby obsadzić je oba, a także lotniskowiec. Co do eskorty, obiecano nam dwie jednostki typu 45: *Daring* i *Dauntless*. To najlepsze niszczyciele, jakie kiedykolwiek zbudowano, i najlepsze jednostki osłonowe. Obronę przeciwko okrętom podwodnym będzie stanowić myśliwski *Astute*. Nie ma lepszej ochrony przeciwko podwodniakom niż inny podwodniak. Uzupełniać go będą dwie jednostki typu 23: *Kent* i *Lancaster*. Tak więc razem z jednostkami pomocniczymi, zapewniającymi wsparcie logistyczne, to będzie całkiem spory zespół.

Bush wiedział, że nie miał już wiele czasu, ale postanowił pociągnąć jeszcze sprawę, chociaż wiedział też, kiedy przyznać rację.

– Zgadzasz się co do typu 45 i *Astute*, sir. Niemniej choć te niszczyciele są dobre, chodzi tylko o dwie jednostki, które mogą być co najwyżej elementem bliskiej obrony przeciwlotniczej. Zasadniczą obronę powietrzną powinny tworzyć *lightningi*, tak że tutaj wyglądamy słabo. Co do typu 23, to skoro opieramy się tylko na dwóch fregatach do zwalczania okrętów podwodnych, nasza osłona będzie płytka i zdecydowanie niewystarczająca, zwłaszcza przeciwko rosyjskim okrętom podwodnym typu *Kilo*. Mają ich całkiem sporo, a ta nowa generacja jest całkiem niezła. Jeśli wyślą na nas chociaż kilka z nich, będziemy mieli wielki problem ze śledzeniem wszystkich, zwłaszcza przy braku samolotów patrolowych i jednym tylko własnym okręcie podwodnym. *Nimrody* mogły być stare, ale dobrze się sprawiały.

– Do czego zmierzasz, pierwszy? – Narborough wydawał się bliski irytacji, ale Bush wiedział, że jego dowódca na swój niechętny sposób go szanował. Chociaż nie przekładało się to na rekomendację do samodzielnego dowództwa, przebiegły i lubiący awanse komodor zwykł go słuchać.

– Dowodzi pan największym okrętem, jaki posiadała kiedykolwiek Royal Navy.

Mamy na pokładzie ponad dwa tysiące ludzi z naszej załogi oraz komandosów. Jesteśmy dumą naszej marynarki wojennej. Ale jeśli pójdziemy na dno, będzie to największa katastrofa od 1941 roku, kiedy Japończycy zatopili *Repulse* i *Prince of Wales*. Zostanie pan zapamiętany po wsze czasy jako pechowy kapitan okrętu, a nazwisko Narborough...

– Wystarczy.

Komodor uniósł dłoń i uśmiechnął się, a Bush zrozumiał, że trafił w czuły punkt, ponieważ jego przełożony rzeczywiście bardziej obawiał się utraty dobrego imienia niż utraty okrętu wraz z załogą. Przy okazji oznaczało to zapewne, że jego obecne wystąpienie znajdzie odbicie w raporcie rocznym. Chwilę potem przekonał się, że rzeczywiście.

– Nie myśl, że nie podzielam twojej troski. Też o tym myślę. Ale spokojnie, to się nie zdarzy. Rosyjska marynarka nie podniosła się po zimnej wojnie, zostały po niej tylko rdzewiejące gdzieś w Murmańsku kadłuby starych okrętów, a to, co pływa, obsadzone jest przez poborowych. Nie odważą się nas zaatakować. Dobra, zobaczymy się na spotkaniu o dziewiętnastej.

Bush powiedział, co musiał powiedzieć, i wiedział, że dalej już nie może się posunąć. Wstał i zasalutował.

– Aye, aye, sir.

Wyszedł z kabiny dowódcy. Nic dobrego z tego nie wyjdzie, ale ktoś musiał to powiedzieć, pomyślał, przekraczając próg.

Zdecydował się raz jeszcze obejść okręt, porozmawiać z marynarzami, którzy wykonywali swoje obowiązki, i wyczuć panującą na pokładzie atmosferę. Na rozległym pokładzie hangarowym powitały go gwar i szal aktywności. Jedne ekipy rozładowywały palety, inne ustawiały pod ścianami hangaru transportery opancerzone Viking, land rovery i lekkie działa komandosów, żeby zrobić miejsce dla nadlatujących śmigłowców. Pośrodku tego wszystkiego znajdował się rozkazujący, cholerujący i poganiający kogo tylko się dało bosman Geordie Rae, najstarszy podoficer na pokładzie, sprawujący nie tak znowu dawno wprowadzone w Royal Navy stanowisko „zarządzającego”. I rzeczywiście, nikt nie znał okrętu lepiej od niego. Bush uznał, że musi spróbować poznać jego zdanie.

Rae pochodził z Manchesteru i znał Busha jeszcze z czasów, gdy obaj byli starszymi marynarzami, czyli od siedemnastu lat. Ich przyjaźń, zrodzona jeszcze w młodym wieku, przetrwała pomimo oficcerskiego awansu Busha. Gdy teraz go dostrzegł, natychmiast się uśmiechnął, stanął prosto i zasalutował. Mogli być starymi kumplami, ale formalnościom musiało stać się zadość.

– Dobry, sir. Miło cię widzieć. Chcesz sprawdzić, jak się chłopaki ładują?

– Dokładnie, Geordie. – Bush nie zamierzał w tym wypadku przestrzegać ceremoniału. – Jak to wszystko wygląda?

– Od czego zacząć? – Rae otarł wierzchem dłoni pot z czoła i wskazał na pracujących. – Okręt i załoga są w porządku. A nawet lepiej. Dadzą z siebie więcej nawet niż trzeba – powiedział półgłosem, żeby nikt nie usłyszał, że mówi dobrze o podwładnych. – Ale poza tym niezbyt jest się z czego cieszyć. Oni też to czują. Brakuje nam ludzi i żadna wachta nie ma pełnej obsady. Przez głupie oszczędności *Bulwark* nie dostał w swoim czasie hangaru dla śmigłowców, więc wszystkie jego maszyny będą u nas. Bóg jeden wie, jak to ostatecznie zadziała, gdy trzeba będzie transportować gdzieś piechotę morską z desantowca. Nawet midszypmen, co jest pierwszy dzień na morzu, powie ci, że budowanie okrętów po taniości to proszenie się o kłopoty. A na dokładkę jeden z naszych przeciwpodwodniaków ledwie kupy się trzyma. Poza tym wszystko gra. I przepraszam, że narzekam, ale sam pytałeś.

– O co chodzi z tym okrętem eskorty? – spytał Bush.

– O to, że *Kent* nadaje się tylko do stoczni złomowej – odparł Rae. – Znam dobrze ich bosmana zarządzającego i powiedział mi, że są głęboko w czarnej dupie. Mieli przejść remont, ale się opóźnił. Mówiąc między nami, bo to jego upierdola, jeśli coś się rozejdzie, gdy ostatni raz wchodzili do Portsmouth, skipper nie chciał ryzykować całej naprzód z obawy, że mu się maszyna rozpadnie. Szansa na to, że generatory i turbiny wytrzymają poza North Foreland, jest praktycznie równa zeru. I potem zostanie nam tylko jedna łajba do zwalczania podwodnych. A co będzie, jeśli i na którymś niszczycielu generator wysiądzie? Będziemy ugotowani na cacy. Miałem nadzieję na cztery fregaty typu 23. Owszem, w teorii i dwie by starczyły, ale w pełni sprawne, nie z takim szajsem pod pokładem. W tych warunkach nie da się normalnie pracować.

– Dzięki, Geordie – mruknął Bush. Rozumiał, co naprawdę zostało mu przekazane: że morale załogi było co najmniej słabe i że tym razem marynarka zażądała od niej stanowczo zbyt wiele. – Nic z tym nie zrobimy. Z pustego się nie należy. Coś takiego w ogóle nie powinno się zdarzyć, zwłaszcza w Europie. Nie doszliśmy jeszcze do siebie po rzeźnickich decyzjach z 2010 roku, kiedy tępe chuje z Ministerstwa Obrony uznały, że nigdy więcej nie będziemy ruszać na wojnę. Nikt nie planował zbierania podobnej grupy, i to na wczoraj. Sam wiesz, że pozostałe jednostki do zwalczania okrętów podwodnych są albo gdzieś daleko, zajęte innymi sprawami, albo w przegładach. Musimy po prostu zrobić swoje, Geordie, i niech nam Bóg pomoże.

Trzy dni później na pokładzie zjawił się kontradmirał, wyznaczony na dowódcę Grupy. Gdy tylko załadował się wraz ze swoim sztabem, lotniskowiec HMS *Queen Elizabeth* opuścił Portsmouth i wyruszył na wojnę. Ubrane na granatowo załogi ustawiły się wzorowo na pokładach, wzruszone tłumy na Southsea Common machały statkom na pożegnanie. Bush stał na mostku i puchł z dumy, gdy wielki lotniskowiec wysuwał się z wolna na wody Spithead, żeby minąwszy forty Martello, wzniesione niegdyś dla obrony przed Francuzami, wypłynąć na kanał La Manche tym samym

kursem, który obrało niegdyś tak wiele słynnych jednostek.

Jednak pomimo tej dumy i świadomości, że nawiązywali do najlepszych tradycji Royal Navy, nie mógł opędzić się od czarnych myśli. Zostawała mu jedynie nadzieja, że politycy, admirałowie i ich doradcy mieli rację i że Rosja nie zdecyduje się zaatakować Grupy z obawy przed wywołaniem w Europie wojny, która mogłaby doprowadzić do wymiany nuklearnych ciosów. Niemniej historia uczyła, że może być też inaczej. Ilu to ekspertów przewidywało w 1982 roku, że Argentyńczycy pękną, gdy tylko zobaczą, co do nich płynie? Ale tak się nie stało, nieprawdaż?

Poniedziałek 22 maja 2017 roku, godzina 19.00  
Narodowe Centrum Zarządzania Obroną, Moskwa

Stojący na pomoście nad główną salą Narodowego Centrum Zarządzania Obroną Fiodor Komarow, szef personelu prezydenta, zauważył, że człowiek odpowiedzialny za placówkę, generał porucznik Michaił Fiłatow, jest wyraźnie czymś zestresowany.

Przy takich gościach to nie dziwne, ale lepiej niech się przyzwyczai, bo skończy jako komendant obozu na Syberii, pomyślał Komarow. Stał zaraz za prezydentem i jego doradcami, którzy zawiadywali rosyjską machiną wojenną.

Poniżej pracował pilnie personel centrum, w pełni świadomy obecności człowieka, który jednym słowem mógł zdecydować o ich losie. Zawieszane kółka wokoło biur z komputerami ekrany ukazywały szczegółowe mapy państw bałtyckich, północno-zachodniej Europy, Morza Północnego i kanału La Manche. Były też przekazy telewizyjnych stacji informacyjnych, ale z wyłączonym dźwiękiem, bo inaczej dobiegałaby stamtąd kakofonia głosów zaniepokojonych prezenterów i rozgorączkowanych dziennikarzy.

Tak więc w kompletnej ciszy przewijały się sceny przejazdu rosyjskich transporterów opancerzonych ulicami miast w Estonii, na Łotwie i Litwie. Za pojazdami szli żołnierze, obserwowani przez wstrząśniętych cywilów. Niektóre rosyjskie stacje pokazywały jednak obrazy mocno odmienne, czyli uradowanych ludzi z rosyjskimi flagami, rzucających kwiaty ku maszerującym oddziałom i całujących wyzwolicieli. Najpewniej byli to przedstawiciele rosyjskojęzycznej mniejszości. Russia Today zmontowała nawet materiał zestawiający współczesnych żołnierzy Federacji Rosyjskiej w ich plamiastych mundurach z czarno-białymi filmami ze zwycięską Armią Czerwoną podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Zadowolony prezydent przymrużył oczy i skinął na Fiłatowa.

– Na co czekacie? Przyjechałem się dowiedzieć co nowego i nie mam na to całego dnia.

Fiłatow zaczerpnął głęboko powietrza, przygładził ufryzowane włosy i zaczął mówić:

– Władimirze Władimirowiczu, z prawdziwą przyjemnością mogę zameldować, że nasze wojska odniosły całkowity sukces. Dzięki bardzo skutecznej maskirowce i staraniom rosyjskojęzycznej milicji na Łotwie, a także dobrze zorganizowanemu atakowi cybernetycznemu, państwo łotewskie pękło jak przekłuty balon. Łotwa znajduje się już niemal całkowicie w rosyjskich rękach, Siedemdziesiąta Szósta

Gwardyjska Dywizja Powietrznodesantowa opanowała międzynarodowy port lotniczy oraz bazę sił powietrznych w Lielvārde. Właśnie otrzymaliśmy meldunek od dowódcy dwudziestego trzeciego pułku powietrznodesantowego – pamięta pan, jak radzili sobie na Ukrainie trzy lata temu – że kontrolują całkowicie Rygę. Tymczasem Piąta Gwardyjska Armia Pancerna idzie sprawnie do przodu i dotrze do Rygi za cztery godziny.

– A jak przeciwnik, Michaile Nikołajewiczu? – spytał prezydent, ignorując Fiałowa i zwracając się do szefa Sztabu Generalnego, Gariejewa, który stawił się dzisiaj w prostym żołnierskim mundurze.

– Łotysze walczyli dobrze, ale ich armia to tylko pięć tysięcy żołnierzy zawodowych i dwadzieścia tysięcy rezerwistów, z których wielu nie zdążono nawet zmobilizować. Nie mieli żadnej szansy. Dobrze, że NATO nie rozmieściło tam żadnych stałych sił. To mogłoby całkiem odmienić obraz.

– Czyli NATO w żaden sposób się nie zaangażowało? – dociekał prezydent.

– Nie całkiem, Władimirze Władimirowiczu. Amerykanie wysłali spory oddział na Łotwę, żeby przygotował wszystko na przybycie ich F-16 do bazy Lielvārde. Samoloty zdążyły odlecieć, ale obsługa dołączyła do łotewskiego personelu wojskowego. Walczyli dzielnie. Ci, co przeżyli, są teraz jeńcami wojennymi.

– Trzeba ich porządnie traktować – oznajmił prezydent. – Mogą się przydać jeszcze jako karta przetargowa, gdyby NATO chciało jednak coś zrobić. – Zamyślił się, bez wątpienia rozważając konsekwencje tak niespodziewanego i niepożądanego zdarzenia. Potem zmienił temat. – Mówicie, że walczyli dzielnie. Jak wyglądają nasze straty?

Minister obrony, znowu w obwieszonym medalami mundurze, przepchnął się naprzód, żeby też uszczknąć swój kawałek tortu.

– Wśród piechoty powietrznodesantowej małe, wręcz bez znaczenia, Władimirze Władimirowiczu – zapewnił przywódcę.

Ciekawe, pomyślał Komarow, który słyszał już wcześniej, że straty były znaczące, i to zarówno w bazie Lielvārde, jak w porcie lotniczym w Rydze.

– A dokładnie jakie, skoro bez znaczenia, Borysie Borysowiczu? – zapytał prezydent.

Minister obrony otworzył usta, ale wyraźnie nie znał odpowiedzi, zatem Gariejew znowu się odezwał:

– Pierwsze meldunki mówią o co najmniej dziesięciu procentach stanów, co jest sporym wskaźnikiem. Około czterdziestu poległych i ponad dwustu pięćdziesięciu rannych. Mimo naszej przewagi liczebnej Łotysze walczyli jak diabły – powiedział, okazując żołnierski szacunek dla przeciwnika.

– Co jeszcze?

Tym razem minister obrony coś wiedział i zaraz z tego skorzystał.

– Siły powietrzne straciły dwa Su-25, zestrzelone nad Lielvārde przez

amerykańskiego pilota F-16.

Komarow zauważył, że prezydent przyjął tę informację ze złością, i łatwo było się domyślić dlaczego. Wprawdzie te samoloty były konstrukcją jeszcze z radzieckich czasów i wiele brakowało im do nowoczesności, ale nadal potrafiły być bardzo skuteczne i ich utrata na tak wczesnym etapie rozgrywki była bardzo niepożądana.

– Powiedzcie mi, że Amerykanin także został zestrzelony.

– Nie, Władimirze Władimirowiczu. Uciekł.

– Dwa nasze samoloty stracone i żadnego sukcesu w powietrzu. A zapewnialiście mnie, że nasze maszyny są tak samo dobre jak ich.

– Są, Władimirze Władimirowiczu. Ale w takich wypadkach zawsze trzeba też brać pod uwagę indywidualne umiejętności i doświadczenie wojenne pilotów. Tamten Amerykanin jest asem...

– Wiecie, kto to jest? – przerwał mu prezydent.

– Nasi ludzie przechwycili jego rozmowy radiowe. Sądzymy, że to ten sam pilot, który zestrzelił nasz samolot nad Donbasem...

Prezydent uniósł dłoń. Ani słowa więcej. Przeniósł spojrzenie na salę w dół i jedynie bielejące knykcie jego zaciśniętych na drewnianej poręczy dłoni świadczyły o jego wściekłości.

Gdy znowu się odwrócił, był już spokojny.

– Gdy następnym razem usłyszę o tym pilocie, ma to być informacja o jego śmierci. Nieważne, czy w łóżku, czy w powietrzu. Nie obchodzi mnie, jak zginie. Zajmijcie się tym. – Spojrzał gniewnie na generałów, nie oczekując odpowiedzi. – Co do naszych strat w piechocie, to było chyba do przewidzenia. Łotysze nie są lepsi od niemieckich chłopów, nie rozumieją, że jak biją, to trzeba położyć uszy po sobie. Dopilnujcie, żeby załatwić wszystko po cichu, ciała mają zostać przekazane rodzinom w zwykły sposób. To zdejmie mi z głowy matki poległych. A wy, jeśli chcecie utrzymać się na stanowisku... – Spojrzał na ministra obrony, który zaczerwienił się z zakłopotania. – Nie otwierajcie więcej ust, jeśli nie znacie wszystkich faktów.

Komarow wiedział świetnie, do czego prezydent nawiązywał. Podczas ataku na Ukrainę ciała poległych żołnierzy wracały do rodzin w taki sam sposób jak jeszcze w radzieckich czasach, w czasie wojny afgańskiej. Bez ceremoniału, w tanich trumnach ze sklejki, zrzuconych nocą pod domem, żeby nie zwracać powszechnej uwagi. Rodzinom kazano siedzieć cicho pod groźbą rozmaitych konsekwencji. Nie dla Rosji były czułościowe zwyczaje Zachodu z flagami na trumnach i ekipami telewizyjnymi.

Podczas całej tej nieciekawej wymiany zdań Fiłatow trzymał się z boku, ale teraz zaczął przestępować z nogi na nogę niczym dziecko pragnące wtrącić się do rozmowy dorosłych. Gdy uznał ostatecznie, że najgorsze już minęło i prezydent trochę się uspokoił, zdobył się na odwagę i ściągnął na siebie jego uwagę.

– Przepraszam, Władimirze Władimirowiczu, ale jest jeszcze coś na temat strat

zadanych przeciwnikowi, czego jeszcze nie przekazałem.

Prezydent, który odwrócił się już do wyjścia, zatrzymał się nagle.

– Słucham, generale – powiedział lodowatym głosem.

– Chodzi o to, że dwa inne nasze skorpiony zatopiły w porcie ryskim dwa okręty NATO, cumujące obok siebie – oznajmił Fiłatow, niepewny, czy przekazać rzecz z uśmiechem, czy może raczej z wyrazem ubolewania na twarzy, gdyby prezydentowi jednak się to nie spodobało. – Samoloty miały rozkaz zatopić lotewskie jednostki, ale wstępne meldunki podają, że trafiły w okręty należące do Wielkiej Brytanii i Niemiec.

Komarow dostrzegł, że stojący obok prezydenta minister spraw zagranicznych nagle zeszywniał.

– Władimirze Władimirowiczu, to może być koniec waszej polityki w stylu „dziel i rządź”, którą nakazaliście stosować wobec państw członkowskich NATO – powiedział z sarkazmem wytrawnego dyplomaty, stykającego się ze skrajną wojskową niekompetencją. – Trudno byłoby znaleźć coś, co bardziej skłoniłoby Niemcy do honorowania artykułu piątego niż zatopienie ich jednostki. I jeśli już o to chodzi, skutki zatopienia brytyjskiego okrętu mogą być równie dotkliwe. Nasze zwycięskie wojska zdołały jednym atakiem zjednoczyć skłócone państwa NATO przeciwko Federacji Rosyjskiej. Gratulacje, Nikołaju Nikołajewiczu – rzucił drwiąco do szefa Sztabu Generalnego, który obdarzył go zaraz wściekłym spojrzeniem.

Prezydent też poczerwieniał i obrócił się do Gariejewa.

– Wieczorem chcę mieć na biurku pełen raport w tej sprawie – powiedział. – I jeśli okaże się to prawdą, dowódca Sił Powietrznych ma nie tylko zostać natychmiast zdymisjonowany, ale w ciągu godziny ma trafić do Więzienia Lefortowskiego. Czy to jasne?

Gariejew chciał wskazać, że rozpoznanie celu z wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów to nie taka prosta sprawa, ale wiedział też, że FSB uprzedziło siły powietrzne o obecności natowskich jednostek w porcie, zatem tylko skinął głową.

– Tak będzie, Władimirze Władimirowiczu.

– Dobrze. – Prezydent obrócił się energicznie i ruszył do wyjścia. – Dość już mam słuchania o Łotwie i naszym lotnictwie próbującym nastawić NATO wrogo do mojej osoby. Chcę usłyszeć najnowsze meldunki na temat pozostałych państw Pribałtyki i prawdopodobnych reakcji ze strony Ameryki i NATO.

Gdy usiedli już przy stole w sali konferencyjnej, kolejni oficerowie sztabowi przedstawili szczegółowo przebieg zakończonych sukcesem operacji wojskowych w Estonii i na Litwie. Oba te kraje były już pod rosyjskim panowaniem dzięki serii zaskakujących desantów spadochronowych, wspartych następnie przez morskie siły inwazyjne Floty Bałtyckiej, które podeszły do brzegów Estonii.

– A teraz, Wiktorze Anatolijewiczu, pora zintegrować te tereny z Rosją – powiedział prezydent, odwracając się do swojego zastępcy. – W ciągu dziesięciu dni



w każdym z tych byłych krajów ma zostać przeprowadzone referendum z prostymi pytaniami: czy chcą, czy też nie chcą przyłączyć się do Federacji Rosyjskiej. Tymczasem ich siły zbrojne mają zostać rozwiązane. Rosyjskojęzyczni pozostają tam oczywiście, stając się zaczynem nowych służb bezpieczeństwa. Wszyscy zaś, w tym także i etniczni Rosjanie, muszą złożyć przysięgę na wierność mi jako prezydentowi. Kto odmówi jej podpisania, zostanie deportowany do gułagu.

– Z przyjemnością, Władimirze Władimirowiczu – odparł z uśmiechem były ambasador Rosji przy brukselskiej siedzibie NATO. – Rezultat będzie łatwy do przewidzenia. Ostatecznie, jak powiedział towarzysz Stalin: „Nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy”.

Prezydent zignorował ten żart i spojrzał na Mierkułowa, szefa służby wywiadowczej FSB.

– Czego możemy spodziewać się po Ameryce, Ławrientiju Pawłowiczu? Jaki będzie następny ich ruch?

Mierkułow zastanowił się nad doborem słów. Ostatecznie swoje przetrwanie i awanse, najpierw w KGB, potem w FSB, zawdzięczał umiejętności przewidywania oraz temu, że nigdy nie dał się zapędzić w kozi róg.

– Po stratach poniesionych na Łotwie Ameryka zapewne nie będzie miała innego wyboru, jak zaangażować się w konflikt, Władimirze Władimirowiczu – odparł. – Ich nowa prezydent, Turner Dillon, nie dała się na razie za bardzo poznać, ale nasza dotychczasowa ocena jej charakteru sugeruje, że nie będzie skłonna do specjalnej eskalacji. Chociaż podczas kampanii wyborczej odnosiła się bardzo krytycznie do polityki zagranicznej Obamy, nie zrobiła nic, żeby jej kraj odzyskał twarz po tym, jak Obama odstąpił od egzekwowania tego, co sam wcześniej zapowiedział na temat tak zwanej „czerwonej linii” i użycia broni chemicznej w Syrii. Albo wówczas, gdy dwa lata temu zaszachowaliśmy ich, atakując wspieranych przez Amerykę rebeliantów, żeby wzmocnić pozycję Assada. Wtedy Ameryka powinna okazać stanowczość i dać nam nauczkę, ale skończyło się na skargach. Musimy jednak pamiętać, że niewiele o niej wiemy i że Dillon może nas jeszcze zaskoczyć. Obaj wiemy, Władimirze Władimirowiczu, że takie rzeczy się zdarzają. Raz już to zrobiła, decydując się na wysłanie sił zbrojnych na Łotwę. Była to głupia decyzja, ale nieoczekiwana. I obawiam się, że będzie to miało swoje konsekwencje.

Prezydent wyglądał na przejętego sytuacją, ale Komarow wiedział, że zbyt był zależny od FSB i lojalności Mierkułowa, żeby bardziej naciskać.

– A co z NATO? Teraz, gdy zatopiliśmy ich dwa okręty?

– Trzeba przyznać, Władimirze Władimirowiczu, że to bardzo niefortunny zbieg okoliczności. Jest praktycznie pewne, że w tej sytuacji Niemcy opowiedzą się za honorowaniem artykułu piątego i pociągną za sobą niezdecydowanych, zwłaszcza Francję, która zwykle naśladuje Niemcy. Wielka Brytania pod rządami premiera

Spencera prowadzi od paru lat mocno niepewną politykę zagraniczną, ale jest możliwe, że utrata okrętu skłoni ich do przyjęcia bardziej zdecydowanego kursu. Co do Grecji, to pozostaje ona zależna od niemieckiego wsparcia finansowego, zatem zapewne poczuje się zobowiązana do pójsia w ich ślady. Grecy mogą nie cierpieć Niemców, ale nie stać ich na niezależność. Mogę jednak was zapewnić, że wcześniejsza polityka rozbijania jedności NATO przyniosła efekty i pokazała niezdolność Paktu do podjęcia wspólnej decyzji w kwestii obrony Pribałtyki. Teraz zaś, nawet jeśli wszystkie państwa opowiedzą się za przestrzeganiem artykułu piątego, najważniejsze jest to, że zajęliśmy już ten teren. NATO musiałyby dokonać najazdu, żeby go odzyskać, czego raczej nie zrobią, nie chcąc ryzykować wojny w Europie. Nawet gdyby mieli siły niezbędne do przeprowadzenia takiej operacji. Tych sił zaś, jak wiemy, nie mają. Zdołaliście ich wymanewrować.

Mierkułow spojrział na prezydenta, który skinieniem głowy kazał mu kontynuować. I nie rozczarował się.

– Rzeczywistość jest taka, że pozwalając nam opanować Pribałtykę bez prób zatrzymania nas wówczas, gdy mieli po temu szansę, NATO przestało istnieć jako liczący się sojusz wojskowy. Straciło trzy kraje członkowskie i już ich nie odzyska. Zostało wystawione na próbę i zawiodło.

Prezydent zastanawiał się chwilę, po czym pokazał w uśmiechu zęby, spojrział po swoich doradcach i uderzył pięścią w stół. To była chwila na okazanie, że jest człowiekiem silnym i mającym cel w życiu.

– Czyli mamy wolną drogę. – Spojrział na ministra spraw zagranicznych. – Jewgieniju Siergiejewiczu, kontynuujcie działania wobec mniejszych członków Sojuszu, żeby wyrwać ich spod amerykańskich wpływów. Trzymamy się metody dziel i rządź, i to tak, żeby nie zebrało im się na odwagę. Równocześnie pamiętajcie, że na wojnie liczy się tylko jedno: koncentracja siły. Musicie dokładnie wyjaśnić kanałami dyplomatycznymi Ameryce i NATO, że próba odzyskania Pribałtyki zostanie uznana za atak na Rosję i spotka się z najbardziej zdecydowaną odpowiedzią. Nie zapominajcie, że Ameryka to tyrania, która, jak wszyscy tyrani, postawiona wobec prawdziwej konfrontacji odwróci się i podkuli ogon. Z Ameryką można rozmawiać tylko w jeden sposób, z pozycji siły.

– Czyli? – spytał minister. Wszyscy wiedzieli, co prezydent ma na myśli, ale zasadniczy Mierkułow chciał, żeby zostało to powiedziane głośno. Teraz i przy wszystkich.

Prezydent rozejrzał się ponownie po sali, wyraźnie świadom niezwykłości tego, o co go poproszono. Potem odpowiedział z powagą i bez śladu emocji, patrząc chłodno na zebranych:

– W razie ataku NATO gotów jestem użyć taktycznej broni atomowej, dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy to podczas niedawnych gier wojennych. Skłonny jestem to nazywać

nuklearną „deeskalacją”, ponieważ to najpewniejszy sposób, żeby skłonić Zachód do odstąpienia od agresji. Ameryka zaś w żadnym razie nie zaryzykuje zniszczenia Europy czy swoich miast i tym samym nie sięgnie po broń atomową.

W sali zaległa cisza. Komarow spojrzał na twarze obecnych. Nikt nie śmiał ani drgnąć, ale nawet on, który ćwiczył rano tę scenę z prezydentem, był pod wrażeniem chwili. Teoretyczne rozważania o użyciu broni atomowej w doktrynie obronnej to nie było to samo, co wypowiedziana wprost deklaracja prezydenta, że w razie potrzeby ta broń zostanie naprawdę wykorzystana, doprowadzając do nuklearnej apokalipsy i zniszczenia całego życia w Europie.

– I kolejna sprawa – odezwał się prezydent. – Oceniam, że wystarczy jeszcze tylko jedno mocne uderzenie, a nasi przeciwnicy rzucą ręcznik i uznają nas za zwycięzców na polu bitwy. Nieważne, czy będzie ono wymierzone przeciwko Ameryce, czy krajom NATO. Ważne, żeby wykorzystać okazję, gdy tylko się taka nadarzy. Kilka zgonów ludzi z Zachodu ocali życie wielu innych ludzi w przyszłości – dodał, spoglądając na szefa Sztabu Generalnego.

Generał wyprostował się, zanim odpowiedział.

– Tak, Władimirze Władimirowiczu. To dobra doktryna wojskowa. Musimy wykorzystać sposobność, gdy tylko się nadarzy.

W tej chwili podszedł do niego adiutant z jakąś kartką i położył ją przed generałem, przekazując mu jednocześnie półgłosem kilka słów. Oficer przeczytał wiadomość i uśmiechnął się lekko.

Prezydent uniósł brwi.

– Powiedźcie nam, Michaile Nikołajewiczu...

– Władimirze Władimirowiczu, chodzi o ten nowy brytyjski superlotniskowiec, *Queen Elizabeth*. Przygotowuje się właśnie do opuszczenia Portsmouth. Potem ma przejść przez kanał La Manche na wschód i skierować się na Morze Bałtyckie. Jego grupa nie ma wsparcia morskich samolotów patrolowych, a eskorta przeciwpodwodna jest bardzo słaba.

Prezydent uśmiechnął się w wilczy sposób i wstał.

– Miejcie na niego oko i informujcie mnie na bieżąco. To może być okazja, na którą czekamy.

Poniedziałek 22 maja 2017 roku, godzina 22.00

Centrum Kompleksowego Zarządzania Kryzysami i Operacjami (CCOMC),  
kwatery główna SHAPE, Mons, Belgia

– Nie widzę oznak sprzeciwu – stwierdził sekretarz generalny NATO Kostilek, rozglądając się po sali obrad Rady Północnoatlantyckiej pod koniec sesji poświęconej artykułowi piątemu i agresji Rosji na państwa bałtyckie. Tego dnia było to trzecie z rzędu spotkanie. – Niebawem zostanie ogłoszony komunikat na temat uruchomienia procedury związanej z decyzją o zastosowaniu artykułu piątego dla obrony państw bałtyckich. Osiągnięcie zgody w tej sprawie nie było łatwe i gratuluję wszystkim członkom rozważnego i godnego mężów stanu podejścia, które umożliwiło nam ostatecznie osiągnięcie zgodności, niemniej wobec tego oburzającego aktu agresji na należące do Sojuszu państwa bałtyckie, a także bezpośredniego ataku na oddział amerykańskich Sił Powietrznych na Łotwie oraz zatopienia okrętów *Eckernförde* i *Padstow* niczego innego się nie spodziewałem. Sojusz staje przed próbą związaną z udziałem w konflikcie. Chociaż osiągnęliśmy zgodę w kwestii fundamentalnej zasady wspólnej obrony, nasza jedność zostanie dopiero sprawdzona w sposób, w jaki nigdy dotąd nie była testowana. W trudnych dniach, które niewątpliwie nas czekają, będę prosił was o pamiętanie, że to jedność Sojuszu jest źródłem naszej siły i tym samym elementem o kluczowym znaczeniu dla rozwiązania tego konfliktu. Od tego właśnie czynnika zależy nie tylko przetrwanie Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego, ale także i przyszłość pokoju w Europie. Tylko działając razem, zdołamy wyzwolić te kraje, które padły ofiarą brutalnej napaści ze strony Rosji. Nasz cel jest jasny: wyrzucenie Rosji z państw bałtyckich.

Generał sir David McKinlay siedział w pokoju łączności CCOMC, skąd brał udział w sesji za pośrednictwem łączny wideo. Teraz oparł się wygodnie w fotelu i patrzył, jak Kostilek wstaje i wychodzi z sali. Za nim podążył SACEUR, admirał Max Howard. Wreszcie zdrowy rozsądek przeważał, pomyślał McKinlay.

– Szkoda, że nie zrobili tego tydzień temu, sir – powiedział generał major Skip Williams, przypominający z twarzy jastrzębia Amerykanin, zastępca szefa sztabu operacyjnego.

– Tak jest, Skip. I bez tej tragedii, która kosztowała życie tylu amerykańskich, brytyjskich i niemieckich żołnierzy – zauważył McKinlay, przechodząc na akcent z Falkirk. Jako marynarz głęboko współczuł tym, którzy zginęli w ataku na port w Rydze.

Wstał i skrzywił się lekko, gdy kikut nogi oparł się na protezie. Kiedy był zmęczony, tak jak teraz, bóle fantomowe wydawały się bardziej dokuczliwe. Ale nie było czasu, żeby uzalać się nad sobą.

– Jest już za późno, żeby pomóc krajom bałtyckim, i Bóg jeden wie, czy zdołamy wyprzeć stamtąd Rosjan. Ale chociaż nie zdołali sparaliżować NATO, jak bez wątpienia próbowali to zrobić za naszymi plecami. Przedobrzyli. Prosta sprawa. Gdyby poprzestali na atakowaniu miejscowych sił zbrojnych, nasi dyżurni sabotażyści mieliby idealną wymówkę, żeby trzymać się z dala. Ale teraz nawet Niemcy się wkurzyli, a to coś mówi. Domyślam się, że rosyjski prezydent dobrał się już w Moskwie temu i owemu do dupy – dodał z ponurym uśmiechem.

– Zespół gotowości wojsk czeka już w pańskim gabinecie, sir – powiedział pułkownik Jamie Swinton, pojawiając się obok biurka z urządzeniami łączności. – A Lorna zaparzyła panu herbatę.

Krótko później McKinlay, już z kubkiem w dłoni, stanął przed swoim zespołem, kierowanym przez pułkownika Fritza Hansena, byłego dowódcę batalionu pancernego Bundeswehry. Wielonarodowy zespół, w którym byli Norwegowie, Amerykanie, Włosi i Brytyjczycy, odpowiadał za opracowanie grafika militarnego zaangażowania poszczególnych krajów w planowane przez NATO operacje.

Lepszej bandy nie mógłbym sobie wymarzyć, pomyślał McKinlay. Ale NATO mogło być tylko tak dobre, jak dokładający się do jego funkcjonowania ludzie, i polityczna retoryka często nie pasowała do militarnych realiów.

– To wygląda naprawdę źle, sir – powiedział Hansen, przechodząc od razu do rzeczy. – Męczymy się z kompletowaniem składu Szpicy. Czołowy batalion grupy nie jest i jeszcze długo nie będzie gotowy do działania. W sumie nic dziwnego, skoro składa się z pododdziałów z trzech różnych krajów. I te jednostki nigdy wcześniej razem nie ćwiczyły. A jeszcze Brytyjczycy mówią mi, że większość rezerw, które mieli wykorzystać, nie jest gotowa do użycia.

Spojrzał na McKinlaya i wzruszył ramionami. Nie cierpiał takich sytuacji. Krytykowanie poczynań innych krajów nie było w nadwrażliwym na sprawy narodowościowe NATO mile widziane ani pożądane. Na dodatek wypowiadał się niepochlebnie o ojczyźnie swojego szefa, nawet jeśli McKinlay był dowódcą bardziej natowskim niż brytyjskim. Niemniej Hansen był uczciwym człowiekiem, który zwykł mówić to, co rzeczywiście trzeba było powiedzieć, i McKinlay go za to szanował.

Na dodatek miał rację. Czy to była pierdolona majówka? NATO dopieszczało Szpicę i chwaliło się nią przy każdej okazji od walijskiego szczytu we wrześniu 2014 roku, a teraz okazywało się, że zapowiedziana z wielkimi fanfarami inicjatywa była raczej politycznym teatrykiem niż liczącą się siłą bojową. I wyglądało na to, że obecna mobilizacja wysypie się na pierwszej przeszkodzie, bo chociaż zgodnie z artykułem piątym Rada Północnoatlantycka przekazała dowodzenie i organizację

dalszych działań wojskowym, SACEUR musiał pogodzić się z tym, że wyznaczone siły nie będą gotowe jeszcze przez co najmniej dwadzieścia osiem dni. Co więcej, Wielka Brytania była od 2010 roku do tego stopnia uzależniona od rezerwistów, że jednostki liniowe, a przede wszystkim logistyka i struktury dowodzenia, po prostu nie były zdolne do szybkiego osiągnięcia jakiejkolwiek gotowości.

– Jakoś nie jestem zaskoczony, Fritz – odparł McKinlay, dając do zrozumienia, że nie poczuł się urażony. – Wiem z własnego doświadczenia, że ściągnięcie i wdrożenie rezerwistów zajmuje całe tygodnie, o ile nie miesiące. Nie wspominając nawet o wyszkoleniu ich w stopniu pozwalającym na współdziałanie z regularnymi jednostkami. Tyle że tym razem nie mamy tyle czasu. Nie będę więc już nawet ruszał tematu naszej niezdolności do ściągnięcia na czas chociaż połowy rezerwistów. Niemniej może po prostu pominiesz na razie to, co zawodzi, i zobaczysz, jak daleko jesteśmy z przygotowaniem Sił Odpowiedzi? Cztery dni temu skróciliśmy im czas osiągnięcia gotowości. Coś powinno już być gotowe. Na przykład te czterdzieści tysięcy żołnierzy, które jesteśmy zdolni rzucić „w każde miejsce na świecie!”, jak stwierdził Sojusz – dodał ironicznym tonem. Wszyscy obecni wiedzieli, że 40 tysięcy żołnierzy w stanie gotowości to była czysta fantazja.

Hansen nawet się uśmiechnął.

– Najpierw dobre wiadomości. Morski komponent natowskich Sił Odpowiedzi, czyli NRF, to pięć fregat i niszczycieli, po jednym okręcie z Portugalii, Kanady, Norwegii oraz dwa z Francji. Obecnie przeprowadzają ćwiczenia we wschodniej części Morza Śródziemnego. Przejście na Bałtyk zajmie im osiem dni. Trochę już się zgrali i są nie najgorsi. Tom też usłyszał coś dobrego – powiedział, spoglądając na komandora porucznika Royal Navy, który należał do jego zespołu.

– To prawda, sir – przyznał Tom Black, do niedawna kapitan fregaty typu 23, obecnie główny rozgrywający w zespole Hansena. – Wielka Brytania skierowała na Bałtyk grupę desantową z naszym nowym lotniskowcem *Queen Elizabeth*. Powinna dotrzeć na miejsce w środę, co oznacza, że w krótkim czasie będzie mogła zacząć współdziałać z naszym zespołem. O ile tylko Royal Navy będzie gotowa poczekać, oczywiście.

– A dlaczego mieliby czekać? – spytał podpułkownik tureckich Sił Powietrznych, który dołączył niedawno do zespołu po turze operacyjnej pod syryjską granicą. Władął świetnym angielskim, w odróżnieniu od greckiego kolegi, który nie chciał zaakceptować tego, że Turek został członkiem grupy. Obaj pochodzący ze zwaśnionych krajów oficerowie celowali we wbijaniu sobie szpil, co było całkiem często spotykane w NATO.

– Dobre pytanie, Erol. Tom, wyjaśnij to, proszę.

– Proste. Dowodzenie i kontrola. Zacząć trzeba od tego, że NRF jest dowodzona przez francuskiego admirała, który jest akurat starszy od brytyjskiego admirała na

pokładzie *Queen Elizabeth*. To oznacza, że zaraz pojawi się pytanie, kto powinien dowodzić, gdy grupy się połączą. Niewiele będzie trzeba, żeby Brytyjczycy poczuli się urażeni. Albo i Francuzi, bo czemu nie.

Black wzruszył ramionami i reszta przytaknęła ze zrozumieniem. Każdy, kto spędził trochę czasu w strukturach NATO, wiedział dobrze, że przedstawiciele pewnych narodowości byli wyczuleni na punkcie doceniania ich dowódców, co prowadziło niekiedy do przedziwnych kompromisów, które pod względem operacyjnym nie miały żadnego uzasadnienia.

– Jednak największy problem dotyczy samej struktury dowodzenia i kontroli w ramach sił NATO obecnych w rejonie Bałtyku, tak zwanego STRIKFORNATO, czyli Sprzymierzonych Sił Uderzeniowych Marynarki Wojennej NATO. *Queen Elizabeth* może nie mieć własnych myśliwców, samolotów patrolowych czy wystarczającej eskorty i zintegrowanego systemu osłony, ale to wszystko jest dostępne na Bałtyku, i to w sporej obfitości. Są samoloty z Niemiec, Polski i Danii, nie wspominając o naszych partnerach, czyli Szwecji i Finlandii. To samo dotyczy maszyn patrolowych i jednostek eskorty. Na Bałtyku działa w tej chwili mnóstwo jednostek NATO. Dopóki jednak sam lotniskowiec albo kwatera główna NATO nie zadbają o zgranie ich w realnym czasie, niewiele z tej obecności przyjdzie.

Teraz z kolei grecki podpułkownik wyglądał na zdezorientowanego, chociaż trudno było orzec, czy był to wynik jego braków w języku angielskim czy w taktyce morskiej. McKinlay nie unosił się jednak. Pamiętając o nagłej zmianie frontu Grecji w sprawie głosowania, uruchomił dodatkowe pokłady cierpliwości. Dla liniowego oficera nie było to łatwe, ale w dowództwie NATO umiejętność takiego dyplomatycznego kontredansa okazywała się często wręcz niezbędna.

– Rzecz w tym, że tylko naczelne dowództwo może sprawnie zbierać informacje i kontrolować działania – zaczął, uprzedziwszy Blacka uniesieniem dłoni, że sam zajmie się wyjaśnieniami. – Zatem jeśli na przykład niemiecki albo duński samolot patrolowy wykryje w rejonie zanurzony rosyjski okręt podwodny, to zamelduje o nim swojemu międzynarodowemu dowództwu. Ta informacja powinna zostać następnie przekazana na *Queen Elizabeth* i inne jednostki zespołu NATO, ale ile to zajmie? – spytał, wzruszając ramionami. – Godzinę? Cały dzień? Lotniskowiec potrzebuje tej wiadomości natychmiast, jeśli ma przeciwdziałać zagrożeniu. Gdy natomiast któryś z okrętów eskorty *Queen Elizabeth* dostrzeże w rejonie rosyjski okręt podwodny, powinien naprowadzić na niego samoloty albo dodatkowe jednostki osłony, żeby odstraszyć albo zatopić intruza. Jeśli meldunek o nim będzie potrzebował wielu godzin na przejście przez różne dowództwa, na skuteczne działanie będzie już za późno. Niewiele przyjdzie z najlepszych nawet bomb głębinowych i rakiet, jeśli zostaną użyte w niewłaściwym miejscu i czasie. Rozwiązanie jest proste: wszystkie elementy morskie muszą podlegać wspólnemu dowództwu NATO. Także grupa bojowa *Queen*

*Elizabeth.*

Greki kiwnął głową, że zrozumiał, a Turek pokręcił głową na znak, że nie rozumie, jak można nie wiedzieć tak prostych rzeczy. Trzeba będzie coś zrobić, żeby obaj poruszali głowami w jednej fazie, pomyślał McKinlay i skinął na Fritza, żeby kontynuował.

– Zła wiadomość jest taka, że lądowy komponent sił ma problemy. Jak pan wspomniał, sir, już podczas konferencji na temat globalnej gotowości wojsk w marcu mieliśmy kłopot z wypełnieniem luk.

McKinlay przytaknął. Aż za dobrze pamiętał tę upiornie męczącą konferencję.

– I wielu zapamiętało to, co pan wtedy mówił, sir – dodał Hansen. – Jasno wykazał pan, że jeśli NRF ma być liczącą się siłą, kraje członkowskie muszą skierować do grupy odpowiednio wyszkolone oddziały...

– Owszem – McKinlay przerwał podwładnemu, dostrzegając, dokąd ten zmierza. –

Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Przedstaw szczegóły. Chcę znać stan gotowości poszczególnych jednostek, skąd są i co musimy z nimi zrobić. Potem porozmawiam z szefami obrony krajów, które sprawiają największe problemy, i wprowadzę w sprawę naszego szefa, żeby widział, co będzie wykonalne.

Dwie godziny później, po wyczerpującej sesji ze swoimi ludźmi i rozmowach telefonicznych z szefami obrony Francji i Hiszpanii, McKinlay siedział w wytwornym gabinecie naczelnego dowódcy sił NATO. Obaj odruchowo zerkali co chwila na ekran wyciszzonego płaskiego telewizora, umieszczonego między regałami pełnymi książek. CNN pokazywało rosyjskich żołnierzy ustawiających blokady drogowe w miastach państw bałtyckich.

McKinlay od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Najpierw złe wieści, SACEUR. Lądowy składnik NRF zawiódł na całej linii. Nie będziemy mieli czterdziestu tysięcy w gotowości z pięcioma tysiącami brygady Szpicy. O tym możemy sobie co najwyżej pomarzyć – dodał z przejawiającym się w momentach irytacji szkockim akcentem. – Nie zdołamy zgromadzić nawet samej Szpicy, chociaż w tym przypadku to nie stan gotowości jest problemem. Te jednostki przemieszczają się już na wyznaczone pozycje.

– Chyba nie nadążam, Dave.

– Chodzi o nieprzewidziane konsekwencje zamknięcia wewnętrznych granic Europy w reakcji na kryzys z imigrantami – wyjaśnił McKinlay. – Szpica trafia na wszelkie możliwe problemy związane z przesyłaniem zaopatrzenia i amunicji między poszczególnymi krajami. Żeby to jakoś zilustrować... Słyszałem, że uzyskanie zgody na przesłanie amunicji z Niemiec do Polski wymagało piętnastu dni zabiegów dyplomatycznych. Zmiany zostały wprowadzone po ataku w Paryżu i chodziło o to, żeby uniemożliwić dżihadystom swobodne poruszanie się po Europie. Poza tym właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że jednostki z Chorwacji i Albanii utknęły na



granicy węgierskiej. Tamtejsza straż graniczna nie pozwala im przejechać, powołując się na przepisy regulujące ruch uchodźców.

SACEUR pokiwał głową, ale wyraźnie był rozgniewany. Wynikłe po zmianach politycznych na Bliskim Wschodzie załamanie się współpracy Unii Europejskiej i NATO było jedną z tych rzeczy, które już od dawna go irytowały.

– Owszem, rozmawiałem z Frontexem, unijną agencją odpowiedzialną za koordynację polityki granicznej, ale to była niemal strata czasu. Na dodatek Turcja sprzeciwia się bliskiej współpracy z Unią, ponieważ Cypr został do niej przyjęty bez rozwiązania kwestii okupowanego przez Turcję Cypru Północnego. Podsumowując, jeśli coś uda nam się zdziałać, nie nastąpi to szybko, a paru spraw w ogóle nie zdołamy przeprowadzić. Rosjanie mogli nam bardzo pomóc swoimi atakami na sojusznicze jednostki na Łotwie w uzyskaniu zgody co do artykułu piątego, ale nie ma co się łudzić, decyzja to jedno, a wysłanie jednostek do walki z Rosjanami to drugie.

Admirał Max Howard potarł w zamyśleniu podbródek.

– Po tym, co powiedziałaś, nie jestem pewien, czy w ogóle chcę mieć te oddziały...

McKinlay przytaknął energicznie.

– Dokładnie. Brygada złożona z pododdziałów pochodzących z czternastu krajów, która nigdy ćwiczyła w takim składzie i nie miała szansy się zgrać, to nie jest siła, którą można posłać do walki.

– Okej, Dave, przyjrzymy się zatem jasnej stronie – powiedział SACEUR. – Nie wiem zresztą, czy w ogóle będziemy sięgać w tym przypadku po siły lądowe. Jak wspomniałaś, jest już zbyt późno, żeby uratować państwa bałtyckie. Tę rundę wygrali. Na razie mamy zademonstrować naszą gotowość do zapobieżenia dalszym aktom agresji. Żeby powstrzymać ich na przykład przed atakiem na Polskę. Wszystko, czym w tej chwili dysponujemy, to siły morskie, a dodatkowo musimy pamiętać, że nawet po przegłosowaniu sprawy w NATO niektóre kraje będą musiały jeszcze ratyfikować tę decyzję w głosowaniu parlamentarnym. – Howard wyraźnie miał na myśli zależność brytyjskiego premiera od Izby Gmin. Należało też oczekiwać, że Bundestag i Trybunał Konstytucyjny w Niemczech będą chciały wypowiedzieć się w tej sprawie.

SACEUR zerknął przez okno. Jego sytuacja jako głównodowodzącego NATO nie była łatwa, ale coś wyraźnie przyszło mu do głowy. Gdy podjął decyzję, spojrzął na podwładnego.

– Wiesz, Dave, zastanawiam się, kim właściwie jest mój przeciwnik. Prezydent Rosji, który siedzi na Kremlu w otoczeniu małej klikki doradców i paranoicznie obawia się ataku NATO. Uważa chyba, że może kontrolować dynamikę procesu, który zapoczątkował. Wierzy, że teraz, gdy zagarnął państwa bałtyckie, zdoła je bez trudu utrzymać. Że przyczai się tam, i już. Otoczenie pewnie tylko go w tym przekonaniu utwierdza. Podobnie jak w głębokiej wierze, że rozlokowane w obwodzie kaliningradzkim rakiety S400 i uzbrojone w głowice atomowe iskandery skutecznie

powstrzymają nas przed próbą odbicia państw bałtyckich.

– Przyczaić się może, to byłoby akurat sensowne postępowanie – odparł McKinlay.  
– Tyle że podobnie jak Hitler może szybko dojść do wniosku, że skoro tak łatwo mu poszło, może sięgnąć po coś więcej.

– Dobra analogia, Dave. Hitler początkowo nie miał zamiaru okupować Francji. Nie planował też inwazji na Wyspy Brytyjskie, ale gdy zaczął już wojnę i poszło mu o wiele łatwiej, niż oczekiwał, doszedł do wniosku, że lepiej będzie całkowicie zmiażdżyć przeciwników i mieć z nimi spokój raz na zawsze. Gospodarz Kremla podchodzi paranoicznie nie tylko do NATO. Drugie źródło jego paranoi to świadomość, że może opuścić Kreml tylko w jednej pozycji: nogami do przodu. Albo umrze tam ze starości, albo na skutek zatrucia ołowiem, czyli od strzału w potylicę. Pierwszy wariant może ziścić się tylko wówczas, jeśli zdoła utrzymać się u szczytu władzy, a to oznacza, że musi cały czas biec przed siebie. I skoro poszło mu łatwo z państwami bałtyckimi, to co powstrzyma go przed marszem na Warszawę? Albo nawet na Berlin? Popełnia znany od wieków błąd, wierząc, że wojna podporządkowuje się prostej logice i że można kontrolować jej przebieg. Tego jednak nikt nie potrafi. Gdy ktoś otworzy już puszkę Pandory, wszystko może się zdarzyć. Powinien poczytać trochę Clausewitza.

McKinlay pamiętał artykuł dowódcy na temat Carla von Clausewitza, napisany jeszcze w Camberley.

– „Wojna nie ma określonej logiki, ale ma własną gramatykę” – zacytował pruskiego filozofa wojny. – Zapomina też, że strategia ma szczególny ludzki wymiar.

– I to jest nasza szansa, Dave – odparł Howard. – Jego żądza dominacji. To, co Rosjanie nazywają „dierzawą”. On nie bierze pod uwagę realiów wojny, tego, że jej tok może się niespodziewanie zmienić, uniemożliwiając osiągnięcie wcześniejszych celów i zmuszając go do wytyczenia nowych. Uważa, że może całkowicie zamknąć przed nami państwa bałtyckie. Nie zastanowił się jednak nad drugorzędnymi, a nawet i trzeciorzędnymi implikacjami takiego podejścia. Chociażby i tym, że mieszkańcy państw bałtyckich nie będą zadowoleni. Przypuszczam, że nawet większość rosyjskiej mniejszości przyjmie to ze wściekłością i przyłączy się do opozycji. Mogła nie podobać im się polityka wewnętrzna tych państw, mogła ich dławić, ale w tym właśnie rzecz. Założę się, że w tym nowym porządku wielu z nich rychło stwierdzi, że woli już niedoskonałą zachodnią demokrację niż życie pod butem rosyjskiego prezydenta. Popatrz, ilu rosyjskojęzycznych Ukraińców zdecydowało się walczyć z rosyjskimi najeźdźcami.

Admirał Howard zachowywał się w tej chwili jak profesor akademicki, podkreślający swoje tezy mimiką i gestykulacją.

– To będzie nasza szansa. Poszukamy sposobu, żeby otworzyć te drzwi, zamiast je wywierać. I powiem ci, że coraz bardziej skłaniam się ku rozważeniu ataku gdzie

indziej, nie na państwa bałtyckie. Na przykład na Kaliningrad. Tego nie będzie się spodziewał, my zaś zadbamy o to, żeby jego własna pycha przywiodła go do zguby.

McKinlay pokiwał głową. Też był zwolennikiem podjęcia akcji ofensywnych, a Kaliningrad, stare pruskie miasto portowe, dawny Królewiec, położone w małym obwodzie między Litwą a Polską, był kuszącym celem. Zwłaszcza jeśli Rosjanie zamierzali okopać się w państwach bałtyckich. W takim wypadku Kaliningrad mógł mieć kluczowe znaczenie dla ich odzyskania.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedział McKinlay. – Pamiętam też, że podczas gier wojennych, zakładających atak Rosji na kraje bałtyckie, wyszło nam, że najlepszym sposobem przeciwdziałania będzie mocny kopniak wymierzony prosto między nogi, czyli właśnie w Kaliningrad. Utraciwszy część rosyjskiego terytorium, prezydent wyjdzie na głupca. Jeśli nam się uda, być może skłonimy go w ten sposób do opuszczenia państw bałtyckich. I tak będzie lepiej, niż zaatakować Rosję frontalnie, bo to niemal na pewno doprowadziłoby do wojny atomowej. No i w ten sposób otworzymy politykom liczne interesujące możliwości przetargowe.

Howard tylko przytaknął, a McKinlay ciągnął:

– Dobra wiadomość jest taka, że morski składnik Szpicy jest gotowy do działania. To zespół pięciu okrętów, fregat i niszczycieli, które znajdują się obecnie na Morzu Śródziemnym, więc będą potrzebowały ośmiu dni, żeby przejść na Bałtyk. Dodatkowo Brytyjczycy kierują tam grupę desantową z lotniskowcem *Queen Elizabeth*.

– Coraz bardziej mi się to podoba! – zapalił się Howard. – Coś zaczyna pasować. Jeśli tylko Brytyjczycy poczekają na przybycie zespołu NATO, będziemy tam mieli całkiem użyteczną grupę bojową. Jeszcze lepiej by było, gdyby razem poczekali na Amerykanów. USS *Theodore Roosevelt* wypłynął już z Norfolku i szóstego czerwca powinien zjawić się na redzie Kopenhagi. Szósta Flota idzie pełną prędkością z Morza Czerwonego i wpłynie na południowy Bałtyk piątego czerwca.

– Dobrze, sir – odezwał się McKinlay. – Czyli mają ruszać w drogę? Co do ataku na Kaliningrad, dobrze będzie zlecić sprawę sztabowi już teraz, nawet jeśli zebranie potrzebnych sił trochę potrwa. Porozmawiam z szefem sztabu i powiem, żeby zaczęli przygotowywać wstępny plan.

– Bierz się do roboty, Dave. Nie ma na co czekać.

Piątek 26 maja 2017 roku, godzina 4.40

Gdzieś w lasach parku narodowego Gauja, Łotwa

Morland wyprostował zdętwiałe nogi i poruszył palcami w butach, żeby przywrócić krążenie krwi. Stopy mocno już mu zmarzły. Leżał pod nieprzemakalnym ponchem w barwach kamuflażowych, w płytkim stanowisku z drugim ponchem jako podściółką, chroniącą chociaż trochę przed kontaktem z zimną i wilgotną ziemią. W dole widział drogę biegnącą do chwiejnego mostku nad rzeką Gaują. Tuż przed nim leżał łotewski uniwersalny karabin maszynowy kalibru 7,62 milimetra, czyli GPMG albo po prostu „gimpy”. Był belgijskiej produkcji, ale nie różnił się niczym od broni, którą Morland poznał jeszcze w Sandhurst. Brytyjska piechota używała go jako podstawowego uzbrojenia od blisko pięćdziesięciu lat. Był gotów do strzału, z pierwszym pociskiem z zawierającej 200 ładunków taśmy w komorze. Sama taśma amunicyjna piętrzyła się z lewej strony, starannie ułożona na ponchu.

Całkiem jak kiedyś, podczas ćwiczeń na poligonie Sennybridge w Walii, pomyślał Morland. Tyle że teraz nie pada. Jeszcze nie pada...

Normalnie miałyby obok siebie numer drugi, podający taśmę amunicyjną, która łatwo się zacinała, jeśli nie ułożyło się jej właściwie, teraz jednak był sam. Czuwał na straży, podczas gdy reszta grupy spała w bunkrze za jego plecami. Lubił brać ostatnią zmianę przed pobudką. Wstając przed resztą grupy, miał czas na chwilę refleksji i zastanawianie się, co przyniesie nowy dzień. Wkoło było jeszcze ciemno, ale las budził się już do życia. Poranny chór ptaków witał pierwszy szary blask, widoczny nad koronami pokrytych młodymi listkami drzew. Rzeczka pluskała na kamieniach i rozlewała się w spokojne zatoczki, a na drugim brzegu pojawił się nieświadomy obecności wartownika jeleni.

Niemniej choć Morland próbował, ciągle nie mógł odpędzić pojawiającego się przed oczami obrazu HMS *Padstow* znikającego w kuli ognia w ryskim porcie pięć dni wcześniej. Od tamtej pory wydarzenia nabrały szalonego tempa. Krauja nie odzywała się w drodze do Ādaži, wciąż wstrząśnięta okrucieństwem tego, co widzieli, i prawdopodobną śmiercią brata podczas walk w obronie portu lotniczego. Mimo to prowadziła uważnie, starając się dotrzeć jak najszybciej do obozu szkoleniowego łotewskich sił specjalnych. Zjawili się tam niemal w ostatniej chwili, bo Łotysze szykowali się już do wymarszu i zniknięcia w lesie. Było oczywiste, że ledwie Rosjanie rozgospczą się w Rydze, zjawią się i tutaj, w ważnym dla nich obiekcie militarnym. Należało więc szybko się wynosić.

– Reszta naszej jednostki była na granicy. Jest nas tylko dwudziestu i chętnie przyjmujemy posiłki, jeśli tylko zechcecie się do nas przyłączyć – powiedział major Jānis Krastiņš, dowódca jednostki do zadań specjalnych. – Uprzedź tylko swoich w Wielkiej Brytanii, a zaraz uzupełnimy wasz sprzęt. Powiedz, czego wam trzeba.

Ustawili sprzęt satelitarny i wywołali kwaterę główną, która zgodziła się z sugestią Morlanda, że najlepiej będzie, jeśli on i jego grupa dołączą do chłopaków od zadań specjalnych. Mieli jednak ograniczyć aktywność do obserwacji i monitorowania sytuacji i, jak zaznaczono to jednoznacznie, unikać konfrontacji z Rosjanami, aż będzie wiadomo, jaki kurs obierze NATO. Gdyby wyszło, że zabijał Rosjan albo sam dał się zabić, mogłoby to ograniczyć rządowi swobodę manewru. Gdy przypomniał szefowi zatopienie *Padstowa* i napomknął, że to chyba zmienia sytuację, usłyszał tylko, że ma się trzymać rozkazów.

Pakując zestaw satelitarny, doszedł do wniosku, że póki co nikt w Wielkiej Brytanii nie ma chyba pojęcia, jak właściwie należy zareagować na rosyjski atak. Dla niego jednak sytuacja była jasna: utknął wraz ze swoim zespołem na Łotwie, *Padstow* został zatopiony i czy komuś się to podobało, czy nie, jego kraj znalazł się w stanie wojny z Rosją. Jeśli na Wyspach nie zdołali jeszcze tego pojąć, to trudno. I tak zamierzał zejść przeciwnikowi z oczu, ale na pewno wykorzysta pierwszą nadarzącą się okazję, żeby przywalić Rosjanom. Poza tym został zobowiązany do radiowego meldowania się dwa razy w tygodniu, zawsze w umówionych porach, w celu przekazania meldunków i odebrania rozkazów.

Przygotowania nie zajęły im wiele czasu. Plecaki mieli już spakowane, z podstawowym zestawem rzeczy osobistych. Łotysze dali im rezerwowe GPMG, mające uzupełnić posiadane już SA80, oraz tyle amunicji, ile tylko zdołali unieść. Reszta została wywieziona do ukrytego głęboko w lasach bunkra.

Ich system satelitarny Inmarsat okazał się zbyt ciężki i nieporęczny do szybkiego marszu, Łotysze wyposażyli ich więc w zapasowy wielopasmowy Harris Falcon III AN/PRC-117G (V)I(C). Dzięki niemu mogli nie tylko nadal łączyć się ze swoim dowództwem w Wielkiej Brytanii, ale także utrzymywać łączność z oddziałami gospodarzy. Bradley spędził pół godziny na poznawaniu jego możliwości, sprawdził go w działaniu i stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jedno tylko go martwiło.

– Jak będzie z akumulatorami, sir? Będziemy mieli skąd wziąć nowe?

– Spokojnie, wszystko przygotowaliśmy – zapewnił go major Krastiņš. – Będziemy korzystać ze starego bunkra leśnych braci. Znajduje się głęboko w lesie i zgromadziliśmy tam sporo akumulatorów, amunicji, racji żywnościowych, w ogóle wszystkiego, co może nam się przydać przy dłuższym pobycie w lesie.

Morland słyszał już o leśnych braciach podczas wcześniejszego szkolenia. Tak nazywano tysiące partyzantów, którzy kryli się w rozległych lasach Łotwy, prowadząc

walkę podjazdową przeciwko radzieckim okupantom w późnych latach czterdziestych. Byli aktywni aż do lat pięćdziesiątych, ale ostatni z nich, w co aż trudno było uwierzyć, ujawnił się w 1995 roku, cztery lata po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości. Morland był tym szczerze zdumiony, ponieważ dotąd sądził, że to Japończycy mieli monopol na fanatyczną walkę i żołnierzy, którzy nie przyjmowali porażki do wiadomości. Niemniej już krótki czas szkolenia wraz z łotewskimi towarzyszami broni skłonił go do przemyślenia tej kwestii i jedno wiedział teraz na pewno: nie chciałby mieć tych ludzi za wrogów.

Krauja wyszła tymczasem na zewnątrz, żeby zadzwonić z komórki do swojego biura i wyjaśnić, co się stało. Wróciła wyraźnie przybita.

– Dostałam zgodę, żeby z tobą zostać, ale... w Rydze jest bardzo źle. Rosjanie zajęli wszystkie ważne gmachy i ustawili blokady na wszystkich ważnych skrzyżowaniach. Ogłosili godzinę policyjną od osiemnastej i zapowiedzieli, że będą strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto pojawi się na ulicy po tej porze. Po kolei aresztują wszystkich ministrów i znaczące postaci polityczne. Zgarnęli też mojego szefa, Jurisa Bērziņa.

– Niedobrze – odparł trochę niezręcznie Morland. – To dobry człowiek. – Taktownie odczekał chwilę i spytał o generała Balderisa, który wywarł na nim dobre wrażenie.

– Słyszałam tylko, że w budynku dowództwa doszło do walki. I chyba nikt stamtąd nie wyszedł żywy. W razie stawiania oporu Rosjanie nie biorą jeńców. Wcześniej powiedział mi, że nie ma ochoty skończyć na Syberii, i chyba dotrzymał słowa... – Krauja przerwała i zaczerpnęła głęboko powietrza, starając się opanować emocje. – Teraz daj mi karabin. Trenowałam biegi narciarskie i biathlon. Polowałam z ojcem na niedźwiedzie i jelenie. Umiem strzelać.

Wkrótce byli gotowi i zespół wyruszył z Ādaži w samochodach cywilnych, pojedynczo lub w parach, żeby uniknąć przyciągania zbędnej uwagi. Niedługo potem skręcili z głównej drogi w Siguldzie, miejscowości z ciekawym białym kościołem ze spadzistym dachem i licznymi domami z drewna. Stąd ruszyli przez las do Līgatne, gdzie znajdował się skryty głęboko między drzewami były radziecki bunkier dowodzenia. Tam zostawili samochody i zamaskowali je w taki sposób, że nie było można dojrzeć ich z powietrza. Na ziemi trzeba byłoby dosłownie wejść na któryś, żeby go zauważyć. Od tego miejsca ruszyli pieszo przez las, prowadzeni przez żołnierza, który znał okolicę jak własną kieszeń. Ostatecznie po kilku godzinach wyczerpującego marszu zatrzymali się na polanie w głębi najgęstszego lasu niedaleko rzeki Gauī. Przed sobą mieli zamaskowane wejście do bunkra.

– Witaj w nowym domu, Tom – powiedział radośnie Krastiņš. – To jedna z kryjówek leśnych braci. Rosjanie nigdy jej nie znaleźli i nawet miejscowi o niej nie wiedzą.

Morland zdjął plecak i pociągnął łyk wody ze swojej butelki.

– Jak się czujesz, Marino? Stopy w porządku?

Krauja spojrzął na niego.

– Nic mi nie jest, Tom, dzięki. Poczekaj, a jeszcze zamęcę cię w tych marszach.

Krastiņš usłyszał tę wymianę zdań i zaraz się roześmiał. – Zrobi to, sam się przekonasz. Podobnie jak cały mój zespół. Podczas szkolenia mieli dawać wam fory.

Morland rozejrzył się wkoło. Wszyscy Łotysze uśmiechali się do niego.

Też się uśmiechnął. To był dobry początek. Skoro żartowali, to najpewniej zamierzali zaakceptować ich w swoim oddziale.

Kolejne kilka dni przeleciały bardzo szybko. Życie w dobrze zaopatrzonym bunkrze nabrało rutyny. Aby uniknąć zdradzenia pozycji, ograniczyli seanse łączności do przekazywania wcześniej przygotowanych danych, nigdy dwa razy z tego samego miejsca i zawsze odchodząc jak najdalej od bunkra. Słuchali łotewskiego radia i oglądali LVRTC, czyli państwową telewizję, żeby mieć jakiś obraz okupacji. Wystawiali regularnie strażę wkoło bunkra i wysyłali dalekie patrole dla sprawdzenia, czy nie ma nigdzie żadnych śladów rosyjskiej aktywności. Nocą warty czuwały na ścieżkach podejścia do ich kryjówek. Wszyscy kolejno zmieniali się na posterunkach.

Morland spojrzął na zegarek. Jego poranna zmiana dobiegała końca. Wypełzył spod poncha i wrócił z bronią do bunkra.

W środku było ciepło, sucho i wygodnie. Schronienie przypominało mu norę Borsuka z książki *O czym szumią wierzby*. Po zejściu kilka stopni w dół trafiało się do obszernego pomieszczenia, z jedną ścianą zajęta przez dużą mapę Łotwy, ze stołem z urządzeniami łączności i dwupalnikową kuchenką turystyczną. Niskie drzwi prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie znajdowały się prycze. Nieustannie powarkując, generator dostarczał prąd dla klimatyzacji, radia i akumulatorów. Za sypialnią było małe pomieszczenie z chemiczną toaletą i metalową umywalką.

Dwadzieścia jardów dalej znajdował się jeszcze jeden schron, tym razem magazynowy. Jedno pomieszczenie wypełniały regały z dobowymi porcjami żywnościowymi łotewskiej armii, amunicją, minami typu claymore i ładunkami wybuchowymi. Drugie, większe, kryło wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych typu Stinger, stare wyrzutnie przeciwpancerne Carl Gustav z nadal bardzo skuteczną amunicją HEAT oraz sześć motocykli terenowych z zapasem paliwa i części zamiennych.

Komfortowa placówka, ale wojny dzięki niej nie wygramy, pomyślał Morland. Musimy pomyśleć, jak zaleźć Rosjanom za skórę. Nie zamierzam wczasować tu wiecznie i bawić się w Jasia i Małgosię.

Sierżant Danny Wild podał mu kubek herbaty. Morland upił łyk. Była mocna i słodka, w łotewskim stylu, z miodem.

– Dzięki, sierżancie. Tego mi właśnie było trzeba. Nad ranem było dość zimno.

– Brad odebrał właśnie skompresowany sygnał z kwatery głównej – powiedział

cicho Wild. – Zwiad radioelektroniczny przechwycił rozmowę między rosyjskimi wojskami. Wynika z niej, że niebawem zjawi się w Rydze jakiś rosyjski generał w towarzystwie niepodanego z nazwiska, ale nadzwyczaj wysokiego VIP-a. Przylecą śmigłowcem. Za jakieś dwa dni. Kwatera chce dłużej o tym porozmawiać.

– Przekażmy to im – odparł Morland i poszedł do Krastiņša i Kraui, którzy z ożywieniem rozmawiali o czymś po łotewsku.

Krauja spojrziała na Morlanda.

– Rosjanie ogłosili właśnie przez radio, że każdy partyzant kryjący się w lesie zostanie potraktowany jak zdrajca i zastrzelony. Nieważne, czy będzie nosił mundur, czy nie. Zapowiedzieli, że przeczeszą lasy i zlikwidują całą partyzantkę.

– Żadne zaskoczenie – powiedział Morland i wyjaśnił, co odebrał właśnie Bradley. Dodał, że musi odbyć dłuższą rozmowę ze swoim dowództwem. – Będziemy musieli odejść na co najmniej dwadzieścia kilometrów, bo inaczej namierzą nas, ledwie zaczniemy rozmawiać. Potem pewnie zaatakują to miejsce z powietrza, może nawet zrzucą kompanię spadochroniarzy. Zajmie im to trzydzieści do czterdziestu minut. Tyle że rozmowa będzie zaszyfrowana, więc nie dowiedzą się, o czym mogliśmy rozmawiać.

– To może być okazja, której szukamy – powiedziała Krauja. – Uderzyć na nich mocno w chwili, gdy nie będą się tego spodziewać – dodała stanowczo.

– Możemy wykorzystać twoją rozmowę do zastawienia pułapki – stwierdził Krastiņš. – Mamy stingery i aż mnie świerzbi, żeby ich użyć.

– Kto wie, może uda się nawet zapolować na tego VIP-a – mruknęła Krauja.

– Idealna przynęta – powiedział Morland.

Wiedział o tym wszystko ze szkoleń oraz opowieści weteranów z Iraku i Afganistanu, którzy opisywali, w jaki sposób przeciwnik starał się zwabić ich w pułapkę. Na przykład pozorował jakiś incydent, który miał stworzyć okazję do ataku. Skoro zaś Rosjanie wprost zapowiedzieli, że będą traktować ich jak terrorystów, powinni zacząć myśleć jak terroryści, o ile zamierzali przeżyć. Krastiņš miał rację, że po wykryciu transmisji Rosjanie będą chcieli sprawdzić teren, a to da się zrobić tylko z powietrza.

– Dobrze, Jānis, mamy plan. Połączenie należy nawiązać za sześć godzin, musimy więc ruszać. Gdzie proponujesz się zasadzić?

– Gdzieś blisko Līgatne, tego starego bunkra dowodzenia, gdzie zostawiliśmy samochody. To podkreśli Rosjan. Nikt nie zna leśnych ścieżek lepiej niż my. Pojedziecie na tylnych siodełkach. Ruszajmy.

Po krótkiej, ale szalonej jeździe leśnymi ścieżkami zespołem sześciu motocykli armii łotewskiej Morland, Krauja i cały zespół wraz z dwoma stingerami znaleźli się pięć kilometrów od podziemnego kompleksu dowodzenia w Līgatne. Gdy teren został już obstawiony, Bradley nawiązał połączenie.



Morland nasunął słuchawki na głowę, poprawił mikrofon na krtani i nagle coś sobie przypomniał.

– Brad, jaki jest mój kryptonim? – spytał Nowozelandczyka.

– Penda One, szefie.

– Co za Penda, u diabła? – zdumiał się Morland.

– Spokojnie, szefie. Powinieneś wiedzieć. To król Mercji z siódmego wieku. Prawdziwy pogański skurwiel – dodał z uśmiechem Bradley.

Morland nie miał czasu na odpowiedź, bo właśnie usłyszał w słuchawkach głos podpułkownika Nicholasa Grahama, szefa zespołów na państwa bałtyckie. Regularne popiskiwanie w tle informowało, że rozmowa jest szyfrowana.

– Penda One, tutaj Zero, słyszysz mnie? Odbiór.

– Penda One, wysłałam, odbiór.

Nie marnując ani chwili, Morland przekazał najświeższy meldunek, po czym nadstawił ucha.

– Informacja najwyższej wagi – powiedział Graham. – Obok mnie siedzi Allenby z komunikacji. Powiedziała, że przechwycili rozmowę między Kremlem a stacją Russia Today. W Rydze ma się pojawić wyższy rosyjski generał w towarzystwie superważnego VIP-a, tożsamość na razie nieznana. Zdarzy się to w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Russia Today ma to transmitować na żywo. Numer Dziesiąty liczy na jakiś widowiskowy atak w odwecie za zatopienie *Padstowa*. Odbiór.

– Penda One, zrozumiałem.

W pierwszej chwili Morland poczuł się mocno skonsternowany tym, czego odeń oczekiwano. Niemniej przy Allenby i zapewne innych słuchających tej rozmowy nie chciał okazywać wahania. Potem odsunął myśl o niej na bok i skupił się na zadaniu.

– Mam tu układ z leśnymi braćmi. Chcemy wykorzystać tę transmisję do ściągnięcia w okolice rosyjskich celów powietrznych. Zaatakujemy je z ukrycia.

– Rozumiem – odezwał się Graham. – Ale potem musicie jak najszybciej się stamtąd ruszyć. Ten generał i VIP to teraz wasze priorytetowe cele. Taka akcja transmitowana na żywo w telewizji to będzie mocny sygnał dla Rosjan i równocześnie znak dla wszystkich w państwach bałtyckich, że nie zapomnieliśmy o nich. Od teraz to wasze jedyne zadanie, odbiór.

– Penda One, zrozumiałem – odparł Morland. – Potrzebujemy jednak więcej informacji. I to szybko, jeśli mamy w tak krótkim czasie przygotować atak. Jesteśmy co najmniej kilka godzin drogi od Rygi, i to przy założeniu, że nic nas nie zatrzyma. Sama Ryga nie jest obecnie bezpiecznym miejscem, masa kontroli drogowych.

– Poczekaj.

Jakieś trzy minuty później Graham znów się odezwał.

– Przechwycony materiał sugeruje, że VIP razem z ekipą telewizyjną odwiedzi linię frontu. To może być dobra okazja, jeśli zjawi się w waszej okolicy.

– Penda One, zrozumiałem Przekażcie, że potrzebujemy dokładniejszych informacji, jeśli mamy zareagować na czas. Odbiór.

– Rozumiem. Poinformujemy sygnałem o czasie następnej rozmowy. Póki co będziemy zbierać informacje. Odbiór.

– Penda One, przyjąłem, koniec.

I to było tyle. Wszystko ucichło.

Szybko spakowali sprzęt, wsiedli na motocykle i odjechali do umówionego miejsca spotkania pięć kilometrów dalej. Tymczasem kilometr od miejsca zasadzki dwa inne zespoły zsiadły z motocykli. Krastiņš stwierdził, że jeśli Rosjanie zaatakują miejsce, skąd odbyła się transmisja, zapewne będą korzystać z dróg dojazdowych do bunkra jako naziemnych znaków nawigacyjnych. Dlatego też oba dwuosobowe zespoły ze stingerami ustawiły się po bokach potencjalnej trasy lotu rosyjskich śmigłowców. Reszta, zgodnie z rozkazem, odjechała. Nie było co ryzykować ich śmierci albo pojmania, gdyby coś poszło nie tak.

Morland długo dziwił się potem, jak szybka była reakcja Rosjan. Po trzydziestu pięciu minutach usłyszeli odgłos silników, a potem odgłosy eksplozji, co wskazywało na to, że Mi-24 otworzyły ogień z rakiet, powalając drzewa, a działka zalewały strumieniami ognia miejsce, które miało być kryjówką leśnych braci.

Morland spojrział na Krauję.

– Cóż, ta część planu najwyraźniej zadziałała.

Kilka chwil później nastąpiła cisza, jakby śmigłowcom skończyła się amunicja albo chciały podlecieć bliżej i ocenić rozmiar zniszczeń. Następnie coś strzeliło ostro i na niebie pokazała się w dali smuga dymu rakiety przeciwlotniczej, która zanurkowała za linię drzew i najwyraźniej trafiła w cel, bo zaraz potem ujrzeli w tym miejscu kulę ognia. Kilka sekund później do ich uszu dobiegł głuchy huk. I znowu zapadła cisza.

– Teraz Rosjanie naprawdę się wściekną. Zaraz zaroi się tu od ich wojska. Pora zniknąć.

Zespół raketowy pojawił się nawet szybko, a parę godzin później, znowu po szalonej jeździe przez las, tyle że tym razem inną i znacznie dłuższą trasą, na wypadek gdyby próbowano jednak ich śledzić, byli z powrotem w swoim bunkrze. Gdy weszli, Krastiņš przywitał ich radośnie.

– Misja wykonana. Dobra robota. Zestrzelenie Mi-24 przez stingera obudzi w nich niemiłe wspomnienia ze spotkań z mudżahedinami w Afganistanie. Rzeczywiście zjawili się bardzo szybko i dali tam czadu. – Zamilkł na chwilę i posmutniał. – Zła wiadomość jest taka, że oddział Gwardii Narodowej, który ukrywał się w pobliżu, podszedł zwabiony strzałami i natrafił na Rosjan, którzy myślą teraz, że to była ich sprawka, więc pewnie zostawią nas w spokoju. Niemniej... biedacy.

W bunkrze zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że kiedy Rosjanie biorą się do zemsty, robią to z okrutną pasją.

Ktoś zakaszłał. Morland obrócił się i zobaczył Bradleya, który niezauważony wszedł do środka. Jak na takiego olbrzyma poruszał się naprawdę cicho.

– Szefie, odebrałem właśnie nowe dane z dowództwa.

Takie nieformalne zwracanie się do przełożonego zwykle ganiono w pułku mercyjskim, ale tutaj, w lesie, nie wydawało się to ważne. Niemniej zszokowany właśnie tym, co mu powiedziano, Morland nie miał ochoty na wymianę uprzejmości.

– I co?

– Otóż dowódca Zachodniego Okręgu Wojskowego pojawi się w towarzystwie niezidentyfikowanego VIP-a, być może nawet prezydenta, w Līgatne, miejscu ostatniej akcji przeciwko łotewskim wicherzycielom. Ekipa telewizyjna przybędzie dwudziestego siódmego maja o dziewiętej trzydzieści, a VIP o dziesiątej.

– Mamy go! – powiedziała Krauja, zaciskając pięści. – Prezydent Federacji Rosyjskiej przybywa, żeby pochwalić się zabójstwem kolejnej grupy Łotyszy. Jeśli to on, będą chcieli pokazać go w telewizji na pierwszej linii frontu, pewnie wymachującego karabinem. Chcą zademonstrować światu jego zwycięstwo. Pierdoleni dranie...

Nikt nie skomentował wybuchu Kraui. Gdy ponownie się odezwała, mówiła już spokojniej.

– Twoi przyjaciele dobrze się spisali, Tom. Rosyjski Sztab Generalny zakazuje żołnierzom wysyłania e-maili z obawy, że mogłyby zostać przechwycone. Wychodzi jednak, że dali się podejść własnej paranoi, ponieważ Russia Today komunikuje się wyłącznie za pośrednictwem poczty elektronicznej, wiadomości tekstowych i komórek. A wszystko to łatwo zhakować. Jakoś mi to pasuje.

– Dobra – powiedział Krastiņš. – To już jutro rano o dziewiętej trzydzieści. Musimy wziąć się do pracy. Przygotować plan, przekazać rozkazy, wszystko przeciwyczyć i jeszcze przed pierwszym świtem przeniknąć na pozycje.

Zamienił kilka zdań po łotewsku z sierżantem z sił specjalnych, a potem spojrział na Morlanda.

– Spotkamy się za pół godziny i zaczniemy układać plan. Każdy wasz pomysł się przyda. I musicie przekazywać nam wszystkie uaktualnienia, które mogą się jeszcze pojawić.

Reszta dnia upłynęła im na szalonej aktywności. Zespół Brytyjczyków razem z Kraują, Krastiņšem i operatorami stingerów miał przeniknąć do lasu i przygotować kolejną pułapkę na śmigłowce. Krastiņš uprzedzał, że celem akcji nie jest zabicie prezydenta ani dowódcy Zachodniego Okręgu Wojskowego. I żeby nikt tego nawet nie próbował, choćby go to kusiło.

– Jeśli zginie, zostanie w Rosji męczennikiem – wyjaśnił. – O wiele lepiej będzie poniżyć go przed kamerami telewizji. Zniszczymy jeszcze jeden śmigłowiec i postaramy się, żeby był wtedy blisko i żeby stało się to podczas transmisji. A jakby to

nie wyszło, wywołamy jakąś eksplozję za jego plecami, tak żeby wszystko znalazło się w kadrze. W ten sposób nie będą w stanie przyciąć obrazu. W kilka sekund to pójdzie w świat i cała Rosja zobaczy jego upokorzenie. Co więcej, udowodnimy, że to był nasz wybór, że chcieliśmy go tylko nastraszyć. To zachęci ludzi do oporu. To nie będzie dokładnie sabotaż, ale coś, co zadziała propagandowo.

Kwatera główna podzieliła ten punkt widzenia, gdy Morland przekazał im założenia planu. Otrzymał nawet wyraźny rozkaz, że ani prezydent, ani generał nie mogą być celami zamachu.

Premier i szef Sztabu Obrony bez wątpienia obawiają się rosyjskiej zemsty, pomyślał Morland. Gdyby to od niego zależało, wypaliłby do prezydenta i tego drugiego z obu luf. Krastinś jednak najpewniej miał rację. Powiadano, że prezydent był niemalże słodkim kociakiem w porównaniu z różnymi nacjonalistami uprawiającymi swoje manipulacje poza polem widzenia kamer. Jego męczeńska śmierć na oczach całego świata mogłaby otworzyć im drogę do władzy, co byłoby katastrofalne w skutkach.

Pułapka była gotowa jeszcze przed wschodem słońca. Cztery zespoły Łotyszy ze stingerami, po dwóch żołnierzy w każdym, przeniknęły z goglami na podczerwień w pobliże Ligatne. Ukrywszy motocykle, ustawili się w okręgu, żeby mieć pod ostrzałem podejścia ze wszystkich stron. Otrzymali dokładne instrukcje, żeby zostawić w spokoju wszystkie transportowe Mi-8, bo wydawało się logiczne, że ekipa telewizyjna i ważni goście przylecą właśnie tego typu śmigłowcami. Zabicie dziennikarzy, nawet przez przypadek, mogłoby się srodze zemścić. Ich celem miały być szturmowe Mi-24, które będą na pewno osłaniać teren podczas transmisji. Istniała duża szansa na to, że kamera uchwyci moment strącenia któregoś z nich, a to byłby efekt wart ryzykowania życia. Żołnierze wyznaczeni do odpalenia stingerów też chyba tak myśleli.

Morland i jego ludzie mieli chronić właściwych wykonawców zadania i osłaniać ich odwrót, gdyby byli ścigani po odpaleniu rakiet. Dlatego leżał teraz na brzuchu z gotowym do użycia karabinem SA80. Przemyślał plan kilka razy i niezmiennie wychodziło mu, że jest bardzo ryzykowny. Niemniej w wypadku powodzenia powinien dać równie spektakularny wynik. Poza tym za późno już było na nerwy. Wszystko zostało przygotowane i teraz liczyło się tylko wyszkolenie. Można było oczekiwać, że po oddaniu strzałów ocalałe śmigłowce zaraz zaczną polować na zamachowców, ale najważniejsze było to, żeby ekipa pokazała wszystko ze szczegółami. Jeśli będą tam chociaż trochę kompetentni kamerzyści, nie powinni przegapić okazji na ujęcia ich życia. Te w kilka sekund pójdą w świat. A potem pojawią się jeszcze dodatkowe filmy, robione komórkami. Przy obecnej technologii coś musiałyby pójść bardzo nie tak, żeby akcja nie została w jakiś sposób zarejestrowana.

W idealnym świecie dostaliby dwa albo trzy śmigłowce, które wywołałyby panikę wśród skupionych na ochronie VIP-ów Rosjan, po czym wymknęliby się bezpiecznie

w stronę punktu zbornego.

Morland spojrział w lewo. Ćwiczyli akcję tak długo, aż każdy zapamiętał swoją rolę i zajmowaną pozycję. Krauja leżała pięć metrów od niego, równie czujna, z pożyczonym od chłopaków łotewskim G36. Twarz miała pomalowaną w czarno-zielone pasy, jasne włosy ciasno związała z tyłu. Reszta zespołu znajdowała się po obu jego stronach, gotowa otworzyć ogień do Rosjan, gdyby zjawili się na wąskiej ścieżce przed nimi. Archer był z lewej, Watson z prawej, za nim Bradley z GPMG, wycelowanym dokładnie na teren zasadzki. Wild leżał jeszcze dalej, gotowy w razie potrzeby odpalić rozmieszczone wcześniej claymore'y i posłać ponad ścieżkę śmiertelny rój metalowych kulek. Wszyscy mieli łączność radiową, ale na wypadek zamieszania albo utraty urządzeń ustalili, że sygnałem do wycofania będzie odpalenie czerwonej racy. Morland widział, że Watson ułożył raketnicę tuż obok siebie.

Wskazówki zegara zbliżały się boleśnie powoli do godziny akcji. Wreszcie o 9.20 Morland usłyszał odgłos silników kilku śmigłowców nadlatujących od zachodu, od strony Rygi. To będzie maszyna z ekipą telewizyjną, pomyślał, a także jej eskorta. Muszą ustawić wszystko przed przybyciem ważnych osobistości. Coś ścisnęło go w żołądku, pewnie z nerwów. Sytuacja wydawała mu się nierealna. Żeby on właśnie znalazł się w środku czegoś takiego. W tej chwili wiedział już, co to strach.

Spokojnie, panie Morland, rozległ się w jego głowie głos sierżanta Carty'ego z Gwardii Walijskiej, jego niegdysiejszego instruktora w Sandhurst. Pomyśl raczej, co mogą czuć tamci.

Tymczasem nad głowami przemknął im Mi-24, który zaczął potem zataczać kręgi nad okolicą. Morland powiedział sobie, że załoga maszyny raczej nie ma prawa dojrzeć ich w dole, więc skupił uwagę na okolicy. Gdyby Rosjanie byli naprawdę dobrzy, rozesłaliby tu wszędzie patrole.

O dziesiątej rozległ się głębszy warkot pary Mi-8. To on, pomyślał Morland. Zaraz wylądaje.

Następne pięć minut zdawało się ciągnąć bez końca. Mi-24 ciągle krążyły w górze, ale teraz trzymały się bliżej Līgatne, nie dolatując do zamaskowanej drużyny. Zapewne znaczyło to, że prezydent i generał są już na miejscu i maszyny osłaniają ich z bliska.

Minęło jeszcze dziesięć minut i Morland zaczął się zastanawiać, czy fakt, że śmigłowce uparcie zataczają tak ciasne kręgi, nie oznacza, że ich akcja została wykryta, gdy usłyszał trudny do pomylenia z czymkolwiek odgłos odpalanego stingera. Zaraz potem poleciał drugi. Między koronami drzew błysnęły dwa jasne punkty zostawiające za sobą smugi dymu. Zaraz stracił je z oczu, ale wyraźnie usłyszał dwie głośne eksplozje.

Spuścili dwa hindy, pomyślał. Tak. Dowaliliśmy bydlakom! Morland najchętniej zatańczyłby z radości.

Sobota 27 maja 2017 roku, godzina 8.30

Downing Street 10, Whitehall, Londyn

Tysiąc czterysta mil dalej, w gabinecie na Downing Street 10, premier William Spencer siedział wraz z Trevem Walkerem przed telewizorem nastawionym na kanał BBC News. Przekazywano materiał uzyskany z Russia Today, oczywiście z angielskimi napisami. Nagranie pokazywało prezydenta Federacji Rosyjskiej wysiadającego ze śmigłowca w pobliżu przypominającego bunkier budynku w Līgatne, dawnego ośrodka dowodzenia, skrytego głęboko w łotewskich lasach. Towarzyszył mu tęgi mężczyzna o obwisłych policzkach, który był dowódcą Zachodniego Okręgu Wojskowego. Razem podeszli do miejsca, gdzie wystawiono na pokaz ciała tak zwanych łotewskich terrorystów, odpowiedzialnych za zestrzelenie rosyjskiego śmigłowca Mi-24.

Żaden z nich nic nie powiedział, gdy kamera ukazała rząd ciał oraz stertę ułożonej za nimi broni.

Potem przesunęła się na osobę prezydenta, który mierzył chłodnym spojrzeniem zakrwawione i powykręcane zwłoki.

Przez chwilę Walker oczekiwał, że prezydent kopnie któreś ciało, żeby wyrazić swoją pogardę. Może i naprawdę miał taki zamiar, ale opanował się i przygotował, żeby przemówić do kamery. Twarz miał ściągniętą złością, oczy przymrużone.

Nagle gdzieś za nim rozległy się dwie głośne eksplozje. Kamera poruszyła się i na ekranie pojawiły się dwie kule ognia oraz spadające na ziemię szczątki dwóch płonących śmigłowców.

Potem kamera ponownie skierowała się na prezydenta, jakby operator chciał pokazać jego reakcję na ten niespodziewany atak, który nastąpił niemal nad głowami zgromadzonych.

Widzowie zobaczyli jednak coś całkiem innego. Coś, co było typowym zachowaniem wszystkich ochroniarzy. Dwóch rosłych osiłeków rzuciło się na prezydenta, obaliło go na ziemię i zakryło własnymi ciałami.

Kamerzysta nie wyłączył sprzętu i czas jakby się zatrzymał. Żołnierze zastygli z uniesionymi karabinami, gotowi do odparcia kolejnego ataku, który nie nadszedł. Reszta ekipy telewizyjnej leżała w miękkim błotku, wyraźnie niepewna, co powinna zrobić. W końcu ochroniarze podnieśli się, nadal z bronią w dłoniach, spoza nich zaś wychynął wściekły prezydent, ubłocony i klnący wszystkich wkoło. Jeden z obstawy próbował wciąż wykonywać swoje obowiązki, ale prezydent zaczął energicznie go odpychać.

Walker uśmiechnął się szeroko i spojrział na premiera.

– Udało się panu. Cholernie dobrze udało. Gratulacje.

– Nam się udało, nieprawdaż? – odpowiedział także uśmiechnięty premier. – To go nauczy, kto tu jest szefem. A teraz poczekajmy, jak zareagują media...

To jednak nie był koniec. Z rosnącym zdumieniem, a potem także rozbawieniem Walker i Spencer patrzyli, jak pokryty błotem prezydent obrzuca swoich obrońców wyzwiskami, aż w końcu krzyczy, żeby wyłączyć kamerę. Po blisko minucie ochroniarze odprowadzili go do czekającego w pobliżu transportera opancerzonego.

Kamerzysta jednak nie wyłączył urządzenia, tylko skierował je na płonące za drzewami wraki śmigłowców. Scena była przerażająca i haniebna zarazem, zwłaszcza że podgrzana w płomieniach amunicja zaczęła eksplodować z takim hukiem, jakby w lesie doszło do strzelaniny.

– No cóż, panie premierze – powiedział w końcu Walker. – Miało być spektakularnie i było spektakularnie. I jak pan sądzi? Krzyż Wojskowy dla odpowiedzialnego za tę akcję? Albo nawet Krzyż za Wybitną Odwagę. Wszystkim by się to spodobało i pokazało, że jesteśmy poważnym partnerem.

– Wydawało mi się, że założenie było inne. Takie, że Rosjanie nie dowiedzą się, kto za tym stał. Pamiętasz, co zrobili Litwinience? Nasz człowiek dostanie medal, wielki jak patelnia, ale po cichu. I powiem ci coś. Muszę pogadać z Amerykanami. Spytałem ich, co oni zrobili ostatnio, żeby powstrzymać Rosję.

Sobota 27 maja 2017 roku, godzina 8.00

HMS *Queen Elizabeth*, Morze Bałtyckie

– To nie są ćwiczenia. To nie są ćwiczenia – ogłosił obojętny głos przy wtórze sygnału dzwonek. – Alarm bojowy. Alarm bojowy. Wszyscy na stanowiska. Wszyscy na stanowiska.

Kto żyw, o ile już nie był na swoim miejscu, rzucał wszystko i biegł tam, gdzie powinien się znajdować podczas alarmu bojowego. Komandor porucznik James Bush, pierwszy oficer HMS *Queen Elizabeth*, znajdował się na mostku i odbierał meldunki od poszczególnych działów, zgłaszających osiągnięcie gotowości bojowej. Radzą sobie coraz lepiej, pomyślał. Ale na razie pensa by na nich nie postawił. Jeszcze sporo wody upłynie, nim będą naprawdę dobrzy.

Trzy dni po wyjściu z Portsmouth *Queen Elizabeth* minęła Skagerrak i wpłynęła na Morze Bałtyckie. Obecnie znajdowała się dwadzieścia pięć mil morskich na północ od Świnoujścia, miasta położonego tuż przy granicy Polski z Niemcami. Rozkaz skierowania się na Bałtyk przyszedł zaraz po tym, jak zespół przeszedł przez kanał La Manche. Póki co miał demonstrować tutaj zdolność do operacji desantowych i oczekiwać jednocześnie na fregaty i niszczyciele z zespołu NATO, który nadciągał z Morza Śródziemnego i miał dotrzeć na Bałtyk za kilka dni. Bush z utęsknieniem wypatrywał chwili połączenia się obu grup.

Zwykle bardzo pozytywnie nastawiony do rzeczywistości, tym razem dostrzegł cały szereg powodów do zmartwień, począwszy od tego, co usłyszał od swojego starego kumpla, bosmana Rae, na temat fregaty do zwalczania łodzi podwodnych HMS *Kent*. Rzeczony okręt okazał się wprawdzie dzielniejszy, niż niektórzy oczekiwali, i zdołał obejść North Foreland, ale dzień później, gdy dowódca zespołu zarządził prowadzone przy pełnej prędkości ćwiczenia w zwalczaniu podwodnych celów, fregata się prawie rozsypała i powlokła z powrotem do Portsmouth w celu wymiany generatora i pękniętego wału śruby. W ten sposób zespół został tylko z jedną fregatą do zwalczania okrętów podwodnych, HMS *Lancaster*, siostrzaną jednostką pechowca.

Błędy lubią się mścić, pomyślał Bush. Kiedy wreszcie liczyrzepy z Ministerstwa Obrony zrozumieją, że wieczne opóźnianie rutynowych przeglądów i remontów jednostek nie ma sensu? Ani operacyjnie, ani finansowo. Przypomniał sobie gorzkie słowa wypowiedziane przez admirała Beattiego podczas bitwy jutlandzkiej w 1916 roku: „Coś nie tak jest dzisiaj z naszymi cholernymi okrętami”.

Owszem, mieli *Astute*, myśliwski okręt podwodny, operujący niezależnie od



Desantowej Grupy Manewrowej, a ten prawdopodobnie krążył teraz gdzieś pod Kaliningradem, dwieście mil na wschód, wypatrując jednostek, które mogły wyjść w morze z Bałtyjska, głównej bazy rosyjskiej Floty Bałtyckiej. W ten sposób ochronę przeciwpodwodną zapewniał tylko jeden okręt, a to było cholerne ryzyko, porównywalne z postawieniem wszystkich żetonów na jeden numer w ruletce, Bush zaś nie był hazardzistą. Pozostało mu mieć nadzieję, że wspierani przez admirałów i szpiegów politycy wiedzieli, co robią.

*Queen Elizabeth* znajdowała się na zachodnim skraju Bałtyku, zaznaczając w ten sposób swoją obecność na akwenie, ale nie w agresywny sposób. Bush musiał jednak przyznać, że po zajęciu państw bałtyckich Rosja jakby spasowała. Niczym pyton, który pożarł świnie, próbowała teraz strawić zdobycz. Co więcej, była to zdecydowanie dzika świnia. Meldunki powiadały, że zdobywcy musieli znacznie wzmocnić wojska okupacyjne, żeby utrzymać kontrolę na Łotwą, Litwą i Estonią, które przewidziały podobną sytuację i dobrze się do niej przygotowały, gromadząc w trudno dostępnych miejscach spore zapasy nowoczesnej broni. Ich służby okazały się teraz nie tylko świetnie wyszkolone i zdolne do szybkiej nauki, ale mogły też korzystać z wielu kryjówek w ogromnych obszarach leśnych, typowych dla wszystkich trzech państw bałtyckich.

Serwisy telewizyjne z podziwem donosiły o licznych sukcesach partyzantów, co było zimnym prysznicem dla Rosjan, którzy chyba dopiero teraz odkryli, że samo ustawienie i naoliwienie maszyny propagandowej to nie wszystko, bo nie da się całkowicie kontrolować obiegu przekazywanych informacji. W ten sposób co rusz słyszało się o napadach na Rosjan, często ze skutkiem śmiertelnym, a rosyjskie śmigłowce, zmuszone okolicznościami do niskich lotów nad obszarami leśnymi, dostawały ciężki łomot za sprawą naramiennych wyrzutni pocisków przeciwlotniczych. Nawet w samej Rosji pojawiły się już nieoficjalne opinie kojarzące okupację państw bałtyckich z krwawą łaźnią, jaką przeszła armia rosyjska w Czeczenii.

Wisienką na torcie było to, co spotkało prezydenta Rosji, który zjawił się na miejscu, żeby uczcić zwycięstwo nad trupami pokonanych wrogów i ostrzec najpewniej, że taki los czeka wszystkich, którzy spróbują mu się sprzeciwić. Został jednak ciężko ponizony. Cały świat widział płonące i spadające śmigłowce za jego plecami oraz wrzeszczącego i przeklinającego prezydenta przepychającego się ze zdesperowanymi ochroniarzami.

Bush aż się uśmiechnął. Gdy poprzedniego dnia natknął się na grupkę marynarzy oglądających coś na iPadzie i głośno rechoczących, zainteresował się powodami ich wesołości. Pokazali mu filmik, w którym prezydenckie krzyki i przekleństwa, oczywiście z angielskimi napisami, zostały nałożone na scenę napadu historii Hitlera z filmu *Upadek*. Materiał krążył już chyba powszechnie po internecie i doczekał się wielu wersji językowych. Nawet Bush nieźle się z tego uśmieł, nim kazał wracać

marynarzom do pracy, ale zauważył także, jak bardzo odmieniło to wizerunek prezydenta Federacji Rosyjskiej, dotąd kreowanego zawsze na zwycięskiego wojownika i sprawnego sportowca.

Sprawa zatoczyła już na tyle szerokie kręgi, że nawet poważni komentatorzy wyrażali opinię, że publiczne wystawienie wizerunku prezydenta na szwank mogło być impulsem skłaniającym mieszkańców państw bałtyckich do zorganizowanego oporu. Śmiech w pewien sposób dodał im sił. Niemniej Bush nie sądził, żeby prezydent Rosji docenił ten żart. Po pierwsze, nie słynął z poczucia humoru, a po drugie, miał teraz zapewne pełne ręce roboty i próbował policzyć się z tymi, którzy przeprowadzili fatalny dla niego atak.

Poza tym, choć najnowsze kłopoty Rosji mogły cieszyć, Bush skupiał uwagę głównie na *Queen Elizabeth* i rozpaczliwie skromnej eskorcie zespołu. Gdy jeszcze w Portsmouth przekazał swoje obawy komandorowi, usłyszał tylko, że jakoś musi sobie z tym poradzić. Wykonywał więc rozkazy i nie pyskował więcej. Ta grupa to było wszystko, co Royal Navy mogła wystawić w tak krótkim czasie, i żadne lęki i niepokoje nie mogły tego zmienić. Nie znał zakłęcia na przywoływanie jednostek eskortowych czy samolotów patrolowych. Jeszcze przez kilka dni musieli dawać sobie radę z tym, co mieli.

Owszem, nie byli tu całkiem sami. Sojusznicy co rusz zaznaczali swoją obecność, ale jako były oficer uzbrojenia rozumiał różnicę między brytyjskimi nimrodami wycofanymi z użytku przez obecny rząd a niemieckimi orionami. Te pierwsze mogły w jednej chwili przekazać dowódcy zespołu wszystkie informacje o wykrytych celach, natomiast starszy, chociaż nadal całkiem użyteczny morski samolot patrolowy Lockheed P-3C Orion, który krążył nad nimi od półgodziny, był w stanie co najwyżej pomachać im skrzydłami. Podlegał całkiem innemu dowództwu i nie dysponował żadnym bezpiecznym kanałem łączności z lotniskowcem.

Na szczęście pomoc była już w drodze. Za kilka dni NATO miało przejąć dowództwo nad operacją, integrując Desantową Grupę Manewrową ze zgranym zespołem pięciu fregat i niszczycieli z Sił Odpowiedzi. Póki co należało mieć nadzieję, że uwaga Rosji będzie nadal skupiona na państwach bałtyckich i nikomu nie przyjdzie do głowy jeszcze bardziej antagonizować NATO jakimiś akcjami. Ostatnie, czego potrzebowali, to podchodzący ich okręt podwodny typu Kilo, jak określano w Sojuszu udany typ rosyjskich okrętów podwodnych z klasycznym napędem, przystosowanych specjalnie do zwalczania żeglugi we względnie płytkich wodach, takich jak tutaj.

Jakby tego było mało, admirał zarządził ćwiczebny desant w Griefswalder Bodden, osłoniętej zatoce między Rugią i stałym lądem na niemieckim wybrzeżu Bałtyku. Miała to być nie tylko dobra okazja do zgrania zespołu, ale także swoista sesja fotograficzna, pozwalająca mediom pozyskać całe mnóstwo świetnych zdjęć marines na białym piasku plaży. Politycy uważali, że taki sygnał przekona Rosjan, że Wielka Brytania

wcale nie żartuje.

Plan admirała był bardzo prosty. Okręt desantowy *Bulwark* miał podejść do brzegu w towarzystwie dwóch okrętów eskorty, nowoczesnego niszczyciela przeciwlotniczego HMS *Dauntless* oraz jedynej pozostałej w grupie fregaty do zwalczania okrętów podwodnych HMS *Lancaster*. Lotniskowiec miał w tym czasie pozostać na pełnym morzu w towarzystwie niszczyciela przeciwlotniczego HMS *Daring*, przejmującego wszystkie zadania eskortowe, oraz dwóch jednostek zaopatrzenia. Wiecznie łakome turbiny gazowe *Queen Elizabeth* pochłaniały paliwo w takim tempie, że co dwa dni trzeba było uzupełniać jego zapas.

Dowódca grupy stanął przed klasycznym problemem, podobnym do tego, który gnębił admirała Sandy'ego Woodwarda pod Falklandami: jak chronić cenny lotniskowiec, zapewniając jednocześnie skuteczną osłonę siłom inwazyjnym? Dowódca rozwiązał go tak, że podzielił siły i posłał dwie jednostki z zespołem desantowym, sam zaś trzymał się od brzegu jak najdalej. Było to o tyle uzasadnione, że obraz radarowy był zawsze bardziej zaburzony bliżej brzegu. Dla zapewnienia lotniskowcowi jakiejś osłony zostawił przy nim niszczyciel HMS *Daring*, który był zasadniczo jednostką przeciwlotniczą, ale dysponował pewnymi możliwościami zwalczania okrętów podwodnych dzięki własnemu sonarowi oraz śmigłowcowi typu Merlin.

Gdzieś na wschodnim Bałtyku znajdował się okręt podwodny HMS *Astute*, który miał monitorować spod wody ruchy rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Czasem miał tylko wysunąć peryskop dla uzyskania elektronicznego obrazu. Teoretycznie powinien też być gotów zaatakować każdy okręt podwodny, który mógł zagrozić zespołowi. Był jednak sam, chociaż taką grupę bojową powinna osłaniać większa liczba okrętów podwodnych. Nawet zachodni skraj Bałtyku był jednak sporym obszarem wodnym, przynajmniej gdy zestawić go z rozmiarami przeciętnej jednostki podwodnej.

Zdaniem Busha cała sytuacja była obrazą zdrowego rozsądku. Zwłaszcza te ćwiczenia desantowe w chwili, gdy Wielka Brytania była praktycznie w stanie wojny z Rosją. Należało raczej albo w nelsonskim duchu podejść jak najbliżej przeciwnika i zaatakować go, albo trzymać się z dala od niego, jeśli nie było się jeszcze gotowym do ataku. W żadnym wypadku zaś nie należało bawić się w jakieś demonstracje, czyniące z zespołu łatwy cel, i to bez żadnego strategicznego pożytku.

Na pokładzie lotniczym panował chaos związany z przemieszczaniem sprzętu i ludzi na okręt desantowy. Postaci w kolorowych kamizelkach, przy czym barwa stroju opisywała konkretną rolę pełnioną na pokładzie, pilnowały kolejek obładowanych komandosów, stojących cierpliwie na windach lotniczych i czekających na transport śmigłowcami na ląd. Regulowały też ruch przeznaczonych do transportu oddziałów merlinów oraz cięższych, dwuwirnikowych chinooków, unoszących co jakiś czas z pokładu działka oraz lekkie transportery opancerzone Viking. Kilka osób filmowało

to z wielkim przejęciem, żeby pokazać światu, jak współcześnie wygląda demonstracja siły w wykonaniu lotniskowca Royal Navy.

Bush, który miał na sobie biały kaptur, a także białe rękawice ochronne, wszedł do przyciemnionego centrum bojowego, gdzie zbiegały się wszystkie nerwy wielkiego okrętu. Tutaj znajdowały się ekrany radarów, stąd zawiadywano systemami uzbrojenia. Tylko operacje lotnicze były kontrolowane z wieży, jak na każdym lotnisku. Gdy oczy Busha przyzwyczyły się już do półmroku, dojrzał rzędy komputerów obsługiwanych przez operatorów w kapturach podświetlanych niebieskawym blaskiem ekranów.

Pośrodku pomieszczenia widać było wysoką postać komodora Tony'ego Narborough, kapitana okrętu, w towarzystwie oficera uzbrojenia, dyrygującego wszystkimi systemami obronnymi lotniskowca.

– Witaj, pierwszy. Mamy tu lekki zgryz – powiedział komodor, starając się zachować spokój. – *Daring* zameldował właśnie, że wyłapał ślad na sonarze. Zapewne kilo.

– Wiemy, jaki ma kurs, sir? – zapytał Bush z głosem lekko przytłumionym przez kaptur, obowiązkowy dla wszystkich podczas alarmów bojowych i chroniący przed ciężkimi oparzeniami. Na okrętach śmierć od ognia była niemal równie częsta jak utonięcie.

– Chyba płynie w stronę zespołu desantowego, na południe od nas – odparł Narborough. – *Lancaster* i *Dauntless* prowadzą tam poszukiwania aktywnymi sonarami. *Daring* kryje nas od północy.

– Może powinniśmy opóźnić lądowanie, aż zagrożenie minie? – zasugerował Bush.

– Trafna sugestia, pierwszy, ale admirał nie życzy sobie, żeby przerywać ćwiczenia. Cały świat na nas patrzy i nie chcemy, żeby wyszło, że uciekamy na pierwszy sygnał kłopotów. Poza tym ludzie z rozpoznania i wywiadu uważają, że Rosjanie tylko testują naszą obronę i w żadnym razie nie zamierzają atakować. My wolimy nie zakładać niczego z góry, niemniej nie mamy zgody na przejście z biernej do aktywnej obrony. Zanim więc to się zmieni, możemy tylko śledzić jego ruchy. Chyba żebyśmy musieli działać w samoobronie, oczywiście.

Bush zwykł podziwiać Narborough jako kompetentnego kapitana okrętu, ale wiedział także, że jego przełożony nie zwykł podawać w wątpliwość otrzymanych rozkazów, jeśli tylko mogłoby to wpłynąć negatywnie na jego karierę. W obecnym przypadku oznaczało to potencjalny wyrok śmierci dla lotniskowca. Zmiana trybu obrony na aktywny dopiero w chwili, gdy przeciwnik otworzyłby ogień, byłaby działaniem zdecydowanie spóźnionym i nieprzynoszącym nikomu żadnego pożytku. Bush uważał, że skoro Rosjanie zatopili już jeden okręt Royal Navy, to w wypadku napotkania okrętu czy samolotu przeciwnika nie należy zastanawiać się nad jego intencjami, tylko uznać go za cel do zniszczenia i zaatakować. Jeśli zaś Londyn miał w tej kwestii jakieś wątpliwości i obawiał się, że przyjęcie aktywnego trybu obrony

mogłoby zostać uznane za prowokację, to po co, u licha, wysyłał ich w ogóle aż tutaj, prawie na podwórko Rosjan?

Niestety, nie mógł przekazać tego otwarcie kapitanowi okrętu, zwłaszcza publicznie.

– To może powinniśmy podejść bliżej zespołu desantowego? – spytał.

– W ten sposób dalibyśmy rosyjskiemu kapitanowi sposobność łatwego namierzenia skupionych celów. Nie, pierwszy, zostajemy w rozproszeniu. Poza tym na otwartym morzu jest bezpieczniej, przybrzeżne płycizny ograniczyłyby nam możliwość manewru – odparł ostro, prawie z rozdrażnieniem Narborough.

Bush wiedział, że wykrywanie okrętów podwodnych w płytkich wodach jest szczególnie trudne. Typowa dla Bałtyku przeplatanka warstw wody o różnej temperaturze i różnym zasoleniu dodatkowo zaburzała odczyty sonarów, co oznaczało, że okręt podwodny miał nad nimi przewagę. Narborough też świetnie zdawał sobie z tego sprawę, nie było więc warto ciągnąć dalej tej dyskusji.

– *Daring* melduje pozycję niezidentyfikowanego okrętu, zapewne kilo – odezwał się zaniepokojony oficer uzbrojenia. – Długość 54 stopnie, 25 minut, 23,898 sekund, szerokość 14 stopni, 24 minuty, 35,280 sekund. Kurs 26,75 stopni, dystans 10,234 mil.

– Spytaj, czy mogą coś z tym zrobić – rozkazał Narborough.

– Właśnie z nimi rozmawiałem. Podnieśli już śmigłowiec, sonar aktywny, szukają.

Bush gorączkowo się zastanawiał. Jednostki typu Kilo osiągały w zanurzeniu prędkość 17 węzłów. Zasięg ich samonaprowadzających się na kilwater torped UGST z głowicami z 200 kilogramami materiału wybuchowego wynosił 22 mile morskie. Oznaczało to, że kilo mogła już odpalić torpedę w kierunku *Queen Elizabeth*, niemniej jeśli rosyjski kapitan był dobry w swoim fachu, a zapewne był, to wołał przyjrzeć się celowi przed atakiem. Oznaczało to odpalenie torpedy z dystansu 10 tysięcy jardów albo pięciu mil morskich. A skoro tak, to *Queen Elizabeth* mogła oczekiwać ataku za jakieś trzydzieści pięć minut. Zakładając oczywiście, że tamci zamierzali zaatakować.

Jak, u diabła, zdołał niezauważony podejść tak blisko? Pytanie mogło być niepokojące, ale Bush i tak znał prostą odpowiedź. Sami podaliśmy się na tacy, obcinając eskortę jednostek do zwalczania okrętów podwodnych.

Spojrzał na Narborough. W widocznych w szczelinie między nosem a czołem błękitnych oczach oficera przez chwilę pojawił się strach. Zaraz jednak zniknął.

Kapitan złapał mikrofon i wywołał mostek.

– Wachtowy, zarządzć pogotowie dla drużyn kontroli uszkodzeń, warunki Zulu. Ster, zacząć zygzakować z maksymalną prędkością. Trudniej mu będzie dotrzymać nam kroku. Potem zwolnić do pięciu węzłów, żeby nie słyszał nas tak dobrze. Niech Merlin z pławą sonarową wejdzie między niego a nas. Pierwszy... Zostaję tutaj, ty masz być na mostku.

– Aye, aye, sir. – Bush zasalutował pospiesznie i czym prędzej opuścił centrum.

Sobota 27 maja 2017 roku, godzina 9.35

## Sterownia okrętu podwodnego *Krasnokamiensk*, Morze Bałtyckie

Kapitan II rangi Aleksander Iwanowicz Czerniawin stał w ciasnej i przyciemnionej sterowni okrętu podwodnego projektu 877 *Krasnokamiensk*. W kodzie NATO przyjęło się kiedyś określać ten typ jednostki jako Kilo. Po lewej stronie kapitana znajdowało się stanowisko sterów głębokości, nadzorowane przez wachtowego oficera zanurzenia. Za nim stał szef wachty. Po prawej miał operatorów obu sonarów, pasywnego i aktywnego. Wszyscy obecni w przedziale mieli twarze obmyte poblaskiem plazmowych ekranów. Od jakiegoś czasu śledzili kontakt, który wyłapali dzięki odgłosowi jego śrub i szumom powodowanym przez przemieszczanie się kadłuba. Za kapitanem stał pierwszy oficer, drugi w kolejności dowodzenia.

W sterowni było gorąco i zalatywało męskim potem, jak zwykle na klasycznych okrętach podwodnych, które były od wielu dni w morzu. Czerniawin miał na sobie to samo, co reszta załogi, czyli bawełniane ochronne spodnie, trampki i spłowiałą koszulkę z długimi rękawami, w białe i niebieskie paski, tak zwaną tielniaszkę, pozostałą jeszcze po carskiej flocie, ukochaną przez rosyjskich podwodniaków i uważaną za znak elity sił zbrojnych.

W sterowni było zupełnie cicho i Czerniawin czuł buzującą w jego żyłach adrenalinę. Wyszkolono go, żeby nawet w takich chwilach był zdolny z całkowitym spokojem wykonać wszystkie obliczenia, konieczne w tej grze przypominającej pięciowymiarową partię szachów. Nie można było inaczej, jeśli miał przetrwać wraz ze swoją załogą. Za chwilę zamierzał zerknąć na górę za pomocą małego peryskopu bojowego, na razie jednak musiał uzyskać obraz tego, co dzieje się na powierzchni, za pomocą wyliczeń i dopiero wówczas ustalić, co przede wszystkim powinien sprawdzić naocznie. W ten sposób po podniesieniu peryskopu będzie od razu wiedział, czego szukać, co zminimalizuje czas wystawiania niewielkiej głowicy ponad powierzchnię wody i tym samym zmniejszy szansę dostrzeżenia jej przez radary czy bystre oczy obserwatorów przeciwnika.

Jego obecne wahanie brało się tylko z jednego powodu. *Krasnokamiensk* znajdował się w zasięgu strzału torpedowego od celu większego niż wszystko, co Czerniawin do tej pory napotkał. Był większy nawet od najznacniejszych jednostek rosyjskiej floty, które podchodził w ramach ćwiczeń. Dobrze wyszkolony operator sonaru zwykle był w stanie podać nie tylko podstawowe parametry celu, ale od razu zidentyfikować klasę jednostki, czasem nawet jej nazwę, na podstawie zebranych przez lata danych

o okrętach państw NATO. *Queen Elizabeth* jednak była na tyle nową jednostką, że nikt nie miał jeszcze okazji poznać jej charakterystyki.

Jeśli teraz skrewię, pomyślał, Flota nigdy mi nie wybaczy po tych wszystkich latach szkolenia.

Czerniawin był realistą, czy raczej został nim jako syn pracownika rolnego, zatrudnionego w kołchozie pod Moskwą. Jednakże w tej chwili uwierzył w przeznaczenie. To było tak jak w książkach, gdy wszystko, co zdarzyło się w czyimś życiu, okazywało się ścieżką prowadzącą do tego jednego miejsca. Czerniawin był w szkole świetny z matematyki i fizyki, dzięki czemu został skierowany na kurs oficerski. Działo się to w mrocznych latach zaraz po upadku Związku Radzieckiego i gdy w ramach pierwszego przydziału trafił do Floty Północnej, zobaczył port w Murmańsku pełen pordzewiałych wraków, pozostałych po wielkiej i dumnej niegdyś flocie, obecnie źródła wstydu dla tych, którzy w niej służyli. Na szczęście w końcu zaczęło się to zmieniać i pod obecnym prezydentem Rosja odzyskiwała dawną dumę, flota zaś ponownie zaczęła otrzymywać nowoczesne wyposażenie.

On zaś dał się przez lata poznać jako oficer na tyle zdolny, pracowity i kompetentny w czarnej magii wojny podwodnej, że spotkała go nagroda pod postacią *Krasnokamienska*. Po dwóch latach dowodzenia dysponował porządnym okrętem z dobrze wyszkoloną załogą i teraz nadeszła ich chwila. Wiele razy śledził jednostki NATO podczas manewrów, śledził brytyjskie okręty podwodne aż do Faslane, zwłaszcza po tym, gdy tamci zlikwidowali lotnictwo patrolowe, dzięki czemu można było dotrzeć tam, gdzie wcześniej nie było to możliwe. Nigdy jednak nie trafił na coś podobnego do obiektu, który wyłapał przed godziną ich sonar. Był wielki i Czerniawin wiedział, że będzie musiał chociaż przelotnie na niego spojrzeć.

Na obrazie sonarowym najbardziej przypominał wielkie statki wycieczkowe, tak lubiane przez zachodnich emerytów, zatem bezwzględnie trzeba było go sprawdzić. Pamiętając oczywiście o złotej zasadzie podwodniaków, że najlepiej jest w ogóle nie zostać wykrytym. Jeśli przeciwnik ich znajdzie, staną się pożywieniem dla krabów, zmiążdżeni falami uderzeniowymi podwodnych eksplozji bomb głębinowych rzuconych przez żadne zemsty jednostki eskorty.

I dlatego na razie bardziej interesowała go właśnie eskorta. Sonar wychwytał, że zbliżyli się do niszczyciela, niemal na pewno jednej z nowych jednostek typu 45, używanych przez Royal Navy, dysponujących śmigłowcem z pławą sonarową. Zaraz jednak zeszedli głębiej i wykonali manewr polegający na opłynięciu sektora z prędkością maksymalną 17 węzłów, co trwało blisko 20 minut, i zwolnieniu następnie do 5 węzłów, żeby ograniczyć do minimum dźwięk silników i zmylić w ten sposób brytyjski sonar.

Niemniej eskorta musiała być gdzieś blisko. Żadna ciężka jednostka nie wychodziła w morze bez odpowiedniej osłony, zwłaszcza jeśli chodziło o okręt flagowy grupy

desantowej. W rosyjskiej flocie odmienne postępowanie zostałoby uznane za kryminalne wręcz wykroczenie, zatem gdzieś tutaj musieli być. Problem w tym, że niczego nie udawało się znaleźć.

Czyżby to było tak proste? – zastanawiał się Czerniawin. To musi być jakaś pułapka.

Przy ostatnim wynurzeniu odebrali rozkazy operacyjne z dowództwa floty. Były wyjątkowo jednoznaczne. Należało oczekiwać, że brytyjska grupa desantowa wejdzie na zachodni Bałtyk. Był dość blisko, żeby ją wysledzić. Co więcej, sam prezydent dołączył rozkaz, że jeśli nadarzy się sposobność zadania ciosu agresorom z NATO, ma z niej skorzystać. Ta część została nawet na wszelki wypadek powtórzona. Czerniawin uważał, że prezydent nie mógł wyrazić się jaśniej. Jeśli będzie miał po temu szansę, powinien zatopić najnowszy brytyjski superlotniskowiec *Queen Elizabeth*.

– Odległość od niezidentyfikowanego kontaktu dziesięć tysięcy metrów – odezwał się nagle jeden z operatorów sonaru. – Kontakt wydaje się zygzakować z dużą prędkością.

Operator sterów wysokości zaczął podawać monotonnym głosem ich aktualne zanurzenie. Okręt wznosił się powoli z głębokości operacyjnej 200 metrów.

– Pięćdziesiąt, czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia... Zbliżamy się do głębokości peryskopowej. Głębokość peryskopowa.

– Tak trzymać – rozkazał Czerniawin. – Peryskop w górę. – Pochylił się i złapał za uchwyty przesuwającej się do góry kolumny peryskopu. Śpieszno mu było zobaczyć na własne oczy ten najważniejszy kontakt, jaki kiedykolwiek wykrył. Kontakt jego życia.

Był zbyt doświadczonym podwodniakiem, żeby marnować czas na dostosowywanie spojrzenia do ustawień soczewek okularu, więc dojrzał kontakt od razu. Tak, to był lotniskowiec HMS *Queen Elizabeth*, z rozległym pokładem startowym, rampą startową na dziobie i dwoma bliźniaczymi wysepkami na prawej burcie. Chociaż odległy o prawie pięć mil morskich, dzięki powiększeniu peryskopu wypełniał cały wizjer.

– Peryskop w dół. Zatopić wyrzutnie torpedowe od pierwszej do trzeciej. Przygotować się do odpalenia torped. – Kolumna peryskopu zjechała z lekkim szumem do szybu.

Kapitan obrócił się do pierwszego, który ciągle stał zaraz za nim.

– Potwierdzić wizualną identyfikację brytyjskiego lotniskowca *Queen Elizabeth* – rozkazał Czerniawin.

Pierwszy oficer przysunął się bliżej.

– Peryskop w górę.

Podobnie jak kapitan, przykucnął, żeby jak najwcześniej przysunąć oczy do okularu. Wystarczyło mu pięć sekund.

– Peryskop w dół.

Czerniawin spojrział na niego pytająco.



– Potwierdzam – powiedział pierwszy.

Atmosfera napięcia w centrali wyraźnie zgęstniała. Czerniawin zaczerpnął głęboko powietrza i na moment czas jakby się dla niego zatrzymał. Potem dotarło do niego, co właściwie miał zrobić. Było to wydarzenie porównywalne do zatopienia pancernika HMS *Royal Oak*, dumy Home Fleet, przez niemieckiego U-Boot, który wdarł się w październiku 1939 roku do Scapa Flow. Albo zatopienia przez japońskie bombowce okrętów liniowych *Repulse* i *Prince of Wales*, co zdarzyło się w 1941 roku i wpłynęło na przebieg wojny na Dalekim Wschodzie. A teraz HMS *Queen Elizabeth*, największy okręt zbudowany kiedykolwiek dla Royal Navy, miał do nich dołączyć, i odpowiedzialny za to będzie właśnie on, kapitan II rangi Aleksander Iwanowicz Czerniawin z Floty Bałtyckiej.

Przez chwilę zawahał się przed posłaniem setek niepodważających niczego brytyjskich marynarzy do podwodnych grobów. Na tyle długo studiował historię, żeby rozumieć, jak dziwny jest ten atak, osobiście nakazany przez prezydenta. Chodziło przecież o okręt kraju, który oficjalnie wcale nie był w stanie wojny z Rosją. Incydent w Rydze to była całkiem inna sprawa. Przypadkowe zatopienie, którego nie powinno być, ale cóż, takie pomyłki się zdarzają. Tym razem chodziło o działanie w pełni celowe i ktoś mógłby zauważyć, że całkiem niesprokowane. Była to jednak bardzo krótka chwila wahania. Gdyby teraz się rozmyślił, ściągnąłby na siebie gniew prezydenta. Nie miał wątpliwości, że skończyłby pod ścianą, jego rodzina zaś nigdy nie wyszłaby z gułagu.

– Namiar trzy trzy pięć. Odległość dziewięć tysięcy metrów – odezwał się operator sonaru równie monotennie jak pop stojący pod ikonostasem w pełnej woni kadzidła cerkwi.

– Identyfikacja potwierdzona. Przygotować się do salwy – powiedział do operatora uzbrojenia.

*Krasnokamiensk* sunął cicho przez podwodne głębiny.

– Ognia.

Okręt drgnął wyraźnie, gdy pierwsza torpeda opuściła wyrzutnię. Potem ponownie. I jeszcze raz.

– Torpedy poszły... Minus dziesięć stopni na sterach! Ster mocno w prawo! – rozkazał Czerniawin. – Zejść na sto metrów.

Okręt przechylił się na prawą burtę i dostał wyczuwalnego przegłębienia na dziób, gdy schodzili niżej, żeby uniknąć wykrycia. Gdy się ustabilizował, w sterowni znowu zapadła cisza. Wszyscy czekali na to, co było już już nieuniknione.

Operator sonaru usłyszał, że odgłos pracy olbrzymich śrub lotniskowca nagle się zmienił. Torpedy zostały zauważone i okręt próbował rozpaczliwego uniku.

Trochę za późno, pomyślał Czerniawin, gdy nowoczesne torpedy namierzały wielki i powolny dla nich cel. Mógł ewentualnie wymanewrować jedną, ale z trzema nie miał


szans. Kapitan modlił się w duchu, żeby tylko żadna nie doznała awarii. Konsekwencje takiego zdarzenia byłyby dla niego gorsze niż wszelkie wyrzuty sumienia wynikłe z sukcesu.

Potem wszyscy członkowie załogi okrętu podwodnego usłyszeli przytłumiony huk eksplozji. Pierwsza torpeda trafiła. Po chwili trafiły także druga i trzecia.

Operator sonaru potwierdzał to monotonnym głosem:

– Jedna eksplozja... druga eksplozja... trzecia eksplozja.

Szum śrub lotniskowca *Queen Elizabeth* nagle ucichł, zastąpiony trzaskiem pękających pod naporem wody grodzi.



**CZĘŚĆ DRUGA**  
**OTRZEŻWIENIE**

Piątek 2 czerwca 2017 roku, godzina 22.30

Biuro premiera, Izba Gmin, Londyn

Trev Walker zapukał do drzwi funkcjonalnego, chociaż ciasnego biura zajmowanego przez premiera w Pałacu Westminsterskim i wszedł do środka. Równocześnie przypomniał sobie znane słowa Harolda Wilsona, byłego laburzystowskiego premiera: „Tydzień to sporo czasu w polityce”.

Rzeczywiście sporo się zdarzyło przez ostatni tydzień. Najpierw nadeszła straszna wiadomość o zatopieniu HMS *Queen Elizabeth*, dumy Royal Navy. Informacja wstrząsnęła krajem i spowodowała wybuch wściekłości skierowanej najpierw przeciwko Rosjanom, którzy popełnili tę zbrodnię, a w drugiej kolejności także przeciwko politykom i wojskowym, którzy na to pozwolili. W ciągu kilku minut zginęło blisko 900 ludzi, kobiet i mężczyzn, marynarzy, marines i komandosów. Zwłaszcza ci ostatni szli błyskawicznie na dno, obciążeni wyposażeniem, bronią, kamizelkami kuloodpornymi, plecakami, z którymi mieli zostać desantowani.

To było nie do pojęcia. Brytyjczycy widywali od lat tylko pojedyncze trumny z poległymi wracającymi z wojen w Afganistanie i Iraku, ale to było coś porównywalnego z tragediami z czasu drugiej wojny światowej. Po raz pierwszy w czasie pokoju naród musiał opłakiwać aż tyle ofiar, chociaż nie było wcale aż tak wiele ciał do pochowania. Większość z nich pozostała uwięziona w kadłubie lotniskowca na dnie Morza Bałtyckiego.

Urząd Prasowy Ministerstwa Obrony zrobił, co tylko w jego mocy, żeby skupić się na aktach heroizmu. Wspominano kapitana, komodora Tony'ego Narborough, który poszedł na dno razem z okrętem, i pierwszego oficera, komandora porucznika Jamesa Busha, ostatni raz widzianego w chwili, gdy próbował uratować podwładną, młodą kobietę, która straciła obie nogi podczas eksplozji pierwszej torpedy pod komorą amunicyjną lotniskowca. Nic jednak nie było w stanie powstrzymać fali złości, która przerodziła się stopniowo w chęć walki, głęboką determinację, żeby nie zostawiać tej sprawy.

Oczywiście nie dało się uniknąć ataków na premiera Williama Spencera, który sam był w głębokim szoku. Przede wszystkim wypominano mu stan, w jakim znalazły się siły zbrojne Wielkiej Brytanii pod jego rządami. Nie pomagało i to, że gazety ze świadomym okrucieństwem, pomimo wysiłków Walkera, powtarzały, że katastrofa zdarzyła się „na jego wachcie”.

Admirałom zarzucano lekkomyślne wysłanie lotniskowca w strefę wojenną bez

należytej osłony, zwłaszcza że już kilka dni później mógł on otrzymać porządną eskortę okrętów NATO. Te same gazety, które wcześniej najgłośniej wychwalały decyzję użycia *Queen Elizabeth*, teraz najbardziej zaciekle ją potępiały.

Premier Spencer, który zawsze był wytrawnym politykiem, instynktownie próbował utrzymać się przy władzy. Najpierw poświęcił Mainwaringa. Szef Sztabu Obrony i zwierzchnik osłabionych Sił Zbrojnych został w błyskawicznym trybie zwolniony, oczywiście bez żadnych szans na upragnione szlachectwo, co oburzyło tak jego, jak i jego żonę.

Niemniej próba zrzucenia winy na Mainwaringa nie wystarczyła. Nie uciszyła jazgotu mediów ani coraz częstszych głosów krytycznych w partii Spencera, która zdawała się nie pamiętać, z jaką radością witała przed ostatnimi wyborami cięcia budżetu obronnego, pomagające jej utrzymać miejsca w parlamencie.

Walker szybko się zorientował, skąd wieje wiatr, i powiedział Spencerowi, że jedynym honorowym wyjściem byłaby rezygnacja ze stanowiska. Jednak bez skutku. Zamiast tego Spencer powołał się na zwycięstwo Churchilla w debacie w Izbie Gmin w 1942 roku po upadku Singapuru i Tobruku i także wezwał do debaty nad wotum zaufania. Zgodnie z przewidywaniami i mimo wezwania do jedności narodowej w historycznej chwili kryzysu debata zakończyła się klęską, gdyż kolejni mówcy konsekwentnie potępiali premiera i wzywali go do rezygnacji.

Nie zbliżywszy się nawet w głosowaniu do wotum zaufania, premier wrócił do gabinetu, gdzie Walker przeciwiczył z nim napisaną naprędce mowę pożegnalną, a potem wypuścił Spencera przed dom, żeby stanął smutny przed mikrofonami czekających już dziennikarzy i kamerami ekip telewizyjnych. Zaczął dobrze, ale im dalej, tym gorzej mu szło, tak że w końcu zaczął coś dukać niczym skarcony uczeń. Wtedy właśnie pojawił się coś, co jeszcze nie tak dawno wydawało się niemożliwe: jego kariera polityczna dobiegła końca, i to w bardzo upokarzający sposób.

Walker nie zamierzał jednak dać się pociągnąć na dno. Dostrzegł dobrą okazję, żeby zadbać o własne interesy. Zawsze utrzymywał bliskie kontakty z kanclerzem skarbu, Oliverem Little'em. Mężczyzną twardym, bezwzględny i zgryźliwym, ale i wytrawnym politycznym graczem, który od dawna rozciągał wpływy na cały Whitehall w oczekiwaniu na dzień, kiedy obecny premier ustąpi. Ta chwila przyszła wcześniej, niż oczekiwał, niemniej Walker czym prędzej wykorzystał swoje dojścia, żeby wesprzeć aspiracje przywódcze Little'a.

Wystarczyło szepnąć wydawcy dziennika „The Sun” i jeszcze kilku innym podobnym osobom, że Little ma doskonałe kontakty z amerykańską prezydent, jego konkurent zaś „nie jest szczególnie poważany w Waszyngtonie”. W tak trudnej chwili kraj potrzebował oczywiście premiera, który miałby wpływy w waszyngtońskich elitach władzy, więc Little miał zaszczyt spotkać się tego ranka z królową, która zatwierdziła jego nominację na premiera i szefa rządu Jej Królewskiej Mości. I teraz siedział już za

właściwym biurkiem: barczysty, szorstki i zadziorny. Patrzył ostro na wyraźnie nieszczęśliwego Everage'a, który wciąż był sekretarzem obrony.

– Co to znaczy, do cholery, że nic nie możemy zrobić? – spytał z wściekłością. Żuchwę wysunął przy tym do przodu, a oczami niemalże miotał błyskawice. – Chce pan powiedzieć, że po czymś takim jak zatopienie przez Rosję *Queen Elizabeth* i zabicie blisko dziewięciuset naszych ludzi mamy po prostu siedzieć bezczynnie? Chyba pan żartuje!

– Cóż, panie premierze... – zaczął przymilnie Everage z wyczuwalnym akcentem Estuary, czyli terenów wkoło ujścia Tamizy.

Walkerowi kojarzył się z *Davidem Copperfieldem* Dickensa i Uriaszem Heepem, zwłaszcza teraz, z załamanymi rękami i włosami opadającymi na wychudzoną twarzą. Na dodatek za wszelką cenę próbował unikać kontaktu wzrokowego ze zirytowanym premierem.

Rozległo się pukanie do drzwi i Walker podszedł, żeby je uchylić. Początkowa irytacja szybko zmieniała się w radość, gdy zobaczył, kto stoi za progiem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie premierze – powiedział Walker, dostrzegając kątem oka wyraz ulgi na twarzy Everage'a, który zyskał w ten sposób chwilę spokoju. – Przyszedł nowy szef Sztabu Obrony. Policja nie chciała wpuścić go bez eskorty. Nalega na spotkanie z panem.

– Daj go tutaj – polecił premier.

Walker otworzył szeroko drzwi i odsunął się na bok, żeby generał Jock Kydd mógł wejść. Znany był z tego, że mimo otrzymania tytułu szlacheckiego od królowej nigdy nie używał przydomka „sir”.

Atmosfera w gabinecie zmieniła się w jednej chwili, całkiem jakby coś naelektryzowało powietrze. Kydd wszedł i rozejrzał się, jakby szukał potencjalnego zagrożenia. Szeroki w ramionach, trochę przygarbiony, kołysał się lekko, przestępując z nogi na nogę, a dłonie zacisnął w pięści niczym bokser przed pojedynkiem.

Patrząc na niego, Walker nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nowy szef Sił Zbrojnych Wielkiej Brytanii bardziej przypomina ochroniarza z filmu o braciach Kray niż zawodowego wojskowego. Głowę miał ogoloną, nosił niedopasowany garnitur i białą koszulę, spod której kołnierzyka wystawało owłosienie z klatki piersiowej. Miał też niebieski krawat i „bezpieczne” buty z metalowymi okuciami na czubkach, kupione w internetowym sklepie dla ochroniarzy.

Objąwszy urząd premiera, Little od razu sięgnął po Kydda, którego spotkał pierwszy raz w Afganistanie, gdy realizował program wprowadzania byłych talibów do politycznego życia kraju. Uznał, że mimo niejakej ekscentryczności generał potrafi świetnie się dogadać z Amerykanami. Wystarczył jeden telefon, żeby Kydd wrócił z emerytury, na którą nie tak dawno przeszedł.

– Wiesz, nasz sekretarz obrony powiedział mi właśnie, że nic nie możemy zrobić –

zaczął premier, nie bawiąc się w uprzejmości.

Kydd też preferował bezpośredniość.

– Gówniane pierdoły, panie premierze – warknął. – Ta pierdolona wojna nie skończy się w ten sposób. Nie ma, kurwa, mowy. – Spojrzał pogardliwie na Everaga’ę, który skurczył się niczym próbująca ukryć wszystkie macki ośmiornica.

Walker przewrócił oczami.

– Nie trzeba tak ostro, stary – szepnął teatralnie do Kydda. – I tak jesteśmy górą.

– Przepraszam za język, szefie – odparł Kydd. – Na czym to ja stanąłem? A, na tym, że Rosjanie mogli wejść do państw bałtyckich, ale to nie znaczy, że pozwolimy im tam zostać. Ale nie ma sensu atakować ich tam wprost. Lepiej będzie rozbudzić ruch oporu, aż zrobi im się gorąco, i zmusić, żeby przenieśli tam jak najwięcej ludzi i sprzętu dla opanowania sytuacji. A potem uderzyć gdzie indziej. Tam, gdzie najmniej będą się tego spodziewali i gdzie najbardziej ich zaboli. Na przykład na Kaliningrad. Mój kumpel Dave McKinlay, zastępca dowódcy NATO, mówił mi, że ćwiczą już taki scenariusz.

Walker nigdy nie słyszał o tym mieście, więc chętnie wysłuchał wyjaśnienia.

– To miasto w dawnych Prusach Wschodnich. Po niemiecku nazywano je Königsberg. Jest stolicą małego obwodu wciśniętego między Litwę i Polskę, otoczonego całkowicie przez NATO. Z Polską graniczy na południu, z Litwą od wschodu i północy. Jeśli Litwa stanie w ogniu, a Rusczy będą musieli się zająć gaszeniem pożaru, trudniej będzie im bronić obwodu tak bardzo narażonego na atak ze wszystkich kierunków, z Polski, od morza czy przez Litwę.

Premier pochylił się nad biurkiem.

– To mi się podoba. Mów dalej.

Kydd nakreślił możliwy przebieg akcji. Państwa bałtyckie ogarnia powszechna rebelia, która wymyka się spod kontroli, gdy tysiące ukrywających się w lasach ludzi podejmuje regularną walkę z Rosjanami, którzy odkrywają nagle, że ugryźli więcej, niż są w stanie połknąć. Wielka Brytania powinna wesprzeć Amerykanów w dostarczaniu do krajów bałtyckich wszystkiego, co tamci mogą potrzebować, żeby jeszcze bardziej dać się we znaki okupantowi. W końcu Rosjanie zaczną przesuwac jednostki z Kaliningradu, żeby wzmocnić siły na Litwie.

Armia brytyjska miała już swoją drużynę piechoty współdziałającą z leśnymi braćmi na Łotwie, więc pewnie uda się też ulokować kogoś w obwodzie kaliningradzkim. Gdy zaś Wielka Brytania, Ameryka i NATO zbiorą już dość sił lądowych, morskich i powietrznych, uderzą tam, gdzie będzie to najbardziej kłopotliwe dla rosyjskiego prezydenta, czyli właśnie na Kaliningrad.

– Jeśli go straci, będzie to jego wielka klęska i stanie się w Rosji politycznym trupem.

– Jak sądzisz, ile potrwa zgromadzenie takich sił? – spytał premier.

– Trochę ponad miesiąc, panie premierze – odparł Kydd. – I mówimy o operacji

prowadzonej przez jeden, może dwa korpusy. Z trzema do czterech dywizji na lądzie. To jakieś sześćdziesiąt do osiemdziesięciu tysięcy ludzi plus siły desantowe, żeby wysadzić ich na ląd. Razem z Francuzami zbierzemy jedną dywizję. Niemcy i Polacy pewnie zgromadzą drugą. Jeśli tak, włączymy je pod dowództwo natowskich Sił Szybkiego Reagowania. Amerykanie ruszą swoją Osiemdziesiątą Drugą Dywizję Powietrznodesantową. Siły Ekspedycyjne Piechoty Morskiej wysłali już przez Atlantyck. To razem druga formacja w sile korpusu. Będziemy musieli jeszcze odzyskać panowanie na Bałtyku, ale Amerykanie skierowali tam już Szóstą Flotę z solidną grupą lotniczą.

Walker nie miał wątpliwości, że premierowi bardzo podoba się to, co usłyszał.

– To bardzo ważne, żebyśmy mieli w tym swój znaczący wkład – powiedział Little.

– Ostatecznie spotkał nas największy cios. Poza stratami samych państw bałtyckich, oczywiście...

– Jasne, panie premierze. Rozumiem. Ale sęk w tym, że nasze siły zbrojne są wciąż w złym stanie po cięciach dokonanych przez poprzedni rząd.

– Co pan sugeruje? – sapnął Everage.

Kydd spojrzał na niego z góry.

– Skoro pan pyta, to przypomnę, że pan jest w tej sprawie głównym podejrzanym – powiedział bez ogródek i zgromiwszy spojrzeniem nieszczęsnego sekretarza obrony, zapomniał o prośbie Walkera, by miarkować język. – Ten głupi skurwiol, co wpadł na pomysł, że można zredukować regularną armię o jedną trzecią i dać w to miejsce rezerwistów, powinien zgłosić się na badanie pierdolonej głowy.

Premier westchnął i przewrócił oczami.

– Dobra, w porządku, pojąłem aluzję. Ale co powinniśmy i co możemy zrobić teraz?

Kydd zastanowił się.

– Nadal mamy Dwudziestą Brygadę Pancerną stacjonującą w Niemczech, skąd łatwiej można przesunąć ją do Europy Wschodniej, niż brygadę z Salisbury, która znajduje się pechowo po złej stronie kanału. Przy zorganizowanym wysiłku na dużą skalę, i mam na myśli kanibalizację reszty armii, damy radę wyposażyć ich należycie, uzupełnić stany i wsparcie logistyczne na tyle, że będą nadawać się na wojnę. Czyli będą naprawdę silni, nie tylko na papierze. Przy czym gdy mówię o kanibalizacji, trzeba potraktować to poważnie. Jednostki pancerne oddadzą czołgi, pułki artylerii zostaną bez armat. Jeśli w tym czasie coś pierdolnie, na przykład uderzą dżihadyści, jak w Paryżu, będziemy ugotowani, bo to oznaczałoby konieczność postawienia pancerniaków, lotników, artylerzystów, piechociarzy i tych z logistyki przed supermarketami, szkołami i innymi potencjalnymi celami w całym kraju. Tak jak musieli to zrobić Francuzi. Tymczasem my włożymy wszystkie nasze wojskowe jajka do jednego koszyka i ten koszyk będzie znajdował się gdzie indziej.

Premier spojrzał na Kydda. Był wyraźnie zdumiony jego słowami.



– Naprawdę jest aż tak źle?

– Tak, i...

– Bzdury – wtrącił Everage z triumfalnym wyrazem twarzy. – Nadal mamy w siłach zbrojnych osiemdziesiąt dwa tysiące ludzi, a pan chce nam powiedzieć, że stać nas tylko na brygadę w składzie pięciu tysięcy ludzi. Mamy wiele brygad...

Teraz Kydd mu przerwał.

– A wszystkie niedoposażone i w niepełnych składach. Żeby je doprowadzić do stanu, w którym można ruszać na wojnę, musimy uzupełnić wszystkie te braki, ściągając co się tylko da z innych oddziałów. I nie tylko to, bo wiele jednostek, zwłaszcza logistycznych, bez których żadna armia nie może walczyć, jest obecnie zależnych od rezerwistów. To świetni ludzie, sól ziemi, ale nie da się ściągnąć ich w czasie, o którym mówimy, a wiele ze wspomnianych luk dotyczy kluczowych stanowisk. No i jest jeszcze kwestia sprzętu. Większość naszego ciężkiego sprzętu, który będzie potrzebny w walce z Rosją, jest zaniedbana, bo wydawaliście pieniądze na najnowsze wyposażenie potrzebne do walki z bojownikami w Iraku i Afganistanie. A to całkiem inny rodzaj wojny. Żeby wykorzystać bojowo takie czołgi czy działa samobieżne, trzeba mieć zapasowe silniki, generatory i całą masę innych rzeczy, których brakuje już w naszych magazynach. Zdecydowaliście, że to nudny temat, i przestaliście przeznaczać na nie środki. Ale czołg, przy którym braknie jednego sworznia przy gąsienicy, drobnej części do silnika czy małej mutry blokującej działko na miejscu, nadaje się tylko do muzeum. Na pewno nie na wojnę. I ostatecznie logistyka. Ci, którzy dostarczają paliwo, pociski, wodę i wszystko, co może być potrzebne, wtedy i tam, gdzie będzie potrzebne. To wymaga utrzymania złożonego systemu zaopatrzenia, ciągnącego się od fabryki na linię frontu. I musi być on na tyle sprawny i elastyczny, że sprawdzi się w warunkach bojowych. Natomiast wiele z koniecznych do tego umiejętności, możliwości i doświadczenia przepadło bezpowrotnie.

– Starczy – powiedział Little. – Od tego mamy sekretarza stanu. Na pewno możemy wysłać przynajmniej jedną dywizję i spadochroniarzy. Co do marines, to teraz...

– Panie premierze – odezwał się już spokojniej Kydd. – Słyszałem, że powietrznodesantowi integrują się już z amerykańską Osiemdziesiątą Drugą. Siły specjalne ruszyły się, nie czekając na rozkazy. Ale połączona dywizja? Nie...

Spojrzał w sufit i zastanowił się chwilę.

– Spróbuję przedstawić to na przykładzie, który powinien wyjaśnić, do czego doprowadziło cięcie kosztów. – Spojrzał na Everage'a. – Zakładam, że słyszeliście o moście Bailey'a?

Obaj mężczyźni przytaknęli.

– Genialny wynalazek. Wprowadzony podczas drugiej wojny i używany do dzisiaj. Coś jak klocki Meccano w rozmiarze dla dorosłych. Zbudowany z łączonych bolcami segmentów, a każdy został tak zaprojektowany, żeby starczyło sześciu ludzi do jego

uniesienia. Ni mniej, ni więcej, tylko sześciu. No, ale liczyrzepy wzięły wojska inżynieryjne na celownik i stwierdziły, że trzeba zmniejszyć ich stan o tylu a tylu ludzi. I teraz mamy tylko pięciu zawodowych żołnierzy do niesienia każdego segmentu, a to za mało. I w ten sposób nie da się złożyć mostu na czas. Liczyrzepy zapewniają za to prasę i parlament, że ten szósty będzie rezerwistą i dołączy do tych pięciu, gdy będzie potrzeba. Niemniej o ile ten szósty widnieje na papierze, to niekoniecznie musi istnieć w rzeczywistości. Bo na przykład nie został nigdy powołany. A jeśli nie został powołany, to nie zjawi się nigdzie w porę, bo trzeba go będzie jeszcze przeszkolić i zgrać z resztą zespołu, a to trwa. I taką sytuację mamy właśnie teraz, więc jeśli wojska inżynieryjne będą miały przerzucić most przez rzekę, to po prostu fizycznie nie zdołają tego zrealizować. Pięciu ludzi nie przeniesie w wymaganym czasie segmentów zaprojektowanych dla zespołu złożonego z sześciu ludzi. Co więc robi zaradny pułkownik wojsk inżynieryjnych? Wiedząc, że w warunkach frontowych byle co może zdecydować o życiu lub śmierci i że most musi powstać w dokładnie wyznaczonym miejscu i być gotowy na wyznaczoną chwilę, pożyczycy, wykradnie lub wybląga tego szóstego z innej jednostki. Tyle że w tamtej jednostce zostanie teraz czterech do noszenia segmentów. Teraz proszę rozszerzyć to zjawisko na całą armię i będzie można zrozumieć, dlaczego jest taka dziurawa. Żeby zebrać jedną należycie wyposażoną i obsadzoną brygadę, będziemy musieli ogołocić wszystkie inne. I ta reszta będzie nadawać się potem tylko do uzupełniania strat i do niczego innego.

– Pierwszy raz o tym słyszę – rzucił gniewnie Everage.

– Oczywiście – odparł Kydd. – Myśli pan, że jakiś pułkownik albo generał powie panu, że nie, w tych warunkach nie zdoła zbudować mostu Baileya? Jak pan sądzi, co by go wówczas spotkało? Koniec kariery. A gdyby nie zamknął jadaczki i narzekał dalej, może jeszcze sąd polowy. Wojsko nie lubi narzekania. Improvizujemy, jak długo się da, ale w pewnej chwili dochodzimy do ściany. I my jesteśmy właśnie w tym miejscu.

– Skoro nie lubi, to dlaczego pan narzeka, generale? – spytał z sarkazmem Everage.

– Wspominam o tym, bo właśnie miał pan czelność pouczyć nas, jak powinno działać wojsko.

– Bo ktoś musi to panu powiedzieć. A ja, gdyby pan nie zauważył, mam już karierę głęboko w dupie. Jestem na emeryturze.

– Dość! – Premier uderzył otwartą dłonią w blat biurka. – Czy dla odmiany mógłbym usłyszeć jakieś dobre wiadomości?

– No, dowództwo Trzeciej Dywizji zameldowało właśnie o ukończeniu ćwiczeń z francuską brygadą, zatem przy pewnym wysiłku możemy wystawić międzynarodową dywizję w sile dwóch brygad wraz z brygadą artylerii. Dwa tygodnie, panie premierze, a dam panu wojsko, z którego będzie pan mógł być dumny. Ale muszę zacząć już teraz, i to na poziomie uzgodnień między głowami stanu państw NATO.

– A to dlaczego?

– NATO ma prawie trzy i pół miliona ludzi pod bronią. To o wiele więcej niż całe siły zbrojne Rosji. Ale NATO musi zacząć działać zgodnie, a to wymaga przywództwa politycznego. Bez tego ci pierdoleni Ruscy zrobią sobie spacerek przez całą Europę.

– Zajmę się tym – odparł premier, spoglądając na Walkera, który kiwnął głową.

– I panu też to będzie potrzebne, panie premierze – dodał Kydd. – Oczekuję pańskiego zaangażowania we wszystko, o czym tu mówię. To oddziały z różnych krajów, rzadko ćwiczyły razem. O ile w ogóle miały po temu okazję. Używają różnej amunicji i odmiennych systemów uzbrojenia. Mają radiostacje, które nie zawsze będą słyszeć się nawzajem. Mówią odmiennymi językami. To może być spore utrudnienie w warunkach bojowych, gdy próbuje pan podać koordynaty oczekiwanego ostrzału, zwłaszcza pod ogniem nieprzyjaciela. Jeden błąd w przekładzie i cała nawała artyleryjska może wylądować na pańskiej głowie czy na głowach pana towarzyszy broni. To nie jest takie proste...

– Generale – odezwał się ponownie Everage, dojrawszy szansę na obronę swojej osoby. – Wysłuchaliśmy pańskiego wykładu o naszych cięciach budżetu obronnego, ale wie pan świetnie, że trzy lata temu NATO uzgodniło na szczycie w Cardiff wzmocnienie Sił Odpowiedzi. A teraz mówi mi pan, że nie jest pan w stanie dostarczyć tych sił, których gotowość wtedy pan obiecał.

Kydd zmierzył Everage'a spojrzeniem, tak solidnie, z góry na dół, i dopiero potem się odezwał:

– Znowu się pan myli, panie sekretarzu stanu. To wy, ministrowie obrony, posiedzieliście sobie przy okrągłym stole, a potem opowiedzieliście nam o nowym wspaniałym świecie z międzynarodową współpracą wojskową i tak zwanymi siłami szybkiego reagowania, które wymyśliliście, napychając się homarami w Château de Coś Tam. I może by to nawet zadziało, gdybyście nie zredukowali tych sił, które obiecaliście sobie nawzajem, i nie wykreślili z budżetu środków na wspólne ćwiczenia. Cóż, gratuluję. Zdecydowanie nie mamy teraz tych sił ani sprawnego sprzętu. Tego wszystkiego, co pan mi wmawia, że istnieje. No i na pewno nie byliśmy szkoleni do takiej współpracy. Tak że to będzie bardzo ryzykowna, kurwa, operacja. I tylko dzięki Amerykanom zdołamy jakoś to wszystko zebrać. Oraz dzięki tym godnym najwyższego szacunku ludziom w mundurach, którzy w razie rzeczywistej potrzeby potrafią dokonać najbardziej niezwykłych rzeczy...

Everage czekał, aż szef sztabu przerwie na moment, żeby zgodnie ze zwyczajem wszystkich polityków wyprowadzić ripostę. Zacerpnął już nawet powietrza...

– Dość, powiedziałem – warknął premier. – Zrozumiałem, więcej nie trzeba. Jak zareagują Rosjanie?

– To proste – odparł Kydd. – Zagrozą atakiem atomowym. Na dzień dobry mają iskandery rozmieszczone w obwodzie kaliningradzkim.

– Ale one mają chyba ograniczony zasięg i moc głowic? – spytał Little.

– Zasięg tak, co do mocy, to każdy z tych taktycznych ładunków ma moc o wiele większą niż bomby, które zrównały z ziemią Hiroszimę i Nagasaki. A jeśli uważacie, że możecie pójść na takie ryzyko, siedząc w Londynie, który jest poza ich zasięgiem...

– Kydd spojrzał twardo na obu mężczyzn. – Przypuszczam, że mieszkańcy Polski, Niemiec czy Danii, które są w zasięgu iskanderów, mogą mieć na ten temat inne zdanie. Poza tym użycie ładunków taktycznych może otworzyć drogę do sięgnięcia po rakiety balistyczne. A to zabawki dla dużych chłopców. No i dzień dobry, apokalipso.

– Ale przecież nawet jeśli mają nad nami przewagę w broni konwencjonalnej, to my mamy jeszcze tridenty.

– Tak, panie premierze. – Kydd westchnął. – Ale zacznijmy od podstawowych kwestii. Spytał pan, co zrobią Rosjanie, i ja powtórzę, że zrobią to, czym kończą każde przeprowadzane ostatnio ćwiczenia. Odpalą iskandera z taktyczną głowicą nuklearną dla uzyskania efektu tak zwanej deeskalacji, czyli zatrzymania nas i zapobieżenia naszemu kontratakowi.

– Niezbyt kojarzy mi się to z deeskalacją. Odpalenie jednego ładunku doprowadzi chyba do wojny atomowej? – spytał Little.

– I tu jest pies pogrzebany, panie premierze. Intuicyjne zrozumienie zawodzi. Ich prezydent wie, że w żadnym razie nie zaryzykuje pan zagłady całego życia na Wyspach Brytyjskich i nie odpali tridenta w kierunku Rosji w odwecie za użycie taktycznego ładunku jądrowego. Gdyby pan to zrobił, niemal na pewno skończyłoby się to uderzeniem odwetowym z użyciem międzykontynentalnych rakiet balistycznych.

– To jak mamy zareagować? Pogodzić się ze sromotną klęską?

– Niestety, ale przy obecnym stanie naszych sił zbrojnych nic innego nam nie zostaje. W każdym razie ja bym to doradził. Wiele osób mówiło poprzednio rządowi, że jeśli odstraszanie ma być skuteczne, musi być utrzymywane na obu poziomach, konwencjonalnym i atomowym. Jak właśnie wyjaśniłem, nie da się osłabić sił konwencjonalnych i oczekiwać, że same tridenty wystarczą. I odwrotnie, gdybyśmy mieli rozbudowane siły konwencjonalne, ale bez broni atomowej, łatwo mogliby nas pokonać, grożąc jedynie użyciem ładunków nuklearnych, na które nie mielibyśmy jak odpowiedzieć. Pozwalając na redukcję naszych sił konwencjonalnych do obecnego poziomu, zaburzyliśmy niebezpiecznie równowagę. W zetknięciu z tak bezlitosnym drapieżnikiem jak ten drań na Kremlu stwarza to bardzo niebezpieczną sytuację.

– Więc te miliardy wydane na tridenty to wyrzucone pieniądze?

– Byłyby wyrzucone, gdyby nie towarzyszyło im wydawanie koniecznych sum na siły konwencjonalne, panie premierze. Gdyby wszystkie środki przeznaczyć tylko na rakiety z głowicami atomowymi, trzeba by się przygotować na skrajne scenariusze: albo porażka, albo całkowite wzajemne zniszczenie. I zapewne nic mniej. Czy mógłby pan z czystym sumieniem rozkazać kapitanowi okrętu podwodnego odpalić tridenta,

wiedząc równocześnie, że w nieunikniony sposób oznaczałoby to śmierć milionów ludzi w Wielkiej Brytanii? Wątpię. Gdy mowa o takich sprawach, cała teologia atomowego odstraszenia sypie się w gruzy. Drugie uderzenie i tak dalej. Sprawa przenosi się w wymiar moralny. Czy byłby pan skłonny odpowiedzieć na jedną apokaliptyczną zbrodnię wojenną dokładnie takim samym działaniem?

– Mówi pan, że lepiej lokować środki w obronę konwencjonalną?

– I tutaj się zgodzę, panie premierze, chociaż pod warunkiem, że będą one wspierane tridentami. Odstraszanie atomowe i konwencjonalne to dwie strony tej samej monety. Jak powiedziałem, potrzebują siebie nawzajem, żeby wypełniać właściwie swoje role. Ale jest coś więcej. Sam potencjał to jedno, potrzebna jest jeszcze wola i gotowość jego użycia. To oznacza, że powiedzenie światu, jak zrobił to pański poprzednik, że armia nie służy do walki, lecz do niesienia pomocy humanitarnej, jest nie tylko wmawianiem ludziom nieprawdy, ale czymś szalenie niebezpiecznym. Nasi wrogowie patrzą i słuchają. Wojny wybuchają w chwili, gdy jedna ze stron jest tak słaba, że ta druga ma podstawy liczyć na zwycięstwo. I dlatego mamy teraz tak, jak mamy...

– To co nam zostaje?

– Pomysłowość i spryt, panie premierze – odparł poważnie Kydd. – I albo damy w ten sposób radę, albo do widzenia. Będziemy musieli pożegnać się nie tylko z krajami bałtyckimi, ale może nawet obecną cywilizacją. I dlatego właśnie uważam atak na Kaliningrad za jedyne wyjście. Ale jeśli mamy ruszyć z tym przed świętami Bożego Narodzenia, musi pan jak najszybciej porozmawiać z Dillon i sekretarzem generalnym NATO.

Little spojrział na Walkera.

– Trev, zajmij się tym, proszę. Jak tylko szybko się da.

Potem przeniósł wzrok na Everage'a.

– A ty jesteś zwolniony!

– Ależ, Oliverze... – wykrztusił z oburzeniem Everage. – Przecież zgodziłeś się na te cięcia. Należałeś do tych, którzy żądali oszczędności dla zmniejszenia deficytu. Na pewno...

– Starczy – przerwał mu premier. – Tak, zgodziłem się. Ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Zmieniłem zdanie. Wolno mi. Wojsko wyraźnie ci nie ufa, ja zresztą też nie. Wyjdź. Twoja mowa na koniec urzędowania będzie musiała poczekać. Chwilowo mamy tu ważniejsze sprawy.

Sobota 3 czerwca 2017 roku, godzina 19.00

Dacza prezydencka, Barwicha, rejon odincowski obwodu moskiewskiego

Komarow wychylił się z ławki w wyłożonej sosnowymi deskami bani i wylał więcej zimnej wody na rozpalone węgle. Para buchnęła z sykiem i powietrze w bani zrobiło się tak gorące, że aż parzyło w gardle. Prezydent leżał rozciągnięty twarzą w dół, nagi, na nakrytej ręcznikiem ławie. Komarow wstał z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i sięgnął po brzozowy wenik, którym wysmagał energicznie plecy, pośladki i tylną część ud prezydenta, co było tradycyjnym sposobem na poprawę krążenia krwi, rozładowanie napięcia i stresu.

– Jesteście w niezłej formie jak na kogoś w wieku sześćdziesięciu trzech lat, Władimirze Władimirowiczu. – Oficjalne formy obowiązywały nawet tutaj. – Ze względu na rozwój wydarzeń Rosja potrzebuje was w pełni sił, żebyście przeprowadzili ją przez tę wojnę. Zaplanowałem na przyszły tydzień kolejną partię tenisa i dwa treningi judo.

Prezydent chrząknął, usiadł i owinał ręcznik wokół bioder. Pomimo uniesienia, które zapanowało w całym kraju po dramatycznym zatopieniu HMS *Queen Elizabeth*, to nie był łatwy tydzień, głównie z powodu upokorzenia, które zaowocowało międzynarodową kampanią kpin i żartów. Komarow był zadowolony, widząc, że bania i brzozowe różgi poprawiły nastrój prezydenta. Spojrzał na umieszczoną przy drzwiach klepsydre. Pora była zanurzyć się w zimnej wodzie.

Pół godziny później ubrany w biały szlafrok prezydent siedział przed banią, gdzie jego partnerka, smukła trzydziestopięcioletnia eksgimnastyczka, złota medalistka igrzysk olimpijskich, przyniosła mu szklankę kwasu chlebowego, szczególnie dobrze smakującego po wizytach w saunie. Mimo wojny w krajach bałtyckich, deklaracji NATO o honorowaniu artykułu piątego, co oznaczało konflikt z Sojuszem, oraz zatopienia *Queen Elizabeth* rutyna prezydenckiego dnia na dacy, położonej czterdzieści pięć minut drogi na zachód od placu Czerwonego, była święta. Opuściwszy Kreml zaraz po obiedzie, resztę popołudnia spędził na korcie tenisowym, gdzie towarzyszył mu Komarow, a teraz czekały go kolacja i noc z jego towarzyszką.

Wcześniej jednak prezydent musiał poświęcić trochę czasu na wieczorną odprawę, którą przeprowadzał za pośrednictwem szyfrowanego łącza wideo. Niemniej tym razem, gdy nawiązał kontakt z Narodowym Centrum Zarządzania Obroną, zamiast generała Fiłatowa, który zwykle przewodniczył spotkaniom, ujrzał tatarskie oblicze generała Michaiła Gariejewa, szefa Sztabu Generalnego. W oknach po prawej stronie

ekranu widział nieruchome twarze innych członków gabinetu wojennego: swojego zastępcy, ministra obrony, ministra spraw zagranicznych oraz szefa FSB, łączących się z różnych miejsc Moskwy.

– Gdzie jest ten generał o wyglądzie włoskiego golibrody? – spytał prezydent.

– Słucha nas, Władimirze Władimirowiczu – odparł Gariejew. – Ale chciałbym przedstawić ogólny obraz, zanim jeszcze on i jego sztab przejdą do szczegółów.

Komarow nadstawił ucha. Jego ludzie przekazywali mu, że w Pribałtyce nie działo się najlepiej, ale podczas zesłotygodniowej odprawy na Kremlu trudności były wyraźnie bagatelizowane, i to pomimo nastroju gorszego od tego sprzed kilku dni. Niemniej skoro Gariejew pojawił się dzisiaj pierwszy, mogło to oznaczać tylko jedno. Miał jakieś złe wiadomości do przekazania. Po pierwsze, był jedyną osobą, która potrafiła rozmawiać z prezydentem bez owijania w bawełnę, a po drugie, skoro gabinet wojenny czekał z nowinami, aż prezydent wróci na daczę, najpewniej bał się przekazywać mu to osobiście. Odległość stępiała jednak trochę ostrze prezydenckiej złości.

Gdy Gariejew zaczął mówić, obserwujący mowę ciała ministrów i doradców Komarow odniósł wrażenie, że w ich odczuciu pozycja prezydenta nie była już tak niezachwianie pewna jak jeszcze tydzień temu.

– Obraz strategiczny jest nadal dla nas korzystny – podjął Gariejew. – Nasi zachodni przeciwnicy są w pełni świadomi faktu, że w razie jakiegokolwiek ataku na nasze terytorium odpowiemy użyciem broni atomowej. Pragnę też zapewnić, Władimirze Władimirowiczu, że polecenie skrócenia czasu potrzebnego do osiągnięcia gotowości naszych okrętów podwodnych zostało wykonane. Pięć z nich znajduje się obecnie na morzu, z łącznie osiemdziesięcioma pociskami na pokładach. Każdy pocisk posiada szesnaście głowic, co oznacza, że mamy do dyspozycji trzysta dwadzieścia odpalanych spod wody ładunków. Każdy z nich może całkowicie zniszczyć duże miasto. Mamy też rakiety lądowych sił strategicznych z trzystu pięcioma międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi, przenoszącymi łącznie tysiąc sto sześćdziesiąt sześć głowic. I na koniec mamy jeszcze mniejsze systemy taktyczne, takie jak Iskander, zaprojektowane do rażenia wyznaczonych celów militarnych, ale każdy z tych ładunków może zniszczyć małe miasto. One też znajdują się w stanie podwyższonej gotowości. To wyjaśnia, dlaczego obraz strategiczny uważamy za pomyślny dla nas. Niemniej... – Przerwał na chwilę dla większego efektu. Komarow był pewien, że przyszła pora na złe wiadomości. – Sytuacja w Pribałtyce uległa zmianie i wzbudza coraz większą troskę – zaczął Gariejew i wpadając w beznamiętny ton zawodowego żołnierza, nakreślił obraz narastającego oporu, którego skala i zasięg zdecydowanie przerosły rosyjskie oczekiwania. Kraje bałtyckie niemalże stały w ogniu, nie tylko za sprawą wściekłości i gniewu „wyzwoleńców”, ale także bardzo starannych przygotowań, które poczyniono tam w przewidywaniu najazdu.

Potem Gariejew stawiał czoło incydentowi, który zapewne przyczynił się do wzmocnienia ducha oporu, i to nawet bardziej niż sama brutalność okupantów. Chodziło oczywiście o wizytę prezydenta w Līgatne, zamach na osłaniające go śmigłowce i przepychanki, w jakie wdał się zaraz później ze swoją obstawą, co pokazano na żywo w telewizji.

– Musimy uznać, Władimirze Władimirowiczu, że po wydarzeniach w Līgatne nasze słowa, że panujemy w pełni nad Pribałtyką, są przyjmowane z nieufnością. W tej chwili nawet rosyjskojęzyczni mieszkańcy tych krajów występują przeciwko nam i wielu z nich przyłączyło się do miejscowego ruchu oporu. Trudno więc się dziwić, że nasi przeciwnicy są w stanie złożyć z tego przekonującą opowieść. Musimy przyjąć dwutorową strategię radzenia sobie z sytuacją w Pribałtyce. Nie zapominając o koniecznych środkach bezpieczeństwa, musimy wdrożyć programy, które przyniosą pozytywne skutki ekonomiczne i społeczne, żeby przekonać większość mieszkańców, że ich życie w Federacji Rosyjskiej będzie lepsze. Wierzę...

Prezydent uniósł rękę, przerywając w ten sposób Gariejewowi. Musiał odzyskać jakoś dominującą rolę w spotkaniu. Generał wyraźnie za bardzo się rozpedził.

– Zanim powie pan coś więcej, Michaile Nikołajewiczu, czy mogę poznać nazwiska osób odpowiedzialnych za zesłotygodniowy atak na mnie i na moich żołnierzy?

– Władimirze Władimirowiczu, to był niemal na pewno pododdział łotewskiej jednostki specjalnego przeznaczenia, wspierany, jak już wiecie, przez drużynę brytyjskich żołnierzy. Nasze źródła w Wielkiej Brytanii nadal próbują ustalić ich nazwiska, ale natrafiają na coraz większe trudności w pracy operacyjnej. Wiemy, dzięki przechwyconym transmisjom, że ci terroryści przebywają w lasach. Korzystają jednak tylko z przekazywania skompresowanych danych i robią to rzadko, po czym natychmiast zmieniają lokalizację. A tutejsze lasy są bardzo rozległe i oferują wiele kryjówek.

Komarow dostrzegł, że kark prezydenta poczerwieniał, a lewa dłoń powędrowała na blat biurka i zacisnęła się na spoczywającej tam wcześniej prawej dłoni. Sugerowało to jednoznacznie, że Władimir Władimirowicz z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od podniesienia głosu na irytująco pewnego siebie generała, który szukał wymówek mających usprawiedliwić jego porażkę.

– Należy ich pojmać. Czy to jasne, Michaile Nikołajewiczu? – wycedził z wściekłością. – Nie pozwolę, żeby Brytyjczycy robili ze mnie głupca, nawet tacy z sił specjalnych. Czy to jasne?

– Obecnie nie uważamy już, żeby oni byli z sił specjalnych, Władimirze Władimirowiczu – odparł spokojnym tonem Gariejew. – Mamy informacje, że chodzi o pięcioosobowy zespół piechoty pod dowództwem kapitana. W chwili naszego ataku była to jedyna brytyjska grupa na Łotwie, zajmująca się szkoleniem miejscowych. Wiemy też, że przyłączyli się do żołnierzy łotewskich sił specjalnych i ukryli się wraz



z nimi w lasach.

Gdyby prezydent został upokorzony przez żołnierzy brytyjskich sił specjalnych, byłoby to w jakiś sposób zrozumiałe, chociaż oczywiście w dalszym ciągu skandaliczne. Jeśli jednak dokonali tego zwykli żołnierze, sytuacja robiła się podwójnie kłopotliwa. Komarow zauważył, że pozostali uczestnicy spotkania zachowywali maksymalnie obojętny wyraz twarzy, żeby tylko nie narazić się prezydentowi.

– Skoro nie są z sił specjalnych, powinni łatwo dać się wytropić. Chcę tego kapitana, chętniej żywego. W sumie...

Komarow pomyślał, że tygrys zaraz pokaże kły. I nie pomylił się.

– Jestem zdumiony, Michaiłe Nikołajewiczu, że ośmiela się pan w ogóle odzywać w sytuacji, gdy zwykli żołnierze piechoty przeprowadzili bezkarnie atak na pańskiego prezydenta i chociaż minął już tydzień od tego zdarzenia, pan nadal nie ma ich w swoich rękach.

Generał Gariejew musiał pojąć, że przedobrzył, bo zaraz wpadł w pojednawczy ton.

– Zgadzam się, Władimirze Władimirowiczu. To nie powinno tak wyglądać i to jest obraza, która nie może pozostać bez odpowiedzi. Przydzieliłem do tej sprawy Wronskiego, majora specnazu, odpowiedzialnego za planowanie przebiegu demonstracji w Rydze. Zna Pribałtykę i ma tam rozbudowaną siatkę kontaktów. Ten angielski kapitan będzie jego priorytetowym celem.

Prezydent kiwnął głową, na razie chyba uspokojony.

Gariejew przeszedł do wyjaśniania, dlaczego wojna partyzancka w krajach bałtyckich osłabia rosyjską armię i jej zasoby. Wobec partyzantki, której liczebność oceniano na dziesiątki tysięcy ludzi, czyli podobnie jak podczas szczytu kampanii na początku lat pięćdziesiątych, rosyjscy generałowie byli zmuszeni ściągać świeże siły z innych rejonów kraju, między innymi z Ukrainy, Kaukazu i Krymu. Nadal jednak było ich za mało i Gariejew starał się uporać z tym problemem.

– Jeśli mamy skutecznie zdławić opór, musimy skierować tam wszystkich, których tylko da się znaleźć. I to teraz, od razu. Tubylcy są dobrzy w wojnie partyzanckiej i jeśli szybko ich nie rozbijemy, zagrozi to naszej obecności w Pribałtyce. Każdy sukces przydaje im nadziei na zwycięstwo i przyciąga nowych rekrutów. – Gariejew spojrział z ekranu na prezydenta. – Nie może pan przecież pozwolić na taki rozwój spraw, Władimirze Władimirowiczu.

Dla Komarowa był to jasny przekaz. Albo prezydent się z tym upora, albo narazi na szwank swoją pozycję przywódcy. Skoro poprowadził Rosję na wojnę, jego wizja ponownego włączenia krajów bałtyckich do Federacji Rosyjskiej po prostu musiała się ziścić, ponieważ w przeciwnym razie ci, którzy udzielili mu poparcia dla odrodzenia narodowej dumy, porzucą go szybko za popełnienie niewybaczalnego błędu i narażenie

też dumy na poważny szwank.

Prezydent też musiał to zauważyć.

– Co pan proponuje, Michaiłe Nikołajewiczu? – zapytał Gariejewa.

– Muszę osłabić nasz garnizon w Kaliningradzie – odparł wprost generał. – Jeśli nadal będziemy chcieli być silni wszędzie, nigdzie nie będziemy tak naprawdę silni. Jak wspomniałem, osłabiliśmy już nasze jednostki stacjonujące na Ukrainie, ale więcej zabrać stamtąd nie mogę. Jeśli zabiorę więcej, wtedy ukraińscy dranie zaraz zaczną napierać, a jeśli wymuszą nasz odwrót, będzie to skrajnie dla nas poniżające. Zagrożenie w Pribałtyce pozostaje realne i trzeba skupić na nim siły, niemniej pobliski Kaliningrad jest bezpieczny i wciąż tam mamy wystarczające siły. Miejscowa ludność to lojalni Rosjanie, więc pewnych zagrożeń nie musimy się obawiać.

– A NATO? – spytał prezydent. Wracał do tego przy każdej odprawie.

– Bez zmian. Nie ma żadnego zagrożenia ze strony NATO. Po pierwsze, wciąż nie są dość zorganizowani, żeby przygotować jakąkolwiek godną uwagi akcję przeciwko nam. Po drugie, nawet gdyby mieli ludzi, nie odważą się podejmować działań zaczepnych na terenie Federacji Rosyjskiej.

– Skoro o tym mowa, to czy NATO zdaje sobie sprawę, że każdy atak na rosyjską ziemię spotka się z naszą reakcją pod postacią użycia broni atomowej? Jak to jest, Jewgieniju Siergiejewiczu? – spytał prezydent, patrząc na monitor ukazujący ministra spraw zagranicznych.

– Z pewnością o tym wiedzą. Informacja rozpowszechniona kanałami dyplomatycznymi nie zostawiała cienia wątpliwości, że w razie próby ataku NATO na Pribałtykę albo inną część Rosji, nie zawahamy się użyć broni atomowej – odparł minister tonem dyplomaty.

Widocznym w sąsiednich okienkach zastępca prezydenta oraz dyrektor FSB kiwnęli głowami.

– Przekaz posuwał się nawet dalej, Władimirze Władimirowiczu – dodał minister. – Dawał jednoznacznie do zrozumienia, że uważamy już Pribałtykę za część Rosji.

– Bardzo dobrze, Michaiłe Nikołajewiczu. Może pan zaryzykować osłabienie naszych sił w Kaliningradzie. Ale opór w krajach bałtyckich ma zostać zdławiony. W ciągu miesiąca. Czy to jasne?

– Bardzo jasne – odparł Gariejew.

– A tego brytyjskiego kapitana dostarczcie mi do Moskwy.

Komarow sięgnął po pilota systemu łączności i monitor pociemniał. Milczący prezydent siedział zatopiony w myślach. Oto człowiek, który jeszcze niedawno wierzył, że w pełni kontroluje bieg wydarzeń, pomyślał Komarow. Najwyraźniej zaczynał pojmować, że proces, który rozpoczął, nie da się tak łatwo kontrolować. Machina propagandy wojennej nie działała tak, jak sobie zaplanował. Zatopienie dwóch natowskich okrętów w Rydze i zmasakrowanie amerykańskich obrońców bazy

Liellvārde uznano za skutek nieszczęśliwej pomyłki. Takie rzeczy zdarzają się na polu walki. Tyle że utrata niszczyciela min *Eckernförde* miała taki skutek, że pacyfistyczni od lat Niemcy nabrali nagle wigoru i gotowi byli włączyć się w wysiłek wojenny NATO.

Niespodziewaną konsekwencją tych błędów było zgodne stanowisko NATO w sprawie artykułu piątego, niemniej nie należało oczekiwać, że wiele to zmieni. Żaden z krajów europejskich nie będzie szykować się do akcji ofensywnej. Może poza Wielką Brytanią, która łudziła się ciągle, że może być poważnym międzynarodowym graczem, chociaż tak naprawdę poziom jej gotowości spadał szybciej niż majtki pracowitej kurwy. Niemniej niespodziewana zasadzka w Līgatne zaburzyła precyzyjny plan.

Gdy Wielka Brytania opowiedziała się już za honorowaniem artykułu piątego, lotniskowiec HMS *Queen Elizabeth* stał się pełnoprawnym celem. Tyle że na jego pokładzie znajdowało się wiele ekip telewizyjnych i samodzielnych dziennikarzy. Część z tych ludzi zginęła, a materiały poszły w świat. Przedstawiwały niespodziewany atak torpedowy, który przerwał atmosferę słonecznego dnia. Samo zatonięcie i śmierć wielu ludzi też zostały utrwalone, i to z dźwiękiem. Mieszkańcy Europy Zachodniej mogli wyobrazić sobie, że to ich dzieci zginęły na tym lotniskowcu.

Teraz wszystkie jednostki NATO i wszystkie bazy w Europie Zachodniej były przygotowane na atak Rosji. Media roztrząsały bez końca kwestię, czy storpedowanie lotniskowca nosiło znamiona legalnej akcji, czy jednak nią nie było. Ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o NATO czy artykule piątym, stawali się pod wpływem telewizji ekspertami w sprawach obronności. A wszystko dlatego, że prezydent tak osobiście odebrał to, co zdarzyło się w Līgatne, i wydał rozkaz zatopienia HMS *Queen Elizabeth*, żeby odegrać się na Brytyjczykach.

Opanowany i pragmatyczny przywódca zostawiłby okręt w spokoju, pozwalając Brytyjczykom bawić się w wojnę z ich skarłałymi i niedofinansowanymi siłami zbrojnymi. Po jakimś czasie wywołane zajęciem krajów bałtyckich wzburzenie Zachodu zaczęłoby wygasać i Rosja miałaby wolną rękę w radzeniu sobie z miejscowymi rebeliantami. A tak pojawił się nowy brytyjski premier, który był zupełnie inny od swojego poprzednika i najwyraźniej nie bał się walki. Izba Gmin przegłosowała sprawę artykułu piątego miążdżącą większością głosów, chociaż wcześniej sprawa ledwie by przeszła. Albo nawet z miejsca zostałaby odrzucona.

Nawet najbardziej cyniczni obserwatorzy przyznawali, że atmosfera na Wyspach zaczynała przypominać tę z okresu Blitzu, czyli prowadzonych przez Luftwaffe bombardowań Anglii w 1940 roku. Jeszcze bardziej zaskakująca była reakcja stroniących od akcji zbrojnych Niemiec, gdzie Bundestag i Trybunał Konstytucyjny gorliwie poparły sprawę artykułu piątego. Na dodatek kierowana przez nową prezydent Ameryka zdawała się zapominać chwilowo o Azji i Pacyfiku i ponownie skupiła

uwagę na Europie, wznawiając swoją piekielną grę z jej militarnym wzmocnieniem. I robiła to pomimo mądrej decyzji prezydenta Rosji, żeby i ciała poległych Amerykanów, i ocalałych jeńców przekazać z pełnym ceremoniałem, co miało w zamyśle zapobiec zaostrzeniu antagonizmów i zamknąć tę godną pożałowania sprawę. Inteligencja Moskwy i Sankt Petersburga, zwykle bezkrytycznie wspierająca prezydenta, zaczynała szeptać, na razie bardzo cicho, że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby prezydent nie stracił panowania nad sobą. A tak stał się pośmiewiskiem.

Teraz rozkazał jeszcze generałowi Gariejewowi zająć się tym angielskim kapitanem piechoty, a ten przydzielił to zadanie majorowi Wronskiemu, najważniejszemu agentowi operacyjnemu FSB na terenie Łotwy, który już wcześniej zajmował się leśnymi braćmi. Teraz jednak miał skupić uwagę na jednym człowieku, który był tak naprawdę nieliczącym się pionkiem, nic nie znaczącym wobec rozgrywanej właśnie partii rozstrzygnięć geopolitycznych. W tej sytuacji Komarow zaczynał coraz poważniej się zastanawiać, czy w słyszanych tu i ówdzie pogłoskach, że prezydent traci trzeźwe spojrzenie i tym samym kontrolę nad sytuacją, nie kryje się ziarno prawdy. Oczywiście modlił się, żeby tak nie było, ponieważ jako osoba bliska prezydentowi w wypadku dalszych poronionych decyzji stałby się łatwym celem.

W tej chwili weszła do pokoju partnerka prezydenta.

– Kochany – zamruczała, wtulając się w rzadkie włosy przywódcy. – Przyniosłam szampana. I zaraz będzie kolacja...

Komarow wstał niezwłocznie i wyszedł. Fakt, że gabinet wojenny nie uprzedził go o zamiarach Gariejewa, sugerował, że chociaż członkowie na pewno nadal rozmawiali ze sobą nawzajem, jego do swoich rozmów włączać nie zamierzali. Płyty tektoniczne układów władzy drgnęły i coś się zmieniało, więc trzeba było poszukać nowych sojuszy.

Poniedziałek 5 czerwca 2017 roku, godzina 13.45

Biały Dom, Waszyngton

Asystent pani prezydent, Pete Chiarini, wszedł do gabinetu pułkownika Beara Smythsona i zajął miejsce na wyściełanym fotelu naprzeciwko jego biurka.

– Jezu, Bear – powiedział do gospodarza, asystenta generała Abe'a MacWhite'a, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Postawa Brytyjczyków zmieniła się nie do poznania. Prezydent rozmawiała właśnie z Oliverem Little'em, ich nowym premierem. Całkiem inny facet niż ten lalusz, który jeszcze niedawno siedział na urzędzie. Naprawdę jest gotowy wejść na ścieżkę wojenną. Cokolwiek powiemy o Brytolach z ich okrutnym akcentem w stylu *Downton Abbey*, to potrzebują trochę czasu, żeby zaskoczyć, ale gdy już się zdecydują, potrafią naprawdę serio podejść do sprawy.

Bear odchylił się w swoim fotelu.

– Mówisz, że przemysłeli parę rzeczy po *Queen Elizabeth*?

– I to dogłębnie. Prezydent zaś bardzo przejęła się zatopieniem ich lotniskowca, zwłaszcza po śmierci naszych ludzi z Sił Powietrznych na Łotwie. Uważa, że przekazanie nam ocalałych i ciał poległych to wielki pokaz cynizmu ze strony Rosji. Chociaż z drugiej strony, cokolwiek by zrobili, oddali ich lub nie, i tak wyszłoby źle. Do tego drażni ją ciągle czepianie się Rosjan naszej Ukraińskiej Czwórki, jak nazywają ich teraz media. I to, że z uporem twierdzą, że to żołnierze sił specjalnych. Rosjanie źle to wszystko rozgrywają. Nawet gdyby prezydent Dillon chciała uniknąć konfliktu, nie ma teraz wyboru. Wiesz, na tym lotniskowcu były ekipy CNN i Fox News. I jeszcze kilku innych naszych dziennikarzy. Część ciągle figuruje na liście zaginionych, ale najpewniej utonęli, podobnie jak cała reszta tych biedaków. Zabijanie naszych dziewcząt i chłopców na Łotwie to nie był dobry pomysł, ale zabijanie dziennikarzy to już akt świętokradztwa. Prasa jest przywiązana do swojego specjalnego statusu i traktuje go bardzo poważnie. W obliczu wspólnej tragedii zaczęli mówić jednym głosem, Dillon i brytyjski premier. Oboje się zgadzają, że musimy podjąć działania ofensywne przeciwko Rosjanom. Brytyjczycy dorzucają do puli wszystko, co mają. Ich nowy szef obrony jest mocnym zwolennikiem ataku na Kaliningrad. Chodzi o zmuszenie Rosji do wymiany. Dostaną z powrotem swoją prowincję w zamian za państwa bałtyckie. A premier go wspiera. Prezydent chce przedyskutować pomysł z NSA na spotkaniu o czternastej trzydzięci.

– Dzięki za szybką piłkę, Pete! – wykrzyknął Bear. – Wprowadzę w to szefa, żeby

nie był zaskoczony. Ale póki co skończy się raczej na analizie sytuacji. Generał to najbardziej bojowy żołnierz, pod jakim służyłem, ale nie ruszy się, o ile nie będzie w pełni przekonany, że plan zadziała. A nad tym trzeba będzie dopiero pomyśleć, i to na serio. Niemniej będziemy coś mieli dla pani prezydent.

Nie usłyszał odpowiedzi. Chiarini wyszedł już z biura, więc Bear odpalił komputer.

Czterdzieści minut później prezydent Lynn Turner Dillon weszła do gabinetu dowodzenia, jak zawsze perfekcyjnie elegancka i gotowa do działania. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, w pomieszczeniu dało się wyczuć otaczającą panią prezydent atmosferę świeżości i aktywności, wyniesioną z porannych sesji gimnastyki i pilatesu.

Bear dostrzegł coś jeszcze: poczucie władzy. Im głębszy stawał się obecny kryzys, tym bardziej rosła pewność siebie pani prezydent. Tym lepiej czuła się w roli przywódcy.

Dobrze wiem, jak samotny bywa dowódca podczas wojny, pomyślał. Ale, u diabła, jej ta sytuacja służy. Jak to mawiają? Właściwy człowiek na właściwym miejscu. I to jaki człowiek!

Gdy prezydent już usiadła, MacWhite, który bardziej pasowałby wyglądem do Dzikiego Zachodu niż do samego centrum Waszyngtonu, zapoznał prezydent z przewidzianymi punktami spotkania. Na początek mieli się zająć najnowszymi danymi wywiadowczymi, a potem przejść do możliwych działań strategicznych.

Mężczyzna z wywiadu przedstawił krótką prezentację ze zdjęciami okrętów rosyjskiej floty na Morzu Bałtyckim i rosyjskich oddziałów rozmieszczanych w Estonii, na Litwie i Łotwie. Rosjanie mieli tam już zapewne ponad 200 tysięcy ludzi i nadal ścigali kolejnych. Szacunkowe siły leśnych braci, początkowo oceniane na kilka tysięcy, urosły podobno tymczasem do blisko 50 tysięcy mężczyzn i kobiet pod bronią, czyli podobnie jak podczas oporu stawianego w latach pięćdziesiątych. Było w nich też wielu etnicznych Rosjan, którzy pozostali lojalni wobec swoich rządów i nie akceptowali zamachu na ich wolność. Wspomniał też o najważniejszych akcjach przeprowadzonych ostatnio przeciwko rosyjskim okupantom i dodał jeszcze analizę stanu rosyjskich sił na Ukrainie i w obwodzie kaliningradzkim. Choć ten jeden raz omówienie sytuacji na Bliskim Wschodzie zostało przełożone na następne spotkanie.

Potem przyszała pora na MacWhite'a, który w zamyśleniu pochylił się nad stołem i oparł łokcie na blacie.

– Pani prezydent, odnosimy coraz silniejsze wrażenie, że Rosjanie ugryźli większy kąsek, niż są w stanie połknąć. Mieszkańcy państw bałtyckich reagują wprost wspaniale. Tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy przyłączyły się do operującej w lasach partyzantki i nie ustają w walce, sprawiając Rosjanom z każdym dniem coraz więcej kłopotów. Daje to taki ciekawy skutek, że według naszych ustaleń Rosja osłabia swoje siły w obwodzie kaliningradzkim. To niewielka enklawa pomiędzy Polską a Litwą. Mają tam rozmieszczone pociski Iskander, ale z tego, co widzimy na zdjęciach

satelitarnych, ich siły konwencjonalne przemieszczają się ostatnio rosnącym strumieniem z Kaliningradu na Litwę. To sugeruje, że dzieje się coś dziwnego. Naszym zdaniem chodzi o szybkie wzmocnienie wojsk okupacyjnych, żeby mogły uporać się z ruchem oporu, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. W każdym razie ja tak bym postąpił na miejscu rosyjskiego dowódcy: skoncentrowałbym dostępne siły tam, gdzie są najbardziej potrzebne, akceptując ryzyko związane z osłabieniem innych odcinków.

– Co możemy zrobić, żeby wesprzeć ruch oporu? – spytała Dillon.

– To proste, pani prezydent. Dostarczać broń, sprzęt, szkolić. Przygotowujemy oddziały łącznikowe rekrutujące się z naszych europejskich sił specjalnych. I chcemy je tam przerzucić, oczywiście za pani zgodą.

– Miło mi słyszeć – odparła lakonicznie prezydent. – A teraz proszę mi powiedzieć, jak ocenia pan brytyjski pomysł rozpoczęcia działań ofensywnych od ataku na Kaliningrad.

MacWhite był weteranem ze zbyt dużym doświadczeniem bojowym, żeby nie zachować ostrożności w tej materii. Wiedział dobrze, że wojna łatwo może przybrać niespodziewany obrót i trudno jest przewidywać jej przebieg, a jeszcze trudniej go kontrolować.

– To ciekawy pomysł, pani prezydent. Domyślam się, że wyszedł od głównodowodzącego NATO i jego brytyjskiego zastępcy, dynamicznego gościa... i byłego marine – dodał z aprobatą. – Rozumiem, że zasadnicza koncepcja jest taka, że zajmujemy obwód kaliningradzki, po czym oferujemy go Rosjanom w zamian za państwa bałtyckie?

– Dokładnie – przytaknęła Dillon.

– Dobrze, zatem chciałbym, żeby sztab przyjrzał się temu szczegółowo. Jeśli nam się udać, musimy zebrać odpowiednie siły oraz zapewnić polityczne wsparcie akcji przez państwa członkowskie. Dla NATO taka ofensywa to spore zadanie. Niemniej jeśli nam się uda, wtedy na pewno ciężko namieszamy Rosji na poziomie strategicznym. To ostatnie, czego mogą oczekiwać. Wcześniej jednak musimy rozważyć kilka istotnych kwestii. Po pierwsze, frontalny atak na państwa bałtyckie oznaczałby uderzenie tam, gdzie są obecnie najsilniejsi, co od razu sugeruje, że lepiej wybrać mniej bezpośrednie podejście do tematu. I jeśli rzeczywiście osłabiają garnizon obwodu kaliningradzkiego, działa to na naszą korzyść. Druga kwestia, o wiele ważniejsza, to że rosyjski prezydent jasno zapowiedział, że każdy atak na państwa bałtyckie albo na teren właściwej Federacji Rosyjskiej spotka się ze zdecydowaną reakcją w postaci użycia broni atomowej. Nie zostawił w tej kwestii żadnych niedomówień i ja bym mu wierzył. Rozmieszczone w Kaliningradzie rakiety Iskander mają w swoim zasięgu takie miasta, jak Berlin, Kopenhaga czy Warszawa. Nieprzypadkowo ulokowano je właśnie tam.

Przerwał na chwilę.

– To oznacza, że musimy działać rozważnie. Liczę na to, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przedstawi nam jakieś propozycje działań na froncie cybernetycznym. Być może zresztą już coś mają. Każda taka akcja będzie musiała obejmować atak na wszystkie struktury dowodzenia i kontroli, nie tylko te związane z bronią atomową. Co więcej, musi to być coś, co na pewno zadziała. Konsekwencje niepowodzenia w sytuacji, gdy stawką jest zagrożenie użyciem broni atomowej, są dla mnie trudne do wyobrażenia.

– Proszę się zastanowić nad tym z nimi, jak zajmę się politycznym kontekstem – odparła Dillon. – Ale jakich sił będziemy do tego potrzebowali? Co możemy dostarczyć i czym dysponują nasi sojusznicy?

– Pani prezydent, mówimy o jednym z najbardziej nasyconych wojskiem regionów Europy.

MacWhite zastanawiał się nad tym jeszcze przed spotkaniem. Bear ściągnął trochę danych z wywiadowczej strony Pentagonu i przekazał je generałowi.

– Przyjmując, że Rosjanie osłabili garnizon obwodu, możemy oczekiwać, że znajduje się tam do czternastu tysięcy ludzi pod bronią, podzielonych na trzy brygady. Do tego dochodzą artyleria, śmigłowce i wojska raketowe. Sprzęt bojowy to jakieś osiemset czołgów, tysiąc dwieście innych pojazdów opancerzonych oraz ponad trzysta armat i wyrzutni rakiet. To olbrzymia masa uzbrojenia skupiona na względnie małej przestrzeni. Zatem nasze szanse zależą od tego, czy i te liczby zostały zredukowane w związku z przesunięciem jednostek na teren państw bałtyckich.

Na Dillon liczby zrobiły chyba wrażenie, bo na razie się nie odezwała.

– Potrzebujemy co najmniej trzykrotnej przewagi liczebnej – dodał MacWhite – co oznacza atak siłą korpusu, czyli byłaby to operacja na jakieś pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Z rozbudowaną zdolnością zwalczania broni pancernej na początek.

– Skąd weźmiemy ich wszystkich? – spytała Dillon.

– Dzięki pani decyzji o skróceniu czasu osiągnięcia gotowości, podjętej osiemnastego maja, Osiemnasty Korpus Powietrznodesantowy jest niemal gotowy do drogi. Osiemdziesiąta Druga i Sto Pierwsza Dywizja Powietrznodesantowa też mogą dołączyć, przy czym ta pierwsza przebywa w Wielkiej Brytanii, od kiedy odwołaliśmy jej lądowanie na Łotwie. Podjęliśmy również pewne przygotowania do wysyłki do Europy dwóch brygad pancernych Czwartej Dywizji Piechoty. Za kilka dni powinny rozpocząć wyładunek w Bremerhaven. Dołączą do dwóch brygad, które przesunęliśmy już do Niemiec, co da nam mieszaną jednostkę z dużym nasyceniem bronią pancerną. A do tego dochodzi jeszcze Drugi Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej z Camp Lejeune w Karolinie Północnej, który wyruszył już na drugą stronę Atlantyku. W połączeniu z Osiemnastym Korpusem stworzy silną jednostkę z dużymi możliwościami desantowymi. Jeśli chodzi o siły morskie, Szósta Flota idzie pełną prędkością przez Morze Śródziemne, a kolejne jednostki wyszły już z Norfolku, żeby



do niej dołączyć. Siły powietrzne mamy już w Europie w pożądanej ilości. Zakładając więc, że i nasi sojusznicy coś dorzucą, będziemy dysponować siłami niezbędnymi do tej operacji.

Więcej nie zdołał powiedzieć, ponieważ prezydent powstrzymała go uniesieniem dłoni.

– Chwilę, pogubiłam się w tych szczegółach. Czy mogę prosić o przedstawienie ich ponownie, tym razem w bardziej uporządkowany sposób?

– Przepraszam, pani prezydent – mruknął MacWhite. – Chyba entuzjazm mnie poniósł. Bear...? – Spojrzał na Beara, siedzącego na jednym z krzeseł przy stole konferencyjnym. – Możesz przedstawić prezentację, którą przygotowałeś dla mnie przed spotkaniem?

Pułkownik wyświetlił kolejno wszystkie slajdy opisujące wspomniane wcześniej jednostki. Dillon patrzyła i słuchała uważnie, notując coś na otrzymanym wydruku prezentacji. Potem zadała jeszcze MacWhite'owi szereg dociekliwych pytań i spojrzała na Beara.

– Dziękuję, pułkowniku. Świetnie przygotowany materiał. A teraz sprawdźmy, czy dobrze wszystko policzyłam. – Zerknęła do swoich notatek. – Osiemdziesiąta i Sto Pierwsza to razem jakieś czterdzieści tysięcy ludzi. Czwarta Dywizja plus dwie brygady i jeszcze te dwie brygady z Niemiec to jakieś trzydzieści tysięcy. Wspomniał pan o korpusie marines, który da dywizję, oraz o skrzydle lotniczym i grupie logistyki. Razem jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi. – Przerwała na chwilę i przeliczyła w pamięci. – To daje dziewięćdziesiąt tysięcy.

Bear był pod wrażeniem gotowości prezydent Dillon do wnikania w szczegóły, chociaż zaskoczyło go jej przywiązywanie tak wielkiej uwagi do liczb. Pewnie zostało jej to po pracy w zarządzaniu, gdzie nic nie mogło się obyć bez prezentacji danych liczbowych.

– Powiedział pan, że zwykle planowanie operacji wojskowych przewiduje przewagę jeden do trzech, więc już widzę, że nasze siły będą wystarczające. Ale prawdziwa trudność wiąże się z wykonaniem, prawda?

MacWhite skinął głową.

– Możemy dostarczyć tam tych ludzi, ale musimy jeszcze przechytrzyć Rosjan w ich własnej grze. Mamy dość sił konwencjonalnych, a jeśli nasi sojusznicy dołączą ze swoimi oddziałami, będziemy dysponować naprawdę potężną siłą. Niemniej klucz do sukcesu i jedyny sposób na pokonanie Rosjan to nie sama siła, ale mądrość. Musimy być lepsi od nich w tym, co sami zwykli od dawna ćwiczyć. I tutaj widzę rolę dla naszych sił specjalnych. Ale to wolałbym omówić na osobności, jeśli można.

Bear wiedział, że jako były dowódca sił specjalnych MacWhite żywił głęboką niechęć do publicznego omawiania wszystkiego, co się z nimi wiązało. Jak sam kiedyś powiedział, nie chodziło nawet tak bardzo o możliwe przecieki, ale o nieuniknione

wspomnienia polityków, które prędzej czy później miały zostać spisane. Ujawnienie kulisów jakieś akcji mogłoby zamknąć Stanom Zjednoczonym możliwość wykorzystania tego samego rozwiązania w przyszłości.

– Następnie będziemy musieli wprowadzić w sprawę NATO. Chociaż większość jednostek będzie amerykańska, musimy zgromadzić międzynarodowe siły, żeby nadać temu moc polityczną. Trzeba pamiętać, pani prezydent, że jeśli Rosjanie sięgną po broń atomową, z początku będą to najpewniej ładunki taktyczne, zastosowane wobec naszych sił. Ale nie możemy się uspokajać, że tylko Europa ucierpi. Rosja niemal na pewno sięgnie ostatecznie po międzykontynentalne rakiety balistyczne, na co my będziemy zmuszeni odpowiedzieć, a to oznacza wymianę ciosów nuklearnych i zniszczenie wielu amerykańskich miast... – Nie musiał mówić nic więcej. Konsekwencje takiej eskalacji konfliktu były zbyt straszne, by w ogóle je rozważać.

Dillon pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Siedziała tylko w swoim fotelu u szczytu stołu i przeglądała uważnie notatki.

Nikt się nie odzywał.

W końcu spojrzała wprost na MacWhite'a.

– Możemy to zrobić, Abe, i musimy to zrobić. Broniąc Europy, bronimy zarazem Ameryki. Zbyt wiele ryzykowaliśmy i zbyt wiele założyliśmy z góry, twierdząc, że świat stał się bezpieczniejszym miejscem, skoro tak zmałał. Ale wszyscy daliśmy się nabrać. Teraz musimy zrobić to, co powinno zostać zrobione, i pozwólcie, że wyrażę to jasno i dobitnie – powiedziała zdecydowanym tonem. – Jeśli Rosja sięgnie po broń atomową, nawet tylko taktyczną, nie zawaham się użyć międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Zadbajcie o to, żeby ta informacja została im przekazana wszystkimi dostępnymi kanałami dyplomatycznymi. Nie możemy dopuścić do tego, tak dla naszego dobra, jak i dobra całego świata, żeby Rosjanie żywili w tej materii jakiegokolwiek wątpliwości.

Przerwała, żeby dobrze sobie to zapamiętali, po czym podjęła spokojniejszym już głosem:

– Nasi sojusznicy w państwach bałtyckich, demokratycznych krajach z wielkim uwielbieniem dla wolności, muszą zostać wyzwoleni spod rosyjskiej okupacji. I my tego dokonamy. Ale, jak powiedział Abe, musimy podejść do sprawy mądrze. –

Spojrzała na Chiariniego. – Pete, ustaw spotkanie gabinetu na dzisiaj, tak żebyśmy mogli jak najszybciej ruszać ze sprawą. Potem przeprowadzę kilka rozmów telefonicznych, zaczynając od Londynu. Niech wiedzą, że Ameryka będzie walczyć.

Wtorek 6 czerwca 2017 roku, godzina 15.00

Kwatera główna NATO, Bruksela, Belgia

Tym razem gdy McKinlay zasiadł obok głównodowodzącego w sali obrad Rady Północnoatlantyckiej, obyło się bez zwykłego rozgardiaszu i paplaniny dyplomatów, personelu wojskowego i asystentów, którzy najczęściej wolno zajmowali miejsca. Wszyscy czuli powagę sytuacji, kiedy sekretarz generalny NATO Radek Kostilek wszedł szybkim krokiem i zajął miejsce przy okrągłym stole wraz z dwudziestoma ośmioma ambasadorami państw członkowskich. Przed każdym widniała tabliczka z imieniem i nazwiskiem oraz flagą jego kraju. Obowiązywała kolejność alfabetyczna. Niepowodzenie NATO w powstrzymaniu Rosji przed najazdem na państwa bałtyckie, ciężkie straty poniesione przez amerykańskie Siły Powietrzne na Łotwie, zatopienie dwóch okrętów w Rydze i ostatecznie największa z katastrof, utrata HMS *Queen Elizabeth*, dogłębnie wstrząsnęły całym Sojuszem.

To była wielka porażka, która nie miała precedensu w historii NATO, i o tak poważnych militarnych, społecznych i ekonomicznych konsekwencjach, że nawet kraje przeciwne wcześniej akcji militarnej zmieniły front. Granice i równowaga sił w Europie mogły ponownie ulec zmianie i tym razem, inaczej niż w przypadku zimnej wojny, demokratyczny Zachód znalazłby się na przegranej pozycji.

Kostilek jeszcze przed spotkaniem zwierzył się Howardowi i McKinlayowi, że obawiał się nawet upadku Sojuszu. Przetrvanie NATO zależało od tego, jak zareaguje na te ciosy. Od początku spotkania musiał zatem narzucić właściwy ton, żeby przeciwnicy nie zdołali przejąć nad nim kontroli.

– Panie i panowie! – zaczął stanowczo Kostilek z lekkim polskim akcentem, który pojawiał się u niego w bardziej emocjonalnych chwilach. – Najpierw proszę o powstanie i uczczenie minutą ciszy pamięci wielu żołnierzy i marynarzy NATO, którzy oddali ostatnio swoje życie w obronie wolności.

McKinlay wstał wraz z innymi. W trakcie minuty ciszy na otaczających stół ekranach pojawiły się flagi państw, które poniosły ofiary, także w alfabetycznym porządku: Estonia, Litwa, Łotwa, Niemcy, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania.

Potem Kostilek usiadł i zwrócił się do Rady:

– Panie i panowie, Sojusz poniósł w ostatnich dniach ciężkie straty na skutek rosyjskiej agresji skierowanej przeciwko państwom bałtyckim. Zjednoczyliśmy się dla oddania hołdu naszym poległym towarzyszom broni i potępienia działań Federacji Rosyjskiej, ale nie wolno nam ulegać iluzjom. Sojusz został powołany do życia w 1949

roku w celu zapewnienia wspólnej obrony i temu służył przez sześćdziesiąt osiem lat, niemniej teraz, gdy pojawił się prawdziwy kryzys, wspólne działania obronne okazały się fikcją. Sojusz zawiodł. Nie muszę wam przypominać, że NATO to po prostu grupa państw związanych wzajemnym porozumieniem... a to oznacza, że owe państwa zawiodły. – Przerwał i rozejrzał się uważnie po zebranych, w jasny sposób dając im do zrozumienia, że uważa ich za odpowiedzialnych za porażkę. Zrobiwszy to, co konieczne, wrócił do zasadniczego tematu. – Pozwólcie, że przypomnę czasy zimnej wojny. Tak, wtedy w skład Sojuszu wchodziło mniej państw, ale nasi poprzednicy świetnie rozumieli, że wspólna obrona to nie tylko słowa. Że same słowa, o ile nie zostaną wsparte rzeczywistymi działaniami, nie zrobią wrażenia na naszych wrogach. Jaki kontrast wobec dnia dzisiejszego! Sojusz ma obecnie wiele do powiedzenia i stroszy piórka, przechwalając się możliwościami, ale nie zdołał w ten sposób powstrzymać Rosji przed agresją. Czy Federacja Rosyjska ośmieliłaby się zaatakować silne, zdeterminowane, dobrze wyposażone i naprawdę gotowe siły zbrojne? Z pewnością nie! – Ostatnie słowo niemal wykrzyczał.

Przez chwilę słychać było wkoło stołu pomruki niezadowolenia i protestu, dokładnie tak, jak Kostilek przewidywał. NATO stało przez czterdzieści lat naprzeciwko rozbudowanych armii Układu Warszawskiego, ale pokój zwyciężył. Dlaczego? Ponieważ Układ Warszawski świetnie wiedział, że NATO jest gotowe do odparcia ataku, a obecni przedstawiciele państw członkowskich wystarczająco dobrze znali historię. Stąd właśnie brało się ich zawstydzenie, w niektórych przypadkach może nawet poczucie winy. I w ten właśnie czuły punkt, jak wspominał wcześniej w rozmowie z Howardem i McKinlayem, Kostilek zamierzał uderzyć.

Teraz jednak uderzył dłonią w stół i gwar ucichł.

– Tymczasem mamy, co mamy, i nie możemy się łudzić, że sprawa rozwiąże się sama. Bracia i siostry z Litwy, Łotwy i Estonii znaleźli się pod rosyjską okupacją i jak teraz wiemy, ich kraje mają być niebawem oficjalnie włączone do tego imperium strachu i terroru. – Na chwilę złagodził ton. – Ambasadorzy tych krajów, drodzy przyjaciele i koledzy, przekazuję wam wyrazy najgłębszego współczucia, ale bądźcie pewni... – Tu grzmotnął ponownie dłonią w stół i spojrzał znacząco na zebranych. – Bądźcie pewni, że nie spoczniemy, dopóki wasze kraje nie będą znowu wolne, i mówię w imieniu wszystkich członków Sojuszu.

Przerwał ponownie i przebiegł spojrzeniem po twarzach ambasadorów. Jako Polak rozumiał o wiele lepiej niż ktokolwiek z Europy Zachodniej, jak może wyglądać życie na terenach włączonych do imperium rosyjskiego. Niektórzy opuścili głowy, nie próbując podejmować wyzwania. Inni śmiało spojrzeli mu w oczy. Kilku pokiwało zgodnie głowami. Sekretarz generalny osiągnął swój cel.

– Drodzy koledzy. NATO jest sojuszem krajów, które mają łącznie prawie cztery miliony ludzi pod bronią. Przewyższamy zdecydowanie Rosję w zasobach ludzkich,

sprzętowych i logistycznych. Zjednoczeni dysponujemy siłą, której nic nie może się przeciwstawić. Zjednoczeni możemy nie tylko oswobodzić naszych przyjaciół w państwach bałtyckich, ale także obronić wolność, demokrację i rządy prawa, które tak cenimy. Alternatywa jest zbyt straszna, żeby poważnie ją rozważać. Czy i wy chcecie się znaleźć pod panowaniem Rosji? Czy chcecie być następnymi, którzy będą prosić Radę Północnoatlantycką o pomoc? Odrywani od Sojuszu kolejno, kraj po kraju, zgodnie z kaprysem prezydenta Federacji Rosyjskiej? Ponieważ nie ma co się łudzić, tak właśnie będzie wyglądała przyszłość.

Jak zauważył McKinlay, teraz Kostilek zdołał przykuć już powszechną uwagę. Grecy mogli brać pożyczki z Rosji, ale jeśli w zamian za owe pożyczki mieli zacząć udostępniać swoje porty rosyjskiej marynarce wojennej, a lotniska rosyjskim siłom powietrznym, to była już całkiem inna historia. Nawet Grecja zdawała sobie sprawę, że jej niepodległość zależy od demokracji, każdy zaś, kto czytał gazety czy oglądał serwisy informacyjne w telewizji, mógł łatwo się przekonać, że demokracja była tym, czego rosyjski prezydent nienawidził najbardziej.

Kostilek zakończył bezpośrednim wezwaniem do działania.

– Pozwólcie, że wyrażę rzecz jasno. Od chwili, gdy NATO zaakceptowało uznanie artykułu piątego, znalazło się w stanie wojny z Rosją. Dzisiaj oczekuję, że Rada Północnoatlantycka dojdzie do porozumienia, które pozwoli ni mniej, ni więcej, tylko na wyzwolenie Litwy, Łotwy i Estonii, i że wasze kraje dostarczą środków militarnych, żeby to osiągnąć. Musimy być przygotowani do najwyższego wysiłku dla zwycięskiej walki o państwa bałtyckie.

Gdy skończył, odczekał jeszcze chwilę i poprosił o zabranie głosu ambasadora Stanów Zjednoczonych.

– Dziękuję, panie sekretarzu generalny. Zgodnie z instrukcją, którą otrzymałem, mam przekazać wszystkim państwom członkowskim NATO przesłanie od pani prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki: USA nie wyrzeknie się swoich zobowiązań. Członkowie Sojuszu mogą być pewni, że ponownie pospieszymy Europie na pomoc w godzinie potrzeby. Jesteśmy w trakcie relokacji znaczących sił do Europy. Prezydent jest głęboko przekonana, że NATO zrobi wszystko, co konieczne, żeby usunąć rosyjskiego okupanta z państw bałtyckich. Ameryka wprowadzi swoje siły i nie cofnie się aż do zwycięstwa. Pani prezydent prosi wszystkie państwa członkowskie o wywiązanie się z zobowiązań wynikających z artykułu piątego, ale jeśli okaże się to konieczne, sami też będziemy walczyć – zakończył.

Jako następna osoba przemawiała przedstawicielka Wielkiej Brytanii, dame Flora Montrose. Jak zwykle była zwięzła.

– Państwa bałtyckie, które są sojusznikami Wielkiej Brytanii, zostały zaatakowane i znajdują się obecnie pod okupacją. Royal Navy doznała dwóch niesprowokowanych ataków na nasze okręty, *Queen Elizabeth* i *Padstow*. Zginęły setki naszych marynarzy,

marines i żołnierzy. Wielka Brytania nie będzie stała z boku i nie pozwoli, żeby ten akt agresji pozostał bezkarny. Wielka Brytania uznaje tym samym, że znajduje się w stanie wojny z Federacją Rosyjską. Razem ze Stanami Zjednoczonymi oraz, jak ufam, pozostałymi członkami NATO, zrobimy co tylko trzeba, żeby w państwach bałtyckich ponownie zapanowały pokój i praworządność.

Przy stole dał się słyszeć szmer zdumienia. Wielka Brytania wreszcie występowała przed szereg i przejmowała czołową rolę w NATO. Miła odmiana po ostatnich latach.

Kostilek spojrział na rosnącego niemieckiego ambasadora, który nie był chyba w najlepszym nastroju.

– Panie sekretarzu generalny, drodzy ambasadorowie. Za sprawą naszej historii wiemy szczególnie wiele o niesprowokowanej agresji dyktatorów nieskrępowanych koniecznością dostosowania się do wymogów demokratycznych instytucji społecznych. To, czego jesteśmy świadkami w państwach bałtyckich, nie różni się wiele od okupacji Europy przez nazistowskie Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Wiecie dobrze, że ta właśnie przeszłość zaważyła na naszej niechęci do uczestnictwa w międzynarodowych misjach, które przewidywały użycie siły. Trudno mi jednak dość dobitnie wyrazić nasze oburzenie i przerażenie, które wywołało w naszym kraju zatopienie FGS *Eckernförde* i śmierć tak wielu osób z jego załogi. To właśnie, a także ataki na naszych przyjaciół w krajach bałtyckich oraz na okręty i żołnierzy USA i Wielkiej Brytanii, całkowicie odmieniło naszą postawę. Bundestag, Trybunał Konstytucyjny oraz szerokie masy obywateli opowiadają się obecnie za podjęciem wszelkich działań, jakie tylko będą konieczne dla usunięcia wojsk rosyjskich z państw bałtyckich. Niemcy są gotowe wziąć równoprawny udział w podejmowanych wspólnie operacjach wojskowych. Mamy przy tym nadzieję, że inni członkowie NATO też się do nas przyłączą. Ale jeśli okaże się to konieczne, będziemy walczyć także i bez nich.

McKinlay pomyślał, że oto stał się świadkiem historycznej chwili. Niemcy, które były dotąd najbardziej pacyfistycznie nastawionym krajem NATO, decydowały się na użycie siły. Podobnie jak wielu jego kolegów, żywił wielki szacunek dla profesjonalizmu niemieckich dowódców, oficerów sztabowych i jakości ich sprzętu wojskowego i niezmiennie żałował, że wszystko tak bardzo się marnowało. Teraz jednak czołgi z czarnymi krzyżami na wieżach znowu miały ruszyć na wschód. Nie dla podbojów i okupacji, ale żeby nieść wolność.

– To właśnie chciałem usłyszeć – mruknął do siedzącego obok admirała Howarda. Potem nakreślił krótką notatkę i przekazał ją swojemu niemieckiemu asystentowi, komandorowi Wolfgangowi Kretschmerowi z marynarki wojennej, który dołączył niedawno do jego zespołu.

Kretschmer przeczytał, skinął głową i wyszedł z pokoju, żeby zadzwonić do szefów sztabów obrony Niemiec i Wielkiej Brytanii.

McKinlay słuchał dalej wystąpień ambasadorów. W większości deklarowali

gotowość udziału sił zbrojnych swoich krajów w każdej akcji koniecznej dla wyzwolenia państw bałtyckich. Tylko przedstawiciele Węgier i Grecji milczeli, chociaż z drugiej strony nie zgłaszali też sprzeciwu, co w tej sytuacji było równie ważne. Sekretarz generalny poczekał jeszcze trochę, aż w końcu uznał, że nadeszła właściwa chwila.

– Szanowni ambasadorowie, dziękuję za zajęcie pozytywnych stanowisk i gratuluję wam postawy. Widzę, że jesteście jednomyślni w gotowości wsparcia działań koniecznych dla wyzwolenia państw bałtyckich. Skoro doszliśmy wspólnie do tego wniosku i nic nie uniemożliwia nam skoordynowania działań, przyszłość Sojuszu jest bezpieczna. Nie wątpię, że kraje członkowskie podołają wyzwaniu. Teraz pora odpowiedzieć na pytanie, co możemy zrobić. Ta kwestia pozostaje już w rękach wojskowych, dlatego poproszę o zabranie głosu głównodowodzącego Sojuszu. SACEUR, oddaję panu głos.

– Dziękuję, panie sekretarzu generalny – powiedział Howard. – Wszyscy otrzymacie niebawem zarys naszych propozycji. Będą one oczywiście oznaczone jako ściśle tajne i tym samym nie będę przedstawiał ich głośno, jako że zachowanie względów bezpieczeństwa ma w takich przypadkach kluczowe znaczenie. Tym samym nie możemy omawiać niektórych rzeczy otwarcie na forum Rady Północnoatlantyckiej. Proponuję zatem, żeby najpierw mój zastępca omówił w skrócie stojące przed nami wyzwania, dzięki czemu uzmysłowicie sobie skalę czekającej nas operacji. Po drugie, proponuję zorganizowanie zamkniętego i utajnionego spotkania waszych wojskowych przedstawicieli. Ci zadbają następnie o przedstawienie wam w przystępny sposób tego, co zamierzamy. Przede wszystkim jednak potrzebuję teraz waszej zgody na rozpoczęcie procesu szczegółowego planowania naszych działań.

– Wszyscy rozumiemy, że zachowanie tajemnicy jest szczególnie ważne – zgodził się Kostilek. – Czy mogę przyjąć, że Rada Północnoatlantycka aprobuje propozycję dowództwa wojskowego NATO, żeby rozpocząć proces planowania operacji, których wstępny zarys otrzymacie?

Odpowiedziała mu cisza.

– Rozumiem, że tak – ogłosił Kostilek, zanim ktokolwiek zdążył wyrazić odmienne zdanie. – Tym samym proszę zastępcę głównodowodzącego NATO o zabranie głosu i przedstawienie potrzeb gotowości naszych sił.

McKinlay rozejrzał się wkoło. W przeciwieństwie do poprzednich sesji zebrani byli skupieni i zdecydowani. Najtrwalszy sojusz świata znalazł dość sił w swojej najczarniejszej godzinie, żeby zmobilizować się do działania.

– Panie i panowie, nie będę wchodzić na razie w szczegóły. Wystarczy powiedzieć, że będę spotykał się z przedstawicielami waszych krajów, żeby omówić z nimi warunki mobilizacji sił potrzebnych do zrealizowania operacji, o której wspomniał właśnie sekretarz generalny. Pozwólcie jednak, że zaznaczę dobitnie jedno. Ta operacja będzie

wymagała zaangażowania na skalę, której nawet nie rozpatrywaliśmy od czasu zakończenia zimnej wojny. Jeśli nie będziecie gotowi należycie jej wesprzeć, nie osiągnie powodzenia. Jak wspomniał wcześniej sekretarz generalny, przy milionach ludzi pod bronią NATO dysponuje większym potencjałem militarnym niż Rosja. Moi podwładni przekażą każdemu z was z osobna, czego od was potrzebujemy. Was zaś poprosimy o przekazanie wiadomości waszym rządowi, że nasze zwycięstwo i wyzwolenie państw bałtyckich będzie zależeć od ich sprawnego działania.

Przerwał, czekając na pytania. Nie było ani jednego, więc zaraz potem Kostilek zakończył spotkanie. Howard i McKinlay mieli zielone światło.

Gdy ostatni ambasador znalazł się już poza zasięgiem głosu, admirał Howard pochylił się do swojego zastępcy.

– To teraz robimy tak, jak uzgodniliśmy. Przygotowujemy dwa plany. Jeden na pokaz i jeden prawdziwy. Ten pierwszy przekażę ambasadorom i ich politycznym mocodawcom. Ledwo trafi do poszczególnych stolic, zaraz rozejdzie się po różnych biurkach i jestem święcie przekonany, że jeszcze tego samego dnia trafi też do Rosjan. Niemniej i tak będzie ograniczony, ja zaś ujawnię go niechętnie i tylko z powodu politycznej presji. To powinno uspić podejrzania Rosjan. Ty zaś skupisz się na prawdziwym planie. I pilnuj go dobrze, a nawet bardzo dobrze. Jeśli Rosjanie zwąchają, jak jest naprawdę... Sam wiesz.

Godzinę później, po szybkiej jeździe ulicami Brukseli, McKinlay znalazł się znowu przy swoim biurku w budynku SHAPE. Z kubkiem herbaty pod ręką połączył się bezpieczną linią ze starym przyjacielem, generałem Reinhardtem Jacobsenem, niemieckim szefem sztabu obrony, którego poznał jeszcze w Staff College w Camberley. Podobnie zresztą jak Kydda, nowego brytyjskiego szefa sztabu.

Jeśli ktokolwiek może dopilnować, żeby Niemcy dostarczyli to, czego trzeba, Reinhardt jest taką właśnie osobą, pomyślał McKinlay, gdy uzyskał połączenie. Znany w niemieckiej armii jako „die Lange”, czyli Długi, za sprawą imponującego wzrostu, był żołnierzem z krwi i kości. Jego dziadek brał udział w desancie na Kretę w 1941 roku. Służył w podlegającej Luftwaffe elitarnej Brygadzie Spadochronowej Ramckego i nie było nigdy żadnych wątpliwości co do tego, że Jacobsen również zostanie żołnierzem. Jako zdeklarowany pancerniak zapewnił McKinlaya, że 1. Dywizja Pancerna została już zmobilizowana. Uzgodniono z Polską, że wzmocni ją 10. Brygada Kawalerii Pancernej, co da łącznie około 15 tysięcy ludzi i 150 czołgów.

– David, jeśli zdołasz namówić Brytyjczyków, żeby dali dowództwo Korpusu Szybkiego Reagowania, to widziałbym Pierwszą Pancerną właśnie pod nim. Wiedzą, jak dowodzić w walce, i ufamy im – zakończył Jacobsen.

Potem McKinlay zadzwonił do generała Jocka Kydda w Londynie.

Przy popiskiwaniu systemu szyfrującego przywitał go jak serdecznego przyjaciela.

– Cześć, stary draniu. Dobrze cię słyszeć. Co za bagno. Ale damy radę się



wykaraskać.

Poinformował Kydda o decyzji Rady, żeby ruszać z planowaniem operacyjnym, i spytał, co Wielka Brytania może dorzucić ze swojej strony. Było oczywiste, że po ostatnich zmianach na najwyższych szczeblach władzy atmosfera w Londynie też mocno się odmieniła. Kydd wprost powiedział, że machina już ruszyła i rezerwiści są ściągani do jednostek, ale sprawa musi trochę potrwać.

Potem zaczął się pienić na idiotyzm pomysłu zastąpienia zaprawionych w walce zawodowych żołnierzy teoretycznie istniejącymi rezerwistami, ale McKinlay zaraz mu przerwał:

– Te bombki już szlag trafił, Jock. Musisz działać z tym, co masz.

– Przepraszam, Dave. Po prostu wciąż mnie, kurwa, irytuje, jak ktoś może się tak kretyńsko bawić.

Potem Kydd opowiedział o kompletowaniu nowej grupy operacyjnej Royal Navy. W jej skład miały wejść okręty desantowe HMS *Ocean* i HMS *Albion* z komandosami Royal Marines, którzy mieli wesprzeć amerykański II Korpus Ekspedycyjny. Równocześnie zmobilizowano wszystkie dostępne maszyny bojowe Royal Air Force. Co do wojsk lądowych, Kydd przekazał 16. Brygadę Powietrznodesantową pod dowództwo amerykańskiej 82. Dywizji Powietrznodesantowej, natomiast Korpus Sojuszniczych Sił Szybkiego Reagowania przygotowywał się właśnie do transportu do Polski.

– Ale powiem ci, że głowa mała, co tu się odpięrdala – powiedział Kydd, wracając do zwykłego sposobu mówienia. – Gdy przypomnę sobie wojnę w Zatoce, to też musieliśmy się spinać, ale złożyliśmy do kupy całą sprawną dywizję. A teraz, dzięki tym cięciom budżetowym, przyszło nam ogołocić wszystkie wozy w całej armii, żeby przygotować tylko jedną brygadę na wojnę. To jest, kurwa, żalosne. Sam wiesz, że z jedną brygadą za chuja nic nie zrobisz. Jasne, mamy dowództwo dywizyjne, ale będziemy musieli zebrać u Francuzów, żeby dali nam drugą brygadę. Wtedy wystawimy słabą dywizję. Na razie urabiamy sobie łapy, żeby w ciągu dziesięciu dni wysłać tę brygadę do Polski. Niech zaczną tam ćwiczyć.

– Aż tak źle? – spytał McKinlay. Znane mu raporty wspominały o czołgach i innych pojazdach opancerzonych, zmagazynowanych bez silników, gąsienic i ważnych części, ale opisywanych jako „sprawne”.

– A źle, Dave. Jeden jaśniejszy punkt to Dwudziesta Brygada Pancerna stacjonująca w Niemczech. Tyle dobrego, że nie będziemy musieli wszystkiego wysłać przez kanał. Ale cięcia oraz nacisk na Państwo Islamskie i Bliski Wschód sprawiły, że byli ostatni w kolejce po forszę. Przywracanie ich do stanu operacyjnego to będzie czysta poezja.

– Ale dacie radę?

– Co by nie. Za kilka chwil pójdę przeczołgać ministra obrony.

– Wiele bym dał, żeby to zobaczyć! – odparł ze śmiechem McKinlay, wyobraziwszy

sobie taką musztrę. Zaraz jednak spowaźniał. – Zostaje sprawa ludzi na miejscu. Będziemy tam kogoś potrzebowali, i to już niebawem. Operacje Specjalne z NATO koordynują wsparcie Sojuszu dla leśnych braci we wszystkich trzech państwach bałtyckich, ale musimy rzucić jeszcze kogoś do obwodu kaliningradzkiego. Może od was?

– Racja, kolego – mruknął Kydd. – Skontaktujemy się z Dowództwem Sił Specjalnych i zaraz coś wymyślimy. Chociaż tak po prawdzie mamy tam już mały zespół. Na Łotwie. Tak bardziej przypadkiem, ale jest. – Wyjaśnił, jakim sposobem grupa Morlanda dołączyła do leśnych braci. – Mimo to musimy ich stamtąd zabrać. Wywiad ustalił, że Rusczy wzięli tego Morlanda na celownik. Wiem, że to kurewsko dziwne, ale sam prezydent rozkazał go pojmać. Wini go za wytarzanie prezydenckiej dupci w błocie przez ochroniarzy i traktuje to mocno osobiście. Podobno Russia Today ma być gotowa w każdej chwili do akcji z Morlandem. Gdyby go złapali, oczywiście. Ten ich prezydent musi być chyba coraz słabszy w jajach, że go tak jeden młody kapitan piechoty ruszył. – Zaśmiał się sardonicznie. – Od dawna wiadomo, że mu szajba odbija na własnym punkcie, ale do tej hecy myślałem, że umie rozgrywać pewne rzeczy na zimno.

McKinlayowi nagle coś przyszło do głowy.

– A nie dałoby się przerzucić tego Morlanda pod Kaliningrad? Leśni bracia współdziałają na obszarze wszystkich trzech państw i lepiej niż ktokolwiek znają teren. Powinni dać radę przeprowadzić go po cichu, w razie potrzeby przekazując kolejnym grupom. Przy okazji pozna trochę lepiej realia. Potem możemy wysłać tam dla zmylenia drużynę z sił specjalnych, która rozpozna drogi wniknięcia do państw bałtyckich i ściągnie przy okazji na siebie uwagę Rosjan. Bo oni przecież nie odpuszczą.

– Dobry pomysł, Dave. Szef sił specjalnych był u mnie rano i głowił się ciężko, jak jego chłopcy mają wejść do obwodu kaliningradzkiego. Granica z Polską jest krótka i dobrze strzeżona, a Shaky Boats <sup>1</sup> uważają, że próba podejścia od morza równa się teraz samobójstwu, i chyba skłonny jestem się z nimi zgodzić. Jeśli zaś spróbują desantu na ślepo, wszystko jedno, czy z dużej, czy małej wysokości, mogą nadzieć się na ruski bagnet. Albo w ogóle wylądować na jakimś Rusku. Tam są niemal sami Rosjanie i lada chwila zaczną pilnie rozglądać się wkoło. Nie... Ale twój pomysł jest w porządku, Dave. Przejście przez teren okupowany przez Rosjan to sprytnie rozwiązanie. Kupuję, załatwione.

Rozmowa dobiegła końca. Kydd wrócił najpewniej do szukania w Londynie właściwych ludzi, którzy pomogą dopiąć szczegóły wielu innych spraw.

1. Potoczna nazwa Special Boat Service, brytyjskiej jednostki sił specjalnych, przeznaczonej do działań morskich.

Czwartek 8 czerwca 2017 roku, godzina 4.03

Park narodowy Gauja, Łotwa

Major Anatolij Nikołajewicz Wronski z 45. gwardyjskiego pułku specnazu spojrzął po raz kolejny na zegarek. Robił to co chwila przez ostatnią godzinę, ale czas nie przyspieszał i uparcie płynął swoim tempem. Do oczekiwanego o 4.31 wschodu słońca zostało jeszcze dwadzieścia osiem minut. Wtedy też miał zacząć się atak na obóz. Przy pierwszym brzasku, żeby jego ludzie widzieli, gdzie idą, i mogli rozróżnić swoich od wyrwanych ze snu przeciwników. Zaspanych zapewne i niezdolnych do szybkiej reakcji.

Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem, należało więc odsunąć obawy i czekać. Wronski uśmiechnął się, chociaż woda kapiała mu za kołnierz. Deszczyk mógł się przydać. Lekki szmer kropel wody na listowiu powinien zamaskować kroki skradających się napastników.

Słumił ziewnięcie. Wilgoć dawała mu się we znaki, powieki ciążyły. Najpierw cały dzień wędrowali w kierunku kryjówki przeciwnika, potem skradali się w ciemnościach, żeby zająć pozycje do ataku. Wronski był głodny i spragniony. Przez kilka ostatnich dni nie mieli jak gotować, jedli tylko ryby z puszek i popijane wodą krakersy. Ale dość uzalania się nad sobą, pomyślał. Niebawem będzie po wszystkim. Wtedy wróci do obozu Ādaži i zrobi sobie uroczystego drinka. Oczywiście do wielkiego steku. Łotysze nieźle sobie dogadzali i ich rosyjscy następcy chętnie korzystali z zastanych zapasów.

Ale teraz należało zachować czujność. Raz jeszcze sprawdził w myślach plan i przypomniał sobie przy okazji, co spowodziło go w te leśne ostępy, w pobliże siedziby jednej z najskuteczniejszych, jak się wydawało, grup leśnych braci na Łotwie. Najbardziej zdumiewał go w tym wszystkim otrzymany pięć dni temu rozkaz samego prezydenta: pojmać brytyjskich terrorystów. Wronski nie przepadał za kierowaniem się w robocie osobistymi pobudkami. Owszem, czuł się wyróżniony, że jego właśnie wybrano, ale nie podobało mu się, że chodziło o akt zwykłej chłopskiej zemsty. Niemniej rozkazy otrzymał jasne.

Dowódca Zachodniej Grupy Wojsk wziął sobie prezydencki rozkaz bardzo do serca i rzucił wszystkie siły, żeby zlokalizować poszukiwaną grupę. Z początku dysponowali tylko namiarami kilku krótkich transmisji, ale obróbka komputerowa danych pozwoliła wyznaczyć lokalizację prawdopodobnej siedziby nadawców w północnej części parku narodowego Gauja, blisko rzeki o tej samej nazwie, w rejonie tak odludnym, że

nawiedzonym zapewne tylko przez nielicznych myśliwych.

Zwiad przeprowadzony z pomocą dronów typu Zastawa, wyposażonych zarówno w kamery, jak i w zdolne przeniknąć przez listowie czujniki podczerwieni, ujawnił istnienie w tym rejonie co najmniej kilku miejsc, w których niedawno ktoś przebywał. Tyle że sprawdzenie, czy chodziło o ludzi, czy może raczej o niedźwiedzie, wymagało wysłania tam zwiadowców.

I nagle, cztery dni temu, dopisało im szczęście. Udało się przechwycić krótką wiadomość tekstową, nadaną z komórki w promieniu stu metrów od jednego z podejrzanych miejsc. Wysłane ponownie drony wykryły ruch, zarówno pieszy, jak i na motocyklach terenowych. Powiązano to z faktem, że dwa tygodnie wcześniej napastnicy uciekli właśnie na motocyklach, i Wronski otrzymał rozkaz natychmiastowego rozpoczęcia akcji.

Czasu było niewiele i chociaż Wronski nie wątpił w zdolność jego zespołu specnazu do znalezienia, zaatakowania i zneutralizowania przeciwnika, o wiele mniej ufał przydzielonemu przez górę batalionowi, który miał stworzyć zewnętrzny i wewnętrzny kordon wokół miejsca akcji. To jednak było wszystko, czym aktualnie dysponował

Na szczęście dzięki temu, że akcja została mu zlecona przez samego prezydenta, miał ostatnie słowo przy jej przygotowaniu. Niemniej jako major musiał liczyć się ze zdaniem podpułkownika, który dowodził przydzielonym batalionem piechoty zmechanizowanej. Wronski zakładał z początku, że po takim czasie żołnierze powinni już znać okolicę, ale rozczarował się setnie. Młodzi poborowi próbowali wcześniej patrolować tereny leśne, ale w miarę jak bandyci rośli w siłę, coraz mniej tych żołnierzy wracało z patroli, zatem w końcu całkiem ich zaniechano. Obecnie wojsko trzymało się tylko dróg i z rzadka opuszczało umocnione posterunki. Ostatecznie żołnierzy nie było wcale aż tak wielu, lasy zaś były ogromne. Brakowało ludzi do patrolowania ich większymi siłami.

Gdyby Wronski wiedział o tym od początku, zażądałby wsparcia pod postacią batalionu wojsk powietrznodesantowych albo przysłania większych sił specnazu. Teraz było już na to za późno. Chłopaki ze zwiadu i łączności zawężili wskazany obszar do kwadratu o boku stu metrów i trzeba było atakować, zanim tamci znowu się gdzieś przeniosą, jak mieli w zwyczaju. Wronski nie mógł oprzeć się refleksji, że widocznie nie są prawdziwymi żołnierzami, bo tacy nie kryją się, tylko walczą. Tylko terroryści atakowali i uciekali i dlatego wszyscy oni mieli stanąć pod ścianą. Wszyscy oprócz tego jednego: Morlanda. Chociaż być może i on zamarzy o kuli w łeb, zanim prezydent z nim skończy. Nikt nigdy nie oskarżał prezydenta o gotowość do wybaczenia wrogom.

Wronski przygotował rozkazy i operacja została kilkakrotnie przećwiczona. Najpierw osobnymi kompaniami, potem całym batalionem. Za dnia i w nocy. Gdy wyszło mu, że bardziej gotowi już nie będą, wyruszyli. I teraz siedział tu, czekał i mógł mieć tylko nadzieję, że młodzi poborowi nie spieprzą niczego w ostatniej chwili.

Żeby pomóc swojemu szczęściu, musiał w tej sytuacji przygotować maksymalnie prosty plan. Bez prezydenckiego żądania, żeby pojmać Morlanda żywcem, zrobiłby to całkiem inaczej. Zakradłby się w pobliże obozowiska i o umówionej godzinie oznaczył cel laserem. Wystarczyłoby parę inteligentnych bomb zrzuconych z dużej wysokości, a nie byłoby kogo stawiać pod ścianą. A tak musiał przeprowadzić regularny atak. Szturm miał nastąpić z przeciwległej strony, żeby zagnać uciekających leśnych braci prosto w zasadzkę, w której czekał Wronski.

Wewnętrzny kordon znajdował się zaraz za nim na wypadek, gdyby ktoś jednak się wywinął. Potem był jeszcze zewnętrzny, który miał zapobiegać pojawieniu się niespodziewanych gości. Proste i skuteczne ustawienie, z którego skorzystałby nawet wtedy, gdy miał tu wyszkolonych spadochroniarzy. Najbardziej jednak martwiła Wronskiego kondycja poszczególnych żołnierzy. Jak się zachowają, gdy kule zaczną latać? Czy pozostaną na pozycjach i odpowiedzą ogniem? Czy będą porządnie celować, czy raczej wystrzelają się nawzajem w nieuniknionym zamieszaniu? Tego nie wiedział i nie miał też jak zaradzić potencjalnemu ryzyku, więc starał się o tym po prostu nie myśleć.

Koło północy otrzymał wiadomość, że kordony zostały rozmieszczone z ciężkim uzbrojeniem oraz wsparciem czekającym na tyłach.

Wtedy Wronski ze swoim dziesięcioosobowym zespołem przeszedł na miejsce planowanej zasadzki. Sam atak miał zostać przeprowadzony po cichu i jeśli leśni bracia nie wystawili straży, mógł zaskoczyć ich nawet we śnie, bez fatygowania ludzi ze specnazu. Wronskiemu nie robiło to różnicy. Nie odczuwał potrzeby strzelania, nie tęsknił też do tego, żeby samemu być dla kogoś celem. Interesował go tylko ostateczny wynik, niezależnie od tego jak i przez kogo osiągnięty. W odróżnieniu od nie dość rozważnego prezydenta nie brał niczego do siebie. Dzięki temu pozostawał wciąż przy życiu i jakoś sobie radził, chociaż tylu jego przyjaciół zginęło podczas różnych starć na Kaukazie.

Ponownie spojrzął na zegarek. Minuty płynęły powoli w opresyjnej ciszy lasu. Nagle, ku swojemu przerażeniu, usłyszał gdzieś z tyłu dwa strzały z dobrze znanej broni. To był AK-74M, standardowy karabin rosyjskiej piechoty. Chwilę później poszło kilka serii, a w mikrośluchawce Wronskiego, przyczepionej na lewym uchu, odezwał się głos dowódcy kompanii, odpowiedzialnego za zewnętrzny kordon.

Gdy zaczął meldować o niespodziewanym ataku nieznanych sił na jego pozycje, Wronski prawie zagotował się ze złości. Co za głupcy! Najstarszy błąd i równie szampowa próba jego ukrycia. Ktoś tam nieostroźnie wystrzelił, inni zareagowali nerwowo i oto już cała bitwa.

– Przygotować się na próbę ucieczki przeciwników – powiedział cicho do mikrofonu.

Kłopot polegał na tym, że w obecnej sytuacji leśni bracia mogli próbować uciec

w odwrotnym kierunku, byle dalej od strzelaniny, i tym samym dalej od zasadzki. Owszem, istniała szansa na to, że trafią wtedy prosto na grupę szturmową, przygotowującą się już do ataku. Plan pójdzie w rozsypkę, ale może jednak coś z tej akcji będzie. Trudno, pomyślał Wronski, odbezpieczając karabin szturmowy AS Wał. Pewien żołnierz i pewien oficer, jego dowódca, do końca życia zapamiętają ten dzień, ale tym zajmie się później. Najpierw musiał zniszczyć to gniazdo szczurów i ująć Anglika. Wiedział, że może ufać swojemu zespołowi, więc należało tylko trzymać głowę nisko i czekać na atak.

I wtedy się zaczęło.

Nie przyłapał ich we śnie. Musieli obudzić się już chwilę temu, ponieważ nagle wkoło zaczęły wybuchać pociski amerykańskich lekkich moździerzy M19 kalibru 60 mm, zakupionych w swoim czasie przez łotewską armię. Potem las przeszyły długie serie z karabinów maszynowych. W tym samym momencie Wronski zrozumiał, że popełnił kardynalny błąd: nie docenił przeciwnika. Leśni bracia, czujni i nieufni jak wilki, wiedzieli, że któregoś dnia Rosjanie ich znajdą. Przygotowali się więc starannie na tę chwilę.

Wronski zakładał wcześniej, że sam bunkier będzie otoczony drutami potykaczy i minami claymore, ale nie przewidział zamontowanych na trójnogach karabinów maszynowych, wycelowanych w rozpoznane wcześniej podejścia, ani lekkich moździerzy, zapewne tak samo z góry wycelowanych w punkty prawdopodobnego wyprowadzenia ataku. Mimo porażki planu i chaosu jako zawodowy żołnierz Wronski musiał przyznać, że leśni bracia byli dobrzy. A nawet bardzo dobrzy. Mogliby go nawet tego i owego nauczyć, oczywiście gdyby przeżyli. Ale to nie miało się zdarzyć. Nadal wszystko przemawiało przeciwko nim.

Te uspokajające myśli zostały nagle przerwane przez kolejną salwę pocisków moździerzowych, które uderzyły w konary drzew i wybuchły dokładnie nad nim, zasypując teren w dole ostrymi niczym strzały kawałkami drewna. Zaraz potem nad głową Wronskiego zaczęły przemykać z upiornym świstem pociski z karabinów maszynowych. Stalowe, w miedzianej otulinie, z dużą prędkością początkową. Hałas był taki, że nie dawało się nawet myśleć. Gdyby stał w tej chwili albo chociażby klęczał, byłoby już po nim.

– Kurwa! – wyrzucił z siebie, wtulając się w gliniastą glebę.

Tamci musieli przewidzieć nawet jego zasadzkę i wycelowali część moździerzy w to miejsce. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. To byli prawdziwi zawodowcy, którzy niczego nie zostawiali przypadkowi.

Jednocześnie zrozumiał coś jeszcze. Jeśli zaraz się nie ruszy, zdobycz wymknie mu się z rąk. Skoro tak dobrze przygotowali pierwszy etap, to znaczy, że i następny, ich ucieczka, został równie starannie zaplanowany. Karabiny zostaną niebawem bez amunicji albo się przegrzeją, a wtedy zacznie się faza druga. Na razie jednak nic nie

mógł zrobić. Musiał doczekać żywy do końca tej nawały ogniowej.

Wszystko ucichło tak samo nagle, jak się zaczęło. Uniósł głowę i rozejrzał się na boki. Wydawało mu się, że nie było ofiar, ale z drugiej strony nie oczekiwał, że ktokolwiek z jego ludzi krzyczałby nawet wówczas, gdyby został ciężko ranny.

– Przygotować się, ruszamy. Ogień osłonowy, ale szturm obozu na mój rozkaz – rzucił do mikrofonu i dał chwilę swoim ludziom przed siedemdziesięciometrowym biegiem wprost do obozu. – Teraz! – krzyknął.

Zerwał się z ziemi, zmuszając zdrętwiałe nogi do biegu. Jego boczny wypuścił zaraz serię ze swojego AS. Równocześnie Wronski zauważył, że razem z nim biegnie tylko kilku ludzi. Za mało. Reszta musiała jednak oberwać.

Rzucił się do przodu, przetoczył do pozycji strzeleckiej, poszukał celu, nie znalazł go, ale i tak wystrzelił kilka pocisków w kierunku obozu, po czym znowu się przetoczył i znowu strzelił, podczas gdy jego boczny biegł dalej. Gdy chciał zerwać się z ziemi, usłyszał trudny do pomylenia, wysoki dźwięk silnika motocykla terenowego, dławionego na najwyższych obrotach.

Gdzieś obok rozległo się kilka głuchych stęknień i okolicę zaczął zasnuwać biały opar, w którym nic kompletnie nie było widać. Cholerne granaty dymne, pomyślał Wronski. Część ich planu ucieczki.

Chwilę później w luce między kłębami dymu pojawił się motocykl, honda CRF450. Pędził przed siebie z kimś w łotewskim mundurze za kierownicą, ale osoba na tylnym siodełku była ubrana jakoś inaczej. Przez chwilę patrzył wprost w oczy pasażera, który zmarszczył brwi i oddał w kierunku Wronskiego kilka strzałów. Nie były celne, ale dało się zauważyć, że mężczyzna używał najprawdopodobniej brytyjskiego karabinu szturmowego.

Zanim Wronski zdążył zareagować, motocykl zniknął za zakrętem wąskiej ścieżki i drzewa całkiem go zasłoniły.

Fotograficzna pamięć oficera specnazu nawet w tej sytuacji pozwoliła mu utrwalić wygląd mężczyzny. Ciemnowłosy, z brodą, pod trzydziestkę, nieznajomy mundur, standardowy brytyjski karabin SA80. Musiał być Brytyjczykiem. Wronski nie tyle poczuł się rozczarowany, co rozczarowanie niemal go znokautowało.

To był jego cel. I ten cel właśnie uciekł.



**CZĘŚĆ TRZECIA**  
**RIPOSTA**



Czwartek 5 lipca 2017 roku, godzina 12.00

Pentagon, Waszyngton

W sali posiedzeń Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, znanej powszechnie jako „The Tank”, panowała zupełna cisza. Pułkownik Bear Smythson siedział na krześle pod ścianą. Tym razem nie był uczestnikiem spotkania, tylko słuchaczem prezentacji, przygotowanej na użytek prezydent Lynn Turner Dillon. Po obu jej stronach siedziała elita ludzi, którzy dowodzili i zarządzali amerykańską machiną wojenną. Ubrany w szary garnitur sekretarz obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Abe MacWhite, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów generał Marty McCann, głównodowodzący sił lądowych, marynarki wojennej, lotnictwa i korpusu piechoty morskiej. Sam stół był całkiem zwykły i mógłby znaleźć się w siedzibie każdej korporacji, która nie zwykła za bardzo szastać środkami.

Bear zastanawiał się, jak wiele zmieniło się na świecie od tamtego majowego ranka, dwa długie i niemal bezsenne miesiące temu. Owszem, czas ten wymagał od niego sporych ofiar i ograniczył mocno kontakt z rodziną na rzecz pracy, ale dzięki temu Bear znalazł się ponownie w samym środku wydarzeń i był świadkiem naprawdę historycznych momentów. Takich jak teraz, gdy prezydent poznawała plan operacji wymierzonej w usunięcie rosyjskich okupantów z państw bałtyckich.

W dalszej kolejności prelegent przeszedł do wyliczania imponujących sił skoncentrowanych w tym celu, świadectwa militarnej wielkości Ameryki: 6. Flota i II Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej, znajdujące się obecnie na Bałtyku na wschód od Danii, 4. Dywizja Piechoty, wyładowana w Bremerhaven wraz z niemiecką brygadą pancerną jadącą na polski poligon w Drawsku Pomorskim. 18. Korpus Powietrznodesantowy, łącznie około 40 tysięcy ludzi, stacjonujący w Wielkiej Brytanii. Dowództwo Operacji Specjalnych przerzuciło już ponadto do państw bałtyckich pewną liczbę dwunastoosobowych zespołów operacyjnych A-team, które nawiązały bliską współpracę z leśnymi braćmi. Siły powietrzne USA, stacjonujące w Europie Zachodniej, były w stanie pełnej gotowości.

– Co nasi sojusznicy posyłają do walki? – spytała Dillon.

Tym razem odpowiedzi udzielił generał McCann.

– Pani prezydent, mogę z przyjemnością oznajmić, że nasi sojusznicy stanęli na wysokości zadania. Brytyjczycy posyłają Szesnałą Brygadę Powietrznodesantową podlegającą naszej Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji, która przeprowadza teraz ćwiczenia w Wielkiej Brytanii. Zestawili też małą dywizję składającą się z ich brygady

pancernej i francuskiej lekkiej brygady pancерnej. Jest niewielka, ale o dużym potencjale bojowym. No i w ten sposób jednak się włączyli. Niemcy przekazali Pierwszą Dywizję Pancerną, w której skład wchodzi też polska brygada pancerna. Obie znalazły się pod dowództwem Korpusu Sojuszniczych Sił Szybkiego Reagowania, to utrzymywane przez Brytyjczyków siły NATO, które gromadzą też oddziały dwiętnastu innych państw członkowskich sojuszu. Najważniejszy jest w tym fakt, że nasi sojusznicy włączyli się w użyteczny sposób do wysiłku wojennego, ponieważ są to oddziały, które nigdy nie działały razem i wymagają jeszcze szkolenia, ale nie mamy powodu narzekać na to, że ktoś się uchyla. To zaś, że Europa się zjednoczyła, będzie później bardzo istotne na gruncie politycznym.

Prezydent skinęła głową.

– A co z Rosjanami? Czy osłabili swoje siły w Kaliningradzie?

– Zdjęcia satelitarne pokazują, że nadal utrzymują silne oddziały na granicy z Polską, a także przy bateriach Iskanderów, ale tego można było oczekiwać. Dotyczy to zarówno oddziałów naziemnych, jak i obrony powietrznej. Tutaj nie ma więc zmian. Niemniej dobra wiadomość jest taka, że chodzi o obronę punktową. Granica z Litwą została niemal ogołociona z wojska, gdyż przesunięto je do państw bałtyckich. To samo dotyczy garnizonów w głębi obwodu.

– Co nam to daje? Mam na myśli pomysł, o którym słyszałam kilka tygodni temu, żeby opanować obwód kaliningradzki i zaproponować Rosji jego zwrot w zamian za państwa bałtyckie.

McCann spojrzał na panią prezydent. Jego niebieskie oczy, zwykle z iskierką humoru, były tym razem nadzwyczaj poważne.

– Pani prezydent, przyglądaliśmy się dogłębnie tej propozycji razem z dyrekcją NSA. – Skinął na Abe'a MacWhite'a. – Prawda jest taka, że chociaż Rosjanie zredukowali siły w Kaliningradzie, wciąż dysponują tam znaczącym potencjałem. Jeśli przeprowadzimy konwencjonalny atak, skończy się to długą i krwawą bitwą, w której Rosjanie będą walczyć do ostatniego człowieka. Uznaliśmy, że najlepiej będzie pokonać Rosjan ich własną bronią.

– Dobrze. Czyli jak? – spytała Dillon.

McCann podszedł do ekranu i wziął wskaźnik laserowy od prelegenta. Dla niego dowódca był kimś, kto podsuwał pomysły i pokazywał, jak je zrealizować. Nie bawił się w zbieranie idei od podwładnych ze sobą w roli menadżera zespołu. Co więcej, jego zespół akceptował tę metodę i szanował przełożonego za rzeczowe i praktyczne podejście.

– Omówiłem szczegóły z admirałem Howardem, głównodowodzącym NATO, oraz jego brytyjskim zastępcą i doszliśmy do porozumienia co do sposobu postępowania. Otóż zamierzamy oszukać Rosjan, stwarzając wszelkie pozory, że atak zostanie przeprowadzony na państwa bałtyckie. Koniec końców mamy do tego wszelkie środki

i sądzimy, że na naszym miejscu Rosjanie postąpiliby właśnie w ten sposób.

Prezydent skinęła głową, wyraźnie ciekawa, co przygotowali wojskowi.

– Pani prezydent, zamierzamy skoncentrować nasze siły konwencjonalne w pobliżu granicy polsko-litewskiej. – Skierował wskaźnik na Suwałki w północno-wschodniej Polsce. – W tym samym czasie Szósta Flota zablokuje Flotę Bałtycką w porcie w Bałtyjsku, bazie morskiej pod Kaliningradem. To pozwoli Korpusowi Ekspedycyjnemu Marines skierować się na wschód, ku brzegom Estonii. Naszym celem będzie przekonanie Rosjan, że planujemy desant w Zatoce Ryskiej, na południe od Parnawy. – Wskazał to miejsce na estońskim wybrzeżu. – To wręcz oczywiste miejsce do lądowania ze względu na długie, piaszczyste plaże.

Dillon skinęła głową w zamyśleniu.

– Jak na razie wszystko wygląda dość standardowo. Gdzie tu podstęp?

Bear uśmiechnął się w duchu. Dillon coraz lepiej rozumiała swoich doradców wojskowych.

– Z całym szacunkiem, pani prezydent, ale jeszcze do tego nie doszedłem – odparł z uśmiechem McCann i wskazał na okolicę na południe od Kaliningradu. – Zgromadziwszy duże siły przy granicy z Litwą i u brzegów Estonii, prawdziwy atak przeprowadzimy tutaj. Jego celem będzie opanowanie i przejęcie pod naszą kontrolę pocisków atomowych Iskander na terenie obwodu kaliningradzkiego.

Na wzmiankę o pociskach atomowych prezydent zmrużyła powieki, a jej twarz stężała. Podobnie jak każdy zdrowy na umyśle człowiek, nie pragnęła być odpowiedzialna za spowodowanie chociażby jednego wybuchu atomowego, zwłaszcza na terenie gęsto zaludnionej Europy.

– Wiemy, że decyzja o odpaleniu taktycznych pocisków atomowych, takich jak Iskander, może zostać podjęta przez prezydenta, ministra obrony i szefa Sztabu Generalnego. Każdy z nich dysponuje własnym „czegietem”, jak nazywają tam walizeczki podobne do tej, którą i pani ma przy sobie. – Wskazał na leżący na stole czarny neseserek pani prezydent. – Teoretycznie wszyscy trzej muszą wyrazić na to zgodę poprzez swoje urzędnia.

– Ale dlaczego chcemy zająć się tylko taktycznymi Iskanderami? – spytała Dillon.

– Dobrze, zatrzymajmy się na chwilę przy tym pytaniu – powiedział McCann, unosząc dłoń, i Bear cicho odetchnął. Zaczynał się już obawiać, że obecni na sali cywile, z panią prezydent włącznie, mogą się zgubić w tych rozróżnieniach na taktyczne i strategiczne typy pocisków.

– Nowoczesna broń atomowa jest na tyle potężna, że rozróżnienie między taktycznymi a strategicznymi głowicami ma zasadniczo charakter akademicki. Skutki ich użycia byłyby podobnie katastrofalne nie tylko dla Europy, ale i dla świata. W obu przypadkach mamy śmiertelny wybuch oraz następujący po nim opad radioaktywny, na dodatek jest niemal nieuniknione, że przeciwnik użyje analogicznej broni, co łatwo

może doprowadzić do całkowitego wzajemnego zniszczenia, określanego jako MAD.

Prezydent kiwnęła głową, żeby kontynuował.

– Iskandery czy nasze tomahawki mają charakter taktyczny, ponieważ są mobilne. Kaliningradzkie iskandery zostały zamontowane na platformach samochodowych. Pokazywano je wiele razy podczas moskiewskich parad wojskowych w Dniu Zwycięstwa. Są mniejsze i mają mniejszy zasięg niż balistyczne pociski międzykontynentalne, ale jak wspomniałem, gdy przychodzi do użycia, różnice nabierają akademickiego charakteru. Mogą przenosić głowicę konwencjonalną albo atomową. Znowu podobnie jak nasze tomahawki. I podobnie jak one, są bardzo celne i trudne do strącenia. Najważniejsze jednak jest to, że nawet najsłabsza z zamontowanych na nich głowic jest wielokrotnie, naprawdę wielokrotnie mocniejsza niż te bomby, które zrzuciliśmy na Hiroszimę i Nagasaki. Proszę sobie tylko wyobrazić taki grzyb atomowy, tylko nieporównanie większy, nad którymś z miast Europy Zachodniej.

McCann rozejrzał się po sali. Bear równie dobrze znał statystyki dotyczące skali zniszczeń po wybuchach atomowych, ale ta wizja mimo wszystko zrobiła na nim wrażenie. McCannowi chyba o to właśnie chodziło.

– W dniu dzisiejszym liczy się dla nas przede wszystkim to, że Rosjanie rozlokowali iskandery w obwodzie kaliningradzkim po to, żeby zagrozić NATO i zdestabilizować państwa bałtyckie. Z pewnością im się to udało. Niemniej oznacza to również, że w odróżnieniu od stałych baterii lądowych, ukrytych w głębi terytorium Federacji Rosyjskiej, czy wyrzutni na okrętach podwodnych, kryjących się w głębinie, te akurat pociski są dla nas dostępne. Jak każde ruchome wyrzutnie, są potencjalnie bardziej narażone na atak. Oczywiście o ile tylko zdołamy najpierw sparaliżować ich system dowodzenia, żeby zapobiec odpaleniu pocisków. Co oznacza, że musimy wrócić do czegietów...

– Na czym opiera się ich system łączności? – spytała Dillon, która wyraźnie zaczynała już się domyślać, o co może chodzić.

– To skomplikowana sprawa. Podstawą jest dwukierunkowy system łączności zwany Sygnał A z podsystemem Wjuga. Oba są wspierane przez system rezerwowy Pierimetr. Sygnał A cechuje bardzo wysoka redundancja, czyli zdolność do utrzymania funkcji mimo uszkodzeń dzięki systemom zapasowym. Jest on cały czas w stanie gotowości bojowej. Wiemy, że jest wysoce wydolny także dzięki zwielokrotnieniu kanałów łączności, które obejmują łączność radiową, kablową, satelitarną i troposferyczną. Wjuga dodaje jeszcze łączność na falach krótkich, ultrakrótkich i drugi system satelitarny.

– Wydaje się, że dogłębnie to przemyśleli – zauważyła Dillon.

– Dokładnie, pani prezydent. Oni się znają na tych rzeczach. Co więcej, systemy Sygnał A oraz Wjuga są sprzężone elektronicznie i algorytmicznie, co zapewnia wysoki

stopień bezpieczeństwa dla wszystkich typów połączeń. Jakby tego było mało, system rezerwowy Pierimetr może przekazać rozkaz ze Sztabu Generalnego bezpośrednio do wyrzutni, omijając w ten sposób wszelkie pośrednie stanowiska dowodzenia.

McCann przerwał, ale prezydent skinęła, żeby mówił dalej.

– Dla nas ważne jest jednak jeszcze coś innego. Chociaż walizeczki są trzy i każdy, prezydent, minister obrony i szef sztabu, ma swoją, rzeczywistą kontrolę nad kodami startowymi sprawując wojskowi. W rzeczywistości Sztab Generalny ma do nich swobodny dostęp i może zainicjować odpalenie także bez zgody władz politycznych.

– Zatem nawet jeśli opanujemy wyrzutnie i centra kontrolne, nadal będą w stanie wystrzelić pociski?

– To pytanie za milion dolarów, pani prezydent. Uważamy, że tak, ale dokładnie wyjaśnię to na końcu, więc proszę o wyrozumiałość. Nasz scenariusz jest taki: korzystając z tego, że uwaga Rosjan skupiona jest na naszych siłach szykujących się do rzekomego ataku na państwa bałtyckie, Osiemdziesiąta Druga ląduje w obwodzie kaliningradzkim i opanowuje wyrzutnie. Jednocześnie nasze siły specjalne opanowują bunkier dowodzenia, z którego kontroluje się wszystkie stanowiska rakiet. Gdy już go zabezpieczymy, przekierujemy te rakiety na Rosję. Gdy zagrożą nam ich odpaleniem, my powiemy, gdzie spadną. Zagrozimy im ich własnymi pociskami. Nie przypuszczam, żeby byli gotowi na taki scenariusz i takie ryzyko. Zwłaszcza jeśli sprawa zostanie błyskawicznie nagłośniona przez media społecznościowe. My zadbamy już o to, żeby wiadomość jak najszybciej trafiła do internetu.

Dillon oparła się w fotelu i zastanowiła chwilę nad konsekwencjami i politycznymi reperkusjami takiej zagrywki. Po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Jeśli ich prezydent stał się pośmiewiskiem po tym, co Łotysze zgotowali w leśnej bazie, to upokorzenie będzie o wiele bardziej dotkliwe...

Ponownie spoważniała.

– Ile wyrzutni wchodzi w grę? I jakich sił musimy użyć, żeby je opanować?

McCann był gotów na takie pytanie.

– Uważamy, że Rosjanie mają tam sto wyrzutni z pociskami atomowymi. Następny slajd proszę. – Na ekranie pojawiła się szczegółowa mapa obwodu kaliningradzkiego.

– Są to wyrzutnie ruchome, ale zostały rozmieszczone w trzech lokalizacjach. –

Skierował wskaźnik na mapę. – W Prawdinsku, Jużnym i Oziorsku. Wszystkie są kontrolowane z centrum dowodzenia w Prawdinsku. To tutaj, pośrodku. Jeśli zaś chodzi o liczbę naszych ludzi: wykorzystamy zespoły sił specjalnych, wyszkolone specjalnie do wprowadzenia poprawek do oprogramowania pocisków, ale przygotowane także do naprowadzenia głównych sił desantowych, które wylądują w każdej z tych lokalizacji i zabezpieczą pociski.

– Jak powstrzymamy Rosjan przed kontratakiem? – zapytała prezydent.

– Z początku z pomocą oddziałów naziemnych. Zaplanowanie i przeprowadzenie

kontrataku wymaga trochę czasu. Potem zaszantażujemy ich za pomocą ich własnych pocisków. Jeśli nie nabiorą dzięki temu rozumu, Korpus Sojusznicych Sił Szybkiego Reagowania uderzy na nich trzema dywizjami, żeby zabezpieczyć teren obwodu kaliningradzkiego. Najważniejsze jednak będą wysiłki polityczne. To wy będziecie musieli przekonać Rosjan, żeby po pierwsze, się cofnęli, a po drugie, że jeśli chcą swój obwód z powrotem i jeśli chcą odzyskać te pociski, muszą oddać państwa bałtyckie. Sądzimy, że w tej sytuacji nie będą mieli innego wyjścia, jak posłuchać.

– To ma sens – mruknęła Dillon.

– Żeby jednak zadziało, musimy zrobić jeszcze jedną rzecz, która ma kluczowe znaczenie dla powodzenia naszego planu.

– Jaką?

– Musimy zakłócić skutecznie pracę ich systemu dowodzenia i kontroli, tak w przypadku sił konwencjonalnych, jak i atomowych. Z dwóch powodów. Po pierwsze, musimy sparaliżować zintegrowany system przeciwlotniczy obwodu, który uchodzi za jeden z najskuteczniejszych na świecie. Po drugie, musimy uniemożliwić im użycie pocisków we wczesnej fazie ataku, gdy będziemy dopiero docierać na miejsce. Kreml zapowiedział jasno, że próba ataku na terytorium rosyjskie spotka się z nuklearną odpowiedzią, a obwód kaliningradzki to bez wątpienia teren Federacji Rosyjskiej. Nie można też zapominać, że w ich mniemaniu państwa bałtyckie też należą teraz do Rosji. Uda się tylko wówczas, jeśli nie zauważą nas w porę. Jeśli do tego dojdzie, pociski wystartują.

Dillon zmarszczyła brwi.

– Istnieje zatem ryzyko, że wezmą na cel Szóstą Flotę oraz nasze siły zgrupowane w północno-zachodniej Polsce? Zwłaszcza jeśli dojdą do wniosku, że szykujemy najazd na Litwę i Estonię?

– Zgadza się, pani prezydent – odparł McCann. – Dlatego musimy zakłócić pracę tych bardzo wydajnych systemów łączności, o których mówiłem wcześniej: Sygnal A, Wjuga i Pierimetr.

– Rozumiem – odparła Dillon. – Sparaliżować system dowodzenia, zająć stanowisko dowodzenia i wyrzutnie, przekierować pociski i zaprosić Rosjan do pogawędki. Z pozycji siły.

– Tak to sobie wyobrażamy, pani prezydent. Potem oznajmi pani rosyjskiemu prezydentowi, że jeśli wycofa się z państw bałtyckich, my oddamy obwód kaliningradzki i pociski. Chociaż raczej bez sprawnych głowic, ale to już tylko moja sugestia, decyzję zostawiamy pani. Gdyby zaś dalej się wahali, to nasz Korpus Ekspedycyjny Marines i Korpus Sojusznicych Sił Szybkiego Reagowania w sile trzech dywizji będą gotowe naprawdę uderzyć na teren państw bałtyckich. – Przerwał na chwilę. – Nadal jednak pracujemy nad informatycznym atakiem na rosyjskie sieci łączności.

– NSA ma jakiś pomysł? – spytała Dillon.

– Jeszcze nie, pani prezydent, ale słyszałem, że Brytyjczycy owszem. Mają zespół na terenie obwodu kaliningradzkiego. Dostarcza nam na bieżąco informacje o rozmieszczeniu wyrzutni. Ponieważ jak dotąd świetnie się sprawdza i współpracuje z leśnymi braćmi, nie posyłamy tam naszych ludzi z oddziałów specjalnych. To też część planu zmylenia przeciwnika.

Bear zauważył, że pani prezydent jest nieco zdezorientowana. McCann zaraz pospieszył z wyjaśnieniem.

– Gdybyśmy wysłali siły specjalne do Kaliningradu i zostałyby to wykryte, o pojmaniu kogoś nawet nie wspominając, Rosjanie wyczuliby pismo nosem i wzmocnili obronę. Gra byłaby skończona. Tak więc na razie trzymamy się z daleka od granic obwodu. I my, i NATO. CIA podaje w raportach, że Rosjanie są święcie przekonani, że nie odważymy się na atak na rosyjską ziemię. Dlatego właśnie wciąż osłabiają krajowe garnizony i pchają wszystko do państw bałtyckich. Niemniej dla powodzenia naszego planu musimy kogoś mieć na miejscu i tutaj brytyjski zespół jest bezcenny. Jeśli jego dowódca sprawi się też dobrze w innych zadaniach i zdołamy rzucić naszych chłopców, tak żeby przejęli wyrzutnie, i żaden pocisk nie zostanie przy tej okazji odpalony... Cóż, wtedy upiję się w trzy dywizje, pani prezydent.

– Podoba mi się ten żołnierz, generale McCann. Proszę opowiedzieć mi o nim coś więcej. Jak się nazywa?

Wtorek 6 lipca 2017 roku, godzina 16.00

Sala Rady Północnoatlantyckiej,

Kwatera główna NATO, Bruksela

– Podsumowując, można powiedzieć, że proces przygotowywania naszych sił do tej operacji przebiega dość dobrze, i chciałbym podziękować wszystkim państwom członkowskim, a także ich szefom i ministrom obrony, za świetną współpracę z SHAPE. Panie sekretarzu generalny, to było wszystko z mojej strony.

Generał sir David McKinlay zakończył swoje wystąpienie i ponownie zajął miejsce przy stole. W żadnym razie nie mógł powiedzieć, że udało się zgromadzić wszystkie formacje i jednostki przewidziane w Zestawie Wymaganych Sił, CJSOR w żargonie NATO. Szczególnie bolało go, że jego własny kraj natrafił na tak wielkie trudności w przysłaniu oddziałów. Przy braku lekkich jednostek eskortowych oraz zależności od rezerwistów potencjał militarny Wielkiej Brytanii był cieniem samego siebie sprzed kilkunastu ledwie lat. Na szczęście braki na krytycznych odcinkach zostały wypełnione przez Amerykanów, zatem mógł przekazać Radzie Północnoatlantyckiej, że zgodnie z jego fachową oceną siły NATO będą zdolne do zrealizowania wyznaczonych im celów.

Co więcej, niektóre kraje okazały się na tyle szczodre, że McKinley musiał nie raz uciekać się do salomonowych rozstrzygnięć, żeby nikt nie poczuł się urażony. Z radością powitał udział państw spoza NATO, czyli Szwecji, Finlandii, Australii i Nowej Zelandii. Oczywiście byli też inni, ci sami, co zwykle, którzy nie wykazali ani krzty entuzjazmu, o włączeniu się do przygotowań militarnych nawet nie wspominając. Ale tym można było się zająć później.

– Dziękuję, DSACEUR – powiedział sekretarz generalny Kostilek. – Czy są jakieś pytania? – Poczekał chwilę. – Widzę, że nie ma. SACEUR, oddaję panu głos.

Admirał Max Howard przeszedł od razu do rzeczy.

– Panie sekretarzu generalny, panie i panowie. Chcę dodać moje podziękowania i gratulacje do tych, które przekazał właśnie DSACEUR. Zgromadzenie i zintegrowanie sił, jakie potrzebne są nam do tej operacji, to był nie lada wysiłek. I to jest dobra wiadomość, ale sprawa jest wciąż otwarta. Zebranie sił to jedno, a osiągnięcie zwycięstwa – drugie. Oczywiście dzięki udzielonemu przez was upoważnieniu spędziliśmy ostatnie pięć tygodni na szczegółowym planowaniu tej złożonej operacji. Komitet Wojskowy poznał ten plan na tajnym posiedzeniu i wasi wojskowi przedstawiciele przedstawiają wam, czego się dowiedzieli.



Rozejrzał się po kręgu dwudziestu ośmiu ambasadorów. Większość była zdolnymi dyplomatami, ale z oczywistych względów nie wykazywali większego zrozumienia dla złożoności i mechanizmów operacji wojskowych, zwłaszcza operacji zamierzonych na taką skalę. Sporo z nich znał osobiście i lubił jako ludzi, ale zbiorowo oni mieli zwyczaj upajać się dumą, że znaleźli się w kręgu wtajemniczonych. Znali plan i czerpali satysfakcję z faktu, że to oni dali przyzwolenie na jego powstanie. Nadszedł czas, żeby odrzeć ich trochę z samozadowolenia.

McKinlay wiedział, że admirał Howard uzgodnił już rzecz z sekretarzem generalnym i przewodniczącym Komitetu Wojskowego, generałem Knudem Vahrem, więc wsparcie tych dwóch było pewne. Podobnie za byli ambasadorowie USA i Wielkiej Brytanii, którzy wiedzieli, co się za chwilę wydarzy.

– Nie spodoba wam się to, co mam zamiar powiedzieć, ale muszę to zrobić – zaczął Howard. – Chodzi mianowicie o to, że jeśli Rada Północnoatlantycka będzie nadal domagać się głosowania nad zgodą na każdy kolejny etap naszej operacji, wówczas z pewnością przegramy. Jeśli zaś dysponując tak okazałymi siłami, nie zdołamy odebrać państw bałtyckich Federacji Rosyjskiej, będzie to oznaczało koniec NATO. A Europę będzie czekała czarna przyszłość. Rosja wygra. Nie muszę chyba przypominać, jakie będą polityczne i militarne skutki takiego rozwoju sytuacji...

Niektórzy wciągnęli z przejęciem powietrze, a niemiecki ambasador skrzywił się i uniół dłoń.

Howard zignorował to wszystko i mówił dalej.

– Gdybym siedział tu trzydzieści pięć lat temu, jako SACEUR w czasach zimnej wojny, miałbym pełne uprawnienia do użycia naszych sił w obliczu jakiegokolwiek agresji ze strony Układu Warszawskiego. Nie musiałbym zwracać się do Rady Północnoatlantyckiej o zgodę na każdy mój krok. Na przykład moi poprzednicy byli w stanie uruchomić Połączone Siły Interwencyjne ACE, czyli międzynarodowe siły szybkiego reagowania, gdy tylko NATO wystosowało rozkaz ostrzegawczy ACTWARN. Nie musiał zwracać się w tej sprawie do Rady. Tym samym NATO mogło podejmować decyzje skuteczniej i w bardziej adekwatny sposób.

Niemiecki ambasador mruczał pod nosem i energicznie notował coś na kartce.

– Porównajmy to z niedawną nieudaną próbą rozmieszczenia Sił Natyczmiasowego Reagowania, czyli Szpicy, która jest następczynią Połączonych Sił Interwencyjnych ACE. Nie zdołaliśmy skierować jej do państw bałtyckich, żeby udaremnić atak Rosji, chociaż gdyby nam się to udało, najpewniej nie doszłoby do ich okupacji. Ironia polega na tym, że chociaż miałem pod swoim dowództwem dość wojska, żeby temu zapobiec, nie miałem uprawnień, żeby gdziekolwiek je wysłać.

Teraz i Francuz się ożywił i zaczął szeptem wymieniać jakieś uwagi z Niemcem.

Kostilek uderzył młotkiem w stół.

– Proszę poczekać, aż SACEUR skończy.

– Nacisk na udzielanie przez Radę Północnoatlantycką zgody na realizację poszczególnych etapów działań jest produktem minionej ery. Przyznaję, że pod względem politycznym było to wskazane w wypadku interwencji w Afganistanie, gdzie rola NATO była mocno odmienna. Ale muszę wam powiedzieć, że takie umniejszanie kompetencji głównodowodzącego doprowadzi z czasem do militarnej porażki. Możecie czuć się dumni z tego, że jako jedyni poznaliście mój tajny plan. Ale prawdą jest i to, że cokolwiek zostanie wam przekazane, w ciągu kilku godzin trafi na biurko prezydenta Rosji w samym sercu Kremla.

McKinlay rozejrzał się po stole. Na niektórych twarzach malowała się złość, na innych rezygnacja, niektórzy byli zaś ciekawi, do czego to wszystko miało zmierzać. SACEUR wykazał się właśnie brakiem dobrych manier i powiedział otwarcie coś, o czym wprawdzie wszyscy wiedzieli, ale o czym nikt nie wspominał, przynajmniej publicznie: to, że wszystko, co zostało powiedziane na forum Rady, dziwnie szybko docierało do Moskwy. Wielu ambasadorów było wyraźnie niezadowolonych z insynuacji admirała, niektórzy chcieli nawet zaraz zabrać głos.

SACEUR zignorował zgiełk.

– Panie sekretarzu generalny, nie ulega wątpliwości, że to Rada Północnoatlantycka powinna ustalać polityczne priorytety i cele. I ta sprawa jest dla mnie całkiem jasna. Nie będę jednak w stanie dopracować i wykonać przyjętego planu militarne, jeśli na każdym jego etapie będę musiał uzyskiwać odrębną zgodę Rady. Nie wspominając już o ryzyku wycieku danych operacyjnych. Tym samym proszę Radę Północnoatlantycką o przyznanie mi od tej chwili do końca obecnego kryzysu pełnych uprawnień decyzyjnych w zakresie sposobu prowadzenia czekającej nas kampanii. Oczywiście możemy wrócić do tej sprawy, gdy rosyjska okupacja państw bałtyckich przejdzie do historii.

Pomruki przy stole zaczęły się wyraźnie nasilać.

Kostilek ponownie użył młotka.

– Szanowni państwo, w pełni rozumiem wasze obawy dotyczące tej kwestii. Proponuję zatem, żeby SACEUR i DSACEUR opuścili salę. Przedyskutujemy ową kwestię wyłącznie w gronie ambasadorów. Przewodniczący Komitetu Wojskowego zostaje oczywiście jako oficjalny doradca wojskowy Rady.

Howard skinął na McKinlaya i obaj wstali, żeby wraz z dwoma jeszcze osobami wyjść na korytarz, gdzie spotkali Dana Rodowicza, który należał teraz do zespołu łącznikowego głównodowodzącego przy siedzibie NATO.

– Witam, panowie – powiedział. – Chodźmy na górę, do naszego biura, gdzie skombinuję panom jakąś kawę i coś na ząb.

Dwie godziny później odezwano się z dołu z prośbą, żeby Howard i McKinlay wrócili na salę obrad. Gdy do niej weszli, w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Dziękuję za cierpliwość – powitał ich Kostilek. – Rozważyliśmy starannie

wspomnianą kwestię i mogę z przyjemnością zakomunikować, że po niejkiej dyskusji osiągnęliśmy porozumienie. Będziemy oczekiwać codziennych meldunków aktualizacyjnych oraz informowania Rady Północnoatlantyckiej o wszystkim, co mogłoby mieć wpływ na przebieg operacji na poziomie strategicznym. Ponadto Rada ustaliła, że SACEUR ma na bieżąco informować mnie, jako sekretarza generalnego, o szczegółowym przebiegu operacji. Niemniej ma pan zielone światło, żeby działać tak, jak sam uzna pan to za najbardziej stosowne.

Piątek 7 lipca 2017 roku, godzina 10.30

Centrala Łączności Rządowej (GCHQ),

Cheltenham, Anglia

Cheltenham, eleganckie i typowo angielskie miasteczko uzdrowiskowe, znajdujące się u podnóża wapiennej skarpy znaczącej zachodni kraniec Cotswold Hills, przez pierwsze dwa tygodnie lipca żyje zawsze słynnym festiwalem muzycznym. W tym roku, według „Daily Telegraph”, miał on być „zmyślnym połączeniem tradycji i nowoczesności, gwarantującym uczestnikom wyjątkowe doświadczenia muzyczne”.

Jadący przez miasteczko Trevor Walker w ogóle nie zwracał uwagi na takie rzeczy. Raz, że nie interesował się muzyką, a dwa, wobec wojny z Rosją i zmiany głównego lokatora na Downing Street 10 był bardzo zajęty zapewnianiem swojemu nowemu szefowi, z którym właśnie miał się spotkać, odpowiedniego wsparcia parlamentarnego.

Jego toyota prius hybrid z puli samochodów Whitehall zatrzymała się przed bramą Centrali Łączności Rządowej. Po odpowiedniej kontroli Walker wjechał na teren obejmującej 176 akrów posiadłości, zdominowanej przez tak zwany „Donat”, wzniesiony ze stali, aluminium i kamienia koncentryczny budynek, który był największym poza Stanami Zjednoczonymi przybytkiem zaprojektowanym na potrzeby wywiadu. Zatrudniająca 5500 pracowników Centrala Łączności Rządowej jest odpowiedzialna za dostarczanie informacji wywiadowczych rządowi i różnym jego agendum oraz siłom zbrojnym Wielkiej Brytanii. Walker dotarł niebawem na lądowisko dla śmigłowców, gdzie spotkał dyrektora ośrodka Iana Berry’ego, pełnego werwy mężczyznę w wieku czterdziestu kilku lat, na tyle wysportowanego, żeby kojarzyć się raczej z grającym często w rugby dyrektorem szkoły publicznej, a nie szefem jednej z najważniejszych agencji wywiadowczych.

Na szczęście zanim Walker poczuł się zobowiązany do wdania się w grzecznościową pogawędkę o radiostacjach, internecie czy czymkolwiek, o czym szpiedzy lubili dyskutować, w górze rozległ się warkot śmigłowca, który uniemożliwił jakkolwiek wymian zdań. Chwilę później nad lądowiskiem pojawił się pomalowany na biało i czerwono helikopter Agusta Westland AW-109E Power Elite z 32. Dywizjonu RAF. Nie trwało długo, a premier wysiadł i powalczywszy chwilę z prądem powietrza od wirnika, ewakuował się z lądowiska w kierunku głównej sali konferencyjnej obiektu.

Gdy Walker wszedł tam w ślad za swoim szefem, oprócz czekającego już zespołu Centrum dojrzał także łysinę szefa Sztabu Obrony generała Jocka Kydda. Miał on na

sobie zwykły dla niego, sprany mundur w plamiastych kolorach jasnej zieleni, niemniej bez oznaczeń szarży. Rękawy podwinął wysoko, ukazując muskularne i mocno owłosione przedramiona. Walker nie wiedział, czy bardziej podziwiać, czy obawiać się tego człowieka. Z jednej strony Kydd potrafił błyskawicznie realizować to, co chciał, czym różnił się od Machiavellego, ale z drugiej strony miał w sobie jakiś dziki pierwiastek, a na dodatek można było podejrzewać, że gdyby Walker powiedział coś nie po jego myśli, generał bardzo chętnie skróciłby jego polityczną karierę.

– Panie premierze – zaczął Kydd, nie czekając, aż ktokolwiek się do niego odezwie, tylko od razu ruszając do akcji. – To jest Dave McKinlay, zastępca głównodowodzącego NATO w Europie. Przyleciał specjalnie na nasze spotkanie z siedziby Sojuszu w Brukseli.

Walker zauważył masywnego, silnego i siwowłosego generała, który wyglądał w mundurze marines jak zwykły żołnierz. Szybko jednak można było dostrzec jego stalowy wzrok i złamany nos typowy dla byłego gracza w rugby. Walker zrozumiał, że chociaż generałowie różnią się wyglądem, zapewne są ulepieni z tej samej gliny.

– Miło pana poznać, generale – powiedział Little, ściskając dłoń gościa. – Co sprowadza tu przedstawiciela NATO?

– Przybyłem tutaj, panie premierze, ponieważ nikt inny, włącznie z Amerykanami, nie może zrobić tego, co planuje GCHQ, a my w pełni popieramy ten plan. Mam zapewnić jak największą zgodność między tym, co stara się zrobić GCHQ, i strategią NATO. Chcę zapoznać się ze szczegółami i przedstawić później wasz plan mojemu szefowi.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni, że znalazł pan czas, żeby nas odwiedzić, panie premierze – powiedział Berry, przejmując panowanie nad sytuacją. – Mamy pewien plan i myślę, że może on pana zainteresować. Zaprosiłem na nasze spotkanie zespół, który nad nim pracuje, więc niech oni sami przedstawią, co udało im się osiągnąć.

– Słyszałem, że znaleźliście dojdzie do rosyjskiego systemu kontroli broni jądrowej – powiedział Little, też przypominając o swojej zwierzchności. – Jeśli tak, to może to być coś na wagę zwycięstwa. Ale proszę kontynuować.

– Oczywiście, panie premierze – odparł Berry. – Nie będziemy jednak wnikać w szczegóły techniczne. Nie żeby były dla pana trudne do zrozumienia, ale ponieważ uważamy, że im mniej się mówi o pewnych rzeczach, tym lepiej.

– I tak byłoby bezpiecznie – powiedział Little. – Ledwo zdałem z fizyki i chemii, nie ma najmniejszej szansy, żebym wyniósł jakieś naukowe sekrety.

– Tak czy inaczej, być może nie chciałby pan o tym słuchać. – Berry spojrział twardo na Walkera, jakby chciał powiedzieć, że nie wyjawি niczego istotnego doradcy prasowemu ministrowi, bez względu na to, jaki ten doradca może mieć oficjalnie poziom dostępu.

Premier też się obejrzał, ale zamiast stanąć w obronie podwładnego, jak zrobiliby to

jego poprzednik, tylko machnął ręką, jakby zbywał sprawę.

– Rozumiem. Proszę kontynuować.

– Dziękuję, panie premierze. Dla rozwiązania problemu przyjęliśmy taki sposób myślenia, jakbyśmy byli terrorystami pragnącymi zhakować system komputerowy dowodzenia siłami nuklearnymi. Jak to wyglądało, przedstawi panu Nicola Allenby, szefowa zespołu. Wróciła właśnie ze Stałego Połączonego Sztabu, gdzie przygotowują ten konkretny atak. O ile tylko zezwoli pan na jego przeprowadzenie, oczywiście.

Berry wskazał cztery osoby siedzące naprzeciwko generałów. Walker, który zajmował miejsce z tyłu, zrozumiał, jak wielki afront go spotkał, ale nie dał tego poznać po sobie i przyjrzał się grupce. Wszyscy byli przed trzydziestką. Dwóch z trzech mężczyzn miało średniej długości brody, nastroszone włosy i kolczyki w uszach. Na ważne spotkanie przyszli w bawełnianych koszulkach. Typowe geeki. Trzeci nosił okulary i dzięki tweedowej marynarce wyglądał jak student fizyki z lat pięćdziesiątych. Allenby, jedyna kobieta w grupie, była całkiem atrakcyjna i wydawała się pewna siebie. Nic dziwnego przy jej wieku i składzie audytorium, pomyślał Walker. Była też chyba wysportowana niczym młoda i obiecująca przedstawicielka branży finansów, a nie ktoś, kto zajmuje się planowaniem włamania do rosyjskiego systemu dowodzenia bronią atomową.

Allenby wyjaśniła, jak system zawiadujący siłami atomowymi Rosji wiąże wszystkie elementy potrzebne do utrzymania gotowości bojowej, czyli personel, sprzęt, instytucje i ich siedziby, procedury i sam łańcuch dowodzenia.

– Ze względu na różnorodność środków przenoszenia oraz mobilność części z nich, a także konieczność utrzymania redundancji, czyli zapewnienia systemów rezerwowych na wypadek awarii, rosyjski system jest z natury podatny na ataki. – Wymowę miała staranną, sposób mówienia wskazywał na któryś z bardziej kosztownych uniwersytetów. – Przyjrzawszy się bliżej, uznaliśmy, że zależy nam na dwóch celach. Pierwszym z nich jest sparaliżowanie systemu łączności rosyjskiego Sztabu Generalnego.

– Kurwa, wreszcie coś, co rozumiem – mruknął siedzący naprzeciwko niej generał Kydd.

Allenby spojrzała mu prosto w oczy.

– Generale, byłabym wdzięczna za powstrzymanie się od podobnych uwag. I z góry dziękuję.

Kydd skrzywił się i Walker uśmiechnął się pod nosem na myśl, że ktoś ustawił wreszcie starego wiarusa. Ta dziewczyna działała w jednej chwili więcej niż premier od początku swej kadencji. Walker spojrzał na nią i kiwnął zachęcająco głową.

Allenby zignorowała go i mówiła dalej.

– Dokładniej, chcieliśmy też wejść do tego systemu i przejąć kontrolę nad... Chociaż do tego wrócę za chwilę.

– Zatem co możecie zrobić z systemem łączności i dowodzenia rosyjskiego Sztabu Generalnego? – spytał premier, który z jednej strony był zainteresowany, z drugiej, jak Walker wiedział, nie miał wiele czasu.

– Nasza taktyka nie różniła się niczym od postępowania hakerów starających się doprowadzić do DDoS, czyli rozproszonej odmowy usług. Wymaga to uzyskania kontroli nad szeregiem komputerów poprzez zainstalowanie w nich robaka, który został stworzony przez tych młodych ludzi. – Wskazała na resztę swojego zespołu. – Gdy Rasputin, bo tak nazwaliśmy naszego robaka, znajdzie się w jednej maszynie, rozprzestrzenia się jak pożar buszu, tworząc botnet, czyli sieć komputerów połączonych pod jego wspólną kontrolą. Gdy jest ich więcej, komputery te zaczynają wyłączać strony internetowe albo fragmenty sieci, zasypując serwery żądaniem przekazania danych. Ten raptowny wzrost wywołań powoduje przepełnienie bufora, blokuje serwery i czyni je bezużytecznymi.

– Zatem zasadniczo korzystacie z komputerów w sieci, żeby zablokować sieć – powiedział powoli Little, chociaż nie wyglądał na pewnego siebie. Może i faktycznie nie do końca zrozumiał, pomyślał Walker.

– Dokładnie, panie premierze – odparła Allenby. – Jednak najważniejszą cechą Rasputina jest to, że uaktywni się dopiero wtedy, gdy będziemy tego chcieli. Większość robaków zaczyna działać, ledwie znajdą się w systemie. Rasputin siedzi tam uśpiony, żeby we właściwej chwili wywołać chaos.

– Okej... Ale jak wprowadzicie go do systemu?

– Dobre pytanie, panie premierze – odezwał się dyrektor GCHQ. – Kiedyś myśleliśmy o zmontowaniu operacji z pomocą CIA albo MI6 i o włamaniu do serwerów w rosyjskim Narodowym Centrum Zarządzania Obroną. To było wtedy, gdy powstało. Niemniej trzeba Rosjanom oddać sprawiedliwość, że naprawdę zadbali o zabezpieczenia. Nie udało nam się. Między innymi dlatego, że użyli wyłącznie serwerów własnej produkcji, co poważnie zmniejszyło ich podatność na nasze ataki. Tak w ogóle, panie premierze, to my używamy serwerów zrobionych za granicą, choć to temat na inną okazję... Niemniej każdy system obronny jest tak dobry, jak silne jest jego najsłabsze ogniwo. I obecna tu Nicola znalazła dojsście.

Berry uśmiechnął się niczym magik wyciągający królika z kapelusza, po czym dał znak Allenby, żeby podjęła temat.

– Rzecz w tym, panie premierze, że każdy komputer podłączony do internetu jest podatny na infiltrację i przejęcie. Musieliśmy tylko znaleźć dostęp do zamkniętej sieci używanej przez rosyjski Sztab Generalny. Zaczęliśmy więc wyszukiwać osoby mające do niej dostęp, które mogłyby przynieść robaka w swoich komputerach.

– I...?

– Kilka lat temu w Stałym Połączonym Sztabie Generalnym gościła grupa Rosjan, którzy organizowali Narodowe Centrum Zarządzania Obroną. To było jeszcze

w dobrych czasach, przed Krymem. Jeden z naszych zespołów monitorował, jak wykorzystują komputery, gdy są u siebie w hotelu, sprawdzał adresy IP i tak dalej. Obecnie jeden z tamtych pułkowników jest generałem w Centrum, mamy więc oko na jego komputer i od czasu do czasu sprawdzamy, co na nim nowego. Ustaliliśmy, że regularnie zwykł wchodzić na kilka podejrzanych stron oraz że miał zwyczaj zabierać robotę do domu, po czym przenosić pliki z powrotem do komputera w biurze. Następnym krokiem było zainfekowanie tych stron Rasputinem. Gdy więc ponownie wszedł na stronę ze swoją ulubioną pornografią, jego komputer został zainfekowany. Krótco później popełnił błąd i przeniósł przygotowaną na domowym laptopie prezentację z dziedziny militariów do swojego komputera w Centrum. Ten zaś jest częścią wojskowej sieci i tym samym udało nam się wejść do systemu.

Premier był pod wrażeniem.

– Genialne... I sugeruje sporą dalekowzroczność – dodał.

– Na tym polega nasza praca, panie premierze – włączył się Berry. – Dzięki Nicoli i naszemu zespołowi możemy na żądanie wyłączyć sieć rosyjskiego Sztabu Generalnego. Jak szybko, tego nie wiem. Zatem dla osiągnięcia najlepszych rezultatów musimy zaplanować to wyłączenie z wyprzedzeniem. To z kolei oznacza dokładne skoordynowanie ożywienia Rasputina z planem całej operacji. I dlatego zaprosiłem dzisiaj wojskowych.

– Dobrze – mruknął Little. – Ale to nie zapewnia jeszcze kontroli nad systemem dowodzenia bronią jądrową?

– Jeszcze nie, ale możemy to załatwić. – Berry wyjaśnił, że rozkaz odpalenia powinien być wydany przez prezydenta, za którym nosi się zawsze stosowną walizeczkę. – Czegiet jest połączony z systemem Kawkaz, systemem łączności wyższych urzędników rządowych. Ten z kolei połączony jest z Kazbiekiem, systemem łączności wojsk atomowych. Do niego szczęśliwie ma dostęp już więcej osób, także młodszych stopniem.

– Proszę mówić dalej – odezwał się Little. – Chyba wciąż nadążam.

– Rosjanie mają system Pierimetr, system w rodzaju „martwej ręki”. Jest tak ustawiony, żeby dokonać ataku w wypadku, gdyby po silnym uderzeniu atomowym w Rosji nie został już w dowództwie nikt żywy, i przenieść nas do wieczności. Taki współczesny odpowiednik *Doktora Strangelove’a*.

– Żartuje pani! – wykrzyknął premier. – Życie naśladuje sztukę w najbardziej upiorny sposób...

– Dokładnie. Chciałabym żartować, panie premierze. Ale dzisiaj ważne jest to, że dzięki Rasputinowi możemy włamać się do systemu łączności wojsk atomowych i wprowadzić tam konia trojańskiego, który nie tylko da nam dostęp do Pierimetru, ale pozwoli go kontrolować. Oszukamy go w ten sposób, że zamiast uznać, że Rosja została zniszczona i on winien zniszczyć teraz Zachód, podda się nam. Potem



przejmiemy elektronicznie kontrolę nad iskanderami w Kaliningradzie. Tyle że znowu nie wiemy, jak długo zdołamy ją utrzymać.

– Jednak chyba na tyle długo, żeby wywołać chaos?

– Tak sądzimy.

Premier oparł się na krześle.

– Czysty geniusz – wyszeptał. – Zaszachujemy Rosjan ich własnymi raketami.

– Dokładnie, panie premierze – przytaknął Berry.

– I tutaj wchodzi Dave, panie premierze – odezwał się Kydd. – Ostatecznie to jest operacja NATO, chociaż oczywiście Stany będą odgrywać w niej czołową rolę. Skoro zaś Rasputin ma być kluczem do sukcesu, będzie to wkład naszej Centrali. Dave jest zaś ogniwem łączącym Rasputina z planem NATO, chociaż nie powinniśmy zapominać, że przy obecnym stanie naszych sił zbrojnych jesteśmy dla USA tylko jednym z partnerów w tej operacji, podobnie jak wiele innych krajów. Mamy po prostu szczęście, że DSACEUR jest z założenia Brytyjczykiem, ale nie możemy zakładać, że tak będzie wiecznie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Little, spoglądając na McKinlaya. – Wielka Brytania zawsze była wiodącym krajem NATO i udzielała się bardziej, niżby to wynikało z jej kategorii wagowej.

Walker widział, jak McKinlay zastanawia się przez chwilę, zapewne nad tym, czy ustąpić premierowi, czy naciskać dalej. W końcu jednak marine zacisnęła szczęki i przymrużyła lekko powieki, po czym spojrzał premierowi prosto w oczy.

– Mówiłem wiele razy ministrowi obrony, że ten czas już minął, panie premierze. Wielka Brytania nadal może tak o sobie myśleć, ale żaden inny kraj nie myśli tak o nas. Jasne, nadal żywią wiele szacunku dla naszych sił zbrojnych i doceniają naszych żołnierzy, ale rzeczywistość jest taka, że nasz wpływ na NATO zmalał znacząco w wyniku naszych nieustannych redukcji zdolności obronnych w ciągu ostatniego dziesięciolecia. I mówię to pomimo wielkich obietnic sprzętowych przedstawionych w przeglądzie obronnym z 2015 roku. Z punktu widzenia NATO są to obietniczki, a nie rzeczywisty opis naszej obecnej zdolności bojowej.

– Ale... – Little chciał zaprotestować, ale dojrawszy, że Kydd pokiwał głową, rozmyślił się i dał znak, żeby generał mówił dalej.

– Dziękuję, panie premierze. Co więcej, pozycja Wielkiej Brytanii została nadszarpnięta przez naszą niechęć do angażowania się w operacje NATO i oczekiwanie, że inne kraje poniosą ten ciężar. Zanim to wszystko się zaczęło, Niemcy i Włochy przodowały w udzielaniu się w operacjach NATO na Bałkanach czy w Afganistanie. Do tego nikt nie potrafi zrozumieć, dlaczego morski kraj, jakim jest Wielka Brytania, skasował morskie samoloty patrolowe. – Przerwał na chwilę. – Co zemściło się strasznie wraz z zatopieniem *Queen Elizabeth*.

Walker nie był zdumiony, że Little najeżył się na tę krytykę.

– Cóż, generale – powiedział sarkastycznie. – Jako brytyjski generał powinien pan powiedzieć NATO, że zaczynamy wracać co formy. Czego przykładem może być Rasputin.

– Przykro mi, panie premierze – odparł cicho McKinlay. – Rasputin musi pozostać jak najściślej tajny. Tylko SACEUR będzie musiał się o nim dowiedzieć, wraz z jego głównym generałem operacyjnym w SHAPE, też Amerykaninem. Ale nikt więcej, nawet jeśli robak zadziała zgodnie z oczekiwaniami. Nawet nasz ambasador przy NATO, Flora Montrose, nie może o nim wiedzieć. Rasputin to ofensywna broń informatyczna, a NATO jasno określiło, że będzie angażować się tylko w obronne operacje informatyczne. Tak więc Rasputin musi pozostać naszą wewnętrzną sprawą. A dodatkowo nie jestem w tej sytuacji tylko brytyjskim oficerem. Noszę brytyjski mundur i nikt nie powinien powątpiewać w moją lojalność wobec kraju, ale wypełniam obowiązki w strukturach NATO. Gdybym zaczął podkreślać na siłę znaczenie Wielkiej Brytanii, straciłbym wiarygodność i na dłuższą metę tylko zaszkodził naszemu wizerunkowi.

Potem, zdając sobie sprawę, że może trochę przesadził, dodał:

– Niemniej, panie premierze, nie ma co popadać w smutek i zniechęcenie. Na pewno mogę powiedzieć, że nasi sojusznicy, a zwłaszcza Amerykanie, dostrzegą następującą u nas zmianę kursu.

Walker widział, że premier miał już dość tej krytyki i chciał się odgryźć, ale Kydd mu przeszkodził.

– Obawiam się, że Dave ma rację, panie premierze. Dokładnie to samo słyszę od moich amerykańskich kontaktów. Niebezpiecznie jest nadstawiać ucha na własną propagandę i nie mieć nikogo, kto gotowy jest nam powiedzieć, jak jesteśmy postrzegani przez innych. Tak jak teraz...

Premier obrócił powoli głowę i spojrzał na Kydda, a potem znowu na McKinlaya. Walker dojrzał zadziorny błysk w jego oku i czekał na wybuch, który jednak nie nastąpił. Zamiast tego premier uśmiechnął się rozbijając do Kydda.

– Wiedziałem, co robię, powołując cię na szefa sztabu. Ale nie wiedziałem, że jesteś w dwóch osobach...

Potem uśmiechnął się także do McKinlaya.

– Okej, rozumiem. Nie podoba mi się to, co pan mówi, ale cieszę się, że mamy jeszcze generałów gotowych powiedzieć, jak jest naprawdę. – Potem zmienił temat: – Czy Amerykanie mogliby przygotować takiego Rasputina?

– Nie bez naszej pomocy – powiedział Berry.

– Dobrze. – Little pokiwał głową. – Trevor, gdy tylko wrócę na Downing Street, będę chciał rozmawiać z prezydentem Dillon. Załatw, co trzeba.

Piątek 7 lipca 2017 roku, godzina 12.45

Centrala Łączności Rządowej (GCHQ), Cheltenham, Anglia

Po spotkaniu premier wyszedł razem z Walkerem, McKinlay zaś skierował się do swojego samochodu, którym miał przejechać na lotnisko Staverton pod Gloucester, gdzie czekał na niego podstawiony przez RAF odrzutowiec dyspozycyjny HS-125. Gdy szedł chodnikiem znanym jako „Ulica”, biegnącym łukiem wkoło budynku, nagle ujrzał doganiającą go Nicolę Allenby.

– Generale, muszę z panem porozmawiać. Na osobności. Jeśli miałby pan chwilę...

Allenby, która wcześniej zrobiła na McKinlayu wielkie wrażenie swoją postawą, pewnością siebie i głęboką znajomością tematu, wyglądała na bardzo przejętą.

– Oczywiście. Jak stoimy z czasem, Simon? – spytał swojego brytyjskiego asystenta.

– Samolot nie odleci do Belgii bez pana, generale. Ma pan czasu do woli. Proponuję, żebyśmy przeszli do ogrodu. Tam jest dużo miejsca i łatwo znajdziemy spokojny kąt.

Eskortująca ich kobieta w średnim wieku pokazała drogę na otwarty dziedziniec pośrodku budynku. Usiedli w pobliżu pomnika upamiętniającego pięciu funkcjonariuszy Centrali, którzy zginęli podczas służby w Afganistanie. Były to dwa kamienne kręgi wykonane z wapienia z Cotswold, z brązowymi profilami dwóch patrzących na siebie osób, młodej kobiety i żołnierza w hełmie.

– Dobrze pani sobie poradziła – powiedział McKinlay, gdy kobieta ich zostawiła. –

Nie myślę tylko o samej robocie operacyjnej, ale także o spotkaniu z tym łasicowatym podwładnym premiera, Walkerem. Odrażająca postać. Zawsze szuka czegoś na ludzi, żeby potem to wykorzystać.

Allenby zbyła komplement, jakby był to jej chleb powszedni, ale generał zastanawiał się, czy tak naprawdę nie jest po prostu bardzo nieśmiała.

– Dziękuję, generale, ale takie typy zawsze się tak zachowują.

Pokiwał głową.

– Wiem, że wraca pan już do SHAPE, ale jest coś, czego nie mogę przekazać panu zwykłymi kanałami komunikacji. Dlatego chciałam złapać pana jeszcze przed odjazdem.

– Słucham – powiedział zaintrygowany McKinlay.

– Chodzi o ten zespół, który mamy na Łotwie. Czy też na początku mieliśmy na Łotwie. Jak pan wie, obecnie przeszli przez Litwę do obwodu kaliningradzkiego. Właśnie zakończyli rozpoznanie centrum dowodzenia w Prawdinsku, przygotowując

teren dla amerykańskich sił specjalnych, które mają zająć się celem, gdy Rasputin zadziała.

– Tak – odparł McKinlay.

– Powinien pan wiedzieć o dwóch rzeczach, które się z tym wiążą. Pierwsza jest taka, że jak wyszło nam z analizy rosyjskich sieci, niemal na pewno udało im się zidentyfikować nasz zespół. Co więcej, Rosjanie wiedzą już, że to oni byli odpowiedzialni za akcję w Līgatne i upokorzenie ich prezydenta. Po drugie, prezydent rozkazał osobiście specnazowi, żeby ten pojmał Toma Morlanda, dowódcę zespołu. Będą chcieli zrobić z nim pokazówkę. Potem go bez wątpienia zabiją.

– Jak im się to udało? – spytał McKinlay.

– Przez sygnatury przekazu danych. Nie będę wchodziła w szczegóły techniczne, ale łącznościowiec ma swój sposób przygotowywania wiadomości. Jest dobry, ale nie pochodzi z sił specjalnych, więc nie przeszedł szkolenia z zapobiegania identyfikacji. Skoro my to wychwyciliśmy, to Rosjanie także. Świetni są w takich sprawach. Sądzymy, że najpierw rozpoznali ich na Łotwie, co by wyjaśniało, jak zdołali znaleźć i zaatakować ich obóz. Szturm im jednak nie wyszedł. Od tamtej pory, chociaż zespół odzywał się bardzo rzadko, śledzili jego drogę przez Litwę i teraz zapewne wiedzą już, że nasi chłopcy są pod Kaliningradem. Tak zatem, chociaż ostatni przekaz nadali z miejsca raczej odległego od Prawdinska, tamci mogą dodać dwa do dwóch i domyślić się, że zespół Morlanda zajmuje się instalacjami broni nuklearnej.

McKinlay potarł z zastanowieniem podbródek.

– Rozumiem. Ale nie powiem, żeby mnie to zdziwiło. Od początku było wiadomo, że prędzej czy później Rosjanie wpadną na ich trop. I mówi pani, że dzięki nasłuchowi wiedzą już, że nasi skierowali się do Prawdinska?

– Nawet więcej, generale. Sądzę, że zastawią tam pułapkę na nasz zespół.

– Tak, to możliwe. Jak dotąd sprawiali się dobrze i mieli wiele szczęścia, ale każde szczęście kiedyś się kończy. To wielki sekret przetrwania, chociaż może nie powinienem wypowiadać się na ten temat. – Uśmiechnął się i postukał knykциями w protezę nogi. – Należy wiedzieć, kiedy powiedzieć dość. Z tego, co pani mówi, wynikałoby, że zespół Morlanda doszedł właśnie do tego miejsca.

– Tak, generale. Chociaż z punktu widzenia naszego planu ważniejsze jest, że zdaniem Moskwy nie robią tam nic szczególnego. Tylko się rozglądają.

– I niech tak zostanie. Czy są jakieś dane nasłuchowe albo zdjęcia satelitarne sugerujące, że Rosjanie przesuwiają tam swoje siły?

– Nie, panie generale.

– Zatem pomimo odkrycia, że nasz zespół przeprowadza rozpoznanie wkoło Prawdinska, nie poczuli się zaniepokojeni? Żadnego wzmocnienia obrony, niczego?

– Nie, panie generale.

– Tak myślałem. W przeciwnym razie misja zostałaby już przerwana, prawda?

Allenby przytaknęła.

– Jak się zastanowić, to ma nawet sens. To tylko pięciu żołnierzy. Nie są nawet z sił specjalnych. Towarzyszy im kilku leśnych braci. Trudno, żeby taka grupa poważnie zaniepokoiła Rosjan. I owszem, zgodzę się z panią, że mogą tam na nich czekać. Mówiąc to, patrzył na dziewczynę. Informacja była ważna, ale równie dobrze można było przekazać ją komuś niższemu rangą. Miał wrażenie, że ta młoda kobieta, która chwilę wcześniej potrafiła być taka pewna siebie i bezpośrednia, nie mówiła mu teraz wszystkiego.

– Chciałaby pani, żebym coś zrobił? – spytał możliwie łagodnym tonem. Mimo wszystko nie chciał tu siedzieć za długo, czekał go lot do Brukseli, a potem musiał jeszcze wygrać wojnę.

– Cóż... tutaj wiedzą o tym, ale nie chcą ich ostrzec.

– Niech zgadnę. – McKinlay znał kilku szpiegów i wiedział, jak zawile potrafiły być ścieżki ich myśli. – Mówią, że jeśli ich ostrzeżę, a oni zostaną złapani, wówczas Rosjanie mogliby wydobyć to z nich torturami. I tym samym mieliby pojęcie, ile naprawdę wiemy. Bo przecież o prawdziwym celu i ich roli w tej operacji też nic im nie powiedzieliście, prawda?

– Dokładnie, panie generale. Na wypadek gdyby zostali schwytani.

– Na wypadek gdyby zostali schwytani... – powtórzył z zadumą McKinlay, zastanawiając się nad możliwą odpowiedzią. – Rzecz w tym, że choć okrutnie to brzmi, muszę się z nimi zgodzić.

– Ale będzie gorzej. Wykryli zamaskowane pole minowe, które zmasakrowałoby Amerykanów próbujących wejść na teren obiektu.

– Sądzę, że w tej sytuacji zostaje tylko jedno rozwiązanie – odparł McKinlay. – Morland będzie musiał spotkać się z Amerykanami i poprowadzić ich wokół tego pola.

– Prosto w zasadzkę rosyjskich sił specjalnych, które śledzą ich i zapewne będą na nich czekać...

– Całkiem możliwe. Zostaje nam nadzieja, że Morland wie, jak podejść do tego zadania. To chyba zdolny, młody oficer. Miejmy nadzieję, że szczęście go nie opuści.

– Ale...

– Właśnie za takie rzeczy królowa zwykła dawać rekrutom szylinga w pierwszym dniu służby. Takie są surowe realia naszego fachu.

Posłał jej dobroduszny uśmiech, po czym wstał, ale zaraz pomyślał o czymś całkiem innym. O ludzkim wymiarze sprawy. Ta dziewczyna, tylko trochę starsza niż jego własne córki, była specjalistą, trybikiem w systemie. Mogła zabłysnąć czymś szczególnym, ale na co dzień zajmowała się tylko komputerami i łącznością. A teraz jej bystry plan miał doprowadzić do śmierci pewnej liczby ludzi. Ludzi, z którymi rozmawiała, których znała z imienia i których najchętniej by ostrzegła, choć tego akurat

nie było jej wolno zrobić.

Widział, że na jej twarzy maluje się niepokój. Jakim szokiem musiało być dla niej odkrycie, że ta praca miewa aż tak ludzki wymiar. Przypomniał sobie, że jego żona i córki często zarzucają mu brak empatii. GCHQ będzie bardzo potrzebować Nicoli Allenby, zwłaszcza w mrocznych dniach, które z pewnością miały nadejść. Zrozumiał, że powinien okazać jej choć trochę współczucia i zrozumienia.

– Jest mi naprawdę przykro, że tak bezdusznie to wyszło. Ale naprawdę nijak nie możesz im pomóc. Musisz skupić się na tym, że to, co już zrobiłaś, ocali rzesze ludzi. To nie twoja wina, że on znowu wystawi się na niebezpieczeństwo, a ty nie możesz go ostrzec.

Piątek 7 lipca 2017 roku, godzina 19.00

Las na południe od Prawdinska, obwód kaliningradzki, Rosja

Skryci w starannie zamaskowanej bazie w głębi gęstego lasu Morland, Krauja i Arvydas Lukša, litewski leśny brat, który obecnie opiekował się brytyjskim zespołem, raz jeszcze przejrzeni wszystko, czego się dowiedzieli o centrum dowódczym baterii iskanderów pod Prawdinskiem. Szukali potencjalnych luk w planie, które mogłyby mieć znaczenie podczas kolejnej fazy operacji. Sierżant Danny Wild pełnił straż na zewnątrz, a Litwini i reszta Brytyjczyków zajęci byli czyszczeniem broni, odpoczynkiem albo przygotowaniem do nocnej wyprawy. Na skraju polany stały zamaskowane motocykle, które służyły im z powodzeniem aż do tej pory.

Morland podsumował półgłosem wszystko, co wiedzieli:

– Znamy dobrze rozkład zabezpieczeń. Ogrodzenie z drutem kolczastym, reflektory, wieże wartownicze oraz najbardziej osłonięte podejścia. Wartownicy zdają się trzymać stałego rozkładu i chodzą zawsze tą samą drogą. I zawsze korzystają z tej samej bramy.

Krauja pokiwała głową.

– Przez pole minowe w północnej części terenu przechodzą zawsze tą samą ścieżką. Nie udało mi się dostrzec, czy jest jakoś oznaczona, ale na pewno jest. Dzięki Bogu za jelenia, który tam zabłądził i wlaź na minę. Gdybyśmy nie obserwowali akurat wtedy terenu, nic byśmy o tym polu nie wiedzieli.

– Ale szkoda, że to Rosjanie zjedli dziczyznę, a nie my – rzucił kapitan Lukša, barczysty mężczyzna, niegdyś zapaśnik z narodowej reprezentacji Litwy, obecnie oficer sił specjalnych. – Przydałoby się coś na ciepło.

– Zgadza się całym sercem – powiedział Morland. Od kiedy weszli na teren zamieszkanego niemal wyłącznie przez Rosjan obwodu kaliningradzkiego, musieli zachowywać o wiele większą ostrożność, co oznaczało także odżywianie się żelaznymi racjami. Rozpalanie ognia byłoby zbyt ryzykowne. – Wróćmy raz jeszcze do tych patroli. Jesteśmy pewni, że dalej będą trzymać się tego samego rozkładu i tras?

– Rosjanie są przewidywalni – powiedział Lukša ze swoim zwykłym uśmiechem. –

Gdy byłem młodszy, przemycałem tu papierosy przez granicę. Gdyby nas złapali, byłoby nieciekawie, ale podejmowaliśmy ryzyko, bo znaliśmy rozkład pól minowych i rozpiskę patroli. Improwizacja i inicjatywa nie są wysoko cenione w rosyjskim wojsku. Nie zrozum mnie źle. Są świetni w planowaniu, ale gdy plan jest już gotowy, trzymają się go kurczowo i biada każdemu, kto się wyłamie. Dlatego przekraczanie ich granicy nie było takie trudne. Jeśli znało się jeszcze leśne ścieżki i kryjówki...

– Dzięki Bogu za twoją awanturniczą przeszłość – powiedział z uśmiechem Morland. – Wiele wam zawdzięczamy. Gdybyście nie byli tak dobrzy w gnaniu motocyklem przez las, i to w nocy, setką na godzinę, w goglach na podczerwień, nigdy nie dotarlibyśmy tak daleko. Chociaż, szczerze mówiąc, napędziłeś nam stracha i wolałbym nie powtarzać podobnych przejażdżek. Ale dobra, żarty żartami, teraz na poważnie. Amerykanie z sił specjalnych liczą na nas. Będziemy musieli doprowadzić ich do bunkra. To twoja działka, Arvydas. Znaczy, wszyscy pójdziemy za tobą.

Lukša pomyślał chwilę, nim odpowiedział.

– I to będzie już trudniejsze. Zostawimy tu kilku moich chłopaków z motocyklami, żeby zaraz po wykonaniu zadania zabrali nas z powrotem na Litwę. Tak łatwiej będzie nam się ukryć. – Spojrzał na Krauję i Morlanda, którzy skinęli potakująco głowami.

Morland wiedział, że ledwo Amerykanie się tu pojawią i załatwią swoje, wkoło zaraz zaroi się od rosyjskich żołnierzy. Co oznaczało, że lepiej będzie czym prędzej wynieść się gdzieś daleko.

– Wyruszymy stąd pieszo o dwudziestej drugiej, gdy będzie już całkiem ciemno. Ja pójdę przodem jako zwiadowca. Tom, ty zaraz za mną z resztą twojego zespołu i Mariną na końcu. Dwaj moi ludzie pójdą w tylnej osłonie. Dam znak, gdy znajdziemy się na pozycji. Potem przez noc i jutro jak zwykle. Będziemy ledwie pięć kilometrów od celu, więc żadnego ognia, żadnych świateł, papierosów czy sikania na posterunku. W ogóle bezruch, kompletna cisza. Ruszymy się jutro po zmroku, żeby nawiązać kontakt ze zrzucenymi Amerykanami. Potem zabierzemy ich dalej, żeby sami mogli zobaczyć cel. Rozpoznaliśmy podejścia, wiemy już wszystko, co trzeba. Musimy tylko zachowywać się tak jak dotąd, żeby nas nie wykryli. Żadnych głupich błędów. – Przerwał i spojrzał na Morlanda. – W porządku, Tom?

– Idealnie, Arvydas. O to właśnie chodzi Londynowi. – Kapitan rozejrzał się po obozie. Wszyscy znali już swoje role i byli gotowi do drogi. Skinął na Wilda. – Czas coś zjeść i odpocząć trochę. Czeka nas długa noc.

Lukša podszedł do swoich, żeby się upewnić, że są gotowi i nie mają pytań. Wild ruszył do pozostałych trzech członków ich zespołu.

Morgan sięgnął do plecaka i wyciągnął puszkę sardynek z litewskiej racji żywnościowej. Razem z nią były spakowane suchary. Spojrzał na Krauję.

– Nie jest to cordon bleu, ale zjedz trochę.

Krauja skrzywiła się.

– Dzięki, Tom, ale mam jeszcze swoje. Nie będę cię obżerać. Ale i tak dzięki.

– Gdybyśmy tylko mogli coś ugotować. Jestem ekspertem od potrawy compo.

– Czego? – spytała Krauja.

– Wrzuca się całą zawartość racji razem do kociołka i podgrzewa. Fasolka z puszki, mięso, warzywa, suchary, ser. I do tego dużo curry i sosu tabasco – wyjaśnił Morland, wpatrzony tęsknie w przestrzeń.



– Nie wiedziałam, że lubisz kucharzenie – powiedziała z uśmiechem Krauja. – Chętnie się przekonam, jak ci to wychodzi. Jeśli oczywiście wyjdziemy z tego – dodała, na chwilę opuszczając gardę.

Morland dostrzegł, że mimo prawdziwie łotewskiego charakteru Marina jednak się boi.

– Spokojnie. Damy radę. – Wskazał na Wilda i resztę swoich ludzi. – Ci dranie bywali już w gorszych tarapatkach. Mają wrodzony talent, żeby wychodzić z każdej biedy. Ty też!

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wyglądała na nieprzekonaną.

– Ale ja mówię poważnie. Nie wiem, co planują Amerykanie, ale Rosjanie przeżyją jutro największe zaskoczenie swojego życia. Jeśli będziemy trzymać się planu i siedzieć cicho, to sama akcja będzie jak z podręcznika. A potem... – Kiedy to mówił, był w pełni świadom, że chociaż żyją bok przy boku, tak naprawdę prawie wcale się nie znają. Nie było kiedy pogadać. Jak zwykle podczas takich długich akcji, kiedy ciągle jest się w ruchu.

Rozejrzał się i zobaczył, że akurat w tej chwili są sami.

– Chcę ci podziękować, Marino. Widziałem, jak wkurzony był Jānis Krastiņš, gdy przekazywał nas Arvydasowi na granicy z Litwą. Nie rozumiałem, o czym rozmawiali, ale na odchodnym spojrział na mnie tak jakos dziwne. Chyba miał coś przeciwko temu, żebyś dalej nam towarzyszyła.

– Tak... Cóż...

Przez chwilę jej spojrzenie złagodniało i Morlandowi wydało się, że dziewczyna zarumieniała się trochę pod zielono-brązowym kamuflażem pokrywającym jej twarz. Zaraz jednak opanowała się i powróciła do mocno rzeczowej miny.

– Gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Rydze, Juris Bērziņš, mój szef, rozkazał mi trzymać się z wami i pomagać we wszystkim. Cokolwiek się stanie. Już dawno temu przewidział, że dojdzie do czegoś takiego. Gdy wezwał mnie do siebie i wyznaczył na waszego oficera łącznikowego, był pewien, że zaraz się zacznie. Zgodziłam się i zamierzam dotrzymać słowa danemu komuś, kogo szanowałam. Major Krastiņš uważa zaś, że skoro Bērziņš nie żyje, a Łotwa znalazła się pod okupacją, mój rozkaz nie jest już ważny. Nie zgodziłam się z nim. To wszystko.

– Więc to tak? – mruknął Morland. Nie pragnął zgłębiać sprawy. W tej chwili Krauja była częścią zespołu i nie miał zamiaru niczego tu psuć. Potem pomyślał o czymś jeszcze. – Nie mów tego nikomu, ale mam wrażenie, że chyba niebawem nas stąd wyciągną. Nie wiem tylko jak ani kiedy... Ale jeśli tak będzie, sugerowałbym mocno, żebyś wróciła razem z nami do Wielkiej Brytanii. Zrobiłaś już swoje, a nawet więcej, i bardziej użyteczna, chociażby dla naszego wywiadu, będziesz żywa i wolna, niż gdybyś siedziała dalej w lasach, wciąż ścigana przez Rosjan. Tutaj zaś, chociaż nikt o tym głośno nie mówi, zrobi się na pewno bardzo paskudnie, gdy już zakończymy

naszą misję.

– Dziękuję, Tom, doceniam troskę. – Spojrzała na niego z powagą. – Ale jestem Łotyszką. Mój kraj jest pod okupacją. Mogę walczyć o niego tylko w leśnej partyzantce. Mam obowiązek pozostać tam, gdzie jestem potrzebna. Poza tym... Rosjanie zabili mojego brata.

Morland poznał po wyrazie jej twarzy, że lepiej nie ciągnąć tego tematu. Poza tym pora była wyczyścić broń i przygotować oporządzenie do długiego patrolu. I jeszcze trochę się zdrzemnąć.

Pięć godzin później i sporo po opuszczeniu obozu Morland ujrzał, jak idący przed nimi, ledwo widoczny w ciemności kapitan Lukša uniósł dłoń. Był to sygnał do zatrzymania się. Morland przekazał znak idącemu za nim Wildowi, ten zaś reszcie patrolu. Wszystko bez jednego słowa. Fosforyzujące wskazówki zegarka pokazywały 2.55. Dotarli na miejsce dwadzieścia minut później, niż planowali, ale zawsze lepiej jest iść trochę dłużej, za to ciszej. W pośpiechu zawsze łatwo o hałas.

Reszta grupy błyskawicznie rozproszyła się i zajęła stanowiska obronne. Gdy Morland przekonał się, że są już na miejscach, zsunął torbę z ramienia i położył ją na ziemi. Opanowawszy pragnienie, żeby paść płasko tuż obok niej, obszedł cały zespół, oczywiście ostrożnie, żeby nie złamać ani gałązki, i przekazał, że tutaj właśnie pozostaną aż do następnej nocy.

Dopiero gdy zobaczył, że nawet w ciemności trudny do pomylenia z kimkolwiek kapral Jezza Watson przemieszcza się na stanowisko, żeby pełnić wartę w pierwszej zmianie, Morland usiadł, wyciągnął mapę i poświecił na nią czerwoną latarką. Zasadniczo wiedział, że byli dokładnie tam, gdzie powinni, ale wolał się upewnić. Należało trochę się przespać w trakcie krótkiej letniej nocy. Potem czekał ich cały dzień czuwania.

Łyknął wody z manierki, wyciągnął z torby śpiwór i rozłożył go na ziemi, po czym sprawdził, czy nie ma pod nim kamieni czy korzeni, które nie pozwoliłyby mu zasnąć. Potem przygotował jeszcze obok siatkę maskującą, tak żeby móc narzucić ją na siebie w jednej chwili, i nie zdejmując butów, wsunął się do śpiwora. Gdyby coś zaczęło się dziać w tak małej odległości od Rosjan, nie miałyby czasu na wciąganie i sznurowanie obuwia. Gdyby nie takie właśnie, czysto leśne przyzwyczajenia, nikt z nich nie uszedłby pięć ciężkich tygodni temu z zasadzki urządzonej przez specnaz. Bo chyba to był właśnie specnaz. Morland nie przypuszczał, żeby jakakolwiek formacja poza siłami specjalnymi mogła podejść niezauważona aż tak blisko pod obóz leśnych braci.

Mieli wielkie szczęście z tymi przypadkowo oddanymi strzałami i paroma seriami puszczonej zaraz potem. Morland wciąż miał w uszach te odgłosy, które zakłóciły leśną ciszę i wyrwały ich ze snu. Wiedział dobrze, a Wild mu ciągle o tym przypominał, że bez wcześniejszych ćwiczeń nie zdołaliby uciec z dobrze przygotowanej pułapki.

Podczas tych wszystkich, aż nadto znajomych mu obecnie przygotowań słyszał, że inni zajmują się dokładnie tym samym. Cicho, systematycznie i profesjonalnie. Uporali się z tym w ciągu paru minut i zapadła całkowita cisza, przerywana tylko z rzadka pohukiwaniem puszczyka albo ryciem dzików buszujących gdzie dalej w lesie za pokarmem.

Morland bardzo chciał spać, ale w warunkach akcji był też mocno podminowany. Pilnie łowił każdy odgłos, który mógłby sugerować, że wykryto ich obecność. Na dodatek cały czas miał przed oczami twarz tamtego specnazowca, którego widział przez chwilę, gdy uciekali bladym świtem na motocyklu. Średniego wzrostu, trochę ponad trzydziestkę, z ciemnymi włosami, ale krótko ostrzyżony, w zielonej panterce bez insygniów czy plaketek. To był ten sam mężczyzna, który ustawiał demonstrację w Rydze, którego widział rozmawiającego przez komórkę chwilę przed tym, gdy ktoś inny zastrzelił z zimną krwią trzy dziewczyny. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby go poznać, ale gdy zatrzymali się wreszcie w następnym tajnym schronieniu, sprawdził zdjęcie w aparacie. Tak, to na pewno był ten sam człowiek.

Chociaż próbował przekonywać siebie, że to tylko gra jego wyobraźni, i tak nie mógł wyrzucić z głowy pytania, co ten Rosjanin robił w lesie, skoro najwyraźniej był jakąś ważną postacią. Przecież na pewno miał coś ważniejszego do roboty. Być może zakrawało to na podsyconą strachem i zmęczeniem paranoję, ale Morland zastanawiał się nawet, czy to nie jego szukano. A jeśli tak, to czy tamten Rosjanin wciąż go tropił? I skoro ów specnazowiec raz zdołał znaleźć go w głuszy, czy zdoła to powtórzyć? A może jest już gdzieś blisko?

Przenosili się z jednej kryjówki do drugiej, nigdy nie zostając w jednym miejscu na tyle długo, żeby ślady ich obecności, na przykład ścieżki, nagromadzone śmieci czy odchody, stały się nazbyt widoczne dla tropicieli wyposażonych w nowoczesny sprzęt. Niektóre z tych kryjówek znajdowały tak głęboko pod ziemią, że nawet drony z czułymi detektorami ciepła nie byłyby w stanie ich wykryć, ale po jednym złym doświadczeniu woleli być ostrożni i dalej regularnie zmieniali lokum.

Podobnie utrzymywali dyscyplinę łączności i jak najrzadziej korzystali z radia, zawsze oddalając się wtedy mocno od siedziby. Kapral Steve Bradley pilnował obsesyjnie, żeby żadna z tych transmisji nie trwała za długo, ale Morland i tak się niepokoił. Tyle że zatrzymywał swoje bezzasadne, jak uważał, strachy dla siebie, żeby nie zarażać lękiem innych. I tak mieli dość zachodu ze zbieraniem informacji i ciągłymi przeprowadzkami dla zmylenia ewentualnych prześladowców.

Ale dość tego. Pora była zaufać wartownikowi i trochę pospać. Morland starał się odprężyć. Przy okazji dobitnie poczuł zapach swojego niedomytego ciała. Zdziczeliśmy tutaj, pomyślał. Splątane brody, włosy w strąkach i coraz większa chudość, bo trudno było utyc na racjach wojskowych dostarczanych im przez Łotyszy i Litwinów. Ale nieważne. Ponieważ smród miał się dokładnie wszystkich, mało kto go zauważał. Poza

tym zapach mydła byłby zdecydowanie nienaturalny w lesie i mógłby zwrócić uwagę patrolu albo dzikich zwierząt. Po co ryzykować?

Spodziewał się, że jego podwładni będą sobie dobrze radzić, ostatecznie byli piechociarzami i zwiadowcami. I w sumie radzili sobie, chociaż i tak narzekali. Litwini, podobnie jak Łotysze, czuli się w lesie jak w domu. Niemniej Krauja też okazała się taka, co dość go nawet zaskoczyło. Trudności nie robiły na niej żadnego wrażenia, normalnie brała warty i okazała się nieocenionym wręcz zwiadowcą. Poza tym, chociaż przejawiała typową dla Łotyszy rezerwę, pokazała się też jako świetny żołnierz z dużym poczuciem humoru i gdy miała na to ochotę, potrafiła wdawać się z nimi w długie i nie zawsze poważne konwersacje.

To jednak nie był dobry czas na to, żeby o niej myśleć. Należało raczej skupić się na dniu jutrzejszym. Na tym, co trzeba będzie zrobić zaraz po zmroku. Mieli wtedy przejść ostatnich pięć kilometrów przez las do ostatecznego punktu zbornego. Potem przemieścić się do strefy zrzutu i czekać tam na spadochroniarzy skaczących z dużej wysokości, z wczesnym otwarciem spadochronu, i naprowadzanych później za pomocą transpondera radarowego, który miał przy sobie Lukša. Gdy już się z nimi połączą, oddział oznaczy strefę lądowania dla śmigłowców z siłami desantowymi. Potem będą mieli za zadanie przeprowadzić Amerykanów przez rozpoznany teren, pole minowe i ogrodzenie na teren instalacji wojskowej.

Perspektywa ponownego zbliżenia się do rosyjskiego ośrodka dowodzenia wywołała u Morlanda znajomy skurcz żołądka. Pocieszył się, że to już ostatni raz, potem będą mieli z tym spokój. Powrót pod ten pierścień zasieków i śmierci był proszeniem się o kłopoty. Powtarzał sobie, że gdy doprowadzą spadochroniarzy do ogrodzenia, ich rola będzie skończona. Cofną się i pozwolą Amerykanom zrobić swoje. Cokolwiek mieli tam do zrobienia. Niestety, nabrał już tyle doświadczenia, żeby wiedzieć, jak to bywa. Gdy zacznie się strzelanina, wszystko może się zdarzyć. Plany rzadko się sprawdzały. Jedno było tylko pewne, a mianowicie to, że nic nie mógł w tej chwili na to poradzić. Zostało mu więc zamknąć oczy, wtulić się w zalegającą pod śpiworem warstwę sosnowych igieł i zasnąć.

Sobota 8 lipca 2017 roku, godzina 13.30

Centrum dowodzenia Kaliningradzkiego Rejonu Specjalnego, Kaliningrad

Major Anatolij Nikołajewicz Wronski wmaszerował do tymczasowego gabinetu generała Wasiljewicza Kirkorowa, dowódcy Zachodniego Okręgu Wojskowego, który odpowiadał za zdławienie oporu w państwach bałtyckich.

Zasalutował niczym podczas parady i stanął na baczność, czekając, aż generał się odezwie. Należało oczekiwać, że znowu będzie się strasznie ciskał, podobnie jak pięć tygodni wcześniej w Sankt Petersburgu, gdy Wronski zameldował się po nieudanym ataku na obóz brytyjskiego zespołu na Łotwie.

Kirkorow został obarczony przez prezydenta zadaniem zorganizowania łowów na brytyjskiego terrorystę i wybuchnął gniewem, gdy Wronski uzasadnił niepowodzenie niskim poziomem dyscypliny i wyszkolenia żołnierzy z ukochanych przez generała oddziałów piechoty zmotoryzowanej. Nie było wątpliwości, że gdyby nie specjalny rozkaz prezydenta, kapitan trafiłby rychło do gułagu.

Na razie stał w milczeniu i wpatrywał się w ścianę nad ogoloną na łyso głową generała uważnie studiującego rozłożone przed nim na biurku tajne dokumenty. Wronski wiedział, że w takich sytuacjach przede wszystkim nie należy zwracać na siebie uwagi przełożonego. Czasem mogło zdecydować to o przetrwaniu i nieważne, czy było się rekrutem, czy wielokrotnie odznaczanym oficerem specnazu.

Wronski wiedział z doświadczenia, że z ludźmi w rodzaju Kirkorowa trudno było o dobre kontakty. Był oficerem jeszcze radzieckiego chowu i pierwszy raz zwrócił na siebie uwagę przełożonych w latach osiemdziesiątych, gdy stosując taktykę spalonej ziemi, zdołał wyprzeć mudzahedinów z Doliny Pandźszereu. W ogóle nie zwracał przy tym uwagi na straty cywilne. Dalsze regularne awanse zawdzięczał podobnie brutalnym akcjom, w których jako dowódca pułku piechoty zmechanizowanej brał udział w wojnie w Czeczenii. Sam opisywał tamte wojny jako „dyscyplinowanie Republiki Czeczeńskiej”, chociaż ich dziedzictwem były tysiące zabitych mężczyzn, kobiet i dzieci, Grozny nieróżniący się wiele wyglądem od Stalingradu oraz żywa nienawiść do Rosji wśród muzułmańskich mieszkańców Kaukazu. Nienawiść ta mocno utrudniała życie nowemu pokoleniu specnazowców, do którego należał i Wronski, przez co niemal nie można było znaleźć wśród miejscowej ludności informatorów i pomocników w walce z buntownikami.

W Pribałtyce generał postępował tak samo jak wcześniej na południu, ale Wronski chwilowo akurat tym się nie martwił. Jego jedynym zadaniem było ujęcie brytyjskiego

oficera. Jeśli odniesie sukces, zyska wdzięczność prezydenta. W wypadku niepowodzenia... O tym wolał nawet nie myśleć. Jego plan przewidywał zastawienie misternej pułapki przez czekający piętro niżej zespół specnazu. Jedno słowo i ruszą. Generał jednak wolałby pewnie zmasowany atak w swoim stylu. Tyle że prezydent nie tego oczekiwał.

– Wyjaśnijcie swój sposób myślenia, majorze – powiedział w końcu.

Wronski poczuł na sobie spojrzenie świńskich oczek generała, ale nie popełnił błędu, jakim byłoby zaprzestanie studiowania faktury ściany.

– Generale, od czasu tamtej nieudanej zasadzki nasze służby radioelektroniczne starają się śledzić ruchy terrorystów. Przełomem było ustalenie, że ich łącznościowiec ma specyficzny sposób kończenia transmisji. Wtedy przejrzeni wszystkie zapisy przechwyconych sygnałów i ustalili, że grupa ruszyła na południe. Najpierw przeszła przez Łotwę, potem przez Litwę i dotarła do obwodu kaliningradzkiego.

– Kaliningrad to rosyjskie terytorium! – wyrzucił z siebie generał. – Miejsce rozmieszczenia iskanderów! Nigdy się nie odważą...

Wronski odczekał chwilę, ale generał nie powiedział nic więcej.

– Też tak uważamy, generale. Nigdy się nie odważą. Poza tym wiemy z całą pewnością, ta piątka to zwykli żołnierze piechoty.

Generał warknął ze złością i zacisnął leżące na blacie dłonie w pięści.

– Co mi tu sugerujecie, majorze?

– Wywiad wojskowy stwierdza jednoznacznie, a FSB potwierdza, że Brytyjczycy zawsze wysyłają swoje siły specjalne jako szpicę poprzedzającą atak. Wystarczy ustalić, że są w określonym miejscu, a wiadomo, gdzie nastąpi atak. To nie zdroworozsądkowe przypuszczenie, ale coś, co zostało wiele razy udowodnione. Tak samo jak grupy specnazu rozpoznają miejsca naszych ataków.

– Mówcie dalej – rzucił po zastanowieniu generał.

– Na terenie obwodu kaliningradzkiego nie ma żadnych sił specjalnych Sojuszu. Niemniej mamy podstawy sądzić, że próbuje się je przerzucić do Estonii i na Łotwę. Brytyjczycy kierują tam SAS i SBS, Amerykanie Deltę i SEAL. Dokładnie tam, gdzie zaatakują NATO. O ile okaże się na tyle głupie...

– I co?

– Tych pięciu brytyjskich piechurów na Łotwie prowadziło szkolenie i zostali tam, gdy odzyskałyśmy nasze bałtyckie prowincje. Nie mieli się jak wydostać. Granice lądowe, morskie i powietrzne są tak ściśle strzeżone, że nie mieli na to szans. Po prostu utknęli i narobili nam trochę kłopotów. Nie było w tym żadnego strategicznego zamysłu, żadnych podtekstów.

– Ale namieszać im się udało – warknął generał, uśmiechając się jednak. Chyba zaczynał doceniać kolegę po fachu.

– Wiem, generale. I dlatego tu jestem. Niemniej sądzimy, że obecnie wypełniają

misję zwiadowczą. Nic mniej, nic więcej. Towarzyszy im garstka leśnych braci. Niemniej każda bateria pocisków jest strzeżona przez wzmocnioną kompanię i ma złożone instalacje obronne. Jak ta grupka Brytyjczyków mogłaby im zagrozić? Co chcą osiągnąć?

– Zaatakować nasze pociski...

– Ale czym, generale? Gdy widziałem tego brytyjskiego oficera jadącego na tylnym siodełku motocykla, był na wpół zagłodzony i miał tylko zwykły karabin piechoty. Co mógłby nim zdziałać? A nawet gdyby znalazł sposób, NATO wie przecież, że nasz prezydent odpowie atakiem atomowym. Musieliby zwariować. I dlatego ich służb specjalnych tu nie ma, a tamci zaszyli się gdzieś, żeby uniknąć pojmania. Pewnie starają się być użyteczni, na przykład meldują o ruchach naszych wojsk.

– Wasze wnioski?

– To dobra okazja dla pana, generale. Prezydent chce tego brytyjskiego oficera. Gdyby nie to, zbombardowałbym ich ze śmigłowców i dronów i wysłał spadochroniarzy, żeby pozbierali szczątki. Bo tyle by tylko zostało. Prezydent jednak chce pokazać go w telewizji, i to żywego...

– Siadajcie, Wronski... Sasza! – krzyknął generał w kierunku zamkniętych drzwi.

Do środka wpadł przerażony chyba adiutant i zaraz zasalutował.

– Tak, panie pułkowniku?

– Wódkę, dwie szklanki i sało <sup>1</sup>. Zaraz. Musimy z majorem coś tu zaplanować.

Spojrzał ponownie na Wronskiego.

– To jaki jest ten plan?

– Panie generale, dziś rano przechwyciliśmy kolejną transmisję radiową. Ten sam operator. Brytyjczyk. Był jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od Prawdinska, w lasach na południe od rzeki Pregoly.

– Prawdinsk... nasz bunkier dowodzenia... i jedna z baterii iskanderów. Macie rację, to cel warty rozpoznania, chociaż nie ośmielił się go zaatakować. Bardziej okazja dla nas niż zagrożenie. Hmm... I przypuszczam, że nie zobaczą niczego, co nie zostałoby już sfotografowane przez satelity.

– Dokładnie tak samo myślę, generale. Moja propozycja jest taka, żeby wzmocnić garnizon piętnastoosobowym zespołem specnazu. Złapiemy ich, albo gdy będą przeprowadzać rozpoznanie, albo gdy będą meldować o wynikach do Londynu. Teraz, gdy wiemy już, gdzie ich szukać, zlokalizujemy grupę w ciągu niewielu minut. Albo zobaczymy ich przy ogrodzeniu Prawdinska, albo namierzemy po transmisji. Nie połączymy się nawet, że ktoś ich atakuje.

– Nieźle, majorze. Ale to będzie na waszej głowie. – Kirkorow nalał dwie szklanki wódki i odpiął górny guzik od munduru.

Idąc śladem generała, Wronski wychylił wódkę jednym haustem i szybko sięgnął po kawałek sała, żeby zakąsić. Szykowało się nudne i całkiem zmarnowane popołudnie.

Owszem, musiał jakoś przekonać generała, ale z drugiej strony miał jeszcze sporo do zrobienia.

– Panie generale, moi ludzie liczą, że zaszczyli ich pan osobistą inspekcją przed wyruszeniem na akcję. Czy zechciałby pan...?

Generał spojrział na niego ostro, podejrzliwie. Pewnie wolałby wypić i poopowiadać różne historie.

– Idź. Dokonam inspekcji za piętnaście minut.

Wronski ustawił swoich ludzi z 45. gwardyjskiego pułku specnazu w garażu przyległym do centrum dowodzenia Kaliningradzkiego Rejonu Specjalnego i wyjaśnił im sytuację. Inspekcja była ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, ale lepiej było wyprawić się w drogę, zanim generał się upije i być może zmieni zdanie. Poza tym grupa liczyła tylko piętnastu ludzi i Kirkorow powinien szybko załatwić sprawę.

Czekając na przybycie generała, Wronski raz jeszcze przebiegł w myślach swój plan. Czy na pewno nie popełnił błędu?

Jak można było sądzić po transmisjach radiowych, brytyjski kapitan kierował się dokładnie w stronę baterii Iskanderów na południe od Prawdinska. Trudno było sobie wyobrazić, co właściwie zamierzał przez to osiągnąć poza ogólnym rozpoznaniem terenu. Na jego opanowanie nie mieli co liczyć, chyba że chcieliby wywołać trzecią wojnę światową, co byłoby świadectwem bezbrzeżnej głupoty. Poza tym on nie pozwoli na taki idiotyzm. Z takimi ludźmi, jakich miał w oddziale, mógł spokojnie zapanować nad sytuacją. Skoro zaś prezydent chciał dostać gościa żywcem, zastawienie pułapki było najlepszym rozwiązaniem. Tak, to był dobry wybór.

Pół godziny później w garażu zjawił się adiutant i oznajmił, że generał jest już w drodze razem z dowódcą centrum dowodzenia.

Wronski kazał swoim ludziom stanąć na baczność.

Zalutujący wódką generał zignorował majora i podszedł prosto do ustawionego w szereg oddziału.

Mimo okoliczności Wronski był pod wrażeniem sposobu, w jaki Kirkorow zagadywał każdego z osobna i interesował się specjalistycznym wyposażeniem, którego zwykły żołnierz armii rosyjskiej nie oglądał nawet z daleka, chociaż w specnazuie było czymś zwyczajnym. Obejmowało ono hełm nowej generacji oraz pancerz osobisty 6B43 z tylną i przednią płytą wykonanymi z tytanu i spieku ceramicznego na bazie węgla boru i odpornymi na pociski kalibru 5,56 mm, używane przez Brytyjczyków, miotacze granatów, karabiny szturmowe AS Wał, tak przydatne podczas skrytych operacji i robiące bardzo mało hałasu, z poddźwiękową amunicją przeciwpancerną kalibru 9 mm i lunetą z nocnym celownikiem, oraz zamontowany w kołnierzu i hełmie moduł łączności pozwalający utrzymywać kontakt bez fatygowania rąk.

Ostatecznie inspekcja dobiegła końca. Kirkorow obrócił się do Wronskiego, który



ponownie stanął na baczność.

– Znakomici żołnierze, majorze Wronski. Tylko jedno pytanie.

– Tak, generale?

– Jesteście absolutnie pewni, że terroryści nie mogą w żaden sposób zagrozić naszym pociskom Iskander?

– To pięciu ludzi w towarzystwie kilku leśnych bandytów. W jaki sposób mogliby zagrozić kompanii wyszkolonej piechoty i mojej grupie specnazu? Nie, panie generale. Prowadzą tylko rozpoznanie. I to jest ostatni z ich błędów. Prezydent będzie panu dozgonnie wdzięczny, że pozwolił mi pan ich ująć i przekazać w pańskie ręce.

Generał uśmiechnął się i spojrzał na swojego adiutanta.

– Zapisz, że major Wronski jest pewien swego. – Potem przeniósł spojrzenie na specnazowców. – Zróbcie wszystko, żeby wasza misja zakończyła się sukcesem. Prezydent na was liczy. Rosja na was liczy.

Wronski zasalutował, teraz jeszcze bardziej pod wrażeniem. Kirkorow znał się na brudach polityki nie gorzej niż na tępieniu dysydentów. Normalnie major nigdy nie dałby się wmanewrować w takie deklaracje, ale gdyby się skrzywił, zgoda na operację zostałaby najpewniej cofnięta.

– Dziękuję, panie generale. Moi ludzie nie zawiodą pana. A teraz czy mogę prosić o zgodę na wyruszenie?

– Jedźcie. Ojczyzna będzie nad wami czuwać. – Kirkorow musnął palcami daszek czapki, oddając poniekąd salut Wronskiemu, i wyszedł z garażu. Dowódca centrum i adiutant pociągnęli w ślad za nim.

– Dupek – odezwał się scenicznym szeptem jeden ze specnazowców, gdy generał był już daleko.

– Słyszałem to, Lwie Dawidowiczu – powiedział Wronski, nawet się nie odwracając.

Nie chciał, żeby podwładni zobaczyli pełen ulgi uśmiech, który wykwitł na jego twarzy. Wreszcie miał sposobność, żeby raz na zawsze skończyć z tym brytyjskim oficerem. Z drugiej strony zrozumiał jednak, że zaczął podchodzić do tego zbyt osobiście. – Nie jestem lepszy niż prezydent – mruknął pod nosem, po czym odwrócił się do oddziału. – Wsiadać – rozkazał i wskoczył do urala 4320, który miał zabrać ich do Prawdinska.

Trochę ponad godzinę później znaleźli się przed bunkrem dowodzenia baterii pocisków Iskander. Ostatnia transmisja została nadana gdzieś z tej okolicy i o ile Brytyjczycy nie próbowali jakichś sztuczek, to właśnie był cel ich wędrówki. Ale gdyby nawet próbowali, to co z tego? Liczyło się tylko to, że specnaz zjawił się przed nimi i mógł liczyć na element zaskoczenia. Wronski znowu spotka się ze swoim przeciwnikiem.

Spojrzał na tarczę wodoodpornego rolexa, z którego był bardzo dumny. Do zachodu

słońca zostało pięć i pół godziny. Masa czasu, żeby przygotować zasadzkę.

1. Solona słonina, używana jako zakąska do wódki. [\[wróć\]](#)

Sobota 8 lipca 2017 roku, godzina 15.00

Gabinet prezydenta,

Kreml, Moskwa

Fiodor Fiodorowicz Komarow, szef personelu prezydenta, coraz wyraźniej dostrzegał zmiany w zachowaniu Władimira Władimirowicza. Chociaż niewysoki, zawsze budził bardziej szacunek niż strach. Tyle że od czasu zatonięcia *Queen Elizabeth* nie wszystko szło tak, jak powinno, i coraz częściej słyszało się powtarzane szeptem opinie, że prezydentowi brakuje tej słynnej pewności siebie, która była gwarantem jego absolutnej władzy na Kremlu. Czyżby tracił reputację najsilniejszego człowieka w Rosji, aż do tej chwili zapewniającą mu wyjątkową pozycję? Komarow spojrział na wyprane z emocji twarze zgromadzonych i zastanawiał się, ilu z nich widziało się już na miejscu prezydenta.

Błada i bezkrwista twarz Władimira Władimirowicza była teraz zeszepeczona wyrazem gniewu. Jasne oczy wydawały się bardziej wylupiane niż zwykle, wysokie czoło lśniło od potu. Zamiast na zimno wygłaszać groźby, jak zwykle to czynił, gdy był z kogoś niezadowolony, coraz częściej dawał się ostatnio ponieść złości, krzycząc na ludzi z najbardziej błahych powodów.

W tej chwili wrzeszczał na generała Michaiła Gariejewa, szefa Sztabu Generalnego, który siedział przy stole w surowo urządzonej gabinecie prezydenta na Kremlu.

– Teraz wy posłuchajcie mnie, Michaile Nikołajewiczu! Ledwo miesiąc temu zapewnialiście mnie, że lada dzień stłumicie opór w Pribałtyce. A teraz mówicie mi, że straciliście swobodę ruchów i że możecie poruszać się wyłącznie po głównych drogach i tylko silnymi oddziałami, bo leśni bandyci nie pozwalają wam na nic więcej! I po to osłabiliście nasze oddziały na Ukrainie i w obwodzie kaliningradzkim? A co z tym brytyjskim kapitanem, którego kazałem wam znaleźć? Nadal ani śladu? Zrobił ze mnie błązna... I z was też, skoro o tym mowa. Nie puszczę tego płazem. Rozumiecie? Jeśli wy nie potraficie go znaleźć, poszukam kogoś, kto da radę!

Gariejew milczał. Wiedział dobrze, że najlepiej przeczekać. W obecnym nastroju prezydent niebawem znajdzie sobie nowy cel. Komarow też tak uważał. I rzeczywiście, po chwili Władimir Władimirowicz spojrział na szefa FSB, Mierkułowa.

– Miesiąc temu zapewnił mnie pan, Ławrientiju Pawłowiczu, że NATO jest w rozsypce! A jednak teraz mówi mi pan, że wszystkie nasze agencje donoszą o jedności Sojuszu i dążeniu do odebrania nam republik bałtyckich! Jak pan to wyjaśni?

Jako głowa budzącej lęk Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, która pod każdym właściwie względem była godną spadkobierczynią KGB, na pozór spokojny i skryty za okularami Mierkułow był osobnikiem śmiertelnie groźnym. Komarow miał go za jedyne człowieka w Rosji, który mógł budzić respekt prezydenta.

– Władimirze Władimirowiczu – zaczął cicho, prawie nonszalancko. – Powinniście pamiętać o tym pechowym zrzączeniu losu, którym było zatopienie dwóch okrętów NATO w Rydze, a także waszym rozkazie zatopienia na zachodnim Bałtyku lotniskowca *Queen Elizabeth*, chociaż nie stwarzał dla nas żadnego zagrożenia. Oba te wydarzenia zjednoczyły NATO. Jeśli zaś chodzi o Amerykę, to najlepszym sposobem zachęcenia jej do wzięcia udziału w tej wojnie było właśnie zabicie amerykańskich lotników w bazie Lielvārde na Łotwie. Gdybyśmy zostawili ich wtedy w spokoju, dzisiaj mielibyśmy Amerykę z głowy. A bez niej NATO nic nie znaczy. To proste. Jednak nie pamiętaliśmy o tym i teraz mamy, co mamy. I to jest cały problem. Co więcej mogę powiedzieć?

Przy stole zaległa cisza. Niemniej nikt nie spróbował skarcić Mierkułowa albo chociaż zdystansować się od niego. Dla Komarowa był to wyraźny sygnał potwierdzający jego obawy, że postawił jednak na niewłaściwego człowieka.

Prezydent wyraźnie wziął się w garść, żeby opanować emocje. Jako były funkcjonariusz KGB i potem szef FSB, wiedział świetnie, jak potężny jest Mierkułow. No i pamiętał, że nie da sobie rady bez jego poparcia.

– Władimirze Władimirowiczu – odezwał się Komarow, chcąc zmienić temat i wspomóc przy tym prezydenta. – Proponowałbym wysłuchać raportu o stanie gotowości NATO.

Prezydent spojrział na Gariejewa.

– Mówcie, proszę – rzucił swoim zwykłym głosem kogoś, kto w pełni panuje nad sytuacją.

– Władimirze Władimirowiczu, działające pod amerykańskim przywództwem NATO zmobilizowało ostatnio znaczne siły. Na zachodnim Bałtyku mają zespół desantowy oparty na Drugim Korpusie Ekspedycyjnym Marines. Są to wojska powietrznodesantowe, obecnie mniej więcej w sile dywizji. Ich wsparciem jest Szósta Flota z dwoma lotniskowcami uderzeniowymi. Ich grupy liczą łącznie około czterdziestu okrętów i dysponują stu siedemdziesięcioma pięcioma samolotami. Sama w sobie to jest spora siła. Równocześnie Sojusz skoncentrował w północno-wschodniej Polsce, pod granicą republiki litewskiej, trzy dywizje Korpusu Sojuszniczych Sił Szybkiego Reagowania pod brytyjskim dowództwem.

– Czy to znaczy, że mają nad nami przewagę liczebną?

– Nie, ale nasze siły są rozproszone po wszystkich republikach bałtyckich, natomiast NATO skoncentrowało swoje w jednym miejscu i może uzyskać lokalną przewagę.

Prezydent zastanawiał się chwilę.

– Zatem sytuacja strategiczna jest wciąż dla nas pomyślna. Skoro Sojusz okazał się na tyle głupi, żeby skoncentrować do ataku siły w jednym miejscu, dałoby się zniszczyć je za pomocą pojedynczej taktycznej głowicy atomowej?

– Zgadza się, Władimirze Władimirowiczu. – Generał uśmiechnął się ponuro. –

Tyle że rozróżnienie między głowicami taktycznymi a strategicznymi ma czysto teoretyczny charakter. W rzeczywistości nawet najslabsza z obecnych głowic jest o wiele potężniejsza niż te bomby, które Amerykanie zrzucili w 1945 roku na japońskie miasta. Nawet jedna głowica taktyczna może zniszczyć dowolnie wielkie skomasowanie wojsk. Ci, którzy nie zginą od razu, będą w zbyt ciężkim szoku, żeby walczyć. Wielu z nich umrze w ciągu następnych dni i tygodni.

– A oni mogą zrobić nam to samo za pomocą pocisków Cruise...

– Dokładnie. Różnica polega na tym, że Rosja to wielki kraj i możemy na tyle się rozproszyć i ukryć, że część ocaleje. Europa Zachodnia jest gęsto zamieszкана. Ich wyborcy nigdy na to nie pozwolą. Politycy zaś świetnie wiedzą, że w razie ataku naprawdę naciśniemy czerwony guzik.

Prezydent pokiwał głową. Teraz był już znacznie spokojniejszy.

– Tak jak pan powiedział, Michaiłe Nikołajewiczu, dokładnie tak. Ale czy siły, którymi starają się nam zagrozić, są wyłącznie amerykańskie? Co z tymi trzema dywizjami Sił Szybkiego Reagowania?

– Władimirze Władimirowiczu, większość sił jest amerykańska, ale nie wszystkie. Wielka Brytania rzuciła swoją brygadę sił specjalnych. Są na okręcie desantowym HMS *Albion*, razem z komandosami Royal Navy. Holandia przysłała batalion komandosów na desantowcu *Rotterdam*. Brytyjczycy mają jeszcze śmigłowcowiec HMS *Ocean* razem z całą eskortą, jaką zdołali zebrać. A do tego dochodzi francuski lotniskowiec *Charles de Gaulle* oraz zespoły eskortowe fregat i niszczycieli z Niemiec, Francji, Włoch, Hiszpanii, Portugalii, Norwegii, Danii i Belgii, nie wspominając o okrętach podwodnych. Wśród tych ostatnich są zapewne jednostki brytyjskie, francuskie, niemieckie i oczywiście amerykańskie. Tak więc europejscy członkowie NATO mogą sobie z pewnością powiedzieć, że stanęli na wysokości zadania. Z tego, co wiemy, tak właśnie przedstawiają to sobie na poziomie ministrów spraw zagranicznych. Istotne jest to, że nawet przy wszystkich problemach ze zgraniem systemów dowodzenia ich połączona flota jest znacząco silniejsza niż nasza Flota Bałtycka. I to byłby powód do niepokoju, gdyby zaryzykowali konflikt z użyciem broni atomowej...

– Nie zaryzykują – przerwał mu prezydent, całkiem ignorując obawy Gariejewa. – Co z tymi dywizjami NATO w Polsce?

– Najsilniejsza z nich jest amerykańska Czwarta Dywizja Piechoty, ale towarzyszą jej brytyjska Trzecia Dywizja z brygadą pancerną i podobno lekka brygada pancerna

francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Doszły nas też słuchy, że Włosi wysłali brygadę pancerną Ariete, która zawsze była w dobrych układach z Siłami Szybkiego Reagowania. Większość sił wsparcia bojowego, jak artyleria, wojska inżynieryjne, zwiad i tak dalej, jest brytyjska, ale ze sporą reprezentacją innych krajów. No i oczywiście każdy z nich przysłał też jednostki logistyczne, żeby wspierały ich ludzi.

– A Niemcy?

– Tak. Niemcy zadziwili nas najbardziej. Pierwsza Dywizja Pancerna jest obecnie w drodze nad wschodnią granicę Polski. Jest silna, ale i tak została jeszcze wzmocniona polską Dziesiątą Brygadą Kawalerii Pancernej.

– Polacy walczą u boku Niemców. To chyba po raz pierwszy. Proszę, jak zjednoczyliśmy Sojusz...

Słaby żart prezydenta został skwitowany ciszą.

Jeszcze dwa tygodnie wcześniej wywołałby wybuch śmiechu, pomyślał Komarow. Ale nie teraz, gdy koncentracja sił nad zachodnią granicą wyraźnie wskazywała, że ktoś się tu bardzo przeliczył.

Prezydent czym prędzej przeszedł do następnej kwestii.

– Jakie są waszym zdaniem zamiary NATO?

– Władimirze Władimirowiczu, dogłębnie rozważaliśmy tę kwestię, a nasza ocena jest oparta nie tylko na samej kalkulacji ich sił oraz ich możliwości, ale także na danych wywiadu oraz rozpoznania radioelektronicznego. Wykorzystaliśmy wszelkie długie wdzięczności, z jakich mogliśmy skorzystać, ryzykując przy tym ujawnienie naszych najlepszych agentów na Zachodzie, żeby tylko dowiedzieć się czegoś konkretnego. Co więcej, przeprowadziliśmy całą serię gier wojennych według kilku różnych scenariuszy. Na koniec zaś spróbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, co ja bym zrobił, gdybym był na miejscu admirała Howarda, głównodowodzącego NATO.

– I co byście zrobili, Michaile Nikołajewiczu?

– Moim zdaniem SACEUR zamierza w pierwszym rzędzie zablokować i zneutralizować naszą flotę bazującą w Bałtyjsku w obwodzie kaliningradzkim, żeby utorować drogę zespołowi desantowemu, którego celem jest wybrzeże Estonii. W tym samym czasie oddziały skoncentrowane w Polsce uderzą trzema dywizjami na Litwę. Wszystko to zostanie poprzedzone zmasowanym uderzeniem powietrznym, które ma zneutralizować nasze siły przeciwlotnicze i samo lotnictwo. Krótko mówiąc, NATO stwarza realne zagrożenie dla naszych sił w Pribaltyce i ma zamiar skłonić nas do wycofania się z tych republik.

– A jeśli to podstęp? – spytał prezydent.

– W przypadku NATO jest to bardzo mało prawdopodobne – odparł Gariejew. – Pamiętam z moich własnych wizyt w ośrodku SHAPE, a także z rozmów z oficerami NATO, gdy jeszcze mogli odwiedzać nas w Moskwie, że ich władze wojskowe nie mogą przedsięwziąć niczego bez wcześniejszego uzyskania zgody Rady

Północnoatlantyckiej. W ten sposób bardzo trudno byłoby im zainicjować jakąkolwiek operację pozorującą, ponieważ nie mieliby szansy na uzyskanie efektu zaskoczenia. Każda militarna decyzja na szczeblu strategicznym musi zostać przedstawiona i zatwierdzona na forum Rady. Taka panuje tam zasada. A wszystko, co zostanie tam przedstawione, w ciągu kilku godzin trafi także do nas, i to niezależnie od przedsięwziętych środków ostrożności.

– Ale... – mruknął prezydent, który skłonny był wierzyć w teorie spiskowe. – Z pewnością...

– Też zadawałem sobie to pytanie – przerwał mu generał Gariejew. Jeszcze parę tygodni temu nie ośmieliłby się tego zrobić. – Uznałem, że NATO jako organizacja jest niezdolne do planowania operacyjnego, wymaganego w przypadku operacji pozorowanych, podobnych do naszej maskirowki. Dlatego udało się nam całkowicie ich zaskoczyć, gdy trzy lata temu zaatakowaliśmy Krym. Jest to związane z faktem, że Rada Północnoatlantycka nalega na utrzymanie politycznej kontroli nad wszystkimi operacjami wojskowymi. NATO zawsze było za duże i to był jeden z jego podstawowych problemów. Poszerzone do dwudziestu ośmiu państw członkowskich, stało się wręcz nieznośnie wielkie. Politycy uważają, że im więcej członków ma Sojusz, tym lepiej, ale my wiemy, Władimirze Władimirowiczu, że prostszy system dowodzenia daje większe możliwości.

Prezydent znowu się zamyślił.

– Zdołamy odeprzeć atak za pomocą sił konwencjonalnych?

– Mimo skali zaangażowanych przez nich sił jesteśmy gotowi. Flota Bałtycka będzie nękać siły inwazyjne i wstrzymywać ich postęp. Nawet jeśli zdołają przedrzeć się do wybrzeża Estonii i przeprowadzą desant, Szósta Armia stworzyła tam silne pozycje obronne i dysponuje rezerwami pancernymi, które mogą w każdej chwili przeprowadzić kontratak. Na południu Dwudziesta Armia Gwardyjska zajęła pozycje przy granicy z Polską. Mogę też zameldować, że Druga Gwardyjska Armia Pancerna przemieszcza się ze swojego garnizonu w Samarze do Zachodniego Okręgu Wojskowego. Równocześnie siły przesunięte z Ukrainy i obwodu kaliningradzkiego zwalczają tak zwanych leśnych braci w krajach bałtyckich. Jeśli chodzi o wojnę w powietrzu, NATO nie będzie w stanie uzyskać przewagi. Nasz radar typu Woroneż, zamontowany w Pionierskim w obwodzie kaliningradzkim jest nie gorszy od ich radarów i obejmuje zasięgiem obszar o promieniu setek kilometrów. To wystarczy, żebyśmy mogli śledzić cele powietrzne w Europie Wschodniej i Środkowej, przy czym wydolność systemu pozwala obserwować równocześnie aż pięćset samolotów. Każdy wykryty napastnik stanie się łatwym celem dla naszych rakiet S-400 i S-500, używanych przez nasz system obrony przeciwlotniczej, a także dla naszych myśliwców przechwytyjących. Jesteśmy więc pewni, że utrzymamy przewagę powietrzną, która pozwoli nam pokonać siły NATO na lądzie.

– A Kaliningrad? Czy obwód nie jest w żaden sposób zagrożony? NATO go nie zaatakuje?

– Nie sądzę, Władimirze Władimirowiczu – odparł minister spraw zagranicznych, który aż do tej chwili siedział w milczeniu. – NATO ciągle powtarza, że jest sojuszem obronnym. Czym innym jest obrona państw członkowskich, a czym innym zaatakowanie terytorium państwa trzeciego. Nigdy nie otrzymają zgody Rady Północnoatlantyckiej na operację wymierzoną przeciwko rdzennym terenom Federacji Rosyjskiej. Niezależnie od wszystkiego innego, nasi przyjaciele w Atenach i Budapeszcie zawetują każdą taką propozycję.

– Wiemy, że Amerykanie i Brytyjczycy zawsze wysyłają najpierw swoje siły specjalne. Obserwujemy je uważnie i mogę powiedzieć, że jak dotąd nie zbliżyły się one nawet do obwodu kaliningradzkiego.

Prezydent wyglądał na usatysfakcjonowanego. Prawie tak samo jak w najlepszych czasach.

Bo świetnie wie, pomyślał Komarow, że jeśli zgodnie z przypuszczeniami Gariejewa Rosja zostanie zaatakowana, a on zdoła odeprzeć wroga, ugruntuje tym samym swoją pozycję już do końca życia.

Jeśli zaś NATO zachowa się rozsądnie i poprzestanie na pobrzękiwaniu szabelką, wynik będzie ten sam: prezydent wygra. Groźna byłaby tylko przegrana Rosji, bo wówczas wszyscy siedzący przy tym stole znaleźliby się nagle na pokładzie tonącego okrętu. Los prezydenta i wszystkich jego ludzi był nierozłącznie związany z losem Rosji.

Niemniej Władimir Władimirowicz jeszcze nie skończył.

– Na wypadek gdyby ktokolwiek z was w to wątpił, w razie ataku NATO nie zawaham się wystrzelić rakiet na Warszawę i Berlin. Jewgieniju Siergiejewiczu – zwrócił się do ministra spraw zagranicznych – czy jest pan przekonany, że Amerykanie nie wykorzystają użycia przez nas taktycznej broni atomowej jako pretekstu do wystrzelenia rakiet międzykontynentalnych?

– Trudno przewidzieć ich reakcję, Władimirze Władimirowiczu – odparł minister. – Z jednej strony Amerykanie nie będą ryzykować rozpętania apokalipsy w związku ze zniszczeniem europejskiego miasta czy jakiegoś czysto europejskiego celu wojskowego. Z drugiej strony każde użycie taktycznej broni jądrowej wobec morskich czy lądowych sił NATO nieuchronnie będzie prowadzić do śmierci wielu Amerykanów. Nie da się tego uniknąć, skoro dominują wśród zgrupowanych jednostek. Jeśli zaś Amerykanie zginą na skutek takiego ataku, trudno cokolwiek zakładać. Stany odpowiedzą na pewno taktyczną bronią atomową, ale nie wykluczyłbym też odpowiedzi na większą skalę.

– Należy zatem pamiętać, żeby ograniczyć jej stosowanie wyłącznie do europejskich celów – stwierdził stanowczo prezydent.



Komarow jednak nie dał się oszukać tonowi tej wypowiedzi. Skoro w ogóle dyskutowali o użyciu broni atomowej, to znaczyło, że plan prezydenta był poważnie zagrożony. To nie tak miało wyglądać. Miesiąc temu wyczuł pierwsze drgania płyt tektonicznych, teraz wiedział już na pewno, że się poruszyły. Pytanie tylko, jak wiele miało się zmienić i kto miał na tym skorzystać?

Sobota 8 lipca 2017 roku, godzina 22.00

Las na południe od Prawdinska, obwód kaliningradzki, Rosja

Osiemnaście godzin później i godzinę po zachodzie słońca ludzie Morlanda wyszli z ukrycia. Wypoczęci, zjedli trochę i popili wodą. Morland zadowolili się kilkoma sucharami i puszką konserwy mięsnej, którą zdołał jakoś wcisnąć do swojej torby. Nie było to wiele, ale zawsze coś.

Niebo było rozgwieżdżone i lekki deszczyk, który padał za dnia, dawno już ustał. Księżyc nie było jeszcze widać, ale nawet gdyby się pojawił, jego wąły sierp nie dawałby wiele światła. Potrzebowali dzisiaj szczęścia i brak księżycowego blasku był na pewno dobrą wróżbą. Lukša ponownie prowadził, sierżant Wild szedł w ariergardzie. Posuwali się powoli i ostrożnie, dokładnie tą samą drogą, którą wcześniej już rozpoznali i która miała zaprowadzić ich na skraj strefy zrzutu amerykańskich sił specjalnych. Niekiedy przystawali i nasłuchiwali, za każdym razem ustawiając się w kolistym szyku obronnym i zajmując stanowiska strzeleckie. Nadstawiali ucha na wszystko, co mogło się dziać przed nimi i z boków, a czego mogli nie dosłyszeć podczas marszu przez las. Sprawdzali też, czy na pewno nikt ich nie śledzi. Wkoło jednak panowała cisza.

Po paru godzinach Lukša zatrzymał się i uniośł dłoń. Byli na skraju strefy. Znowu ustawili się w szyku obronnym, tym razem bardzo ciasnym kręgiem, tak że sąsiedzi niemal się dotykali. Chcieli stanowić najmniejszy możliwy cel, na wypadek pojawienia się patrolu czy nadejścia jakiegoś zbłąkanego cywila.

Morland zerknął na zegarek. Dotarli na miejsce dwadzieścia minut przed umówionym czasem i niemal dokładnie tak, jak planowali. Wskazał zegarek Litwinowi, który miał przy sobie transponder.

Lukša uniośł kciuk na znak, że zrozumiał.

Czas mijał upiornie wolno. Gdy zostało piętnaście minut, Morland ponownie spojrzął na zegarek. To samo zrobili Wild i Lukša. Obaj też unieśli kciuki. Zaczynało się odliczanie.

Dokładnie kwadrans po północy Litwin włączył przenośny transponder, który miał odpowiedzieć na radiowe wezwanie wysłane przez opadających spadochroniarzy i pokazać im drogę.

Amerykanie wyskoczyli z samolotu już pięćdziesiąt dwie minuty wcześniej, na wysokości 10 tysięcy metrów w polskiej przestrzeni powietrznej. Otworzywszy krótko potem spadochrony, w powietrzu przekroczyli granicę rosyjską. Opadając,

przemieszczali się jednocześnie z prędkością 28 km/h w stronę punktu lądowania. Byli przy tym zapewne zbyt małymi celami, żeby radary mogły ich wykryć. Morland był pewien, że teraz co chwilę sprawdzali sygnał odzewu, który świadczył, że na ziemi czeka ich przyjazne powitanie.

Ze swojej strony Morland tęsknił z całych sił do tego, żeby usłyszeć ich głosy, a nawet żeby ich objąć. Mieli być dla niego pierwszą zapowiedzią powrotu do domu i jako takiej normalności.

Nie musiał długo czekać. Kilka chwil później wychwycił delikatny szum gdzieś z przodu i nad linią drzew pojawił się zarys podłużnego spadochronu z opadającą szybko sylwetką człowieka w hełmie i masce tlenowej, z kołyszącym się na linie wyposażeniem. Zaraz potem dały się dostrzec kolejne. Zielone berety dotarły na miejsce.

Sobota 8 lipca 2017 roku, godzina 23.30 czasu środkowoeuropejskiego  
Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 0.30 czasu wschodnioeuropejskiego  
Centrum Kompleksowego Zarządzania Kryzysami i Operacjami (CCOMC),  
siedziba SHAPE,  
Mons, Belgia

To był długi dzień, ale mimo późnej pory także i teraz w Centrum Kompleksowego Zarządzania Kryzysami i Operacjami, gdzie planowano strategiczne posunięcia NATO, było rojno jak w ulu. W wielkiej sali oficerowie sztabowi ze wszystkich państw członkowskich oraz kilku państw partnerskich Sojuszu, personel cywilny, często rekrutujący się z szanowanych uczelni, oraz przedstawiciele współpracujących instytucji, takich jak Unia Europejska czy agendy humanitarne ONZ, planowali, jak usunąć rosyjskich okupantów z państw bałtyckich.

Do ich dyspozycji pozostawały nie tylko sieci komputerowe, ale także pełne i dostarczane bez opóźnienia dane z satelitów oraz dronów zwiadowczych, wzbogacone przeglądem najważniejszych serwisów informacyjnych świata. Wszystkie napływające informacje były na bieżąco analizowane i filtrowane, a najważniejsze z nich przekazywano dalej, do grupy dowódczej. Stąd też przesyłano rozkazy do Dowództw Sił Połączonych w Brunssum w Holandii i Neapolu we Włoszech, do Dowództwa Sił Morskich w Northwood oraz Dowództwa Sił Powietrznych w bazie w Ramstein.

W jasno oświetlonej sali konferencyjnej centrum admirał Max Howard, strategiczny dowódca NATO, razem ze swoim zastępcą McKinlayem oraz generałem Skipem Williamsem, bardzo młodo wyglądającym amerykańskim zastępcą szefa sztabu operacyjnego, przeglądali raz jeszcze plan akcji, która miała rozpocząć się już niebawem, we wczesny niedzielny poranek.

– Jak można było oczekiwać, mamy kłopot z dowództwem Sił Powietrznych – mówił Williams. – Przy operacji na tę skalę zwykli mieć kilka dni na dopracowanie szczegółów albo minimum trzydzieści sześć godzin na zapewnienie chociaż połowicznej eliminacji środków obrony powietrznej przeciwnika. Tak więc pomysł operacji zmontowanej w ciągu jednej krótkiej lipcowej nocy przyprawił ich o palpację. Zaznaczają, że w nowoczesnej wojnie nawet ustalenie strefy zamkniętej dla lotów, jak bez sensu zrobiono to w Libii, wymaga co najmniej kilku dni przygotowań.

– Na to nic już nie poradzimy, Skip – powiedział zdecydowanie Howard. – To jest inny rodzaj wojny i normalne praktyki nie mają tu zastosowania. Długa kampania powietrzna poprzedzająca główną operację lądową to przykład starego myślenia. To jest dokładnie to, czego Rosjanie oczekują. Musimy być bardziej elastyczni. Wiemy, że zintegrowany system obrony powietrznej obejmujący zasięgiem obwód kaliningradzki oraz Europę Wschodnią jest wyjątkowo sprawny. Wiem, że ich rakiety S-400 mogą zwalczać nasze samoloty już z dystansu czterystu kilometrów i mają jeszcze pociski mniejszego zasięgu do zwalczania celów manewrujących, zatem teoretycznie mogą upiornie utrudnić robotę naszemu lotnictwu. Tyle że nasze samoloty też sroce spod ogona nie wypadły. Jestem pewien, że przy niewidocznych dla radaru F-22A raptor i B-2A spirit w pierwszej fali ataku damy radę wyrąbać takie luki w ich obronie, że inne bombowce będą mogły spokojnie zająć się celami na ziemi. I nie zapominaj o nowej wersji przeciwradarowych pocisków HARM, które dzięki systemowi GPS mogą zapamiętać lokalizację emiterów i zniszczyć cel nawet wówczas, gdy tamci zdążą wyłączyć radar.

McKinlay był pod wrażeniem. Nie przypuszczał, że Howard może być tak na bieżąco ze szczegółami technicznymi.

Chociaż z drugiej strony chyba trudno, żeby było inaczej, pomyślał. Był lotnikiem morskim, dowodził grupą lotniskowca. Dla nich takie detale to chyba lektura przed snem.

– Ale najważniejsze jest co innego – ciągnął Howard. – Liczę na element zaskoczenia oraz zmasowany atak tomahawkami wystrzeliwanymi z pokładów okrętów. To powinno sparaliżować rosyjską obronę. Chociaż najważniejsze, żeby Brytyjczycy uaktywnili na czas Rasputina. Rosjanie nie będą mieli zielonego pojęcia, co się dzieje. Zobaczą tylko tyle, że cały ich system obrony powietrznej poszedł się pieprzyć, a ich system dowodzenia siłami atomowymi wziął sobie wolne.

– My to wiemy, sir. Problem z Siłami Powietrznymi polega na tym, że ich dowódca z bazy w Ramstein tego nie wie. Jest przekonany, że wysła swoich ludzi na misje samobójcze – zaznaczył Williams. – Określenie „chyba rozum wam odebrało” było jednym z łagodniejszych, które od niego usłyszeliśmy. Czy nie moglibyśmy...

– Rozumiem, Skip – przerwał mu Howard. – Rozmawiałem z nim. Jesteśmy starymi kumplami. Ale Brytyjczycy mają rację, zawężając krąg wtajemniczonych do minimum. Nie daj Boże, ale być może będą potrzebować jeszcze Rasputina w przyszłości, więc musimy utrzymać jego istnienie w tajemnicy. Pogadam z nim jeszcze, żeby go uspokoić... Dla samych lotników to będzie oczywiście trudne. Tyle że tak już musi być.

McKinlay otrzymał jednoznaczne wytyczne. Mógł powiedzieć o Rasputinie tylko Howardowi i Williamsowi, i nikomu więcej. Nawet szef sztabu SHAPE, niemiecki generał Klaus Wittman, nie został dopuszczony do tajemnicy. Zasady współpracy wywiadowczej pomiędzy Wielką Brytanią i USA nie przewidywały wpływu

informacji poza przedstawicielei tych dwóch krajów, a i oni byli dobierani wedle klucza najwyższej konieczności. Najbardziej skarżyli się na to Francuzi, którzy też chcieliby znaleźć się w „klubie uprzywilejowanych”.

– Ale do roboty, Skip. Przeprowadź mnie raz jeszcze przez wszystko.

Williams sięgnął po pilota i włączył prezentację od początku. Aktywowanie Rasputina miało nastąpić zaraz po telefonie McKinlaya do GCHQ, nie było jednak pewne, jak szerokie okno operacyjne to otworzy. To, co przekazała Allenby, nadal było aktualne. Rosyjskie dowództwo sił atomowych oraz zintegrowany system obrony powietrznej zostaną skutecznie sparaliżowane, nikt nie potrafił jednak powiedzieć, na jak długo.

Twórcy Rasputina gwarantowali jedynie, że potrwa to do ośmiu godzin, przy założeniu, że w ciągu godziny czy dwóch opanują w środku nocy zamieszanie i pozbierają się na tyle, żeby zacząć stawiać system na nowo. Było pewne, że w końcu odzyskają nad nim kontrolę, należało zatem przeprowadzić gwałtowne i zmasowane uderzenie na ich system obrony powietrznej, zanim ten ponownie stanie się sprawny.

– Oceniamy, że w obrębie wspólnej strefy operacyjnej Rosjanie mają około trzystu wyrzutni rakiet przeciwlotniczych bliskiego zasięgu zorganizowanych w mniej więcej sto baterii. Do tego dochodzi około pięciu tysięcy sztuk artylerii przeciwlotniczej oraz wsparcie pod postacią setek radarów o nakładających się obszarach zasięgów. Są to radary zarówno wczesnego ostrzegania, jak i poszukiwania – kontynuował Williams. –

To oznacza, że zaraz po aktywowaniu Rasputina trzeba będzie skierować nad południową Litwę, obwód kaliningradzki oraz zachodnią Estonię tyle maszyn, ile tylko się da, żeby zniszczyły jak najwięcej celów naziemnych, dopóki system będzie niesprawny. Lista celów została dokładnie opracowana i jeśli ich zaskoczymy, dowódca lotnictwa połączonych sił będzie w stanie uzyskać panowanie w powietrzu, które otworzy drogę do ataku sił lądowych. Nie wiem, kto będzie bardziej zdziwiony: Rosjanie, którzy będą świadkami upadku ich systemu, czy nasi lotnicy, którzy zauważą brak obrony przeciwlotniczej. Czy też raczej brak skoordynowanej obrony przeciwlotniczej. Indywidualne baterie mogą być zdolne do ominięcia centralnego sterowania i przejścia na sterowanie ręczne. Wtedy będą prowadzić ogień według własnych namiarów. Co może dać nawet ciekawe efekty.

– Jakże? – spytał Howard.

– Będą strzelać bez ładu i składu do wszystkiego, co zauważą w powietrzu, dopóki Rosjanie nie odważą się raczej wysłać własnych myśliwców. Oczywiście jeśli Rasputin w pełni zasłuży na swoje imię.

– To mi się podoba! – wykrzyknął McKinlay. Na odprawie w GCHQ nie słyszał nic na ten temat.

Howard tylko pokiwał głową.

– To byłby niespodziewany bonus. Ale jeśli Rasputin nie zadziała, wdrożymy plan

rezerwowo?

– Jesteśmy na to gotowi, SACEUR. To będzie konwencjonalna i potencjalnie bardzo wyczerpująca kampania. Dowództwo sił lotniczych ma plan operacyjny, zakładający rozbicie rosyjskiego systemu obrony powietrznej w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Gdy to zostanie... albo i nie zostanie osiągnięte, przyjdzie pora na was. W razie powodzenia rozpocznie się atak sił lądowych na południową Litwę oraz desant na wybrzeże Estonii. Jeśli się nie uda, odwoła pan całą operację niezależnie od stopnia zaawansowania i sprawę przejmą politycy.

W sali zaległa cisza. Perspektywa niepowodzenia akcji była zbyt ponura, żeby ją roztrząsać.

– W najgorszym razie Rosjanie sięgną po broń atomową – powiedział w końcu McKinlay.

– Rozmawiałem o tym z Waszyngtonem, Dave – odparł Howard. – Pentagon przeszedł na DEFCON 1. To oznacza gotowość do konfliktu nuklearnego. Przekazali Moskwie kanałami dyplomatycznymi, że każde użycie broni atomowej, nawet taktycznej i tylko na polu walki, spowoduje start amerykańskich pocisków międzykontynentalnych. Co oznacza całkowite zniszczenie kilku rosyjskich miast. Na początek. Prezydent rozmawiała też z Brytyjczykami i Francuzami, którzy obniżyli czas odpalenia ich pocisków przenoszonych na okrętach podwodnych do piętnastu minut. Mają wprowadzone koordynaty celów, przygotowane kody startowe. Jesteśmy o krok od MAD, całkowitego wzajemnego zniszczenia.

– Mówisz poważnie? Myślisz, że prezydent Dillon naprawdę gotowa jest narazić amerykańskie miasta na zniszczenie?

Howard zastanowił się chwilę.

– Z tego, co wiem o prezydent Dillon, sędzę, że mówiła poważnie i nie zawaha się przed wydaniem takiego rozkazu – powiedział cicho. – Wie świetnie, że jeśli się dzisiaj zawaha, jutro może stanąć ponownie przed tym samym problemem. Tyle że następnym razem nie będzie miała wsparcia NATO. Jest inna niż nasz poprzedni prezydent i bardzo się staramy, żeby Rosjanie to zrozumieli.

– Tym samym Rasputin staje się kluczowym elementem operacji – zauważył McKinlay. – Jeśli nie zadziała, przyjdzie albo się cofnąć, albo zaryzykować krwawą konwencjonalną kampanię, która niemal na pewno doprowadzi do wymiany nuklearnych ciosów. Wszystko zależy od tej młodej kobiety z GCHQ i jej komputerowych kumpli. Mam nadzieję, że naprawdę znają się na swojej robocie. Taka odpowiedzialność...

– Idźmy dalej. I wracajmy może do czegoś bardziej swojskiego – powiedział Howard. – Nawet strategiczne dowództwo musi wchodzić czasem w taktyczne szczegóły, skoro tyle od nich zależy. Chciałbym spojrzeć raz jeszcze na plan opanowania bunkra w Prawdinsku. Ostatecznie to jest miejsce, gdzie wszystko ma się

zdecydować.

– Jak wiesz, nasz desant powietrzny zostanie poprzedzony desantem dwunastu ludzi z pierwszego batalionu Dziesiątej Grupy Sił Specjalnych, stacjonującej w Stuttgarcie. Zrzut z dużej wysokości przed główną grupą, która zjawi się na pokładach śmigłowców. Ruszą na pański rozkaz. Brytyjski zespół, który został przerzucony z Łotwy, już tam czeka. Potem poprowadzą główne siły do celu. Nasi są też przygotowani do unieruchomienia systemów rakiet Iskander. Zajmą się tym, gdy będą już na terenie centrum dowodzenia.

– A potem?

– To jest zdjęcie satelitarne obszaru na południe od Prawdinska. – Williams pokazał na mapie to miasteczko oraz znajdujące się cztery mile na południe od niego stanowisko dowodzenia siłami atomowymi obwodu kaliningradzkiego. Potem wskazał rozciągający się od północy las z dużą polaną wyznaczoną na strefę lądowania śmigłowców.

Przełączył obraz na kolejny slajd.

– Oto etapy operacji komponentu sił specjalnych. Faza pierwsza to lądowanie grupy spadochronowej. Rasputin zostanie aktywowany na rozkaz wydany z tego pokoju o pierwszej w nocy czasu obwodu kaliningradzkiego. To rozpocznie fazę drugą, atak powietrzny dla całkowitego zdławienia rosyjskiej obrony przeciwlotniczej. Zakładając, że Rasputin wykona swoje zadanie, dwie i pół godziny później zacznie się faza trzecia, właściwy desant. Planowany jest na trzecią trzydzieści czasu obwodu kaliningradzkiego. Oczywiście jeśli Rasputin nie zadziała, nie będziemy wysyłać tam śmigłowców. To byłaby masakra.

– Dwie i pół godziny między aktywacją Rasputina a lądowaniem śmigłowców? – spytał Howard. – Nie powinny zjawić się szybciej?

– Tak byłoby idealnie – odparł Williams. – Musimy jednak brać poprawkę na nieuniknione trudności. Jak to na wojnie. W tym czasie siły powietrzne muszą zneutralizować wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, żeby nie zagroziły śmigłowcom. Oczywiście w wariantcie, w którym Rasputin zadziała.

– Daj spokój, SACEUR – odezwał się McKinlay. – To oczywiste sprawy.

– Jasne – zreflektował się Howard. – Co nastąpi po wylądowaniu desantu?

– Po pierwszej grupie zjawi się wzmocniona kompania, która zajmie się bateriami iskanderów. Dowódca komponentu lądowego musiał tutaj pójść na kompromis. Najlepiej byłoby zapewnić przewagę liczebną przynajmniej trzy do jednego, ale to oznaczałoby użycie co najmniej batalionu. Niemniej desantowanie całego batalionu tak blisko przeciwnika to proszenie się o kłopoty. Tym samym zdecydowano się ograniczyć siły desantowe do maksymalnie wzmocnionej kompanii i zapewnić im jednocześnie jak najsilniejsze wsparcie powietrzne, żeby zdławić opór przeciwnika. Jesteśmy przekonani, że ataki lotnicze będą na tyle celne, że nie spowodują przypadkowego



odpalenia iskanderów. Druga sprawa, która wiąże się z Prawdinskim, to pole minowe, zapewne tylko z minami przeciwpiechotnymi. Zostało wypatrzone przez Brytyjczyków. Ciągnie się wzdłuż ogrodzenia i znajduje się w polu ostrzału wież wartowniczych. Niemniej grupa zwiadowcza ustaliła również przebieg przejścia przez to pole. Ich drugim zadaniem po przyjęciu pierwszej grupy będzie doprowadzenie grupy ataku do ogrodzenia. Gdy będą w środku, grupy inżynieryjne przygotują się do zniszczenia instalacji na wypadek, gdyby Rosjanie zdołali odzyskać kontrolę nad pociskami albo gdyby istniała obawa, że nasi nie zdołają utrzymać obiektu. W tym czasie grupa powietrznodesantowa zajmie się komputerami sterowniczymi centrum dowodzenia.

– A jak z pozostałymi bateriami w Jużnym i Oziorsku? – spytał Howard.

– Zasadniczo ma to wyglądać tak samo – odparł Williams. – Leśni bracia dostarczyli nam sporo informacji na ich temat, chociaż nie rozpracowali ich w takim samym stopniu jak brytyjska grupa. Mogą być chronione polami minowymi, ale na pewno tego nie wiemy. Jeśli tak, trzeba będzie utorować sobie drogę. Niemniej to Prawdinsk jest najważniejszy. Pozostałe baterie też są kontrolowane właśnie stamtąd. Zatem gdy będą już w środku, zajmą się wszystkimi pociskami. Ostatnia faza to będzie lądowanie desantu Osiemdziesiątej Drugiej. W Prawdinsku w ciągu sześciu godzin nasze siły powinny urosnąć do brygady. To szybciej, niż Rosjanie zdołają zorganizować kontratak analogicznymi siłami. Wcześniejsze i nieskoordynowane próby kontrataków będą rozbijane z powietrza. Gdy Rosjanie połapią się już, co się dzieje, i zdołają się zorganizować, rzucą na nas wszystko, czym tylko będą dysponowali. Chyba że dzięki przeprogramowanym pociskom zdołamy przekonać Kreml, żeby się cofnął. Na co zresztą mocno liczymy – zakończył.

Howard zamyślił się głęboko. Stał przed typowym dylematem dowódcy, który musiał posłać ludzi do walki i narazić ich na wszystkie związane z tym zagrożenia. Spojrzał na McKinlaya.

– Jak to widzisz, Dave? Istnieje spore ryzyko, że Rosjanie przeprowadzą kontratak, zanim jeszcze zdołamy wystarczająco rozbudować nasze siły na ziemi. I wtedy, nawet jeśli szybko je wzmocnimy, otrzymamy klasyczną i krwawą bitwę lądową, której staramy się uniknąć. Poza tym nie jestem pewien, czy Sojusz się utrzyma, jeśli utkniemy w obwodzie kaliningradzkim.

– Zwłaszcza że na razie nie wiedzą nawet, że cokolwiek tam robimy – powiedział cicho McKinlay. – Będą mogli powiedzieć, że to był nieautoryzowany atak.

– Czy chcesz powiedzieć przez to, że nie jesteś pewny, Dave?

– Nie, SACEUR, tego nie mówię. Zostały nam dwie godziny do przejęcia kontroli na bateriami rosyjskich taktycznych pocisków atomowych. Nic nie wskazuje na to, żeby się spodziewali, co ich czeka. Co by znaczyło, że podstęp zadziałał. I tym samym musimy mieć plan awaryjny. Albo coś w tym rodzaju.

– Co masz na myśli, Dave?

– W chwili, gdy przechwycimy ich baterie, cały obraz strategiczny ulegnie zmianie. Pojawi się coś, o czym nigdy dotąd nawet nie myśleliśmy. Nawet jeśli Rasputin nie zadziała albo zadziała tylko przez krótki czas, będziemy mieli w naszych rękach sto rosyjskich rakiet z głowicami atomowymi.

– Sir? – odezwał się nagle Skip Williams.

– Tak? – spytał lekko zirytowany Howard. Nie lubił, jak mu przeszkadzano.

– DSACEUR trafił w sedno. Pierwsza grupa desantowa ma w składzie kilku ludzi, którzy wiedzą, jak przeprogramować iskandery. Potem przybędzie ich więcej. Przypuszczają, że przestrojenie pierwszej rakiety tak, żeby była wycelowana w Rosję, zajmie im około półgodziny. Gdy już się w tym połapią, z następnymi pójdzie im szybciej. Zgodnie z planem mają tak przestawić co najmniej dziesięć iskanderów w każdej baterii. Jeszcze przed ewentualnym kontratakiem. I to może być poważny czynnik odstrasżający.

– Podoba mi się ta opowieść, Skip – zauważył Howard. – Sądzę, że nawet dziesięć skierowanych na Rosję iskanderów to będzie dość, żeby zadać propagandowy cios prezydentowi Rosji i wymusić wygaszenie walk. Cokolwiek się wtedy stanie, to nawet gdy pozbierają się po Rasputinie i odzyskają zdalną kontrolę nad bateriami, nie będą pewni, ile pocisków zadziała ani jak się zachowają, jeśli zostaną odpalone. Po naszej wizycie nie ośmielą się ich użyć, dopóki nie rozbiorą każdej na śrubki i nie sprawdzą wszystkich podsystemów. Do diabła! – Uderzył dłonią w udo i uśmiechnął się szeroko. – To jest jak marzenie terrorysty! I ten jeden raz my to robimy, my jesteśmy tymi terrorystami! Muszę przyznać, że to niejaka odmiana po tym, jak zawsze byliśmy ofiarami. Prawda, Dave?

McKinlay też się roześmiał. Admirał miał rację. Zawsze lepiej jest atakować, niż się bronić.

– Punkt dla nas za nieszablonowe myślenia. Takich planów nie uczą w żadnej szkole wojskowej na zachód od Syrii. I dlatego Rosjanom też nie przyjdzie to do głowy. Ale jeśli Rasputin zadziała, a wierzę, że tak będzie, da nam szansę wygrania wojny jednym uderzeniem. Zaszantażujemy Rosjan ich własnymi pociskami i będziemy trzymać ich w szachu tak długo, aż opuszczą państwa bałtyckie. W ten sposób ograniczymy liczbę ofiar konfliktu do minimum przy maksymalnie korzystnym dla nas efekcie. I dlatego właśnie od początku popierałem ten plan. Wiesz zresztą.

Howard pokiwał głową. McKinlay wiedział, że chociaż to dowódca strategiczny ponosił zasadniczą odpowiedzialność za przebieg kampanii, jako jego zastępca powinien go wspierać i brać na siebie w ten sposób część ciężaru dowodzenia. A to oznaczało aktywne włączenie się w proces planowania.

– Podsumowując: wysokie ryzyko, ale nie hazard – powiedział.

– Dzięki, Dave. Doceniam twoje wsparcie. Zatem chyba zdecydowaliśmy, panowie.

– Jest jeszcze jedno – dodał McKinlay. – Dziękuję za zgodę, żeby włączyć trzeci batalion spadochronowy do akcji w Prawdinsku. To dla nas bardzo ważne. Ćwiczyli wytrwale z Osiemdziesiątym Drugim. Słyszałem, że skakali nawet z amerykańskich samolotów i z amerykańskimi spadochronami! Chociaż dzisiaj na pewno tego nie próbowali.

– I dobrze – powiedział z uśmiechem Williams. Skoro decyzja została podjęta, można było rozluźnić trochę atmosferę. – Mam nadzieję, że mieli czapeczki i żaden marine nie śmiał pokazać swojej szpetnej...

– Chwilę, zaraz... – próbował zaprotestować McKinlay.

– Miło widzieć, że relacje między dwoma bratnimi mocarstwami mają się nieźle – zauważył ze śmiechem Howard, kręcą głową nad starą rywalizacją między zielonymi i czerwonymi beretami. Zaraz jednak spoważniał i spojrzał na Williamsa. Wiedział, co musi teraz zrobić, i był w pełni świadom konsekwencji swego rozkazu. – Zaczynamy, Skip.

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 0.45 czasu środkowoeuropejskiego  
Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 1.45 czasu wschodnioeuropejskiego  
Bunkier dowodzenia baterii pocisków Iskander,  
Prawdinsk, obwód kaliningradzki

Major Anatolij Nikołajewicz Wronski wsunął głowę do gabinetu majora Piotra Pietrowicza Łużyna, dowódcy oddziału ochrony bunkra w Prawdinsku, i ujrzał oficera leżącego górną połową ciała na biurku i chrapiącego głośno z głową opartą na własnych ramionach. Obok stała na blacie opróżniona do połowy butelka wódki.

Typowy trep z Wojsk Wewnętrznych, pomyślał. I tacy ludzie są odpowiedzialni za ochronę naszych strategicznych zasobów, w tym raket Iskander!

Wziął kamizelkę kuloodporną, hełm i uprząż, które zostawił wcześniej w gabinecie Łużyna, zarzucił na ramię karabin AS Wał i ruszył korytarzem do sali operacyjnej służb wartowniczych, gdzie jego zespół dyżurował przy monitorach czujników zewnętrznego ogrodzenia. Kondygnację niżej znajdowała się centrala sterowania bateriami pocisków, gdzie wstęp mieli jedynie wybrani.

Wronski mógł zrozumieć irytację Łużyna. Przybył ledwie dzień wcześniej ze swoimi ludźmi i sprzętem załadowanymi na dwóch ciężarówkach. Tłusty major z nalaną i bladą twarzą był ciężko zdumiony pojawieniem się oficera specnazu w mundurze pozbawionym całkowicie dystynkcji. Zdumienie zmieniło się w ledwie skrywaną złość, gdy Wronski oświadczył, że na rozkaz dowódcy Zachodniego Okręgu Wojskowego, generała Kirkorowa, przejmuje ochronę obiektu.

– Ależ, Anatoliju Nikołajewiczu – zaprotestował Łużyn. – Moi ludzie są w pełni przygotowani do ochrony tej placówki. Mamy starannie opracowany grafik pieszych i zmotoryzowanych patroli. Obejmują teren na pięć kilometrów wkoło. Mamy wieże strażnicze, każda z nocnym podglądem i karabinami maszynowymi. Ich pole ostrzału obejmuje też pole minowe. Mam pododdział szybkiego reagowania, gotowy do działania, gdyby było trzeba. Dbam o to, żeby moi oficerowie regularnie kontrolowali, czy żołnierze wykonują obowiązki zgodnie z moimi rozkazami. Mogę zapewnić, że żaden wróg nie odważy się zbliżyć do tego obiektu. Czego więcej może życzyć sobie generał?

– Rozumiem, Piotrze Pietrowiczu – odparł Wronski i postarał się dyplomatycznie wyjaśnić sytuację. – Rozumiem, że to raczej niecodzienna sytuacja, gdy jeden major ma wydawać rozkazy drugiemu, i żałuję, że mogę powiedzieć tak niewiele. Jestem tutaj na rozkaz prezydenta, muszę zatem poprosić o pełne wsparcie i współpracę. Jest to misja

o strategicznym znaczeniu, bardzo ważna dla Rosji, i stąd obecność specnazu. Zamelduję generałowi Kirkorowowi, że zastałem placówkę dowodzoną w nienaganny sposób, ale proszę wycofać swoje patrole. Proszę jednak utrzymywać pododdział szybkiego reagowania w stanie najwyższej gotowości i wciąż obsadzać wieże wartownicze.

Łużyn sprawdził oczywiście rozkazy, co było zresztą zgodne z procedurami, i dowiedział się, że naprawdę nie miał innego wyjścia, jak tylko posłuchać, po czym zamknął się w gabinecie, żeby utopić smutki.

Tymczasem Wronski w towarzystwie starszego chorążego Dymitra Prokofiewicza Razumichina, swojego zastępcy do spraw operacyjnych, przeprowadził rozpoznanie w najbliższej okolicy obiektu i porównał go z mapami oraz zdjęciami satelitarnymi, które przywiózł z Kaliningradu. Teren świetnie pasował do jego potrzeb. Nieprzyjaciela należało zapewne spodziewać się od strony lasu ciemniejącego na północ od obiektu. Dawał on szanse na skryte podejście jak najbliższej ogrodzenia. Podejrzenia Wronskiego znalazły potwierdzenie, gdy dron wypatrzył ślady emisji ciepłej między drzewami jakieś pięć kilometrów na północ od centrum dowodzenia.

– To jest to – mruknął pod nosem. – Dranie już tu są. Ale tym razem mi nie uciekną.

Godzinę po zakończeniu rozpoznania wydał rozkazy swoim ludziom. Chciał, żeby mieli jak najwięcej czasu na zajęcie stanowisk.

– Słuchajcie uważnie. Zaczynamy operację Borodino – powiedział do swojego zespołu, zebranego przez Razumichina w sali konferencyjnej pomieszczeń oddziału wartowniczego. – Zaczynamy od podstaw. Zostajecie podzieleni na cztery grupy. Strzelec Jeden i Strzelec Dwa będą wyposażone w karabin maszynowy PKP Pieczeń, trzydziestomilimetrowy granatnik AGS-30 oraz zwykłą broń i granaty. Grupa Kord, jak można oczekiwać po nazwie, otrzyma mój ulubiony ciężki karabin maszynowy Kord, ślicznotkę, która nie raz wybawiła mnie z opresji podczas drugiej wojny czeczeńskiej. Czwarta grupa będzie grupą rezerwową. Zauważcie też, że nanieśm na mapę ponumerowane punkty odniesienia, żeby nie trzeba było orientować się według zwykłej siatki. – Przerwał na chwilę, żeby wszyscy zdążyli zrobić notatki i nanieść co trzeba na własne mapy. – Nasza misja to pojmanie brytyjskiej grupy szpiegowskiej, gdy podejda pod obiekt w celu jego rozpoznania. Nie powiem nic więcej ponad to, co starszy chorąży Razumichin przekazał wam poprzednio. Kluczową kwestią jest pojmanie żywcem tego brytyjskiego oficera. Dokonamy tego, otaczając ich ze wszystkich stron skoncentrowanym ogniem. Na mój rozkaz grupa rezerwowa ruszy do ataku, żeby pojmać ich do niewoli. Macie wolną rękę w skłanianiu ich do uległości, poza tym jednym zastrzeżeniem, że prezydent chce oficera żywego i na tyle mało uszkodzonego, żeby wyglądał dobrze w telewizji. Przejdźmy do zadań. Grupa Strzelec Jeden zajmie pozycję na pozbawionym czujników odcinku wzdłuż południowego skraju lasu, żeby przechwycić intruzów, gdy będą szli w stronę pola minowego. Na mój

rozkaz zwiążecie ją ogniem z uprzednio przygotowanych stanowisk. Grupa Strzelec Dwa odetnie im odwrót z pozycji między zaroślami na północny wschód od pola minowego, dokładnie tutaj. Wy też macie rozpoznać najpierw teren i przygotować stanowiska w taki sposób, żeby nikt nie mógł wymknąć się między nimi. – Wskazał na mapie miejsce, o którym mówił. – Dalej grupa Kord. Wy zajmiecie miejsce na wieży strażniczej w obrębie obiektu. Tutaj. Na mój rozkaz zwiążecie przeciwnika ogniem w trakcie podejścia do obiektu. Ja będę razem z wami na wieży. Otwarcie ognia przez grupę Kord będzie dla pozostałych grup sygnałem do działania. I wreszcie grupa rezerwowa. Macie być gotowi za bramą obiektu, żeby na mój rozkaz pojmać grupę nieprzyjaciela, gdy zostanie on już zneutralizowany.

Przerwał na chwilę i przeszedł do podsumowania.

– Jeśli zachowają się zgodnie z moimi oczekiwaniami, wejdą dokładnie w zaplanowaną zasadzkę i utkną między polem minowym, wieżami strażniczymi i dwoma grupami, które odetną im drogę odwrotu. Przygwoździemy ich ogniem, a gdy pojma, że mogą albo się poddać, albo zginąć, wtedy ich zgarniemy.

Zajął się zgraniem czasu i podaniem niektórych szczegółowych instrukcji, po czym wyprawił grupy na stanowiska.

Wiedział, że to może być długa noc, ale nie przejmował się czekaniem. Zwłaszcza że na razie zamierzał czekać w sali operacyjnej, popijając ciepłą kawę i bacząc na wszystkie meldunki, które tam właśnie spływały. To było o wiele lepsze niż leżenie plackiem w wilgotnym lesie, jak ostatnim razem, gdy zasadzał się na tych terrorystów. Poza tym musiał być blisko monitorów, które pokazywały dane z czujników sejsmicznych i kamer podczerwonych. Chciał też mieć dostęp do podstawowej sieci łączności służby wartowniczej. Gdy coś zacznie się dziać, czyli albo jeszcze tego wieczoru, albo w nocy, zdąży wybiec i dołączyć do grupy Kord na wieży. Stamtąd będzie miał dobry widok na ostatnią fazę operacji, na razie jednak wolał być w miejscu, które dawało mu lepszy obraz ogólny.

Gdy wszedł do sali operacyjnej, z miejsca zauważył, że coś jest nie tak. Obraz na monitorach ukazujących obraz z sieci kamer na zmianę migotał, rozjeżdżał się, zastygał nieruchomo albo zanikał. Monitory komputerów pokazywały psychodeliczne wzory i zwariowane kolory. Z głośników dobiegały trzaski i biały szum. Łącznościowcy gorączkowo sprawdzali sprzęt. Tylko zespół monitorujący niezależny system czujników sejsmicznych, który pracował na innej długości fal niż zwykła łączność, nie meldował żadnych usterek.

– Anatoliju Nikołajewiczu, mamy tu poważny problem – zameldował Razumichin. –

Cała łączność siadła w jednej chwili. Sieć monitorowania wyrzutni iskanderów zwariowała, a komputery sieci dowodzenia wyłączają się bez widomego powodu. Co gorsza, usłyszałem właśnie z dołu, że padł system kontroli broni nuklearnej Kazbiek, a system Pierimetr nie odpowiada. Meldują, że oba zostały chyba przejęte przez obcą

sieć dowodzenia. Niestety, przez awarię sieci łączności nie możemy zameldować o tym wyżej. Chyba nawet nie wiedzą o naszych kłopotach.

– Nie możemy połączyć się z nimi przez kabel? – spytał Wronski.

– Nie – odparł jeden z dyżurnych. – Nie mamy linii kablowej spełniającej wymogi protokołu bezpieczeństwa przy obsłudze broni atomowej. Jedyne dostępne nam kanały to nuklearna sieć dowodzenia.

– Która nie działa...

– Dokładnie, panie majorze.

Wronski zamarł. 45. gwardyjski pułk specnazu utworzył niedawno komórkę wojny informatycznej w celu sprawdzenia, czy nie dałoby się obezwładnić sieci dowodzenia przeciwnika za pomocą wprowadzonego do niej trojana i wymuszenia rozproszonej odmowy usługi. Czyżby NATO wpadło na to wcześniej?

W tej chwili rozległ się alarm sieci czujników sejsmicznych. Razumichinowi wystarczyło jedno spojrzenie.

– Kontakt. Intruz. Pozycja Bagratian, południowo-wschodni skraj lasu. Rozpocząć Borodino!

Wronski nie czekał. Wybiegł z pomieszczenia, zanim jeszcze chorąży skończył zdanie.

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 1.00 czasu środkowoeuropejskiego  
Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 2.00 czasu wschodnioeuropejskiego  
Polska przestrzeń powietrzna w okolicach Wrocławia

Major Philip Bertinetti znowu cieszył się swobodą latania w kabinie swojego F-16C, małej i zwinnej maszyny z przyspieszeniem jak pocisk. Jak zwykle w takich sytuacjach czuł się tak, jakby był jednością z myśliwcem. Dziś trochę bardziej ospałym za sprawą pełnego obciążenia na podwieszeniach. Były to pociski do zwalczania celów powietrznych AIM-9X Sidewinder i AIM-120 AMRAAM, po dwie sztuki, także dwie bomby GBU-31 Mark 84 o wagomiarze 2000 kilogramów, z zestawami JDAM, który zmieniał zwykłe „głupie” bomby w inteligentne, dzięki swej destruktywnej mocy znane jako „Hammer”. Miał też jeden pocisk AGM-88 HARM, przeznaczony do niszczenia celów radarowych, oraz jeden naprowadzany laserowo pocisk AGM-65E Maverick. Ten ostatni dodano mu na wszelki wypadek.

W razie potrzeby mógł użyć też sześciolufowego działka M61A, wyrzucającego pociski kalibru 20 mm z prędkością 6 tysięcy na minutę. Tyle że przy posiadanym zapasie amunicji nie byłaby to zbyt długa seria.

Po raz kolejny w krótkim czasie znowu leciał na wojnę, tym razem prowadząc zespół aż ośmiu maszyn z 510. Dywizjonu Myśliwskiego o przydomku „Buzzards”. Ich zadaniem był atak na małej wysokości przeciwko systemowi radarowemu Woroneż, zamontowanemu w stacji radarowej Pionierskiej przy dawnej bazie sił lotniczych Dunajewka w obwodzie kaliningradzkim. Po jej zniszczeniu mieli wrócić nad Polskę, zatankować w powietrzu i podjąć patrol z zadaniem niszczenia spodziewanego rosyjskiego lotniczego kontrataku wobec przeprowadzanej operacji powietrznodesantowej.

Buzzards należeli do wielkiej, wielonarodowej armady powietrznej, kierującej się ku obwodowi kaliningradzkiemu z wielu baz lotniczych w Europie Środkowej i Wschodniej. Największa grupa skierowana do zwalczania systemów obrony obszaru powietrznego przeciwnika (misja SEAD) składała się z pięćdziesięciu amerykańskich maszyn wystawionych wspólnie przez Siły Powietrzne i Marynarkę Wojenną. Zbliżała się już do wyznaczonych celów, chociaż w taki sposób, żeby na pierwszy rzut oka wyglądało to na zwykłą wyprawę bombową zmierzającą na Kaliningrad i bazę floty w Białtjisku. W rzeczywistości maszyny przenosiły przede wszystkim rakiety HAARM i wszelkie przeszkadzajki, które miały sparaliżować i zniszczyć system obrony przeciwlotniczej w krytycznych dla operacji punktach, czyli wkoło Jużnego,



Prawdinska i Oziorska. Po zneutralizowaniu ich przez dwie fale ataku Rosja powinna utracić wiele możliwości ofensywnych.

Mknąc 10 tysięcy metrów nad Polską z prędkością przelotową wynoszącą ponad 800 km/h, czuł się trochę nierealnie, zwłaszcza gdy myślał o skali operacji, w której brał udział. Słoneczne popołudnie spędził nie z rodziną, ale na basenie pływackim klubu oficerskiego. Wieczorem ucałował żonę i ruszył do bazy Aviano, żeby przygotować się do misji. Mógł być weteranem z potwierdzonymi zestrzeleniami – mechanicy wymalowali nawet na burcie jego maszyny trzy małe rosyjskie flagi – ale trudno było polegać na samym szczęściu. Na wojnie szczęście łatwo zawodziło, podobnie jak odwaga.

Zobaczył na wyświetlaczu hełmu, że za dwie minuty mieli wejść w zasięg rosyjskiego zintegrowanego systemu obrony przeciwlotniczej S-400.

– Nie zwracaj na to uwagi – mruknął pod nosem. – Przejmuj się tylko tym, na co możesz mieć wpływ. I pamiętaj o swoich.

Spojrzał na prawo, gdzie jaśniały w ciemności światła antykolizyjne maszyny jego bocznego, kapitana Mike'a Ryana. Trzymał idealnie szyk, kryjąc jednocześnie godzinę szóstą prowadzącego. Owszem, Mike przeszedł chrzest ognia kilka miesięcy temu nad Łotwą, ale wciąż był nowy w dywizjonie i należało mieć na niego życzliwe oko. Pozostałe sześć samolotów równie skrupulatnie pilnowało swoich miejsc po obu stronach prowadzącego. Rozmawiał z ich pilotami na odprawie i teraz, na chwilę przed wejściem w strefę walki i być może śmierci, na pewno liczyli na niego jako na dowódcę. Nie zamierzał ich zawieść i wraz z nimi był gotów ostrzegać się nawzajem przed rakietami przeciwlotniczymi. A tych mogło pojawić się naprawdę sporo.

Kolejny rzut oka na wyświetlacz podpowiedział, że są już w czterystukilometrowej strefie rażenia. Sprzężony z radarem pokładowym system AN/APG-68 automatycznie przestroił się na tryb wyszukiwania celów naziemnych.

– Zaraz nas namierzą – powiedział cicho.

Wiedział, że system radarowy Woroneż może śledzić do 500 celów powietrznych jednocześnie, a jego maksymalny promień wykrywania wynosił 600 kilometrów, co zostawiało wiele czasu na przygotowanie i odpalenie pocisku S-400 40N6. Przy prędkości rzędu 6,2 macha pocisk potrzebował trzech minut, żeby dotrzeć do jego zespołu. I najpewniej będzie zmierzał ku samolotowi prowadzącemu.

– Teraz to już w każdej chwili – mruknął ponownie, starając się zachować spokój.

Gdy tylko radar wychwyci nadlatujące pociski, powinien rzucić maszynę w całkiem szalone i chaotyczne akrobacje. Wtedy może przetrwać. Wiedział jednak, że równie dobrze cała jego grupa może zostać zniszczona. Jediną pociechą była świadomość, że ledwie radar go wypatrzy, jego pocisk HARM ruszy wprost na cel. Oczywiście o ile tylko będzie wystarczająco blisko. Niemniej powinien trafić, jeśli tylko Rosjanie nie dysponowali jakimiś środkami przeciwdziałania, o których nic nie wiedział. W ten

sposób następna fala ataku będzie miała już łatwiej, jeszcze kolejna zaś w ogóle poradzi sobie z wszystkim w miarę ulgowo, aż obrona przeciwlotnicza przeciwnika zostanie całkiem rozbita.

Spojrzał na tablicę przyrządów. Wszystko było w najlepszym porządku, ale wkoło ciągle nic się nie działo, chociaż obwód kaliningradzki był coraz bliżej.

– Apollo, mówi Giant Killer. Jak mnie słyszysz? – rozległo się nagle w słuchawkach hełmu.

– W porządku, Giant Killer – odparł Bertinetti. Czego ziemia może teraz ode mnie chcieć? – zapytał w duchu.

– Apollo, otrzymujemy meldunki, że prowadząca grupa SEAD jest nad celem i nie została ostrzelana. Powtarzam, nie została ostrzelana. Przeszli czysto i dostali liczne wyrzutnie SAM-ów.

– Przyjąłem, Giant Killer. Czyli tamci pewnie chowają rakiety dla nas – spróbował zażartować.

– Apollo, wręcz przeciwnie. Dostajemy coraz więcej meldunków, że system przeciwlotniczy przeciwnika nie działa. Cały system wydaje się wyłączony.

Bertinetti osłupiał. To mogło oznaczać tylko jedno: tam, w dole, dzieje się coś więcej ponad to, co zostało skoordynowane z ich atakiem. Jak inaczej groźny rosyjski system przeciwlotniczy mógłby tak nagle wysiąść?

Ale to nie była dobra chwila na podobne dywagacje. Należało przygotować się do wykonania własnego zadania. I być może pomodlić się, żeby dobre moce zadbały także i o nich.

Godzinę później Bertinetti był już pewien, że zdarzyło się coś niezwykłego. Podczas odprawy wszyscy piloci 510. Dywizjonu byli pewni, że przyjdzie im przedzierać się do celu przez obszar najeżony wyrzutniami rakiet, należących do najlepszego być może systemu obrony przeciwlotniczej na świecie. Myśleli nawet, że to będzie samobójcza misja. Jakiś nieznanym im czynnik jednak sprawił, że system ten przestał działać i rakiety nie startowały.

Owszem, natknęli się raz i drugi na zamontowane na ciężarówkach czterolufowe działka przeciwlotnicze ZSU-23-4, które same w sobie były śmiertelnie groźne, ale przy nowoczesnych systemach pokładowych musiałyby mieć naprawdę wiele szczęścia, żeby w kogoś trafić. Doszło też do kilkunastu nieskoordynowanych ataków w wykonaniu rosyjskich myśliwców typu MiG-29 Fulcrum i MiG-31 Foxhound, ale szybko zajęły się nimi czuwające w górnej osłonie F-15 Eagle.

W sumie cała wyprawa do złudzenia przypominała realistyczne ćwiczenia, które wszyscy pamiętali z Nevady. Zaraz po minięciu czterystukilometrowej granicy zeszli na bardzo małą wysokość i prowadzeni przez system nawigacyjny LANTIRN doszli do celu gdzieś na 30 metrach, tak że wierzchołki drzew zlewały się pod maszynami w jedną ciemną smugę. Siedemdziesiąt kilometrów od celu połączyli się z krążącą

w górze parą F-15 z nowoczesnymi zagłuszaczami na podwieszakach. Ich zadaniem było zneutralizowanie stacji radarowych systemów przeciwlotniczych SAM-6 i baterii działek ZSU-23-4 w okolicy stacji radarowej Pionierskij.

Gdy byli już blisko, Bertinetti wprowadził powoli zespół na wysokość 1500 metrów. Wtedy kilka baterii działek położyło ogień zaporowy i trzeba było zwalczyć chęć zanurkowania, gdy pociski smugowe przemykały tuż obok owiewek. Bertinetti zacisnął jednak zęby i trzymał kurs oraz wysokość przed zrzucając wszystkich bomb. Te zaś spełniły swoje zadanie, trafiając w dach budynku stacji radarowej i wywołując po chwili ogromną eksplozję. Po ataku Bertinetti podciągnął maszynę w lewo i poszedł ostro w górę, żeby dołączyć do F-15. Z większej wysokości widział jeszcze, jak kolejne maszyny też trafiają dokładnie w cel.

Niezwykłe, pomyślał. Przed lotem nikt głośno im oczywiście tego nie powiedział, ale dowództwo wysłało aż osiem maszyn w nadziei, że w ten sposób chociaż jedna dotrze nad cel. No, może dwie. I jedno bezpośrednie trafienie wystarczyłoby w zupełności do zniszczenia tej stacji radarowej. Tymczasem nad celem zameldowali się w komplecie i wszyscy zaliczyli trafienia. W obwodzie kaliningradzkim musiało się dziać coś naprawdę dziwnego. I chyba ktoś okazał się bardzo, ale to bardzo przewidujący i rozgarnięty.

– Giant Killer, mówi Apollo. Zadanie wykonane – przekazał spokojnie Bertinetti. – Idziemy spotkać się z tankowcami i wracamy na patrol.

– Potwierdzam, Apollo. Tally-ho i pomyślnych łowów.

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 1.15 czasu środkowoeuropejskiego

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 2.15 czasu wschodnioeuropejskiego

Las na północ od baterii Iskanderów w Prawdinsku, obwód kaliningradzki

– Dobre miejsce lądowania wybraliście. Małe, ale funkcjonalne – szepnął do Morlanda kapitan Jack Webb z elitarnych sił specjalnych USA. Twarz miał ciemną od kremu kamuflażowego. – Zostawiam tutaj dwóch chłopaków. Teraz musimy podejść bliżej do obiektu, żeby oznaczyć pozycje przeciwnika laserem. Po ataku powietrznym wejdziemy na teren.

Dwunastu skoczków bardzo szybko pozbierało się po lądowaniu. Każdy z zielonych beretów zwinął czym prędzej spadochron i ukrył go w zaroślach razem z maską tlenową i resztą wyposażenia, bez którego nie dałoby się wyskoczyć na tak dużej wysokości, ale które teraz nie było już potrzebne. Gdy wszyscy byli gotowi, zebrali się na skraju strefy lądowania, osłanianej w tym czasie przez grupę Morlanda.

Ponieważ do lądowania dalszych sił nie zostało wiele czasu, przygotowania były czysto prowizoryczne, ale i tak musiały chwilę potrwać, zwłaszcza po ciemku i przy zachowaniu wzmożonych środków bezpieczeństwa, bez hałasów i świateł. Pośrodku strefy lądowania ułożono wielkie A z dziewięciu pałeczek świetlnych, które były jednak widoczne tylko w promieniowaniu podczerwonym. Piloci nadlatujących chinooków powinni łatwo dostrzec znak, bo w tych warunkach i tak latali w goglach noktowizyjnych. Podobny znak ułożono na skraju pola, wskazując kierunek, w którym powinny odbywać się odloty ze strefy lądowania. Na koniec sprawdzono jeszcze, czy nie ma wkoło żadnych wyższych przeszkód. Zderzenie lądującego śmigłowca z jakąś porzuconą maszyną rolniczą mogłoby być fatalne w skutkach.

– Dobra, Jack, teraz zajmiemy się kwestią podejścia do obiektu – powiedział Morland, w pełni świadom, że jeśli nie chcieli spłoszyć swojego szczęścia, musieli działać z najwyższą ostrożnością.

Nie chciał tracić elementu zaskoczenia, zwłaszcza skoro udało im się zajść aż tak daleko. Wiedział, że gdy wylądują zapowiedziane już przez Webba śmigłowce, wkoło rozpęta się piekło, na razie jednak było cicho i Rosjanie w żaden sposób nie reagowali na ich obecność. Modlił się, żeby nic nie zaalarmowało ich do przybycia zielonych beretów.

Wyciągnął mapę i przy czerwonym świetle latarki pokazał Webbowi zaplanowaną drogę: 300 metrów na wschód przez las, potem półtora kilometra na południowy wschód wzdłuż skraju lasu. Dalej czekało ich rozpaczliwie długie przejście po

otwartym terenie do parowu, którym mieli się zbliżyć na odległość 300 metrów od ogrodzenia. Na ostatnim odcinku nie mieli osłony drzew, ale wzdłuż parowu rosły gęste krzaki.

Korzystając z ich osłony, mogli przyjrzeć się polu minowemu, wieżom strażniczym i samemu bunkrowi dowodzenia. Jak zaznaczył Morland, powinni także nasłuchiwać odgłosu silnika samochodowego. Co godzina z obiektu wyjeżdżał zmotoryzowany patrol, który objeżdżał okolicę. Jak ustalili wcześniej, można było liczyć na jakieś trzy minuty wyprzedzenia, zanim patrol, o ile skręci w tę stronę, pojawi się na drodze. Gdybyś zaś wpadli na niego w parowie, gra byłaby skończona.

Webb wysłuchał wszystkiego i uniósł kciuk. Chyba był zadowolony. Morland przekazał mu jeszcze szeptem, jak ma wyglądać porządek marszu, żeby oficer mógł wprowadzić w to swoich ludzi. Planowali poruszać się w trzech grupach, utrzymując między nimi taki dystans, żeby mogły sobie pomóc w razie wpadki. Archer i Watson, obaj w goglach noktowizyjnych, mieli iść przez las pierwsi jako grupa osłony ogniowej, żeby zająć na skraju lasu stanowisko od wschodu i osłaniać grupę zwiadowczą, złożoną z Lukša, Webba, jego sapera, Morlanda, Kraui i Bradleya. Gdy grupa zwiadowcza wyjdzie już z lasu, grupa rezerwowa, czyli sierżant Wild, dwóch Litwinów i pozostałych ośmiu spadochroniarzy, miała przejść przez las i zatrzymać się na jego skraju. Tam mieli poczekać, żeby później poprowadzić wzmocnioną kompanię do ataku na obiekt albo dołączyć do czołowej grupy, gdyby zaistniała taka potrzeba.

– Taki jest plan. Ale bądźcie przygotowani na niespodzianki. Wszystko zależy od tego, co zastaniemy na miejscu. Nie podchodziliśmy dotąd pod samo ogrodzenie, obserwowaliśmy je tylko z daleka. Przeciwnik zdaje się przestrzegać rutynowego porządku, ale kto wie, co zrobią, gdy usłyszą nasze śmigłowce.

– Jasne, Tom. Sekunda. – Webb podpełzł w kierunku swoich ludzi.

Krótko potem, po wyszeptanym „powodzenia” i uniesionym kciuku Morlanda, Archer i Watson zniknęli między drzewami. Sierp księżycy rzucał słaby blask na pasy z amunicją, które przewiesili na piersi, przez co wyglądali trochę jak meksykańscy bandyci. Ale nie przejmowali się tym, skoro wiedzieli, że i tak będą sporo kłąć pod nosem na dodatkowy ciężar i naboje zaczepiające po drodze o gałązki. Niemniej wszyscy zdawali sobie sprawę, że GPMG pożerał amunicję w zastraszającym tempie, dlatego druga grupa także niosła po 200 pocisków. Tak na wszelki wypadek.

Po dziesięciu minutach przyszedł przez radio sygnał, że grupa osłony dotarła na miejsce.

Lukša bez słowa ruszył przed siebie z grupą zwiadowczą. Piętnaście minut później szli już wzdłuż skraju lasu. Morland czuł na twarzy słaby podmuch wiatru i zapach świeżo skoszonego siana, suszącego się widać na jakimś polu. Księżyc wisiał wciąż nisko nad horyzontem, w znacznej części zakryty szczęśliwie przez chmury.

W końcu Lukša zatrzymał się i wskazał obu strzelców. Archer leżał przy karabinie,

Watson tuż obok niego, gotowy podawać taśmę amunicyjną, ułożoną w zgrabny stosik po lewej, ale na podściółce z poncha, żeby naboje się nie zabrudziły. Przygotowali się perfekcyjnie, ale też Morland niczego innego po nich nie oczekiwał.

Uformowali ciasny szyk obronny i Morland klepnął Watsona w ramię, ten zaś klepnął z kolei Archera. Bez słowa i bez pośpiechu obaj się podnieśli, narzucili pasy z amunicją z powrotem na ramiona i ruszyli na następną pozycję.

Morlandowi zaschło w ustach. Wiedział, że to ze strachu. Zaraz miało zacząć się nieznanne. Niemal otwarty teren, z dala od bezpiecznego lasu.

Popatrz na innych, pomyślał. Też się boją, ale idą sobie tak spokojnie, jakby przechadzali się po parku.

Spojrzał ukradkiem na Krauję. Krem na jej twarzy odbijał półmatowo blask księżyca, jasne włosy schowała pod pożyczoną czapkę armii łotewskiej, rękawy zbyt dużej kurtki miała podwinięte na końcach. W dłoniach tuliła karabin szturmowy Heckler & Koch G36, standardową broń łotewskiej piechoty, kalibru 5,56 mm. Przesuwając powoli lufą w lewo i w prawo, wyglądała wręcz groźnie, jak zawodowiec. Jeśli się bała, nie dawała tego po sobie poznać.

Znowu musieli czekać, aż przysłała przez radio kolejna wiadomość od Watsona. Grupa ogniowa była na nowej pozycji.

Wstali i wyszli na otwarte pole. Czteryście metrów dalej Morland widział żywopłot biegnący skrajem parowu. Dalej ciągnęło się już ogrodzenie bazy.

Coś tu nie gra, pomyślał Morland. Wcześniej teren bazy oświetlały latarnie. Teraz je wyłączyli. Dlaczego? Czyżby nas oczekiwali? Ale było już za późno. Doszli już tak daleko, że nie mogli się cofnąć.

Opuściwszy las, ustawili się w szyku rombu. Lukša na przedzie, sierżant saperów za nim po prawej, Webb z tyłu, Bradley przedostatni i Charlie na końcu. Krauja szła z lewej, Morland z boku przed nią. Broń trzymali na wysokości biodra, przesuwając ją według wzoru „przód, lewa, prawa, przód”. Nasłuchiwali podejrzanych odgłosów i wypatrywali jakiegokolwiek ruchu. Starali się przeniknąć oczami ciemność z takim zapalem, jakby byli dzikimi kotami polującymi w nocy w afrykańskim buszu. W końcu weszli na pole młodego jęczmienia, który sięgał im do pół uda. Był jeszcze wilgotny po niedawnym deszczu. Teraz szli jeszcze wolniej. Przez dziesięć minut pokonali tylko 350 metrów. Morland czuł, jak serce przyspiesza mu w piersi. Gdy dojrzał odległy o 50 metrów żywopłot, pojął, że z wolna zaczyna świtać.

Już prawie, pomyślał. Uda się nam!

I wtedy się zaczęło.

Z początku zarejestrował tylko hałas i jasne światło. Huk wystrzałów i kalejdoskop intensywnych barw, pomarańczowej, białej i czerwonej. Dwie pierwsze oznaczały wybuchy, a trzecia wiązała się z pociskami smugowymi, które przemykały w ciemności. Nagle, na wpół ogłuszony i oślepiiony, usłyszał jeszcze coś, co przebiło

się przez cały ten zgiełk. Było to basowe dudnienie ciężkiego karabinu maszynowego. Sam nie wiedział, kiedy padł na ziemię, ale teraz zerknął ostrożnie ponad kłosami. Karabin znajdował się na wieży wartowniczej, widać było ogień buchający z jego lufy.

Potem z lewej i prawej odezwały się w znacznie wyższej tonacji i szybszym rytmem karabiny mniejszego znacznie kalibru, zapewne 7,62. Ich pociski też porysowały smugami nocne niebo i powycinały całe przesieki w jęczmieniu z obu stron grupy. A jakby tego było mało, gdzieś dalej stęknął moździerz albo granatnik, sygnęło odłamkami. To już całkiem ich osaczyło. Napastnicy jednak kierowali cały ogień obok nich, nie na nich, co wydawało się nie mieć sensu. Mimo to zdawało mu się, że tylko cudem nie zginął od razu w tej nawale ognia. Nie narzekał jednak, chociaż jedno było już pewne: Rosjanie na nich czekali.

Wtulił się jak mógł najgłębiej w młody jęczmień, chociaż nic w nim nie widział. Wyczuwał za to świetnie zapach ziemi. Nad nim trwała kakofonia strzałów i eksplozji oraz pokaz psychodeliczny świateł.

Skoro ja ich nie widzę, to oni mnie też nie widzą, pomyślał. Sprawdzę, jak z innymi.

Zaczął wykrzykiwać imiona, ale ledwo słyszał odpowiedzi. To nie był dobry sposób. Musiał obejść wszystkich osobiście. Oczywiście nie wychylając nosa z jęczmienia.

Wtedy na pewno cię nie zobaczą, powtórzył sobie w myślach.

Najpierw odszukał Krauję. Leżała przerażona, z szeroko otwartymi oczami, ale na szczęście cała.

Potrząsał nią, aż na niego spojrzała. Wtedy uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Wszystko będzie okej. Tylko czołgaj się za mną! – krzyknął poprzez zgiełk.

Po chwili opanowała przerażenie i kiwnęła głową, Morland zaś poszukał Bradleya. Nowozelandczyk też nie odniósł obrażeń. Wysunął lufę broni ponad kłosa i posyłał serię za serią. Spojrzenie miał skupione, ale bojowe, jakby ożyli w nim maoryscy przodkowie.

– Dobra robota, Brad... Ale raczej pojedyncze strzały. I żeby ci głowy nie odstrzelili.

Pełną dalej, znalazł Webba, który rozmawiał akurat przez radio.

– Wysłałem TIC, info o kontakcie z nieprzyjacielem. Nasi mają samoloty w powietrzu i niebawem powinniśmy dostać wsparcie.

– O ile przetrwamy tak długo – odparł Morland.

Wyjrzał ostrożnie ponad jęczmień. Ogień z lewej jakby osłabł, chociaż nadal szły stamtąd serie. Więcej odzywało się z prawej. No i cały czas huczał werbel karabinu maszynowego na wieży. Jak nic weszli prosto w pułapkę. Co mówił instruktor podczas lekcji zachowania się w takich sytuacjach? To, że należy wyrwać się z zasadzki, prowadząc ogień do przeciwnika, w ciągłym ruchu.

Fajnie, tylko ktokolwiek pisał tamten program, nie miał chyba nigdy do czynienia

z Rosjanami. Niemniej i tak należało odpowiedzieć ogniem. Nawet jeśli nie miało się szansy wygrać z trzema karabinami maszynowymi. No i dobrze byłoby znaleźć jakąś osłonę.

Krzyknął na resztę, niemal zdzierając przy tym gardło:

– Trzymać się blisko! Odpowiadać ogniem! Wycofujemy się do parowu!

Nagle wpadł na coś leżącego w jęczmieniu. To było ciało. Poznał sierżanta z wojsk inżynieryjnych. Leżał rozciągnięty bezwładnie na ziemi. Nie poruszał się. Musiał chyba dostać serię w pierś i ta cisnęła go na ziemię. Krew wciąż wsiąkała w ziemię. Webb, który czołgał się zaraz za nim, sprawdził puls na szyi sierżanta i pokręcił głową.

Zostawiwszy zwłoki, poszukali Lukšy. Znaleźli go zwiniętego w jęczmieniu, z lewym ramieniem przesiąkniętym krwią. Z lewej ręki został mu tylko kikut kończący się tuż pod łokciem.

Krauja przepchnęła się do przodu, otworzyła zestaw opatrunkowy i przycisnęła go do kikutu. Drugi bandaż obwiązała pospiesznie wkoło ramienia. Inni też przekazali swoje zestawy opatrunkowe. Podczas gdy Krauja zaciskała bandaże, Morland sięgnął do pasa po opaskę uciskową i założył ją na przedramieniu Lukšy. Z wolna krew przestała się sączyć. Morland sięgnął jeszcze po jednorazówkę z morfiną.

– Trzymaj się, Arvydas. Zaraz dostaniesz zastrzyk i nie będzie tak boleć.

Lukša spojrział na niego z zaciśniętymi zębami.

– My, Litwini, nie czujemy bólu. Tylko wstrzymaj krwawienie i będzie dobrze. Muszę mieć jasną głowę. Chcę zabić tych pierdolonych Ruskich.

Morland spojrział na niego z podziwem i zrozumiał, że z takimi żołnierzami jak Lukša jakoś z tego wyjdą. Sam poczuł nagły przypływ adrenaliny. No i złość. Strach ulotnił się jakimś dziwnym sposobem.

Spojrzał na Bradleya, który nadal strzelał seriami.

– Szefie! – wrzasnął Bradley. – Nasza grupa ogniowa się włączyła. Ogień tamtych słabnie.

Morland wyjrzał ponad zboże. Ze skraju lasu niosło się znajome pohukiwanie GPMG. Strzelcy wybrali pozycję, która chroniła ich przed ogniem Rosjan, używających chyba ciężkiego karabinu maszynowego Kord kalibru 12,7 mm. Gdyby mogli ich dosięgnąć, szybko byłoby po pojedynku, ale i tak jakoś sobie radzili. Morland dojrzał smugę serii wymierzonej w pozycję karabinu po lewej. Zaraz potem ogień z tego kierunku ustał. Dało im to trochę wytchnienia, ponieważ Rosjanie zwrócili się teraz z całą wściekłością przeciwko Archerowi i Watsonowi.

Bradley chwycił Lukšę i wspomagany przez Krauję zaczął ciągnąć go na plecach niczym ratownik holujący tonącego. Morland i Webb starali się tymczasem strzelać.

Cał po cał, stopa po stopie posuwali się z wolna przez zboże. Nigdy jeszcze 50 metrów nie było dla nich tak wielkim dystansem. W końcu jednak cali spoceni dotarli na skraj parowu i zeszli na dół. Morland nie pojmował, jakim cudem nie zostali wybici



co do jednego. Byli przecież nieruchomymi celami na pustym polu. Co więcej, strażnicy musieli mieć przecież noktowizory. I to dlatego pewnie wyłączyli światła, a ogień z korda przygwoździł ich w jednej chwili. Im dłużej o tym myślał, tym mniej sensu miała dla niego ta cała zasadzka.

Szybko łyknął wody z manierki. Gardło piekło go od krzyku, a przecież miał jeszcze sporo do zrobienia. Zostawiwszy Krauję, która dalej zajmowała się Litwinem, podpełzł razem z Webbem do przeciwległego skraju drogi. Karabin maszynowy z wieży dał spokój obsłudze GPMG i znowu skupił się na nich, a dokładniej na miejscu, gdzie byli jeszcze jakiś czas temu. Niemniej ogień z lewej ustał całkowicie, Archer i Watson musieli chyba załatwić tamtą grupę. Grupa z prawej strzelała dalej. Chwilowo było bezpiecznie, niemniej nie mieli się stąd jak wydostać. Byli w pułapce.

– Podałem grupie rezerwowej namiary na tych po prawej – krzyknął Webb do Morlanda. – Mają dużą siłę ognia i powinni ich przygwoździć.

– A co ze wsparciem powietrznym? – spytał Morland, nie mogąc się nadziwić, jak lekko mu było teraz na duszy po wcześniejszym ciężkim przerażeniu. – Nigdzie stąd nie pójdziemy, dopóki ci z wieży będą strzelać. A za chwilę zjawi się desant. – Fosforyzujące wskazówki przydziałowego zegarka G1098 pokazywały już 3.15.

– Spokojnie. Moi ludzie na lądowisku zajmą się nimi. A naprowadzanie chyba nie będzie konieczne, mają już pełną iluminację – dodał z uśmiechem Webb. – My zostaniemy tutaj i zajmiemy się naszą robotą. Poza tym muszę naprowadzić wsparcie powietrzne, a do tego muszę widzieć teren obiektu.

Przerwał, przez chwilę słuchał głosu, który rozległ się w jego słuchawce, po czym obrócił się do Morlanda.

– Leci F-16 z maverickiem. Będzie za pięć minut. Muszę podświetlić cel.

Sięgnął do torby i wyciągnął marker laserowy AN/PEQ-1 SOF, ręczny znacznik celu wielkości małej kamery wideo. Włączył go i patrząc przez celownik optyczny, skierował na wieżę wartowniczą. Promień lasera był niewidoczny dla obsługi karabinu, ale powinien zostać wychwycony bez trudu przez systemy nadlatującego samolotu. Webb trzymał marker pewnie, jak podczas ćwiczeń na strzelnicy. Mierzył dokładnie w ogień wylotowy karabinu maszynowego Kord.

Czekali. W końcu gdzieś wysoko nad nimi dał się słyszeć słaby z początku, ale znajomy i coraz lepiej słyszalny huk silnika myśliwca odrzutowego.

– Teraz to już chwila – mruknął Webb. – Przygotować się, zaraz wybuchnie...

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 2.00 czasu środkowoeuropejskiego

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 3.00 czasu wschodnioeuropejskiego

25 tysięcy stóp nad obwodem kaliningradzkim

– Giant Killer, tu Apollo, tankowanie zakończone. Teraz patrol – rzucił Bertinetti do mikrofonu, gdy jego F-16 szedł wysoko nad równiną obwodu kaliningradzkiego. Kapitan Mike Ryan trzymał się jak przeklejonny blisko z prawej i trochę z tyłu.

– Zrozumiałem, Apollo. Uważaj na siebie. Natowski boeing E-3A sentry pilnuje przestrzeni powietrznej na wypadek pojawienia się nieprzyjaciela. RAF ma niedaleko RC-135 rivet joint. Melduje, że rosyjski system przeciwlotniczy nadal się nie podniósł. Zagrożenie rakietami minimalne.

– Zrozumiałem, Giant Killer. Co z desantem?

– Giant Killer. Godzina H potwierdzona, 3.30, Apollo.

Bertinetti odetchnął z ulgą. Rozkaz ataku z małej wysokości na stację radarową Pionierskij to było jedno, ale gdy podczas odprawy usłyszał jeszcze, że jego dywizjon ma wystawić później parę do patrolu, nie był wcale taki szczęśliwy. Wtedy sądził jeszcze, że mało który z nich przetrwa ten atak, może nawet nikt nie zostanie w powietrzu, przez co rozkaz wydał mu się trochę nie na miejscu. Niemniej skoro został wydany, należało go przyjąć. Nikomu nie zamierzał jednak narzucać wyboru. Mike Ryan sam na niego spojrział i pokiwał głową. Dla niego sprawa też była prosta. Był skrzydłowym i jeśli jego prowadzący leciał, to on leciał także.

Po zakończonej podstawowej misji pozostałe sześć maszyn skierowało się do domu. Ich piloci mieli zostać odpytani i wysłani spać. Prawie tak, jakby nic szczególnego się nie zdarzyło.

Dla Bertinettiego i Ryana nadal sporo się działo. Daleko na wschodzie niebo nad lekko zakrzywionym horyzontem zaczynało już jaśnieć. Sprawdził czas. Wschód słońca nastąpi za godzinę i wtedy też mieli wracać do Aviano. Stłumił ziewnięcie i spróbował wyprostować nogi. Siedział w pasach już od czterech godzin i kombinezon antyprzeciążeniowy zaczynał go już cisnąć. Chętnie też zdjąłby hełm i podrapał się po głowie. F-16 był wspaniałym samolotem, ale nie należało za bardzo kusić szczęścia. Miał nadzieję wrócić, zanim dobra passa się skończy. Póki co zaś włączył autopilota zaprogramowanego na powtarzanie prostego wzoru tak zwanych „województwskich zakrętów” nad obwodem kaliningradzkim.

Niebawem jednak jego radio znowu ożyło.

– Apollo, tu Giant Killer. Czy mnie odbierasz? Mamy zlecenie.

– Apollo, zrozumiałem. Podaj dane.

– Oddziały w kontakcie z nieprzyjacielem. Współrzędne przeciwnika 893456. Na południe od Prawdinska. Są pod ogniem ciężkiego karabinu maszynowego. Mają znacznik i gotowi są podświetlić cel. Tylko uważaj, to jest na terenie baterii iskanderów. Głowice atomowe mogły zostać uzbrojone. Celność ponad wszystko.

– Apollo, przyjąłem. Bez odbioru.

Na wzmiankę o głowicach atomowych zmęczenie pierzchno jak ręką odjął. Bertinetti sprawdził pozycję. Wprowadził dane nawigacyjne do systemu LANTIRN, który sam wszystko przetrawił i podał, że do celu zostało pięć minut. Znow wywołał ziemię i poprosił o podświetlenie celu.

– Giant Killer, przekazuję do centrum taktycznego. Czas dolotu do celu pięć minut. Marker za dwie.

Potem Bertinetti wywołał Ryana.

– Ghost One, tu Apollo. Kryj moją szóstą podczas ataku.

Wprowadził F-16 w nurkowanie. Myśliwiec zareagował radośnie jak rasowy koń na wyścigach. Idąc z rosnącą prędkością coraz niżej, Bertinetti wywołał na prawym wyświetlaczu stronę wyboru uzbrojenia i przycisnął ikonę pocisku Maverick. Żyroskop rakiety ożył błyskawicznie i po chwili w kabinie zapaliło się światełko informujące o gotowości pocisku. Gdy tylko Bertinetti wyrównał, poszukał w dole celu. Nie był trudny do znalezienia. Pociski smugowe było widać nawet stąd. Całkiem spokojnie Bertinetti uniósł osłonę przełącznika i pozwolił pociskowi poszukać laserowego znacznika celu.

Na wyświetlaczu hełmu pojawił się wykres, który miał mu pomóc naprowadzić samolot na cel. Bertinetti zaczął odliczać do dwudziestu, tak jak robił to podczas ćwiczeń Red Flag w Nevadzie. Gdy doszedł do piętnastu, symbol na wyświetlaczu pokazał, że pocisk wykrył promień laserowy.

– Trzymaj go równo, chłopie. Tylko równo – mruknął Bertinetti pod adresem nieznanego mu operatora.

Tamten trzymał. Promień ani drgnął.

To poważny zawodnik, pomyślał Bertinetti. Musiał już to robić. A teraz jest pod ogniem.

Poczuł szacunek dla tego człowieka. Szacunek lotnika dla kogoś, kto bezpośrednio spotyka się z wrogiem. Nie raz i nie dwa gorzej podawano mu cel na ćwiczeniach, chociaż panował wtedy pokój i nikt nie strzelał do operatora.

Nie mogę go zawieść, pomyślał. Robi swoje perfekcyjnie i ja też tak muszę.

Skupił się na równym prowadzeniu maszyny. Wystarczyłby jeden błąd, a nie tylko wyprawiłby siebie do wieczności, ale zasłynąłby jeszcze jako ten, który doprowadził do końca cywilizacji. Oczywiście jeśli zostałby jeszcze potem ktoś zdolny go wspominać.

– Teraz! – powiedział sam do siebie i musnął kciukiem przycisk zwalniania na szczycie joysticka.

Pocisk zeskoczył z prowadnicy i runął w ciemność, oślepiając go na moment w chwili odpalenia silnika. Odciążone skrzydło uniosło się raptownie i musiał sparować przechył maszyny.

Opadający pocisk śmignął z olbrzymim przyspieszeniem w kierunku celu.

Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 2.25 czasu środkowoeuropejskiego  
Niedziela 9 lipca 2017 roku, godzina 3.25 czasu wschodnioeuropejskiego  
Bateria iskanderów pod Prawdinskiem, obwód kaliningradzki

Silnik myśliwca huczał coraz głośniej, jakby maszyna była dokładnie nad nimi.

– Już tylko chwila! – krzyknął Webb.

Morland spojrzał w górę. Na tle jaśniejącego z lekka nieba pojawił się podłużny kształt opadający gwałtownie ku wieży strażniczej, która pląta ciągle ogniem, jakby była żywą istotą zafiksowaną na tej jednej, jedynej czynności.

Zaraz potem obaj rzucili się na dno parowu, skąd dojrzeli jedynie oślepiający błysk, który ogarnął całą okolicę. Rozległ się ogłuszający huk, gdy maverick dotarł do celu i wążąca 136 kilogramów głowica kumulacyjna uderzyła w wieżę strażniczą, wymazując ją kompletnie z krajobrazu. Morland był zdumiony, że przy odległości ledwie 300 metrów nie poczuł prawie podmuchu. Widocznie niemal cały impet poszedł w dół. Wspiął się do krawędzi parowu i spojrzał na bazę. Odgłos karabinów maszynowych umilkł, a gdy dym i kurz się rozwiały, po wieży nie został nawet ślad.

– Piękna robota – powiedział Webb. – W sam środeczek. I bez budzenia atomówek.

– Cholera, nie myślałem... – zaczął Morland, któremu nagle ulżyło. Zwłaszcza że obok pojawiły się dwie postacie w brytyjskich hełmach jednostek powietrznodesantowych. Obie miały też pomalowane na ciemno twarze i kurtki spadochroniarzy na grzbietach.

Musiał chyba ogłuchnąć chwilowo od strzelaniny i eksplozji, bo w ogóle nie słyszał, jak się zbliżali. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł kolejną dwójkę, osłaniającą prowadzącego. Jeden miał karabin szturmowy SA-80, drugi lekki karabin maszynowy Minimi kalibru 5,56 milimetrów.

Prowadzący przyklęknął przy Morlandzie.

– Sierżant Atkins, pluton zwiadu, trzeci batalion spadochronowy. Idziemy w szpicy. Reszta kompanii zbliża się właśnie do strefy lądowania – powiedział z silnym akcentem birminghamskim.

Morland podniósł na niego wzrok.

– Kapitan Tom Morland, dowódca plutonu zwiadu, pierwszy pułk mercyjski. Co was zatrzymało? – spytał z uśmiechem, czując, jak opada z niego potężne napięcie. Skoro był tu trzeci batalion spadochronowy, to wszystko musi się skończyć dobrze.

Gdzieś za sobą słyszał rytmiczne granie podwójnych wirników chinooków. Pewnie lądowały właśnie za lasem na północ od nich. Krótką chwilę ciszy, która nastąpiła zaraz

potem, przerwały kolejne serie z ciężkiej broni. Nad lasem z lewej pojawiły się śmigłowce szturmowe Apache, obciążone śmiertelnościami uzbrojeniem i wyposażone w celowniki na podczerwień. Z miejsca położyły skoncentrowany ogień na ogrodzenie bazy, torując drogę do szturm, który musiał zakończyć się śmiercią większości jej obrońców i kapitulacją ocalałych.

## Epilog

Niedziela 20 sierpnia 2017 roku, godzina 9.15

Restauracja Browns, Woodstock Road, Oksford

W niedzielne ranki sierpniowy Oksford jest zwykle na wpół wymarły. Studentów jeszcze nie ma, a nawiedzający miasto tłumnie turyści przyjeżdżają zwykle bliżej południa. Ten poranek nie był inny. Słońce kąpało w swym blasku eleganckie budynki na rogu St Giles z Woodstock Road, gdy kapitan Tom Morland otworzył drzwi restauracji Browns, gdzie umówił się z Nicolą Allenby na późne śniadanie.

Próbował spotkać się z nią od dnia powrotu z państw bałtyckich. Kiedy zobaczył ją na ekranie podczas seansów łączności z dowództwem, które nastąpiły jeszcze przed wojną, przeszedł lekki wstrząs i zapragnął dokończyć wreszcie to, co kiedyś się urwało. Chciał z nią porozmawiać. Niemniej od chwili, gdy został ewakuowany z terenu przylegającego do bazy w Prawdinsku, nie był panem swojego czasu. Musiał wziąć udział w całym szeregu spotkań i sesji odtwarzających jego doświadczenia. Odbył też przyjacielską pogawędkę z oficerem medycznym jednostki, który uczulił go na różne objawy stresu pourazowego.

Na szczęście Allenby brała udział w jednym z tych spotkań, które odbywało się akurat w GCHQ. Po wysłuchaniu, jak Brytyjczycy, a bez wątpienia i również Rosjanie, śledzili jego wędrówkę przez państwa bałtyckie, Morland zdał sprawę z tego, jak radzili sobie w lesie, ze szczególnym położeniem nacisku na kwestię łączności. Ludzie z Centrali byli zainteresowani wszystkim, co wiązało się z rosyjskim cyberatakiem poprzedzającym najazd na Łotwę.

Po tym spotkaniu na szczęście miał chwilę na rozmowę z Allenby i postanowili umówić się na spotkanie. Tyle że ona też była bardzo zajęta i dopiero po jakimś czasie zdołali znaleźć pasującą obojgu chwilę. Morland zjawił się trochę wcześniej, ale Allenby i tak siedziała już przy stoliku z egzemplarzem „The Sunday Times”. Przywitani się trochę niezręcznie, bardziej jak znajomi niż starzy dobrzy przyjaciele.

– Wyglądasz teraz trochę bardziej cywilizowanie niż wtedy, gdy ostatni raz cię widziałam. Wróciłeś taki wychudzony – zauważyła Allenby, starając się ocieplić atmosferę.

– Nie mieliśmy tam kuchni w stylu Jamiego Olivera...

Allenby odpowiedziała uśmiechem. Lody pękły.

Zamówili śniadanie. Allenby wskazała na pierwszą stronę gazety, gdzie widniał wielki nagłówek: „Prezydent Rosji zginął w katastrofie śmigłowca na Syberii”.

– Widziałeś to? – spytała.

– Słuchałem radia w samochodzie. Nie do wiary. Myślałem już, że jest niezniszczalny.

Allenby przysunęła gazetę tak, żeby oboje mogli poczytać. Była pełna zdjęć prezydenta Federacji Rosyjskiej z jego najlepszych dni: jadącego z nagim torsem na koniu, polującego na niedźwiedzie, nurkującego w Morzu Czarnym w poszukiwaniu skarbów archeologicznych, łowiącego łososie.

– Podają, że leciał na imprezę związaną z kryzysem klimatycznym, żeby poprawić swój wizerunek po klęsce poniesionej w państwach bałtyckich. To miał być kolejny gest samca alfa, tyle że w nowej, ekologicznej odsłonie. Zawsze upierał się, żeby latać Mi-8, powszechnie używanym śmigłowcem krajowej produkcji. Nie chciał niczego lepszego. I popatrz, jak skończył...

– Daleko w tundrze. I dobrze – odparł Morland, popijając kawę. Znowu spojrzął na nagłówek. – Naprawdę trudno mi uwierzyć, że drań wreszcie zginął. Wydawało się, że będzie żył wiecznie. Z pewnością tak by chciał.

Allenby rozejrzała się wkoło. Restauracja była prawie pusta i nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę, ale i tak ściszyła głos.

– Z pewnością odegrałeś sporą rolę w podkopaniu jego pozycji. Ty i leśni bracia.

– Naprawdę? – zdumiał się Morland.

– Naprawdę. Ale nie oczekuj, że ktokolwiek ci podziękuję. Gdybyśmy zajaknęli się nawet o twoim udziale, Rosjanie poczuliby się aż nadto zachęcani do tego, żeby sprawdzić, skąd możemy mieć pewne informacje. Po jego przesadnej reakcji podczas tamtej awantury nadstawiliśmy ucha na plotki o tym, kto mógłby zostać jego następcą. W Rosji władzę się trzyma, dopóki ma się reputację silnego człowieka. Gdy tylko zaczął ją tracić, reszta była tylko kwestią czasu. W sumie przypuszczam, że od paru tygodni nie panował już za bardzo nad sytuacją.

– Sugerujesz, że ten śmigłowiec nie spadł sam?

– Dokładnie tak myślę. Oczywiście śmigłowce spadają czasem same z siebie, ale...

– To powiedz jeszcze proszę, że to dobra wiadomość i że jego miejsce zajmie ktoś mniej zdegenerowany.

– Niekoniecznie – odparła Allenby. – Z tego, co słyszymy, jego następcą może zostać zajadły nacjonalista. I jest się czym martwić. Od jakiegoś czasu grzmi na temat wrogów wewnętrznych i ciosu zadanego w plecy. Będzie szukał okazji do zemsty na NATO za klęskę Rosji i za to, że musieli oddać państwa bałtyckie w zamian za okręg kaliningradzki i pociski Iskander.

Morland zamyślił się na chwilę.



– Tak, sądzę, że to musiało mocno zranić ich dumę.  
– Taki był plan.  
– Słyszałem też, że przyłożyłaś do tego rękę...  
– Dość, Tom. Wiesz, że nie mogę rozmawiać na takie tematy. Ale ty przeszedłeś swoje. Miałaś szczęście, że wywinąłeś się po tym, gdy ich prezydent nasłał na ciebie tego gościa ze specnazu.

– Tak, tak mi powiedzieli.  
– Czy wiesz, że to on przygotował zasadzkę w Prawdinsku? – spytała Allenby.  
– Nie. Nie powiem jednak, że bym był zdziwiony. Widziałem, jak w Rydze wydał rozkaz snajperowi, który zastrzelił te trzy dziewczyny. Potem widziałem go jeszcze, jak prowadził atak na leśny obóz na Łotwie. Wydało mi się to dziwnym zbiegiem okoliczności i zacząłem się zastanawiać, czy nas nie śledził. Gdy zaś zobaczyłem, że wygasili wszystkie latarnie na terenie centrum dowodzenia, to od razu mi zaświtało, że być może idziemy w pułapkę, ale było już za późno, żeby się cofnąć. Powiedz mi: czy został zabity w uderzeniu z powietrza?

– Nie wiemy. To dziwne. Nie znaleźliśmy nic na jego temat, chociaż poza tym mało co nam umknęło. Całkiem jakby Rosjanie rozmyślnie go kryli.

Atmosfera ochłodziła się trochę, gdy oboje zaczęli się zastanawiać nad możliwymi konsekwencjami takiego stanu rzeczy.

Allenby odłożyła gazetę, żeby zmienić temat rozmowy. Woląa pogadać o Morlandzie.

– I jakie zamiary ma teraz wobec ciebie armia?

– Dowódca nie powiedział na razie co dalej. Póki co kręcę się po jednostce i wyszukuję sobie zajęcia. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zostanę w mundurze. Było świetnie, ale być może dość już przygód mi się przytrafiło. Poza tym przy tych wiecznych cięciach nie widzę tu przyszłości dla ludzi takich jak ja.

– Jest tak źle?

– Aż tak źle. Wiesz, że sierżant Wild poszedł wcześniej do cywila? A skoro on odszedł, to Archer i Watson też zaczęli się nad tym zastanawiać. I nie za bardzo mogę ich przekonać do tego, żeby zostali.

– Nie myślisz, że politycy nauczyli się jednak czegoś? Mieli wielkie szczęście, więc może zaczną jakiś program naprawy...

– Nie żartuj! Nie ma szans – stwierdził Morland z goryczą w głosie. – Będzie wiele gadania i wielkich gestów, jak obietnice dofinansowania sił specjalnych czy zapowiedzi nowego sprzętu, który na pewno już jutro, pojutrze, pojawi się w jednostkach. Takie tam, żeby trafić na nagłówki. Ale rozpaczliwie mało konkretów. Tu potrzebna jest robota od podstaw. Żeby zbudować coś naprawdę, trzeba odtworzyć kościec, żeby na nim rozwijać dopiero mięśnie. A ten kościec został tragicznie osłabiony. Nie powiesz mi, że państwa bałtyckie zostały odzyskane tylko dzięki

uderzeniom powietrznym i inteligentnym bombom. Jasne, to jest ważne, ale bez właściwych ludzi na właściwych miejscach i we właściwym czasie drogie zabawki niewiele nam dadzą. I jest faktem, że Rosja zaatakowała tylko dlatego, że ich prezydent dojrzał naszą słabość. Sami podaliśmy mu okazję na tacy. Sensowne poskładanie tego na nowo musiałyby sporo kosztować, a tych pieniędzy jakoś nie ma. Każdy polityk powie ci dzisiaj, że wydawanie pieniędzy na obronę nie przysparza głosów. Nawet po tym, co się zdarzyło. Prosta sprawa. A co więcej, politycy muszą zrozumieć, że najważniejsi są ludzie. Gdy raz pozbędziesz się dobrze wyszkolonych zawodowców, nie da się przywołać ich z powrotem jednym machnięciem ręki. Ta magia nie działa. Nasze siły są tak dobre, jak dobre jest wyszkolenie. Takie dzień w dzień, rok za rokiem. Nieustanne podnoszenie naszych kwalifikacji. Tak jak w każdej innej pracy. Ale nie możesz być bankierem, hydraulikiem i jednocześnie dobrym rezerwistą, który poświęci wojsku kilka tygodni w roku. W ten sposób nie można nawet zbliżyć się do poziomu zawodowego żołnierza. Politycy chcieliby, żeby to tak działało, i przekonują nas, że to możliwe, ale to nieprawda. Na wojnie najgorsze jest pierwsze starcie, a żeby je przetrwać, trzeba być dobrze wyszkolonym profesjonalistą działającym w ramach równie świetnie wyszkolonego oddziału. Historia zna wiele słabo przygotowanych armii idących w rozsypkę w spotkaniu z weteranami, którzy znali swój fach i mieli właściwy sprzęt. Przez kilka ostatnich stuleci Wielka Brytania dobrze to rozumiała i dobrze na tym wyszła, ale te czasy już minęły. Przepraszam za cynizm, ale problem w tym, że nikt nie da na pierwszą stronę materiału o świetnie wyszkolonych żołnierzach, którzy mają wysoką motywację do wykonywania codziennych obowiązków. – Przy ostatnich zdaniach Morland uniósł głos. Niemniej naprawdę czuł się zdradzony we wszystkim, w co wierzył głęboko, gdy wstępował do wojska.

Allenby spojrzała na niego z zaciekawieniem i na szczęście zmieniła temat.

– A ty? Jak tam było? Ten czas, który spędziłeś w lesie...

– No, wiesz... Trwało trochę, nim poczułem się mniej nakręcony i zacząłem wracać do normalności. Dobrze być znowu z batalionem... ale zauważyłem, że spędzam większość czasu z ludźmi, którzy byli tam ze mną. Chyba nikt inny poza Mariną Kraują i leśnymi braćmi nie potrafiłby zrozumieć, co to było za doświadczenie.

– A Marina? Chyba stała ci się całkiem bliska? Wydaje się, że to wyjątkowa dziewczyna.

Morland milczał przez chwilę.

– Jest wyjątkowa.

– Spotkasz się z nią jeszcze? – spytała Allenby.

Jak ma na to odpowiedzieć? Sam zadawał sobie to pytanie od tamtej chwili, gdy pożegnali się pospiesznie i zabrano ją śmigłowcem do Polski, a jego wpakowali do herculesa, z którego wysiadł dopiero w bazie RAF-u Brize Norton.

– Tak... kiedyś. Tam w lesie, gdy ciągle coś nas goniło, staliśmy się sobie w jakiś

sposób bliscy. Zresztą w tych warunkach pewnie nie mogło być inaczej. To twarda zawodniczka. Zwłaszcza po ostatnich doświadczeniach. I ma poczucie posłannictwa. Teraz chce pomóc odbudowywać Łotwę. Jej brat poległ podczas obrony terminala portu lotniczego w Rydze, więc rodzice chcą mieć ją blisko. Co jest całkiem zrozumiałe. Mogę tylko szanować ją za...

Mówiąc to, wiedział, że tak naprawdę nie odpowiedział na pytanie Allenby, która oczywiście nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

Przy tej okazji zauważył, jak bardzo są do siebie podobne. I zrozumiał, jak bardzo tęsknił do tego, żeby znowu spotkać Allenby. I że dobrze czuje się teraz w jej towarzystwie.

- Chciałabym ją kiedyś poznać – powiedziała Allenby.
- Polubiłabyś ją. Macie ze sobą wiele wspólnego.

## PODZIĘKOWANIA

Inspiracji do napisania tej książki dostarczyli mi dobrzy przyjaciele, których poznałem podczas moich licznych pobytów na Łotwie, Litwie i w Estonii. Nie tylko okazali mi wielką gościnność i nie mniejszą życzliwość, ale także podzielili się ze mną opowieściami o historiach ich rodzin i własnych przeżyciach z okresu radzieckiej okupacji. Odwaga, jaką się wykazali, odzyskując niepodległość w ostatnich dniach Związku Radzieckiego, jest szczególnie inspirująca, co znalazło odbicie w dedykacji umieszczonej na początku tej książki. Zdarzenia te nastąpiły ponad pokolenie temu i przeszły już do historii, ale w obliczu odradzania się rosyjskiej mocarstwowości i coraz silniejszego potencjalnego zagrożenia wschodnich granic tych krajów jest to historia, o której należy pamiętać.

Niemniej oprócz inspiracji potrzebny był jeszcze katalizator i mogę powiedzieć, że ta książka nie powstałaby nigdy bez Rogera Fielda. Zaczęło się na naszym spotkaniu rocznicowym w Sandhurst, gdy spytał mnie podczas rozmowy, co zamierzam robić po opuszczeniu szeregów armii. Z wielkim i jakże typowym dla niego entuzjazmem zaczął nakłaniać mnie do pisania. Opór stawiałem słaby, być może dlatego, że zawsze marzyłem o takim zajęciu. Poddąłem się więc i oto jest rezultat. Niemniej Roger Field był kimś więcej niż tylko agentem i redaktorem. Jako osoba od dawna pisząca i publikująca swoje prace, wspomógł mnie swoim fachowym doświadczeniem powieściopisarza i wiele zawdzięczam jego kreatywnej wyobraźni, dbałości o szczegóły i częstemu stosowaniu czerwonego atramentu, gdy przychodziło do sugestii, poprawek i dodatków. To, co zrobił, dalece wybiegało ponad obowiązki agenta i redaktora. Winien też jestem szczególne podziękowania Markowi Boothowi z wydawnictwa Hodder and Stoughton, który od początku podszedł do mojej pracy z wielkim entuzjazmem i zainteresowaniem, po czym służył mi wielokrotnie radą i wyjątkowo wiele czasu poświęcił tej książce.

Wiele z tego, co opisałem, zostało oparte na moich własnych doświadczeniach, chociaż dla dobra opowieści sporo musiałem uprościć. Niemniej jestem bardzo wdzięczny tym, którzy wsparli mnie fachowymi poradami, zwłaszcza na temat działań na morzu i w powietrzu. W sprawach morskich pomógł mi dawny kolega, który woli pozostać anonimowy, a w kwestie wojny powietrznej wprowadzał mnie Henry Salmon, były pilot szybkich odrzutowców.

Chociaż wiele postaci, nazwisk i zdarzeń w tej książce to czysto fikcyjne twory, w innych przypadkach wzorowałem się na znanych mi postaciach czy też zapożyczałem

choć ich imiona i nazwiska. Jestem wdzięczny tym, którzy się na to zgodzili. Ufam, że zrozumiecie kierujące mną pobudki, gdy każdemu z was zechcę podziękować osobiście.

Książka nie powstałaby wszakże, gdyby nie moja rodzina, zachęcająca mnie do pracy, wspierająca w tym dziele i jednocześnie krytyczna wobec wyników. Jestem szczególnie wdzięczny naszym dwóm spanielom o imionach Delilah i Maisie, których obecność miała wielkie znaczenie w chwilach, gdy wskazane było *solvitur ambulando*, rozwiązanie problemu przez chodzenie, co pomogło mi wybrnąć z niejednego impasu. Najważniejsze jednak i całkiem spójne z historią naszego trzydziestoletniego małżeństwa było wsparcie, którego niczym skalna opoka udzielała mi moja żona Sarah-Jane. Zawdzięczam jej więcej, niż jestem w stanie wyrazić, i żadne słowa podziękowań nigdy nie będą wystarczające wobec tego, co dotąd zrobiła i co nadal dla mnie robi.

Tytuł oryginału: *2017: The War with Russia*

Copyright © General Sir Richard Shirreff 2016

The right of General Sir Richard Shirreff to be identified as the Author of the Work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

*All rights reserved*

First published in Great Britain in 2016.

Copyright © for the Polish translation and edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Autor książki jest ekspertem w dziedzinach geopolityki i wojskowości, a jego przewidywania zostały oparte na doświadczeniu, wiedzy i umiejętnościach pozyskanych podczas pracy na najwyższym szczeblu dowództwa NATO. Sama fabuła oraz opisane w tej książce wydarzenia (podobnie jak większość postaci) są fikcyjne.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce

© Ed Darack / Getty Images

© Roger Ressmeyer / Corbis / VCG / Getty Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *2017. Wojna z Rosją*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-774-1

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**